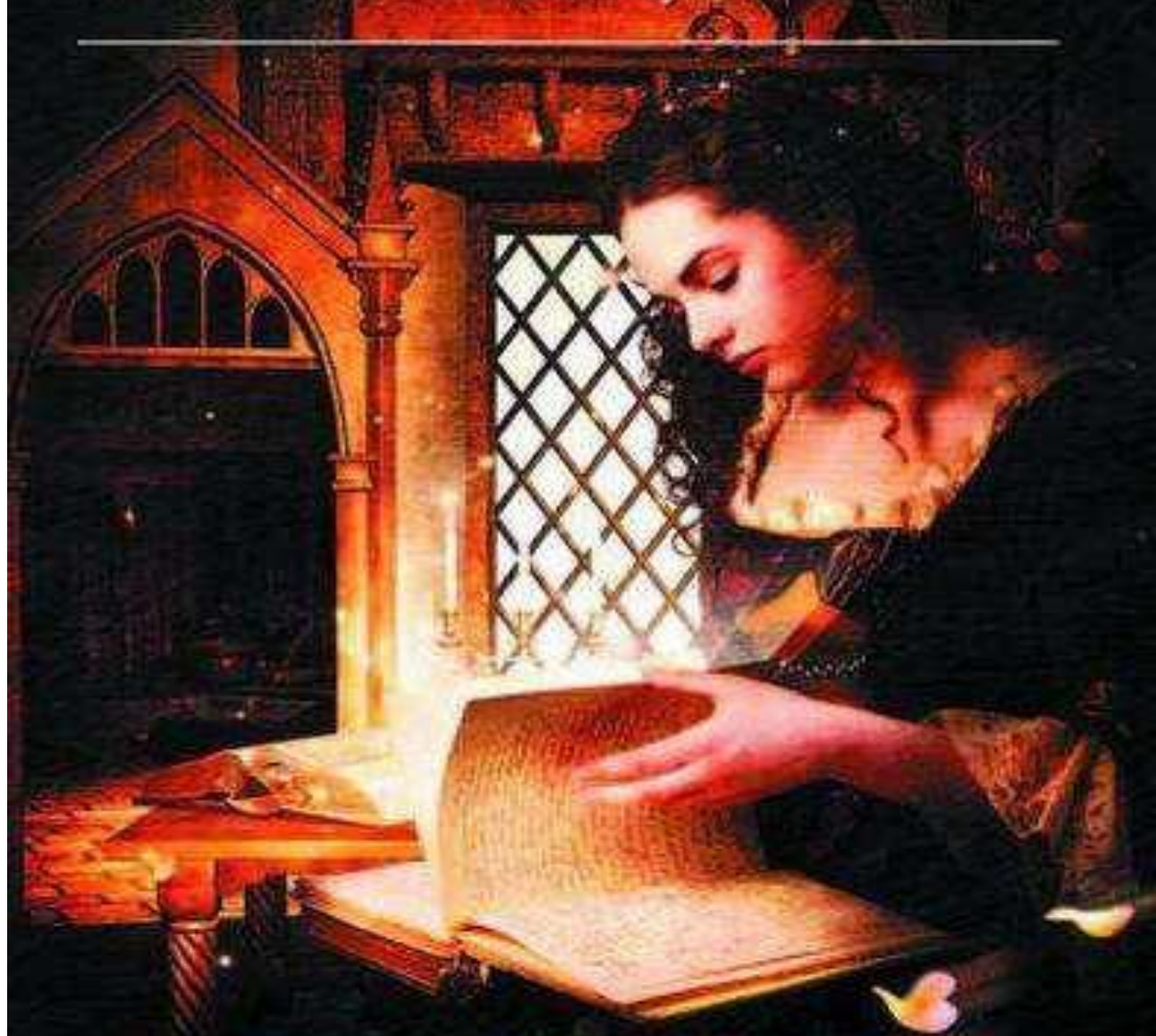


ROMANS HISTORYCZNY
Z ELEMENTAMI WSPÓŁCZESNEJ POWIEŚCI FANTASY



PAULA BRACKSTON

Córka wiedźmy

BELLONA

Brackston Paula

Córka wiedźmy

The Witch's Daughter

Przekład Anna Nowosielska

BATCHCOMBE, WESSEX, 1623

Bess biegła. Czyste nocne niebo i ogromny księżyc dawały światło umożliwiające jej ucieczkę. Bała się świtu, gdyż z jego nadejściem odkryją jej nieobecność, a wówczas rozpocznie się nagonka. Okowy, które nadal ciążyły jej u nóg, przy każdym kroku obijały się o kostki pojedynczym ogniwnem, ostatnią pozostałością łańcuchów. Metal ocierał młodą skórę, aż wreszcie zaczęła zostawiać za sobą cienką smużkę krwi. Bosymi stopami rozchlapwała płytkie kałuże. Podążała drogą znaną tak dobrze, że na zawsze wryła się w jej pamięć, tworząc wyraźną mapę, dzięki której nie zbaczała z trasy, uciekając poza granice wioski w kierunku lasu. Lecz ta krótka droga wydawała się teraz dłuższa niż kiedykolwiek wcześniej. Drzewa zdawały się przed nią rozstępować, odstręczane jej panicznym strachem. Trzymały się z dala nawet wówczas, gdy biegła naprawdę szybko.

Iluzja. Sztuczka księżycowych cieni. Nie mogę się wahać.

Wyraźnie słyszała własny oddech, wystarczająco głośny, by obudzić kogoś śpiącego w odległej chacie. Również bicie serca było tak ogłuszające, że wprost nie dało się go przegapić. Parła naprzód i wreszcie znalazła schronienie wśród pierwszych smukłych drzew. Ciemność zagajnika miała całkiem odmienny charakter. Młode listowie przepuszczało jedynie część promieni księżyca, a rosnące

z obu stron ścieżki korzenie i jeżyny chwyciły jej nogi. Wciąż biegła. Kamienie raniły jej stopy, a ona jedynie mocniej chwyciła powietrze. Z chlupotem przebiegła przez strumień. Chłodna woda na chwilę ukołysała bolące rany, lecz już po chwili piaszczysta leśna gleba z każdym stąpieniem wdzierała się głębiej w pokaleczoną skórę. Sowa krzykiem zaznaczyła, że nie podoba jej się obecność dziewczyny. Borsuk schował pysk w jamie, czekając, aż zniknie ta, która zakłóca mu spokój.

Rzeźkie nocne powietrze kłuło gardło Bess. Choć zaczęła kaszleć i musiała walczyć o każdy oddech, nie zwolniła tempa. Nie przejęła się tym, spędziwszy tak wiele godzin w dusznej atmosferze więziennej celi. Tu przynajmniej było czym oddychać. Pokonała niewysokie wzgórze i przystanęła, opierając się o pień potężnego jesionu. Językiem wyczuwała smak lasu: mchy, srebrzyste porosty, wzbierające soki drzew. Pośród nich wyraźnie wyróżniały się dwie rzeczy: jej własny strach i morze. Oba słone zapachy mówiły o prześladowaniu i o wolności. Wpatrzyła się przed siebie, na ścieżkę i w serce lasu. Ta droga umożliwiała ucieczkę przed oprawcami. Na jej końcu będzie na nią czekał z końmi gotowymi do drogi, prowiantem, planem, miejscem, do którego mają się udać. Odepchnęła się od drzewa, zbierając resztę sił, ale coś ją powstrzymało. Coś w niej kazało jej czekać. *Zastanów się, mówił wewnętrzny głos, zastanów się nad ceną tej wolności.*

Słyszając dobiegający z oddali hałas, ruszyła naprzód.

Psy gończe. Dopadną ją za chwilę. Nie może się wahać. Lecz mimo to głosu nie dało się uciszyć. *Zastanów się, ostrzegał.*

Mamo? Co mam zrobić?

W odpowiedzi nocna bryza przyniosła zapach morza. Od strony wsi dobiegało coraz głośniejsze ujadanie psów, do którego przyłączyły się także krzyki. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch przed sobą. Była teraz pewna, że widzi sylwetkę jeźdźca i konie. Wiedziała na pewno, że zginie z rąk ścigających ją oprawców. Ale jakiej ceny zażąda Gideon za jej wolność?

Nie. Nie idę do niego. Nie pójdę.

Zawróciła i pospieszyła ścieżką prowadzącą na wschód, z dala od drzew, z dala od głodnych ogarów i z dala od niego. Szybko wyrwała się z lasu i popędziła po sprężystym torfie, otwartą przestrzenią, kierując się w stronę swej jedynej szansy – morza. Wyczuła raczej, niż usłyszała, że podąża w jej ślady. Nie odważyła się obejrzeć za siebie. Gdy dotarła do biegnącej brzegiem klifu ścieżki, nad horyzontem pojawiło się wyblakłe słońce, barwiąc morze goryczą czerwieni. Płaskie, pozbawione cienia światło dnia zastąpiło noc, pozbawiając Bess osłony. Zatrzymała się na krawędzi klifu. Patrząc w stronę wioski, widziała migoczące w szarości pochodnie oraz pozbawione rysów kształty, które były coraz bliżej. Drzenie ziemi pod kopytami czuła nawet pomimo hipnotyzujących uderzeń fal o skały. Choć nie wołał, słyszała w głowie jego głos: *Bess! Bess! Bess!*

Nie odwróciła głowy. Spotkanie z jego wzrokiem oznaczałoby utratę własnej woli. Poniżej przypiływ zakrył piach, widać było jedynie głębię wody, oraz wapienie i krzemienie, zdolne pogruchotać kości. Słońce wspinało się w górę i kiedy uniosła oczy, ujrzała niebo rodem z Apokalipsy. Dopiero wówczas wkroczyła w nicość.

Nazywam się Elizabeth Anne Hawksmith i mam trzysta osiemdziesiąt cztery lata. Każde nowe miejsce wymaga nowego dziennika, więc tutaj rozpoczyna się Księga Cieni.

IMBOLC

Imbolc (zwane także Imbolg, „owcze mleko”, w nawiązaniu do cielienia się owiec) – pogańskie święto celtyckie obchodzone 1 lutego wg celtyckiego kalendarza. Podczas chrystianizacji przeniesione na 2 lutego, obecnie znane jako dzień Św. Brygidy – przyp. tłum.

2 LUTEGO 2007 – PEŁNIA KSIĘŻYCA

Pobudka o świcie pierwszego dnia w Wierzbowej Zagrodzie, Duże opady śniegu. Krajobraz leży skromnie przykryty puchową narzutą, czekając, aż będzie mógł mi się pokazać w całej krasie. Niebo zaróżowiło się zaledwie na chwilę, dając ulotne ciepło. Okno sypialni, zgodnie z moimi przewidywaniami, zapewnia wspaniały widok na wioskę zwaną Matravers. Mój niewielki domek, stojący na pagórku na skraju łąki, jest przyjemnie oddalony od grupy krytych strzechą chat oraz niewysokiego ceglanego tarasu tworzącego centrum wsi. Na obrzeżach łąki, chlubiącej się strumieniem o kredowym korycie oraz stawem dla kaczek, znajduje się także urząd pocztowy i niewielki sklepik, elegancka gospoda dla podróżnych oraz przystanek autobusowy, z którego dzieci odjeżdżają do szkoły, a emeryci na cotygodniowy targ w Pasbury. Kościół stoi po przeciwnej stronie łąki, trochę oddalony i niemal całkowicie przysłonięty imponującymi cisami. Aleja za kościołem dochodzi do kanału, biegnącego na zachód w stronę Pasbury. Sprzed domu wyraźnie widzę wszystkie nadchodzące osoby, skromny zagajnik z tyłu zaś zapewnia mi spokój. Mogę decydować, kiedy chcę widzieć i być widziana.

Staram się być tak niewidoczna, jak tylko pozwala mój niewątpliwie niezwykły wygląd. Samotna kobieta zawsze przyciąga uwagę, szczególnie jeśli jest w jakikolwiek

sposób odmienna. Dlatego właśnie zawsze wiązę swe długie włosy w luźny węzeł i często noszę kapelusz. Mój ojciec twierdził, że mam jesienne włosy i że to musi się wiązać z moimi wrześnieowymi urodzinami. Rzeczywiście, kolor doskonale pasuje do tej pory roku – połączenie lśniącego połysku dojrzałych kasztanów i pasemek dębowych liści, które z końcem roku stają się miedziane. Taki kolor sam w sobie, nawet biorąc pod uwagę wyjątkową długość moich włosów, nie budziłby ciekawości. To sposób, w jaki owe głębokie barwy kontrastują z szerokim białym pasmem, które biegnie od mojej prawej skroni, sprawia, że ludzie zerkają na mnie ponownie. Nie jest to srebrzysta oznaka dojrzałości, lecz białe jak śnieg pasmo, muśnięcie lodem, zupełnie jakby Bogini Zimy dotknęła mnie i zostawiła po sobie ślad. Doprawdy, bardzo bym chciała, by pochodzenie tego znaku było tak niewinne. Prawda jest znacznie bardziej mroczna.

Jestem także wysoka i pomimo zaawansowanego wieku ciągle silna i pełna życia. Mój wygląd zewnętrzny sugeruje, że mogę mieć najwyżej pięćdziesiąt lat. Noszę odzież wygodną i praktyczną, by nie zwracać na siebie uwagi. Dzisiejsza moda najwyraźniej spełnia kaprysy każdej kobiety, więc moje długie spódnice i ulubione stroje zebrane w ciągu wieloletniej wędrówki po tej ziemi mogę nosić swobodnie, wyglądając na osobę zaledwie odrobinę ekscentryczną. Nie muszę rezygnować z miłości do intensywnych kolorów i tkanin o wyraźnej fakturze.

Jestem pewna, że po wprowadzeniu niewielkich zmian

chata spełni moje potrzeby. Planuję utworzyć ścieżkę prowadzącą od tylnego wejścia bezpośrednio do strumienia przepływającego pośród wierzb, od których wywodzi się nazwa tego miejsca. Żywopłot z ostrokrzewu na frontowej granicy zagrody wymaga uzupełnienia. W odpowiednim czasie muszę też znaleźć miejsce dla czarnego bzu, brzozy i jarzębiny. Ogród wymaga gruntownego przekopania. Trzeba jakoś zaradzić brakowi cienia od zachodniej strony domu. To doskonałe miejsce na herbarium, jednak ma dużą powierzchnię i wszystkie zasadzone tam rośliny skazane będą na spalenie słońcem. Dom musi na razie pozostać w niezmiennym stanie, chyba że nieprzyjazna pogoda uniemożliwi prace ogrodowe. Jeżeli bezchmurne niebo wpuści promienie księżyca, obejdę kuchenny ogród i zaznaczę go leszczynowymi gałązkami. Być może wybiorę się nawet na nocny spacer, choć wątpię, bym zdołała dojść do krawędzi ogromnego lasu, który leży za domem na linii horyzontu. Wzywa mnie, lecz nie jestem jeszcze gotowa, by tam iść. Zrobię to w stosownej chwili.

W taki słoneczny dzień jak dziś, gdy wszystko jest nowe i obiecujące, łatwo zapomnieć o przeszłości. Zupełnie jakby nie mogła kłaść się cieniem na czystym śniegu. Imbolc to moim zdaniem najlepszy czas na znalezienie nowego domu, gdyż jest oczekiwaniem na odrodzenie i odnowę. Nie mogę jednak spocząć na laurach. Nie mogę stracić czujności. To malownicze otoczenie jest niewątpliwie niegroźne i tego samego spodziewam się po większości nowych sąsiadów. Niebezpieczeństwo, jak

zwykle, nadejdzie z oddali. Nie czeka w ukryciu, ale podąża w moje ślady. Nic mogę dopuścić, by iluzja bezpieczeństwa uczyniła mnie łatwym łupem.

6 LUTEGO 2007 – KSIĘŻYC W TRZECIEJ KWADRZE

Dolinę nadal okrywa śnieg, choć już nie tak doskonały. Ślad pozostawiony przez brzuch borsuka oznacza, że mój ogród za domem stał się szlakiem ucieczki. Z nadejściem Ostary [Ostara – święto sięgające do tradycji wierzeń germańskich, obchodzone 21 marca, związane z radosnym momentem zrównania dnia z nocą – przyp. tłum.] będę musiała wyperswadować mu wykopywanie moich nowo posadzonych roślin. Aleja za bramą frontową jest znów czarna, a sama wioska ukazuje brązowe ogrody i szare, szmaciane kukły porzucone przez dzieci. Ostrożni przechodnie oczyścili chodniki, zostawiając jedynie plamy zmrożonej wody i zbite łaty zbrylonego śniegu. Wszyscy czasowo cierpią na zaburzenia chodu. Każdy krok przynosi niespodziankę, kurcząc lub nadmiernie rozciągając mięśnie, gdy stopy rozjeżdżają się w mokrej brei. Są zbyt zajęci pogodą, by zawracać głowę mnie.

Zaczęłam prace ogrodowe, choć ziemia jeszcze nie uwolniła się spod topniejącego śniegu. Mogę zrobić niewiele poza planowaniem i wstępnym oczyszczaniem. Zmusiło mnie to do zwrócenia uwagi na sam dom. Pokoje są osobliwie małe i prostokątne – dwa z przodu i dwa z tyłu, na dole i na górze, dzięki czemu fasada przypomina domek dla lalek, z oknami umieszczonymi symetrycznie po obu stronach drzwi. Nie podoba mi się, że drzwi wejściowe otwierają się bezpośrednio do podnóża

schodów, lecz niewiele mogę na to poradzić. Niezbędne zmiany konstrukcyjne wymagałyby zatrudnienia fachowców, zaś wielotygodniowa obecność obcych ludzi w domu byłaby zbyt wysoką ceną.

Pokój od frontu doskonale się nada na salonik, choć nie będę go często używać. Jadalnię mogę wykorzystać do suszenia roślin, a także do przechowywania olejków i poduszek ziołowych. Najważniejsze prace wykonywać będę w kuchni. Dziś spędziłam tam trochę czasu, wybierając najlepsze miejsca do przechowywania mikstur i maści. W pomieszczeniu znajduje się wspaniały piec na paliwo stałe. Podłogę wyłożono gresem, Zachodnie drzwi balkonowe wychodzą na ogród. Rozpaliłam w piecu, poświęcając chwilę na spalenie wiązki szaławii i pobłogosławienie pomieszczenia jej gryzącym dymem. Stojąc z zamkniętymi oczami, delectowałam się spokojem i obietnicą oferowaną przez mój nowy dom. W pewnej chwili usłyszałam lekkie drapanie. Zjeżyły mi się włosy na karku i miałam wrażenie, jakby gąsienica wspinała mi się po kręgosłupie. Otwarłam oczy i spojrzałam w kierunku, z którego dobiegał hałas. Niepotrzebnie się niepokoiłam. Za oknem siedziała mysz zaroślowa z rudym grzbietem i ruszała pyszczkiem. Otworzyłam zamek.

– Witaj – powiedziałam. – Może wejdiesz do środka?

Zanim przekroczyła otwarte okno, przyglądała mi się sekundę czy dwie wilgotnymi bystrymi ślepkami. Gdy wślizgnęła się do środka, poczułam chłód jej nieowłosionych uszek. Nie usiadła od razu przy piecu, lecz, aby

oczyścić łapki, obeszła pomieszczenie dookoła. Przyniosłam jej kawałek chleba.

– Ubijmy interes – zaproponowałam. – Powiedz rodzinie, by zostawiła moje zapasy w spokoju, a w zamian za to codziennie przygotuję wam posiłek na parapecie. Zgadzasz się?

Przerwała ablucje. Małeńkie stworzonko nie wydało żadnego dźwięku. To raczej ja wyczułam, że zgadza się na taki układ. Warto będzie poświęcić trochę okruchów, by myszy nie zajęły się moimi zapasami.

Ustawiłam już dębowy stół, kredens i komodę, która zmieściła się obok zlewu wyposażonego w otwór przelewowy. Na przeciwległej ścianie przymocowałam półki, na których będę przechowywać słoje. Pomieszczenie jest ciepłe i jasne i dobrze będzie się w nim pracować. Wczoraj w nocy przez niezastłonięte szyby wpadły promienie księżyca i zalały kuchnię perłowym światłem.

Później poszłam do zagajnika i zapaliłam świecę, wzywając leśne duchy i wróżki. Poprosiłam je, by mi się ukazały, i zapewniłam, że są mile widziane, że nie zamierzam odebrać im ich prawowitego domu. Jestem gościem w ich lesie i podczas wizyty będę mu okazywać troskę i szacunek.

10 LUTEGO 2007 – CZWARTA KWADRA

Śnieg zniknął, zastąpiony twardym niczym żelazo szronem, co oznacza, że nadal nie da się pracować w ogrodzie. Udało mi się jednak poświęcić odrobinę tak potrzebnej uwagi żywopłotowi z ostrokrzewu i oczyścić miejsca pod nowe krzaki. Taka bariera ochronna wokół posiadłości to prawdziwe szczęście. Niektóre krzewy muszą pamiętać czas budowy domu, co moim zdaniem musiało się zdarzyć dobrze ponad sto lat temu. Wydaje się, że to bardzo dawno, że podczas tego stulecia światem wstrząsnęło tyle wydarzeń, zmieniając go całkowicie. A przecież dla mnie jest to jedynie rozdział życia. Prawdę mówiąc, mam więcej wspólnego ze starym dębem na wiejskiej łące, choć nie sądzę, by widział tak wiele wiosen jak ja.

Gdy pracowałam przy ostrokrzewach, podeszła do mnie wiewiórka, sprawdzić, czym się zajmuję. Był to piękny okaz, z długim ogonem i gęstym srebrnym futerkiem. Zaprosiłam ją, by podeszła bliżej, a ona radośnie wspięła mi się po ręce i usiadła na ramieniu. Towarzystwo dzikich zwierząt daje mi poczucie komfortu. Ich zaufanie mnie zachwyca. Zorientowałam się, że ktoś mnie obserwuje. Oczywiście jestem na to wyczulona, lecz tym razem nie zaniepokoiło mnie to. Wyczułam obecność kogoś spokojnego, choć obdarzonego potężną energią. Przerwałam pracę i pozornie zaczęłam rozprostowywać obolałe plecy,

aż wiewiórka zeskoczyła i uciekła. W alejce ujrzałam smukłą dziewczynę. Jej strój nie był odpowiedni na taki mróz, dlatego przebierała nogami w modnych butach. Spojrzała mi prosto w twarz. Z jej miłej twarzy wyzierała ciekawość.

– Dzień dobry – powiedziałam i czekałam na odpowiedź.

– Cześć – miała miękki głos. – Co pani robi?

– Jak widzisz... – wskazałam łopatką – naprawiam żywopłot.

– Moim zdaniem trochę za zimno na prace ogrodowe. – Roztarta dłonie i zaczęła w nie chuchać.

Zastanawiałam się, ile może mieć lat. Była niższa ode mnie, lecz tak jest w przypadku wielu kobiet. Mogła mieć piętnaście lat. A może szesnaście? Wiek wejścia w dorosłość przesuwa się z dziesięciolecia na dziesięciolecie w przód i w tył, więc już nie umiem tego dokładnie określić. Jej obcisłe ubranie i wyraźna chęć eksponowania ciała wskazywały, że to młoda kobieta, jednak pełen wahanias głoś i brak elokwencji przywozodziły na myśl niezdarne dziecko. Uznałam, że ma siedemnaście lat. Nie wiele mniej, niż miałam ja sama w chwili, gdy mój świat rozpadł się na kawałki. Gdy wepchnięto mnie w nieskończoną przyszłość złożoną z kryjówek i samotności.

– Podoba mi się ta chata – oznajmiła dziewczyna. – Podoba mi się, że przysiadła w tym miejscu, spoglądając na wieś. Jej okna są jak roześmiane oczy, prawda?

– Można tak powiedzieć.

– Zobaczyłam dym z komina – powiedziała. – Kiedy się tu wprowadziłyśmy, ten dom stał pusty. Pani też jest nowa?

– Tak, w Matravers jestem nowa.

– My jesteśmy tu od miesiąca. Wydaje się, że to całe cholerne życie. – Zaczęła wymachiwać rękami, częściowo z podniecenia, a częściowo po to, by się rozgrzać.

– Nie lubisz tej wsi?

– Samo miejsce jest w porządku, pola i cała reszta, ale chciałam powiedzieć, że nie ma tu za dużo do roboty, co?

– Nic, do czego jesteś przyzwyczajona?

– Tak, przyjechałyśmy z Basingstoke. Wcześniej mieszkaliśmy w Dulwich. Bóg jeden wie, gdzie wylądujemy później. Mamie wpada do głowy pomysł i już, pakujemy się. Ona uważa, że wieś będzie dla mnie lepsza. Mniejsza szansa, że narobię sobie kłopotów. Czy też raczej mniejsza szansa, że będę miała jakieś życie.

Przyjrzałam jej się uważniej. W tym młodym stworzeniu było coś rozbijającego, uczciwego i ufego, co rzadko można znaleźć w obcej osobie. Złapałam się na tym, że zastanawiam się, czy nie zaproponować jej kubka czekolady, by rozgrzała przemarznięte palce. Ale nie. Tak łatwo byłoby zawrzeć nieszkodliwą sąsiedzką znajomość, ale nie wolno mi tego zrobić. Wróciłam do przerwanej pracy, odwracając się do dziewczyny plecami.

– W taki dzień jak dziś powinnaś włożyć coś ciepłego – powiedziałam.

Czułam, że przygląda mi się jeszcze przez chwilę, a potem usłyszałam, jak odchodzi. Przyznaję, ja też odczułam zimno, którego nie mogłam się pozbyć niezależnie od pracy fizycznej. Niedługo później weszłam do środka i znalazłam sobie zajęcie w kuchni, pragnąc oderwać myśli od trudnej prawdy, która kazała mi odesłać dziewczynę. Niebiosa wiedzą, jestem przyzwyczajona do własnego towarzystwa, nie można powiedzieć, by była to dla mnie nowość. Samotne życie od samotności dzieli tylko krok. I żyję ze świadomością, że mój brak przyjaciół nic jest wyborem, lecz koniecznością, dla bezpieczeństwa mojego oraz wszystkich osób, które byłyby ze mną blisko.

Zabrałam się za rozpakowywanie ostatnich pudeł. W widoku równo zastawionych półek jest coś uspokajającego, więc zanim ustawiłam ostatnie słoje wypełnione marynowanymi buraczkami, opadła ze mnie wcześniejsza melancholia. Połyskujące rzędy szkła i zapasy sugerują porządek i bezpieczeństwo. Tego wieczora zapaliłam jedynie świece w kuchni i usiadłam przy otwartych drzwiczkach pieca, przyglądając się płonącej kłodzie jabłoni. Sam ten widok rozgrzał mnie równie mocno, jak wydzielane przez ogień ciepło. Miałam na sobie, jak zwykle podczas zimowych miesięcy, kilka warstw wygodnej odzieży – delikatna jedwabna koszulka, miękkie wełniane rajstopy, bawełniana koszula, ciężka sztruksowa spódnica, którą zamiatam podłogę, oraz dwa lekkie sweterki. Buty z foczej skóry dostałam od innuickich rybaków podczas pobytu na wielkich lodowych równinach Północy. Zdjęłam

zrobione na drutach okrycie. Gdy przeciągałam je przez głowę, strzelały naelektryzowane włókna. Niewielkie iskry, dobrze widoczne w półmroku dla bystrego oka, przeskakiwały pomiędzy ubraniem a moimi włosami. Odwróciłam się do stołu i przygotowałam olejek do ogrzania nad palnikiem. Rozmaryn. Wkrótce potem pomieszczenie wypełniły opary. Zapach jak zwykle przypominał mi mamę. Miała oczy błękitne jak kwiaty tej rośliny, jej obecność zaś była równie potężna i pokrzepiająca, jak wyciąg z ziela. Nawet teraz widzę, jak cierpliwie uczy mnie wiązać pęki rozgałęzionych łodyżek i wieszać je do suszenia. Nie mogłam mieć więcej niż sześć lat. Stała za mną i otaczała moje ramiona swoimi, pochylając się naprzód, aby pomóc moim niewprawnym palcom. Otaczała mnie jej nieskończona miłość, a ja mogłam wdychać słodki zapach mamy. Była taka cierpliwa. Czuła. Tak uparta, by nauczyć mnie wszystkiego, co sama wiedziała, podzielić się ze mną całą swą cudowną wiedzą. To najokrutniejsza z tortur mojego zaawansowanego wieku, która nic traci na sile, nie spada poniżej pewnego poziomu. Ona tylko trwa, moja jedyna towarzysząca na oceanach czasu.

13 LUTEGO 2007 – KSIĘŻYC WCHODZI W ZNAK KOZIOROŻCA

Nadal jest zimno, lecz mróz stopniowo słabnie. Wybrałam się dziś do wsi. Wiedziałam, że odwlekam tę wizytę. Choć nie chcę zawierać z sąsiadami innych znajomości, niż te najbardziej niezbędne, mam świadomość, że błędem byłoby trzymać się całkiem z boku. Odludek oznacza tajemnicę, której współcześni mieszkańcy wioski nie są w stanie znieść. Lepiej umożliwić grzeczną wymianę ukłonów i pozdrowień oraz rozmowę o pogodzie. W rozmowie staram się być nudna, nawet niegrzeczna, jeżeli nie da się tego uniknąć. Udzielam tylko tyle informacji, by osoby zainteresowane moją historią mogły stworzyć ją z suchych faktów. Dzięki temu skłonne są zostawić mnie we względnym spokoju. Udając się do wsi po podstawowe produkty, nie sądziłam jednak, że w wiejskim sklepiku spotkam tę nastoletnią dziewczynę. Najwyraźniej niezrażona moją szorstkością podczas poprzedniego spotkania, wydawała się zadowolona, że mnie widzi.

- Jak żywopłot? – zapytała.
- Powoli nabiera kształtu, dziękuję.
- Zamierza pani pomalować dom z zewnątrz? – spytała ponownie. – Widziałam kiedyś podobny w jasnyniebieskim kolorze, z białymi oknami i granatowymi drzwiami. Niczym chatka z bajki. Byłoby fantastycznie. –

Spojrzała mi w twarz oczami błyszczącymi od własnego pomysłu.

Zastanowiło mnie jej zainteresowanie tym miejscem. Była sama, podobnie jak poprzednio. Czyżby nie miała we wsi przyjaciół? Z doświadczenia wiedziałam, że nastolatki rzadko robią cokolwiek samotnie. Przypomniałam sobie jednak, że ona również niedawno tu przybyła i być może nie zdążyła jeszcze znaleźć kolegów.

– Nie zastanawiałam się nad tym – odparłam. – Kolor ścian nie ma dla mnie większego znaczenia. – Zająłam się zakupami z nadzieją na koniec rozmowy, lecz szła za mną sklepowymi alejkami niczym nadgorliwa kwiaciarka.

– Ma pani psa? Wspaniały ogród dla psa, a szczególnie ten lasek z tyłu. Mama nie zgadza się na psa. Mówi, że sierść zapcha odkurzacz.

– Nic. Nie psa. – Zdjęłam z półki torebkę brązowego cukru.

– Och, lubię brązowy. Szczególnie ten chrupiący. Na płatkach śniadaniowych. Lubi pani płatki? Proszę spojrzeć, są tam. Miodowe czy kokosowe? Nie, ktoś tak chudy jak pani, na pewno woli muesli, jak sędzę. Lubi pani muesli? – trzymała w dłoni paczkę, promieniejąc z radości.

Spojrzałam jej prosto w twarz.

– Zadajesz zbyt wiele pytań – stwierdziłam, zmierzając w stronę lady z nadzieją, że uda mi się wyjść.

– Mama mówi to samo. Ale jak mam się czegoś nauczyć, jeśli nie będę zadawać pytań?

– A to jest kolejne.

– Tak, najwyraźniej nie mogę się powstrzymać. – Zachichotała radośnie, niczym wiosenny deszcz padający na powierzchnię oczka wodnego.

Serce mi się ścisnęło, gdy zdałam sobie sprawę, że pominawszy jej wiek, to nie mnie samą w młodości przypominała ta dziewczyna. Przypominała Margaret, moją ukochaną siostrzyczkę. Margaret o lekkim chodzie i śmiechu bez powodu. Margaret, która uwielbiała mnie równie mocno, jak ja ją. Tak, w otwartości i niewinności tej dziewczyny było coś, co stanowiło podstawowe cechy charakteru Margaret. Skinęłam sklepikarce głową na powitanie i podziękowanie, a potem podałam pieniądze. Kiedy zwróciłam się w stronę wyjścia, dziewczyna nadal mi się przyglądała, stojąc na drodze do drzwi, zupełnie jakby na coś czekała.

– Nie powinnaś być w szkole? – spytałam.

– Nauczyciel jest na szkoleniu. Mamy dzień wolny na samodzielną naukę.

– Nie powinnaś więc być w domu i się uczyć? Dziewczyna miała na tyle poczucia przyzwoitości, by się zarumienić.

– Przyszłam kupić kartkę walentynkową – wyjaśniła – ale nie umiem wybrać. Proszę spojrzeć. – Wskazała na stojak w pobliżu lady. – Zabawna, seksowna, romantyczna... Jak się pani wydaje?

– To zależy właściwie od tego, dla kogo ma być. Zaczzerwieniła się jeszcze mocniej i z uwagą wpatrzyła we własne stopy.

– Dla Michaela Forrester.

– Jaki jest ten Michael Forrester?

– Okropny. Wszyscy go lubią. Szczególnie dziewczyny. I jest świetny w sporcie. Lekkoatletyka, rugby, pływanie. Ciągłe wygrywa. Jest taki fajny.

– Z tego co mówisz, jego ego z pewnością i tak jest wystarczająco napompowane. Ja bym oszczędziła pieniądze.

– Och nie, jest naprawdę miły. Przytrzymał mi kiedyś drzwi. I powiedział cześć.

– A od jak dawna wzdychasz do tego wzoru cnót?

– Co? Och, nie wiem. Spotkałam go przecież dopiero w zeszłym miesiącu, prawda?

Zniżyła głos do szeptu, a jej całe zachowanie odzwierciedlało tortury nieodwzajemnionej miłości. Była śliczna, lecz najwyraźniej brakowało jej pewności siebie. I czegoś jeszcze. Pomimo pozornej brawury nie otaczała jej aura obycia, co, choć dziwnie urocze dla osoby dorosłej, musiało utrudniać kontakty z rówieśnikami. Dostrzegłam teraz, jak samotna musiała być ta dziewczyna. Nie pasowała. Była obca. W tej chwili, gdy przestała się pilnować, samotność emanowała z niej bolesnymi falami. Sklepowy dzwonek uwolnił mnie od konieczności dawania jej dalszych rad.

– Dzień dobry, pani Price. Tegan, kochanie, jak się czujesz? Jak mama? Aaa, nasza najnowsza sąsiadka, proszę wybaczyć, że nie złożyłem pani wizyty, by przywitać panią w Matravers.

Odwróciłam się i ujrzałam tego brodatego mężczyznę, który wyciągał do mnie dłoń. Oczy błyszczały mu miłością życia, jego uśmiech był szeroki i szczery, ale na sam jego widok poczułam pulsowanie w skroniach. To nie jego wina. Skąd mógł wiedzieć, w jaki sposób wpłynie na mnie obecność księdza? Jak mógł sobie wyobrazić wściekłość, jaką wywoływał we mnie jego Kościół? Ten sam Kościół, który potępił moją matkę i mi ją odebrał. Wzięłam głęboki oddech, aby się uspokoić, lecz jego ubiór wydzielał zapach wina mszalnego. Nada! wyciągał dłoń w moją stronę. Czekał. *I* dziewczyna czekała. *I* pani Price za ladą czekała. Taka krótka chwila, a przecież określi moją pozycję we wsi na cały okres mojego pobytu. Wyprostowałam ramiona i zmusiłam się do uśmiechu, przyciskając zakupy do siebie.

– Przepraszam – rzekłam, wskazując głową na pakunki.

– Och, nie szkodzi – uśmiechnął się i opuścił rękę. – Jestem Donald Williamson. Wieczorem zwykle znajdzie mnie pani na plebanii. Zapraszam do siebie, Mary będzie zachwycona pani wizytą.

– Dziękuję. W tej chwili jestem zajęta rozpakowywaniem, ale będę pamiętać – zaczęłam przeciskać się obok niego, walcząc z obrzydzeniem wynikającym z takiej bliskości osoby należącej do jego stanu.

– Kiedy tylko pani zapragnie – zawołał za mną, gdy dotarłam do drzwi. – *I* mam nadzieję zobaczyć panią w niedzielę. O dziesiątej. Czekamy na wszystkich.

Zamknęłam drzwi, by uniknąć dalszych nalegań,

i skierowałam się w stronę domu. Nawet po upływie tak długiego czasu jedynie z najwyższym wysiłkiem byłam w stanie ukryć własne uczucia do przedstawiciela Kościoła. Miałam powody, by odczuwać to, co odczuwałam, ale mimo to byłam na siebie zła. Źle się stało, że nie kontrolowałam się lepiej. Moje gwałtowne emocje względem każdego nieszkodliwego księdza, który stanął na mojej drodze, były wprost śmieszne. Zanim dotarłam na drugą stronę wiejskiej łąki, dopadły mnie złe przeczucia. Spotkanie z księdzem wyprowadziło mnie z równowagi, lecz to było inne zagrożenie. Zatrzymałam się. Uniosłam brodę i powoli rozejrzałam się wokół. Nic nie zauważyłam. Żadnego ruchu. Żadnej podejrzaney postaci. Nic niezwykłego. Ciche, kryte strzechą chaty. Spokojny taras. Pusty przystanek. Na stawie kaczki kwaczące z uspokajającą trywialnością. Nic przerażającego. Niemniej do azylu Wierzbowej Zagrody dotarłam z nie całkiem małą ulgą i szybko zamknęłam za sobą drzwi.

17 LUTEGO 2007 – KSIĘŻYC W NOWIU

Czyste niebo pierwszego dnia handlu na targu w Pasbury. Wstałam przed świtem, aby zapakować do samochodu własne produkty. Pojazd ma, niezależnie od tego, wedle jakich standardów chce się to oceniać, dobre i złe strony. Jest to stary morris traveller, niewielki i tani w eksploatacji, lecz z przestronnym bagażnikiem i przydatnymi tylnymi drzwiami, dzięki czemu mogę tam i z powrotem przewozić ziołowe herbatki, olejki, toniki, mydła, przetwory oraz wino. Wymaga jednak nader nużącej biurokracji. Nie można mieć samochodu i jednocześnie strzec własnej tożsamości. Co dwanaście lat muszę na nowo wymyślać samą siebie, w znacznej mierze po to, by spełnić wymogi przepisów drogowych. Przy tym jednak przyznaję, że dość lubię sam pojazd. Rzadko jeżdżę daleko, lecz handlowanie na targu byłoby bez niego trudne, a przecież stragan jest ważnym elementem moich dochodów. Jednocześnie pozwala znaleźć mnie tym, którzy mnie potrzebują. Nawet w tej rzekomo oświeconej Erze Wodnika nie mogę powiesić na drzwiach szyldu z napisem: „CZAROWNICA – ZAKLĘCIA I MIKSTURY NA KAŻDĄ OKAZJĘ”. Nie. Muszę się dostosować, adaptować i przedstawiać zewnętrznemu światu bardziej... przyjazną twarz. Samochód nie chciał zapalić, ale zareagował na zaklęcie. Zostawiłam silnik na chodzie, a sama dokończyłam pakowanie i zabezpieczyłam drzwi sznur-

kiem. Zamykałam dom, gdy usłyszałam, że silnik staje. Niewiele myśląc, skupiłam się, uspokoiłam i powtórzyłam zaklęcie. Po chwili wahania silnik uruchomił się ponownie i zaczął radośnie mruzczyć. Dopiero gdy powróciłam do pojazdu, zauważyłam Tegan stojącą przy bramie. Wyraz jej twarzy aż nadto wyraźnie zdradzał, że była świadkiem mojej naprawy silnika. Uśmiechała się szeroko, a oczy jej błyszczały. Przeszłam obok niej i zabezpieczyłam bramę.

– Wybacz mi, ale trochę się spieszę – wyjaśniłam.

– Dokąd pani jedzie?

– Do Pasbury, i jeśli będę zwlekać, spóźnię się z otwarciem straganu.

– Na targu? Super. Mogę jechać? – Co?

– Do Pasbury. Z panią. Mogę pomóc.

– Świetnie radzę sobie sama, dziękuję.

– Ale proszę. Nie musi pani mi płacić. Proszę mnie tylko podwieźć, a ja pomogę rozładować to wszystko – wskazała głową bagażnik samochodu, a potem zajrzała przez tylną szybę. – Co to właściwie jest?

Spojrzałam na dziewczynę. Jak zwykle miała na sobie zbyt mało, jak na tak chłodną pogodę, i otaczało ją poczucie zagubienia, którego nie byłam w stanie zignorować.

– Co tu robisz o tej porze? – spytałam. Wzruszyła ramionami.

– Obudziła mnie mama, wracając z nocnej zmiany. Nie mogłam usnąć ponownie. A mama zaraz wyleciała,

jak błyskawica. – Kopnęła niewielki kamyk. – Nie miałam ochoty siedzieć w domu bez nikogo, z kim mogłabym pogadać.

– Twoja mama nie będzie się zastanawiać, gdzie jesteś?

– Nie.

Westchnęłam. Wolałabym nie mieć towarzystwa gadatliwej nastolatki, jednak ciężko jej było odmówić.

– Wsiadaj. I niczego nie dotykaj, szczególnie klamki. Ona ciągle... o właśnie! Co powiedziałam?

– Przepraszam.

– I zapnij pas. Najmniej potrzebuję uwagi jakiegoś wścibskiego policjanta.

Miasteczko Pasbury niczym się nie wyróżnia, lecz ma sklepy i oferuje usługi. Sam targ jest, prawdę mówiąc, całkiem nudny. Mieszanina zdrowej żywności, antyków podejrzanego pochodzenia, karmy dla zwierzaków, mocno szkliwionej porcelany i odzieży, z której usunięto metki. Zabezpieczyłam tam sobie przestrzeń skromną, lecz położoną u wylotu głównej ulicy, gdzie będzie przechodzić większość klientów zmierzających na parking i przystanek autobusowy. Tegan bardzo mi się przydała, pomagając rozstawić stragan. Najwyraźniej nie spieszo jej było mnie opuścić. Okazała zainteresowanie moimi produktami. I to takie, że szybko zmęczyło mnie wyjaśnianie jej wszystkiego. Dałam jej garść monet.

– Idź i kup nam coś ciepłego do picia – poleciłam. Zaledwie odeszła, młoda kobieta zatrzymała przy straganie wózek dziecięcy i pochyliła się naprzód, by z rozdraż-

nieniem obejrzeć olejki. Emanowało z niej takie pobudzenie, taki gniew, że zrobiłam krok w tył. Zauważyłam purpurowe przebarwienie w miejscu, gdzie kość policzkowa stykała się z włosami. Dostrzegła, na co patrzę, i przekreśliła głowę tak, by włosy opadły na przód. Wiedziała, że zauważyłam siniaka. Jej dziecko miało zaczerwienione oczy, lecz spało w wózeczku.

– Na co to jest? – zapytała dziewczyna, dźgając palcem torebki z liściem rozmarynu.

– Pomaga na reumatyzm. Łagodzi bóle menstruacyjne. Z liści robi się herbatę.

– Herbatę? Obrzydliwie pachnie. A jak się używa tego? – To jest maść aloesowa. Balsam na oparzenia, ukąszenia, tego typu rzeczy.

Gwałtownie odstawiała słoiczek na stół. Współczułam temu biednemu stworzeniu. Była tak młoda i wyraźnie tak bardzo nieszczęśliwa. Wskazałam buteleczkę olejku z bergamotki.

– To świetne na poprawę nastroju.

– Ha! Na co dzień wolę rum z colą.

– A to pomaga się pozbyć negatywnej energii.

– A ma pani coś, by się pozbyć oszukujących cholernych mężów?

Teraz zrozumiałam. Z pudełka stojącego po mojej stronie stołu wyjęłam niewielką błękitną buteleczkę ze szkła. Na etykiecie był jedynie obrazek przedstawiający półksiężyc.

– Może spróbujesz kilku kropli tego – wręczyłam bu-

teleczkę kobiecie, ona zaś przyjrzała się jej podejrzliwie.

– Dzięki temu człowiek staje się bardziej... *uprzejmy* – wyjaśniłam.

Roześmiała się, a potem spojrzała mi w oczy.

– Ile za to?

– Sprawdź najpierw, czy podziała. Jeśli wyniki będą zadowalające, zapłacisz za następną.

Pierwszy dzień mojego handlu w Pasbury ciągnął się powoli, lecz stwierdziłam pewne zainteresowanie. Odkryłam, że często ludzie niezaznajomieni z moimi produktami muszą zebrać się na odwagę, by je kupić. Nieważne. Czasu mam akurat w nadmiarze. Tegan została ze mną przez cały poranek i niechętnie zgodziła się wrócić do domu autobusem dopiero wówczas, gdy zaczęłam nalegać. Nie chciałam wywołać dezaprobaty jej matki, a miałam świadomość, że dziewczyna nie poprosiła o pozwolenie na opuszczenie wioski. Zapłaciłam za ciasto, które zjadła na lunch, i dałam jej pieniądze na bilet do Matravers. Oznajmiła, że z przyjemnością będzie mi towarzyszyć co sobota. Zobaczymy.

24 LUTEGO 2007 – PIERWSZA KWADRA

Dziś rano dostarczono zamówione przeze mnie sadzonki ostrokrzewu, a ziemia wreszcie jest wystarczająco miękka, by cokolwiek zrobić. Spędziłam owocną godzinę, sadząc krzaczki w oczyszczonych wcześniej przerwach, i jestem zadowolona z efektów. Już dawno pogodziłam się z tym, że ogród mogę planować jedynie na krótki lub średniodługi okres, gdyż wiem, iż nie będę mogła nigdzie pozostać na dłużej. Mimo to te powoli rosnące agresywne krzewy ostrokrzewu już za parę miesięcy dobrze splotą się z resztą żywopłotu. A ja mam satysfakcję, że przetrwają jeszcze długo po moim wyjeździe. Ostrokrzew jest jedną z roślin zapewniających ogrodowi największą ochronę i nie mogę się jej pozbawić. Choć sam w sobie nie zapewnia wystarczającego bezpieczeństwa, jest potężnym elementem mojego magicznego arsenału. Później rozpakowałam swój zapas torebeczek z ziołami i rozwiesiłam zioła o słodkim zapachu od wewnętrznej strony drzwi i okien chaty.

26 LUTEGO – PIERWSZA KWADRA

Dni stały się niezwykle przyjemne jak na tę porę roku, dzięki czemu cebulki rozpoczęły gorączkową aktywność, której mogą żałować, kiedy powrócą mrozy. Wykorzystałam tę okazję i przekopałam kuchenny ogródek. Równomierny znój, niezbędny, by zmienić dużą połąć łaciatego trawnika w grządki, poprawił mi nastrój. Choć jestem niewiarygodnie wprost stara, ciągle cieszę się młodzieńczym zdrowiem i krzepą. Po porannym wysiłku rozebrałam się do koszulki bez rękawów, spódnicę zaś miałam ubrudzoną błotem. Ziemia tu jest dobra, ilasta, i łatwo odprowadza nadmiar wody, lecz jednocześnie się nie przesusza. Muszę zwalczać pragnienie, by posadzić rośliny zbyt wcześnie. To jeszcze nie jest prawdziwa wiosna. Zaskakujące, że mój długi marsz po tej planecie przez wiele dziesięcioleci w najmniejszym stopniu nie nauczył mnie cierpliwości. Mama upominała mnie z powodu jej braku, a ja nadal zaczynam kręcić się i wiercić za każdym razem, gdy jestem zmuszona czekać dłużej, niż uważam za konieczne.

Kiedy oparłam się na widłach, zjawiała się Tegan. Jej nagłe nadejście mnie zaskoczyło, ale znacznie bardziej zażenowana byłam tym, że jej nie usłyszałam. Zauważyłam, że porzuciła swe głupkowate pantofelki i teraz miała na sobie buty sportowe.

Zobaczyła, że podskoczyłam.

– Przepraszam. Dzwoniłam do drzwi, a potem usłyszałam, że pani kopie. Och, sama to pani zrobiła? Z pewnością jest pani wykończona.

Wbrew sobie uśmiechnęłam się.

– Odrobina ciężkiej pracy od czasu do czasu sprawia mi radość – odparłam. – Lubisz pracować w ogrodzie?

Wzruszyła ramionami.

– Właściwie nigdy tego nie robiłam. Chyba że wliczyć w to uprawę rzeżuchy na parapecie w kuchni.

– Sądzę, że to jakiś początek.

Dziewczyna ponownie wydawała się na coś czekać. Z pewnością musiała być zupełnie pozbawiona przyjaciół, skoro w piękne popołudnie szuka towarzystwa obcej osoby, podczas gdy inne nastolatki z pewnością zbierają się w hałaśliwą gromadę. Podałam jej widły. – Proszę, spróbuj.

Uśmiechnęła się szeroko, a potem wzięła je ode mnie. Dziabnęła ziemię bez widocznego rezultatu, a na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie, że osiągnęła tak niewiele. Spróbowała ponownie.

– Oprzyj się na widłach całym ciężarem ciała. Spójrz, tak się to robi. – Pochyliłam się naprzód i zmieniłam ułożenie jej dłoni, pokazując, w jaki sposób należy wykorzystać własne ciało, by wepchnąć zęby w ziemię. Zachichotała ponownie tym nieposkromienie radosnym śmiechem i zrobiła tak, jak powiedziałam. Było jasne, że szybko się uczy, i wkrótce złapała rytm, powoli, lecz równomiernie przemierzając murawę.

– Tak trzymaj – powiedziałam i weszłam do domu. Z okna przyglądałam się jej pracy. Szybko się zmęczyła, jednak nie przerwała. Nappełniłam dwie szklanki gorącą herbatą owocową, a potem podeszłam do drzwi.

– Wejdiesz na coś ciepłego?

Nie musiałam powtarzać zaproszenia. Poszła za mną do kuchni i wzięła herbatę, nieufnie wachając opary.

– Co to jest?

– Herbata owocowa. Dzika róża i pomarańcza. Pij, póki gorąca.

Upiła łyżeczek, uśmiechnęła się i wypić kolejny.

– Ej, to jest ekstra. Powiem mamie, żeby taką kupiła.

– Któregoś dnia pokażę ci, jak się ją robi – obiecałam, zaskakując samą siebie brawurą takiej obietnicy.

– Sama ją pani zrobiła? Och, super.

Dziewczyna zaczęła wędrować po pomieszczeniu, bawczo przyglądając się butelkom i słojom.

– To te rzeczy sprzedaje pani na straganie. Nie pomyślałam, że naprawdę robi to pani sama. Zrobiła pani to wszystko?

I tak zaczęłyśmy rozmawiać o olejkach i kadzidełkach, i poduszkach ziołowych, i torebeczkach, które wyrabiam. Wyjaśniłam, jak sprzedaję je na targach lub sklepom. Wyglądała na zafascynowaną, przesuwając palcami wzdłuż fiolek z błękitnego szkła, zatrzymując się, by powąchać koszyk schnącej lawendy.

– Są świetne – stwierdziła. – Co zamierza pani posadzić na zewnątrz?

– Trochę ziół, z pewnością, i kwiaty na olejki, i oczywiście warzywa.

Uderzyła ją jakaś myśl.

– Nie wiem, jak się do pani zwracać. Nadal nie podała mi pani swojego imienia.

– Elizabeth. Możesz mówić do mnie Elizabeth. – Upiłam ryk własnej herbaty, a potem spytałam:

– Tegan to niezwykle imię. Pochodzi może z Kornwalii?

– Walii. Mama jeździła tam na wakacje będąc dzieckiem, to wszystko. Kolejny z jej kaprysów. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że to jedyna rzecz, która jej się we mnie podoba.

Odwzajemniła moje spojrzenie. Ciszę wypełniła tęsknota i ból tak silne, że zapragnęłam wziąć ją w ramiona tak, jak robiła moja mama. Zamiast tego odwróciłam się jednak, by opłukać szklankę w zlewie.

Tegan zauważyła mój dziennik na kuchennym stole.

– Och, tu są pani... przepisy i cała reszta? – ruszyła, by go podnieść.

– Odłóż to – nakazałam znacznie ostrzej, niż zamierałam. Zraniony wyraz jej twarzy sprawił mi ból i nagle stwierdziłam, że chciałabym, by sobie poszła. Nie byłam przyzwyczajona do gości w domu.

– Jeżeli skończyłaś herbatę, powinnaś biec do domu. Choć sama nie masz obowiązków, nie możesz zakładać, że nie ma ich nikt inny – powiedziałam, odwracając się, by dołożyć do pieca, unikając w ten sposób widoku jej

przynębionego wyrazu twarzy. Kiedy wyszła, poczułam irytujący żal. Nawet teraz nie jestem pewna, czy chodziło o to, że wpuściłam ją do domu, czy też o to, że ją ode-
słałam.

Tego wieczoru kilka godzin spędziłam przygotowując nową partię olejków. Zrobiłam mniej więcej tuzin butele-
czek lawendowego i tyle samo miętowego. To lekka i przyjemna praca zwykle pochłaniająca całą moją uwagę, dzięki czemu mój umysł nie zajmuje się sprawami, na które nie mogę nic poradzić. Tego dnia jednak moje myśli błądziły. Myślałam o Tegan. T o Margaret. Nie potrafię myśleć o jednej, nie przypominając sobie przy tym dru-
giej. I choć bardzo się staram przywoływać jedynie ra-
dosne obrazy mojej ukochanej siostrzyczki, nie potrafię jej sobie wyobrazić bez śmiertelnie bladej skóry.

10 LUTEGO 2007 – DRUGA KWADRA

Ładna pogoda utrzymuje się nadal. Pada niewielki deszcz, lecz nic poza tym. Tegan okazała się bardziej uparta, niż się spodziewałam, i pojawiła się następnego dnia, zupełnie jakby nie padły żadne ostre słowa. Stała się naprawdę częstym gościem. Nie mogę udawać, że próbowałam ją zniechęcić. Przyznaję, że wzrusza mnie jej świeżość i entuzjazm. Chłonie wiedzę niczym chleb zanurzony w sosie. Ma ogromny głód wiedzy i pomogła mi uporządkować splątaną masę jeżyn w odległym kącie ogrodu. Podarowałam jej parę starych butów i wyposażyłam w solidne rękawice. Biedna mała nie ma nic odpowiedniego.

Zapytałam, dlaczego nie spędza czasu z nowymi przyjaciółmi ze szkoły, a ona wyjaśniła, że żadne z nich nie mieszka we wsi, a autobus jeździ nieregularnie i dużo kosztuje. Odważyłam się spytać, czy jej mama może mieć coś przeciwko temu, że tak dużo czasu spędza poza domem – przecież na pewno ma jakąś pracę domową? Jej matka jest najwyraźniej opiekunką w jakimś domu w Pasbury. Pracuje wiele godzin i na różne zmiany. Cieszy się, że dziewczyna ma zajęcie. Nie było wzmianki o ojcu ani rodzeństwie.

Przyznaję, że w Wierzbowej Zagrodzie pozwalałam sobie na rozluźnienie. Od tamtego poczucia zagrożenia w dniu spotkania z wielebny Williamsonem nie mia-

łam żadnych negatywnych przeczuć ani chwil popłochu. Czy to możliwe, że wreszcie znalazłam bezpieczną przystań? Czy udało mi się wreszcie wydostać spoza zasięgu tych nieustannie wyciągniętych szponów? Ta myśl jest upojna i niechętnie niszczy ją przezornością i uwagą. Po skończonej pracy zaprosiłam Tegan, by towarzyszyła mi podczas ustawiania świecy i układania z kamieni niewielkiego kręgu na właśnie oczyszczonym miejscu. Wyjaśniłam, że moim zdaniem będzie to doskonałe miejsce na święty krąg. Tylko niebiosy wiedzą, jak to dziecko zrozumiało moje stwierdzenie, ale z radością zajęła się układaniem kamieni i pomogła wybrać świecę. Podczas pełni księżyca zapalę olejek szałwiowy i poproszę o dalszą ochronę.

2 MARCA – KSIĘŻYC WCHODZI W ZNAK PANNY

Gęsty deszcz przyniesiony lodowatym wiatrem sprawił, że prace ogrodowe stały się nieprzyjemne. A mimo to nie przerwałam ich dzięki staremu sztormiakowi i kaloszom. Tego popołudnia Tegan przyszła do mnie prosto z przystanku szkolnego autobusu. Już po pierwszym spojrzeniu zorientowałam się, że jej twarz zaczerwieniona jest nie tylko od pogody. Gdy stanęła obok mnie przy syczących resztkach ogniska, jej oczy miały czerwone obwódki. Patrzyła w dym smutnym wzrokiem, lecz nie wyznała, co było przyczyną takiego stanu.

– Miałaś ciężki dzień? – spytałam, nie chcąc się wtrącać, tylko pokazać jej, że może porozmawiać o kłopotach.

Jedynie wzruszyła ramionami.

– Paskudnie dziś zimno – rzuciłam. – Powinnaś mieć coś na głowie. Żeby zapewnić ciepło temu wiecznie pracującemu mózgowi.

Dwie łzy ześlizgnęły się po jej policzkach i spadły z podbródka. Nie próbowała ich powstrzymać. Niespodziewanie zaczęła wyglądać tak dziecinnie, zupełnie nie jak młoda kobieta, lecz jedynie smutna dziewczynka, która nie chce się dzielić swoim bólem.

– Poczekaj tu – poprosiłam. Wślizgnęłam się do domu i podeszłam do zapasów ukrytych w kredensie. Wybrałam niewielką niebieską buteleczkę olejku z bergamotki

i wróciłam do ogniska, które zdążyło już wygasnąć. Tegan prawie nie zauważyła mojej nieobecności.

– Proszę, weź to. Nalej kilka kropli na poduszkę, a jutro przed pójściem do szkoły jedną na serce.

Wzięła oferowaną fiołkę, przyjrzała jej się bacznie ze zmarszczonymi brwiami, a potem podniosła wzrok na mnie. W końcu uśmiechnęła się szeroko.

– Dzięki. Dziękuję pani – powiedziała.' – Czy to...? Nie pozwoliłam jej dokończyć.

– Uciekaj – nakazałam. – Jest zbyt ponuro, by stać beczynną. Mam sporo pracy.

4 MARCA 2007 – TRZECIA KWADRA

Mogę winić tylko siebie, co jeszcze pogarsza mi nastrój. Jak mogłam być tak głupia? Co sobie wyobrażałam? Słyszę własne próby usprawiedliwienia moich działań. To tylko reakcja osoby zdolnej nieść pomoc w cierpieniu, ale to nie zmienia rezultatów. Tego popołudnia Tegan dosłownie wpadła do mojego ogrodu z rozjaśnionym wzrokiem, otoczona aurą radości i zdumienia. Wyrosła tuż przede mną, tak żywołowo machając mi przed nosem błękitną buteleczką, że musiałam kazać jej przestać.

– Ale zadziałało! – zawołała. – Naprawdę zadziałało. Jest pani cholernie fantastyczna. Jak pani to zrobiła? Proszę mi powiedzieć, co w tym było? Co jeszcze pani potrafi? Wiedziałam, od samego początku, po prostu wiedziałam, że jest pani wyjątkowa. Było coś... Potrafi pani rzucać również zaklęcia miłosne? Umie pani nakłaniać ludzi do zakochania nawet wówczas, gdy tego nie chcą?

Prawie nie słyszałam dalszego ciągu. Gadała jak nakrecona, ja zaś próbowałam zrozumieć, co takiego mogłam zrobić, by wywołać taką ekscytację. W końcu uniosłam dłonie i przerwałam jej ostro.

– Dość! Weź głęboki oddech i powiedz mi, powoli i wyraźnie, co się stało.

– Cóż, zrobiłam dokładnie to, co mi pani kazała... wyłałam trochę tego czegoś na poduszkę i kilka kropli na serce. Prawdę mówiąc, całkiem sporo. Wczoraj i dziś.

Pomyślałam, że to może jakiś eliksir miłosny, wie pani, coś, żeby Michael mnie zauważył.

– Co?!

– Najwyraźniej to było coś innego. Teraz to wiem. Coś znacznie lepszego! Skąd pani wiedziała? O tej idealnej Sarah Howard? Nie mówiłam pani, że ona się nade mną znęca. Nigdy się nie przyznałam, co zrobiła z moim płaszczem, ani co napisała na mojej szafce, ani o wielkiej martwej żabie w mojej torbie, prawda? Mogłam coś wspomnieć o tym, że dokucza mi na temat Michaela. Nie ona jedna to robi, ale ona jest najgorsza. Krowa. Inni ją naśladują. Ale koniec z tym! – zaczęła znowu wymachiwać buteleczką. Potrząsnęłam głową.

– Przykro mi, Tegan. Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz. Dałam ci olejek z bergamotki. Pomaga budować pewność siebie i ułatwia podejmowanie decyzji. To wszystko.

Zignorowała moje słowa.

– Mononukleozą zakaźną! Cud czy co? – niemal skakała w górę i w dół. – Nie będzie jej w szkole przez wiele tygodni, a nawet miesięcy. Może do końca tego semestru i połowę letniego. Nie ma pani pojęcia, jak bardzo się modliłam o coś takiego. Ale nigdy tak naprawdę nie sądziłam... aż wreszcie się stało. Odpowiedź na modlitwy. – Obdarzyła mnie spojrzeniem tak pełnym uwielbienia i miłości, że podobnym nie obdarzył mnie nikt od wielu dziesięcioleci. W ustach miałam dziwnie sucho, lecz mimo to się odezwałam. Trzeba to będzie od-

kręcić.

– Tegan, co twoim zdaniem ci dałam?

– Dokładnie nie wiem, po prostu coś, żeby pozbyć się Sarah Howard – wzruszyła ramionami.

– Magiczną miksturę.

– Cóż, tak.

– A dlaczego sądziłaś, że dałabym ci coś takiego? – patrzyłam, jak szuka odpowiedzi wokół własnych stóp. – Tegan? – nalegałam.

– To zabrzmiało głupio, ale, cóż, dlatego że jest pani czarownicą, prawda?

Z pewnością nie miała pojęcia, jak podziały na mnie jej słowa. Cieszyłam się, że przez chwilę nie jest w stanie patrzeć mi w oczy, gdyż znalazłaby tam strach. Jak to się stało, że ona zobaczyła tak wiele, choć ja sama widziałam tak mało? Niebezpiecznie nie doceniłam tej dziewczyny. Deszcz ponownie się nasilił, a my dwie stałyśmy w odległości kilku stóp i kilkuset lat od siebie. Naładowaną emocjami ciszę zakłócały jedynie krople deszczu. Tegan powoli uniosła głowę i na jej twarzy dostrzegłam podziw. Taki jego rodzaj można znaleźć jedynie u osób wystarczająco młodych, by ich umysły otwarte były niczym ocean, a serca pragnęły zyskać dowody na istnienie magii. Gdybyż tylko wiedziała, jaki dowód ma przed sobą.

– Wejdz do środka – zaproponowałam i wspólnie ruszyłyśmy do kuchni. Poprosiłam, by usiadła przy stole, a sama przeniosłam z pieca zupę z pasternaku. Nalałam jej do kubka, a dziewczyna wzięła go w dłonie, nie od-

rywając ode mnie wzroku.

– Sprawdź, czy nie ma uduka ropuchy – ostrzegłam.

Na moment otworzyła oczy szerzej, a potem się roześmiała, aż całe napięcie panujące w pomieszczeniu zniknęło wraz z parą unoszącą się z kubka.

– Co wiesz o czarownicach? – zapytałam.

– Och, zwykłe rzeczy. Robią mikstury z ziół. Rzucają upiorne klątwy. Takie tam. Wiem, że dziś jest mnóstwo osób, które nazywają się czarownicami. To szaleństwo New Age, prawda? Ale założę się, że takich jak pani jest niewiele. Niewiele takich, które tak naprawdę potrafią coś zrobić.

Podmuchała na gorącą zupę.

Otworzyłam drzwiczki pieca i wepchnęłam kolejny kawałek drewna. Miękkie gałązki, które obciąłyśmy w ubiegłym tygodniu, były wilgotne i zbyt świeże, dlatego strzelały na wszystkie strony, lecz zapewniały pewną ilość ciepła. Przysunęłam krzesło bliżej i gestem poleciłam Tegan zrobić to samo, a jednocześnie poprzekładałam sobie poduszki za plecami, by było mi wygodniej.

– O której mama się ciebie spodziewa?

– Nie spodziewa się. Chciałam powiedzieć, chodzi na nocki. Wróci dopiero rano.

Nie po raz pierwszy uderzył mnie samotny charakter życia dziewczyny. Wydawało się to okrutne. Nie celowe zaniedbanie, ale tym niemniej okrutne. Na chwilę zamknęłam oczy i usiłowałam uspokoić rozszalały umysł. Były tylko dwie opcje. Zaprzeczyć, wyśmiać, potraktować

to wszystko lekko, nie przyjąć żadnych argumentów i później odsunąć się od Tegan. To byłoby z pewnością bardziej rozsądne, jednak smuciło mnie, gdyż musiałabym się oprzeć na kłamstwach i półprawdach. Drugiej drogi nie mogłam jednak obrać pochopnie. To podróż, która wymaga rozwagi, czasu i namysłu, gdyż nie ma z niej powrotu. Gdzieś w głębi serca poczułam iskrę ekscytacji, błysk nadziei. Czyż to możliwe, że po tak długim czasie będę mogła się z kimś podzielić moją tajemnicą? Że nie będę zmuszona ukrywać prawdy? Ta niewinna dziewczyna przejrzała moje zapory, czego nikt przed nią nie dokonał, więc teraz czułam przemożne pragnienie, by dać się jej poznać, by mogła mnie zrozumieć. Oraz by ponownie odwiedzić zdarzenia, które mnie tu przywiodły. Otwarłam oczy.

– Jeżeli chcesz posłuchać – rzekłam – opowiem ci o czarownicach. Opowieść o magii, miłości i stracie. Opowieść o tym, że zwykła ignorancja rodzi strach, i o tym, jak wiele szkód może on wyrządzić. Posłuchasz?

– Jasne, fajnie! Jasne, że posłucham – Tegan energicznie skinęła głową.

Uniosłam dłoń.

– Naprawdę? Naprawdę jesteś w stanie siedzieć spokojnie i cicho i słuchać?

Skinęła raz jeszcze, tym razem powoli i z rozwagą. Westchnęłam, długi wydech, początek.

– Dobrze zatem – rzekłam – opowiem ci, jak to jest być czarownicą.

BATCHCOMBE, WESSEX, 1627

1

Tego roku plony były dobre. Deszczna początku sezonu przeszedł w suche lato ogrzewane życiodajnym słońcem, a ostatni pokos traw z głównej łąki był najlepszy ze wszystkich, jakie Bess kiedykolwiek widziała. Podciągnęła rękawy koszuli. Kiedy się pochyliła, ciemne kosmyki włosów wysuwające się spod czepka zwinęły się na zgięciu jej ciepłej szyi. Zbierała naręczą siana, brązowe spódnice zaś zamiatały skoszoną trawę, chwytając zbłąkane łodyżki. Z przodu ojciec, John, machał widłami szybkimi, dobrze przećwiczonymi ruchami. Wpychał je głęboko i dopiero wtedy podrzucał siano wysoko na stóg, pozornie bez wysiłku. Na szczycie stał szesnastoletni Thomas, o cały rok starszy od Bess i wyższy od niej o głowę, który sprawnie formował siano w kształt pozwalający uchronić je przed wpływem pogody i przetrwać jesienne wiatry. Dzielił kolory i kościstą posturę z siostrą, które to cechy oboje dziedziczyli po matce, Anne, podobnie jak powagę, noszoną na ramionach niby peleryna, lecz jego praktyczne podejście do świata, jego wyważona postawa, pochodziły od ojca.

Bess przerwała na chwilę, rozcierając krzyż i prostując się, by rozciągnąć zmęczone mięśnie. Sianokosy sprawiały jej radość: lubiła świadomość, że oto kolejny cykl sadzenia i dojrzewania dobiegi końca, że zbiory się udały, że jest pasza dla bydła, a tym samym żywność dla całej rodziny

na nadchodzącą zimę. Jednakże radość nie przeszkadzała ciału skarżyć się na ciężką pracę. Upał był nieznośny. Jej mokra od potu skóra pokryta była pyłem i swędziała, drażniona tysiącem nasion trawy. Gardło i nos miała nieprzyjemnie suche. Osłoniła oczy dłonią, by przez zmrużone powieki popatrzeć na dwie postacie, które zbliżały się do żywopłotu osłaniającego pole przed wiatrem. Jedna z nich, wysoka i szczupła jak ona sama, kroczyła z poczuciem celu i rozwagą, druga natomiast była maleńkim kłębkim energii, ciemnym i zwinnym, który skakał nad ziemią, zupełnie jakby była ona zbyt gorąca dla jego drobnych stóp. Bess się uśmiechnęła. Taki uśmiech zdolna była wywołać jedynie jej siostra. Dziecko stanowiło źródło nieustannej radości dla całej rodziny. Działo się tak częściowo dzięki jej pogodnemu usposobieniu, urodzie i zaraźliwemu śmiechowi, któremu nikt nie potrafił się oprzeć. Inną przyczyną były bolesne lata przed jej narodzeniem. Bess i Thomas urodzili się szybko i bez trudu, lecz ich młodsze rodzeństwo nie miało tyle szczęścia. Anne dwukrotnie poroniła, a pozostała dwójka, która dożyła porodu, zmarła na jej rękach. Jeszcze jedno, chłopiec o różowych policzkach, co Bess pamiętała, dożył dwóch lat i dopiero wówczas zabrała go odra. Do narodzin Margaret reszta rodziny była przerażona wizją kolejnej straty i żałoby, ale wkrótce przekonali się, że to dziecko chwyta życie obiema maleńkimi rączkami i w pełni przeżywa każdy dzień, niezależnie od tego, jak wiele czy niewiele ich jest.

– Idą – oznajmiła Bess mężczyznom.

Nie musiała tego powtarzać, gdyż odłożyli widły, więcej niż gotowi na obiad po długim porannym znoju.

Margaret z piskiem podbiegła przywitać się z siostrą, wskakując jej w ramiona. Bess zaczęła z nią wirować, aż w końcu obie upadły na usłaną sianem ziemię z zawrotami głowy i śmiechem.

– Bess! – głos matki udawał surowość. – Uważaj.

– Tak – ojciec stwardniałymi dłońmi otrzepał koszulę. Klacz nie będzie chciała paszy, jeśli wyciśniecie z niej cały smak. – Jego próba zwrócenia im uwagi była jeszcze mniej udana.

Cała rodzina ruszyła w stronę pobliskiego dębu i rozsiadła się w jego przyjaznym cieniu. Anne ustawiła koszyk na ziemi i zaczęła wyjmować posiłek, który przyniosła pracującym.

– Bess, popatrz, upiekłyśmy ciasteczka owsiane. – Margaret podsunęła siostrze pod nos płócienne zawiniątko, odwijając przy tym rogi, by pokazać przysmaki.

Bess wciągnęła powietrze, delektując się aromatem ciepłych ciastek.

– Mmmmm! Pachną dobrze.

– Dobrze? – roześmiał się John, gdy Anne podała mu kamionkowy słój cydru. – Bess, to ty nie umiesz rozpoznać najlepszych owsianych ciasteczek w Batchcombe nawet wtedy, gdy masz je pod samym nosem?

Margaret skakała z zachwytu, wykonując przy tym niezdarne gwiazdy. Bess patrzyła na wir spódniczek i haleczek toczący się po wyschłej niczym suchar ziemi.

Ciastka smakowały dniem, promieniami słońca i mnóstwem kochających dłoni. Pragnęła, by ta pora roku trwała wiecznie, leniwa pełnia lata, mocne słońce, długie jasne dni, beztroska cieplej pogody i dostatku żywności.

– Dlaczego lato nie może trwać wiecznie? – rzuciła w przestrzeń.

– To bez sensu – odezwał się Thomas z ustami pełnymi sera. – Gdyby ciągle było lato, nie byłoby deszczu, nie byłoby czasu sadzenia, ziemia nic leżałaby odłogiem, nie byłoby odpoczynku, zbierania sił. Rolnicy mieliby kłopot.

– Och, Thomas... – Bess leżała płasko, z rękami pod głową, i trzymając oczy zamknięte, obserwowała, jak słoneczny blask tańczy na jej zamkniętych powiekach – czy ty zawsze musisz być taki rozsądny?

– Od nadmiaru rozsądku jeszcze nikt nie umarł – zauważył. Bess się roześmiała.

– Ale i nikt naprawdę nie wyżył na takiej diecie. – Wydaje mi się, że ty zamierzasz całe życie przeżyć jako dziecko, Bess – Thomas bardziej stwierdził fakt, niż chciał skrytykować siostrę.

Bess otworzyła oczy i patrzyła, jak Margaret tańczy na ściernisku.

– Z całą pewnością to lato naszego życia. Dlaczego miałabym chcieć je opuścić? Taka swoboda. Życie oferuje tyle możliwości. A potem dorastamy i stwierdzamy, że mamy ograniczony wybór, Wszystko zostało zaplanowane. Kim mamy być. Gdzie mamy cierpliwie czekać. W jaki

sposób mamy przeżyć własne życie.

Anne pokręciła głową.

– Większość ludzi byłaby wdzięczna, że ma miejsce, dom, pozycję. Że wie, kim jest.

– Ale nie nasza Bess – John przerwał, by powoli upić łyk cydru, a potem ciągnął: – Nasza Bess prędzej pójdzie tam, gdzie wiatr będzie chciał ją zabrać. – Roześmiał się. – Przygoda leży za tamtym pagórkiem albo za oceanem, nie w Batchcombe. Czyż nie tak, Bess?

– Czy to źle, że chcę czegoś innego? – Oczy jej roz-
błysły na samą myśl. – Coś zmienić? Wyjść poza to, co
ustalone?

– Uważaj, Bess – ostrzegła matka. – Są tacy, którzy
takie pomysły nazwą próżnością. Powiedzą, że grzechem
jest pragnąć być kimś innym, niż On dla ciebie wybrał.

Bess westchnęła, pragnąc, by choć raz matka pozwoliła
jej wypowiedzieć marzenia, nie wdeptując ich w twardy
grunt rzeczywistości.

– Patrz! – Margaret przestała tańczyć i podekscyto-
wana wskazała na odległy kraniec pastwiska. – William!
To William naszej Bess!

Policzki Bess nabiegły krwią.

– On z pewnością nie jest „Williamem Bess” – zao-
ponowała, wstając, by ukryć zażenowanie.

– Och, ależ jest – upierała się Margaret. – Wiesz, że się
w tobie kocha. Wszyscy to wiedzą. – Roześmiała się
z zadowoleniem.

Bess próbowała utrzymać srogą minę, lecz kąciki ust

wygiął jej uśmiech.

– Nikt nie wie nic takiego, Margaret. – Zerknęła w kierunku wskazanym wyciągniętym palcem siostry. Wąską ścieżką pomiędzy łąkami a lasem podążało dwóch jeźdźców. William, jak przystało młodemu człowiekowi o takim majątku i pochodzeniu, dosiadał pięknego zwierzęcia koloru jesiennej paproci. Drugi mężczyzna jechał na pospolitym koniu, silnym i zwyczajnym. Choć byli dość daleko, Bess wyraźnie rozróżniała młodzieńczą, lecz szczerą twarz Williama. Był synem sir Jamesa Goulda, miejscowego szlachcica i właściciela lasów Batchcombe, i często widziano go, jak zajmował się interesami ojca, pomagając mu zarządzać majątkiem i ziemią należącą do Batchcombe Hall, który był własnością jego rodziny więcej pokoleń, niż ktokolwiek pamiętał. Teraz uważnie słuchał swego towarzysza, od czasu do czasu kiwając głową, poważny jak zwykle. Spojrzenie Bess przeniosło się na starszego z mężczyzn. Wiedziała, kim jest. Jego ciemną odzież i niestosownie dumne obejście łatwo było rozpoznać. Był w wieku bliższym jej ojcu niż bratu, lecz nic tak zniszczony i pomarszczony, co było dziwne, jak na kogoś, kto prowadził proste, wiejskie życie. Gideon Masters. Wszyscy wiedzieli, kim jest Gideon, ale Bess wątpiła, czy ktokolwiek tak naprawdę wiedział, jaki jest. Rzadko przychodził do wsi, nie bywał w kościele i nie zaglądał do gospody na piwo, a kiedy był w towarzystwie, ciężko się z nim rozmawiało. Życie węglarza oznaczało, że w naturalny sposób spędzał większość czasu w swej le-

śnej chacie, ale Bess była przekonana, że sam zdecydował się na pustelniczy żywot, wybierając taki zawód właśnie ze względu na to, a nie pomimo tego. W każdym razie nic zdawał się odczuwać potrzeby posiadania żony ani rodziny. Teraz rozmawiał z właścicielem dzierzawionej przez siebie ziemi, nie patrząc na niego, jednak co chwilę wskazując to ten, to ów fragment lasu. Potem nagle odwrócił się i uśmiechnął do Williama. Nawet z tej odległości Bess dostrzegła moc tego uśmiechu i sposób, w jaki odmienił ostre rysy mężczyzny. Jak zwykle stwierdziła, że mężczyzna dziwnie ją fascynuje. Patrząc na niego, przypomniała sobie jak ona i Thomas, kiedy byli mali, leżeli w trawie na brzuchach, z rękami pod brodą, zafascynowani widokiem kota pożerającego żywą mysz. Bess pragnęła odwrócić wzrok, lecz nie była w stanie, czując przymus przyglądania się ostrym zębom kota, które zanurzały się w wyrywającym się ciele gryzonia. Podobnie było z Gideonem. Wolałaby nie widzieć go na jednym obrazku z łagodnym Williamem, a mimo to spośród dwóch jeźdźców to właśnie on przyciągał jej wzrok, a nie młodzian. W tym momencie Gideon, jakby wyczuwając, że ktoś go obserwuje, spojrzął wprost na Bess. Dziewczyna była pewna, nawet pomimo dzielącego ich szerokiego pastwiska, że spojrzął jej prosto w oczy. Szybko się odwróciła, skupiając się na chlebie. Zdała sobie sprawę, że spoczywa na niej inna para oczu. Matka przyglądała jej się uważnie.

– Tego człowieka lepiej zostawić w spokoju – Anne

powiedziała to tak, by słyszeli wszyscy, jednak nie odrywała wzroku od Bess.

– To samotnik – potwierdził John.

– Może jest samotny – ledwie Bess wypowiedziała te słowa, zaczęła ich żałować. Nie miała pojęcia, co ją podkusiło.

– On chce być sam – odparła jej mama. – To nie to samo. Popołudniowe prace szły dobrze, gdyż cała rodzina skupiła wysiłki, by skończyć zadanie. Mimo to, gdy zebrali narzędzia i ruszyli w kierunku domu, słońce chowało się już za drzewami. Wzdłuż ogrodzenia wędrowały za nimi długie cienie, a ciepły koniec dnia przechodził w wieczór. Bess szła, pozwalając uszom podążać za szczebioczącymi ziębami i oszukańczymi gawronami tak bardzo, że udało jej się wyróżnić odległe wzdychanie morza. Przy wietrznej pogodzie wyczuwała je zza otwartych drzwi chaty, lecz w takim bezruchu i upale docierał do niej jedynie szum nieszkodliwych letnich fal. Była zachwycona, że dom leżał tak blisko brzegu. Nie widzieli go ze swego niewielkiego gospodarstwa, ale od klifowego nabrzeża dzieliło ich zaledwie kilka minut drogi. Bess postanowiła, że następnego dnia rano zabierze Margaret na plażę, żeby poszukać sercówek i trąbików.

Zanim dotarli do chaty, Margaret wisiała ciężko u dłoni Bess i ziewała głośno. Budynek stał w niewielkim zagłębieniu terenu. Bielone kamienne ściany różowiały w poświacie zachodzącego słońca, słomiana strzecha zaś zachodziła nisko na okna, niczym dobrze dopasowany

kapelusz. Zza wrót drewnianej stodoły dobiegało donośne muczenie krów, niecierpliwie oczekujących dojenia. Thomas i John wzięli skopki, a kobiety weszły do środka.

Niewielki dom był parterowy. Z sieni wchodziło się do głównej izby, druga, mniejsza, służyła całej rodzinie za sypialnię oraz mleczarnię. Tam utrzymywano niską temperaturę dzięki ciężkim kamiennym płytom, na których kładziono zawinięte w cienką gazę masło. Drewniane półki dźwigały dojrzewające sery. Pod oknem stała maselnica, przy której Bess spędziła tak wiele godzin, pomagając matce wyprodukować połyskujące bloki, które w piątki sprzedawały na targu w Batchcombe wraz z tak popularnym serem blue vinny. Pod tym względem mleczarnia przypominała wszystkie inne w promieniu dwudziestu mil. Jedynie przeciwległa ściana i jej mocne półki odbiegały od normy. Z sufitu wisały tam mocno związane wiązki ziół. Pod nimi stały kosze cuchnących szmacianych pakunków. Zaś na półkach oczekiwały równe rzędy niewielkich glinianych garnków i kamionkowych słoików. W każdym z nich znajdowała się mikstura pomysłu Anne, która jako jedyna znała przepisy, w ostatnim czasie dzieląc się z Bess niektórymi z nich. Był tam olejek lawendowy do leczenia blizn i oparzeń, rozmaryn i mięta zwalczające kaszel i gorączkę, żywokost spajający złamane kości, herbatki z liści drzew owocowych na złagodzenie bólów porodowych, sproszkowany czosnek na oczyszczenie krwi oraz olejek różany, który przywraca

zmysły. Obok rozsiadły się pękate słoje miodu od hodowanych przez Johna pszczoł, czekając na leczenie uporczywych ran lub ratowanie życia niemowląt po chorobie. W tym ciemnym, cichym rogu niepozornego pomieszczenia mieszkały tajemnice leczenia oraz kuracji chorób od wielu pokoleń przekazywane z matki na córkę.

– Zostaw drzwi otwarte, Bess – poleciła matka. – Skorzystajmy ze słońca, dopóki się da. Później twój ojciec nie będzie nam żałował świec.

Bess i Margaret zajęły się nakrywaniem do stołu, podczas gdy matka rozpałała ogień pod polewką. Mieli szczęście, że mieszkali tak blisko lasu i że ich skromne gospodarstwo otaczały spore drzewa. Oznaczało to, że przy zachowaniu oszczędności nie zabraknie im opału i że obornik mogli zużywać do nawożenia pastwiska, zamiast zbierać go i suszyć, by palić nim podczas zimy. Margaret przyniosła cynowe miski. Bess zaś poszła po dzban do mleczarni. Zatrzymała się na chwilę, by wzrok mógł przywyknąć do mroku. Jakże kochała to miejsce. Podeszła do kręgów sera, wdychając ich orzechowy zapach, a na myśl o kremowej kwaskowości blue vinny, jedzonego z ciepłym chlebem, ślina nabiegła jej do ust. Przeszła w róg pomieszczenia i przesunęła palcem po słojach, powtarzając głośno nazwy ich zawartości, ucząc się na pamięć kolejności, w jakiej je ustawiono.

– Rozmaryn, tymianek, czosnek. Złocień, nie... żywokost. i znów żywokost, herbatka z liści maliny... – Wzięła słoje, wyjęła zatyczkę i powąchała jej zapach. Ach,

słodka dzika róża.

Posiadany przez matkę dar leczenia był dla Bess nieustannym źródłem fascynacji. Setki razy widziała, jak przygotowuje napary, nalewki i mikstury, lecz mimo to ciągle była tym urzeczona. Swą wiedzę matka otrzymała od swojej matki, której matka także zbierała zioła i inne rośliny i przygotowywała z nich lekarstwa i mikstury. Lecz Bess wciąż brakowało cierpliwości swej rodzicielki i pragnęła mieć więcej jej rozwagi, by pewnego dnia móc podjąć jej pracę. Wiedziała, że musi się wiele nauczyć, i czasem słyszała irytację w głosie matki, kiedy zapominała, która herbatka łagodzi bóle porodowe lub który olejek należy podać na grzybicę.

– Bess? – wołanie matki dobiegało od strony paleniska.
– Pospiesz się z tym cydrem.

Bess szybko zamknęła olejek i zrobiła, jak jej kazano.

Kolację jedli w zwykłej ciszy, przerywanej od czasu do czasu jedynie jakąś uwagą Margaret i strzelaniem płomieni. Jasne letnie wieczory były prawdziwym błogosławieństwem, ale wiązały się z wielogodzinną pracą w polu i żaden z członków rodziny nie miał ochoty na ożywioną rozmowę. Kiedy uprzątnięto stół, John usiadł z fajką przy resztkach płonących polan. Thomas wyszedł na zewnątrz, by sprawdzić, czy było ma wszystko, co potrzebne nocą. Anne zapaliła dwie świece i usiadła w swym ukochanym fotelu bujanym obok dziewcząt, które już wzięły z komody na pościel koronki i klocki do ich robienia. Bess nie lubiła tego nużącego zajęcia i re-

zultat jej prac nigdy jej w pełni nie zadowalał. Margaret z kolei miała wrodzony talent do tej pracy, a jej zwinne drobne palce przesuwaly klocki w jedna i druga strone, nie gubiac oczek i nie tworzac niedbalych rzędów. Przypominala Bess niewielkiego pajaczka, który plótl sieć, by złapać w nią poranną rosę. Siostra zorientowała się, że jest obiektem obserwacji, i szeroko uśmiechnęła się do Bess. Porozumiewaly się bez słów, niewielkim ruchem głowy, stłumionym śmiechem.

– No dalej, Bess – wyszeptała Margaret – *proszę!*

Bess uśmiechnęła się, lecz pokręciła głową, samymi tylko oczami przypominając siostrze o bliskości matki. Usiłowała skupić się na koronce. Przyćmione światło świec kazało jej mrużyć oczy, by dojrzeć cienką nić, a od tego wysiłku zaczynały ją boleć brwi. Zaczęło w niej wzbierać rozdrażnienie. Dlaczego mają niszczyć sobie wzrok i sprawdzać wytrzymałość nad tak męczącą pracą? Gdzie napisano, że ona, Bess, musi tak wiele godzin poświęcać na tak nieznośną pracę, po to jedynie, by dołożyć do rodzinnej sakiewki kilka monet? Myśl o jakiejś dobrze sytuowanej damie, która niewątpliwie spędzała czas na bardziej interesujących zajęciach, strojącej się w wyniki pracy Margaret, wywołało jeszcze większą złość Bess. Na chwilę straciła panowanie nad gniewem, który wkrótce wyrwał się na wolność, niewidoczna kula czystej energii. Świece na stole natychmiast zaczęły skwierczeć. A potem, karmiąc się tym nowo zdobytym paliwem, płomienie zaczęły rosnać coraz wyżej, stawały się coraz jaśniejsze.

Anne nabrała powietrza i zerwała się na równe nogi. Margaret pisnęła z zachwytu.

– Tak, Bess! – zawołała, klaszcząc w dłonie. – Och, tak!

Pomieszczenie wypełniło się światłem, zupełnie jakby zapalono setkę świec. Płomienie unosiły się nad stołem i zagrażały sufitowi. John zerwał się na równe nogi i właśnie zamierzał je zalać wodą, gdy świece gwałtownie zgasły. W ciemności Bess nie widziała twarzy matki, lecz była pewna, że słyszała, jak strzela ona palcami tuż przed zgaśnięciem świec. Powietrze było ciężkie od tłustego zapachu tłących się knotów. John wziął z paleniska ogień i zapalił świece ponownie. Anne miała surowy wyraz twarzy.

– Zajmijcie się pracą, dziewczęta – poleciła.

Nagłące pukanie do drzwi tak bardzo zaskoczyło Bess, że upuściła ściskaną w dłoniach koronkę. John wpuścił do środka około dwunastoletniego chłopca o czerwonej twarzy. Niemal wpadł do izby, dysząc ciężko.

– A, to dzieciak Billa Prossera – stwierdził John. – Wejdz, chłopcze. Jakież demony cię gonią?

– Nasza Sarah – wyrzucił z siebie przybyły – dziecko... – Zapłakane oczy zwrócił na Anne. – Psze pani. przyjdzie pani? Przyjdzie?

– Czy przy twojej siostrze nie ma Starej Mary?

– To ona kazała mi panią znaleźć, psze pani. Kazała mi powiedzieć, że potrzebuje pani pomocy.

Bess wstała. Zauważyła, że rodzice wymieniają zmar-

twione spojrzenia. Choć Anne asystowała przy tak wielu porodach i była znana ze swej troski i umiejętności, wszystkiego, co wiedziała, nauczyła ją Stara Mary, niewątpliwie najlepsza akuszerka w całym Batchcombe. Jeżeli potrzebowała pomocy, musiało się dziać coś naprawdę złego.

Anne pospieszyła do mleczarni i wyszła z torbą. Wzięła swój wełniany szal, a drugi wręczyła Bess.

– Chodź ze mną – poleciła, jednocześnie dosłownie wypychając chłopca za drzwi i kierując go na ścieżkę. – Bess, pospiesz się! – zawołała.

Bess otrząsnęła się ze zdziwienia i pobięła za nimi.

Dom Prosserów, obłożony drewnem, stał na końcu głównej ulicy. Bill Prosser był kupcem i, przeciwnie do Johna, właścicielem swego domostwa. Nic było ono wspaniałe ani wystawne, lecz mimo to widać było nakłady poniesione na jego budowę i jakość, które mówiły, że właściciel jest człowiekiem zamożnym. Zaiste, Batchcombe w ostatnim czasie mogło się pochwalić kilkoma takimi ludźmi – kupcami, którzy w zmieniających się czasach dostrzegli możliwość zgromadzenia majątku i poprawy swego losu. Wielu z nich, w tym Prosser, odniosło podwójny sukces, gdyż udało im się zdobyć nie tylko pieniądze, ale także reputację. W nowym porządku nie byli oni jedynie kupcami, niewiele lepszymi od jarmarcznych sprzedawców, którzy po prostu rozprowadzali towary na szerszą skalę, teraz postrzegano ich jako ludzi posiadających smykałkę do interesów i inteligencję. Lu-

dzi, którzy staną się ważnymi graczami we współczesnym świecie opuszczającym ciemne wieki. Pani Prosser uważała, swój dobry los zawdzięcza jedynie sobie samej, gdyż wybrałszy męża ze względu na jego zalety i trzeźwość umysłu, sama była dla niego dobrą żoną, urodziła mu trzech synów i trzy córki (przy czym wszystkim dzieciom udało się przeżyć), i za to wszystko nagrodzono ją bezpieczeństwem finansowym i pozycją społeczną, o której nawet nie marzyła. Była dumna, że umeblowała dom najlepszymi i najmodniejszymi sprzętami, przestrzegając przy tym pobożnej skromności. Trudno było tego dokonać, szczególnie kiedy zamówione przez męża towary przybywały z odległych krain – najznakomitsze hafty, najcieńsze płótna, najpiękniejsze szkła z Wenecji i srebra z Hiszpanii. Efekty były zachwycające, choć skromność jednak trochę na tym ucierpiała. Bill Prosser był dumny z własnych osiągnięć i zadowolony, że żona mebluje dom w sposób dowodzący jego pomyślności. Jeszcze większym szczęściem napawały go korzystne małżeństwa córek. Zarówno on sam, jak i pani Prosser wiedzieli, że jeszcze kilka lat wcześniej zięciowie o takiej pozycji byłiby nieosiągalni dla ich córek. Pamięć społeczeństwa można jednak skrócić bogactwem. A jednak choroba i nieszczęścia nie znały granic społecznych. Podobnie jak niebezpieczne chwile porodu.

W sypialni młodej Sarah Bess przywitała scena pełna paniki i bólu. Dziewczyna wyszła za mąż przed niespełna rokiem i teraz wróciła do domu ojca na czas porodu.

Mężczyźni siedzieli w kuchni z powagą na bladych twarzach, kobiety zaś towarzyszyły przerażonej dziewczynie. Wokół łóżka tłoczyły się jej matka, starsza siostra i co najmniej dwie ciotki. W tej chwili Sarah sama wyglądała na niemal dziecko. Jej wilgotne i potargane włosy rozsypały się na poduszce, skórę miała zaczerwienioną i błyszczącą, a ciało zniekształcone ogromnym brzuchem. Pomieszczenie oświetlały jedynie niewielka lampka i świeca, a powietrze było cuchnące i rozgrzane od letniego upału. Bess zasłoniła usta dłonią, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi. Anne szybko podeszła do okna i otworzyła je szeroko.

– Och! – krzyknęła matka Sarah. – Przy takim osłabieniu córka przeziębii się od nocnego powietrza.

– Pani córka zemdleje z jego braku, jeżeli będzie miała dzielić się zaduchem w tym pokoju z tak wieloma osobami.

Starsza kobieta próbowała dalej protestować, lecz Anne ją uciszyła.

– Pani Prosser, przyszedłam tu pomóc. Proszę mi na to pozwolić.

Pomimo wszelkich wysiłków Starej Mary poród dotychczas przyniósł wiele godzin bólu, wysiłku i krwi, lecz nie dał dziecka. Sarah leżała z szeroko otwartymi oczami, ściskając dłoń matki, a na jej pokrytej potem twarzy widać było mieszaninę wyczerpania i strachu. Siostra Sarah bezskutecznie ocierała ją wilgotnym gałgankiem.

Mary zaprowadziła Anne w róg i przemówiła do niej

przyciszonym głosem, który musiała od czasu do czasu podnosić podczas żalosnych krzyków dziewczyny.

– Niech cię Bóg błogosławi za tak szybkie przybycie, Anne. Nie idzie dobrze. Biedne dziecko jest całkiem wyczerpane, a nie widać śladu noworodka.

Anne skinęła głową, z uwagą słuchając słów starszej kobiety. Bess pomyślała, że sama Mary również wygląda na wyczerpaną. Co, jej zdaniem, matka mogła zrobić dla tej nieszczęsnej dziewczyny, czego nie mogła zrobić ona sama? Bess patrzyła, jak dwie kobiety naradzały się jeszcze przez chwilę, po czym Anne podeszła do łóżka i położyła dłonie na brzuchu Sarah.

– Cicho, dziecko, nie bój się.

– Och, pani Hawksmith! – Sarah chwyciła ją wilgotną dłonią. – Dziecko z pewnością umrze, a ja razem z nim!

– Nie, nie. Jest tak, jak mówi Mary. Twoje dziecko jest w złej pozycji, to wszystko. Musimy je przekonać, by się odwróciło i znalazło drogę na zewnątrz.

Zaledwie dokończyła zdanie, gdy ciało Sarah chwycił potężny skurcz. Dziewczyna wydała krzyk, który przeszedł w wycie, a potem w łamiące serce skomlenie. Anne ponownie umieściła dłonie na brzuchu rodzącej, delikatnie, lecz stanowczo próbując nakłonić dziecko do zmiany pozycji. Przez chwilę wydawało się, że może jej się udać, jednak kiedy dziecko wyglądało już na gotowe do wyjścia, ponownie odwróciło się w górę i w bok.

Annę nie ustępowała. Trzykrotnie niemal jej się udało i trzykrotnie dziecko wymykało się w ostatniej

chwili. Gdy Sarah dopadł kolejny bolesny skurcz, Anne się wyprostowała. Bess podziwiała sposób, w jaki jej ciało ogarniała jakaś niewidzialna siła. Siła, która powinna wspomagać narodziny dziecka, a nie jedynie najwyraźniej przyspieszać jego śmierć. Anne zwróciła się cicho do Mary.

– Próbowałaś odwrócić dziecko od środka?

– Tak – potwierdziła Mary skinieniem głowy – ale ona jest wąska. Nie ma miejsca na moje pokrzywione ręce.

Obie kobiety spojrzały na zgięte, pokrzywione artretyzmem palce jednej, a potem na proste, lecz szerokie dłonie drugiej. Anne odwróciła się do Bess.

– Pokaż mi ręce. – Co?

– Bess, szybko, pokaż.

Więc zrobiła, jak kazała matka, a Anne i Mary obejrzały dokładnie jej dłonie. Spojrzały na siebie, a potem ponownie na Bess. Anne podniosła dłonie córki do góry i ściskając je, przemówiła do niej:

– Bess, musisz uważnie mnie słuchać. Rób dokładnie to, co każę, ani więcej, ani mniej. Wykonuj ruchy uważnie, lecz stanowczo.

– Masz na myśli... ale nie mogę, mamó. Nie mogę!

– Musisz! Tylko tobie się to uda. Jeżeli tego nie zrobisz, zarówno matka, jak i dziecko umrą tej nocy. Słyszysz mnie?

Bess otworzyła usta, próbując dalej protestować, jednak nie udało jej się znaleźć słów. Pomagała odbierać cielęta ojcu, który także dostrzegł wartość jej niewielkich dłoni.

Uczestniczyła w porodach jagniąt. Była nawet obecna w izbie, w której rodziła się Margaret, choć pamiętała niewiele poza skupioną miną matki. Teraz dostrzegła ten sam zdecydowany wyraz jej twarzy i wiedziała, że nie da rady go zmienić. Zanim zdołała zebrać myśli, matka zażądała miski z gorącą wodą i kazała Bess umyć dłonie. Anne osuszyła je czystym płótnem, a potem natarła olejem lawendowym. Przez cały ten czas pani Prosser i towarzyszące jej kobiety przyglądały się owym nieznanym praktykom z pogardliwą nieufnością. Anne doprowadziła Bess do łóżka, a potem sama zajęła miejsce u boku Sarah, raz jeszcze umieszczając dłonie na jej brzuchu. Skinęła Bess głową.

Bess spojrzała na leżącą przed nią dziewczynę. Jej pierś unosiła się ciężko z wysiłku porodu i z bólu. Policzki zrobiły się niepokojąco blade. Uniosła wzrok na Bess, patrząc na nią błagalnie. Bess pochyliła się naprzód i powoli wsunęła prawą dłoń do środka, delikatnie badając ciasne wnętrze palcami.

– Bess, co czujesz? – zapytała Anne.

– Nie jestem pewna... nie głowę i nie kończyny. – Spojrzała na matkę ze zmarszczonymi brwiami, próbując wyobrazić sobie, w jaki sposób dziecko może być ułożone w macicy. – Wydaje mi się... tak, czuję plecy dziecka, atu, to obojczyk.

Stara Mary cicho zaklęła.

– Tego właśnie się obawiałam, dziecko leży w poprzek. Pani Prosser zaczęła płakać.

Anne wbiła wzrok w Bess.

– Wyczuź górną część obojczyka. Przesuń palce wzdłuż kości. Będę ci pomagać od zewnątrz, ale to ty musisz odwrócić dziecko tak, by jego główka znalazła się na dole.

– Nie ma miejsca. Nie mogę chwycić...

– Musisz!

Bess szukała opuszkami palców, odnajdując drogę do karku nienarodzonego dziecka, a potem do jego maleńkiego obojczyka. Pociągnęła, najpierw delikatnie, a potem mocniej.

– Nie rusza się.

Stara Mary podeszła bliżej, by wyszeptać słowa do ucha Anne, lecz były one słyszalne dla wszystkich.

– Anne, mam kleszcze...

– Nie! – Anne była nieugięta. – Nie, dopóki dziecko jest żywe. – Ponownie zwróciła się do Bess. – Próbuź dalej – poleciała.

Bess zrobiła, co jej kazano, lecz obawiała się, że jej wysiłki nie przyniosą efektu. Wyglądało na to, że śliskie ciałko utknęło w tej nieprawdopodobnej pozycji. Bess przyszedł do głowy przerażający widok. Niezwykle wyraźnie przypomniała sobie moment, kiedy ojcu nie udało się wydobyć szczególnie dużego cielęcia. Po wielogodzinnej walce podniósł ręce do góry i wysłał Bess do młeczarni po drut do sera. Za jego pomocą, powolnymi i rozważnymi ruchami, pociął cieleń na kawałki, by można było je wyjąć i ocalić krowę. Nikt nie był pewien, czy to stworzenie było martwe, zanim zaczął je dzielić. Bess

widziała teraz żalosne kończyny i kopyta leżące w krwawej masie obok matki. Sama krowa padła następnego dnia. Bess mrugnięciem przegoniła ten obraz z głowy. Musi zachować spokój. Musi pozostać nieugięta. W przeciwnym razie Sarah przypłaci to własnym życiem. Zdwoiła wysiłki, wyrzucając z głowy myśl, że może uszkodzić dziecko – musiało wyjść. W końcu zaczęła dostrzegać pewną zmianę pozycji. Anne również to zauważyła.

– Nie pozwól, by ci uciekło – nakazała.

Bess odważyła się przycisnąć bark do jednej strony i poczuła, jak główka przesuwana się na dół, w kierunku kanału rodowego. W tej chwili ciałem Sarah wstrząsnął potężny skurcz. Dziewczyna była teraz zbyt słaba, by krzyczeć, i wydała jedynie upiorne skomlenie.

Stara Mary postąpiła do przodu.

– Zaciśnij zęby, dziecko! Nie słabnij. Przyj!

Teraz krzyknęła. Ostatnim, gargantuicznym wysiłkiem, siłą zebraną w niepoznanym miejscu, które kryje się w każdej matce, Sarah krzyknęła i zaczęła przeć.

Bess wzięła głęboki oddech, gdy jej dłoń została wypchnięta wraz z dzieckiem. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że ledwie zdążyła chwycić dziecko, które wysliznęło się na nasiąknięte krwią płótno.

– Patrz! – zawołała. – Wyszedł! Chłopiec!

Anne zbadała dziecko, które głośno protestowało, ku ogromnej uldze wszystkich zebranych w izbie.

– Chwała niech będzie Panu! – wyszeptała pani Pros-

ser, podnosząc dłoń córki do ust.

Stara Mary uśmiechnęła się bezzębnym uśmiechem.

– Panu i młodej Bess – rzekła. – Z całą pewnością jest nieodrodną córką własnej matki.

Bess przyglądała się, jak dziecko zostaje owinięte w ciepłe powijaki i oddane matce. Sarah ucałowała czubek główki noworodka. Twarz jej się zmieniła. Chmurę śmierci zastąpiła ciepła radość życia. Podniosła wzrok na akuszerkę.

– Bess, dziękuję ci – powiedziała.

– Najlepszym podziękowaniem jest dla mnie to, że zarówno ty, jak i dziecko jesteście bezpieczne i w dobrej formie, Sarah.

– Nigdy nie zapomnę, co dla nas zrobiłaś – zapewniła Sarah, a potem zamknęła oczy.

Bess poczuła na ramieniu dłoń matki. – Chodź, Bess. Zostawmy ją, by odpoczęła.

– Bałam się, że może mi się nie udać – wyznała.

Matka się uśmiechnęła. Było to uśmiech, który na twarzy kogokolwiek innego można by uznać za wyraz dumy. Potrząsnęła głową.

– Dobrze ci poszło – powiedziała córce. – Dobrze ci poszło.

2

Tydzień później, na samym początku dnia, gdy świt wstał za ledwie na tyle, by oświetlać drogę. Bess wzięła koszyk i skierowała się w stronę lasów, by zebrać mchy i porosty potrzebne matce do produkcji leków. Światło wczesnego poranka nie rzucało cieni i łagodziło kształty drzew i kamieni, więc świat wydawał się bardziej miękki i ustepliwy. Gdy dotarła do granicy pastwiska, zawahała się. Kochała las, a mimo to zawsze miała wrażenie, że wchodząc w jego liściaste objęcia, wkraczała do innego królestwa. Tam wiele było ukryte i tajemnicze. W splątanych korzeniach i zielonym poszyciu czaiły się wszelkie możliwości. Drzewa tworzyły miejsce niepoznawalne i enigmatyczne, zamieszkiwane przez płochliwe i tajemne stworzenia. Było to miejsce wrózek, duchów i leśnych nimf. Miejsce zamieszkałe przez magię.

Pograżona w myślach Bess coraz bardziej zagłębiała się w las. Nie bała się, nie była nawet zdenerwowana. Raczej czuła, że powinna okazywać pewien szacunek, nawet cześć, tym leśnym bożkom, których zapasy teraz plądrowała. Nachyliła się, by zerwać z ocienionej skały mech gruby niczym wilcze futro. Włożyła go ostrożnie na dno koszyka i poszła dalej. Na tarninie znalazła mnóstwo srebrnych porostów. Zbierała kruche gałązki z dolnych gałęzi tak długo, aż miała ich wystarczająco dużo. Wąski strumyk stworzył doskonałe warunki dla mchów potrze-

bujących większej ilości wilgoci, a wszystkie one przyspieszały gojenie otwartych ran. Wybierała drogę po kamieniach, na których dało się stanąć, i w pewnej chwili usłyszała, czy też raczej wyczuła, jakiś kłopot. Nie było tak, jakby do jej uszu dotarł jakiś dźwięk, raczej zauważyła zmianę w otaczającym ją powietrzu. Delikatną zmianę energii. Uniosła głowę i słuchała, a potem powoli weszła do lasu i skierowała się w stronę tego, co wyczuła, cokolwiek to było. Kilka kroków dalej faktycznie udało jej się rozróżnić dźwięki. Słysząc było stękanie i jęki, zwierzęce i ochryple. Teraz już wyraźnie słyszała westchnienia i lament. Jakiś ruch przed nią kazał jej się zatrzymać. Odepchnęła na bok zasłonę z bluszczu, która zasłaniała jej widok. To, co ujrziała, przestraszyło ją. Dwie postacie, jedna w czarnym stroju, wysoka i silna, i druga kobieca – nie, dziewczęca – całkiem naga z wyjątkiem kilku białych jak gołębica pasów porwanej halki. Oboje stali, dziewczyna przyciśnięta do pnia jesionu, a mężczyzna odwrócony do patrzącej tyłem. Bess nie śmiała drgnąć, bojąc się, że odkryją, iż ich podgląda, lecz w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że są zbyt pochłonięci gwałtownym seksem, by można było łatwo zwrócić ich uwagę. Właśnie miała się odwrócić i cicho ukryć pośród drzew, gdy coś przykuło jej uwagę. Postrzępiony kawałek liny. Dziewczyna była przywiązana do drzewa. Teraz spojrzała uważniej i zrozumiała, że jęki i skomlenie dziewczyny nic wynikały z ekstazy, tylko z cierpienia. Nie czerpała radości z karesów namiętnego kochanka, była ofiarą

gwałtu. Bess otwierała usta, by krzyknąć, jednak się powstrzymała. Musi spróbować ocalić tę biedną młodą kobietę, ale mężczyzna zdolny do czegoś takiego nie porzuci tak łatwo swej zdobyczy. Nie miała niczego, czym mogłaby się bronić lub zagrozić jemu. Rozejrzała się w poszukiwaniu mocnego kija lub ciężkiego kamienia. W tym momencie usłyszała krzyki dobiegające od zachodu, z głębi lasu. Mężczyzna także je usłyszał i odwrócił się, by spojrzeć przez ramię; wtedy wyraźnie ujrzała jego twarz. Surowych rysów Gideona Mastersa nie mogła pomylić z nikim innym. Rysów teraz zniekształconych zwierzęcym pożądaniem i oczu nieludzko czerwonych od gniewu. Dziewczyna usłyszała głosy swych potencjalnych wybawców i głośno krzyknęła. Gideon zrobił krok w tył. Umieścił palec pod brodą dziewczyny i uniósł jej twarz. Wbił wzrok w jej oczy, a usta poruszały się mu szybko, jakby szepcząc jakąś modlitwę lub zaklęcie. Powieki dziewczyny zrobiły się ciężkie, a ona sama opadła do przodu, podtrzymywana wiążącą ją liną. Gideon ruszył w stronę ścieżki prowadzącej na wschód, lecz zawahał się. Zmieniwszy zdanie, zmrużył oczy i spojrzał w kierunku Bess, uważnie przyglądając się zarośłom. Ale ona już zdążyła ukryć się w leśnym poszyciu. Usłyszała, jak odwraca się raz jeszcze i rusza przez las. Pozostała w swej kryjówce i poprzez listowie udało jej się dostrzec, że poszukiwacze znaleźli dziewczynę. Rozpoznała w nich rodzinę Cyganów, którzy kilka dni wcześniej przejeżdżali przez wieś. Matka rzuciła się na córkę i przyłgnęła do niej

z głośnym szlochem. Ojciec był wyraźnie wściekły i klął w języku nieznanym Bess, wygrażając niebu pięścią; dopiero po chwili odwiązał córkę i wziął ją na rękę. Bess porzuciła koszyk i ruszyła w drogę powrotną, nie wając się zatrzymać ani biec, dopóki nie była pewna, że znalazła się z dala od miejsca okropnej sceny, która już na zawsze wpisała się w jej umysł. Gideon pojawił się przed nią, gdy dotarła już do plam słońca na krawędzi lasu, zastawiając jej drogę ucieczki. Instynktownie się przed nim cofnęła, ale potem gniew dodał jej odwagi. Nie mogła pozwolić, by zobaczył jej strach.

– Hej, toż to młoda Bess Hawksmith. Byłem pewien, że to ciebie widziałem.

– Proszę pozwolić mi przejść.

– Zastanawiam się, jak długo siedziałaś w ukryciu? Jak długo podglądałaś, co?

– Zbierałam mech i porosty.

– Czyżby? Nie widzę ich.

Bess przekląła się za porzucenie koszyka niczym przeżalone dziecko. Gideon podszedł bliżej. Można było wyraźnie wyczuć ciepło jego ciała, które wydzielało ziemisty zapach. Bess odwróciła od niego głowę. Kiedy odezwał się ponownie, wyczuła na uchu jego oddech.

– Ta dziewczyna nie była tak niechętna, jak sądzisz – oznajmił.

Bess odwróciła się w jego stronę.

– Wydaje mi się, że nie przywiązała się do tego drzewa sama.

– Może mnie o to poprosiła.

– Może ją pan do tego zmusił.

– Jakież zmuszanie by to było? Czy na jej dojrzałym młodym ciele dostrzegłaś jakiś znak? Choćby jeden siniak lub świadectwo brutalnego traktowania?

– Wiem, co widziałam. Wiem, co pan zrobił. Gideon uśmiechnął się.

– Uważaj, Bess. Ten twój język któregoś dnia sprowadzi na ciebie kłopoty. Zamierzasz pobiec do domu i opowiedzieć o tym, co widziałaś? Sądzisz, że ktoś ci uwierzy?

– Będę mówiła na korzyść tej Cyganki, jeżeli mnie poprosi.

– Ach, wobec tego sprawa zamknięta. Ponieważ nie będzie pamiętała kompletnie niczego ze swego... doświadczenia. Dopilnowałem tego.

Umieścił palec pod brodą Bess, podobnie jak zrobił to tamtej dziewczynie. Chciała odwrócić wzrok, lecz zorientowała się, że jej oczy są jak przykute do jego. Zaciśnęła zęby, stawiając opór dziwnemu wirowi, który zaczął mieszać jej myśli. Głos Gideona docierał do niej jakby przez listopadową mgłę.

– Większość poddaje się bez walki. Na niektóre umysły można wpłynąć bez trudu, z łatwością nagiąć do silniejszej woli. Zaś na inne, jak twój, nie – opuścił dłoń.

Bess przepchnęła się obok niego ze spuszczoną głową.

– Ej, Bess – zawołał za nią miękko – nie odchodź bez swej własności.

Wbrew sobie odwróciła się, a potem przestraszyła. Gideon trzymał jej koszyk, wypełniony po brzegi najcieńszymi mchem i najdelikatniejszymi porostami.

– Mój koszyk! Ale jak...? – miała problem ze sformułowaniem pytania, ponieważ wiedziała, że nie ma na nie rozsądnej odpowiedzi. Wobec tego tylko chwyciła wiklinowy pałąk i ruszyła do domu, uciekając przed Gideonem, który łagodnym głosem nucił „Greensleeves”, [Czyli „Zielone rękawy”, bardzo popularna angielska ballada o nieszczęśliwej miłości, pochodząca prawdopodobnie z drugiej połowy XVI w., znana i chętnie wykonywana w najróżniejszych wariantach również dziś – przyp. tłum.] balladę zbyt piękną, by można ją znieść w wykonaniu kogoś o tak ciemnej i niepokojącej duszy.

Wioska Batchcombe była, prawdę mówiąc, wystarczająco duża, by nazywać ją miasteczkiem, lecz pamięć zamieszkujących to miejsce rodzin była długa i niechętna zmianom, wobec czego miejscowość ciągle nazywano wsią. Miała ona wiele sklepów i innych pożytecznych placówek, w tym aż nadmiar pubów, zdolnych ugasić pragnienie nawet podczas żniw. Było tu dwóch rzeźników, wzięty piekarz, kuźnia i warsztat krawiecki. Te ośrodki znajdowały się po obu stronach szerokiej głównej ulicy, na której odbywał się cotygodniowy targ, gdzie wszyscy bez wyjątku przybywali sprzedawać własne wyroby. W środku długości ulicy wznosił się gmach sądu, imponujący kamienny budynek. Parter służył za sąd grodzki i miejsce spotkań rady, na piętrze mieściły się miejscowe rejestry i sprawy rządowe, pod tym wszystkim zaś znaj-

dowało się podziemne więzienie. Rozwój Batchcombe umożliwił modernizację budynków zgodnie z chwilowymi kapryсами i modami, prowadząc do braku ciągłości lub jednolitości stylów, w związku z czym ulica obramowana była różnorodnymi fasadami. Znajdowały się tam kamienne chaty, niektóre pobielone, a inne ukazujące brązowy piaskowiec ścian. Były domy z ciepłej cegły i inne drewniane, ogacone słomą i gliną. Obok nich stał taras, ogromnym wysiłkiem zbudowany z krzemienia. Niektóre z nich pokryte były słomianą lub trzcinową strzechą, inne przed mokrą zimą chroniły łupkowe płytki. Widać tu było każdy gust, wypróbowano każdą nowinkę. A mimo to ulica niosła wrażenie rozkładu i upadku. Zupełnie jakby każdy budynek był odrębnym mieszkaniem, umieszczonym obok drugiego jedynie przypadkiem, a nic w jakikolwiek spójny i wspólny sposób.

Można było uczciwie powiedzieć, że Batchcombe było portretem poprzedniego stulecia. Wiatry politycznych zmian popychały je to w jedną, to w drugą stronę, a wieś i jej mieszkańcy przeżyli to wszystko, akceptując zmiany sytuacji i dostosowując się do nich. Pomnikiem ich elastycznej natury stały się ruiny klasztoru położone na zachód od granic wsi. Było tak, jakby na tym obszarze nigdy nie było wielu wieków współistnienia Kościoła i bogobojnych ludzi. Jakby nigdy nie pracowali w klasztornych ogrodach i nie znajdowali zatrudnienia, pomagając mnichom przy żniwach, i jakby grupa chłopców co roku nie terminowała przy murowaniu wspaniałego

domu sług bożych ani jakby miejscowi nie wyciągali rąk po datki w czasie biedy i klęsk żywiołowych. Kiedy Henryk VIII zerwał stosunki z Rzymem i rozpoczął sekularyzację klasztorów, Batchcombe odwróciło wzrok i nie podniosło na znak protestu nawet jednej pary wideł. Miejsce, w którym mnisi modlili się i mieszkali przez setki lat, zostało sprofanowane, splądrowane i zbrukane, tworząc teraz jedynie stertę kamieni.

Natomiast skromny kościółek na południowym krańcu głównej ulicy rozkwitał. Był zbudowany z surowego kamienia i większość okien miał całkiem zwyczajnych. Tylko jedno z nich ozdobiono witrażem przedstawiającym wskrzeszenie Łazarza. Kościół stał się centralnym punktem wszelkich spotkań oraz, rzecz jasna, kultu religijnego dla całej okolicy. Kolejni zręczni administratorzy tego kościoła zniechęcali ludzi do popierania papizmu lub do obnoszenia się z bogactwem, zostawiając wewnątrz surowe, lecz gustowne, zgodnie z życzeniami pierwszego anglikańskiego monarchy, a potem kolejnego, i zło-wróźnie interpretując spartańskie gusta nadchodzących lat. Parafianie bez oporów dopasowali się do pozbawionych poduszek ław, uważając się i tak za szczęściarzy, że nie trafili pod wątpliwą opiekę któregoś z bardziej radykalnych wędrownych kaznodziejów, którzy przemierzali hrabstwo Wessex w poszukiwaniu uszu spragnionych ich purytańskiej ortodoksji. Pastorem, który do tego czasu zdołał mocno wrosnąć w samo serce zarówno religijnych, jak i świeckich spraw Batchcombe, był wielebny Edmund

Burdock, szczupły mężczyzna, którego krucha postura i łagodny głos skrywały stalową wolę.

Bess lubiła uczestniczyć w niedzielnych nabożeństwach. Gdy już obrządziły bydło i skończyły wszystkie prace w domu, kobiety z rodziny Hawksmith, podobnie jak wszystkie inne kobiety z okolicy, zakładały najmniej znoszone suknie, jeżeli w ogóle takowe posiadały, a w każdym razie świeże kołnierzyki, mankiety i fartuch, wiązały czepce i ruszały do kościoła. Przy dobrej pogodzie szły na piechotę, w deszczowe dni John skłaniał klacz do wejścia pomiędzy dyszle wozu i jechali do wsi.

Tego dnia słońce wznosiło się w górę po bezchmurnym niebie, a szczęśliwa grupa szła do Batchcombe suchą ścieżką, ciesząc się myślą o spotkaniu z innymi. Dla Bess była to jedyna możliwość w całym tygodniu, by przyjrzeć się mieszkańcom wioski i posłuchać wymienianych przez nich plotek. Matka ostrzegała ją przed niebezpieczeństwem podsłuchiwania, lecz w tych fragmentach rozmów, w zaglądaniu w życie innych było coś, czemu ciężko się oprzeć. Życie to wydawało się oferować znacznie większą różnorodność i emocje. Bess po cichu tęskniła za czymś więcej, pomimo swej miłości do rodziny. Nie wiedziała, co by to miało być, ale była pewna, że to coś stałoby się osiągalne, gdyby tylko wiedziała, jak zabrać się za szukanie. Na razie jednak korzystała, ile się dało, z nauk matki poświęconych jej umiejętnościom, a tęsknotę za przygodą karmiła smakowitymi strzępami życia innych. Nabożeństwo mniej ją interesowało. Niewyraźnie

pamiętała czasy, gdy hymnom przygrywali muzycy, a na ścianach kościoła błyszcząły draperie i arrasy. Teraz jednakże wydarzenie to było dość ponure. Wnętrze pozbawiono ozdób, z wyjątkiem barw wniesionych przez wiernych, choć nawet suknie kobiet zmieniono zgodnie z modą na skromność i prostotę. Bess wcale się to nie podobało. Z ambony pastor, uosobienie powściągliwości i pokory, wzywał swą trzódkę do pobożnego życia w tym niepobożnym świecie. Bess chciała obecności Boga we własnym życiu i starała się zachowywać w sposób, który, jak wiedziała, powinien Go zadowolić. Zazdrościła osobom obdarzonym prawdziwą wiarą. Widziała ich promienne twarze, kiedy modlili się lub śpiewali w kościelnych ławkach. Patrzyła, jak z uśmiechem kiwają głowami, gdy kaznodzieja przypominał im o łaskawości Boga i Jego miłości. Bess, choć nie odważyłaby się dać wyrazu takim myślom przed żadną żywą istotą, sama nie dostrzegała dowodów tej miłości. Gdzie jej szukać? Nie w biedzie i głodzie, które dopadały wszystkich, gdy tylko plony niszczały, a zbiory były mizerne. Nie w okrutnym piętnie choroby, która dotykała całe rodziny, krusząc pod stopami słabych i starców. Ani w bólach porodowych czy w żalu po stracie dzieci.

Włączając się w końcowy hymn, Bess poczuła, że szturcha ją Margaret. Spojrzała na siostrę, która z szerokim uśmiechem wskazywała na koniec ławki po przeciwnej stronie. Podnosząc wzrok. Bess napotkała jasnoszare oczy Williama Goulda. Zauważyła, że w tym momencie

zaczerwienił się niemal tak mocno, jak ona sama. Spuściła wzrok, a potem powoli go podniosła. Uśmiechał się do niej, porzuciwszy pozory śpiewu. Bess celowo zadarła głowę do góry i zaczęła śpiewać ze znacznie większym przekonaniem niż czuła. Miała świadomość, że nadal ją obserwuje, czego się zresztą spodziewała.

Po skończonej mszy wierni zaczęli powoli wychodzić z kościoła. Margaret nie mogła się powstrzymać.

– Mamo, widziałaś? William tu jest. Musiał przyjść tylko po to, żeby spotkać naszą Bess.

– Cicho, Margaret! – matka wzięła ją za rękę.

– Na pewno tak – upierało się dziecko. – Po cóż innego miałby wybrać nasz zwykły kościółek zamiast własnej ślicznej kaplicy?

Bess dostrzegła surowe spojrzenie matki, ale obie wiedziały, że Margaret mówiła prawdę. Gouldowie modlili się w kaplicy przy Batchcombe Hall od samego początku istnienia dworu.

Anne próbowała znaleźć inne wyjaśnienie.

– Wielebny Burdock jest znany ze znakomitych kazań – oznajmiła. – Może być tak, że jako uczony młody człowiek interesuje się tym, co wielebny powie. – Pociągnęła Margaret w stronę drzwi.

Za jej plecami John zaoferował Bess ramię i uśmiechnął się.

– Może tak jest – rzekł, figlarnie unosząc brwi – a może Margaret mówi prawdę. Założę się, że w tej jego kaplicy nie ma nic równie pięknego, jak to, co może doj-

rzeń z ławki po drugiej stronie nawy w miejscu, gdzie stała nasza Bess.

Bess udawała obojętność, lecz wizja uczucia Williama sprawiała jej radość. Która dziewczyna czułaby inaczej? To prawda, był poważny, nie tryskał energią ani dowcipem, lecz przy tym dobry i łagodny. I nie była odporna na jego bogactwo i wysokie urodzenie. Zbyt wysokie dla takich jak Bess, jak często powtarzała jej matka. Stwierdzenie to sprawiało jedynie, że chłopiec stawał się bardziej interesujący, niż byłby w przeciwnym razie.

Na zewnątrz Margaret zaczęła biegać, znajdując inne dzieci do zabawy, jej rodzice zaś pograżyli się w rozmowie z Prosserami. Thomasa szybko znudziły sprawy innych i odszedł, by oprzeć się o dający cień cis. Bess zauważyła, że Sarah pokazuje swoje dziecko, które teraz miało już prawie miesiąc, i poczuła przyływ dumy. Ciągłe zdumiewało ją to, czego zdołała dokonać tamtej nocy. Dobrze było zobaczyć, że matka i dziecko są szczęśliwi i w dobrym zdrowiu. Świadomość, że do ich dobrego samopoczucia przyczyniła się ona sama, była przyjemna. Bess z nadstawionymi uszami przechadzała się po placu przed kościołem. Końcówka lata nadal zapewniała ciepło i radosne światło, więc miejsce to było jasne i kolorowe, co stanowiło przyjemny kontrast z ubogim wnętrzem kościoła. Na zachodniej granicy po kościelnym murze pięło się późne kapryfolium, którego kremowe kwiaty wspierały się na błyszczących liściach bluszczu. Na zewnątrz nawet stonowane tkaniny kobiecych

sukni wydawały się urocze i barwne. Obok niej przebiegła jakaś dziewczynka ubrana w niebieskofioletowy strój, a za nią chłopiec w kaftanie koloru gniecionych wiśni. Bess minęła wdowę Digby i wdowę Smith, dwie nie-strudzone roznosicielki wiejskich plotek.

– Z całą pewnością dostrzegli, jak biegł główną ulicą ubrany tylko w kapelusz i buty ze srebrnymi sprzączkami! – oznajmiła wdowa Smith scenicznym szeptem.

– Co za wstyd! Jakaż biedna ta jego żona, że musiała znosić takie zachowanie. A jest przecież synem pastora.

– Należało się tego spodziewać. Do magistratu wpłynęło wiele skarg na moc piwa podawanego pod Odpoczynkiem Skrzyпка, ale nikt nic nie zrobił, siostró, nic nie zrobił. Och, dzień dobry, Bess.

Bess nie usłyszała już nic, co wdowa Smith zamierzała powiedzieć w tej sprawie. W myślach skarciła się, że podeszła zbyt blisko, zanim zdołała poznać tożsamość tego biednego człowieka w butach ze srebrnymi sprzączkami.

– Dzień dobry wam, wdowo Smith, wdowo Digby. Jakiż cudny dziś dzień, prawda?

Wdowa Smith nadeła się, zwiększając swe i tak znaczne gabaryty do niebezpiecznych rozmiarów.

– Cudny? Dziecko, dziś jest niedziela. Uważaj na słowa.

– Czy uraziłam Boga? – zdziwiła się Bess.

– Być może – ostrzegła wdowa Digby – gdyby uznał, że twoja jasna głowa wypełniona jest wyłącznie frywolnymi myślami.

– Zamiast myślni o Nim, czym powinnaś się zajmować w ten dzień – przytaknęła wdowa Smith.

– Uwierzcie mi, panie, że każde spojrzenie na niebo tak niebieskie jak dziś przywodzi mi na myśl Boga – stwierdziła Bess z rozbijającym uśmiechem, a potem obróciła się na pięcie i szybko odeszła. Spokojnie szła skrajem placu, aż dotarła do bramy cementarnej. Tam stał wielebny Burdock i administrator kościoła, Amos Watts. Bess zamierzała przejść obok nich, lecz zatrzymała się, słysząc, o kim rozmawiają.

Będę musiał dokonać wpisu – mówił administrator. – Nie mogę już dłużej zwlekać.

Wielebny Burdock skinął mądrze głową.

– Oczywiście, że musisz. Naszym obowiązkiem jest zachować czujność. Miałem nadzieję, że krótka rozmowa z nim podczas targu w miniony wtorek... ale nie, najwyraźniej Gideon Masters pragnie pozostać poza naszym zgromadzeniem. To smutne patrzeć, jak człowiek o takiej inteligencji odwraca się od Boga.

– Gideon zawsze trzymał się z dala. W ciągu tych wszystkich lat, odkąd zamieszkałem w Batchcombe, a jest ich już trochę, co zresztą wiesz, wielebny, nigdy nie widziałem, by był na mszy. Niegdyś sumienie człowieka było jego własną sprawą – I Boga, rzecz jasna.

– Cóż, teraz zajmuje się tym rząd, a rząd nakazuje, by nazwiska wszystkich, którzy nie chodzą w niedzielę do kościoła, zapisywać w rejestrach kościelnych. Niezależnie od tego, czy nam się to podoba, zajmą się tym podczas

kwartalnych sesji.

– Musisz wykonywać swą pracę, i z tego powodu nikt źle o tobie nie pomyśli. Niech się dzieje, co chce, ale mógłbym spróbować zorganizować drugie spotkanie z opornym panem Mastersem...

– Bess! – głos Williama przestraszył Bess. Nie zauważyła, kiedy podszedł i stanął obok niej. Ściągnęła brwi, zła, że nie będzie mogła dalej śledzić rozmowy wielebnego.

– Ach, William, dzień dobry – odparła, nie próbując ukryć rozdrażnienia.

William uśmiechnął się ciepło.

– Miałem nadzieję, że cię tu znajdę – stwierdził.

– Dość bezpieczna nadzieja, w końcu przychodzę tu co niedziela.

– Tak. Tak sędzę – William kręcił się nerwowo, mnąc swą krótką pelerynę, która zacisnęła mu się wokół szyi, zamiast porządnie oprzeć się na ramionach. Ciągłe się do niej uśmiechał.

– Możemy się chwilę przejść? – zapytał.

– Wiele osób tak właśnie robi – Bess ruszyła przez siebie.

– Nie mnie decydować, czy mogą to robić.

William ruszył za nią, najwyraźniej nie zwracając uwagi na oschłość. Bess właśnie miała rzucić kolejną kaśliwą uwagę, gdy dostrzegła wzrok rodziców. Natychmiast zwolniła kroku, by William mógł ją dogonić, i uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Powiedz mi, Williamie, czy w Batchcombe Hall wszyscy zdrowi?

– Nadzwyczaj, dziękuję.

– A twój ojciec? – Bess nie lubiła tego człowieka, ale William nie miał matki, o którą mogłaby zapytać.

– Dość, tak. Oczywiście zajęty sprawami rządu. Bess skinęła głową.

– Zostawia zarządzanie majątkiem tobie?

– Cóż, jest jeszcze mój brat Hamilton. On jako najstarszy... Zrównali się z wdową Digby i wdową Smith. Bess bawił pełen zgorszenia wyraz na twarzach obu kobiet. Nie potrafiła zdecydować, kim pogardzały bardziej: nią samą za to, że jej mniemanie o sobie przerastało jej pochodzenie, czy Williamem, który szukał szczęścia poniżej własnego pochodzenia. Znany im świat w ciągu ostatnich lat stanął na głowie i nie można było liczyć, że cokolwiek pozostanie jak dawniej. Tej sytuacji nie poprawiali ludzie, którzy samowolnie opuszczali na tej ziemi pozycję, którą dobry Pan uznał za odpowiednią dla nich. Bess z niewinnym uśmiechem pochyliła głowę w stronę kobiet. Wdowa Smith ściągnęła usta tak mocno, że straciły tę resztkę barwy, która im jeszcze została. Bess poczekała, aż znajdą się poza zasięgiem ich słuchu, i dopiero wówczas wróciła do przerwanej rozmowy z Williamem.

– Ale to ty doglądałaś kiedyś spraw ojca – stwierdziła – na skraju lasów Batchcombe.

– Całkiem możliwe. Widziałaś mnie? Cóż takiego mogło zająć moje myśli, że nie byłem świadom twej

obecności? – William wyglądał na naprawdę przerażonego tym faktem.

– Rozmawiałeś z Gideonem Mastersem – Bess bardzo starała się, by głos jej nie zadrżał, lecz wypowiadając głośno nazwisko tego złoczyńcy, poczuła wzburzenie.

– A, tak. Dyskutowaliśmy o tym, do których drzew sięgają jego prawa. Wygląda na to, popyt na węgiel drzewny ciągle wzrasta. Jestem przekonany, że ten człowiek zrębałby cały las, gdyby tylko mógł.

Bess spojrzała na Williama. Po raz pierwszy słyszała, że mówi tak szczerze o kimkolwiek. – Nie lubisz Gideona Mastersa?

– Tego nie powiedziałem. – Ale jednak nie protestujesz?

– Chciałabyś, żebym się z tobą kłócił, czy co...?

– Czy miał odwagę powiedzieć prawdę? – Bess dookończyła zdanie za niego i czekała.

William zatrzymał się i stanął wprost przed nią. Twarz miał zmienioną stanowczością. Tak bardzo, że wyglądał na znacznie starszego, jakby chłopca zastąpił mężczyzna.

– Skoro nalegasz, wyznam, że nie, nie znajduję w Gideonie Mastersie niczego, co można by polubić. Ma w sobie coś, jakąś manierę... usposobienie, które budzi mój niepokój.

– Moim zdaniem manierę.

– Bess, drwij ze mnie, jeśli musisz. Chciałaś prawdy. W tym człowieku jest coś niedobrego. Coś, w czego towarzystwie wolałbym nie przebywać, i tobie radzę, byś

trzymała się od niego z daleka.

Bess poczuła rosnącą irytację. Prawdę mówiąc ucieszyło ją, że William nie ufa Gideonowi, nic tylko ona uznaje go za osobę niebezpieczną. A mimo to nie potrafiła się opanować na myśl o poczynionym przez młodego człowieka założeniu, że robi, co on każe.

– Cóż, dziękuję ci za radę, aleja nie boję się nikogo.

Nawet przez chwilę nie sądziłem, że się boisz – zapewnił William.

Później tego samego popołudnia Bess zabrała Margaret na brzeg, aby zebrać trochę małży. Krętą ścieżką zeszły z klifu i weszły na plażę. Odpływ zaczął się godzinę wcześniej, więc w skałach stały kałuże wody, najeżone wszelkimi gatunkami skorupiaków. Bess i Margaret zdjęły buciki i zostawiły je na suchym fragmencie skały. Stopy biegnącej Margaret z hałasem uderzały o mokry piach, a delikatna bryza szarpała splecione włosy dziewczynki. Bess szła za siostrą z koszem w dłoni, schylając się po leżące w kałużach sercaki i trąbiki. Nad głowami dziewcząt nisko latały mewy, hałaśliwe i nieustraszone. Jedna czy dwie opadły na plażę i skakały za nimi, by sprawdzić, co uda się zdobyć.

– Bess! Patrz, krab. Wielki, ogromny! – Margaret stała w kałuży sięgającej jej do kolan, próbując coś złapać w wodzie mętnej od piasku, który w podnieceniu wzburzyła.

– Margaret, nie ruszaj się, schowa się przed tobą w tym błocie.

Bess uspokoiła dziewczynkę i obydwie wpatrzyły się w coraz bardziej przejrzystą wodę.

– Widzę go! – Margaret ciężko było powstrzymać. Zaczęła się śmiać tak zaraźliwie, że wkrótce doprowadziła i Bess do głośnego śmiechu. Obie z piskiem chlapały dłońmi, szukając kraba w kałuży, po czym Margaret zapiszczala jeszcze głośniejszym głosem, gdy go wreszcie złapała. Bess wyjęła kraba z jej dłoni i wrzuciła do kosza.

– Znajdę jeszcze jednego! – zaśpiewała Margaret, tańcząc w kierunku kolejnej kałuży, a nasiąknięta wodą halka i spódnica kleiły się do jej cienkich łydek.

Bess wyprostowała się i patrzyła, jak dziewczynka biegnie, ciesząc się swobodą i prostym szczęściem chwili. Plaża była długa i szeroka; żółtobrązowy półksiężyc sięgający aż do Batchcombe Point. Po drugiej stronie przylądka plaża miała odmienny charakter. Wyjątkowe połączenie pływów i prądów oraz warstwy skał sprawiły, że za Batchcombe plaże nie były pokryte piaskiem, ale gładkimi kamykami, dużymi od tej strony, każdy z nich większy od gęsiego jaja, które zaledwie o milę dalej miały do rozmiarów śliwek barwy piasku. Bess pozwoliła, by szum uderzających fał wprawił ją w rozmarzenie. Dostrzegła coś na drugim krańcu plaży, na samej krawędzi wody. Był to ciemny kształt, zbyt oddalony, by można go było wyraźnie dojrzeć. Wpatrując się w niego, stwierdziła, że powoli przesuwa się w ich kierunku. Zmrużyła oczy, osłaniając je dłonią i próbując skupić wzrok. Teraz widziała, że to jakaś postać. Mężczyzna, ubrany w ciemną

odzież i kapelusz z szerokim rondem. Szedł miarowo, lecz wydawało się, że idąc po mokrym piasku prawie się nie zbliża. Bess usłyszała, że za jej plecami Margaret opowiada coś o maleńkich rybkach, jednak jakiś przymus kazał jej obserwować mężczyznę, który przybliżał się niezwykle powoli. Nie była pewna, lecz wydawało jej się, że wie, kim jest ten człowiek. Ciemny ubiór, wysoka sylwetka, metodyczne, pewne ruchy. To Gideon Masters. Ale cóż mógł robić na plaży? Nie miał kosza ani wędki. Bess nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktoś taki jak on bez celu przechadzał się brzegiem morza. Był coraz bliżej, aż wreszcie zaczęła rozróżniać jego surowe rysy i zorientowała się, że idzie wprost ku niej. Sparaliżował ją strach. Oblizwała suche, słone usta i zdała sobie sprawę, że oddech jej przyspieszył. Pamiętała, co mówił William. Coś niedobrego w tym człowieku. Czy dlatego właśnie czuła się w ten sposób?

Bess, chodź tu, pomóż mi łapać te rybki. Tatuś się ucieszy! Bess, chodź szybko!

Bess oderwała się od przedmiotu swej fascynacji i zwróciła w stronę siostry.

– Margaret, poczekaj chwilkę, nie spłosz ich, zanim do ciebie przyjdę.

Ponownie spojrzała na plażę, choć jakaś jej część z trudem się na to odważyła, jakby w obawie, że ujrzy Gideona zaledwie kilka kroków od niej. Ale on zniknął. Przed nią rozciągała się pusta plaża. Pusta i nienaruszona. Pobiegnęła naprzód, oglądając piasek w poszukiwaniu śla-

dów, ale nic nie znalazła. Słyszała wołanie Margaret, jednak szukała dalej, rozchlapując płytką pianę, przyglądając się plaży i skałom prowadzącym do klifu. Nic. Usiłowała przekonać samą siebie, że musiał iść po mokrym piachu, jego ślady szybko wypełniły się wodą i natychmiast zostały zmyte. Wydawało się to logiczne. Ale nie wyjaśniało, w jaki sposób przeszedł fragment suchego piasku od krawędzi wody i jak wszedł na ścieżkę prowadzącą na szczyt klifu. Ani jak pokonał tę odległość tak szybko, że go nie zauważyła. Że nie widziała go teraz, jak mozolnie wspina się krętą ścieżką.

– Bess? – Margaret zaczynała się niepokoić.

Bess pospieszyła w stronę siostry, czując wściekłe bicie serca.

3

Rok przeszedł z lata w brązowiejącą jesień, a cała rodzina zajęła się zbiorem jabłek. Drzewa, choć nie najmłodsze, były ciągle zdrowe, dały więc kolejny przyzwoity plon. Ziemia zaczynała rozmiękać od coraz silniejszego deszczu, lecz na gałęziach ciągle były liście, teraz bardziej miedziane niż zielone. Bess wraz z innymi pracowała w sadzie, poświęcając temu zajęciu dużo uwagi. John zatrzymał wóz w bramie. Delikatnie wsypywano na niego kolejne kosze jabłek, by przewieźć je do stodoły. Od tej chwili Anne i Bess miały spędzać dużo czasu zgniatając jabłka w prasie, by wyprodukować mocny i słodki cydr, zdolny ugasić pragnienie i podnieść na duchu w ciągu kolejnych dwunastu miesięcy. Thomas i John wspinali się na drewniane drabiny z okrągłymi szczeblami, sięgając górnych gałęzi drzew. Gdy schodzili, Bess i Anne odbierały od nich jabłka, Margaret zaś kazano zbierać spady. Cały plon zostanie skrupulatnie zebrany i rozłożony w suchej, przewiewnej części stodoły. Była to żmudna praca, ale zainwestowany czas przyniesie dywidendy.

– Thomas, usnąłeś tam na górze? – Bess, stojąca u stóp drabiny z nadstawionym fartuchem, zaczynała się niecierpliwie w oczekiwaniu na owoce.

Z pobliskiego drzewa dobiegł śmiech ojca, którego głowa wysunęła się spośród listowia.

Ach, Bess, może Tom nie może się zdecydować. Zaj-

mujemy się tak ważną pracą. Wolę cydr bez robaków.

Rozdrażniona Bess zaczęła stukać stopą.

– Może czeka, aż się ruszą – mruknęła.

Gałęzie nad jej głową rozstąpiły się. Thomas ukazał zmarszczone brwi.

– Przestań mnie łąać, Bess. Robię, co mogę. Bess westchnęła.

– Lepiej wpuść mnie na górę, jeśli ta praca zbytnio cię męczy.

Anne przeszła obok nich z kolejnym pełnym koszem.

– Bess, zostaw go w spokoju. Od twojego nękania nie będzie pracował szybciej.

Bess otworzyła usta, pragnąc zaprotestować przeciwko temu, z czym kazano jej się pogodzić, gdy nagle, bez ostrzeżenia, przeleciał obok niej Thomas i bez jednego krzyku uderzył o ziemię. Przez krótką chwilę Bess była zbyt zaskoczona, by się ruszyć, lecz szybko lamenty Margaret przywróciły jej zdrowy rozsądek.

– Thomas? – Bess pochyliła się nad bratem. Powtórzyła jego imię, ale chłopak się nie ruszał. Anne utorowała sobie drogę do syna.

– Thomas! Puść mnie do niego. Margaret, odsuń się na bok, dziecko. Thomas? – uklękła obok chłopca, który w końcu jęknął i otworzył oczy. Cała rodzina odetchnęła z ulgą.

– Skąd się wziąłem na dole? – zapytał, próbując wstać.

– Ciii! Leż spokojnie – nakazała Anne, gładząc go po czole. Skrzywiła się, cofając dłoń, jakby skóra syna ją pa-

rzyła. Spojrzała na Johna. – Ma gorączkę.

– Czy to dlatego spadł? Anne skinęła głową.

– Pomóż mi go zabrać do domu i położyć do łóżka. Ostrożnie postawili go tak, by oboma ramionami opierał się na barkach rodziców, i na wół zanieśli go do chaty. Bess chciała iść za nimi, lecz Anne zawołała:

– Pomóż Margaret przy spadach. Wróćcie, kiedy skończycie.

Bess nie podobało się takie wykluczenie. Chciała pomóc w opiece nad Thomasem, a nie zostać w sadzie. Ale wiedziała, że praca musi iść naprzód. Oraz, co ważniejsze, że nie wolno niepokoić Margaret. Zrobi, jak jej kazano, a później obejmie dyżur przy łóżku brata.

Posłanie dla Thomasa przygotowano w głównej izbie, by mógł korzystać z ciepła płonącego tu ognia. Gdy zapadł zmrok i Bess wreszcie zabrała Margaret do domu, widok brata ją zaniepokoił. W ciągu kilku godzin z bladego, ale silnego młodego mężczyzny zmienił się w pokrytego potem, trawionego gorączką chłopca o nierównym oddechu i zamglonym wzroku. Przyszła kolej Bess, by delikatnie ocierać twarz brata. Anne dodała do wody kilka kropli olejku różanego, ale nie maskowały one coraz mocniejszego zapachu przegrzanego ciała nieszczęsnego Thomasa. Pomimo ognia, który wydawał się w nim płonąć, chłopak drżał, jęcząc z bólu kończyn i stawów. Skarżył się, że jest mu bardziej zimno, niż krowiemu ogonowi w zimie. Kiedy Margaret usnęła w drugim pokoju, Anne w asyście Johna i Bess rozebrała Thomasa.

Umyli go całego i ubrali w miękką koszulę nocną ojca.

– Co to jest, mamó? – zapytała Bess.

– Gorączka.

– Ale z jakiej choroby pochodzi? – naciskała Bess, pragnąc otrzymać bardziej szczegółową odpowiedź.

– Zbyt wcześnie, by to stwierdzić. Musimy przy nim czuć. Czas pokaże, co powoduje jego cierpienia – Anne nie odpowiedziała na pytające spojrzenie córki. – Idź do mleczarni. Przynieś mi wysoki słój z górnej półki.

– Herbatka pokrzywowa? Teraz Anne na nią spojrzała.

– Tak. Pamiętasz, jak ją przygotować? Bess skinęła głową.

– Pospiesz się więc.

Niechętnie opuściła miejsce u boku brata, jednak musiała wykonać powierzone zadanie, rada, że matka uznała ją za zdolną przygotować dla niego napar. Gdy dotarła do drzwi mleczarni, odwróciła głowę. Tamtych troje tworzyło przejmujący obraz – matka klęczała u boku chorego syna, ojciec stał obok niej. Bess ujrzała, jak John, nie odrywając wzroku od Thomasa, pogłaskał policzek Anne, ona zaś położyła rękę na jego dłoni i mocno przycisnęła ją do twarzy. Bess pojęła, na podstawie tej króciutkiej chwili, tego jednego, lecz wymownego gestu, że brat jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Do następnego ranka Thomas nie wyglądał lepiej ani gorzej, ale stracił zdolność snu. Kręcił się na łóżku, przenosząc ciężar ciała na różne strony, na próżno usiłując znaleźć mniej bolesną pozycję. Margaret wyszła zebrać

jajka. John pojechał do Batchcombe na targ sprzedać sery. Anne i Bess pracowały nad koronkami, by pozostać blisko Thomasa. Nagle chory spuścił nogi na podłogę i spróbował się podnieść. Obie kobiety rzuciły się w jego stronę.

– Thomas – matka położyła mu ręce na ramionach – musisz odpoczywać. Nie próbuj wstawać.

– Nie! – w jego dziwacznie niewyraźnej mowie brzmiał gniew. – Muszę zająć się pracą, mamó. Nie mogę wszystkiego zrzucić na ojca.

– Nie czujesz się dobrze – wyjaśniła mu Bess. – Tata da sobie radę, dopóki nie wyzdrowiejesz.

Nie dawał się uspokoić; walczył z nimi dwiema z jakąś nową siłą.

– Zostawcie mnie! Idę na dwór – oznajmił i przetoczył się obok nich w stronę drzwi, nic zważając na swój strój. Chód miał niezdatny i niepewny, więc po drodze chwycił się mebli i ścian.

– Thomas! – zawołała za nim Anne. Wspólnie z Bess usiłowały nakłonić go do powrotu do łóżka, lecz na próżno. Perorował teraz, wyrzucając z siebie ciąg niespójnych słów, zupełnie jakby zwracał się do jakiejś niewidzialnej osoby w izbie. Wreszcie chwycił za zasuwę i otworzył drzwi na oścież. Bess bała się, co będzie, gdy upadnie na zewnątrz, jednak nie zdołał wyjść z domu. John przekroczył próg, wprowadzając syna do środka. Zwrócił go, zdecydowanie, choć delikatnie, nie z powrotem do łóżka, tylko ku drzwiom do sypialni.

– Chodź, Thomas – powiedział spokojnie – ciężko pracowałeś. Odpocznij teraz.

Bess i Anne poszły za nimi i pomogły ułożyć Thomasa w jego własnym łóżku. Wydawał się wyczerpany swym wysiłkiem i natychmiast zapadł w niespokojny sen.

John ujął dłonie Anne.

– Byłem we wsi – oznajmił.

Twarz Anne wyrażała pytanie, choć nie mogła się zmusić do wypowiedzenia słów.

– Są inni chorzy – potwierdził. – Niektórzy zmarli.

– Ile osób? – wyszeptała Anne.

– Jak dotąd jedenaście.

– O mój Boże – z jej twarzy odpłynął cały kolor. Bess nie mogła dłużej zachować ciszy.

– Mamo? Co to jest? Co się dzieje?

Anne była w stanie jedynie pokręcić głową, na chwilę straciwszy mowę. A potem zaczerpnęła spazmatycznie tchu i stanęła przed Bess.

Zbierz pościel – wskazała na pokój. – Zabierz stąd wszystko, co nie należy do Thomasa. Ojciec przesunie łóżka. A potem przynieś mi świece, nie, tłuszcz i kubek, i jeszcze będę potrzebować wody. I szaławii do spalenia... Szybko, Bess, nie ma czasu, żeby się gapić.

– Ale nie rozumiem.

– Słuchaj, co mówię, Bess. Kiedy już przyniesiesz mi te rzeczy, nie wolno ci tu wchodzić. Słyszysz mnie? I nie pozwól swojej siostrze przekroczyć tego progu nawet jedną

nogą. Musisz sama się nią zajmować i trzymać ją z dala od tej izby i ode mnie. Obiecuj mi!

– Obiecuję – rzekła Bess, a łzy mąciły jej widok charczącego brata, który rzucał się po łóżku. Zrozumiała teraz, choć nikt nie powiedział jej wprost tego, o co pytała. W głębi serca знаła już wieści, które ojciec przyniósł z wioski. Znała prawdę i bała się bardziej niż kiedykolwiek dotychczas w ciągu swego całego życia. Umierali ludzie we wsi. Umierał jej brat. Wielu innych czeka ten sam powolny, bolesny los. Do Batchcombe przyszła zaraz.

Kilka następnych godzin minęło na gorączkowej krzątaniu. Bess zrobiła, co kazała matka, a potem, trzymając Margaret przy sobie, zajęła się obrządkiem zwierząt, czym zwykle zajmował się Thomas. Trzeba było wydoić krowy, nakarmić i napoić świnię, nanieść drew. Bess skupiła się na pracy, niejasnymi bąknięciami zbywając niekończące się pytania Margaret. Nie mogła dopuścić do siebie myśli, że kiedy ona sama zbiera drewno na rozpałkę, z jej brata wycieka życie. Takie myśli całkiem ją sparalizują lub doprowadzają do szaleństwa. Gdy zaganiała krowy do obory, ujrzała, że ojciec rozpałił ognisko. Wrzucił do niego pościel Thomasa z ubiegłej nocy oraz jego odzież. Ten widok poruszył Bess niemal do łez. Stała i patrzyła na ojca, a serce jej pękało na widok jego zgarbionych ramion i pochylonej głowy.

Tej nocy leżała na swym prowizorycznym pościeliu w sieni i słuchała żalosego pojękiwania Thomasa do-

chodzącego z sąsiedniej izby. Obok niej przesunęła się matka, która na chwilę opuściła duszne pomieszczenie, by zaczerpnąć powietrza i doświadczyć spokoju nocy.

Bess patrzyła, jak matka wychodzi. Drzwi do izby sypialnej były uchylone, a potrzeba zobaczenia brata była silniejsza od niej. Pchnęła drzwi i wkradła się do środka. Stała przy łóżku Thomasa i spojrzała na niego. W izbie panował mrok, a on leżał z twarzą zwróconą do ściany.

– Thomas? – wyszeptała, a potem powtórzyła jego imię odrobinę głośniej.

Na dźwięk jej głosu odwrócił się. Bess ledwie stłumiła krzyk. Jedna strona jego twarzy była czarnogranatowa i spuchnięta, druga zaś blada i pomarszczona. Jedno oko nabiegło krwią, a drugie było szkarłatną masą. Smród jego chrapliwego oddechu sprawił, że żółć podeszła Bess do gardła. Nie uciekła z izby z krzykiem tylko dlatego, że na siłę się opanowała.

– Bess? Czy to ty? – uniósł dłoń w poszukiwaniu jej ręki. Uspokoila się i ujęła jego dłoń w swoje ręce. Jego uścisk nie przypominał uścisku silnego młodzieńca, lecz starca.

– Jestem tu, Tom. Leż spokojnie.

– Dobrze cię znowu widzieć. Bałem się... – nie był w stanie dokończyć myśli. W jego żałosnie groteskowych oczach zebrały się gorące łzy. – Wybacz mi, Bess – załkał.

– Wybaczysz mi? Co?

– Że nie byłem bardziej odważny. Wiem, że powinie-

nem, dla mamy, dla was wszystkich. Chodzi o to, że... tak bardzo się bałem.

Bess uklękła przy nim i przycisnęła jego dłoń do piersi.

– Och, Thomas, brak strachu nie oznacza odwagi. Czyż tego nie wiesz? Odważna jest osoba, która wie, co to strach, a mimo to ciągle potrafi myśleć o innych.

Thomas spojrział na siostrę, a krzywy uśmiech jeszcze bardziej zniekształcił mu twarz.

– Naprawdę w to wierzysz, Bess?

– Tak – skinęła głową, a jej własne łzy spadały, łącząc się z jego łzami na wilgotnej poszewce.

– Bess! Co ty robisz? – dobiegający od strony drzwi krzyk matki poderwał Bess na równe nogi.

– Mamo, chciałam go tylko zobaczyć, tylko na chwilę. Anne chwyciła ją za ramię i odprowadziła do drzwi, gwałtownie wypychając na zewnątrz.

– Bess, obiecałaś mi!

– Przepraszam, chciałam tylko...

– To, czego chciałaś, jest bez znaczenia, dziewczyno. Wiesz, co zrobiłaś? Wiesz? – Anne z hukiem zamknęła drzwi.

Bess zadrżała na wspomnienie wściekłości matki i cierpienia swego biednego brata. Porzuciła nadzieję na sen i przyciągnęła Margaret bliżej siebie. Przed świtem Thomas zaczął wyć, a Bess wiedziała, że ów okropny dźwięk będzie ją prześladował do końca jej dni. Gdy nieśmiały świt wdarł się przez niezastłonięte okno, wycie ustało wraz z sercem Thomasa.

Nieprzytomna z braku snu Bess odrzuciła przykrycie i otrząsnęła się. Delikatnie potrząsnęła Margaret, lecz dziecko się nie obudziło. Patrząc na dziewczynkę w nільnym świetle, Bess dostrzegła, że jej buzia ma kolor nie-dojrzałego sera. Usłyszała przenikliwy krzyk i dopiero po upływie kilku chwil zorientowała się, że ten dźwięk wy-dobywa się z niej.

O dobry – Panie, co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam?

Życie rozpadło się na mieszaninę gorączki i paniki. Bess ciężko było uwierzyć, że to, co się dzieje, jest prawdą. To musiał być jakiś wstrętny koszmar, z którego niedługo się zbudzi przerażona, gorączkowi) chwytając powietrze, lecz wkrótce się uspokoi i powróci do rzeczywistości dzięki zwykłemu porządkowi codziennych czynności. Ale to nie był sen. Mokra od potu Margaret leżała, mrużąc do siebie, na posłaniu w sieni, mając Bess obok siebie, Anne zaś przygotowywała biednego Thomasa do złożenia do grobu. Tę gorączkową krzątanicę przerwał turkot podjeżdżającego pod drzwi wozu i gwałtowne walenie w drzwi.

– Otwierać! Panie Hawksmith? Proszę podejść do drzwi!

– żądał szorstki głos.

Anne wyjrzała z izby sypialnej. Spojrzała na Johna.

– Poszukiwacze! – stwierdziła.

– Mamo, czego oni chcą? – zapytała Bess.

– Thomasa – padła odpowiedź. – Zabiorą naszego chłopca.

– Anne wyglądała, jakby miała zemdleć.

– Nie za mojego żywota – stwierdził John głosem dobiegającym z głębi cierpienia i straty. Podszedł do drzwi i krzyknął przez nie. – Nie ma tu nic, co mogłoby was zainteresować! Sami się zajmujemy własnymi sprawami.

– Panie Hawksmith, macie w domu zarazę. Musimy sami zobaczyć i zabrać ciała do dołu.

– Nie! – krzyknęła Bess. – Tato, nie pozwól im. John chwycił krawędź kuchennego stołu.

– Bess, pomóż mi.

Wspólnie przeciągnęli ciężki mebel tak, by zastawić drzwi. John oparł się o niego.

– Otwieraj, Hawksmith. Wiesz przecież, że wrócimy z nakazem od zarządcy i w większej liczbie.

– Wróćcie nawet i z całym Batchcombe, jeśli to wam coś da! – ryknął John. Żadne z moich dzieci nie spocznie we wspólnym dole, słyszycie?

Z zewnątrz dobiegły pomruki, po których nastąpiła cisza.

– Odeszli? – zapytała Anne.

– Tak – odparł John. Podszedł do okna i chwilę patrzył na zewnątrz, a potem stanowczo rzeki do Anne: – Musimy pochować chłopca dziś w nocy. Nie można tego dłużej odkładać.

Anne zastąpiła Bess przy łóżku Margaret, a ją posłała do obory. Od wielu dni nikt nie wydoił krów porządnie i stały się nieprzyjazne. Bess roniła łzy żalu, frustracji i strachu, gdy najstarsza z krów po raz drugi kopnięciem wytrąciła jej skopek mleka. Pomyślała, nigdy wcześniej nie

wylała tak wielu łez i bała się, że już nigdy nie przestanie płakać. Thomas był martwy, a Margaret straszliwie chora. Czy to jej wina? Czy to ona sama przeniosła chorobę z brata na Margaret? Na samą tę myśl serce jej się ścisnęło. Pospiesznie sprawdziła, czy na łące nadal jest dość wody dla krów. W drodze do chaty zobaczyła, jak ojciec kopie grób dla Thomasa. Przystanęła i zaczęła mu się przyglądać, niezdolna porzucić widoku swego ukochanego rodzica, który wytrwale przerzucał łopaty pełne wilgotnej ziemi, kopiąc coraz głębiej, by przygotować miejsce, gdzie jego pierworodny spędzi wieczność. Na jej oczach ukończył grób – ciemną, błotnistą ranę w porośniętym trawą sadzie. Wyprostował się, a Bess ujrzała, jak grzbietem brudnej dłoni ociera łzę. Przez chwilę pomyślała, że może się modli, gdyż stał tak nieruchomo. A potem nogi się pod nim ugięły i zanim zdążył wydać jakikolwiek dźwięk, wpadł do grobu.

– Mamo! – krzyknęła Bess, ciskając wiadro z mlekiem i biegnąc w stronę ojca. – Mamo, chodź szybko!

Dopadła grobu i zajrzała do środka. – Tato!

Jęcząc, leżał na pokrytym żwirem dnie grobu. Bess zeszła na dół i próbowała postawić go na nogi. Na przemian tracił przytomność i ją odzyskiwał, mruczając coś, co nie było dość wyraźne, by można to uznać za słowa. Dłonie miał wilgotne, a twarz zaczerwienioną i rozpaloną. Anne spojrzała na nich znad krawędzi dołu.

– Panie, miej nas w swojej opiece!

– Wpadł do środka. Mamo, on jest chory. Tata zach-

rował! Nie dam rady go podnieść, jest zbyt ciężki.

Anne ześlizgnęła się na dół, obok Bess, i wspólnie postawiły mężczyznę na nogi.

– Bess, pchaj. No dalej, musimy go stąd wydobyć. Wypychanie i wyciąganie Johna ze śliskiego dołu zajęło kobietom niemało czasu. Zanim doprowadziły go do domu, wszyscy troje byli oblepieni od stóp do głów błotem. Bess z trudem znalazła siłę, by przynieść wodę, lecz wiedziała, muszą umyć zarówno ojca, jak i siebie. Margaret niepokojnie rzucała się na łóżku, wołając matkę i błagając o cokolwiek, co mogłoby uśmierzyć ból. Anne i Bess położyły Johna do łóżka. Anne wsypała liście szaławii do ognia paleniska. Natarły Johna i Margaret olejkiem lawendowym. Siedząc przy siostrze i delikatnie wcierając w jej drobne ramiona pachnący olejek, po raz kolejny rozmyślała o bożej miłości. Doszła do wniosku, że tej nocy w domu Hawksmithów nie było jej ani drobiny. Była tak zmęczona, że zasnęła wprost na podłodze, w miejscu, gdzie siedziała. Matka delikatnie nią potrząsnęła.

– Bess, musimy pochować Thomasa. Tamci niebawem powrócą. Nie pozwolę im go zabrać – oznajmiła.

Bess poszła po taczki i wówczas dopadło ją odrętwienie, Anne szczelnie zawinęła Thomasa w całun, nie było teraz czasu na trumny. Kobiety przeniosły ciało na deskę, którą ułożyły na taczkach, i tak wywiozły go na zewnątrz. Zaczęło padać, a ponieważ był to październik, woda nie padała z góry na dół, ale pod takim kątem, że wciskała się pod każdy płaszcz i kołnierz. Bess i Anne usiłowały

złożyć Thomasa do grobu delikatnie, jednak były już zmęczone, a gliniasta ziemia jeszcze bardziej utrudniała zadanie, więc po prostu wrzuciły go do wilgotnej jamy i bez słowa ją zasypały, wrzucając ziemię łopata i gołymi rękami. Stały w ciszy, patrząc na widniejący przed nimi kopczyk ziemi. Deszcz płynął im po twarzach, jednak nie próbowały go ocierać; spływał po plecach i skapywał z każdego rąbka. Bess czekała, aż matka się odezwie, wypowie jakieś słowa pociechy lub pożegnania, poleci jego duszę Bogu. Ale nic takiego nie nastąpiło. Bess nie miała siły nawet próbować. Jakiż sens miała teraz rozmowa z Bogiem? Kiedy wyciągnęła dłoń, by dotknąć Anne, matka odwróciła się gwałtownie i ruszyła w stronę domu.

– Żywi nas potrzebują – i to było wszystko, co powiedziała. Gdy Bess dotarła do chaty, po raz pierwszy zauważyła znak pozostawiony na drzwiach przez poszukiwaczy. Oznajmiał on światu, że był to dom dotknięty zarazą. Nie zagroda, nie dom, nie chata, gdzie ludzie mieszkali i darzyli się miłością. Jedynie budynek, w którym szalała choroba, miejsce, którego należy się strzec i które należy omijać. Wchodząc do środka, Bess zaczęła się zastanawiać, ile jeszcze grobów będą musiały wykopać wraz z matką. I kto zostanie, by wykopać grób dla nich.

Tej nocy siedziały przy ogniu, zbyt zmęczone, by zająć się koronką. Zbyt nieszczęśliwe, by podgrzać polewkę. Kilka godzin wcześniej skończyły suchy klinek sera

i opróżniły ostatnią butelkę zeszłorocznego cydru. Bess czuła, że jej żołądek może nie przyjąć nawet tego. Spojrzała na matkę. Nierówne światło ognia oświetlało jedną stronę jej niegdyś pięknej twarzy, tworząc trupie cienie pod oczami. Bess dopadł obraz Thomasa, kiedy widziała go po raz ostatni. Zamknęła oczy, by odsunąć od siebie tę wizję, lecz była uparta, jeszcze gorsza w ciemności, za zamkniętymi powiekami. Spojrzała więc na Margaret. Spała teraz spokojnie, zaś John, leżący na pościeli obok, jęczał i kręcił się niespokojnie.

– Chyba nie cierpi aż tak bardzo – powiedziała Bess do matki.

Matka ciągle wpatrywała się w płomienie. – Śpi.

– To przecież dobrze, prawda? Sen to najlepsze lekarstwo.

– Tak bywa – w głosie matki nie było przekonania. Bess nie mogła już dłużej znieść jej wykrętów.

– Mamo, przeżyje? Powiedz, że tak.

Teraz Anne spojrzała w inną stronę. Najpierw przeniosła wzrok w miejsce, gdzie leżała Margaret, a potem odwróciła twarz do Bess. Nawet tak niewielkie ruchy wydawały się wymagać nadludzkiego wysiłku.

– Bess, ją dopadła zaraza.

– Ale niektórzy przeżywają, prawda? Niektórzy żyją.

– Niektórzy tak. Silni i dorośli. Najszybciej umierają słabi. Starzy. I bardzo młodzi – nie miała dość sił, by okazywać emocje. Ogień ponownie przykuł jej uwagę.

Bess wstała.

– Nie pozwolę, by umarła. Nie pozwolę! – oznajmiła. Powiesiła imbryk nad ogniem, a potem przyniosła z mleczami miód.

Nalała do miski wrzątku i wymieszała go z bursztynowym syropem. Zniosła to Margaret. Podparłszy dziecko poduszkami, przemówiła do niego cicho.

– Zobacz, maleńka Meg, spójrz, co mam dla ciebie. Proszę – uniosła łyżeczkę ciepłego płynu do spękanych ust siostry. Powieki Margaret drgnęły, ale się nic otwały. Szyję miała zniekształconą i opuchniętą od dymienia. Owe ohydne guzy z kolei pokryte były gęsto czerwonymi punktami. Skóra zaczynała ciemnieć od podskórnych wylewów, od których wywodziła się popularna nazwa choroby – Czarna Śmierć. Bess odepchnęła od siebie takie myśli i delikatnie otwarła usta siostry, wlewając w nie maleńki łyżeczek wody z miodem. Wszystko wyciekło. Spróbowała ponownie. Tym razem Margaret prychnęła, jednak smak coś w niej poruszył i otwarła zaczerwienione oczy.

– Bess? – jej głos był suchym szeptem.

– Jestem tu, maleńka.

– Bess... – usiłowała się skupić, wyciągając dłoń do twarzy Bess. – Możesz mi pomóc... Wiem to... użyj magii, Bess. Twojej *magii* oczy dziecka spotkały się teraz z oczami siostry, patrząc w nie błagalnie, wypełnione strachem, lecz także nadzieją. Wyczekujące.

Bess połknęła łzy żalu i frustracji. Jej sztuczki były teraz bezużyteczne. Drobne czary i iluzje, którymi

w sekrecie bawiła Margaret przez całe jej życie, były bezużyteczne w obliczu brutalnej zarazy i Bess doskonale o tym wiedziała. Potrząsnęła głową, nie chcąc się przyznać przed ukochaną siostrą, że magia jej nie pomoże.

– Później, kochanie. Teraz wypij jeszcze odrobinę. Proszę, to dobre. – Bess ponownie zanurzyła łyżkę w misce. – Proszę, jeszcze trochę. I jeszcze. Doda ci sił.

Dalej karmiła siostrę, a dziewczynka nie odrywała od niej wzroku. W pewnej chwili Bess stwierdziła, że nie da rady powstrzymać się od płaczu. Gdy miska była pusta, ułożyła Margaret wygodnie. Usiadła na podłodze przy niewysokim łóżku, oplatając dziecko ramionami z gorącym pragnieniem, by wyzdrowiała. By przeżyła.

Następnego dnia Bess obudziła się w miejscu, gdzie padła u boku siostry. Na dachu stodoły piał chrypliwie kogut. Szary świt mówił, że udało się przeżyć kolejną noc i że przed nimi kolejny dzień. Zesztywniała podniosła się na nogi i ruszyła w stronę paleniska, by podsycić niemal wygasły ogień.

– Bess – odezwała się matka, stając tuż za jej plecami. – Dzień dobry, mamó. Nie przeszkadzaj sobie. Dopilnuję ognia i zrobię Margaret trochę wody z miodem. Smakowała jej. Wiem, że jej to pomoże.

– Bess – Anne zrobiła krok naprzód i położyła dłoń na ramieniu córki. – Twoja siostra nie żyje.

Cała krew odpłynęła jej z głowy i poczuła się, jakby miała runąć w płomienie. Otworzyła usta do krzyku, lecz stwierdziła, że nie może go wydać. Podbiegła do Margaret

i rzuciła się na zimne ciało dziecka. Wtedy odzyskała głos.

– Nie! Nie, nie, nie, nie! Nie Margaret. Nie moja ma-
leńka Meg – chwyciła martwą dziewczynkę. – Usiądź,
Meg, obudź się, szybko. Musisz się obudzić. Obudź się! –
Potrząsała nią mocno, nieświadoma tego, co robi.

Anne odciągnęła ją od zwłok.

– Bess, zostaw ją w spokoju.

– Powinnam czuwać! Powinnam ją ocalić!

– Nic nie mogłaś zrobić.

– Ale to moja wina! Dobry Boże, zabiłam ją. Weszłam
do izby Thomasa, gdy mi zabroniłaś to robić, i ściągnęłam
mór na biedną słodką Margaret, a teraz ona nie żyje!
Niech i ja umrę! Pozwól mi iść za nimi!

Bess dostrzegła dłoń matki zaledwie na ułamek sekundy
przed tym, gdy tamta ją uniosła i z wielką siłą uderzyła ją
w policzek. Siła ciosu powaliła Bess na podłogę. W za-
skoczeniu otarła palcami krew z ust. Spojrzała na matkę,
ogłuszona tym, co się stało.

Głos Anne był spokojny, choć mówiła przez zaciśnięte
zęby.

– Bess, posłuchaj mnie. Słuchaj uważnie. Nie zabiłaś
siostry' bardziej niż ja. Zachorowała zbyt szybko, byś to ty
mogła przenieść na nią chorobę Thomasa. Rozumiesz to?
Rozumiesz?

Bess skinęła głową.

– Musisz teraz być silna. Musisz sięgnąć w głąb
własnego serca i odnaleźć tam siłę, której istnienia nigdy

wcześniej nie podejrzewałaś. Bess, musisz okazać odwagę. Podobnie jak ja. – Pomogła córce wstać. Trzymała ją mocno za ramiona i mówiła dalej: – Dziecko, przynieś opończę, mamy pracę na zewnątrz.

– Ale jedna z nas powinna zostać z tatą – Bess pociągnęła nosem, usiłując zatamować krew płynącą z wargi.

Teraz poczuła, jak dłonie Anne zadrżały, choć nie rozluźniła uchwytu, a jej wzrok nie stracił spokoju.

– Twój tata nie potrzebuje nas tutaj – stwierdziła. – Chodź, musimy się spieszyć, zanim wrócą tamci. – Wypowiadając te słowa, przeszła przez izbę, zabierając szal. Zatrzymała się przy drzwiach. Ciche łzy zmyły krew z twarzy Bess. Podeszła do miejsca, gdzie jej ojciec leżał nieruchomo, zimny niby kawałek masła. Pomimo sinizny twarz miał spokojną. Wydało jej się, że ciągle widać na niej ślad figlarnego uśmiechu. Drżącą dłonią pogłaskała go po policzku, a potem wyszła z matką z chaty.

4

Bezlitosny deszcz ustał dopiero dwa dni po pochówku Johna i Margaret. Bess poszła na skraj lasów Batchcombe i zebrała tych kilka dzikich kwiatów, które udało jej się znaleźć. Powietrze ciągle było parne, ale słońce świeciło mocno. Z lasu dochodził zapach mokrego mchu i grzybni. Bess wpatrzyła się w mrok panujący pomiędzy najbliższymi drzewami i złapała się na myśli o Gideonie Mastersie. Czy udało mu się uciec zarazie? Jego chata była oddalona od pozostałych, a jego samotnicza natura oznaczała, że być może uniknął kontaktu z zarażoną osobą. Taka samotność, pomyślała Bess, byłaby straszna. Wyobraziła sobie niezauważoną przez nikogo chorobę. Ale z drugiej strony, jeżeli Gideon nie miał kogo kochać, nie miał również kogo stracić. Nie czekał go tępy ból, nawiedzający opustoszałe serce Bess, ani brutalne spazmy bólu, które dopadały ją, gdy przestawała się kontrolować choćby na chwilę, jak wówczas, gdy natknęła się na kij wędrowny Thomasa, odkryła fajkę ojca czy też złapała się na mamrotaniu ulubionej wyliczanki Margaret. W takich chwilach żalność powalała ją na kolana, pozbawiała oddechu, zupełnie jakby otrzymała fizyczny cios. Widziała, że matka cierpi tak samo, a obie miały świadomość, że nie ma na to lekarstwa. Nic nigdy nie pomoże im się pozbierać. Bess wróciła do chaty i zaniósła kwiaty na groby. Kopczyki ziemi były ciągle mokre i nie miały pokryć się trawą przed

upływem wielu miesięcy. Nie było pieniędzy na kamienie nagrobne. Zamiast tego wraz z matką w odległej przyszłości przyniosą coś z lasu, gdy tylko będą mogły zaryzykować taką wyprawę, bez obawy, że z nagłą dopadnie je choroba. Bess poczuła obecność Anne u swego boku.

– Bess, wejdź do środka. Nie powinnaś stać tu tak długo.

– Długo stałam? Nie zauważyłam tego. Popatrz, przyniosłam kwiaty.

– Są śliczne. Podobałyby się Margaret.

– Powinna tu być i je zobaczyć.

– Bess, wierzę, że ona ciągle tu jest. A ty nie?

– Miałam na myśli tutaj – Bess objęła się ramionami, jakby tuliła siostrzyczkę. – Ciepła, żywa i pełna radości i słodczy, żebym mogła ją przytulić... a nie zimna i cicha w wilgotnym grobie.

– Musimy zachować ją żywą w sercach, Bess. Właśnie tam naprawdę teraz mieszka, nie w ziemi, ale w naszych sercach. W nas – wzrok Anne padł na grób Johna. – Wszyscy oni są w naszych sercach bezpieczni.

– Wydawało mi się, że powinni być z Bogiem – Bess nie zdołała pozbawić swych słów goryczy. – W Jego kochających ramionach... Czyż nie tego nas uczą? Mamo, wierzysz w to? Wierzysz?

– Bess...

– Wierzysz? – Bess zaczęła szlochać.

– Cicho, dziecko. Już nie płacz. Wystarczy. – Anne wyciągnęła rękę i palcem otarła policzek córki. Na jej

twarzy pojawił się strach. – Bess...

– Nie wierzysz w to ani trochę bardziej ode mnie. Gdzie był Dobry Pasterz w chwili, gdy twarz Thomasa spuchła niczym brzuch martwej owcy? Gdzie był nasz Pan, gdy tata przeklinał nas wszystkich na łożu śmierci?

– Bess! Masz gorączkę.

– Gdzie był nasz kochający Bóg, gdy Margaret walczyła o każdy oddech?

– Bess! – Anne złapała córkę za ramiona i przemówiła poważnie.

– Bess, nie jesteś zdrowa, musisz wejść do środka.

– Co? – Bess usiłowała zrozumieć słowa matki. – Niezdrowa? W tym momencie czas się zatrzymał. Dwie kobiety opierały się o siebie wzajemnie, nie poddając się zagrażającemu strachowi i żalowi. Gdzieś w sadzie sroka walczyła z wroną. Słaby wietrzyk poruszył kwiaty, które Bess położyła na grobach.

Anne wzięła głęboki oddech i odwróciła swą jedyną żywą córkę w stronę chaty.

– Chodź – powiedziała. – Wejdźmy do środka.

Gorączka szybko pozbawiła Bess wszelkiego poczucia czasu i rzeczywistości. Była świadoma obecności matki, tego że ją myła wodą różaną i nacierała pachnącymi olejkami. Rejestrowała łyżkę podsuwaną jej do ust lub kubek wlewający w nie jakiś płyn. Poza tym świat dla niej nie istniał. Znała jedynie ból i majaki. Jednocześnie od czuwała takie gorąco, że myślała, iż to strzecha musiała się zapalić, oraz takie zimno, że była przekonana, iż jest już

martwa. Jej ciało w jakiś sposób oddzieliło się od niej samej, zupełnie jakby nie miała nad nim kontroli ani nie znajdowała dla niego zastosowania. Było ono jedynie osłoną dla agonii, niczym więcej. Słyszała nierówny zgrzytliwy dźwięk. Czy to wiatr w kominie? Czy piłowanie drewna? Nie, zorientowała się, że to dźwięk jej własnego oddechu. Jej ciało wciągało i wypuszczało powietrze, zupełnie jakby zużyte miechy kowalskie podsycały płomienie jej gorączki. Niekiedy czuła spokój, akceptowała fakt, że musi umrzeć. Ta śmierć była słuszna. Dlaczego to właśnie ona miałaby przeżyć? Czy to nie ona przyspieszyła śmierć biednej Margaret? Niedługo będzie z innymi. Kiedyś w ciemności usłyszała głos matki. Wydawało jej się, że mówi o życiu, nie o śmierci, choć jej słowa nie miały większego sensu. A potem, w zadziwiający sposób, Anne zniknęła. Bess nie miała możliwości dowiedzieć się, że matki nie ma w domu, jednak była pewna, że została sama. Nie przez dziesięć minut, gdy matka poszła po drewno czy wodę, lecz sama przez długi, pusty, cichy czas.

A w tym czasie Bess śniła. Śniła sen prawdziwy jak wspomnienie. Była znowu w pustym grobie Thomasa, a deszcz spływał po stromych ściankach dołu, aż błotnista kałuża sięgnęła jej do kolan. Wbijała paznokcie w śliską ziemię, usiłując się podciągnąć, ale nie udawało jej się znaleźć pewnego podparcia dla stóp. Ześlizgnęła się na dół, spadając na plecy w błoto i natychmiast się w nim pogrążając. Siadła, krztuszając się, wypluwając mulistą ziemię,

ocierając pełną żwiru wodę z oczu. Wówczas ujrzała Thomasa takim, jakim widziała go podczas najgorszych chwil choroby. Siedział na wprost niej. Wpatrywał się w nią groteskowo wylupiastymi oczami w poczerniałej twarzy. Krzyknęła i zaczęła się wspinać ponownie, lecz tym razem zrzuciło ją ciało Margaret zepchnięte do dołu. Dziecko odwróciło do Bess rozgorączkowaną twarz, krzycząc:

– To ty mi to zrobiłaś, Bess! To ty mnie zabiłaś!

Bess potrząsnęła głową, rzuciła się w tył z krzykiem do utraty tchu. Pokonana, ukryła się w kącie z ramionami nad głową i czekała na śmierć.

Pierwszego dowodu, że ciągle żyje, dostarczył jej śpiew. Był tak niezwykły i nieprawdopodobny, że dopiero po dłuższej chwili uwierzyła, iż nic umarła i słyszy prawdziwy dźwięk, a nie wytwór rozgorączkowanego umysłu. Otworzyła oczy. Był dzień. Na palenisku cicho płonął ogień. Zimowe słońce wpadało przez niezastłonięte okno. Zobaczyła poruszające się cienie i stwierdziła, że może odrobinę odwrócić głowę. Potem zorientowała się, że pieśń płynie od jej matki. Anne stała przy kuchennym stole tyłem do Bess, z głową przykrytą szalem. Była całkowicie skupiona na samotnej świecy płonącej przed nią i otoczonej jakimiś nieznanymi przedmiotami. Ramiona uniosła błagalnie, a jej ciało kołysało się lekko z boku na bok. Ciągle śpiewała niskim, monotonnym głosem. Bess nie udało się rozróżnić słów. Wydawały się dziwne, jakby w jakimś obcym języku. Z całą pewnością nie była to

pieśń, którą matka śpiewała kiedykolwiek wcześniej. Melodia, jeśli tak można było ją nazwać, była mroczna i nieskładna, lecz mimo to zadziwiająco hipnotyzująca. Nagle, jakby wyczuwając, że ktoś ją obserwuje, matka opuściła ramiona wzdłuż boków i umilkła.

Jeszcze przez chwilę stała nieruchomo, a potem zdmuchnęła świecę i odwróciła się.

Bess wzięła głęboki oddech, widząc, że włosy matki zrobiły się całkiem siwe. Nie pozostało w nich ani jedno złote pasmo. Teraz Anne wyglądała na osobę o całą dekadę starszą niż zaledwie kilka dni wcześniej. Bess próbowała unieść się na łokciu, ale matka pospieszyła w jej stronę.

– Bess! Ciii, leż spokojnie, moja malutka. Wszystko będzie dobrze – powiedziała, klękając przy niskim łóżku. Dotknęła policzka Bess i uśmiechnęła się, a był to pierwszy uśmiech, jaki Bess ujrzała na twarzy matki od dnia zbioru jabłek.

– Mamo, co się z tobą stało? Twoje włosy...

– To nieważne. Najważniejsze, że ty się dobrze czujesz, Bess. Dobrze się czujesz – ścisnęła dłoń córki.

– Ale jak to możliwe? – Bess usiadła, oglądając ramiona i dłonie, dotykając twarzy w poszukiwaniu guzów i obrzmiń, znaków zniekształcenia, które miała reszta rodziny. Nie było ich.

– Nie martw się – stwierdziła matka – wyglądasz tak jak przedtem. Zaraza nie zostawiła na tobie żadnego śladu.

– Och, mamo! – Bess rzuciła się w ramiona Anne. Po

jej twarzy popłynęły łzy ulgi i żalu. Przez krótką chwilę była tak blisko Margaret, przekonana, że niedługo zobaczy ją ponownie. Teraz wiadomość, że przeżyła, mieszała się z bólem ponownego oderwania od siostry.

Anne osuszyła łzy córki.

– Uspokój się, to nic czas na łzy. Przygotuję polewkę. Szybko nabierzesz sił. Zobaczysz.

Bess patrzyła, jak matka krząta się po izbie, przygotowując jedzenie, i usiłowała zrozumieć, co się stało. Dopadła ją zaraza, lecz mimo to ona, i tylko ona, przeżyła. Czy to matka ją wyleczyła? Czy dała jej coś, czego nie dała pozostałym? Jakież potężne lekarstwo przygotowała, a jeśli było tak skuteczne, czemu nie zastosowała go wcześniej? Widziała, że w tak gruntowny sposób zmieniły się nie tylko włosy matki. Wydawała się inaczej poruszać, wypełniać izbę w całkowicie nowy sposób. Sposób dziwny i niepokojący. Podczas choroby Bess w matce zaszły dogłębne zmiany. Bess była przekonana, że u źródła jej istnienia dokonała się jakaś transformacja, że coś zmieniło się w jej duszy.

Ta zima była najbardziej posepna ze wszystkich, które Bess przeżyła. Chłodowi żałoby w sercu towarzyszyły okrutne mrozy i lodowato zimne wiatry, które szarpały chatą. Bess wraz z matką usilnie starały się dopilnować ziemi i zwierząt, ale było to zadanie niemożliwe do wykonania. To niewielkie gospodarstwo założono z myślą o pracy czterech dorosłych osób, nie dwóch. Szybko stało się jasne, że nie dadzą rady samodzielnie obrobić całej

ziemi, a ponieważ nie było pieniędzy na wynajęcie robotników, musiały rozstać się z częścią zwierząt. A mniejsza liczba zwierząt oznaczała mniej żywności. Wspólnie zabiły starą maciore, której mięso zakonserwowały w soli. Ocalała świnia apatycznie snuła się po podwórzu i istniała obawa, że zdechnie na ich oczach. Najmłodszą krowę sprzedały sąsiadowi. Najstarsza okazała się bezpłodna, co oznaczało, że mleko będzie dawać tylko jedna. Tak mała ilość mleka oznaczała koniec produkcji serów co najmniej do przyszłej jesieni.

W zagrodzie Hawksmithów Boże Narodzenie przeszło niezauważone. Ani Bess, ani jej matka nie miały siły wyjść naprzeciw radosnym tradycjom i zwyczajom, dzięki którym ten dzień stawał się wyjątkowy i które przypominały o utraconych najbliższych. Gdyby miały dość czasu i energii, by się tym zajmować, być może zauważyłyby, że wiele osób we wsi przestało obchodzić święta.

Obyczaj nakazywał wolę bożą przyjmować w milczeniu, natomiast głośno świętować, co usprawiedliwiało wesołość i niejednokrotnie opilstwo w imię Pana. Dla Bess i Anne to wszystko nie miało żadnego znaczenia. Żadna z nich od czasu zarazy nie postawiła nogi w kościele. Bess przeszło przez myśl, że ten fakt nie przejdzie bez echa. Pamiętała słowa wypowiedziane przez wielbnego Burdocka do administratora kościoła. Jakże dawno to było – w tamtym słonecznym, jasnym, pełnym nadziei czasie. Wszyscy parafianie mieli uczestniczyć w niedzielnym nabożeństwie, w przeciwnym razie ich nieo-

becność zostanie odnotowana. Na razie jednak paskudna pogoda i ubóstwo spowodowane zarazą przysparzały ludziom innych zmartwień. Ale tylko na razie.

Przez dwa pełne tygodnie podczas najciemniejszych dni śnieg pokrywał ziemię niemal do samego brzegu morza. Bess nigdy wcześniej nie widziała białych szczytów klifów. Dotychczas ciepło morza zawsze trzymało taką pogodę na dystans. Patrząc na piękne, zamrożone wybrzeże, Bess miała wrażenie, że sama ziemia pogrążyła się w żałobie.

– Czy kiedyś jeszcze nadejdzie wiosna? – zastanawiała się.

Wyglądało na to, że już nigdy nic się nic zmieni. Przed Bożym Narodzeniem pomogła matce wycisnąć sok z ostatnich jabłek i postawić go na fermentację. Teraz cydr był gotowy, a Anne zdecydowała, że muszą trochę sprzedać.

– Zabierz te butle pod Trzy Pióra. Zapytaj o Jamesa Crabtree. Agnes będzie chciała sama się z tobą targować – mówiąc te słowa, Anne zawiązywała swą własną ciężką opończę na ramionach Bess. – Nie daj się wciągnąć w interesy z tą kobietą, zabierze ci wszystko niemal za darmo. Nalegaj na rozmowę z Jamesem, słyszysz?

Bess skinęła głową. Poczowała coś nieznanego w głębi własnego brzucha, co rozpoznała jako podniecenie. Nigdy wcześniej nie była w piwiarni, a Pióra miały najgorszą reputację we wsi. Po tak długim zamknięciu w zagrodzie kontakt ze światem i tak dorosłe oraz ważne zadanie

przyprawiły ją o dreszczyk emocji. Natychmiast jednak poczuła się winna, zupełnie jakby wszelka przyjemność była niewłaściwa. Zastanawiała się, czy już zawsze tak będzie.

Śnieg zniknął, lecz ziemia była zmarznięta na kość, a dość silny wiatr jął szczypać twarz Bess ledwie zdążyła wyjść na zewnątrz. Naciągnęła kaptur opończy na czepek i mocno zawiązała. Przyprowadziła starą klacz, która niechętnie zareagowała na wyprowadzenie z ciepłej stajni. Anne pomogła Bess umieścić butelki z cydrem w jukach.

Nie guzdraj się – nakazała, dociągając popręg i przekazując Bess wodze. – Wiem, że Szeptą w tamtą stronę będzie człapać, ale kiedy już dostarczysz cydr, możesz na nią wsiąść, a wtedy szybko wróci do domu.

Bess wzięła wodze.

– No dalej, dziewczynko. Po powrocie znajdę ci trochę siana.

– I nie marudź w piwiarni, Bess – zwołała za nią matka. – Nie rozmawiaj z nikim oprócz Jamesa Crabtree!

Gospoda Trzy Pióra mieściła się w dużym, krytym strzechą budynku zbudowanym z potężnych kłód drewna. Górne piętro miało niewielkie okna dotykające dachu. Pomieszczenia wynajmowano podróżnym, którzy mogli spędzić tu noc w niskim komforcie i dużym hałasie. Bess słyszała o najróżniejszych sposobach wykorzystania tych izb, całkiem innych niż sen. Przywiązała Szeptę do kółka na frontowej ścianie i weszła do środka. Atmosfera pa-

nująca wewnątrz zaatakowała równocześnie jej wszystkie zmysły. Dym z wilgotnego drewna płonącego na palenisku oraz liczne gliniane fajki, którymi wymachiwano z zapalem, sprawiały, że powietrze było bardziej gęste od nadmorskiej mgły. Bess zamknęła za sobą drzwi, próbując ignorować lubieżne spojrzenia, które jej rzucano. Parter budynku zajmowała jedna niska izba zastawiona różnorodnymi zniszczonymi stołami i ławami. Dużą, stojącą przy ogniu ławę z oparciem okupowali stali bywalcy piwiarni w nieokreślonym wieku i o coraz gorszych zdolnościach umysłowych. Miejsca przy oknie zajmowały głośne kobiety w jaskrawych strojach, zabawiające mężczyzn o błyszczących oczach. Hałaśliwe śmiechy pijanych par cichły dopiero wówczas, gdy wymykały się do jednego z pokoiów na górze. Po przeciwnej stronie izby wznosił się szynkwas, sklecony niedbale z wyrzuconego przez morze drewna. W rogu stały beczułki. Na brudnych półkach oczekiwały metalowe kufle, słoje i dzbany. Wrzaski i krzyki pijanych łączyły się z głośnymi żadaniami piwa lub cydru kierowanymi do właścicielki w coraz gorszym humorze oraz do dziewczyny służącej, której więcej czasu zajmowało odpychanie natrętnych rąk niż napełnianie kufli.

Bess wyprostowała ramiona i ruszyła w głąb piwiarni. Słyszając sprośne uwagi na temat swych długich nóg i pełnych ust, spłonęła rumieńcem, szybko przeciskając się przez tłum. Więcej niż raz poczuła na sobie czyjaś dłoń, lecz nie reagowała na zaczepki. Gdy dotarła do szynkwasu,

z niepokojem stwierdziła brak właściciela gospody, znajdując tam jedynie jego niemiłą żonę. Poczwała, że zaczyna na nią napierać tłum mężczyzn.

– Przyszłam porozmawiać z panem Crabtree – powiedziała w stronę krzątającej się żwawo za barem Agnes Crabtree.

– No cóż – odparła kobieta, nie zaszczycając Bess nawet jednym spojrzeniem – pan Crabtree jest teraz zajęty, więc musisz porozmawiać ze mną.

Przez woń dymu zaczynał przedzierać się odór rozgrzanych i niedomytych ciał, który dotarł teraz do nosa Bess. Nie pokazała po sobie odczuwanego obrzydzenia.

– Zajmę mu tylko chwilę. Mam cydr do sprzedania – oznajmiła głosem stanowczym, ale uprzejmym.

Teraz Agnes odwróciła się w jej stronę, patrząc ze zmarszczonymi brwiami na stojącą przed nią prowokująco atrakcyjną dziewczynę.

– A nie myślisz, że i ja coś wiem na temat cydru? Stojący najbliżej mężczyźni wydali pomruk zainteresowania.

Bess pokonała panikę, którą poczuła, gdy uświadomiła sobie, że czuje tuż za sobą ciało stojącego zbyt blisko mężczyzny.

– Pani Crabtree, widzę, że jest pani bardzo zajęta. Nie chciałabym zawracać głowy. Mama kazała...

– Och! Cóż, skoro mama ci kazała! – Agnes w okrutny sposób przedrzeźniała Bess, wywołując wśród pijaków salwę śmiechu i kaszlu. Niektórzy z nich przyłączyli się

do drwin:

– Mama jej kazała! A jakże, mama jej kazała!

Stojący za Bess mężczyzna bezwstydnie się do niej przycisnął. Zarumieniła się, czując wyraźnie jego twarde członek na własnych pośladkach. W jednej chwili cały odczuwany strach zastąpiła wściekłość. Jakim prawem traktował ją w ten sposób? Jakie prawo miał do tego jakikolwiek mężczyzna? Odwróciła się na pięcie, zaskakując natręta swym nagłym ruchem tak bardzo, że odsunął się odrobine.

– Panie! Nie zachęcałam cię do zalotów i nie są mi one miłe! Grupa zebranych wydała zgodny ryk zaskoczenia i zachwytu.

– Ato pieskie szczęście, Davy! – zakpił jeden ze śmiechem. – Temu dziewczęciu twoje zaloty niemiłe!

– Ale przynajmniej nazwała cię panem! – włączył się inny. Mężczyznę poruszyły jawne drwiny. Wystąpił na przód, przyciskając ją do baru.

– A może wolisz bardziej bezpośrednie stosunki – stwierdził.

Bess poczuła się chora na myśl o dalszym równie intymnym i agresywnym kontakcie.

– Panie, odsuń się ode mnie – czuła narastającą wściekłość i wiedziała, że musi się opanować niezależnie od prowokacji.

– Uważasz się za zbyt dobrą dla takiego jak ja? Myślisz może, że któregoś dnia będziesz panią w Batchcombe Hall? – kiedy wypowiadał te słowa, krople cuchnącej śliny

pryskały na twarz Bess. Powstrzymała pragnienie otarcia ich.

– Ostrzegam cię...

– Ty mnie ostrzegasz, dziewczyno? – roześmiał się. – Czego mam się bać? Tego prostaka twojego brata? A może starego Hawksmitha we własnej osobie?

Gdy padło nazwisko jej ojca, wielu spośród stojących najbliżej ucichło. Najwyraźniej niektórzy znali los rodziny, choć nie jej dręczyciel. Bess otworzyła usta, lecz była tak wściekła, że nie potrafiła znaleźć słów zdolnych wyrazić jej stan. Nigdy wcześniej nie czuła takiej złości, a teraz ten obleśny gbur kierował dłoń w stronę jej piersi. Pragnęła dać wyraz gniewowi, jednak jakaś część jej istoty bała się to zrobić, niepewna konsekwencji. Chwyciła więc tylko kamionkowy dzban stojący na kontuarze i śmignęła nim w powietrzu. Gdy napotkał twarz Davy'ego, rozległ się huk tłuczonego naczynia, a zaraz po nim głuche uderzenie ciała o ziemię. Powietrze wypełniły krzyki i śmiechy. Agnes utorowała sobie drogę przez tłum.

– Wynieście go stąd, zanim narobi większych kłopotów, a ty – wskazała Bess z niezadowoleniem – jeżeli tak bardzo pragniesz spotkać się z moim mężem, przejdź przez te drzwi i załatw to szybko. – Głową wskazała przeciwległy róg izby.

Bess nie czekała na dalszą zachętę, lecz pospieszyła w tamtym kierunku, z sercem bijącym z wrażenia związanego z popełnionym czynem, z mocą jej własnego gniewu.

Po drugiej stronie drzwi znajdowało się wąskie przejście. W mroku Bess udało się znaleźć z boku prowadzące w dół stopnie i kolejne drzwi na końcu korytarza. Trzymając się ściany, dotarła do tamtych drzwi i otwarła je na oścież. Powitała ją scena dzikiego podniecenia. W pomieszczeniu, w którym być może kiedyś trzymano bydło lub konie, teraz wygrzebano w polepie okrągłe zagłębienie. Wokół tej swoistej areny zebrał się tłum podniecony tym, co działo się w kręgu. Bess przepchnęła się przez krzyczących i wymachujących rękami mężczyzn, i zobaczyła, co było przyczyną tak gorączkowych wrzasków i przekleństw. Na środku zagłębienia rzucały się na siebie dwa koguty. Oba były zakrwawione i oba miały lepkie ostrogi z kości przyczepione do własnych. Ptaki wydawały się być równe wagą, lecz jeden z nich demonstrował zdecydowanie większą energię. Miał miedzianno-czerwone pióra na szyi, które odstawały niby kreza. Skoczył w powietrze i wylądował, z pazurami i ostrogami wysuniętymi naprzód, na swym słabnącym przeciwniku. Gdy ten upadł pod jego ciężarem, ze świeżej rany w jego boku popłynęła krew, co wywołało wiwaty publiczności. Bess przeniosła wzrok z nieszczęsnego stworzenia na otaczających ją mężczyzn. Dostrzegła pieniądze ściskane w garściach i błyski w oczach. Czy w podniecenie wprawiał ich hazard, czy widok tak brutalnie przelewanej krwi? Nerwy Bess były już znacznie nadszarpnięte zdarzeniem w gospodzie, a teraz dziewczyna poczuła, że pragnienie przemocy wokół niej zaczęło

brać ją we władanie. Powrócił gniew. Spojrzała na błyszczące twarze mężczyzn i godny pożałowania stan ptaków i nie dała rady tego dłużej znosić. Zamknęła oczy. Niepewna tego, co właściwie usiłuje zrobić, poszła za głosem instynktu, gromadząc całą swą wolę, siłę, wściekłość. Zebrała je w całość, a potem uwolniła, gwałtownie otwierając przy tym oczy. Drzwi po obu stronach izby się rozwarły. Przez pomieszczenie przeleciał szalony podmuch wiatru, unosząc chmurę kurzu i słomy, oślepiając krzyżącą tłuszczę, wirując w chaosie krzyków i duszącego pyłu poderwanego z podłogi. Trwało to zaledwie pół minuty, a potem wszystko ucichło równie nagle, jak się zaczęło. Przy wtórze kaszlu i przekleństw powietrze znów stało się czyste, ukazując puste już zagłębienie. Ptaki zniknęły. Po zbiorowym westchnieniu zaskoczenia tłum zaczął rzucać oskarżenia o nadużycie, a jednocześnie rozpoczęto poszukiwania zaginionych kogutów. Bess spokojnie stała pośrodku tego zamieszania, szukając wzrokiem pana Crabtree.

Gdy omiotła spojrzeniem izbę, wstrzymała oddech na widok stojącej z tyłu wysokiej postaci w czarnym filcowym kapeluszu z szerokim rondem. Gideon Masters. Cóż skłoniło tak samotnego człowieka do udziału w zdarzeniu o takim charakterze? Napotkał jej wzrok i na jego twarzy zagościł ledwie widoczny uśmiech. Szybko odwróciła wzrok, pewna, że on i tylko on wiedział, co robiła. Atmosfera stawała się coraz bardziej gwałtowna i mężczyźni potracali dziewczynę. Wybuchwały bójki

i wkrótce pomieszczenie przypominało pole bitwy. Wreszcie Bess zauważyła Jamesa Crabtree, który stał obok Gideona, patrząc na otaczające go szaleństwo i potrząsając głową z niedowierzaniem. Zebrała się na odwagę i ruszyła w jego stronę.

– Panie Crabtree – z trudem udało jej się mówić wystarczająco głośno. – Panie Crabtree!

Teraz na nią spojrział.

– Na Boga, a cóż my tu mamy?

– Bess Hawksmith. Mam trochę cydru na sprzedaż, jeśli pan chce.

– Masz go teraz? A gdzież on może być? – rozejrzał się wokół niej, jakby oczekując, że wyjmie go spod opończy.

– No, na naszej klaczy, przed pańską... gospodą. Crabtree roześmiał się.

– Możeś go tam i zostawiła, Bess Hawksmith, ale postawię swoją wygraną z tego wieczora, że teraz go tam nie ma!

– Co? – Bess była przerażona. – Co pan mówi? Przecież nikt by go nie wziął?

Właściciel zaczął się oddalać, ciągle śmiejąc się do siebie.

– Będziesz miała szczęście, jeżeli zostawili twoją szkapę, dziewczyno! Wierz mi!

Bess patrzyła za nim, a potem przeniosła wzrok na Gideona. Była pewna, że jej rozpacz sprawiła mu radość, choć twarz miał niewzruszoną. Odwróciła się i wypadła

przez tylne drzwi. Na zewnątrz wiatr przybrał na sile. Pobiegła przed budynek. Szepta drzemała, oparta o ścianę, by dać odpocząć tylnej nodze. Juki były puste.

– Nie! Och nie! – W tej chwili Bess nie potrafiła zdecydować, kogo nienawidzi bardziej, złodziei, którzy ją obrabowali, czy siebie z powodu własnej głupoty.

Wyczuła, że nie jest sama, a potem usłyszała łagodne mruccando, znaną melodię nuconą niskim głosem. Nawet bez słów wiedziała, że ta piosenka to „Greensleeves”. Ojciec często prosił ją, by to zaśpiewała. Bess zeszywniała, gdy Gideon stanął obok niej. Przestał śpiewać i tylko na nią patrzył. Bess powstrzymała łzy, zdecydowana nie ponizować się bardziej w jego oczach.

– Najwyraźniej nie wszystkim ludziom można ufać – stwierdził, wypowiadając słowa łagodnie, lecz w jego głosie czuć było niewątpliwą siłę.

Bess zignorowała go i odwiązała konia.

– Jaka szkoda – ciągnął – że ktoś wykorzystał tak ufną naturę. W tych ciemnych czasach niewinność jest rzadką rzeczą. Nie podoba mi się takie nadużycie.

Bess podniosła na niego wzrok, niepewna, czy drwi z niej, czy też okazuje prawdziwą troskę. Nie była w stanie odczytać wyrazu jego twarzy. Skończyła odwiązywać wodze i zaczęła odwracać konia.

– Co powiesz matce? – spytał Gideon, nie próbując usunąć się z jej drogi.

– Cóż, oczywiście prawdę.

– Nie zbeszta cię za głupotę?

– Wolałby pan, żebym skłamała, by ocalić twarz? Jaką byłabym wówczas córką?

– Może zmyślną?

– Lepiej głupią i uczciwą, niż przebiegłą i kłamliwą.

– Bess, to piękne sentymenty. Doceniam twoją prawość. Sposób, w jaki wymówił jej imię, wprowadził Bess w niepokój. – Nie potrzebuję pańskiej aprobaty, panie.

Teraz uśmiechnął się naprawdę, najwyraźniej rozba-
wiony jej przekorą. Jego twarde rysy i ciemne oczy
zmiękły i zmieniły się pod wpływem tego szerokiego
uśmiechu. Przy oczach pojawiły się zmarszczki i w tym
momencie łatwo było uwierzyć, że ten człowiek jest
z natury łagodny i radosny. Bess stwierdziła, że ta nowa,
przyjemna i czarująca odsłona mężczyzny jest jeszcze
bardziej niepokojąca od zwykłej. Wbiła wzrok w ziemię
i próbowała go ominąć. Wyciągnął rękę, powstrzymując
ją bez słowa.

– Kupię od ciebie cydr, Bess – powiedział.

Bess poczuła, że gniew znowu dodaje jej sił, ale przy-
pomniała sobie, że mężczyzna był już świadkiem wyników
jej siły. Świadomość, że widział tę jej sekretną część, że
w pewien sposób mimo woli odsłoniła się przed nim była
niepokojąca.

– Odsunie się pan, czy będę musiała ciągnąć klacz
dookoła pana, dostarczając dalszej rozrywki?

– Czemuś taka nerwowa? Zaproponowałem tylko, że
kupię od ciebie cydr.

– Wiedząc, że nie mam nic na sprzedaż.

– Naprawdę? Jesteś pewna?

Popatrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami, a potem odwróciła się w stronę konia. Juki wybrzuszały się. Chwyliła je, nie rozumiejąc tego, co widzi. Chwilę wcześniej były puste, tego była pewna. Teraz jednak butelki powróciły na miejsce, a każda z nich, sądząc po wadze, była pełna. Wyjęła zatyczkę jednej i powąchała zawartość. Powitał ją niewątpliwie słodki owocowy aromat. Bess poczuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Powoli odwróciła się z powrotem do Gideona, który od niechcienia głaskał uszy Szepty.

– Cóż to za sztuczki? – spytała, a jej słaby głos porwał podmuch wiatru, który zrzucił jej kaptur i wycisnął łzy z oczu.

Gideon spojrzał jej w oczy i rzekł:

– Nie sztuczki, Bess. Zwykła magia. Wierzysz w magię, prawda?

– Wierzę, że takie słowa to bluźnierstwo i ludzi wieszano za mniejsze przewinienia.

– To dlatego, że jesteś bogobojną młodą kobietą, którą dobrze zaznajomiono z prawami rządzącymi światem. Cóż innego masz myśleć pomiędzy tymi wszystkimi książkami, do których przeczytania zmusiła cię matka, a suchymi słowami wielebnego Burdocka? – postąpił krok bliżej, własnym ciałem osłaniając ją od wiatru tak, że pomiędzy nimi utworzyła się oaza spokoju pośród dzikości odchodzącego dnia.

– Ale wiesz, Bess, w głębi serca znasz prawdę. Magia

jest wszędzie wokół nas. W tych sunących chmurach. W tym paskudnym wietrze, który nawet teraz wciska ci się pod ubranie, kładąc chłodne palce na twym miękkim młodym ciele. W cydrze, który znika i pojawia się znowu – powoli uniósł dłoń i lekko dotknął pukla włosów, który wysunął się spod czepka Bess. – I w tobie, Bess, w tobie także jest magia.

– Nie wiem, o co panu chodzi.

– Sądzę, że wiesz. Wiem, co widziałem. Wiem, co zrobiłaś. Czy te słowa wydają ci się znajome? Powinny. Tak do mnie mówiłaś nie tak dawno temu. Bess, ty i ja nie różnimy się od siebie aż tak bardzo. Chciałbym, byś to dostrzegła. Nie udawaj, że nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego przeżyłaś zarazę, choć innym się nie udało. Jak często słyszysz, by ktoś tak bardzo chory na jakąś paskudną chorobę wrócił do zdrowia, co? Bez jednej skazy na ślicznej różowej skórze.

– Miałam szczęście – Bess słyszała drżenie własnego głosu.

– Szczęście? Czy może sądzisz, że to Bóg cię oszczędził? Dlaczego miałby to zrobić? Sądzisz, że jesteś lepsza od innych? Czy tak jest?

– Wiem tylko, że to mama pomogła mi wrócić do zdrowia.

– Faktycznie tak było. Faktycznie tak było – skinął głową, a potem opuścił dłoń. – Z pewnością znalazła dla ciebie jakieś silne lekarstwo. Czy powiedziała ci, jak tego dokonała? Pytałaś, jakich ziół użyła? – nadał wyrazowi *ziół*

drwiące brzmienie.

Bess nie mogła zrozumieć sensu jego wypowiedzi. Najwyraźniej sugerował, że jej matka uratowała ją za pomocą magii. Ale to nonsens. Jej matka nie znała magii. Jej matka nie była czarownicą. A przecież wyglądało na to, że wiedział więcej od niej, zupełnie jakby dysponował jakąś wiedzą na temat tego, co zrobiła jej matka. I jak to zrobiła.

Gideon sięgnął do kieszeni i wyjął cztery monety. Wcisnął je w dłoń Bess.

– Za cydr – powiedział. – Pospieszaj teraz do domu, robi się ciemno. – Mówiąc te słowa, dotknął róna kape-lusza i skłonił w jej stronę głowę, a potem przeszedł obok niej i jął się oddalać. Bess spojrzała na monety. Była to dobra cena.

– Ale cydr... – zawołała za nim. – Nie zabrał pan cydru. Odpowiedział, nie odwracając głowy.

– Sądzę, że przekonasz się, że zabrałem. Miłego dnia. Bess. Do następnego spotkania.

Bess zawróciła, a gdy stwierdziła, że juki znów są pu-ste, zwisając luźno i płasko na bokach klaczy, otwarła usta ze zdziwienia. Odwróciła się z chaosem w głowie, lecz Gideon zniknął.

5

W drodze do domu Bess zamierzała opowiedzieć matce, co się stało. Dlaczego miałyby tego nie robić? Lecz mimo to, gdy nadeszła po temu pora, nie miała ochoty w ogóle wspominać nazwiska Gideona Mastersa. Zaskoczyła ją własna powściągliwość. Ostatecznie powiedziała jedynie, że sprzedała cydr, a jej matka, zadowolona z ceny, nie zadawała dalszych pytań. Mijały kolejne dni, oddalając odpowiednią chwilę, więc Bess niebawem zdołała przekonać samą siebie, że nie ma nic więcej do powiedzenia. W chwilach spokoju jednakże, gdy mogła powrócić myślami do owego smaganego wiatrem miejsca przed gospodą, gdzie była świadkiem działania magii, Bess wiedziała, że na odpowiedź czeka setka pytań. Jakie moce posiadał Gideon, że mógł robić takie rzeczy? A co wiedział na temat tego, w jaki sposób uratowano Bess podczas zarazy? Wielokrotnie obracała te pytania w głowie, a jednak coś powstrzymywało ją od zadania ich matce. To, wiedziała, było najbardziej kłopotliwe pytanie ze wszystkich: dlaczego nie mogła się zmusić, by opowiedzieć matce, co powiedział jej Gideon? Co bała się usłyszeć?

Długa zima z ociąganiem jęła zmierzać ku ciągle umykającej wiosnie. Bezpłodna krowa zachorowała i padła. Kury nie miały ochoty zacząć znosić jajek. Samotna świnia całkiem straciła zmysły i dołożyła Bess i tak

trudnych obowiązków, regularnie uciekając z podwórza, gdzie trzeba było ją przyprowadzać po długich poszukiwaniach. Przy jednej z takich okazji, gdy Bess popychała i zaganiała paskudne zwierzę z powrotem do domu, pojawił się nieoczekiwany gość. Tego dnia nie było wiatru ani deszczu, więc Bess słyszała tętent zbliżających się kopyt. Zostawiła świnię i zerknęła w dół krętej ścieżki, patrząc na zbliżającego się lśniącego jeźdźca.

William, pomyślała. Właśnie tak. Nie miała dość sił, by wyrobić sobie jakąkolwiek opinię na temat jego tu obecności po tak wielu miesiącach niewidzenia. Zatrzymał konia i zsunął się z siodła, witając ją formalnym ukłonem. Bess przyglądała mu się ze spokojem. Gdy się wyprostował i skierował na nią wzrok, po jego reakcji poznała, ile zabrały jej poprzednie miesiące. Wiedziała, rzecz jasna, że nie mogła przeżyć tego wszystkiego bez jakichś zewnętrznych oznak cierpienia, ale przykro było zobaczyć to tak wyraźnie na przystojnej młodej twarzy Williama. Co prawda nie miała żadnych śladów po samej chorobie, jednak żałobie i złamanemu sercu towarzyszyła ciężka zima. Dobrze wiedziała, że nie była tą samą dziewczyną, z którą William minionej jesieni spacerował po placu kościelnym. Jej skóra utraciła młodzieńczy blask, a figura – wczesną zapowiedź płodności i rozkoszy. Teraz ciało wisiało jej luźno na kościach, jej z natury szczupła sylwetka sprawiała wrażenie zabiedzonej i wątłej, a nie gibkiej i eleganckiej. Włożyła dłoń we włosy, wiedząc, że są brudne i rozczochrane, ale zaraz opuściła ją na spód-

nice, nie czyniąc żadnego wysiłku, by strzepnąć z ubrania pył. Zaciśnęła zęby. Niech ją zobaczy taką jaka jest. Nie było sensu udawać.

William stanął przed nią z rozbieganym wzrokiem.

– Bess, przyjmij moje kondolencje. Z największą przykrością dowiedziałem się o twoim nieszczęściu. Twój ojciec był dobrym człowiekiem, a twój brat i siostra...

Nie dokończył wypowiedzi, gdyż wyćwiczona grzeczność nic podpowiedziała mu, jak należy właściwie wyrazić współczucie.

Bess w odpowiedzi jedynie skinęła głową. Cisza szybko urosła w kamienny mur. Bess pragnęła go obalić, lecz czuła, że nie da rady. To William powinien wyciągnąć dłoń. Nie było innej możliwości. Czekala.

– Przyjechałbym wcześniej, ale dopiero wróciłem. Z Francji. Wraz z bratem wysłano mnie tam w interesach. W zastępstwie ojca.

– Wielu jest takich, którym udało się uciec przed zarzą.

– Bess, nie potępiaj mnie, proszę. Wyjazd nie był moim wyborem.

Bess pomyślała, że wyglądał na znacznie młodszego, niż go zapamiętała. Ciagle był chłopcem. Ona zaś nie była już dziewczyną. Jej młodość została pochowana wraz z rodziną. Westchnęła, wiedząc, że pomiędzy nią a Williamem właśnie otwarła się kolejna przepaść. Kolejna rzecz, która ich dzieliła.

– A ty? – William próbował się uśmiechnąć. – Dobrze

się czujesz, Bess? A twoja matka?

– Jak widzisz.

– Widzę, że cierpiałaś. Bess, pragnę ci pomóc. Szczerze. – Poszedł bliżej. – Wiem, że musi wam być ciężko prowadzić gospodarstwo bez...

– Robimy co trzeba.

– Ale to z pewnością zbyt wiele, Bess. Wyglądasz na wyczerpaną.

– Ni mniej, ni więcej niż każdy inny człowiek, który musi się opiekować bydłem i pracować w polu i który nie ma zbyt wiele jedzenia zapewniającego mu siły do pracy – stwierdziła Bess, nie próbując nawet ukryć goryczy w głosie.

– Pozwolisz, żebym ci pomógł? Sądzę, że wiesz, iż zawsze darzyłem cię uczuciem, Bess. Mam nadzieję, że uważasz mnie za przyjaciela.

Bess była zaskoczona. Czy wybrał ten moment, by zadeklarować swe uczucia do niej? Stała przed nim w wytartym i nędznym odzieniu, nędzarka wśród chłopów, której cała uroda zniknęła – i on zamierzał teraz mówić o miłości? O małżeństwie? Małżeństwie, które nawet za dawnych czasów byłoby bzdurnym pomysłem, budzącym sprzeciw i pytania? Czy on naprawdę wierzył, że ojciec pozwoli mu wybrać taką kobietę na narzeczoną? Bess poczuła szloch narastający w gardle. Nie wiedziała, czy spowodowała to myśl o ratunku od nieubłaganej walki z biedą, czy też idea ciepła i komfortu płynąca z uczucia Williama do niej. Nogi się pod nią ugięły, zupełnie jakby

miała upaść na ziemię. Widząc to, William czym prędzej objął ją ramieniem, by ją podeprzeć.

– Nie martw się, Bess. Nie pozwolę, abyś tak cierpiała. Zobaczysz. Przyszedłem ci powiedzieć, że odeszła ze służby Lily Bredon, która przez wiele lat była pokojówką mojej drogiej matki. Po jej śmierci Lily została ochmistrzynią, ale nie jest już młoda i będzie teraz mieszkać z siostrą w Dorchester. Natychmiast pomyślałem o tobie i twojej mamie. Potrzebujemy ochmistrzyni, a jeszcze jedna dziewczyna kuchenna też by się przydała, szczególnie teraz, gdy mój brat zamierza się żenić. Czworaki są dość przytulne i ciepłe. Praca nie jest zbyt ciężka, moim zdaniem, i nigdy już nie będziesz głodna. Czyż to nie idealne rozwiązanie? Powiedz, że natychmiast porozmawiasz o tym z matką.

Bess wpatrzyła się w niego z niedowierzaniem. Oczy błyszczały mu radością, że mógł zaoferować tak wspaniałą możliwość wybawienia. W wyrazie jego twarzy widziała jedynie szczerą i dobroć, tego była pewna. Rozumiała, że w swej naiwności nie ma pojęcia, jaki ból jej właśnie sprawił. Gdzieś w głębi poczuła coś dziwnego, czemu towarzyszył bulgoczący dźwięk, którego początkowo nie rozpoznała. Dopiero gdy stał się głośniejszy i mocniejszy, zorientowała się, że to śmiech. Nie lekki śmieszek czy nerwowy chichot, lecz potężny rechot z głębi brzucha, tak głośny i nieoczekiwany, że William cofnął się o krok. Bess śmiała się tak bardzo, że rozboleła ją całe ciało, a z oczu pociekły niepowstrzymane łzy. William patrzył

na nią, wyraźnie zaniepokojony, że to on w jakiś sposób ściągnął na nią to szaleństwo. Bezsilnie machnęła dłonią.

– Wybacz mi, Williamie – stwierdziła. – Jak widzisz, nie jestem już w stanie powstrzymać najprostszych emocji. A poza tym, czyż prosty błazen nie może wywoływać radości?

– Nazywasz mnie błaznem?

– Nie – potrząsnęła głową, ocierając oczy. – Nie ciebie, dobry, miły Williamie. To ja jestem prostytutką. Zasluguje na to miano. I na nic więcej. Przecież pół wsi usilnie starało się mi to powiedzieć, ale ja nic chciałam słuchać.

– Nie rozumiem cię, Bess. Wydawało mi się, że oferuję ci nadzieję, pomagam w potrzebie, ale ty wyśmiałaś moją propozycję.

– Twoja propozycja jest szczodra. Jest rozsądna, dokładnie tak, jak należało się po tobie spodziewać. Tym, co nas dzieli bardziej niż cokolwiek innego, jest rozsądek. Williamie, ty wiesz o świecie znacznie więcej, niż przypuszczałam. – Odzyskała panowanie nad sobą i zorientowała się, że zaczynają ogarniać bezgraniczny smutek. Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak silnym uczuciem darzyła Williama. Przeceniła własną wartość, nie przyjmowała słów tych, którzy lepiej znali porządek świata, a teraz serce cierpiało przez jej własną głupotę. Jakże mogła wierzyć, że William Gould z Batchcombe Hall mógłby widzieć w niej swą przyszłą żonę? – Przepraszam, Williamie – rzekła w końcu. – Twoja propozycja jest hojna, prawdziwa, jednak nie mogę jej przyjąć.

William zaszurał stopami, kręcąc się niespokojnie, i dopiero po chwili podniósł wzrok, uśmiechając się przy tym niepewnie. Wyciągnął rękę i ujął dłoń Bess. Dziewczyna z przykrością zdała sobie sprawę, że w porównaniu z jego gładką dłonią skóra jej palców jest pokryta odciśkami i stwardniała. Gdy się odezwał, w jego głosie słychać było tęsknotę.

– Czy tak szybko możesz zrezygnować z szansy bycia blisko mnie? – zapytał.

Teraz zrozumiała. Prychnęła oszołomiona, wyrywając przy tym dłoń, i potrząsnęła głową.

– Przysięgam, że nie mam pojęcia, jakie jeszcze zaskakujące słowa usłyszę dziś z twoich ust! Najpierw prosisz, żebym weszła do twojego domu jako służąca, choć nazywasz mnie przyjaciółką. Teraz poznaję twój plan, bym zamieszkała tam jako twoja kochanka, która będzie blisko, gdy najdzie cię taki kaprys, spragniona wszystkich okrucichów uczucia, jakim zechcesz mnie obdarzyć!

– Bess, ja...

– Nie! Błagam, nie mów nic więcej. Williamie, widzę, że źle oceniłam twój charakter. W tych twoich uśmiechniętych oczach naiwnie widziałam dobroć i niewinność. Jakże się myliłam. – Odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku domu, a jej ciężkie buty mlaskały w lepkim błocie na ścieżce.

– Bess, nie odwracaj się ode mnie. Pozwól mi zostać swoim przyjacielem! – wołał za nią.

Nie zatrzymując się i nie odwracając, Bess odkrzyk-

nęła:

– Nie potrzebuję przyjaciela, który uważa, że jestem wystarczająco dobra, by dzielić jego łóżko, lecz nie nazwisko. Miłego dnia, Williamie Gould!

Po dotarciu do chaty Bess nadal targała wściekłość. Zatrzasnęła za sobą drzwi tak, że matka usłyszała jak zadrzęły w futrynie i wyszła z mleciami.

– Bess? Co się stało?

Bess zerwała szal z ramion i rzuciła go na ławę.

– Właśnie dostałam lekcję prawdziwej natury mężczyzn – oznajmiła, przemierzając nerwowymi krokami izbę.

– Och. A kto był twoim nauczycielem?

– Sam William Gould, dziedzic Batchcombe Hall, niedługo pan tych wszystkich gruntów. Pan, który jak każdy inny weźmie w swą wysoko urodzoną dłoń wszystko, czego zapagnie, i nagnie do swojej woli.

Na twarzy Anne odmalowało się przerażenie.

– Skrzywdził cię?

– Nie, wręcz przeciwnie, mamó. Prawdę mówiąc, powinnam mu podziękować, że otworzył mi oczy. Opowiem ci, po co przyjechał po długiej nieobecności. Czy może po to, żeby spędzić trochę czasu z przyjaciółką? A może sądzisz, że przyjechał wyrazić głębię swych prawdziwych uczuć do mnie? Nie, nic z tych rzeczy. Chciał łaskawie złożyć propozycję zatrudnienia. Powiedz mi, mamó, jak by ci to pasowało? Jesteś gotowa, by zostać ochmistrzynią w Batchcombe Hall? Służyć rodzinie Gouldów? W naj-

bliższej przyszłości podlegać Williamowi jako swemu panu i władcy?

Anne zaskoczyła Bess reakcją. Nie odrzuciła tego pomysłu od razu ani się nie obraziła. Usiadła za to na ławie i oparła łokcie na stole. Bess widziała, że próbuje przetrwać nowinę.

– Mamo, czy mam sądzić, że rozważasz dla nas taki los?

– Bess, moje położenie nie pozwala mi takiej oferty odrzucić bez zastanowienia. Nie dajemy rady prowadzić gospodarstwa. Wiesz to.

– Czy tego właśnie chcesz dla nas? Żebyśmy były służącymi?

– Czy uważasz, że jesteś lepsza od tych, którzy wykonują taką pracę? Kiedy tarzasz się w błocie, żeby podnieść chorą świnię, albo wyciągasz z włosów wszy, które złapałaś od owiec, albo padasz brudna na łóżko w nieświeżą pościel, czy uważasz się za zbyt dobrą, by być służącą, Bess?

Bess nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziała matce. – William zaplanował dla mnie bardziej rozbudowaną rolę. Widział mnie jako swą przyszłą kochankę, tak wygodnie zamieszkującą czworaki dla służby. A na to co powiesz?

– Każda kobieta musi wybrać sobie pana. William to dobry człowiek. Mógłby cię chronić.

– Przysięgam, że takie słowa doprowadzają mnie do szaleństwa! Moja własna matka radzi mi przyjąć taki los!

Tak niskie masz o mnie mniemanie?

– Jesteś moim kochaniem. Jesteś dla mnie wszystkim, Bess. Chciałabym tylko, żebyś była bezpieczna. Miała zabezpieczenie.

– A nie martwisz się moją reputacją?

– Reputacja jest dla tych, którzy mogą sobie na nią pozwolić.

– A moja wolność?

Anne popatrzyła na córkę zwięzonymi oczami.

– Czy tak niewiele cię nauczyłam? Czyż nie wiesz, Bess, że żadna kobieta nie jest wolna? Prawdę mówiąc, jej cała wolność to wybór pana.

– Czy tata był twoim panem?

– Z całą pewnością tak.

– Nie! Traktował cię jak równą sobie!

– Mylisz się, Bess. W domu może być tylko jeden pan.

– Teraz więc, kiedy łaskawa śmierć uczyniła cię wolną, pragniesz tę wolność porzucić i pozwolić mi się ponizać przed nowym panem?

– Gouldowie to dobra rodzina.

– Nie wydaje mi się, by ich moralność była w porządku. Anne ciężko oparła się na łokciach i rzekła z westchnieniem.

– Bess, nie masz pojęcia o świecie, a to z mojej winy, nie twojej. Powinnam cię lepiej nauczyć. Powinnam ci wyraźnie pokazać, gdzie twoje miejsce. A ja wspierałam twą siłę charakteru, twoją odwagę, inteligencję. Teraz widzę, że wcale ci nie pomogłam.

– Nie, mamó. Nieprawda. – Bess usiadła naprzeciw Anne i mocno chwyciła jej dłonie. – Wychowałam mnie na osobę, którą teraz jestem, i nie pozwolę, by ktoś zniszczył nas obie. Nie pozwolę na dalsze poniżanie. Znajdziemy jakiś sposób, by zostać tutaj, pracować w gospodarstwie i odbudować życie.

– Bess, w twoją odwagę nikt nie wątpi, ale zaprzeczanie naszym ograniczeniom daje fałszywą nadzieję.

– Udowodnię ci, że nie potrzebujemy mężczyzny. Anne potrząsnęła głową.

– Córko, bez pomocy mężczyzny dzieliłabyś grób z własną siostrą.

Bess poczuła ucisk w sercu. Czekwała na dalsze wyjaśnienia.

– Kiedy dopadła cię zaraza, ujrzałam, że cię tracę. Próbowałam wszystkich możliwych lekarstw, lecz naderemno. Zorientowałam się, że ty też mi się wymkniesz. Jak twój brat i siostra. Jak twój ojciec. Nie mogłam siedzieć i patrzeć, jak umierasz, dziecko. Nie mogłam. Poszłam do Gideona.

Bess zmarszczyła brwi.

– Ale dlaczego? Dlaczego uznałaś, że to właśnie on może pomóc?

– Wielu rzeczy nie wiesz o Gideonie Mastersie. Tylko niewiele osób zna prawdę o tym mężczyźnie. Prawdę mówiąc, to nie jest coś, co wiele osób zrozumie. Ale ja wiedziałam. Zawsze to wiedziałam. – Ścisnęła dłoń córki, ale nie była w stanie spojrzeć jej w oczy, więc mówiła,

patrzając w ziemię. – Twoja babka była znana ze swych lekarskich zdolności, podobnie jak jej matka i babka. Posiadana przez siebie wiedzę przekazały mnie, ucząc teorii i praktyki, ja zaś próbowałam ją przekazać tobie. Kobiety w naszej rodzinie dobrze sobie radziły, Bess.

Były świadkami bezpiecznych narodzin wielu pokoleń dzieci, leczyły choroby niemowląt, łagodziły cierpienia wszystkich potrzebujących pomocy. Nie było w tym nic bezbożnego. Żadnych czarów. Żadnej magii. Proste leki, ziołowe wywary, nalewki i maści. To wszystko. Ale czasem, jak w przypadku twojej siostry, to nie wystarcza. Nie udało mi się uratować Thomasa. Nie udało się uratować Margaret. Ani twojego biednego ojca. Wiedziałam, że nie dam rady uratować i ciebie. Gideon był naszą jedyną nadzieją. Poszłam do jego chaty w lesie i zaczęłam błagać, żeby cię uzdrowił. Przyrzekłam zrobić wszystko, dać mu cokolwiek zechce, zapłacić każdą cenę, byle tylko przywrócił ci zdrowie. Wiedziałam, że jest w stanie tego dokonać. A on dostrzegł, że ja wiem.

Anne puściła dłonie Bess i wyprostowała się, jakby niezdolna powiedzieć resztę, nie raniąc córki. Bess pragnęła zadać setkę pytań, lecz zmusiła się do zachowania ciszy i pozwoliła matce dokończyć opowieść.

– Wprowadził mnie do środka. Ostrzegł, że z drogi, na którą mieliśmy wejść, nie będzie odwrotu. Kazał mi dwukrotnie powtórzyć, tego właśnie pragnę, bez względu na cenę. Dopiero gdy był pewien mojej determinacji, zaczął działać. – Anne potrząsnęła głową i potarła oczy. – Och,

Bess, taka moc w rękach jednego człowieka to rzecz zarówno cudowna, jak i przerażająca. Zostałam tam na całą noc, przyglądając się inkantacjom, zaklęciom i modlitwom, rytuałom i dziwnym czynnościom. Po izbie tańczyły białe płomienie, a wokół słychać było dźwięki... nieziemskie dźwięki, jakich nie słyszałam nigdy wcześniej. Nie umiem ci ich teraz opisać. Przez długi czas nie kazał mi nic robić. A potem, blisko świtu, Gideon pchnął mnie w przód, do wnętrza kręgu, który zaznaczył na podłodze. W nim narysował pięcioramienną gwiazdę. Składał ofiary, mówił w dziwnych językach. Tamtej nocy całe powietrze w izbie czuć było magią, przysięgam. Dookoła mnie wirowały kształty, kolory i dźwięki nie pochodzące z tego świata. – Annę wstała z wzrokiem rozjaśnionym tym wspomnieniem. Jej mizerna twarz, otoczona kredowobiałymi włosami, sprawiała wrażenie odległej i nieprzytomnej. – Czułam to. Czułam moc, którą zebrał Gideon. To było przerażające. Niepodobne do niczego innego. Pochodząca z tego siła dotarła do mojej duszy. Mówię ci, nigdy wcześniej się tak nie bałam. – Spojrzała w dół na Bess, a na jej twarzy widniała teraz ekstaza. – Nigdy się tak nie bałam i nigdy nie czułam się bardziej żywa! Bess udało się wykrztusić:

– Użyłaś magii, żeby mnie wyleczyć? I tę magię dał ci Gideon?

– Tak. I się udało! Gdy tylko poczułam, jak we mnie wstępuje, zorientowałam się, że mam dość siły, by cię wyleczyć. Wiedziałam, że jesteś uratowana. Wróciłam do

domu i zrobiłam tak, jak nauczył mnie Gideon. Złożyłam ofiary. Zapaliłam świece. Powtórzyłam dziwne pieśni i inkantacje. A ty przeżyłaś! – uśmiechnęła się teraz, a jej twarz promieniała radością wynikającą z przeszłych wydarzeń.

Bess odzyskała mowę dopiero po dłuższej chwili, a przecież musiała się odezwać. Jeszcze jedno pytanie wymagało odpowiedzi.

– Mamo – wstała i ostrożnie dobierała słowa. – Powiedz mi, jaką cenę zapłaciłaś za tę magię?

Anne odwróciła wzrok, kręcąc głową.

– Jaką cenę! – nalegała Bess.

– Nie! Nie pytaj mnie o to – Anne podniosła głos i wyciągnęła dłoń, jakby pragnęła powstrzymać dalsze pytania. – Nigdy mnie o to nie pytaj, Bess. Nigdy.

Bess pragnęła naciskać dalej, lecz stwierdziła, że nie jest w stanie. Matka ujawniła jej i tak wystarczająco dużo. W głowie miała zamęt. Potrzebowała czasu, by zastanowić się nad tym, co usłyszała. Dalsze wyjaśnienia muszą poczekać na inny dzień. Ale ten dzień nadejdzie. Bess pozna odpowiedź.

Następnego ranka obie wstały przed świtem, by odpowiednio wcześnie rozstawić kram na targu w Batchcombe. Nie miały na sprzedaż sera, masła ani jajek. Zabrały natomiast niewielki pęczek koronkowych kołnierzyków i samotną świnię. Zwierzę wydawało się wyczuwać, że opór nie ma sensu, i pozwoliło się wprowadzić po prowizorycznym podeście na tył starego wozu. Szeptła prze-

bierała kopytami w powolnym i niezmiennym tempie, więc w przeznaczony dla siebie kąć głównej ulicy przybyły chwilę po ósmej.

Od ostatniej jesieni nie brały udziału w takim zgromadzeniu i Bess z zaskoczeniem stwierdziła, że targ jest znacznie mniejszy. Zniknął zwykły rwetes i zgiełk, zniknęły dobrodusze żarty pomiędzy właścicielami kramów, plotki kobiet i przechwałki mężczyzn. Brutalna zimowa pogoda i bezlitosna zaraza zmieniły Batchcombe w siedlisko cieni i duchów. Pary małżeńskie zastąpiły osoby samotne. Niegdyś ulicę zapełniały rodziny, lecz teraz szli nimi rodzice o ponurych twarzach, z pustką u boku, w miejscu, gdzie powinny być dzieci. Wiele rodzin straciło jedyne go żywiciela, co zmusiło kobiety do sprzedawania własnej odzieży czy mebli, bądź też do rozstania się z cennym żywym inwentarzem. Stragan z rybami był pusty, bo nie miał kto wypłynąć łodzią. Drzwi piekarni były zamknięte i zaryglowane. Jak zwykle nie obyło się bez pijaństwa, ale nie było w nim już rubaszości i radości. Mężczyźni wlewali teraz do gardeł piwo i cydr i siedzieli w ponurej ciszy, szukając wytchnienia od własnego bólu. Przeżyło niewiele starszych osób i jeszcze mniej dzieci, w związku z czym targ raził brakiem równowagi i nienaturalnością. Dzieci, które przeżyły, wyglądały teraz na przestraszone, pozbawione rodzeństwa i przemęczone rozpaczą i nadmiarem pracy. Bess wiedziała, że sama wygląda podobnie. Nawet pogoda wydawała się zmęczona i nie przynosiła wiatru ani burzy,

jak robiła to wcześniej. Wszędzie wyczuwało się poczucie nieobecności i straty. Niebo ciągle było zaciągnięte stalowymi chmurami. Ziemię pokrywało mokre błoto i szare kamienie. Także sami mieszkańcy Batchcombe stracili kolory i nigdzie nie widać było karmazynowych płaszczy ni szkarłatnych opończy, zatem targ sprawiał ponure i żalosne wrażenie.

Bess stała obok nieszczęsnej świni, podczas gdy jej matka starała się przekonać jakąś dobrze ubraną kobietę do zakupu koronek. Patrząc na przepływającą obok procesję smutku, zastanawiała się, czy do wioski kiedyś jeszcze wróci radość. Jakaś para zatrzymała się w pobliżu. Bess zmusiła się do uśmiechu, ale mężczyzna popatrzył lodowato, a kobieta o zaczerwienionych oczach wyglądała tak, jakby znowu miała się rozpłakać. Bess zmarszczyła brwi, lecz kiedy para poszła dalej, matka położyła jej dłoń na ramieniu.

– Zaraza zabrała wszystkie dzieci jejmości Wainwright
– wyjaśniła.

– Przykro mi z powodu ich straty, ale dlaczego patrzają na nas z taką nienawiścią?

– Ciężko im pogodzić się z własnym losem. Moja córka żyje. A ich nie. To wszystko.

Jakby chcąc podkreślić prawdę tych słów, imć Wainwright zwolnił kroku, mocno odchrząknął i splunął w kierunku stóp Anne. Bess chciała zareagować, powiedzieć coś na własną obronę, jednak zauważyła, że matka przyjęła incydent wyrozumiale i nie odezwała się. To

zdarzenie tak bardzo wytrąciło ją z równowagi, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że ktoś coś do niej mówi.

– Dzień dobry, Bess. Miałem nadzieję, że cię tu znajdę.

– Williamie, jeżeli przyszedłeś mnie naciskać... – w jego obecności czuła się źle.

– Nic. Nic, proszę, wybacz mi, że cię obraziłem, Bess. Ja... ja nie zastanowiłem się nad tym wystarczająco dobrze. Teraz widzę, że źle oceniłem twoje uczucia do mnie. Przykro mi. Nie chciałem cię rozgniewać.

Bess spojrzała na niego. Czy tłumaczenie mu czegokolwiek miało sens? Dorastali rozdzieleni przepaścią, której nic dało się pokonać.

– Ta kwestia jest już zakończona – stwierdziła. Anne podeszła do córki.

– Dzień dobry, Williamie – powiedziała spokojnie, Odpowiedział sztywnym ukłonem, najwyraźniej niepewny, w jaki sposób przyjęto jego propozycję. Na widok świni oczy mu rozbłyły.

– Sprzedajecie ją?

– Cóż, nie – warknęła Bess – pomyślałyśmy sobie, że przejażdżka na targ poprawi jej charakter.

Anne weszła pomiędzy Williama i Bess.

– Tak, Williamie. Sprzedajemy ją – Doskonale, jeszcze jedno takie zwierzę nam się przyda. Wygląda... dość dobrze.

– Jest dość chuda – odparła Anne – ale jest młoda i miała zdrowe prosięta.

– Świetnie, wezmę ją.

Bess nie była w stanie się powstrzymać.

– Teraz obrażasz nas jałmużną!

– Bess! – syknęła Anne. – Młody panicz pragnie tylko kupić świnie.

– Młody panicz nawet nie zapytał o jej cenę.

– Zapewniam cię, Bess, potrzebuję jeszcze jednej maciory. To nie jałmużna, tylko interes.

Bess otworzyła usta, by wyrazić własne zdanie na temat interesów Williama, lecz przeszkodziło jej nagłe zamieszanie na końcu głównej ulicy. Słychać było tętent kopyt oraz szczekanie psów. Grupa jeźdźców wypadła z zakrętu i wjechała na wzgórze. Kupujący zbili się w tłum, pragnąc popatrzeć, a potem pospiesznie przywarli do straganów i drzwi wejściowych, by uniknąć stratowania przez pędzącą kawalkadę. Na pięknych koniach jechało sześciu mężczyzn. Wszyscy nosili ciemne stroje wyraźnie dobrej jakości, a u bioder mieli miecze. Jeden z nich wyraźnie się wyróżniał. Jego ubiór przypominał odzież pozostałych z wyjątkiem wyjątkowo pięknych butów. Czarny kapelusz pozbawiony był pióra, a szeroki skórzany pas spinała połyskująca srebrna klamra. Jego koń był biały niby nowo narodzone jagnię i poruszał się dumnie, jakby płynął ponad brukiem. Bess pomyślała, że w tym człowieku jest coś, w jego postawie, w dyskretnej elegancji stroju, w silnej szczęce, co odróżnia go od pozostałych. Nie było w nim nic zwracającego uwagę, nic, co można by skrytykować w tych czasach, gdy cnotą była prostota i skromność, a jednak mimo prostej opończy

i pozbawionego ozdób kaftana, wyglądał wyjątkowo.

Przez tłum przeszedł szmer. Zaczął się od niepewnego szeptu, lecz szybko przeszedł w głośne rozmowy, więc kiedy jeźdźcy mijali Bess, dokładnie usłyszała wieść. Do wsi zawitał Nathaniel Kilpeck, sędzia śledczy i pogromca czarownic. Bess poczuła suchość w ustach i stwierdziła, że nie ma ochoty spojrzeć matce w oczy. Ukradkiem chwyciła ją za rękę i obie kobiety stały w ciszy, patrząc jak grupa zajeżdża do przydrożnej gospody w górze głównej ulicy.

6

Dwa dni później Bess i Anne siedziały przy kuchennym stole i w milczeniu jadły skromne śniadanie złożone z wodnistej owsianki. Nie rozmawiały o Nathanielu Kilpecku ani o celu jego przybycia do Batchcombe. Bess czuła, że obawy wyrażone na głos nabiorą wagi, że to w jakiś sposób doprowadzi do ich spełnienia. Tym samym samotnie cierpiała katusze związane z przyjazdem pogromcy czarownic. Słyszała o polowaniach na czarownice organizowanych w innych częściach kraju. Thomas nawet bawił siostrę opowieściami o rzucanych przez czarownice urokach i złych uczynkach. J o wieszaniu takich kobiet, osadzonych i skazanych. Bess patrzyła, jak matka kończy posiłek. Spod jej kiedyś przystojnej twarzy przebijała teraz czaszka, prześwitująca przez cienką skórę. Intensywny błękit oczu wyblakł. A jednak ciągle była w niej siła. Moc. Gdy Bess starała się znaleźć sens wydarzeń z ostatnich kilku okrutnych miesięcy, usłyszała odgłos konia wbiegającego na podwórze. Wymieniły z matką zaniepokojone spojrzenia i pospieszyły na zewnątrz, gdzie Bill Prosser właśnie ściągał wodze swej kasztance.

– Dzień dobry, wdowo Hawksmith, Bess – szybko skinął głową, wyraźnie nie zamierzając zsiadać z konia.

– Co sprowadza was do naszych drzwi w takim pośpiechu. Billu Prosser? Czy ktoś w waszym domostwie zachorował? – zapytała Anne.

– Nie, dzięki niech będą Bogu. Oszczędzono nam tego. Przez wieś przeszła zaraza, lecz dobry Pan uznał za stosowne nas ochronić. Przyjeżdżam tu w innej sprawie, zgodnie z wolą mojej żony i córki.

– Innej sprawie? – głos Anne nie zdradzał jej obaw.

– Jesteście świadome, że we wsi jest Nathaniel Kilpeck? Został tu przysłany z rozkazu rządu, żeby szukać czarownic i sądzić oskarżonych. Aresztowano Starą Mary.

Na tę wieść Anne westchnęła, a jej dłoń bezwiednie uniosła się do ust.

– Nie! – Bess zrobiła krok naprzód. – Ale pod jakim zarzutem?

– Zarzutem czarów.

– Mary nie jest czarownicą – zaproponowała Bess. – To dobra kobieta. Pobożna kobieta. Ocaliła życie wielu osobom we wsi. Wszyscy to wiedzą. Kto ją oskarża?

– Jejmość Wainwright. I wdowa Digby.

– Ta kobieta ma język jak żmija!

– Bess! – próbowała uciszyć ją Anne. Bill miał więcej wieści.

– Jejmość Wainwright twierdzi, że Stara Mary rzuciła urok na jej dzieci i dlatego tak szybko zmarły na dżumę – przerwał z zakłopotaniem, a potem dodał: – W swych oskarżeniach wymienia jeszcze jedną osobę.

– Kogo? – chciała wiedzieć Bess. Anne położyła dłoń na ramieniu córki.

– Nie ma potrzeby dalej naciskać naszego dobrego są-

siada, Bess. – Podniosła wzrok i skinęła mu głową. – Dziękuję wam za przywiezienie tej wiadomości – stwierdziła.

– Jak już mówiłem, moja żona i córka błagały, bym was ostrzegł. Do widzenia wam obu – powiedział, zawrócił niespokojnego konia i szybko skłonił go do niezdarnego galopu.

Bess przywarła do matki.

– Miał na myśli ciebie! To ciebie oskarżają! Mamo, musimy stąd natychmiast uciekać, nie możemy tu zostać. Tu nie jest bezpiecznie. Musimy zabrać, co się da, i uciec w tej chwili.

– Cicho, dziecko – odrzekła Anne z wzrokiem wbitym w horyzont. – Ucieczka nic nam nie pomoże.

Bess dostrzegła na twarzy matki wyraz spokojnej rezygnacji. Zerknęła w dal, patrząc w ślad za jej wzrokiem. Bill Prosser zniknął w lesie, ale znowu słychać było tętent kopyt. Bess stwierdziła, że towarzyszy on szybko przemierzającej się grupie, która galopowała grzbietem wzgórza, a potem z jeszcze większym hałasem ścieżką prowadzącą do chaty. Na czele jechał Nathaniel Kilpeck.

Zwołane w gmachu sądu posiedzenie miało stwierdzić, czy oskarżenia wniesione przeciwko Anne były wystarczająco wiarygodne, by można było wszcząć proces. Zdaniem Bess był to proces sam w sobie. Anne trzymał konstabl stojący przed wysoką ławą w przeciwległym rogu sali. Galerię dla publiczności wypełniały pomruki i szepty mieszkańców wioski. To wszystko dokonało się tak

szybko, że Bess ciągle nie była w stanie tego pojąć. Siedziała na ławie, w sali sądowej, gdzie głosy odbijały się echem od ścian, otoczona znajomymi twarzami, których nie mogła teraz poznać. To byli sąsiedzi, tacy jak ona rolnicy i właściciele kramów, ludzie, których znała całe swoje życie. Teraz jednak, tłocząc się w drewnianych ławach, starali się wychylić naprzód, by jak najlepiej widzieć mieszkającą wśród nich kobietę podejrzaną o czary. Otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich procesja poważnych mężczyzn, który ruszyli ku swym miejscom na ławie przeznaczonej dla urzędników sądu. Bess rozpoznała Nathaniela Kilpecka i dwóch jego ludzi. Towarzyszyli im także członek rady miasta, Geoffrey Wilkins, oraz wielebny Burdock. Gdy usiedli, radny Wilkins trzykrotnie uderzył drewnianym młotkiem, nakazując ciszę. Głosy ucichły.

– Zebranie to zwołano – oznajmił – aby zbadać dowody przeciwko Anne Hawksmith. Przewodniczy mu sędzia Nathaniel Kilpeck, przysłany z woli Parlamentu jako pogromca czarownic.

Nathaniel Kilpeck gestem powstrzymał dalsze informacje na własny temat.

– Dziękuję, mości radny – powiedział swym zaskakująco wysokim, pełnym napięcia głosem. Zrobił przerwę, mrużąc oczy, by przyjrzeć się najpierw Anne, a potem zebrany gapiom.

– Wielu spośród tu zebranych zna moje nazwisko i wielu słyszało o związanych z nim czynach. Ważnych

czynach. Nie zamierzam za nie przeproszać. Żyjemy w mrocznych czasach. Po ziemi stąpa Szatan i nikt z nas nie jest bezpieczny przed jego bezbożnym uściskiem. Wszyscy mamy obowiązek zachować czujność. Uważać na czające się wśród nas niebezpieczeństwa. Jedynie dzięki owej czujności uda nam się wyplenić ze społeczeństwa odrażające korzenie zła i oczyścić kraj z wpływów Szatana. Pozbawić go takich stworzeń, jak ta stojąca przede mną wiedźma, jeżeli naprawdę jest ona wiedźmą, bo w przeciwnym razie nie będzie można żadnego dziecka w tym mieście wychować bezpiecznie i w duchu bożym.

Ta wypowiedź wywołała aprobujące skinienie głowy wielebnego oraz przytakiwanie tłumu. Dłonie Bess były już mokre od potu. Wiedziała, że matka jest w niebezpieczeństwie, ale aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z jego ogromu. Tamten mężczyzna miał pokazać światu, że bezbożności nie można tolerować. Bess odniosła wrażenie, że nie przyjechał tu, by wysłuchać, zapoznać się z dowodami i zeznaniami, lecz by potępić tego, kogo postawiono przed jego obliczem, nie bacząc na jego niewinność bądź winę, a jedynie po to, by zrealizować własny cel.

– Zapewniam, że będę surowy – ciągnął. – Surowy podczas przesłuchiwania zarówno oskarżonej, jak i świadków. I surowy w stosowaniu prawa w tej sprawie. Nie ugnę się pod presją tłumu. Dopilnuję, by poprawnie zebrać i zbadać dowody. A wówczas, i dopiero

wtedy, wytoczę oskarżonej proces, a proces ten będzie prowadzony z największą starannością. Jednakże, jeżeli stwierdzę, że Szatan faktycznie zepsuł tę kobietę, że ją splamił, nie pozwalając jej być służebnicą Pana, jaką się urodziła, i zmieniając ją w stworzenie podłe i nikczemne, wówczas nie będzie miłosierdzia. Czary są przeciwne woli boskiej. Są przeciw prawu. Chcę dopilnować, by zostały wyplenione tak, by bogobojni obywatele mogli znowu żyć bezpiecznie i w pokoju!

Teraz rozległy się wiwaty. W ciągu zaledwie kilku chwil Kilpeck zdobył poparcie większości zebranych w sali, a Bess widziała przerażającą gorliwość, z którą ci łagodni dotychczas ludzie wymachiwali pięściami i uderzali laskami o podłogę na znak poparcia. Przez cały ten czas jej matka stała wyprostowana i spokojna, ze wzrokiem wbitym w jakiś oddalony punkt, sprawiając wrażenie osoby zarazem silnej i bezbronnej.

Radny Wilkins wstał.

– Kto oskarża tę kobietę? – zapytał surowo.

Z jednej strony tłumu wszczął się jakiś ruch. Jejmość Wainwright przepchała się do przodu.

– Ja, panie – oświadczyła.

Nathaniel Kilpeck zwrócił się wprost do kobiety.

– A o jakie czyny ją oskarżacie?

– Twierdzę, że ona, wraz z tą staruchą Mary, rzuciły klątwę na czworo moich dzieci, które w strasznych cierpieniach zmarły na zarazę.

Oczy jejmości Wainwright były zaczerwienione

i opuchnięte. Skórę miała suchą i ściągniętą, zupełnie jakby z jej ciała wyciekły wszystkie soki. W głosie kobiety Bess wyczuwała wściekłość i ból.

Wielebny Burdock odchrząknął.

– Czy mogę...? – Otrzymał przyzwolenie sędziego. – Pani Wainwright, jest nam bardzo przykro z powodu pani straty. Wiem, jak pani cierpiała. Ale przecież taki już jest charakter tej straszliwej choroby, że giną najmłodszy. Jeżeli Bóg pragnął zabrać pani dzieci, dlaczego sądzi pani, że Stara Mary czy Anne Hawksmith miały z tym coś wspólnego?

– Wszyscy wiedzą, że te dwie są sprytne. Używają mikstur, a nawet je sprzedają. Nie trzymają swej czarnej magii w tajemnicy.

Wielebny zaryzykował uśmiech.

– Ale z całą pewnością używają tego do leczenia. Z tego, co wiem, to kobiety uczestniczyły w bardzo wielu porodach i zmniejszyły cierpienia licznych członków naszej parafii. Cóż miałyby zyskać, krzywdząc pani dzieci?

W tym momencie jejmość Wainwright zacisnęła zęby tak mocno, że musiała dosłownie wypluwać zza nich słowa.

– Córka Anne Hawksmith nie umarła. – Kościstym palcem wskazała na oskarżoną, a jej wyciągnięte ramię drżało, – Jej dziecko dopadła zaraza, lecz ciągle żyje. Bess miała umrzeć, jednak ta kobieta zawarła pakt z diabłem, by ją ocalić, tak właśnie było. Dała mu moje dzieciątka,

żeby jej córka żyła!

Z tłumy dobiegły okrzyki przerażenia i złorzeczenia. Kilpeck uniósł dłoń, by po raz kolejny uciszyć zebranych.

– Czy to prawda, wdowo Hawksmith? Czy wasza córka ciągle żyje, pomimo że zachorowała na mór?

W głosie Anne słychać było drzenie, ale przemówiła spokojnie, ze wzrokiem wbitym przed siebie.

– Moja najstarsza córka. Bess, faktycznie zachorowała, panie. To prawda, że z bożym błogosławieństwem udało jej się wyzdrowieć – potwierdziła.

– Błogosławieństwem lub przekleństwem! – rozległ się krzyk z galerii.

– Cisza! – zażądał radny Wilkins. Anne nie przerywała.

– Moja młodsza córka, Margaret, moje słodkie maleństwo, nie miała tyle szczęścia. Zmarła. Podobnie jak mój syn, Thomas, i mój drogi mąż, John.

– Więc wyzdrowiała tylko Bess? – spytał Kilpeck. – Bess i wy, rzecz jasna.

– Było tak, jak mówię, panie. Bess zachorowała, lecz wyzdrowiała. Mnie samą choroba ominęła.

– To dziwne, nie sądzicie? Dom tak bardzo dotknięty chorobą, a mimo to wam udało się jej uniknąć, nie mieliście nawet gorączki?

– Dokładnie tak było.

– Zaiste. A gdzie jest wasza córka w tej chwili? Czy jest tutaj? – przyjrzał się galerii. – Bess Hawksmith, pokaż się nam.

Bess utorowała sobie drogę przez tłum, stwierdzając, że

ludzie szybko odsuwają się jej z drogi. Stała obok matki.

Kilpeck i inni siedzący w wysokiej ławic spuścili na nią wzrok, przyglądając jej się z uwagą.

– Nie ma nawet śladu twojego cierpienia – powiedział Kilpeck. – Żadnych blizn. Doprawdy, najwyraźniej cieszysz się doskonałym zdrowiem.

– Dziękuję Bogu i czulej opiece mojej matki, panie. Choć w pewnej chwili pragnęłam połączyć się z bratem i siostrą.

– Sądziłaś, że umrzesz?

Bess zawahała się, a potem skinęła głową.

– Tak, panie, tak sądziłam.

– Rozumiem. Byłaś więc tak bardzo chora, że zastanawiałaś się, czy dobry Bóg przyjmie cię w swe ramiona, a mimo to stoisz przed nami. Co, twoim zdaniem, pozwoliło ci zostać na tym świecie? Jakich leków i modlitw użyła twoja matka?

W ciszy, jaka zapanowała w sali, Bess słyszała jedynie bicie własnego serca. Przypomniała sobie, jak obudziła się i usłyszała zaklęcia i śpiewy matki przy zapalonej świecy. Jak matka mówiła o Gideonie Mastersie i otrzymanej od niego magii. Magii, która ją uratowała. Czyż miała potępić własną matkę. Czyż to jej słowa miały założyć matce stryczek na szyję?

– No dalej, dziecko – naglił wielebny Burdock – powiedz nam, co wiesz.

– Przykro mi, wielebny, ale nie mogę służyć dalszą

pomocą w tej sprawie, bo byłam, jak wspomniał sędzia, śmiertelnie chora. Nie pamiętam żadnego leczenia ani jak wróciłam do zdrowia. Wiem tylko, że za życie muszę dziękować woli Boga i miłości mojej matki.

Przez moment Kilpeck nic nie mówił, jednak uważnie przyglądał się Bess, zupełnie jakby wiedział, że to ona mogłaby dostarczyć mu prawdziwej odpowiedzi. Po dłuższej chwili szepnął coś radnemu Wilkinsowi, który wstał i zapytał:

– Kto jeszcze oskarża tę kobietę? Niech wyjdzie na-przód. Wdowa Digby, ściskając w dłoni chusteczkę, przepchnęła się przed tłum.

– Ja – zwróciła się do Kilpecka ze łzami. – Nazywam się Honoria Digby i musiałam bezsilnie patrzeć, jak moja ukochana siostra, Eleanor, odchodziła z tego świata. Mając, przyłgnęła do mojej dłoni i opowiedziała o wizji, jaka pojawiła się przed jej biednymi, ośleplonymi oczami. „Honorio”, mówiła, „idą po mnie. Widzę je!” Prosiłam, by mi powiedziała, kto ją tak bardzo przestraszył, a ona na to: „Stara Mary i Anne Hawksmith! Zbliżają się na miotłach, nagie i bezwstydne, karmiąc chowańce własną piersią!”. – Wdowa Digby osunęła się w ramiona dwóch stojących najbliżej mężczyzn i nie mogła mówić dalej. Przez tłum przebiegł dreszcz obrzydzenia. Nathaniel Kilpeck spojrział na Anne.

– Cóż, Anne Hawksmith, słyszeliście obciążające zeznania. Co możecie powiedzieć na własną obronę?

– Czy zostanę skazana na podstawie zeznań starej ko-

biety o umyśle zaburzonym gorączką i zazdrości matki, której umysł zatręła żałoba? Czy zostanę ukarana za przywrócenie zdrowia własnemu dziecku?

– Sprawa dotyczy sposobu, w jaki się to wam udało, choć tak wielu innym się nie powiodło – powiedział Kilpeck. – Jeżeli nie powiecie nam, jakimi metodami zdołaliście wyleczyć córkę, będzie z wami krucho.

Anne zamilkła. Odwróciła się, by spojrzeć na Bess, i uśmiechnęła się do niej łagodnie. Następnie zwróciła się z powrotem do Kilpecka.

– Pan nie ma córki, prawda?

– To nie ja jestem tu przesłuchiwany – odparł.

– Wiem, że pan nie ma – ciągnęła Anne – ponieważ gdyby pan miał, wiedziałby pan, że zrobiłby pan wszystko, by ją ocalić. Na tym i na drugim świecie nie ma takiej siły, jakiej by pan nie użył, gdyby miało to zakończyć cierpienia pańskiego dziecka i doprowadzić do jego wyzdrowienia.

Tłum zaczął się niepokoić.

Wielebny Burdock próbował uspokoić Anne:

– Uważajcie, takie oświadczenia nie służą waszej sprawie.

– Moja córka była bliska śmierci – ciągnęła Anne. – Przeżyłam śmierć mojego najstarszego i najmłodszego dziecka. Pochowałam własnego męża. Jaką matką bym była, gdybym nie zrobiła wszystkiego, co w mojej mocy, by ocalić ostatnie pozostałe przy życiu dziecko? Śmierć trzymała ją w szponach, a ja ją stamtąd wyrwałam, to wszystko.

Kilpeck zmarszczył brwi.

– Czyli twierdzicie, że wykradliście ją śmierci? Czy podaliście jej lekarstwo, gdy już odeszła z tego świata?

– Ja nie wiem, jak głęboko zapadła się w studnię wiecznej nocy, wiem jedynie, że udało mi się ją wskrzesić.

W sali rozległy się kolejne westchnienia zaskoczenia. Wielebny Burdock zbladł.

– Czy mamy wierzyć, że wskrzesiłaś swą córkę z martwych? Czy teraz twierdzisz, że czynisz cuda?

Anne uśmiechnęła się miękko, z wyrazem rezygnacji na twarzy.

– Dzieło naszego Pana nazywa wielebny cudami, moje zaś magią.

– Błuznierstwo! – wykrzyknęła wdowa Digby.

– Anne Hawksmith, posuwasz się za daleko! – wielebny nie potrafił ukryć wściekłości. Anne to nie poruszyło.

– Cóż, wielebny Burdock, w oknie swojego kościoła ma pan Chrystusa podnoszącego Łazarza z martwych. Czy na widok Jezusa krzyknąłby pan „Czary!”?

Po tych słowach w sali zawrzało. Z galerii słychać było krzyki i złorzeczenia, których nie mógł uciszyć młotek radnego Wilkinsa. Wielebny nie mógł usiedzieć w miejscu. Urzędnicy sądowi i dwóch konstabli musiało powstrzymywać napierający tłum, by nie zbliżał się nadmiernie. Bess przestraszyła się, że zmiecie je wściekła tłuszcza. Ponownie spojrzała na matkę. Dlaczego mówiła tak otwarcie? Dlaczego nie próbowała ukryć faktów lub

przynajmniej umniejszyć ich powagi, zawierzyć miłosierdziu sędziów? Im bardziej Bess wpatrywała się w matkę, tym mniej mogła ją poznać. Wyglądała na tak spokojną, tak zdeterminowaną, nie sprawiała wrażenia osoby zmartwionej czy przerażonej, jak Bess, szaleństwem tłumy ani możliwymi skutkami własnych słów.

W końcu przywrócono porządek. Nathaniel Kilpeck poczekał, aż zapadnie absolutna cisza, a potem ogłosił:

– Jestem zadowolony, że oskarżenia o *maleficia* mają jakieś podstawy. W związku z tym nakazuję zbadać ciało Anne Hawksmith w poszukiwaniu znaków, że jest czarownicą. Ma ona wrócić do własnego domu i tam podlegać nadzorowi przez dwa dni i dwie noce. Oczekuję na dalsze zeznania, jeżeli ktoś może je złożyć, a proces odbędzie się w niniejszym sądzie za pięć dni od tej chwili. – Skończył mówić i szybko powstał z miejsca. Gdy Anne wyprowadzono bocznymi drzwiami do jednej z cel znajdujących się w podziemiach, wyszli również członkowie ławy. Na widok wyprowadzanej matki serce Bess wypełniła trwoga.

– Mamo! – krzyknęła, lecz idący na końcu konstabl zatrzasnął za sobą drzwi.

Dopiero po pewnym czasie Bess miała dowiedzieć się, co jej matka wycierpiała z rąk prowadzących badanie. Zwykle takie czynności wykonywały miejscowe akuszerki, ale w tym przypadku najwyraźniej trzeba było znaleźć kogo innego. Z Dorchester sprowadzono więc Isabel Pritchard, kobietę wątpliwej reputacji, która miała wyko-

nać to zadanie. Anne rozebrano i przywiązano do stołu skórzanymi pasami i pod badawczymi spojrzeniami radnego Wilkinsa i Nathaniela Kilpecka jejmość Pritchard zbadała każdy cal ciała Anne. Po pewnym czasie zgłosiła odkrycie dwóch ciemnych znamion, które następnie ponakłuwała, by sprawdzić, czy będą krwawić. Nie było krwi. Kilpecka nie zadowolili wysiłki Isabel Pritchard i sam zajął się badaniem ciała Anne. Nie pominął żadnej jego części, nawet najbardziej intymnej czy wstydlivej. Wreszcie głęboko między jej nogami znalazł coś, co wyglądało jak niewielka płaska brodawka. Kilpeck kazał to dokładnie zapisać, twierdząc, że jego zdaniem ktoś ją w ostatnim czasie ssał.

Później Anne odwieziono z powrotem do jej gospodarstwa. Bess powiedziano, że obserwacja prowadzona będzie w domu Anne, gdzie diabelskie pociotki i chowańce chętniej się pojawiają. Starą Mary, niemającą własnego prawdziwego domu, obserwowano w tym samym miejscu. Meble zsunięto pod jedną ścianę, Anne i Mary zaś mocno przywiązano do krzeseł ustawionych na środku izby. Po bokach rozstawiono inne, bardziej wygodne siedziska dla obserwujących urzędników. Była wśród nich Isabel Pritchard, która z niewątpliwym zadowoleniem przyjęła zapłatę za dalsze usługi, radny Wilkins, wielebny Burdock i pogromca czarownic. Przy drzwiach ustawiono konstabla. Bess pozwolono zostać, ale wyraźnie dano jej do zrozumienia, że wszelkie próby przeszkadzania zakończą się wyrzuceniem jej za drzwi.

Po dłuższym gwarzeniu i sadowieniu w wygodnych pozycjach obserwatorzy wreszcie ucichli. Bess znalazła sobie miejsce w mrocznym kącie, skąd mogła wyraźnie zobaczyć twarz matki, gdyż oświetlał ją blask ognia i przemyślnie rozstawionych świec. Nie mogła pojąć, czego się spodziewano. Czy ktokolwiek naprawdę wierzył, że jej matkę odwiedzą dziwne stwory i duszki? Nie była w stanie zrozumieć, jak ktoś przy zdrowych zmysłach, jak radny Wilkins, mógł naprawdę wierzyć, że będzie świadkiem czegoś takiego. Znał jej matkę całe swe życie. Widywał ją regularnie w kościele, podobnie jak wielebny. A mimo to siedzieli teraz tutaj w kompletnej ciszy, czekając na zjawienie się nieziemskich stworzeń. Stara Mary wyglądała, jakby miała zemdleć. Jej usta poruszały się nieustannie, jakby w modlitwie, a oczy straciły bystrość. Anne natomiast siedziała prosto i nieruchomo, bierna i spokojna. Bess podziwiała jej zimną krew i cierpliwość.

Mijały godziny, wyróżniające się jedynie pustką. Nie było pogody, o której można by rozmawiać, i nie było rozmów, więc słyhać było tylko słaby syk i strzelanie płomieni, a od czasu do czasu również krzyk sowy za domem. Po upływie kolejnych dwóch godzin do tych odgłosów dołączyło przerywane chrapanie radnego Wilkinsa. Bess wyprostowała się, wiedząc, że nie grozi jej sen, pomimo że była wyczerpana niepokojem ostatnich kilku dni. Świece paliły się niskim płomieniem, sugerując, że wkrótce świt położy kres tej żalösnej nocy. A potem dały się słyszeć dźwięki, początkowo ciche, ale nabierające

mocy. Drapanie. Kilpeck zeszywniał na krześle. Wielebny zmarszczył brwi i rozejrzał się dokoła. Nadal słychać było drapanie, które najwyraźniej dochodziło z za drzwi mleczarni. Bess próbowała przekonać samą siebie, że to tylko głodna mysz, jednak drapanie przeszło w walenie, aż drzwi wyraźnie zadrżały w futrynie.

– Panie, zachowaj nas! – wyszeptała jejmość Pritchard. Wszyscy zebrani w pokoju wbili wzrok w drzwi. Panujący harmider wyrwał ze snu nawet radnego Wilkinsa.

Teraz do walenia dołączyły dziwaczne piski i skowyty. Wielebny Burdock zaczął się modlić. Radny Wilkins począł wstawać, lecz Kilpeck wyciągnął dłoń, aby go powstrzymać.

– Nie ruszać się! – nakazał.

Skowyt przybrał na sile. Nie przypominał żadnych dźwięków, jakie Bess dotychczas słyszała, mieścił się gdzieś pomiędzy piskliwym ujadaniem szczeniąt a gaworzeniem niemowląt. Stara Mary zaskomlała i napała na liny wiążące ją do krzesła. Na widok drewnianego skobla na drzwiach mleczarni, który najwyraźniej samoczynnie zaczął się podnosić, rozwarła szeroko oczy. Przez cały ten czas Anne nawet nie drgnęła.

Bess zorientowała się, że wstrzymuje oddech, kiedy drzwi powoli się otwarły. Początkowo nie mogła nic dostrzec, a potem z ciemności drugiej izby wychynęły niskie, faliste kształty, które weszły w krąg światła. Teraz przerażona Bess aż się zachłysnęła. Stworzenia te najwyraźniej nie pochodziły od jakiegokolwiek zwierzęcia stą-

pającego po bożym świecie. Było ich razem cztery, a wszystkie wielkości borsuka, lecz ich ciała były powykęcane i serpentynowate niczym u zbyt wielkich łasic. Pokrywało je częściowo szorstkie futro, a częściowo skóra ropuchy. Oczy miały zażawione i mętne, zaś z ich półotwartych, bezzębnych pysków ściekała ślina. Te dziwadła szły naprzód, niemal szorując brzuchami po podłodze, i nieustannie wydawały dziwne dźwięki. Stara Mary zaczęła piszczeć, a zaraz dołączyła do niej jejmość Pritchard.

Radny Wilkins nie zdołał się dłużej powstrzymać i zerwał się z krzesła. Wielebny Burdock przerwał modlitwę w pół słowa, by się lepiej przyjrzeć, przerażony, ponieważ stworzenia obeszy izbę dookoła, zanim wreszcie znalazły Anne. Na jej widok zaczęły piszczeć z radości. Wskoczyły jej na podolek i na szyję, liżąc ją po twarzy i obwąchując włosy. Bess była pewna, że jej zrobiłoby się niedobrze, lecz matka nadal nie wykonała żadnego ruchu, nie okazała przerażenia bądź odrazy. Prawdę mówiąc, Bess wydało się, że to wydarzenie zupełnie jej nie zaskoczyło, że właściwie się tego spodziewała. Czy to możliwe, że знаła te paskudztwa? Że faktycznie były jej Chowańcami? Jej krewniakami? Bess wirowało w głowie, gdy próbowała zrozumieć to, co widziała. Stara Mary niemal całkiem odeszła od zmysłów i teraz wrzeszczała jak szalona, wijąc się rozpaczliwie na krześle, by uciec przed stworzeniami. Uciec od Anne.

Kilpeck poderwał się i dobył miecza. Konstabl miał

właśnie opuścić swe miejsce przy drzwiach, kiedy pogromca czarownic nakazał mu zostać na miejscu.

– Pilnuj swego posterunku! – krzyknął. – Niech żadna żywa istota nie opuści tej izby.

Uniósł miecz i opuścił go w dół, odrąbując jedną z łap stworzenia wijącego się u stóp Anne. Pisnęło straszliwie, wydając upiorny dźwięk, który nie ucichł nawet wówczas, gdy drugi cios oddzielił mu głowę od reszty ciała. Obie części nadal wiły się i skręcały. Wielebny Burdock zwymiotował obficie. Jejmość Pritchard osunęła się na podłogę. Radny Wilkins, jako że nie posiadał miecza, chwycił stołek i zaczął wściekle tłuc nim stworzenia rozbiegające się po izbie. Bess zasłoniła uszy dłońmi, by nie słyszeć okropnych dźwięków, jednak nie umiała odwrócić wzroku od matki. Jeden z Chowańców szukał schronienia pod spódnicami Anne.

– Patrzcie! Spójrzcie, jak te ohydztwa lgną do swojej pani! To diabelskie nasienie! Ta kobieta nic jest siostrą Ewy, ona jest odrażającym narzędziem Szatana! – Kilpeck ponownie uniósł miecz nad głowę i Bess stwierdziła, że zamierza spuścić go na jej matkę.

– Nie! Nie! – krzyknęła, rzucając się naprzód. Objęła matkę i nie zwracając uwagi na uciekające chowańce, przykryła ją własnym ciałem. – Nie! – krzyknęła w stronę Kilpecka, patrząc mu prosto w oczy. Przez chwilę miecz chwiał się w górze, grożąc pozbawieniem życia zarówno Anne, jak i Bess jednym potężnym cięciem. W tym momencie chowańce uciekły. Zniknęły w mgnieniu oka,

a wraz z nimi powodowany przez nie jazgot i chaos. Bess nie odrywała wzroku od Kilpecka, rzucając mu wyzwanie, wiedząc podobnie jak on, że nie miał prawa pozbawiać jej życia. Powoli, z ogromnym wysiłkiem, opuścił miecz, nie robiąc nikomu krzywdy. Isabel Pritchard siedziała na podłodze i szlochała. Wielebny Burdock ponownie zaczął się modlić. Pod krzesłem Starej Mary pojawiła się parująca kałuża, a powietrze wypełnił kwaśny zapach ciepłego moczu.

7

Po wsi szybko rozeszła się wieść o wydarzeniach tej nocy. Zanim Anne i Starą Mary po raz drugi wyprowadzono z ceł przed oblicze sędziów, w sali sądu nie było ani jednego wolnego miejsca, a konstable mieli problem z utrzymaniem porządku. Radny Wilkins musiał długo i głośno uderzać młotkiem, nim się uciszyło. Stara Mary odzyskała zmysły jedynie na tyle, by wydobyć z siebie bełkotliwe przyznanie się do winy. Najwyraźniej porzuciła wszelką nadzieję, że zostanie oszczędzona, lecz trzymała się nadziei, że jej dusza wciąż ma szansę na zbawienie. Jej zeznania, uzupełniające te złożone przez jejmość Wainwright i wdowę Digby, wystarczały, by skazano obie oskarżone. Po tym, co ujrzeli obserwatorzy, takie dowody nie były właściwie potrzebne.

Bess była półprzytomna z braku snu i ze strachu. Strachu, że traci zmysły. Strachu, że matki nie da się uratować. I strachu przed mocą, która przysłała do jej matki tamte stworzenia. Co to znaczyło? Kim stała się matka? Czy to była cena, o której nie chciała mówić? Cena, którą musiała zapłacić Gideonowi w zamian za życie Bess?

Nathaniel Kilpeck gestem nakazał ciszę. Kiedy wrzawa wreszcie przycichła, przemówił, a jego piskliwy głos zdradzał ekscytację, tak dobrze skrywaną przy innych okazjach.

– Słyszeliśmy zeznania świadków, dwóch bogobożnych

kobiet, szanowanych w naszej parafii. Słyszeliśmy, jak stojąca przed nami Mary przyznaje się do bycia wiedźmą.

Z galerii dobiegł syk nienawiści i podniecenia.

– Ubiegłej nocy ja sam, wraz z innymi obecnymi osobami, byłem świadkiem piekielnego widowiska czterech wstrętnych chowańców, które przyszły karmić się w okolicy intymnych części tej stojącej przede mną jawnej wiedźmy! – wypowiadając te słowa, wskazał na Anne drżącą dłonią. Tłum sapał, tupał i krzyczał. Pogromca czarownic poczekał, aż ponownie zapanuje cisza, i dopiero wówczas mówił dalej:

– To było tak przerażające, a dowody są tak niezbite, że wysłałem wiadomość do wysokiego sądu i zgłosiłem sprawę do bezzwłocznego i szybkiego rozpatrzenia. Mogę wam dziś przekazać, że otrzymałem powiadomienie, iż nie trzeba będzie czekać na sesję kwartalną ani przewozić tych... *kobiet* do sądu w Dorchester. Upoważniono mnie do wydania wyroku na podstawie zebranych dowodów w tym miejscu i w tym dniu, gdyż taki jest charakter popełnionych przez nie zbrodni. – Podniosły się wiwaty. Kilpeckowi udało się przekrzyczeć tłum, tym razem nie czekając na ciszę. – Mary, akuszerko z tej parafii, słyszeliśmy twoje wyznanie i przyjmujemy przyznanie się do winy. Niech Bóg zmiłuje się nad twoją duszą. Anne Hawksmith, słyszałaś przedstawione ci zarzuty. Dokonano oględzin twojego ciała i znaleziono znaki diabła oraz miejsca, z których możesz karmić swych krewniaków. Ja sam byłem świadkiem odwiedzin Szatana pod postacią

owych odrażających Chowańców. Wszyscy tam obecni widzieli, jak wielką radość sprawia im twoje towarzystwo. Czy chcesz coś powiedzieć na własną obronę?

W sali sądowej zapadła cisza jak makiem zasiał. Wszystkie uszy wyteńczyły się, pragnąc usłyszeć słowa Anne, wszystkie szyje wyciągnęły, by lepiej widzieć oblubienicę diabła, która od tak wielu lat żyła nierozpoznana pośród nich. Bess zaczęła drzeć. Anne przez chwilę rozglądała się wokół, zupełnie jakby badała twarze tych, którzy przyszli przyglądać się jej potępieniu. Kiedy jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Bess, uśmiechnęła się słabo, a potem ponownie zwróciła się w stronę sędziów.

– Nie ma nic, co mogłabym powiedzieć, by zmiękczyć serca z kamienia – stwierdziła.

– Czy ciągle podajesz się za niewinną? Po tym wszystkim, cośmy ujrzeli? – zapytał Kilpeck.

– Nie jestem winna zarzutów wniesionych przeciwko mnie przez wdowę Digby i jejmość Wainwright, to prawda. Nikogo nie skrzywdziłam.

– Zarzuty *maleficia* to tylko jeden aspekt tego procesu. Czary same w sobie są zbrodnią karaną śmiercią, musisz to wiedzieć.

Anne nie odpowiedziała nic.

Wielebny Burdock wychylił się z ławy ze złączonymi dłońmi.

– Z miłości do Boga, kobieto, i aby ocalić duszę przed pewnym potępieniem, czy nie przyznasz się do winy i nie będziesz błagać o miłosierdzie tego sądu i naszego

Pana?

Anne spojrzała na niego ze spokojem.

– Nie mam już o co prosić Boga – oznajmiła.

Wielebny cofnął się, jakby go uderzyła.

– Jak się znalazłaś w tym nędznym, bezbożnym stanie, kobieto?

– Nie kobieto, wiedźmo! – rozległ się krzyk z sali i wkrótce wszyscy zebrani zaczęli skandować: – Wiedźma! Wiedźma! Wiedźma!

Wilkins na próżno walił młotkiem. Porządek powrócił dopiero wówczas, gdy Kilpeck się podniósł.

– Akuszerko Mary, Anne Hawksmith, obie jesteście winne zarzutu o *maleficia*, szczególnie w odniesieniu do dzieci Wainwrightów i wdowy Smith, a także ogólnego zarzutu czarów. Niniejszym wyrokiem tego sądu zostaniecie zabrane stąd o wschodzie słońca za dwa dni od dziś i zostaniecie powieszane, aż będziecie martwe.

W sądzie zapanował chaos. Bess słyszała własny krzyk i była przekonana, że traci zmysły. Próbowwała przepchnąć się naprzód, dotrzeć do matki z wyciągniętymi ramionami, jednak nie było to możliwe. Czuła, jak wzbiera w niej niebezpieczne szaleństwo, lecz nie miała pojęcia, co robić. Choć siła w jej wnętrzu osiągała poziom, nad którym trudno jej było zapanować, nie wiedziała, jak jej użyć, by ocalić matkę. Tłum krzyczał i szydził, na krawędzi zamieszek, zatem Kilpeck gestem nakazał konstablom odprowanie skazanych kobiet, jego ludzie zaś powstrzymywali coraz bardziej rozwścieczonych mieszkań-

ców wioski. Tłum szarpał i popychał Bess, więc nim matkę zabrano, udało jej się tylko przelotnie na nią spojrzeć.

Batchcombe Hall był wspaniałym przykładem rzemiosła tamtych czasów. Jego połyskujące czerwone cegły i błyszczące drewno dowodziły, że właściciel jest kimś znacznym. Same drzwi frontowe mówiły wiele – woskowane drewno wskazywało na bogactwo i potęgę, w kunsztownych żelaznych zawiasach wprost nie można było nie podziwiać ich piękna obok funkcjonalności, krzepki zamek sugerował, podobnie zresztą jak siedem tuzinów czarnych ćwieków wystających z szerokich drewnianych desek, że dom tak naprawdę jest fortecą. To właśnie do tych drzwi podeszła Bess wczesnym rankiem następnego dnia po procesie matki. Zostawiła Szeptę, by skubała bujną trawę obok podjazdu. Uspokoila oddech i dopiero potem weszła na schody. Decyzja, by poprosić Williama o pomoc, zajęła jej dużo czasu. Nie była wcale pewna, czy mógł cokolwiek zrobić, ale nie miała do kogo się zwrócić. Nie miała wyboru. Podjąwszy tę decyzję, musiała jeszcze zdecydować, do których drzwi powinna zapukać. Peszyła ją myśl, że miałyby stanąć od frontu tak wspaniałego domu. Nigdy nie przestąpiła progu takiej budowli. Czy w ogóle ją wpuszczą? Choć nie była przecież służącą ani obwoźnym sprzedawcą. Nie miała również ochoty bez zapowiedzi wślizgiwać się do domu Williama tylnymi drzwiami. Byłoby to podejrzane. Znalazła się w poważnej sytuacji, lecz niezależnie od decyzji sądu

w sprawie matki, ona sama nie czuła wstydu. Nie, pójdzie do frontowych drzwi i zapyta o Williama. Nic czasu na konwenanse.

Uniosła ciężką żelazną kołatkę i mocno uderzyła nią cztery razy. Po niepokojąco długim czasie usłyszała kroki i drzwi się otwały. Na widok niespodziewanego gościa schludna kobieta o ostrych rysach i drobnych dłoniach uniosła głowę.

– W jakiej sprawie? – zapytała.

Bess w myślach oburzyła się na tempo, w jakim ta kobieta oceniła, że przybyła nie może być przyjaciółką Gouldów.

– Chcę rozmawiać z paniczem Williamem Gouldem.

– Panicz William jest teraz zajęty. W jakiej sprawie chcesz z nim rozmawiać?

– To sprawa osobista.

Kobieta przez chwilę trwała w bezruchu, jakby zastanawiała się, czy to wystarczający powód, by przeszkadzać paniczowi. Bess ciągnęła:

– To dość pilne – a potem, widząc, że tamta nie zamierza zmięknąć, dodała: – Byłoby ogromnie miło z pani strony, gdyby mogła pani powiadomić panicza Williama, że tu jestem.

Kobieta bez słowa cofnęła się do sieni, zamykając za sobą drzwi. Bess stała wpatrzona w nieprzebytą barierę, zastanawiając się, czy dostała odprawę. Czekwała jednak, a gdzieś pod mostkiem czuła zaciskający się supeł. W końcu drzwi otwały się ponownie i tym razem wy-

biegł z nich William. Chwycił ją za rękę i poprowadził do środka.

– Bess – powiedział – moja biedna, bardzo biedna Bess. Oczywiście słyszałem te straszliwe wieści. – Mówiąc to, ciągnął ją przez ogromny hol wejściowy, obok schodów z polerowanego drewna i przez kolejne drzwi. W wygodnym pokoju było więcej mebli i ozdób na ścianach, niż Bess widziała przez całe swoje życie. Była tam także młoda kobieta o jasnej skórze, która siedziała na niskim krześle przy ogniu. Na widok tej niespodziewanej osoby Bess się zatrzymała. William poprowadził ją ku rzeźbionej dębowej ławie wyściełanej zdobionymi zagłówkami i poduszkami.

– Bess, nie poznałaś jeszcze Noelli Bridgewell. – Po czym zwrócił się do kobiety: – Wybacz mi, najdroższa, obawiam się, że to nie czas na formalne przedstawianie. Bess Hawksmith jest sąsiadką i dobrą przyjaciółką.

W ramach powitania Noella lekko skinęła głową.

– Oczywiście słyszałam to imię – stwierdziła.

Jednym rzutem oka Bess ogarnęła piękne stroje dziewczyny, kosztowną hiszpańską koronkę pod szyją, drogi jedwab sukni, naszywaną perłami przepaskę we włosach. Była to dama o pewnej pozycji, dość zamożna i niezaprzeczalnie piękna. Bess usiadła, świadoma swych szorstkich dłoni i bezbarwnych ubrań.

– Miło mi panią poznać, pani – powiedziała, niezdolna skoncentrować się na wymyślaniu jakichkolwiek zawitych uprzejmości. – Proszę wybaczyć moją bezceremonialność,

lecz przychodzę tu w sprawie życia i śmierci.

Noella ponownie skinęła głową, wyjmując wachlarz z kości słoniowej, by osłonić twarz przed ciepłem ognia.

– Jestem pewna, że mój narzeczony udzieli wam wszelkiej pomocy, jaka będzie z jego strony możliwa – stwierdziła.

Narzeczony! Ta kobieta miała zostać żoną Williama? Bess poczuła zawrót głowy. Pragnęła wybiec z pokoju, ale potrzebowała pomocy dziedzica. Był jedyną nadzieją dla matki. Wzięła głęboki oddech i uniosła brodę.

– Jak się czuje twoja mama? – zapytał William.

Bess nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Nie wiedziała już teraz, kim była jej matka ani jak mogła się czuć. Wbiła paznokcie w dłonie, by powstrzymać napływające łzy.

– Nie pozwolono mi się z nią spotkać od rozprawy – powiedziała, potrząsając głową. – Och, Williamie. Jutro ją powieszają!

Ciągle trzymał jej dłoń, a teraz ścisnął ją, najwyraźniej nie chcąc jej puścić, pomimo wbitego w nich wzroku narzeczonej.

– Bess, tym światem nie rządzą już żadne rozumiały dla mnie zasady. Twoja mama jest dobrą kobietą, bogobojną, miłą skromność i modlitwę. Kochającą matką i żoną. Pomogła tak wielu ludziom. Nie potrafię wyjaśnić, jak mogło dojść do czegoś takiego.

– Williamie, dużo osób w Batchcombe wiele wycierpiało. Szukają kogoś, kogo można by obwinie. To matka pomogła mi to zrozumieć. – Zawahała się, a potem do-

dała: – Ludzie boją się tego, czego nie potrafią wyjaśnić. – Poczwała, że serce bije jej coraz mocniej i zdała sobie sprawę, że jest przerażona. Nie samą matką, która ją wychowała, obdarzała miłością i uczyła przez całe jej życie, lecz tą nową mocą, którą miała ta ukochana kobieta. Podniosła wzrok na Williama.

– Pomożesz nam? – zapytała.

– Ale co ja mogę zrobić?

– Twoja rodzina cieszy się szacunkiem. Twój ojciec ma duże wpływy. Gdyby mógł wnieść wniosek o ułaskawienie, z pewnością... – przerwała, widząc nisko pochyloną głowę Williama.

– Mój ojciec nie wystąpi z interwencją.

– Wiesz to na pewno? William skinął głową.

– Ale może mógłbyś do niego iść, zapytać go, wytłumaczyć, że to niewinne kobiety. Zaraza zabrała tak wiele osób. Zmarło przecież dość ludzi. Co przyniosą dalsze śmierci?

Powoli uścisk dłoni Williama zelżał, aż wreszcie pozwolił, by jego dłoń opadła wzdłuż boku. Nie był w stanie spojrzeć jej w oczy. Pierwsza odezwała się Noella. Wstała i postąpiła krok naprzód, by stanąć obok swego przyszłego męża.

– Musisz wiedzieć, że to ojciec Williama posłał po Nathaniela Kilpecka – oznajmiła spokojnie.

Bess nie wierzyła własnym uszom.

– Co? Twój ojciec posłał po inkwizytora? Ale nie rozumiem. Jakież miałby powód, by zajmować się takimi

sprawami? Dlaczego miałyby sprowadzać pomiędzy nas taką bezwzględną niesprawiedliwość?

William ciągle nie był w stanie na nią spojrzeć. Mówił gestykulując, z rękami uniesionymi w geście rozpaczy.

– Bess, chodzi o coś znacznie większego – stwierdził.
– Rzeczy, o których nie masz pojęcia. Parlament jest miejscem pełnym niepokojów i intryg. Każdy musi się wykazać, udowodnić lojalność. Mój ojciec stąpa po grząskim gruncie. Jeżeli zejdzie zbyt daleko w jedną stronę, może zostać uznany za zdrajcę i ścięty. Jeżeli zaś skreśli w drugą, może w niedługim czasie znaleźć się na ruchomych piaskach i efekt będzie taki sam. W tych niebezpiecznych czasach w ciągu jednej doby wiatr zmienia kierunek z północnego na południowy. Szlachtę naciska się, by sprawowała ścisłą kontrolę nad własnym rejonem. Ludzie czują zachodzące w kraju zmiany i boją się ich, Bess. Pragną silnego rządu. Pragną wiedzieć, że rządzą nimi sprawni ludzie. Że dostaną ochronę. Jeżeli nie uda się ich ochronić przed zarazą lub głodem, muszą przynajmniej wiedzieć, że Bóg ich chroni i że nie ma pomiędzy nimi diabła.

W ciszy, która zapadła, Bess uzmysłowiła sobie, jak bardzo jej własne życie różni się od życia Williama. Stał przed nią człowiek, którego ojciec poświęciłby każdego, byle tylko zachować pozycję. Jak w ogóle mogła dopuścić do siebie myśl, że on pozwoliłby osłabić tę pozycję, wyrażając zgodę na małżeństwo syna z dziewczyną pozbawioną bogactwa bądź nazwiska? W końcu William nigdy

nie żywił takiego pragnienia. Widziała to teraz wyraźnie. Przez cały czas wiedział, gdzie jest jej miejsce, i nigdy nie znajdowało się ono u jego boku. A przynajmniej nie oficjalnie. Noella była dokładnie taką kobietą, jaką wybrałby dla niego ojciec. Poprawi pozycję rodziny i niewątpliwie również jej fortunę. Była ważna. Bess i jej rodzina nie byli potrzebni. Zamknęła oczy, chroniąc się przed oszałamiającymi kolorami otaczających ją ozdobnych tkanin. Nie należała tu. William nie mógł zrobić nic, by ocalić jej matkę. Nie wolno mu nic zrobić. Wstała, przybierając wygląd osoby bardziej spokojnej, niż była w istocie.

– Widzę teraz, że błędnie liczyłam na twoją pomoc dla mojej matki. Przepraszam, że przyszedłam z tym do twoich drzwi, Williamie. Życzę miłego dnia. – Ruszyła ku wyjściu, niepewna, jak długo zdoła powstrzymać łzy cierpienia, które cisnęły jej się do oczu.

– Poczekaj. – William zerwał się na równe nogi i ruszył za nią. – Bess, proszę. Musi być coś... – zastąpił jej drogę.

– Co? Czy mam przyjąć twoją łaskawą ofertę i zamieszkać jako twoja kochanka w czworakach dla służby, Williamie? Czy nie jestem już odpowiednią kandydatką nawet na to stanowisko, bo moją matkę potępiono? – przecisnęła się obok niego.

– Pójdiesz teraz do matki? Pozwól przynajmniej, abym ci towarzyszył...

– Nie pozwolą mi się z nią spotkać – odparła, nie za-

trzymując się. Jej dłoń już sięgała zasuwę na drzwiach frontowych.

– Nie spotkasz się z nią? Ale przecież...

Bess odwróciła się, a gniew dał jej potrzebną siłę.

– Tak, ona zawiśnie jutro rano, a ja nie mogę do niej iść się pożegnać. W tym jednym jest większe okrucieństwo, niż popełniła moja biedna matka przez całe swe wypełnione dobrocią życie.

– Jest zatem coś, co mogę zrobić. Proszę, poczekaj tu chwilę.

William pospiesznie wrócił do pokoju, który właśnie opuścili. Bess miała już wychodzić, gdy dostrzegła, że przygląda jej się pokojówka, która ją tu wpuściła. Wyprostowała ramiona. Nie pozwoli, by ktoś ją zawstydził. Dlaczego miałoby tak być? William szybko powrócił.

– Proszę – wcisnął jej do ręki skórzaną sakiewkę z pieniędzmi. – Weź to. Wystarczy, abyś mogła zapłacić, komu trzeba, aby spędzić z matką choć chwilę. To bardzo niewielka przysługa z mojej strony. Mam nadzieję, że to przyniesie wam obu spokój.

Bess zacisnęła palce wokół woreczka, ciągle usiłując trzymać napięte nerwy pod kontrolą.

– Dziękuję – powiedziała, i to było wszystko, co udało jej się wykrztusić, zanim opuściła dom. Biegając do Szepty i chwytając ciągnące się za nią wodze, Bess wiedziała, że już nigdy nie odzyska spokoju.

Do więzienia pod gmachem sądu prowadziły kręte kamienne schody o szerokości zaledwie dwóch mężczyzn.

Bess schodziła chwiejnie za strażnikiem słabo oświetloną spiralą, a światło z jego kopcającej lampki w najmniejszym stopniu nie oświetlało jej drogi. Przed nią stąpał człowiek zepsuty przez ludzi, którym musiał dotrzymać towarzystwa. Bess czuła bijący od niego mrok również w cuchnącym oddechu, który wypływał spomiędzy jego poczerniałych zębów.

– Nikt nie ma dostępu do więźniów w nocy przed egzekucją – oznajmił jej stanowczo. – Nikt.

Bess porzuciła wszelką nadzieję, że uda jej się przekonać tę chrześcijańską duszę.

– Proszę tylko o parę krótkich chwil.

Oparł się o zaryglowane drzwi i założył ręce.

– Straciłbym pracę. Wyrzucą mnie. I dokąd pójdę, co? A może ty zajmiesz się biednym starym Baggisem bez pracy i jedzenia? Co? Raczej nie.

– A może mogłabym zapewnić panu jakieś... zabezpieczenie. Na wypadek takich fatalnych skutków...

Uśmiechnął się szeroko, powoli oceniając jej prostą odzież i młode ciało. Bez jakiegokolwiek pośpiechu zrobił krok naprzód i wyciągnął brudną dłoń.

– A cóż takiego może mieć taka panna jak ty, czego mógłby chcieć teraz stary Baggis, co? Jak sądzisz?

Bess cofnęła się o krok i uniosła sakiewkę z pieniędzmi.

– Połowa teraz – powiedziała – a połowa, kiedy pozwolisz nam spędzić razem trochę czasu. Godzinę.

Zmarszczył brwi, patrząc na nią i na wiszący mu przed

oczami woreczek. Wzruszając ramionami i chrząkając, wyciągnął dłoń, na którą Bess szybko odliczyła połowę monet.

Panujący w celach mrok i duchota wcale nie były najgorsze. Ponieważ oskarżonych trzymano w celach przez okrągłą dobę podczas całego ich tu pobytu, powietrze wypełniał smród słomy przesiąkniętej moczem i zawartością jelit. Bess mogła mieć jedynie cień pojęcia, o ile gorsze musi być więzienie w mieście wielkości Dorchester. Tu były jedynie cele, w których przetrzymywano osoby oskarżone o przestępstwa i oczekujące na proces. Anne i Mary były wyjątkiem. Przynajmniej oszczędzono im wielu być może miesięcy uwięzienia w miejscu tak bardzo przypominającym piekło. Gdy Bess ujrzała Starą Mary, zaczęła wątpić, by ta chora kobieta mogła przeżyć więcej niż parę dni. Siedziała w kącie celi, kołysząc się w przód i w tył. Przy każdym jej ruchu podzwaniały kajdany, a ona nieprzerwanie mruczała coś pod nosem. W ciągu tych kilku dni postarzała się o całą dekadę. Anne ujrzała Bess i pospieszyła do metalowych drzwi klatki, lecz pętające ją kajdany spowalniały jej krok. Strażnik zagrzechotał kluczami w zardzewiałym zamku i wpuścił Bess do środka, zatraskując za nią drzwi. Bess padła w ramiona matki.

– Już dobrze, dziecko. Cicho – Anne pogłaskała ją po plecach.

– Och, mamó. Bałam się, nie pozwolą mi się z tobą spotkać przed jutrzejszym dniem.

– Prawdę mówiąc, jestem zaskoczona twoją obecnością tutaj. Kto dał ci pozwolenie?

– To bez znaczenia w tej chwili – odsunęła się, by spojrzeć na matkę. Włosy opadały jej luźno na ramiona niby biały welon. Twarz miała ściągniętą, ale w pewien sposób spokojną. Nie po raz pierwszy Bess uderzyło opowanie matki i jej pozorna odwaga. Na wspomnienie spokoju matki podczas zdarzeń tamtej nocy spędzonej z obserwatorami dreszcz przeszedł jej serce. Powoli pokręciła głową.

– Chcę ci zadać tak wiele pytań – stwierdziła – tak wielu rzeczy nie rozumiem.

– Ale kiedyś zrozumiesz, Bess. Kiedyś. Nie osądzaj mnie zbyt surowo.

– Nigdy! Jakże mogłabym cię osądzać? Oddałaś dla mnie wszystko, tyle wiem.

– Tak mi przykro, moje kochanie, że muszę zostawić cię całkiem samą. Wybacz mi.

– Nie mam ci czego wybacząć.

Anne zerknęła na drzwi, by sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Bess, posłuchaj mnie. Musisz mi coś przyrzec.

– Tylko powiedz, co.

– Po jutrzejszym dniu... nie, nie płacz... po jutrzejszym dniu musisz iść do Gideona.

– Co? Mamo, nie!

– Tak, musisz poprosić go o pomoc.

– Ale czy przez jego pomoc nie dość już wycierpia-

łyśmy? Czyż nie zapłaciłaś ceny wyższej niż ktokolwiek inny?

– Bess, tak niewiele wiesz o ludzkich umysłach. Czyż nie widzisz, że ci, którzy skazali mnie, będą teraz prześladować ciebie?

– Mnie? Ale za co?

– Jesteś córką wiedźmy. To czasy niepodobne do innych. Ludzie żyją w strachu, choć nie wiedzą dokładnie przed czym. Na tę chwilę to czary. Pozbywając się Mary i mnie, poczują się odrobinę bardziej bezpieczni. Na krótki czas. Ale po upływie kilku zaledwie dni panika zbudzi się ponownie, a tuscza zapagnie kolejnej śmierci. Gideon jest jedyną osobą zdolną cię chronić.

– Ale w jaki sposób? Czy chciałabyś, żeby mnie zmienił w...

– ...ohydne stworzenie, jakim stała się twoja matka?

– Nie! To nie to... – Bess nie dokończyła zdania i przestała powstrzymywać łkanie.

– Bess, posłuchaj moich słów, dziecko. Jesteś wszystkim, co ze mnie zostanie. Z nas wszystkich. Masz dobre serce swojego ojca, miłość życia swojej siostry, męstwo swojego brata. Bess, żyj! Żyj dalej, byśmy wszyscy mogli żyć. Jeżeli tak się nie stanie, umrę pokonana. Jeżeli dasz mi słowo, że postąpisz zgodnie z moją prośbą, wówczas, i tylko wówczas, będę mogła z radością iść na szubienicę.

– Och, mammo.

– Twoje słowo?

Bess leciutko skinęła głową.

– Jeżeli musisz je mieć, niech będzie, dam ci obietnicę. Pójdę do Gideona i poproszę o ochronę.

Anne westchnęła i Bess wydało się, że jej ciało nieco się odprężyło. Wsunęła palec pod brodę Bess i uniosła twarz córki ku własnej.

– Niech to będą ostatnie z twoich łez – poprosiła – ponieważ nie będzie przy tobie nikogo, kto mógłby je otrzeć.

– Och, mammo, jestem taka... bezsilna. Gdybym tylko mogła zburzyć ten wstrętny budynek i zabrać cię w bezpieczne miejsce. Jak mogę patrzeć na twoją śmierć?

– Bess, masz więcej siły, niż sądzisz. Nie płacz po mnie. Idę spotkać się z resztą rodziny i wezmę ze sobą twoją miłość. Nie boję się.

Bess przestała płakać i dotknęła policzka matki.

– A ja tak – powiedziała.

– Wiem. Aleja zawsze będę przy tobie, Bess. Pamiętaj. Jesteś mądra. Zaradna. Czeka na ciebie świat. Wiem, że osiągniesz wspaniałe rzeczy.

Rozmowę przerwał świszczący kaszel strażnika, który ciężkim krokiem zbliżał się do celi.

– Macie rację – warknął. – Czas się skończył.

– Co? – Bess przylgnęła do dłoni matki. – Mówił pan godzinę!

– Nie, panienko, to ty mówiłaś o godzinie. Ja nie wspomniałem o niczym takim. No, chodźże już, zanim stracę pracę.

– Nie dam ci ani pensa więcej, dopóki nie dasz nam godziny.

– Dasz, jeżeli sama nie chcesz skończyć w tej celi, ty zarozumiała lisiczko. Już, dajże mi to – zrobił krok naprzód i wyciągnął jej sakiewkę z za pasa. – A teraz ruszże swój śliczny młody tyłeczek na górę, zanim znajdę dla niego lepsze zastosowanie.

Bess odwróciła się do matki, która szybko pocałowała jej dłoń.

– Idź już – powiedziała, gdy się przytuliły – i pamiętaj, żadnych łez więcej.

W jakimś ukrytym miejscu we własnym wnętrzu Bess odkryła słaby odważny uśmiech. A potem się odwróciła, bojąc się, że odwaga może ją zawieść. Na ciężkich nogach ruszyła za strażnikiem.

8

Batchcombe, nie będąc miejscem o szczególnym znaczeniu, nie mogło pochwalić się własną szubienicą, a nie było czasu na jej budowę. Na zachód od wioski stał jednak krzepki dąb, który od niepamiętnych czasów zwano Drzewem Wisielców. W mniej cywilizowanych czasach nieszczęsnych nikczemników wieszano w trybie przyspieszonym na jego wielce poręcznych gałęziach. Nie było schodów, po których można by wejść, ani podestu, z którego ksiądz mógłby wygłosić parę słów pocieszenia, lecz skazani i tak kończyli na końcu liny. Właśnie do tego drzewa boleśnie wolno zbliżał się wóz wiozący Anne i Starą Mary. Bess wydawało się, że cała parana przybyła delektować się widowiskiem, które ona sama postrzegała jako morderstwo tych dwóch biednych kobiet. Pod drzewem zjawili się wszyscy – chłopskie rodziny, kupcy, szlachta, i teraz usilnie starali się zapewnić sobie dobry widok. Wóz z kobietami ciągnęły dwa muły. Skazane ciągle miały spętane kostki u nóg, a na ich szyje założono już stryczki. Stojąc opierały się o siebie nawzajem, by na wyboistej drodze nie upaść na szpiczasto zakończone drewniane drabinki wozu. Nieustannie towarzyszyły im szyderstwa i uraganie tłumu. Bess patrzyła na rozwścieczone twarze i uniesione pięści i przypomniawszy sobie arenę dla kogutów, gdzie po raz ostatni widziała zachowanie tak szaleńcze i brutalne. Nie położyła się spać,

tylko zaprzęła Szeptę do wozu i znalazła miejsce na niewielkim wzgórzu z boku drzewa egzekucji. Stamtąd widziała matkę, a matka widziała ją. Dwie kobiety wymieniły spojrzenia pełne tęsknoty i smutku, ale zgodnie z życzeniem matki, Bess nie płakała. Prawdę mówiąc, nie potrafiła płakać. Zupełnie jakby w ciągu tych kilku straszliwych miesięcy wypłakała łzy z całego życia i nic jej nie zostało.

Tłum stawał się coraz głośniejszy i bardziej wulgarny, wielebny Burdock zaś zaintonował modlitwy. Wóz ustawiono pod drzewem, a luźne końce stryczków szybko przerzucono przez gałąź. Na miejscu był też Nathaniel Kilpeck siedzący na swym wspaniałym białym koniu. Gestem nakazał ciszę, by kaznodzieja mógł skończyć polecenie kolejnych dwóch dusz opiece nieba.

– Niech będzie wiadomym – powiedział wysokim głosem, który towarzyszył Bess podczas nocnych koszmarów – że nie ma tu dziś zwycięstwa. Te dwie nieszczęsne istoty, które widzicie przed sobą, uległy samemu diabłu i zasługują na naszą litość.

Po tych słowach rozległy się szmery wyrażające brak zgody. Kilpeck ciągnął:

– Tym niemniej wiem, iż wszyscy tu obecni uwierzą mi, gdy powiem, że Batchcomb jest teraz miejscem bardziej bezpiecznym, bardziej pobożnym, miejscem lepszym, ponieważ uwolniono je od czarów.

Podniosły się wiwaty i krzyki:

– Powiesić wiedźmy! Niech tańczą z diabłem, skoro

tak bardzo go kochają!

Kilpeck zwrócił się do kobiet na wozie.

– Chcecie coś powiedzieć? – zapytał.

Mary tylko pisnęła i pokręciła głową. Anne zachowała spokój i oznajmiła jedynie:

– Idę do swojej rodziny.

Kilpeck wydawał się rozdrażniony jej spokojem. Jeżeli liczył na rozpaczliwe błagania o miłosierdzie i przyznanie się do winy w ostatniej chwili, to się rozczarował. Ponownie uniósł dłoń, dając znak konstablowi trzymającemu ogłowia mułów zaprzęzonych do wozu. Gdy ją gwałtownie opuścił, tamten pociągnął zwierzęta do przodu. Obie kobiety zostały ściągnięte z wozu przez liny przywiązane jednym końcem do drzewa, a drugim do ich własnych karków.

Bess poczuła, że traci oddech. Słyszała jedynie łomot krwi w głowie. Z rozpaczą patrzyła, jak Stara Mary kopie powietrze i szarpie się, bo w jej bliskim śmiertelnym ciele znalazło się więcej energii niż w ciągu wielu ostatnich lat życia. Anne natomiast cicho ześlizgnęła się z desek usuwającego się spod jej stóp odjeżdżającego wozu z twarzą równie spokojną jak zawsze. Rozległ się trzask, lecz jej rysów nie przeszedł nawet jeden skurcz. Bess wiedziała, że matka zmarła w czasie krótszym niż uderzenie serca, choć jej piękne błękitne oczy pozostały otwarte, patrząc łagodnie na tłum, który krzykiem domagał się jej śmierci.

Podczas powolnego powrotu do domu z ponurym ładunkiem na wozie Bess ogarnął spokój. Już się to skoń-

czyło, przynajmniej dla matki, a ona sama miała przed sobą wyłącznie praktyczne zajęcia. Zajęcia, nad którymi mogła panować. Gdy Szepta zatrzymała się na podwórzu, słońce świeciło niestosownie radośnie. Bess weszła do domu i przyniosła wszystkie potrzebne przedmioty – całun dla matki oraz kawał materiału, który posłuży jako całun dla Starej Mary. Zabrała oba ciała, niezdolna znieść myśli, że ta biedna bezdziejna kobieta miałaby spocząć za murem cmentarza samotnie i w nieznanym grobie. Resztę dnia Bess spędziła na pieczołowitych przygotowaniach obu kobiet do pochówku i na kopaniu grobów. Zamknęła umysł na okrutne wspomnienia tego, jak wraz z matką pochowały najpierw Thomasa, potem ojca, a na końcu małą Margaret. Pracowała wiele godzin, rozbijając łopatą suchą ziemię, podczas gdy nad jej głową przemykały ptaki z gałązkami w dziobach. W tym samym miejscu stała na początku innej wiosny, kiedy wszystko wokół rozkwitało i budziło się na znak nowego życia, a przecież całkowicie zaprzętała ją kwestia śmierci. Delikatny powiew przyniósł zapach morza. Bess poczuła nagłą tęsknotę, by iść na brzeg i zapatrzeć się w uspokajającą wodę. Obiecała sobie, że kiedy skończy swe ponure zadanie, właśnie tak zrobi. Nie spieszyło jej się, by wejść ponownie do pustego domu, w którym niegdyś mieszkała miłość. Ściągnięcie ciał z wozu na taczki, a później opuszczenie ich możliwie najdelikatniej do ziemnych grobów, wymagało niemałego wysiłku. Zanim zasypała doły, trzęsła się z wyczerpania. Uklękła przy świeżych

mogiłach, leżących tuż przy trzech wcześniejszych, nie modląc się, lecz walcząc z przemożnym zmęczeniem, niezdolna ni chwili dłużej utrzymać się na nogach. Poczwała, że musi powiedzieć coś znaczącego, coś, co upamiętni ten tragiczny moment. Nie zjawily się jednak ani słowa, ani łzy. Odretwiały umysł Bess zarejestrował za to odległy dźwięk głosów i kół wozów na ziemi. Mrużąc oczy przed promieniami zachodzącego słońca, dostrzegła niewielką grupę ludzi. Niektórzy jechali konno, większość jednak szła pieszo. Towarzyszył im jeden rozchwierutany wóz. Procesja poruszała się spokojnie, choć zdecydowanie i wkrótce dotarła na podwórze.

Bess zmusiła się do wstania. Ujrzała wdowę Digby siedzącą na wozie wraz z jejmością Wainwright. Pomiedzy mężczyznami rozpoznała konstabla i twarze znane z targu. Przygotowała się na wszystko, cokolwiek mogło teraz nastąpić.

Z grupy wystąpił mężczyzna, w którym teraz poznała imię Wainwright. Wskazał na dwa ciemne kopce ziemi.

– Czy to groby dwóch czarownic? – spytał. Bess przemówiła przez zaciśnięte zęby:

– To miejsce spoczynku mojej matki i Starej Mary.

W pobliżu wozu zrobił się jakiś ruch. Wainwright dał znak pozostałym mężczyznom.

– Przynieście je tu! – zawołał.

Pozostali opuścili tylną klapę wozu i zsunęli po niej cztery potężne kamienne płyty, z których każdą mogło unieść dwóch mężczyzn. Podeszli do grobów. Bess rzuciła

się ku nim.

– Czego tu chcecie? Zabierzcie to.

– Odsuń się, Bess – powiedział Wainwright. – Pozwól nam zrobić, co trzeba.

– Nie! – Pomimo protestów Bess odsunięto mężczyznom z drogi. Kamienie rzucone na groby wydały głuchy dźwięk.

– Nie możecie zostawić ich w spokoju? – krzyknęła Bess. – Nawet teraz, gdy już nie żyją, nadal musicie je dręczyć? Nie możecie im pozwolić odpocząć?

Jeden z mężczyzn niosących kamień odwrócił się w jej stronę.

– Tak, pozwolimy im odpocząć – rzucił – i dopilnujemy, żeby spoczywały już na wieki. – Przerwał pracę jedynie po to, by głośno splunąć. Pozostali poszli w jego ślady.

– Odejdźcie! – krzyczała Bess. – Odejdźcie! Idźcie stąd, mówię wam. – Rzuciła się na grób matki, ośmielona wściekłością. – Teraz jesteście zadowoleni? Czy możecie spać spokojniej we własnych łóżkach, wiedząc, że posłaście moją matkę na śmierć, a jej duszę przygwoździliście swoimi przekłętymi kamieniami? Moją matkę, która okazywała wam jedynie dobroć. Moją matkę, Tomie Crabtree, która ocaliła życie twojej siostry, i która, Betty Tones, łagodziła twe bóle porodowe, i która, jejmość Baines, wyciągnęła wam ropiejący paznokieć. Naprawdę macie tak krótką pamięć? Moja matka była dobrą kobietą! Moja matka była uzdrowicielką!

Wainwright wystąpił naprzód, wystarczająco blisko Bess, by mogła wyczuć w jego oddechu zapach whiskey i dostrzec w jego zbolonym wzroku szaleństwo. Jego głos przypominał powolne warczenie.

– Twoja matka była wiedźmą!

Tłum bez słowa odwrócił się do Bess plecami i zostawił ją klęczącą na zimnych kamiennych płytach, które ku zadowoleniu ogółu miały uniemożliwić czarownicom powstanie z grobów i nagie przejażdżki na miotłach dookoła wsi.

Bess patrzyła, jak odjeżdżają. Poruszyła się dopiero, gdy ostatni z intruzów zniknął z pola widzenia. Zrozumiała, że jej matka miała rację. Ci ludzie tkwili w szponach gorączki równie śmiertelnej jak dżuma i niebawem przyjdą po samą Bess. Szybko ruszyła do domu i zebrała trochę rzeczy w niewielki węzełek. Jej dłoń zawisała nad tak cennymi przedmiotami jak fajka ojca, lecz Bess jej nie zabrała. Miejsce takich rzeczy było w chacie. Wzięła najlepszy szal matki i zawiązała go wokół ramion. Stojąc w progu, obrzuciła swój jedyny dom przeciągłym spojrzaniem, a potem wyszła, zamykając za sobą drewniane drzwi. Otworzyła bramy pomiędzy zagródkami i wypuściła żywy inwentarz na pola. Krowa przeszła kilka kroków i zaczęła się paść. Szeptka odgoniła muchy rzutem ogona i zajęła się poszukiwaniem delikatnych pędów. Zwierzęta miały pod dostatkiem trawy i dostęp do źródlanej wody. Kurczęta będą sobie musiały poradzić z lisami. Bess zatrzymała się na chwilę przy grobach, nadal niezdolna wy-

dobyć słów, i przemówiła do nieobecnych samym sercem. W zapadającym mroku ruszyła pewnie przed siebie, nie wiedząc, kiedy i czy w ogóle powróci. Musiała dotrzymać obietnicy.

Bess dobrze знаła lasy Batchcombe. Bawiła się w nich jako dziecko, a jako osoba dorosła szukała w nich skarbów. Zakradała się tam, by zebrać dziki czosnek lub mech bądź zerwać kwiaty potrzebne matce do przygotowania leków. Wraz z bratem wspinała się na wiele wężlastych dębów i zrywała paski srebrzystej kory brzoź, która pomagała rozpalić ogień. Drogę znalazła bez trudu pomimo coraz słabszego światła. Zanim ujrzała chatę Gideona, sowy zaczęły już pohukiwać, a jeże rozpoczynały swą nocną aktywność. Sama chata była niewielka, drewniana i zwyczajna. Jej wyblakłe bale doskonale pasowały do otaczających je pni i wydawały się zlewać z lasem, wtapiając się w kłujące objęcia drzew i poszycia. Wzrok przykuwała scena z lewej strony domu. Znajdowało się tam coś, co teraz, w ciemnościach, wyglądało jak dwa drzemiące smoki, siedzące ze zwieszonymi głowami, których dymiące oddechy oddawały powolny rytm ich uśpionych serc. Po bliższym przyjrzeniu dziwy te okazywały się nic fantastycznymi stworzeniami, lecz dziełem człowieka, gdyż były to kopce, w których Gideon wypalał węgiel drzewny. Dzień i noc paliły się co najmniej dwa z nich, a inne stygły. Ich kruchy płon zmieniał się z płonącego drewna w suche, ciemne kawałki, oczekujące, aż ktoś je podniesie z wypełnionego popiołem łoża.

Gdy Bess znalazła się bliżej pomrukujących wgłębień, poczuła przerażający żar przebijający się na zewnątrz pomimo warstwy torfu, która go przykrywała i nie dopuszczała powietrza do wnętrza. Dziewczyna dziwiła się, że te plamy ognia nie wymknęły się spod kontroli i nie pożarły domostwa, a może i całego lasu. Szybko przeszła obok tych straszliwych obiektów i skierowała się do chaty. Właśnie zamierzała zapukać, kiedy drzwi otwarły się na oścież. Gideon musiał ją widzieć. Bez słowa patrzyli na siebie, a jedynym dźwiękiem przerywającym pełną napięcia ciszę był odległy pomruk płonącego węgla drzewnego. Po chwili Gideon odsunął się na bok i gestem zaprosił ją do środka. Nawet wówczas Bess ciężko było uwierzyć, że z własnej woli oddaje się w opiekę mężczyźnie, o którym wiedziała, iż jest zdolny do gwałtu i morderstwa z zimną krwią. Zobojętniała na własny los, co wynikało z rozpacz, żalu i przemożnego uczucia beznadziejności.

Jedyną izbę, zajmującą całą powierzchnię domu, oświetlały słabo dwie lampy. Oprócz nich światło dawał ogień płonący na kamiennym palenisku. Stały przy nim dwa krzesła, niewielki stół i ława, kilka półek, a przeciwnym rogu duże, przykryte puchową pierzyną łoże. Bess zwróciła się do Gideona. Już miała się odezwać, ale ją uprzedził:

– Twoja matka nie żyje.

Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie faktu, tak wyzbyte jakichkolwiek uczuć, że nie przyniosło ono Bess

pociechy ani powodu do urazy. Skinęła jedynie głową, a potem powiedziała:

– To moja matka... Ona kazała mi przyjść do pana.

Gideon podszedł bliżej, taksując Bess wzrokiem, z głową lekko przechyloną na jedną stronę. Pomimo zmęczenia stwierdziła, że ma dość energii, by czuć oburzenie na taki sposób traktowania. Właśnie została sierotą, była sama na świecie, przerażona i wyczerpana, a on nie miał dla niej jednego miłego słowa ani współczucia. Co sprawiło, że jej matka uwierzyła, iż w ogóle zamierzał jej pomóc?

– Jeżeli nie jestem tu mile widziana, oczywiście sobie pójdę – oznajmiła.

Gideon tylko machnął dłonią.

– Wybacz mi – powiedział. – Mamy ze mnie gospodarz. Nie jestem przyzwyczajony do towarzystwa. Usiądź, proszę.

– Wskazał wygodne krzesło z lewej strony kominka.

Bess zsunęła z ramion szal i umieściła go wraz z węzełkiem na podłodze. Krzesło było miękkie od poduszek, więc gdy tylko na nim usiadła, poczuła przemożne zmęczenie.

– Odpocznij chwilę – polecił Gideon. – Kiedy ostatnio jadłaś?

Bess potarła skronie. – Nie przypominam sobie.

– Przyniosę coś zatem. Będziesz potrzebowała siły do tego, co nas czeka.

Bess zamknęła oczy, zamierzając jedynie dać im odpo-

cząc, lecz już po chwili usnęła. Śniła o smokach latających nad lasami Batchcombe, a gdy zmusiły Nathaniela Kilpecka do panicznej ucieczki, spomiędzy ich kłów wydobywał się dym. Następnie sen się zmienił i smoki zwróciły się przeciwko Bess. Obudziła się natychmiast, prostując plecy na krześle. W jej przyćmioną świadomość wnikały dźwięki ballady „Greensleeves”. Wełniany koc, którym przykrył ją Gideon, zsunął się na podłogę. Gdy była w stanie skupić wzrok, dostrzegła, że siedzi nieruchomo jak kamień na krześle naprzeciw niej, w dłoni trzyma fajkę i przygląda się jej, nucąc melodię. Przygląda się i czeka. Fajką wskazał stół.

– Jedz – polecił.

Bess spełniła polecenie. Z zaskoczeniem odkryła, że jest głodna jak wilk. Na stole stała smaczna potrawka z królika z pikantnymi ziołami oraz chleb, który można było moczyć w sosie. Jadła łakomie, nie dbając nawet o to, że Gideon nie spuszcza z niej wzroku. Kiedy skończyła, wstał i niespiesznie zaczął chodzić po izbie. Bess zaczęła się zastanawiać, co się teraz zdarzy. Przebywała z kimś, kto był dla niej przecież całkiem obcy. Nigdy wcześniej nie spędziła nocy w jednej chacie z mężczyzną. Nie miał jej kto chronić. Była zdana na jego łaskę, a przecież nie miała pojęcia, czego należy się po nim spodziewać, poza świadomością, że jest zdolny zabrać ją wszędzie tam, gdzie zapragnie. Wyprostowała się. Nie pozwoli odebrać sobie tej resztki godności, jaka jej jeszcze została. Zauważył jej niepokój, jednak nie zrobił nic, by

uspokoić jej umysł. Stał tylko, dotykając dziwnej drewnianej rzeźby. W półmroku Bess nie widziała jej zbyt dobrze. Wyglądała na coś w rodzaju kozy. Gideon gwałtownie odstawił ją na półkę.

– Bess, powiedz mi, jak twoim zdaniem mógłbym cię chronić, co? Czy wyobrażasz sobie, by te marne drewniane ściany miały odstraszyć twych prześladowców? Czy sądzisz, że posłuchają, gdy im każę zostawić cię w spokoju?

– Nic wiem. Nie zastanawiałam się nad tym.

Rzucił się naprzód, gwałtownie uderzając dłońmi o stół dokładnie na wprost Bess. Pochylił się w jej stronę, aż jego twarz znalazła się w odległości zaledwie kilku cali od jej głowy.

– Zatem musisz zacząć! Nie interesuje mnie lekko-myślna panienska, która nie ma dość rozumu, by się bronić. Pomogę ci tylko wtedy, gdy okażesz się dość mądra, by z tej pomocy skorzystać.

– Z całą pewnością zrobię, co w mojej mocy, proszę pana.

– Zostaje nam więc nadzieja, że ta moc będzie wystarczająca – wstał powoli, nie odrywając od niej wzroku nawet na chwilę.

– Szkoda byłoby zdusić tę wspaniałą szyjkę strykiem. Twoja matka przysłała cię tutaj, ponieważ chciała, żebyś się nauczyła tego, czego nauczyła się ona sama. I jeszcze więcej. Przysłała cię tu, żebyś została moją uczennicą. Moc, która ocaliła cię od zarazy, ocali cię ponownie, Bess. Ale nie ma odwrotu, musisz to zrozumieć.

Gdy już wyruszysz w tę podróż, nie wrócisz do miejsca na tej ziemi, które zamieszkiwałaś wcześniej. Zmienisz się na zawsze. Bess poczuła suchość w ustach, lecz wydusiła z siebie:

– A jaką cenę muszę zapłacić za pańską pomoc? – zapytała. Gideon potrząsnął głową i pozwolił sobie na najśłabszy uśmiech z możliwych.

– Nie będziemy teraz o tym rozmawiać. Na tę noc wystarczy. Spij, a rano rozpoczniemy z zapalem. Muszę dopilnować moich palenisk z węglem. Możesz zająć łóżko. – Zdjął z haka na ścianie czarny kapelusz i ruszył w stronę drzwi.

Bess zerwała się na równe nogi.

– Mam zawrzeć układ w ciemno?

Zatrzymał się z dłonią na zasuwie i rzekł, nie odwracając głowy w jej stronę:

– Dziewczyno, twoja sytuacja nie pozwala ci na nic więcej. Weźmiesz to, co proponuję, i żadnych targów. W przeciwnym razie złamiesz bowiem daną matce obietnicę. A poza tym z całą pewnością będziesz się tak jak ona huścić na wietrze pod Drzewem Wisielców.

Kolejne dwa dni i dwie noce Bess spędziła w wirze dziwnych nazw i nieznanym słów. Gideon pokazał jej księgi, jakich nie widziała nigdy wcześniej. W większości nie były one napisane po łacinie, angielsku czy francusku, ani w żadnym innym języku, który byłaby w stanie rozpoznać. Kazał jej wielokrotnie powtarzać niezwykle słowa, dopóki się ich nie nauczyła, a jej język puchł od

wykręcania go na nieznanym dźwiękach. Był surowym nauczycielem, nie pozwalał jej zrobić przerw na odpoczynek ani posiłek, dopóki nie przyswoiła sobie wszystkiego, co chciał. Początkowo Bess nie potrafiła wyobrazić sobie, do czego można by zastosować owe niezrozumiałe wersy.

Rozumiała jednak, jak duży nacisk kładł na nie Gideon, i szybko zorientowała się, że mężczyzna niczego jej nie wyjaśni, dopóki nie uzna tego za stosowne. Czasem pracowali przy stole w chacie. Innym razem wędrowali przez najmroczniejsze leśne ostępy. Zdarzało się też, że zostawiał ją z książką przed chatą, a sam doglądał kopców z węglem drzewnym. Bess była zafascynowana tym procesem. Podczas pracy Gideon śpiewał niskim, zaskakująco melodyjnym głosem, zawsze tę samą balladę. Zawsze „Greensleeves”.

*Moja miłość mnie krzywdzi
odrzucając mnie okrutnie
A ja kochałem cię tak długo
Zachwycony twym towarzystwem.
Greensleeves mnie zachwyciła
Greensleeves była moim skarbem
Greensleeves była moją radością
I nikt poza nią Panią Greensleeves.*

Śpiewając tę niezwykle hipnotyczną pieśń miłosną, doglądał dołów z węglem drzewnym. Zaczynał od oczysz-

czania miejsca pod palenisko, a następnie wbijał ruszt na węgiel drzewny wysoki na sześć stóp. Dookoła budował z trzech potężnych gałęzi komin. Wokół niego układał sągi drewna, czasem dębu lub kasztanowca. Kiedy indziej była to wierzba, lecz wszystko to pochodziło z otaczającego ich lasu. Po pewnym czasie kończył układanie zaostrzonego kopca, który następnie okrywał ziemią i torfem, aby przytłumić płonący w dole ogień. Usuwał środkową podpórę, a w powstałe w ten sposób miejsce wsypywał płonący węgiel drzewny, który podpalał cały stos. Komin nakrywał większą ilością wilgotnego torfu, dzięki czemu para i dym mogły wydostawać się wyłącznie przez otwór zostawiony z boku kopca. Zdaniem Bess były to ni mniej, ni więcej tylko nozdrza owych drzemających smoków. Noce ciągle były chłodne, ale dni ogrzewało uśmiechnięte wiosenne słońce. Praca była ciężka, dlatego Gideon często rozbierał się do pasa, a podczas podnoszenia ciężkiego drewna jego muskularny tors prężył się z wysiłku. Kiedy odkrywał gotowy już pice i polewał świeży węgiel wodą, powietrze wypełniała para niosąca widoczne cząstki. Pył czarnych resztek drewna mieszał się z jego własnym potem, więc wkrótce wyglądał tak, jakby to on sam wydostał się z owych dołów. Bess ciągle nic dawał spokoju fakt, że choć nie był już młodym mężczyzną, jego ciało nie było pomarszczone ani osłabione tą pracą. Pomimo ogromnego wysiłku i prostego życia wyglądał jak szlachcic, dzięki swym regularnym rysom i jędrnej, gładkiej skórze. Przez cały ten czas kazał jej

uczyć się na pamięć śpiewnych inkantacji lub dziwacznie rytmicznych urywków z jednej ze swych ksiąg. Wieczorem trzeciego dnia nakazał, by siadła przy stole, i przyniósł nowy tom. Była to najpiękniejsza księga, na jaką kiedykolwiek padł wzrok Bess. Okładkę miała z najmiększej czerwonej skóry ze złotymi zdobieniami w kształcie gwiazd oraz ozdobnym pismem. Gideon po raz pierwszy usiadł przy niej. Dokładnie czuła nacisk jego nóg na własne ciało.

– To – powiedział – jest coś cudownego. Bess. Coś świętego. – Czy to Biblia?

– W pewnym sensie pewnie tak. Ale nie taka, jaką znasz. – Pozwolił, by jej palce lekko przesunęły się po literach na okładce, i dopiero potem delikatnie i niezwykle ostrożnie otworzył książkę. To moja *Księga Cieni*.

Gdy pierwsza karta opadła płasko w drżącym świetle świecy, Bess poczuła zapach słodkiego kadzidła oraz ciepły powiew na twarzy, choć okna były szczelnie zamknięte, a na zewnątrz było niemal mroźno. Gideon odwracał strony, trzymając księgę z czułością, której Bess wcześniej u niego nie widziała. Przyjrzała się tekstowi uważniej i stwierdziła, że słowa są angielskie. Czytając je, krzyknęła cicho.

– Zaklęcia! To wszystko zaklęcia! – stwierdziła.

– Oczywiście, Bess, bo taka właśnie jest natura *Księgi Cieni*, to księga zaklęć. A jednocześnie dziennik, zapis magii stosowanej i napotkanej. Są tu słowa zmniejszające cierpienie i usuwające ból. Są zaklęcia dodające odwagi

słabym i topiące najtwardsze z serc.

On mówił, a Bess czytała.

– 1 klątwy – stwierdziła. – Proszę spojrzeć, ta dotyczy uśmiercenia bydła sąsiada. A ta przegnania rywala w miłości.

– Tak. klątwy i uroki też. Bess, nic ma takiej rzeczy, której nic może posłużyć magiczna moc, i właśnie ty powinnaś wiedzieć to najlepiej.

– Wiem, że moja mama nie chciałaby mieć nic wspólnego ze szkodzeniem komukolwiek. Powieszono ją właśnie za to, a ona była niewinna.

– Bess, Bess, to ty jesteś niewinna. Ją powieszono za bycie wiedźmą, czego, jak sędzę, się nie wyparła, prawda?

– Co?

– Czy podczas procesu słyszałaś choćby raz, jak mówiła, że nie jest czarownicą?

– Nie była winna, tak mówiła.

– Nie była winna rzuceniu klątwy na te nieszczęsne dzieci czy prześladowaniu tej głupiej wdowy, to fakt. Dlaczegoż miałyby w taki sposób trwonić swą energię? Ale bycie wiedźmą? No już, to nie czas ni miejsce na naiwność, Bess. Nie oszukuj się dłużej. Czym, twoim zdaniem, zajmowaliśmy się przez kilka ostatnich dni? O jakiej mocy, według ciebie, mówiłem? Jakiej mocy użyła twoja matka, by wyrwać cię ze szponów samej śmierci, co? Porozmawiajmy o tym otwarcie. Twoja matka była czarownicą. Została nią dzięki mnie. A teraz ty masz wyruszyć w tę podróż.

– Nie będę rzucać klątw na ludzi! Nie będę używać złych mocy! Moja matka była uzdrowicielką. Była dobra i miła.

– To prawda. Ale była też matką, która właśnie straciła większość dzieci. Nie mogła pozwolić ci umrzeć, Bess, i nawet jeżeli to oznaczało potępienie własnej duszy w zamian za twoje ocalenie, była na to gotowa.

– Jak pan może tak po prostu mówić, że była potępiona! Nie chcę tego słyszeć! – Bess poderwała się, przesuając ławkę po kamiennej posadzce.

– Na szczęście o to nie musisz się martwić. Nawet jeżeli naprawdę ściągnęła na siebie potępienie, zdecydowała się umrzeć, aby ocalić ciebie, i tym samym zyskała odkupienie dla swojej duszy. Jestem pewien, że teraz w pokoju odpoczywa wraz z resztą rodziny.

Bess zmarszczyła brwi, potrząsając głową, zupełnie jakby kotłujące się w niej myśli miały doprowadzić ją do szaleństwa.

– Zaciągnęła u pana dług, aby mnie ocalić – stwierdziła – lecz nie zmarła dla mnie.

– Przykro mi to mówić, ale w tym względzie się mylisz. Twoja matka miała ogromny talent do sztuk tajemnych, Bess. Była chętną i utalentowaną uczennicą i w tym krótkim czasie, jaki mieliśmy do dyspozycji, poczyniła ogromne postępy. Gdyby chciała, mogłaby uciec z więzienia, wydostać się na wolność i bez zbytniego trudu umknąć swym prześladowcom.

Bess usiadła ciężko.

– Ale nie rozumiem. Kiedy widziałam się z nią wieczorem przed jej śmiercią, żałowałam głośno, że nie mogę tego dla niej zrobić. Że nie potrafię skruszyć ścian więzienia i zabrać jej z tego ohydneho miejsca. Skoro mogła to zrobić sama, dlaczego tego nie zrobiła?

– A przeciw komu, twoim zdaniem, zwróciliby się wówczas wielcy i wspaniali mieszkańcy Batchcombe? Gdyby udało jej się uciec, nie mogłaby zabrać cię ze sobą, Bess. Wiedziała to. Zostawiłaby cię bez ochrony. Zdecydowała się zawisnąć, żebyś ty mogła przyjść tutaj i otrzymać moc pozwalającą ci przeżyć. Dokładnie tego chciała, prawda? Żebyś przeżyła?

Bess przypomniała sobie słowa matki wypowiedziane podczas ostatniej rozmowy.

– Przeżyj, Bess – powiedziała. – Żyj dalej.

Skądże Gideon mógł wiedzieć, co mówiła? Czy w jakiś sposób podsłuchiwał ich rozmowę? Czy im się przyglądał?

Zanim była w stanie znaleźć odpowiedź, Gideon wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Pod jego dotykiem jej ciało zeszywniało. Rozeszło się po nim dziwne ciepło, zupełnie jakby miękły jej kości. Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie było to nieprzyjemne uczucie. Pragnęła cofnąć rękę, lecz stwierdziła, że nie jest w stanie.

– Nie możesz się zadrećzać czymś, na co nie masz żadnego wpływu – stwierdził, uśmiechając się łagodnie. – Twoja matka dokonała wyboru, a ty dobrowolnie złożyłaś jej obietnicę. Nie bój się. Będę twoim przewodnikiem. – Podniósł drugą dłoń i delikatnie pogłaskał jej włosy. –

Dopilnuję, by nie spotkała cię żadna krzywda. Bess, jest w tobie coś wspaniałego – szepnął. – Coś, co dotychczas było uśpione. Gdy się obudzi, staniesz się jeszcze wspanialsza!

Bess patrzyła na niego, a w jej głowie ponownie pojawiła się wizja kota, który okrutnie bawi się swą ofiarą, zanim ją wreszcie pożre. Jakże mogła zaufać takiemu mężczyźnie? Do jakich okrutnych czynów był zdolny? Gideon, jakby czytając w jej myślach, puścił jej dłoń i powrócił do *Księgi Cieni*.

– Do roboty – stwierdził – jest dużo do zrobienia, a być może nie zostało nam zbyt wiele czasu.

Kolejne dni były najcudowniejsze w całym życiu Bess. Gdyby była w stanie uporządkować myśli, musiałaby przyznać, że intrygowało ją to, czego była świadkiem. Nie tylko intrygowało – ale w niedługim czasie oczarowało ją i uwiodło. Jej początkowy opór szybko zaczął znikać w obliczu olśniewających dowodów działania magii. Gideon pokazał jej, jak rozpalić ogień w miejscu, gdzie go nie było, używając do tego jedynie zaklęcia oraz sity woli. Wyczarowywał fantastyczne stworzenia. Nie odrażające chowańce, które odwiedziły jej matkę, lecz delikatne elfy, które tańczyły dla niej wokół dołów z węglem. Zebrał niewidoczny chór, który śpiewał najśłodsze pieśni, jakie kiedykolwiek słyszała, a ich słodycz wywoływała łązy radości. Pokazał jej, jak leczyć własne rany. Szarpnęła się, wystraszona, gdy naciął jej dłoń nożem, ale strach szybko

przeszedł w zdziwienie, ponieważ nacięcie zniknęło pod wpływem kilku słów i dotyku jego dłoni. I to jakiego dotyku. Stwierdziła, że pociąga ją coraz bardziej. Coraz bardziej poddawała się jego urokowi. Fascynował ją od zawsze, lecz powoli zaczęła pozbywać się równego tej fascynacji wstrętu, jaki do niego czuła. Wkrótce odkryła, że jego pochwała po dobrze wykonanym zadaniu sprawia jej przyjemność. Promieniała radością, gdy oklaskiwał jej próby jakiejś nowej sztuczki. I szybko zaczęła pragnąć jego dotyku. Nigdy nie usiłował wziąć jej siłą ani nawet jej pocałować, a mimo to czuła, że ją uwiódł. Mógł ją wziąć i musiał to wiedzieć. A mimo to w nocy, kiedy wyczerpana padała na puchowe łożo, zostawiał ją w spokoju i wychodził na zewnątrz, doglądać węgla. Jednego wieczoru, gdy miał właśnie otworzyć drzwi, odezwała się do niego.

– Czekaj – poprosiła. – Musisz iść? Czy węgiel nie poradzi sobie jeszcze chwilę bez twojej uwagi? – Stała pośrodku izby zaskoczona własną odwagą, nic nie wiedząc, czego od niego oczekuje, pragnąc jedynie, by został. Pożądając go boleśnie.

Gideon zatrzymał się. Uśmiechnął się do niej w sposób świadczący, że wie. Podeszedł do niej i oparł dłonie na jej ramionach, a twarz przysunął do jej twarzy na odległość kilku cali. Bess czuła ciepło bliskiego ciała. Pochylił się naprzód i dotknął wargami jej ust. Był to najdelikatniejszy, najbardziej powściągliwy z pocałunków, ale jego siła i nieodparta słodycz zaparła Bess dech w piersiach. Za-

rzuciła mu ramiona na szyję. Gideon delikatnie wyswobodził się z uścisku. Chwycił jej dłonie, rozplótł je i przycisnął do własnej piersi.

– Cierpliwości, najdroższa – poprosił cicho. – Nasz czas nadejdzie. – Uśmiechnął się ponownie, a potem odwrócił i wyszedł z izby.

Bess z płonąca twarzą została tam, gdzie stała. Czuła się zawstydzona, porażona siłą własnych uczuć i pragnieniem rzucenia mu się w ramiona. Jednocześnie była zaskoczona siłą pożądania, jakie w niej obudził. Pożądania człowieka, o którym wiedziała, że jest zdolny do straszliwych czynów. Pomyślała o młodej Cygance, napotkanej w lesie dawno temu, i znienawidziła się jeszcze bardziej. Pospieszyła do łóżka, gdzie przez wiele godzin leżała niespokojna i zażenowana, zanim wreszcie nadzedł sen.

Innej ciepłej nocy kilka dni później znów nie mogła spać. Kręciła się i wierciła pod ciężkim przykryciem. Choć zima właśnie odeszła, noc była chłodna, a ją paliła skóra. Ciało miała przepełnione pożądaniem, które nie dawało jej spokoju. W końcu wstała. Zarzuciła szal na okryte koszulą ramiona i boso wyszła z chaty. Spodziewała się, że Gideon zajęty będzie dokładaniem do ognia lub zalewaniem gotowego węgla, lecz nie było go tam. Usłyszała dźwięk odległej muzyki, która słabo dobiegała spośród drzew. Kiedy ruszyła w jej stronę, rozpoznała melodię „Greensleeves”, jednak graną tak brutalnie, w tak gwałtownym rytmie i z tak nierównym na-

tężeniem, że pieśń zmieniała się w dźwięk szaleństwa, jakby obłąd przekształcił się w muzykę. Księżyc znajdował się wysoko i choć nie była to jeszcze pełnia, dawał dość światła, by mogła ostrożnie iść w stronę, skąd dobiegały dźwięki. Niebawem dostrzegła płomienie migoczące pośród pni. Na polanie przed nią płonęło ognisko. Bess ostrożnie ruszyła naprzód i zbliżyła się na bezpieczną odległość, nie chcąc, by przyłapano ją na szpiegowaniu. Dotarła do potężnego w obwodzie dębu i wyjrzała zza niego. Musiała powstrzymać krzyk pięścią przyciśniętą do ust.

Rzeczywiście płonęło tam ognisko – ogromne, wściekłe, nienaturalnie jasne i dzikie. Wokół niego tańczyła zbieranina stworzeń tak straszliwych, że podobne widuje się jedynie w najbardziej przerażających koszmarach. Jedno z nich miało głowę jaszczurki, lecz ciało owcy. Inne ślizgało się na brzuchu niczym wąż, pokryte było jednak sztywną skołtunioną sierścią. Z gałęzi spadały nietoperze wielkości indyków. Muzyce granej przez ospowatego bezwłosego olbrzyma towarzyszyły skrzeczenia i piski. Walił w ogromny bęben, a jego potężne ramiona opadały z przerażającą siłą. Obok niego stał śliczny chłopczyk, który od pasa w dół miał ciało kozła, i grał na dudach. Mężczyzna, tak stary, że wprost ciężko sobie to wyobrazić, szarpał struny harfy, a jego krzaczaste brwi marszczyły się w skupieniu. Obok nich wirowały szaleńczo inne stworzenia, pogrążone w tańcu i krzyku. Miot Chowańców ssał potężną drzemiącą maciorę. Dwa łasicopodobne

stworzenia rzuciły się do walki z taką ochotą, że jedno z nich całkowicie przegryzło szyję drugiego, odrywając warczącą głowę. Po przeciwnej stronie ogniska stała jakaś postać zwrócona do Bess plecami.

Ramiona miała uniesione w błagalnym geście. Odziana była w długą opończę. Wygłaszała inkantację, którą Bess poznała podczas nauki. Również głos trudno było pomylić. Każdy nerw ciała wzywał Bess do ucieczki, ale nie była w stanie oderwać wzroku od Gideona. Gdy skończył śpiewać, odwrócił się tak, że ogień oświetlił jego twarz.

W tym momencie płomienie dwukrotnie zwiększyły swą wysokość. Skręcały się i ryczały, a pośród nich pojawiły się dwa wijące się kształty. Wychodząc z ognia, przybrały postać dwóch nagich kobiet, które owinęły się wokół Gideona, zaczęły go całować i przymilać się. Odpięły zapinkę i opończa upadła mu do stóp, odsłaniając jego nagość. Popchnął jedną z kobiet na ziemię, odwracając przy tym tak, by móc ją posiąść od tyłu. Diablica wydała straszliwy wrzask przyjemności, gdy poruszał się między jej pośladkami. Druga kobieta opadła na kolana i jęła całować jego uda, podczas gdy on ciągle zajmował się zawodzącym stworem przed sobą. Gdy jego pożądanie osiągnęło najwyższy poziom, z gardła wydobył mu się przerażający pomruk. A potem, na oczach Bess, jego twarz zaczęła drżeć i pulsować, poddając się straszliwej przemianie.

Bess ogarnął strach. Zniknęły ostre, lecz szlachetne rysy Gideona. W ich miejsce pojawiła się twarz bestii, pysk

kozła ze skrofulicznym ciałem i wystającymi kłami. Bess próbowała odzyskać oddech, wmawiając sobie, że to nie może być mężczyzna, którego dotyku pragnęła. Ale wzrok nie pozwalał jej wątpić. Nie było mowy o pomyłce. To był Gideon zmieniony w coś niewypowiedzianie straszliwego. Czy aby na pewno? Czy to mogła być prawda? Że tak właśnie wygląda prawdziwy Gideon, a ten przystojny mężczyzna, którego znała, był jedynie przebraniem? Nie zdołała powstrzymać krzyku.

Gideon podniósł wzrok, z ohydną twarzą ciągle wykrzywioną ekstazą, i ją dostrzegł. Bess odwróciła się na bosej pięcie i rzuciła do ucieczki przez las, nieustannie się potykając. Choć jeżyny smagały ją po twarzy, wiedziała, że Gideon ją goni. Słyszała, jak ogromnymi susami gna przez poszycie. Gdy ją chwycił, wydała mimowolny krzyk, odwracając wzrok od jego twarzy, zbyt przerażona tym, co zobaczy.

– Bess! – potrząsnął nią. – Bess, popatrz na mnie. Nie była w stanie.

– Nie! – krzyknęła. – Puść mnie! Pozwól mi odejść z tego obrzydliwego miejsca!

Chwycił ją za brodę i odwrócił ku sobie. Nie mogła dłużej unikać widoku jego twarzy i stwierdziła, że powrócił do swej ludzkiej postaci, choć w jego oczach ciągle tliła się przerażająca czerwień. Trzymał ją blisko swego nagiego, rozbudzonego ciała.

– Bess, to dla ciebie. Wszystko dla ciebie. Prosiłem naszego Pana o błogosławieństwo dla ciebie i dziś

w nocy świętujemy jego hojność. Staniesz się taka. jak ja. Nie będzie ci straszna śmierć ni ból. Znajdziesz się poza zasięgiem tych, którzy pragną odebrać ci życie. Wyjdziemy, przeniesiemy się w miejsce, gdzie nikt nas nie zna. Wspólnie...

– Nie! Nie mogę!

– Wiesz, że jesteśmy podobni, ja i ty, jesteśmy dla siebie stworzeni. – Nie, to nieprawda!

– Ależ tak. Zastanów się, Bess. Pomyśl o swojej mocy. Masz w sobie magiczną moc, oboje to wiemy. Widziałem, jak jej używasz. To nie jakieś urocze sztuczki ani wynik uzdrawiającej wiedzy przekazanej przez twoją matkę. Wiesz, że mówię prawdę...

– Nie...

– Tak! Wiesz, że ta siła pochodzi z jakiegoś ciemnego miejsca wewnątrz ciebie, gdyż potrafisz używać jej jedynie wówczas, kiedy wpadasz w gniew. Taka jest prawda. To ciemna siła i wzrośnie tysiąckrotnie, gdy tylko zrobisz ten krok, gdy przyjmiesz sztukę i przyłączysz się do mnie.

– Wolałabym umrzeć!

– Masz żyć. Trwać, jak chciała twoja matka.

– Nigdy by mnie nie oddała... temu! – Bess szarpała się bezskutecznie w uścisku Gideona.

– Ona wiedziała, jaką cenę będziesz musiała zapłacić. Ale nie bój się. Nasz Pan nagradza swych lojalnych uczniów. Widzisz, jak jestem silny, widziałaś moją energię, nie możesz zaprzeczyć. To właśnie jego dar, a ty otrzymasz to samo. Życie, Bess, nie śmierć, lecz wieczną

młodość, najdroższa!

– Najdroższa? Co ty wiesz o miłości? Nie widzę tu żadnej miłości. – Pogroziła pięścią odrażającym stworzeniom, które tańczyły i skakały wokół nich. – Widzę jedynie zło!

Wyrwała mu się i pobięła przez las, zatrzasnąjąc za sobą drzwi chaty i podpierając je stołem. Dopiero wówczas rzuciła się na łóżko. Przez godzinę lub nawet więcej siedziała zeszywniała z przerażenia. Czekwała i nasłuchiwała. Gdy nie stwierdziła żadnego dźwięku ni ruchu, poddała się zmęczeniu i zapadła w niespokojny sen.

9

Kiedy się obudziła następnego dnia rano, stół był już odstawiony na środek pokoju, a na ogniu gotowała się owsianka. Gideon siedział zajęty czyszczeniem glinianej fajki, zupełnie jakby poprzedniej nocy nic nie zaszło. Widząc, że się poruszyła, gestem wskazał garnek.

– Siadaj do śniadania. Mamy niewiele czasu.

– Czasu?

– Do pełni księżyca musisz dokładnie opanować słowa. Tylko wówczas będziesz mogła zaintonować owe antyczne wersy, które dopełnią twej transformacji. Tylko wówczas zyskasz moc.

– Nie wypowiem ich. – Jej głos był tylko odrobinę głośniejszy od szeptu. – Nie i już.

Zignorował jej słowa i odłożył fajkę na półkę. Był to zupełnie zwyczajny gest, lecz niemal powalił Bess na kolana. Jakże często widziała, jak jej ojciec robił dokładnie to samo, zanim zabrał się do pracy w gospodarstwie lub zaczął przygotowywać się do pójścia spać? Jakże to możliwe, że przebyła tak niedługą odległość, a mimo to odeszła tak daleko od tamtego wypełnionego miłością domu i prostego, dobrego życia, które było niegdyś jej udziałem? Co się z nią teraz stało? Gideon zdjął kapelusz z kołka. Właśnie miał otworzyć drzwi, gdy na polanie przed chatą rozległ się tętent koni. Od drzew odbiły się krzyki.

– Gideonie Mastersie! Wychodź!

Bess rozpoznała głos pogromcy czarownic.

– Wychodź. Wiemy, że jest u ciebie Bess Hawksmith. Muszę ją aresztować i oskarżyć o czary. Wyprowadź ją.

Bess wyczołgała się z łóża i chwyciła szal. Spodziewała się, że Gideon zarygluje drzwi, zrobi cokolwiek, by ją chronić, ale on je otworzył.

– Zapewniam pana, mości sędzio – zawołał – że właśnie się szykuje. Chodź, Bess – polecił, wyciągając rękę.

Nie rozumiejąc, co się dzieje, założyła suknię i szal na koszulę nocną i szybko wzięła buty. Nie mogła zostać w tym straszliwym miejscu z Gideonem, którego prawdziwej postaci nie знаła, ale była zaskoczona, że oddał ją Kilpeckowi, z pewnością wiedząc, jaki los ją czeka. Jakiegoż rezultatu się spodziewał? Wyszła za próg, drżąc i ignorując jego dłoń. Kilpeck siedział na swym białym koniu. Towarzyszyło mu sześciu z jego ludzi i dwóch miejscowych konstabli. Bess z trudem udało się dobrać głosu.

– Kto mnie oskarża? – zapytała wreszcie.

– Bill Prosser.

– Co? Przecież on wie, że ocaliłam życie jego wnukowi i córce, Sarah.

Nathanielowi Kilpeck najwyraźniej sprawiało przyjemność, że może przynieść druzgocące wieści.

– Sarah Prosser zapadła w delirium na trzy dni i wtedy nieustannie powtarzała twoje imię. Dwa dni temu dobry Pan w swym niezmiernym miłosierdziu zabrał ją

z tego świata. Chodź. Będiesz miała możliwość spotkać się ze swymi oskarżycielami w sądzie.

Dwóch mężczyzn zdążyło już zsiąść z koni i kierowało się teraz w stronę Bess, która stała w miejscu porażona strachem. Poczowała na ramieniu dłoń Gideona. Pochylił się do jej ucha, a jego ciepły oddech na jej karku sprawił, że zadrżała.

– Pełnia księżycyca – przypomniał. – Przygotuj się. Będę na ciebie czekał.

Przyjrzała mu się wzrokiem wyrażającym mieszaninę przerażenia i sprzeciwu, a potem ją zabrano.

W niecałą godzinę później Bess stała w sądzie w Batchcombe w miejscu zajmowanym niedawno przez jej matkę, wzburzony tłum zaś niecierpliwie oczekiwał na rozpoczęcie procesu. Konstabl nakazał ciszę, a do sali weszli radny Watkins, wielebny Burdock i pogromca czarownic Kilpeck, którzy zajęli miejsca w wysokiej ławie. Bess usłyszała, jak czytają jej imię wraz z postawionymi jej zarzutami, ale miała wrażenie, że to wszystko dzieje się poza nią. Wydawało jej się, że po raz kolejny patrzy na proces matki, choć jednocześnie wiedziała, że to ona jest teraz oskarżana. Pomimo to jednak ciężko jej było się skupić na tym, co mówiono. Bill Prosser faktycznie oskarżył ją o rzucenie na jego córkę złośliwej klątwy, twierdząc, że Bess musiała zasiać w niej ziarno śmierci, gdy uczestniczyła w porodzie wiele miesięcy temu. Bess patrzyła na twarz mężczyzny, którego znała przez całe swe życie, i wyraźnie widziała, jak bardzo zmienił go obłąd

wynikający z żalu. W następnej kolejności usłyszała zeznania Davy'ego Allisa, w którym rozpoznała lubieżnika spod Trzech Piór. Twierdził, że rzuciła na niego urok i od czasu, gdy napadła go w gospodzie, nie cieszy się dobrym zdrowiem. Znalazł nawet świadków skłonnych poświadczyć przebieg wydarzeń. Bess słuchała tego wszystkiego ze straszliwym poczuciem dystansu. Nie mogła nic zrobić czy powiedzieć, by przekonać tych ludzi. Jej proces odbył się, jeszcze zanim przyprowadzono ją do sali sądowej. Na ramionach poczuła ciężar rezygnacji wobec swego okrutnego losu. Gdy sędziowie ogłosili wyrok, niemal poczuła ulgę, że ta fikcja dobiega końca. Usłyszała, jak Wilkins uderza młotkiem, a potem poczuła, jak jakieś szorstkie ręce popychają ją w stronę drzwi więzienia. Zabrano ją do tej samej celi, w której matka spędziła ostatnie dni życia. Śmierdziało tu, a słoma była wilgotna i zbutwiała. Jedyne okienko umieszczono zbyt wysoko, by można choćby zerknąć na świat, i przez żelazne kraty wpuszczało bardzo niewiele powietrza. Strażnik zakładający jej kajdany na nogi cały czas lubieżnie dotykał jej ciała.

– Miło mi cię znów widzieć, ty mała wiedźmo. Nie martw się tymi godzinami, które ci jeszcze zostały. Stary Baggis dopilnuje, żebyś nie była samotna.

Odchodząc zaśmiał się gardłowo, a jego śmiech jeszcze odbijał się echem od ścian, gdy drzwi zatrzasnęły się głośno, a w zamku przekreślono klucz.

Samotność, nawet w takim miejscu, sprawiła jej ulgę.

Tu w końcu, przynajmniej chwilowo, nie było nikogo, kto mógłby dźgnąć ją oskarżycielsko w twarz lub na nią splunąć. Klęknęła na stęchłej słomie, usiłując zebrać choć część odwagi i cierpliwości, które widziała u matki. Wreszcie znów będą razem. Już niedługo. Egzekucja ma się odbyć o świcie następnego dnia. Musi jedynie przetrwać tę noc i mękę szubienicy, a potem spokojnie dołączy do tych, których kochała. Już zdecydowała, że to jedyna droga. Wierzyła w słowa Gideona, który twierdził, że może zyskać moc potrzebną do ocalenia, że moc ta jest w zasięgu jej ręki. Nie zrobi tego jednak. Jakże miałyby to zrobić? Czy jej matka naprawdę mogła pragnąć, by stała się stworzeniem równie nikczemnym jak Gideon? Nie chciała w to wierzyć. Nie, musiała wierzyć jedynie, że da radę trzymać prześladowców na dystans wystarczająco długo, by pojawiła się jakaś inna możliwość wybawienia. Czy miała nadzieję, że William przybędzie Bess na ratunek? Mogło tak być, ponieważ matka nie знаła całej prawdy o wkładzie rodziny Gouldów w jej własny koniec. Głowa Bess pulsowała z wysiłku, gdy dziewczyna próbowała pojąć coś, czego zrozumieć się nie dało. Nachwyciła szal na głowę i się położyła, ciesząc się, że sen nadszedł szybko.

Dźwięk otwieranych drzwi obudził ją chwilę, zdawałoby się, później, choć musiało przecież upłynąć kilka godzin. Do celi chwiejnie wszedł Baggis. Gdy się zbliżył, Bess pomimo cuchnącego powietrza wyczuła w jego oddechu alkohol.

– 1 jest Baggis, zgodnie z obietnicą, dotrzyma ci towarzystwa.

Bess zerwała się na równe nogi.

– Zostaw mnie w spokoju, proszę.

– Nie bój się, dziewczuszko – przysunął się bliżej, sięgając do jej piersi. Bess odtrąciła dłoń mężczyzny. Roześmiał się. – Grymaszenie nic tu nie da. Chcą cię pocieszać, to się zgódź. Słyszałem – dodał konspiracyjnym szeptem – że pogromca czarownic tak jest pewien, co z ciebie za paskudna wiedźma, iż planuje małą niespodziankę. – Baggis przerwał, by wierzchem dłoni otrzeć ślinę kapiącą mu z ust. – Wygląda na to, że woli szkocki sposób oczyszczania parafii z wiedźm. Przyciągnie tłum większy niż letni jarmark. Już od lat nikt w Batchcombe nie spłonął na stosie. – Widząc w oczach Bess strach, ciągnął. – Nie martw się, czarowniczko, moim zdaniem będzie z ciebie śliczna świeczka.

Bess usiłowała precyzyjnie się obok niego, lecz zatoczył się na bok i chwycił jej włosy, wraz z nią upadając na podłogę.

– A teraz bądź dobra dla starego Baggisa, ty mała wiedźmo, to on będzie dobry dla ciebie. – Przygwoździł ją do podłogi swym ciężkim ciałem. Bess walczyła gorączkowo, ale kajdany krępowały jej ruchy. Nie miała dość sił, by go z siebie zepchnąć. Przybliżył usta do jej ust. – Może całuska, co? – zaproponował, śliniąc się obficie.

Bess w ostatniej chwili udało się odsunąć twarz i wbić zęby w jego bulwiasty nos. Baggis wrzasnął i usiadł,

a z rany płynęła krew. Zaklął niezrozumiale, a potem pięścią uderzył Bess w twarz, nie próbując miarkować siły. Usłyszała chrupnięcie własnej szczęki.

– No ugryź mnie teraz, co, lisiczko? Leż spokojnie albo wybije ci każdy ząb z tej ślicznej buźki!

Bess jeszcze nie zdążyła dojść do siebie po ciosie, lecz szybko poczuła, że coś robi pod jej spódnicami. Jej napastnika powstrzymywała teraz odzież. Bess wiła się i skręcała, nie myśląc, jedynie działając. Baggis zaklął i raz jeszcze opuścił pięść. Bess krzyknęła, gdyż cios trafił w to samo miejsce. Ból ją unieruchomił do czasu, gdy poczuła, iż Baggis osiągnął cel. Kiedy próbował się w nią wepchnąć, wydał kilka prawdziwie knurzych chrząknięć. Jej ciało przeszył teraz inny ból, ostrzejszy od tego, który promieniował z jej twarzy, bardziej intensywny i znacznie bardziej nieznośny. Bess podniosła wzrok i ujrzała, że lubieżna twarz napastnika stała się jeszcze bardziej paszkućna pod wpływem jego samolubnego pożądanja. W tej samej chwili zza chmur wyłoniło się nocne niebo i księżyc. Jego srebrzyste promienie wpadły przez wysoko osadzone okienka więzienia, prześlizgując się między kratami i rozświetlając ciemność. Bess poczuła to światło na sobie. Pełnia księżyca. To właściwy czas. Teraz musi podjąć decyzję. Baggis zagłębił się w nią, ochlapując jej twarz śliną. Bess pomyślała o Gideonie i o tym, czego świadkiem była w głębi lasu. A potem przypomniała sobie, jak mówił o wolności od bólu i wolności od śmierci. Pomyślała o tym, co nakazała jej matka. *Przeżyj!*

Trwaj. Podjęła decyzję. Usiłowała wypowiedzieć słowa, których nauczył ją Gideon, jednak jej usta odmawiały posłuszeństwa. Splunęła krwią i spróbowała ponownie. Każde słowo wydobywało się jej z gardła z największym wysiłkiem.

– *Fleare dust achmilanee... achmillaneema... Eniht si eht modgnik.* – Wypluła ząb i ciągnęła odrobinę mocniej: – *Eniht si eht modgnik, mój Panie. Fleare dust achmilanee, dewollah eh yht eman! Fleare dust achmilaneema... Rewop dna eht yrolg! Fleare dust achmilaneema!* Napastnik był zbyt zajęty własną przyjemnością, by zwracać jakąkolwiek uwagę na dziwaczne dźwięki, jakie Bess teraz wydawała, coraz głośniejsze, coraz mocniejsze. Powtórzyła wersy trzy razy, jak kazał Gideon, bojąc się, że chmury mogą jej w każdej chwili ukraść promienie księżyca. Nic takiego jednak się nie stało. Wypowiedziała ostatnią sylabę ostatniego zawołania, a potem czekała. Nic się nie działo. Nic, co mogłoby przerwać bezlitosne plugawienie jej ciała. Nic, co mogłoby zagłuszyć ohydne dźwięki wydawane przez pijanego strażnika. Czy to tylko fantazje? Czy naprawdę musi się temu poddać i przejść przez mękę spalenia żywcem? Bess zamknęła oczy i wypowiedziała jeszcze jedno słowo. Wykrzyczała je z całą siłą.

– Gideon!

Niespodziewanie w izbie zaległa nadnaturalna cisza. Nawet Baggis przerwał.

Gdzieś w oddali Bess usłyszała wycie, które narastało i przybierało na sile, aż wreszcie przeszło w ogłuszający

ryk. Miękkie światło księżyca zastąpiła oślepiająca jasność. Strażnik rozejrzał się w panice, a potem ponownie spojrzął na Bess. Krzyknął z przerażenia, próbując od niej uciec. Cofnął się pospiesznie, lecz upadł do tyłu.

– Czarownica! – wrzasnął. – Czarownica!

Gdy brudny mężczyzna się odsunął, pulsujące światło objęło Bess. Hałas był teraz przerażający, niczym bitewne zawołanie tysięcy regimentów lub ryk setek walczących smoków. Usta Baggisa otworzyły się szeroko w krzyku, którego w tej kakofonii nie sposób było usłyszeć. Bess czuła, jak w jej ciele wzbiera moc. Zmyła ból, zatamowała krwotok i naprawiła złamane kości. Wstała, nie czując własnej wagi, a kajdany pętające jej nogi opadły. Teraz rozumiała. Rozumiała ekstazę płynącą z siły. Jej piękno. Jej chwałę. Jej zmysłową rozkosz. Jej całe jestestwo promieniowało potęgą. Zerknęła na mężczyznę kulącego się w kącie celi. Jakże szybko los się odwrócił. Tym razem to ona podniosła rękę. Baggis, skomląc, ukrył głowę w ramię. Bess chciała sprawdzić swą moc, odegrać się, po raz pierwszy w życiu poczuć, jak to jest mieć władzę. Wiedziała, że jeśli zechce, może go zmiażdżyć stopą niby mrówkę. Uniosła się i popłynęła w stronę okna. – Litości! – zajęczał Baggis.

Bess powoli opuściła dłoń.

– Dostaniesz dokładnie taką litość, na jaką zasługujesz – przyrzekła, kierując palec w stronę jego jąder.

Kiedy żalose krzyki mężczyzny przeszły w skowyt, Bess odwróciła się i bez wysiłku sforsowała zakratowane

okno. Gdy znalazła się na ulicy, ponownie zapadła cisza. Rozejrzała się dookoła, znów czując wyczerpanie i słabość. Nikt jej nie widział. Wioska pogrążona była we śnie. Najwyraźniej to wszystko było słyszalne jedynie w celi. Bess pobiegła, trzymając się rzucanego przez księżyc cienia.

WYCIĄG Z REJESTRÓW SĄDU W BATCHCOMBE,

21 MARCA 1628

W tym dniu, na krótko przed świtem, oskarżona i skazana Wiedźma, niejaka Elizabeth Anne Hawksmith, zbiegła z więzienia za pomocą Czarów. Przy tym sprowadziła ona bolesne doświadczenie na strażnika więziennego, niejakiego Jonathana Baggisa, który usiłował ją powstrzymać, ściągnęła na niego pomieszanie zmysłów, a jego członek, zgodnie z zeznaniami świadków, poczerniał i usechł. Wedle jego świadectwa Wiedźma owa bez trudu wspięła się na ściany celi, jakby była owadem, a następnie z prawdziwie szatańską siłą wyrwała kraty z okna. Potem przybrała inną postać, zmieniając się w jaszczurkę, dzięki czemu udało jej się wydostać wąskim otworem, o wiele za małym, by mogła nim przejść dorosła kobieta.

Należy nadmienić, że wyżej wymieniona Wiedźma umknęła z wioski. Gdy przerażonego strażnika znaleziono tuż przed świtem, wszczęto alarm i urządzono obławę za kobietą do Batchcombe Point, gdzie grupa poszukiwaczy, pomimo natychmiastowej reakcji i bohaterских wysiłków, straciła ją z oczu. Członkowie grupy zeznali, że skazana zrobiła krok w przepaść ze szczytu klifu, a potem rozłożyła ręce i pofrunęła.

BELTANE*

Dosł. „ogień Bela” – święto celtyckie oznaczające początek lata, obchodzone w nocy z 30 kwietnia na I maja. Rozniecano wówczas ogniska na cześć boga słońca, gaszono również w paleniskach domowych „stary” ogień i rozpalano nowy – przyp. dum.

15 KWIETNIA – KSIĘŻYC WCHODZI W ZNAK BYKA

Od czasu, gdy Tegan siedziała w mojej kuchni, słuchając opowieści o Bess i jej rodzinie, minęło już parę tygodni. Ostara nadeszła i minęła wraz z silnymi zachodnimi wiatrami, które zaczęły przeganiać zimową ciemność. Od równonocy pogoda była łagodna i wilgotna, przynosząc bujność i przepych typowy dla wczesnej wiosny, by wyrwać nas z zimowej hibernacji. Możliwość podzielenia się własną historią znacznie poprawiła mi nastrój, gdyż wyrzuciłam z siebie choć część bólu i straty, które nosiłam w sobie przez te wszystkie lata. Oczywiście Tegan nie miała pojęcia, że historia Bess to w rzeczywistości historia moich początków. Dlaczegoż miałyby powiązać te dwie rzeczy? Przyjęła, że Bess była moją daleką krewną, a ja chętnie pozwoliłam jej w to wierzyć. Opowieść ta jednak rozpałała w niej miłość do wszystkiego, co magiczne. Bez końca męczyła mnie o moją własną znajomość magii, więc w końcu zgodziłam się przekazać jej część tajemnej wiedzy zielarskiej. Zajrzałam w głąb serca i nie stwierdziłam, by było w tym coś złego, dopóki mogę być pewna, że nie zagraża mi mój prześladowca. Nic znalazłam żadnych znaków, które mogłyby świadczyć, że moja zagroda nie jest bezpieczna. Zamierzam nauczyć Tegan. co to znaczy korzystać z natury, leczyć i chronić. Zielarstwo jest niegroźne i przyjazne, a ona z pewno-

ścią je polubi. Prawdę mówiąc, już udowodniła, że jest gorliwą uczennicą. Spędza ze mną coraz więcej czasu, uważnie słucha i wykonuje moje polecenia pilnie i chętnie. Przyznaję, że cieszy mnie zarówno jej towarzystwo, jak i entuzjazm. Oczywiście nie ma mowy, bym pozwoliła jej zagłębić się w ciemniejsze zakątki sztuki. Na taką magię nie ma w jej życiu miejsca. Nie życzylabym nikomu, by musiał zapłacić taką cenę jak ja za moc, którą zdecydowałam się przyjąć. Był to przecież wybór, niezależnie od tego, jak wiele winy chciałabym złożyć na okoliczności i pecha. To był mój wybór. I był to wybór, z którego nie skorzystała moja matka. Przez te wszystkie lata udało mi się pogodzić z tamtą decyzją sprzed wieków jedynie dzięki temu, że kontynuuję jej dzieło. Leczę. Opiekuję się. Wspieram słabszych. Czarownica może spełniać tego typu dobre uczynki. Musi to robić. I właśnie takie umiejętności przekażę Tegan. Zaczęłyśmy już przygotowania do obchodów święta Beltane. Jakże czekam na nadejście tego dnia, kiedy bóg słońca zajmuje swe miejsce, królując nad całym rokiem, a także na przynoszone przez niego ciepło, wzrost i obfitość. Dałam Tegan książki, żeby trochę o tym poczytała, nieustannie przypominając jej, że nauka szkolna nie może ucierpieć. Jeżeli zaczną przynosić złe oceny, jej matka, której jeszcze nie poznałam, może być przeciwna, by dziewczyna spędzała ze mną tak wiele czasu.

19 KWIETNIA – PIERWSZA KWADRA

Przybyły już pierwsze jaskółki i jedna para wróciła do starego gniazda pod okapem szopy w ogrodzie. Żonkile przestały już kiwać główkami i zaczęły wędnać. Wiosenny taniec podjęły teraz kwitnące drzewa, których jest w tym roku szczególnie wielka obfitość. Kotki na wierzbach i kwitnące jabłonie w zagajniku to prawdziwa radość dla oka i mogę spędzać wśród nich wiele godzin. Ale mam dużo pracy. Nadal prowadzę stragan na cotygodniowym targu w Pasbury. Mogłabym jeździć na jeszcze jeden targ, w mieście położonym wystarczająco blisko, bym zdołała tam dojechać. Jest większe i bogatsze, więc bez wątpienia znalazłabym tam więcej klientów na oferowane produkty. Ale nie potrafię się zmusić do ponownego odwiedzenia tego miejsca. Wspomnienia są zbyt żywe i zbyt bolesne pomimo upływu wielu lat. Muszę się skupić na tym, co mam. A mam mnóstwo olejków miętowych i innych, ale chciałabym przygotować też woreczki z lawendą i miseczki z potpourri. A wino z soku brzozy czeka na rozlanie. Moje potrzeby są proste, lecz podczas długiej zimy oszczędności stopniały. Pieniądze są niezbędne i nie da się bez nich żyć. Choć nie lubię sprzedawać, muszę się zmusić do zbycia produktów. Dzięki temu mam szansę wyleczyć tych, z którymi w innym razie bym się nie zetknęła. Tegan chce mi towarzyszyć, kiedy tylko jej na to pozwolę, choć ostrzegłam,

by nie oczekiwała zbyt wiele.

22 KWIETNIA – DRUGA KWADRA

Jakiż sukces! Nie miałam pojęcia, że tutejsi mieszkańcy okażą takie zainteresowanie moimi produktami. Wygląda na to, że wiadomość już się rozniosła. Tegan była zachwycona tak spędzonym dniem i miała równie wiele satysfakcji jak ja, gdy przed trzecią zniknął ostatni olejek z bazylią. Uczciłyśmy to lodami z sąsiedniego straganu. Ten dzień okazał się wyjątkowy także z przyczyn zupełnie innych niż moje skromne zyski. Tuż przed południem do stolika podeszła atrakcyjna kobieta o łagodnych oczach i pięknych włosach. Udawała zainteresowanie buteleczkami olejku do kąpieli, lecz natychmiast wyczułam, że stoi przede mną z zupełnie innych przyczyn. W tej samej chwili rozpoznałam u niej znajome rysy. A Tegan wykrzyknęła:

– Mamo! Co ty tutaj robisz?

– Wybłągałam dłuższą przerwę, by móc tu zajrzeć i sprawdzić, jak sobie radzicie. – Przerwała i spojrzała na mnie, ciągle mówiąc do córki. – Nie zamierzasz nas przedstawić?

– Och, oczywiście że tak. Mamo, to jest Elizabeth. Elizabeth... to moja mama. Helen.

Wyciągnęła dłoń, a ja podałam jej swoją. Dopiero wtedy zauważyłam, że pod płaszczem przeciwdeszczowym ma fartuszek.

– Miło mi panią wreszcie poznać – powiedziałam.

– Tegan nieustannie mówi o pani. Elizabeth to, Elizabeth tamto – uśmiechnęła się, ale nie byłam w stanie odczytać z jej twarzy prawdziwych uczuć.

– Jakież to krepujące – stwierdziłam, a potem dodałam: – Bardzo mi dziś pomogła.

– Tak, popatrz, mam, sprzedałyśmy mnóstwo towaru. Wszyscy uwielbiają te rzeczy. Powinnaś wypróbować to. – Wzięła słoiczek wygładzającego kremu do ciała z płatkami owsianymi. – Jest świetny, a kosztuje niewiele. No weź.

– Prawdziwa przekupka – podsumowała Helen, biorąc słoiczek i szukając pieniędzy. Wręczyła Tegan monety i nawet nie spojrzała na kupiony produkt. – *Cóż*, zostawie was z tym. Pracujcie dalej. Pamiętaj, mam podwójną zmianę. W lodówce jest kurczak. Nie czekaj na mnie.

Jej wizyta najwyraźniej nie zrobiła na Tegan większego wrażenia poza jej początkowym zaskoczeniem. Wydaje mi się, że ucieszył ją fakt, iż matka zadała sobie trud, by ją odszukać, i że coś kupiła. Jestem jednak pewna, że przyszła na targ nie po to, by sprawić córce radość, lecz by zobaczyć mnie. W końcu najlepiej było mnie złapać na neutralnym gruncie. Nie trzeba się było silić na niezręczne uprzejmości, niezbędne, gdyby odwiedziła mnie w domu. Tym zaś sposobem mogła zaspokoić ciekawość podczas króciutkiego spotkania. Poczulałam również, że przypomniła mi o swym prawie do Tegan. Czy też raczej, że jest jej matką i że dziewczyna spędza ze mną czas jej kosztem. A może to ja sama interpretuję ten nieszkodliwy przyja-

cielski gest w taki sposób? Trudno powiedzieć. Wiem, że polubiłam Tegan. Czekam na jej wizyty, a uczenie jej sprawia mi przyjemność. Mam świadomość, że matka mogłaby przerwać nasze spotkania. Co by powiedziała, wiedząc, że córka uczy się ode mnie magii? Nie znam tej kobiety, a mimo to jestem więcej niż pewna, że nie byłaby zachwycona. Co oznacza, że wraz z Tegan musimy to utrzymać w tajemnicy. A tajemnice są groźne. Początkowo są niewielkie, jednak rosną z każdą wymijającą odpowiedzią lub kłamstwem, które pozwala je chronić. Tym niemniej przyznaję, że bliskość wynikająca z owej konspiracji jest wspaniałym uczuciem.

25 KWIETNIA – DRUGA KWADRA

Ubiegłej nocy, po wielogodzinnej pracy w ogrodzie, zaprosiłam Tegan, by spędziła ze mną wieczór na dziękczynnych modłach do Bogini i żywiołów. Gdy zaczęła zapadać ciemność, wzięłam laskę i skierowałyśmy się na polanę w sercu niewielkiego zagajnika. Z płytkiego miejsca na ognisko korzystałam już kilka razy. Ułożyłam przy nim dwie kłody do siedzenia. Zebrałyśmy trochę drewna na podpałkę oraz grubszych gałęzi i rozpaliliśmy ogień. W większym kręgu wokół nas ustawiłam na kamieniach świece. Zanim rozpoczęłam modlitwę o konsekrację kręgu, poprosiłam Tegan, by stanęła obok mnie.

Narysowałam ten krąg w imię Matki Życia i Zielonego Boga, strażnika natury. Niech będzie to miejsce spotkań miłości i mądrości.

Niosąc laskę, przemierzyłam krąg trzy razy w kierunku zgodnym z ruchem Słońca. W umyśle miałam wizerunek błękitnego płomienia płonącego na końcu laski. Potem powróciłam do środka kręgu i ujęłam dłoń Tegan. Uniosłyśmy ramiona i oczy do nieba. Zaintonowałam:

Wzywam duchy żywiołów Eteru, ducha życia, by miały na nas baczenie i by wspomagały nas siłą magiczną. Którzy jesteście wszechobecni, pochodzicie zewsząd, z Ognia i Wody, Ziemi i Powietrza, wzywam was i witam.

Usiadłyśmy, a ja z kosza piknikowego wyjęłam ciepłe

bułki z serem oraz zimne piwo imbirowe i podałam je Tegan. Jej twarz rozjaśniła się zarówno podnoszącym na duchu charakterem tej skromnej ceremonii, jak i ciepłem i światłem ognia.

– To było takie fajne – powiedziała, wgrzyzając się w bułkę. – Dziwne, ale cholernie fajne. Naprawdę coś poczułam, zupełnie jakby ktoś słuchał. Czy to głupie?

– Nie. To znak, że przestajesz się tak bardzo pilnować i otwierasz na sztukę. Dość trudno jest zaakceptować fakt, że nie jesteśmy na tej ziemi sami. I że nie jesteśmy tak wszechmocni, jak wierzy większość ludzi. Uczysz się właśnie uspokajać swój rozgorączkowany umysł.

– Mogę wypróbować jakieś zaklęcie? Nic wielkiego, tylko jedno. Pozwolisz mi?

Jej aż nadto widoczny zapał doprowadził mnie do śmiechu.

– Wszystko w swoim czasie, Tegan. Z tym nie wolno się spieszyć.

– Musi być coś, czego nie pomieszam – pociągnęła łyk z butelki i wpatrzyła się posepnie w ogień. Wiedziałam, że jeszcze długo nie będzie gotowa, ale nie potrafiłam jej odmówić.

– Po święcie Beltane – obiecałam. – Jeżeli skończysz czytać to, co ci dałam.

– Skończę! Skończę. Ojj, to będzie ekstra. Nie mogę się doczekać. Co to będzie? Mogę wybrać?

– Poczekaj, to zobaczysz, i nie, nie możesz wybrać. Zostaw to mnie.

Przez chwilę jadłyśmy w ciszy, co mi uświadomiło, że faktycznie zaczęła poskramiać swą młodzieńczą niecierpliwość i że zaczęła słuchać i myśleć. Dzielenie się takimi momentami jak ten z kimś nowym, otwartym i pozbawionym cynizmu, kimś, kto chętnie się uczył, było niezwykle przyjemne. Byłam poruszona bliskością, którą wyczuwałam między nami. Już od tak dawna nie pozwalałam sobie na przywiązanie do jakiegokolwiek żywej istoty. Rozkoszuję się luksusem takiej przyjaźni. Doceniam ją z bolesną świadomością jej wagi i rzadkości.

Tegan skończyła posiłek i oparła się na łokciach, kopiąc brzeg paleniska.

– Opowiedz mi jeszcze o Beltane – poprosiła. – Powiedz, co będziemy robić.

– Beltane to święto słońca i ognia. Zwiastuje nadejście lata i płodności.

– Będziemy musiały się rozebrać? Obrzuciłam ją spojrzeniem.

– To zależy od ciebie – stwierdziłam. – Osobiście wolę jednak zachować odzież o tej porze roku. Jak już mówiłam, Bel jest bogiem światła i ognia. Świętujemy fakt, że słońce wreszcie przybyło uwolnić nas z okowów zimy. Na ognisko zbierzemy dziewięć świętych gatunków drzew i posmarujemy twarze popiołem. Będziemy czuwać przez całą noc. Niektórzy wierzą, iż rosa o świcie w dzień Beltane niesie błogosławieństwo zdrowia i szczęścia. Wydaje mi się, że na tę chwilę będziesz mogła zdjąć ubranie. Tegan się roześmiała.

– Rany, całą noc. Nie przejmuj się rozbieraniem, pewnie przyniosę śpiwór.

– Ogień zapewni nam ciepło. A ja przygotuję trochę pitnego miodu, on zawsze chroni przed chłodem – wrzuciłam kolejną kłodę do ognia. Iskry skoczyły wysoko w wieczorne niebo. Jakiś nietoperz podleciał zatrważająco blisko, niewątpliwie ściągnięty ćmami, które nierozważnie szukały samounicestwienia w płomieniach. Patrzyłam na reakcję Tegan i z przyjemnością stwierdziłam, że jedynie obserwuje stworzenie. Jeszcze kilka tygodni wcześniej pojawienie się nietoperza wywołałoby krzyki i kpiące uwagi o wampirach. – Tegan, Beltane będzie dla ciebie ważną nocą. To jedno z najbardziej magicznych zdarzeń w kalendarzu czarownicy. W taką noc zasłona oddzielająca tamten świat od naszej ziemskiej bytności jest cienka jak pajęczyna. Można spodziewać się wszelkiego rodzaju duchów i namów. Musisz otworzyć się na to, co się stanie, lecz nie możesz dopuścić, by z władną toba nadmiernie rozbudzona wyobraźnia.

– Czy to niebezpieczne? – zapytała, moim zdaniem niemal z nadzieją.

– Nie. Ale nie możemy być beztroskie. Obok dobrych sił są też ciemne. Drzwi i okna chaty przybierzemy gałązkami jarzębiny i poprosimy Boginię o ochronę.

28 KWIETNIA – KSIĘŻYC WCHODZI W ZNAK WAGI

Dziś Tegan nie przyszła. Przyznaję, że byłam zaskoczona. Tak chętnie uczestniczy w przygotowaniach do święta Beltane, a dziś miała pomóc przy zlewaniu miodu, a potem zbieraniu drewna na ogień dla Bela. Cóż, nie szkodzi. W końcu jestem przyzwyczajona do samodzielnej pracy. Zaczynam coraz lepiej poznawać niewielki las i z przyjemnością patrzę, jak drzewa zrzucają swą zimową ponurość. Spod ziemi wyszły pierwsze dzwonki, które zaczynają teraz kwitnąć. Czyż jest jakiś inny kwiat równie odpowiedni dla elfów? Już się cieszę na spacer pośród nich.

29 KWIETNIA – DRUGA KWADRA

Tegan wpadła dziś po szkole z przeprosinami. Nie była w stanie stanąć nieruchomo nawet na chwilę i nieustannie przeskakiwała z nogi na nogę, potykała się o własne chaotyczne słowa, z których wynikało, że poprzedniego dnia spotkała kogoś i nie zauważyła upływu czasu, i miała nadzieję, że mi to nie będzie przeszkadzać, bo dziś również nie mogła ze mną zostać. Z dumą pokazała mi telefon komórkowy, подарowany jej przez nowego przyjaciela. Wymijająco odpowiadała na pytania o tożsamość osoby, z którą miała się spotkać, lecz podejrzewam, że to chłopiec. Któż inny mógłby wywołać takie podniecenie? Sądzę, że należało się tego spodziewać, choć przyznaję, że jestem rozczarowana. Jeżeli w tym punkcie nauki zwiąże się z jakimś chłopcem, niemal na pewno ją przerwie. Cała wiedza i ciekawość tego świata nie może się równać z szaleństwem młodszej miłości. Trzeba poczekać i zobaczyć, co się stanie. Przypomniałam jej, że jeśli straci Beltane, będzie tego później żałować. Być może nowy przyjaciel zrezygnuje z jej towarzystwa na ten jeden wieczór? Zapewniła mnie, że tak właśnie będzie, ale ja wątpię. Muszę przygotować zapasy dla dwóch osób, jednak najpewniej będę sama.

1 MAJA – KSIĘŻYC WCHODZI W ZNAK SKORPIONA

Piszę te słowa w chwili, gdy poświatę mojego ogniska dla Bela zastępuje wspaniały świt. Szkarłatne szramy pulsują uzdrawiającą mocą. Siedzę na omszałej kłodzie, a bose stopy mam mokre od rosy. Powinna to być chwila najpiękniejszej radości i nadziei na przyszłość, a mimo to nie potrafię pokonać smutku. Jak przewidywałam, Tegan nie przyszła tej nocy. Jest mi przykro ze względu na nią, przykro, że straciła tak magiczne i poruszające doświadczenie. Przykro mi też ze względu na mnie samą. Nie powinnam była tak bardzo przywiązać się do tej dziewczyny. Kimże dla niej jestem? Przelotnym zainteresowaniem, to wszystko. Kaprysem. Kimś, kto pomaga budować pewność siebie, by mogła nawiązać kontakt ze światem. Żeby mogła budować ważne dla siebie przyjaźnie. Wszelkie próby konkurowania z jakimś nieopierzonym młodzikiem są żałosne. Przecież Tegan nie interesuje mnie uczuciowo. Powinna realizować pragnienia i potrzeby wszystkich dziewcząt w swoim wieku. Ale chciałabym, żeby stało się to trochę później. Tylko trochę.

5 MAJA – TRZECIA KWADRA

Kolejny udany dzień na targu. Wygląda na to, że udało mi się zyskać dobre noty wśród nabywców z Pasbury. Liczba klientów mojego straganu rosła z tygodnia na tydzień, a niektórzy zaczęli nawet przychodzić regularnie. Dziś pojawiła się młoda kobieta, którą poznałam podczas pierwszej handlowej soboty. Siniaki zniknęły, a dziecko szło teraz przed nią, podtrzymywane szelkami. Dotykała ustawionych na straganie przedmiotów, dopóki nie zniknęli wszyscy ludzie w zasięgu słuchu.

– Podziałało – powiedziała cicho – to, co mi pani dała. Ustawiło go do pionu. Od tamtej pory nie wyszedł, nie beze mnie.

Gdyby chciał, mógłby. W ubiegły piątek wieczorem dotarł do drzwi wyjściowych, ale wrócił. Jakie to zabawne. Zbladł jak ściana i powiedział, że źle się czuje. Posadziłam go i dałam coś do jedzenia. Rozpromienił się. Podziękował mi. Podziękował! Żadnych przekleństw ani krzyków, ani rzucania się z pięściami. Tylko mi podziękował. Następnego dnia poszliśmy na plażę.

– Bardzo się cieszę – powiedziałam.

– Ile więc jestem winna?

– Uznajmy, że to była darmowa próbka. A może chce pani butelkę brzozowego wina? Pięć funtów za litr.

Wzięła wyciągniętą w jej stronę butelkę.

– Czy to...? – nie dokończyła pytania.

– Jest dość mocne – powiedziałam – ale nic więcej. Tylko wino.

Kiedy odeszła, po raz trzeci z rzędu zjawilo się starsze małżeństwo zamieszkujące w jednym z mieszkań w domu spokojnej starości. Właśnie pakowałam im różne specyfiki na artretyzm oraz lekarstwo według mojego własnego pomysłu na poprawę pamięci, gdy dostrzegłam Tegan stojącą przy straganie z ciastami naprzeciwko.

Podeszła powoli, ruchy jej ciała wyraźnie mówiły o nieczystym sumieniu. Na jej widok poprawił mi się nastrój, lecz przypomniałam sobie, że należy zachować dystans.

– Jesteś dziś naprawdę zajęta – powiedziała.

– Prowadzę ten stragan już od kilku tygodni. Wieść się rozniosła.

– Ludzie lubią tu przychodzić.

– Moje produkty wydają się popularne, to prawda.

– Tak naprawdę nie chodzi o produkty. Chodzi o ciebie. To do ciebie przychodzą.

Przestałam się bawić woreczkami z lawendą i spojrzalam na Tegan. Znikała nieobyta dziewczyna, a jej miejsce zajmowała pewna siebie kobieta. Tę gwałtowną pewność siebie i szybką przemianę mogła przynieść jedynie miłość. Nie pomyliłam się więc. Była dla mnie stracona. W nauce magii nie posunęła się na tyle daleko, by mogła ona utrzymać jej uwagę w konfrontacji z rozpraszającą siłą młodzieńczego pożądania.

– Pomyślałam, że mogłabym wpaść jutro, jeżeli ci pa-

suje – stwierdziła.

– Nie będziesz z przyjacielem?

Jej rysy zmieniły się pod wpływem zaskoczenia.

– Skąd wiedziałaś?

– Łatwo zorientować się, że ktoś jest zakochany, i nie wymaga to magicznej umiejętności wróżenia.

Zaczerwieniła się i uśmiechnęła szeroko.

– Jutro występuje w Batchcombe.

Drgnęłam na niespodziewaną wzmiankę o mieście mojego pochodzenia. Tegan zauważyła moją reakcję, więc odwróciłam głowę, nie chcąc, by uznała, że wypisane na mej twarzy zmieszanie ma związek z jej miłością. Na chwilę zapanowała cisza, ponieważ czekała na moją odpowiedź. Na szczęście zjawili się dwaj nowi klienci, i to im mogłam poświęcić swoją uwagę. Tegan kręciła się jeszcze jakiś czas, a potem się zmyła. Poczułam w pierśsiach bolesne szarpnięcie. Wiedziałam, że dałam jej po nosie i ona poczuła to odtrącenie. Jakiż miałam wybór? Lepiej będzie, gdy porzucę pomysł zrobienia z niej swej uczennicy, a nawet podzielenia się z nią pięknem i błogosławieństwem mojej magii. Jest tylko dziewczyną i muszę się z tym pogodzić.

6 MAJA – TRZECIA KWADRA

Muszę przyznać, że podziwiam odporność Tegan. Parę minut po południu zjawiała się pod moimi drzwiami.

– Przyszłabym wcześniej, ale, cóż, zasiedzieliśmy się wczoraj z Ianem. Pojechał teraz do Bournemouth. Ma świetny motor. Mówi, że o tej porze roku może w niedzielne popołudnie zarobić kupę kasy. Fantastycznie gra na gitarze. – Zaryzykowała nieśmiały uśmiech. – Wydaje mi się, że mnie kocha.

– Cieszę się twoim szczęściem.

– Musisz go poznać. Wiem, że ci się spodoba. Jest... wyjątkowy.

– To przecież jasne.

Przestąpiła z nogi na nogę. Z ogrodu za jej plecami dobiegł śpiew kosa.

– Zaprosisz mnie do środka czy nie?

Odsunęłam się odrobinę, a ona precyzyjnie przycisnęła się obok mnie. W kuchni zaczęła bezładnie paplać, najwyraźniej usiłując odzyskać choć trochę utraconego zaufania. Nie jestem z natury posępna, ale dołożyłam wszelkich starań, by wydać się w najlepszym razie osobą niezainteresowaną, w nadziei, że się znudzi i przestanie. Nic takiego nie nastąpiło. W końcu się zirytowała.

– Dobra, to co ja takiego zrobiłam?

– Musisz pytać?

– Więc opuściłam jedną rzecz. Przepraszam. Zrobię to

następnym razem.

– Rzecz! – Teraz to ja wpadłam w złość. – Opuściłaś Beltane. Nie skorzystałaś z możliwości przeżycia jednego z najbardziej ekscytujących i czarownych sabbatów wiccańskiego [Wicca – od staroang. *wicca*: czarownik, czarownica – popularna w Europie i USA od lat 50. XX w. religia neopogańska, misteryjna i dualistyczna, odwołująca się do tradycji i rytuałów przedchrześcijańskich. Jej głównymi bóstwami są Potrójna Bogini i Rogaty Bóg, a cechami charakterystycznymi magia ceremonialna, uprawiana zgodnie z zasadami etnicznymi, i obchodzenie świąt związanych z porami roku – przyp. red.] roku. Jednego z najważniejszych rytuałów inicjacji, w jakim może uczestniczyć kandydatka na czarownicę.

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałam, że Beltane jest niezwykle ważnym świętem, którego nie można traktować jak zwyczajnego zdarzenia...

– Nie, *czarownica*. Powiedziałaś *kandydatka na czarownicę*. Gdy przerwała, powietrze aż syczało.

– Być może.

– Tak powiedziałaś! Naprawdę zamierzasz mi pokazać, jak to robić, pozwolić, żebym była taka jak ty? Ja! Czarownicą! To nie chodzi tylko o zabawę w New Age i pachnące olejki, co? To szaleństwo. – Usiadła ciężko na moim krześle przy zimnym piecu, nawet na chwilę nie odrywając ode mnie wzroku.

– Nie sędzę, że w ogóle wiesz, co to słowo oznacza – stwierdziłam, zażenowana własnym rozdrażnieniem.

– Rozumiem. Czytam książkę, którą mi dałaś.

– Jeżeli sądziłaś, że chodzi tylko o, jak sama powie-

działałaś, „zabawę”, to się dziwię, że zawracałaś sobie tym głowę.

– Tak było. Ale tak. Słuchaj, nieważne, co myślałam wcześniej. Zawsze było ekstra, chciałam powiedzieć, pragnęłam się uczyć. I wiesz co? Wydaje mi się, że zawsze wiedziałam. Próbowowałaś udawać. Przyznaj się, próbowałaś pokazać, że to jedynie jakby świadomie wybrany styl życia czy coś w tym stylu. Wartości hippisów. Życie zgodne z naturą. Hodowla warzyw. Produkcja olejków ziołowych. I jogurty. Widziałam, że to, co mi dałaś, uspokoiło Sarah Howard. Powiedziałam ci wtedy, że zorientowałam się, kim jesteś, ale ty nie chciałaś się przyznać. Opowiedziałaś mi o swoich przodkach i innych sprawach, ale wymigałaś się od tego, tak? Próbowowałaś mi wmówić, że to tylko zabawa, takie stare leki, bajki i zabobony. – Popatrzyła na mnie zmrużonymi oczami. – Ale w tym jest znacznie więcej, tak? Dużo więcej.

Choć byłam tak mocno zdecydowana ją odepchnąć, poczułam, że w obliczu takiej fascynacji moja determinacja słabnie. Ego jest niebezpieczną rzeczą.

– Będę z tobą brutalnie szczerą, Tegan. Nie wierzę już, że masz predyspozycje, by zostać moją uczennicą!

– Pieprzysz!

– Musisz używać takiego języka?

– Gdybyś nie sądziła, że dam sobie radę, nie zaczęłabyś mi pokazywać różnych rzeczy.

– Nauka magii wymaga wyrzeczeń. Oddania. Poświęceń.

– Chcesz powiedzieć, że nie mogę mieć chłopaka?

– Mówię, że musisz ustalić priorytety.

– Czyli wybrać?

– Nie, niekoniecznie tak.

– Więc? – zeskoczyła z krzesła i ruszyła w moją stronę. Ku mojemu zaskoczeniu, ujęła moje dłonie w swoje ręce. – Powiedz mi, co mam zrobić, żeby się sprawdzić. Chcę to robić. Chcę się uczyć. Chcę być taka, jak ty. Co mam zrobić?

Zaczęłam się zastanawiać. Czy gdybym poprosiła, by się z nim rozstała, zrobiłaby to? Czy mnie prowokuje? Rzuca mi wyzwanie? Czy też mnie zna? Zna wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie mogłabym, nie chciałabym jej o to prosić? Jakżebym mogła? To dziecko niemal nie zaznało w życiu miłości, kimże więc byłam, by teraz zabierać jej miłość, gdy wreszcie ją znalazła?

– Musiałabyś znacznie więcej czasu poświęcić na naukę.

– Tak zrobię.

– Poważną naukę, nie tylko przeglądanie książek i traktowanie całej sprawy jako przyjemnej odmiany od pracy szkolnej.

– Poważną. Ja potrafię poważnie.

– Czemu w to wątpię?

– Sprawdź mnie, no, dalej. – Podeszła do kredensu i przyniosła mój egzemplarz *grimoire*. [Grimoire – grymuar – ogólne określenie księgi wiedzy magicznej zawierającej m.in. wiedzę astrologiczną, teksty zaklęć i inkantacji, wskazówki do wyrabiania talizmanów i przeprowadzania rytuałów, itp. – przyp. red.]

– Zapytaj mnie o cokolwiek, Cokolwiek. Czytałam.

– Twojego zaangażowania nie da się sprawdzić tak łatwo.

– Pokażę ci, co wiem. – Wsunęła mi w dłonie ciężką księgę. – No, dalej.

– Dobrze zatem. – Odłożyłam *grimoire* na stół i skrzyżowałam ramiona. – Powiedz mi, na czym polega różnica pomiędzy różdżką a athame? [Athame – ceremonialny obosieczny sztylet, podstawowe narzędzie w religii Wicca – przyp. tłum.]

– To proste. Różdżka służy do poruszania energii i kierowania nią, athame zaś używa się podczas świętych rytuałów i ceremonii oraz do odrzucania negatywnej energii. Zadaj kolejne pytanie.

Ściągnęłam usta.

– Które drzewo nazywa się czasem Drzewem Dam i nie wolno go ścinać?

– Czarny bez! Zapytaj o coś trudniejszego.

– Wymień wszystkie sabaty w kolejności, w jakiej występują w ciągu trzynastu miesięcy księżycowych.

Zrobiła to. Wymieniła także esbaty, [Esbaty – święta lunarne, np. pełnie Księżyca, celebrowane przez wiccan – przyp. tłum.] równonocę, święta poświęcone bóstwom pogańskim i tradycje wiceańskie. Następnie podała rośliny związane z każdym sabatem oraz kolory i pokarmy, które należy wykorzystać. Gdy skończyła, ponownie usiadła na krześle z triumfalnym uśmiechem na twarzy.

– Przyznaj, że jesteś pod wrażeniem.

– Uczenie się na pamięć nie jest szczególnie wyszu-

kaną umiejętnością.

W jej oczach błysnęła irytacja, lecz ją opanowała. Biorąc głęboki oddech, powiedziała:

– Elizabeth, mówię poważnie, naprawdę. Westchnęłam. Tak bardzo chciałam, żeby była poważna.

– Zobaczmy – obiecałam. – Możesz zacząć od przygotowania posiłku, a ja zastanowię się, co robić.

– Żaden problem – znowu zeskoczyła z krzesła i otworzyła na oścież drzwiczki pieca. Zajrzała do jego zimnego wnętrza. – Najpierw będziemy musiały to rozpaścić – stwierdziła.

Skupiłam się, a potem delikatnie dmuchnęłam w stronę podpałki, którą ułożyłam wcześniej.

Kiedy pojawiły się płomienie, odskoczyła w tył. Wbrew sobie nie byłam w stanie ukryć rozbawienia. Tegan zatrzasnęła drzwiczki i odwróciła się w moją stronę ze zmarszczonymi brwiami.

– Poważna, mówiłaś. Na szczęście nie opaliło mi brwi. Potem zajęła się przygotowaniem dla nas obu zupy dhal.

Gdy już siadłyśmy do jedzenia, ciągle usiłowała zrobić na mnie wrażenie wiedzą na temat ziołolecznictwa i magii, którą udało jej się wykuć. Byłam mile zaskoczona zarówno tym, czego się nauczyła, jak i jakością naszego posiłku.

– Znacznie lepiej gotujesz – pochwaliłam, korzystając z chwili ciszy.

– Elizabeth, nie rozpędzaj się tak w pochwałach, co? – wytarła miskę do czysta kawałkiem chleba i odsunęła

krzesło od stołu, by wyprostować nogi. – Najadłam się – stwierdziła. Zanim poprosiła, wyczułam jej wahanie. – Powiesz mi więcej? Jak to jest. Chciałam powiedzieć, jak to jest być czarownicą. Jak to naprawdę jest.

– Co dokładnie chciałabyś wiedzieć?

– No wiesz, czy kiedykolwiek rzucasz na ludzi klątwy? Uroki? Czy ktoś kiedyś rzucił urok na ciebie? Znasz dużo innych czarownic? Chciałam powiedzieć, że czarownice mogą być kimkolwiek, prawda? Wszędzie wokół nas, a my tego nie wiemy. Uczestniczysz w zlotach czarownic? To brzmi naprawdę przerażająco. A co z mężczyznami, czy mogą być czarownikami, czy też są czarodziejami, i kim był ten drań z opowieści Bess? Czarnoksiężnicy, czy zawsze są czarnoksiężnikami? I czy naprawdę potrafisz leczyć ludzi? To znaczy wiem, że masz te swoje mikstury i olejki i nie musisz mnie przekonywać, że są skuteczne, ale coś większego? Prawdziwą chorobę. Potrafisz naprawiać ludzi? Potrafisz?

– Leczenie to właśnie powód bycia wiedźmą, Tegan. Jeżeli naprawdę masz talent, należysz do związku sióstr, po prostu nie możesz nie leczyć. Czasem bardziej skutecznie, a czasem mniej.

– Mogłabyś więc wyleczyć raka, coś takiego? Ej, mogłabyś wejść do hospicjum czy szpitala i tak po prostu... leczyć! Prawda? Mogłabyś?

– To nie takie proste. Nie rozumiesz jeszcze wielu rzeczy.

– Powiedz mi zatem. – Pochyliła się w moją stronę,

nie odrywając ode mnie wzroku. – Proszę, powiedz mi.

Popołudnie dobiegało końca i na niebie zebrały się ponure letnie chmury. Powolnym, szerokim ruchem dłoni zapaliłam świece rozstawione w pomieszczeniu. Tegan westchnęła głęboko, ale się nie poruszyła.

– Tegan, niektóre czarownice używają swej leczniczej magii z doskonałym skutkiem. I są też takie, które wolą jej używać w całkowicie odmienny sposób. – Potrząsnęłam głową. – Taka moc jest straszliwa. Przeciwna naturze. Jest profanacją sztuki. Należy się jej bać. – Pozwoliłam, by mój wzrok przyciągnęły tańczące płomienie świec i zaczęłam opowiadać swą historię.

FITZROVIA, LONDYN, 1888

1

Zwłoki zaczynały już cuchnąć. Eliza odsunęła się na bok, by mężczyźni mogli zdjąć ciało z wózka i przenieść je przez drzwi do chłodnej kostnicy. Lewe ramię trupa dotknęło jej brązowej spódnicy.

– Proszę położyć go tam. – Wskazała pusty drewniany stół w pobliskim rogu, – Ostrożnie.

– Bez obaw, proszę pani – starszy z dwóch mężczyzn obdarzył ją bezzębnym uśmiechem. – Temu chłopu nie zaszkodzi już żaden kopniak ani wstrząs. – Chrząknął, gdy przynosili ciało na wyszorowany blat.

Eliza przyjrzała się zmarłemu. Półmrok gazowych lamp łagodził jego rysy, lecz niewątpliwie była to twarz kogoś, kogo życie nie oszczędzało. Wszystkie zmartwienia miał wyryte wokół oczu i na czole, agresja zaś ściągała w dół kąciki wąskich ust. Pancerzyki wszy zamieszkujących jego włosy odbijały drobne promyczki światła. Stryczek, który przeniósł go na tamten świat, zaznaczył wyraźną linię na szyi. Odzież miał brudną. Eliza współczuła mu z powodu tak samotnego końca. Nie wiedziała, co zaprowadziło go na szubienicę. Niezależnie jednak od rodzaju przestępstwa, odmawianie prawa do pochówku wydawało się bezzasadnym okrucieństwem. Ale taki był los morderców, gdy nie mieli nikogo, kto by się upomniał o ciało bądź zapłacił

koszty pogrzebu. Miał w szpitalu Fitzroy stać się pomocą naukową dla studentów medycyny, którzy będą nad nim ślęczyć, skrzętnie preparując organy, grzebiąc w jego wnętrznościach, badając je i rozcinając. Jego tożsamość i pochodzenie będą bez znaczenia. Eliza zaczęła się zastanawiać, jak wyglądałaby ona sama, gdyby historia jej życia była tak wyraźnie zapisana na jej twarzy. Uznała, że zbyt paskudnie, by ktoś chciał się jej przyglądać. Instynktownie uniosła dłoń do włosów. Pozwoliła palcom wygładzić szerokie pasmo perłowej bieli, które usiłowała ukryć w schludnym koku. To był prawdziwy ślad jej historii. Pozostałość po chwili przemiany wiele mrocznych lat temu. Poza tą pamiątką jej wygląd niewiele się zmienił. Nie była już dziewczyną, lecz kobietą. Wydawało się, że jej ciało wkroczyło w dorosłość, a potem proces starzenia się zwolnił. Utrzymywała ją magia, dając życie wieczne, o którym mówił Gideon, ale także długą młodość i siłę. Eliza zauważyła, że zewnątrznie starzeje się nie więcej niż około pięciu lat na każde przeżyte stulecie.

Zorientowała się, że dwaj mężczyźni nadal stoją za jej plecami, przestępując z nogi na nogę.

– Idźcie, proszę, do pana Thomasa. On dopilnuje, żebyście dostali zapłatę.

– Dziękujemy pani. – Dotknęli dłońmi czapek i się oddalili.

Eliza spojrzała na zegarek, który nosiła przypięty do sukni. Nie może kazać doktorowi Gimmelowi czekać. Wbiegła po schodach wiodących z piwnic do głównej

części szpitala. Fitzroy, jak mówili o nim miejscowi, dopiero od czterech lat pełnił funkcję szpitala akademickiego, jednak budynek nie był nowy. Ze względów finansowych kupiono kilka stojących przy ulicy kamienic i przebudowano je tak, by utworzyć miejsce zdolne pomieścić zarówno pacjentów, jak i studentów. W rezultacie było tam tak wiele pięter i wąskich korytarzy, że szpital Fitzroy stwarzał niemałe wyzwanie podczas przewożenia pacjentów na salę operacyjną lub do kostnicy. Lecz salę operacyjną urządzono z myślą o dokonywaniu w niej zabiegów, dzięki czemu była ona dobrze przemyślana i wyposażona. Zanim Eliza weszła bocznymi drzwiami, by wziąć biały fartuch, pomieszczenie rozbrzmiewało już głosami gorliwych studentów. Woń karbolu mieszała się z zapachem potu i wypolerowanego drewna. Krótka dębowa ścianka oddzielała miejsce, w którym pielęgniarce, asystenci i chirurdzy wkładali stroje operacyjne. Na tabliczkach nad rzędem kołków widniały nazwiska właścicieli każdego z fartuchów. Raz w tygodniu wszystkie zachlapane krwią ubiory zabierano do prania, choć niektórzy lekarze byli przesądnie przywiązani do określonego fartucha i woleli używać właśnie tego pomimo brudu. Eliza nie miała takich sentymentów. Bardzo dawno temu, jeszcze od własnej matki, nauczyła się, że leczenie nierozwalnie wiąże się z czystością. Dziwiło ją, że przedstawiciele medycznej profesji odkryli ten fakt dopiero niedawno, a niektórzy ciągle upierali się przy trwaniu w brudzie. Owinęła się swym nieskazitelnym fartuchem

i zawiązała go mocno na karku. Choć miała lepsze kwalifikacje i większe doświadczenie niż wielu członków personelu medycznego pracujących w tym samym szpitalu, wiedziała, że założenie ubioru chirurga zamiast fartucha pielęgniarki byłoby prowokacją. Wystarczająco ciężko było zdobyć uznanie w tym rządzonej przez mężczyzn świecie bez ściągnięcia na siebie zbędnej krytyki. Włosy przykryła świeżym białym czepkiem i przeszła do właściwej sali operacyjnej. W rzędach tworzących półkole z przodu stołu operacyjnego trudno było znaleźć jakiegokolwiek wolne miejsce. Odkąd wprowadzono przepis, że lekarz musi odbyć co najmniej dwuletni staż w zakresie anatomii, studentów nie brakowało. Zgodnie ze swym zwyczajem Eliza szybko omiotła wzrokiem gąszcz twarzy, szukając nowych studentów, kogoś nieznanego, kogoś, kto się wyróżnia. Od czasu przybycia do Fitzroya czuła się bezpieczna, lecz w ciągu tych wszystkich lat nauczyła się podejrzliwości i ostrożności. Nigdy nie pozbyła się wrażenia, że ktoś ją śledzi. Wiedziała, że niebezpiecznie byłoby zlekceważyć to teraz. Przyzwyczała się do ignorowania grubiańskich uwag rzuconych pod jej adresem. Oprócz starszawej pielęgniarki, która teraz zajmowała się przesypywaniem trocin do zbiornika na krew pod stołem operacyjnym, była jedyną kobietą na sali. Miała świadomość, że niektórzy z zebranych młodzieńców widzieli w niej jedynie kobietę, kogoś, kogo można uwieść lub zignorować, zależnie od upodobań. Wiedziała także, że wielu osobom jej obecność przeszkadzała, a niektórzy

byli wściekle zazdrośni o szacunek, jakim darzył ją doktor Gimmel. Nie był tajemnicą fakt, że traktował ją jak swą protegowaną i był dumny z jej umiejętności, sprawiających, że postrzegał ją jako swego najbardziej utalentowanego ucznia. Prawdę mówiąc, zdaniem Elizy cieszyło go, że może drażnić kolegów chirurgów. Była przekonana, iż taki mentor to wielkie szczęście. Tak wielkie, że dotychczas powstrzymywała się od prowadzenia samodzielnych operacji. Choć kobietom wolno już było wykonywać zawód lekarza, rzadko były chirurgami. Palcując w Fitzroyu jako asystentka doktora Gimmela, miała możliwość wykonywania operacji, jakich nie mogłaby prowadzić nigdzie indziej.

Eliza rozpyliła znaczną ilość karbolu na stół i wokół niego i ponownie przyjrzała się patrzącym na nią twarzom. Zauważyła dwóch nowych studentów siedzących obok siebie, o jednakowo bujnych rudych włosach, i przypomniała sobie, że to dwaj bracia, którzy rano rozpoczęli studia. A potem kątem oka zauważyła samotną postać. Siedział w ostatnich rzędach widowni, w pewnym oddaleniu od innych. Był wysoki i ubrany w ciemny surdut, ze skromnym, ale eleganckim kołnierzem i srebrnymi guzikami. Miał przy sobie czarną laskę, na której teraz oparł przed sobą dłonie. Nawet w wilgotnym wnętrzu postanowił pozostać w opończy i cylindrze, którego jedwabna materia błyszczała w świetle gazowych lamp. Eliza natychmiast wyczuła, że się jej przygląda. Nie mimochodem, dla zabicia czasu, jak inni, lecz celowo.

Uważnie. Z zainteresowaniem. Próbowwała otrząsnąć się z nagłego uczucia niepokoju, który ją ogarnął, i z ulgą ujrzała, że otwierają się drzwi prowadzące do sali operacyjnej. Do pomieszczenia wszedł Phileas Gimmel, członek Królewskiej Akademii Chirurgii, a za nim sanitariusz wwiózł nieszczęsnego pacjenta.

Doktor Gimmel był człowiekiem, który wzbudzał szacunek, choć nie sprawiał wrażenia, że mu na nim zależy. Roztaczał wokół siebie aurę kogoś powodowanego z jednej strony niezmiernym entuzjazmem wobec własnego zawodu, a z drugiej niekłamanym pragnieniem dzielenia się z innymi posiadaną wiedzą. W oczach miał figlarny błysk, a na ustach często pojawiał się mu uśmiech, kojący nerwy zarówno studentów, jak i pacjentów. Gdy ów wielki człowiek zajął pozycję na środku, zwracając się ku studentom, jakby stanowili jego widownię w zupełnie innym teatrze, zaległa pełna respektu cisza.

– Panowie! Jakże jestem szczęśliwy, widząc tak wiele chętnych i uważnych twarzy. Moje serce raduje się, że tak wspaniali młodzi ludzie czują powołanie, by przyjść tutaj i uczyć się wszystkiego, co może zaoferować wiedza medyczna. Pewnego dnia niektórzy z was, z bożej woli, staną na tym samym miejscu, na progu oddzielającym życie od śmierci, na który zmuszeni są wstąpić wszyscy chirurdzy. To właśnie z myślą o takim momencie proszę was dziś, panowie o możliwie największe skupienie. Ponieważ, gdy nadejdzie, będziecie tu stać samotnie. Odpowiedzialność za pacjenta spocznie na waszych ramionach,

niezależnie od tego, jak zdolnymi asystentami będziecie dysponować. – Przerwał i spojrzął na Elizę. – Całym waszym wyposażeniem będzie wiedza i doświadczenie zdobyte w tym miejscu. Mogę nauczyć jedynie tych, którzy pragną się nauczyć, panowie. Nauka wymaga pokory. Musicie przygotować się do tego, że trzeba się przyznać do niewiedzy. Musicie pozwolić, by napełniły was istotne informacje przekazywane za pośrednictwem umiejętności i oddania tych, którzy przeszli tę długą drogę do oświecenia przed wami.

Odwrócił się i skinął pielęgniarce głową. Wraz z sanitariuszem uniosła jęczącego pacjenta z wózka i wspólnie położyli go na stole. Mężczyzna poszarzał z bólu i obiema rękami chwycił się za brzuch. Doktor Gimmel ciągnął:

– Dziś rano mamy przed sobą oczy wisty przypadek, panowie. Nasz pacjent, jak zapewne zdołali zauważyć nawet najmniej spostrzegawczy z was, to młody człowiek o smukłej budowie ciała, w dobrej kondycji z wyjątkiem ostrego bólu podbrzusza, który go do nas sprowadził. Po dokładnym badaniu stwierdziłem niebezpieczny stan zapalny wyrostka i zostawienie go na miejscu oznaczałoby wydanie wyroku śmierci na tego biednego człowieka.

Po takiej podpowiedzi pacjent wydał żalosny krzyk. Doktor Gimmel skinął głową.

– Taka choroba jest niewątpliwym nieszczęściem dla każdego. Jednakże ten pacjent ma także szczęście, że choroba dopadła go w zasięgu nieustannie otwartych ra-

mion szpitala Fitzroy. Nie lękaj się, młodzieńcze. Na chwilę położył dłoń na czole pacjenta. Twoje kłopoty nie-
długo dobiegną końca.

Eliza postąpiła krok naprzód z tacą, na której miała niebieską szklaną butlę i kawałek gazy. Przyglądała się, jak lekarz uważnie kładzie watę na ustach i nosie pacjenta i aplikuje dokładnie odliczone krople chloroformu. Powróciło wspomnienie innej operacji, prowadzonej co najmniej pięćdziesiąt lat wcześniej, jeszcze zanim przybyła do szpitala Fitzroy. I zanim chirurgia mogła korzystać ze skutecznej anestezjologii. Pamiętała pośpiech, z jakim chirurg musiał działać. Pamiętała krzyki przechodzące w wycie, gdy piłka wgrzyła się w kość udową pacjenta. Pamiętała przerażenie na twarzy młodego człowieka i to, jak bardzo się wił i walczył z pętającymi go więzami do chwili, aż ból i wyczerpanie miłosiernie sprowadziły na niego omdlenie. To był dla operacji chirurgicznych mroczny czas. Eliza szybko zorientowała się jednak, że potrafi łagodzić tak straszliwe cierpienia. Mesmeryzm praktykowano już od lat i choć często budził on sprzeciw, nie był niezgodny z prawem. Przedstawiła się jako hipnotyzerka i wówczas dzięki posiadanym umiejętnościom mogła spowodować odrętwienie pacjenta i pozbawić go uczucia. Gdy mesmeryzm został zakazany, musiała zaprzestać takich praktyk z obawy, że ktoś odkryje prawdziwy charakter jej umiejętności. Dopiero zastosowanie eteru, a później chloroformu, pozwoliło jej ponownie podjąć pracę.

Teraz patrzyła, jak młody człowiek na stole operacyjnym spokojnie zapada w głęboki sen. Jego odwaga zostanie poddana próbie w późniejszym czasie, podczas groźnych dni powrotu do zdrowia. Jeżeli, rzecz jasna, uda mu się przeżyć sam zabieg.

Doktor Gimmel działał pewnie, podczas pracy nieustannie zwracając się do studentów. Wziął z tacy skalpel i zrobił zgrabne nacięcie. Pielęgniarka pochyliła się naprzód, by oczyścić ranę z krwi. Eliza włożyła rozwieracz do wyciągniętej dłoni chirurga.

– Jak widzicie, panowie, niezależnie od skuteczności zastosowanego znieczulenia, chirurg nieustannie musi się zmagać z zagrożeniem utraty krwi. W rzeczywistości niekontrolowane krwawienie ciągle jest drugą pod względem częstotliwości przyczyną zgonu na sali operacyjnej. Niewątpliwie niejednokrotnie już o tym czytaliście podczas studiów, lecz nic nie zastąpi oglądania tego na własne oczy.

Kiedy wypowiadał te słowa, krew spływała gęstym strumieniem ze stołu i na buty lekarza. Nie przerywając pracy, stopą przesunął pojemnik z trocinami we właściwe miejsce. Jeden z bledszych studentów zemdłał.

– Na szczęście obszar, na którym skupiają się nasze dzisiejsze wysiłki, nie wiąże się z żadną z głównych arterii i dlatego możemy kontynuować pracę, bezpieczni wiedząc, że to, co tu widzimy, choć dramatyczne, jest naprawdę powierzchowne z punktu widzenia utraty krwi. Ach, oto i kłopotliwa część.

Eliza podała mu skalpel i kleszcze. Chwycił jelito powyżej spuchniętego wyrostka i próbował wykonać nacięcie, by go usunąć. Eliza z przerażeniem stwierdziła, że nie trafił i naciął zdrowy fragment. Doktor zawahał się, a potem podjął ponowną próbę, marszcząc brwi, z nisko pochyloną głową, wpatrzony w jamę brzuszną. Wyciekło jeszcze więcej krwi. Kilka sekund minęło w martwej ciszy. Z bruzdy pomiędzy okiem a nosem doktora Gim-mela spłynęła kropelka potu, która zawisała na krawędzi nozdrza. Skalpel wreszcie trafił we właściwy punkt. Eliza chwyciła wyciętą część do kuwety, chirurg zaś zajął się zszywaniem rozciętego jelita. Wyprostował plecy.

– Moja asystentka zszyje teraz ranę. Panowie, patrzcie i uczycie się. Zwróćcie uwagę na fakt, że szycie nie jest już wyłącznie kobiecą domeną. Wy sami będziecie zmuszeni zakładać równie schludne i skuteczne szwy, jak teraz robi to wprawna dłoń Elizy. – Otarł czoło grzbietem dłoni, zostawiając na brwiach krwawy ślad.

Później, w gabinecie lekarza, Eliza usiadła przy niewielkim biurku pod otwartym oknem, czyniąc notatki z porannej operacji. Z ulicy dobiegało dzwonienie omnibusu zmierzającego w stronę Shoreditch oraz nieustanny turkot kół dwukółek ciągnionych przez lśniące konie. Dzień był ciepły i Eliza przez chwilę pomyślała, że byłoby niezwykle przyjemnie pospacerować pośród zielonego chłodu Regent's Park. O tej porze roku ogród różany miał swe najlepsze dni za sobą, lecz wciąż pełen był woni i promiennych kwiatów. Obiecała sobie wycieczkę

w to miejsce następnego dnia. Doktor Gimmel, siedzący za jej plecami przy swym szerokim mahoniowym biurku, był niezwykle przygaszony. Eliza widziała kątem oka, że siedzi z okularami w dłoni i pociera oczy. Wiedziała, że martwi się tym, co zaszło podczas operacji wyrostka, ale nie miała prawa poruszać tego tematu. Gdyby jego błąd był zdarzeniem wyjątkowym, nie poświęcałaby mu zbyt wiele uwagi, ale już nie po raz pierwszy była świadkiem błędu w kluczowym momencie operacji. Nadal był to wspaniały człowiek, wizjoner dostarczający jej inspiracji niemal pięć lat wcześniej. Ciągłe bił z niego ten sam zapał i odwaga popychająca go do wprowadzania technik i procedur, których inni chirurdzy nie ośmielili się stosować. Ale coś się zmieniło. W ciągu ostatnich miesięcy zaszła zmiana w jego umiejętnościach, a skutki były niepokojące.

Zorientował się, że mu się przygląda, i czym prędzej zmusił do zwykłego humoru.

– Elizo, sprawdźmy, moja droga, jakie wyzwania czekają nas jutro. – Podniósł leżący przed sobą terminarz i przyjrzał się zapisom sekretarki. – Usunięcie nerki rano, sprawa prywatna, nie dla studentów. A w południe, aha, nowa pacjentka. Interesująca. Skierował ją do mnie jej własny lekarz. Pisze tak: „Panna Astredge to młoda kobieta pochodząca z dobrej rodziny, której dotychczasowe życie zapewniało jej wszelką opiekę i przywileje, a mimo to nie cieszy się dobrym zdrowiem. Prawdę mówiąc, jej stan wydaje się pogarszać w niepokojącym tempie. Nie skarży się na żaden ból ani nawet dyskomfort, lecz wyraźnie

cierpi, i jeżeli nie podejmiemy żadnych kroków, możemy przyjąć, że skutek będzie tragiczny”. Nie daje żadnych wskazówek odnośnie choroby, na którą cierpi ta biedna kobieta. To musimy sami stwierdzić.

– Podejrzewa pan raka? – spytała Eliza, przechodząc przez pokój i stając przy nim.

Doktor Gimmel uśmiechnął się, po raz kolejny ucieśniony mądrością swej ulubionej uczennicy.

A jeśli tak zapytał – gdzie powinienem go szukać w tym przypadku?

– Proponowałabym wątrobę.

– Twoja hipoteza?

– Powszechnie wiadomo, że rak tego organu może nie wywoływać bólu do chwili, gdy choroba jest już bardzo zaawansowana. Symptomy odpowiadają tym towarzyszącym niewydolności wątroby, co uniemożliwia pacjentowi czerpanie substancji odżywczych z pożywienia pomimo normalnego łaknienia.

– Doskonale, doktor Hawksmith. Obawiam się, że jeżeli nie będę miał się na baczności, niedługo zajmiesz moje miejsce przy tym biurku. Jutro będziesz mi asystować podczas badania tej młodej kobiety. Wydaje mi się, że na dziś dość już osiągnęliśmy. Możesz wziąć wolne popołudnie.

– Ale pańskie obchody oddziału... i wydawało mi się, że na trzecią planowana była kolejna operacja.

Doktor Gimmel gestem dłoni uciszył jej protesty.

– Nic, co nie może poczekać. Obawiam się, że nie czuję

się dziś najlepiej. Jestem niewątpliwie zmęczony pracowitym tygodniem, nic więcej. – Wstał. – Niemniej zaskoczę panią Gimmel wczesnym powrotem, a tym samym zapewnię jej przyjemność gderania na mnie, tylko tym razem.

Eliza wzięła swą ogromną skórzaną torbę, i nim zapięła klamrę, wrzuciła do środka podręcznik anatomii. Przez krótką chwilę rozważała pójście na zaplanowany spacer, lecz szybko zdecydowała, że park może poczekać. To nieoczekiwanie wolne popołudnie może spożytkować w bardziej przydatny sposób.

Lekkim krokiem wyszła głównym wyjściem ze szpitala i skręciła w lewo, wychodząc na hałaśliwą ulicę. Na odwróconym pudle stał chłopiec o uszach jak nietoperz i krzykiem zachęcał do kupna gazet. Cyganka usiłowała wcisnąć lawendę w dłoń Elizy. Nawet na szerokich alejach wokół szpitala Fitzroy panował duży ruch. Powozy, dwukółki, omnibusy i wozy walczyły o miejsce, ignorując krzyki pieszych, usiłujących jakoś się poruszać w tym zamięcie. Eliza przeszła dwiema krótkimi uliczkami na Tottenham Court Road, gdzie złapała jadący na wschód omnibus, płacąc sześć pensów za miejsce w środku. Pojazd z hałasem toczył się po bruku obok wyniosłych budynków, aż wjechał na pochyłą nawierzchnię High Holbom i przystając co chwila, jechał przez miasto. Eliza, nieprzyzwyczajona do przemierzania Londynu w porze innej niż godziny szczytu, teraz była przyjemnie zaskoczona względnym brakiem ludzi. Dopiero gdy

wysiadła na Whitechapel Road, kłębiący się wokół niej tłum stał się znajomo gęsty i zaaferowany. Były tu wąskie alejki i zatłoczone uliczki, a nie szerokie arterie dzielnicy Fitzrovia. Zniknęły eleganckie wielopiętrowe domy z wysokim parterem i okazałymi drzwiami frontowymi. Tutaj budynki mieszkalne budowano ze wskazaniem na ilość, a nie jakość schronień. Niewielkie domki stały w rzędach odwróconych do siebie plecami, zupełnie jakby kuliły się przed napaścią od strony ulicy. Na dole miały po dwa niewielkie pokoiki i kolejne dwa, jeszcze mniejsze i niższe, na górze. Oprócz nich wznosiły się tu ponure czynszówki i domy pracy dla ubogich, browary i warsztaty, a także ogromne fabryki, owe komercyjne molochy, które napędzały silnik przenoszący dostatek z obolałych mięśni biedoty do wykładanych aksamitem szkatuł bogaczy. Eliza torowała sobie drogę w wartkim strumieniu ludzi. Taka masa dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Tutaj kobiety, mężczyźni i dzieci stawali się komórkami potężnego ciała, już nie indywidualnościami, a raczej częściami olbrzyma, żyjącego, oddychającego, rozmnażającego się kolosa, który składał się z biednych tego miasta. Tu była ukryta. Tu trudno ją było znaleźć. Odszukać. Była bezpieczna. Jakąż nadzieję mógł mieć ktokolwiek na znalezienie pojedynczej osoby w takim chaosie? Nawet ktoś obdarzony taką mocą jak Gideon Masters. Tu wreszcie Eliza mogła choć trochę odetchnąć.

Przemknęła przez niewielki targ wypełniający w piątce Cuthbert Street, przystając tylko po to, by kupić jedno ze

złożonych na taczkach jabłek. Gdy płaciła za zakup, dostrzegła Benjamina Davida, który stał w drzwiach swego sklepu bławatnego, ciesząc się ciepłem późnosierpniowego dnia. Zarówno krawiec, jak i jego żona byli mili dla Elizy, dodając jej otuchy w pierwszych dniach pobytu w tym miejscu. Towarzystwo starszych ludzi sprawiało jej przyjemność i często jadła z nimi obiad w ich mieszkaniu położonym nad sklepem. Wymienili ukłony i Eliza ruszyła dalej, Katarzyniarz po drugiej stronie ulicy grał walca, w rytm którego wszyscy starali się uniknąć wpadania na siebie nawzajem. Chwilę później Eliza dotarła do drzwi własnego domu. Czy też raczej domu należącego do pani Garvey, gdzie wynajmowała pokój już od prawie trzech lat. W budynku mieścił się niegdyś sklep ze słodyczami, po którym pozostało głębokie okno wykuszowe wystające na ulicę. Teraz za jego koronkową zasłoną wyraźnie rysowała się sylwetka gospodyni. Było to jej ulubione miejsce, skąd mogła śledzić wyjścia i powroty mieszkańców okolicznych budynków. Bystremu oku pani Garvey niewiele mogło umknąć.

Eliza już kładła dłoń na klamce, kiedy wyraźnie poczuła, że ktoś ją obserwuje. Na chwilę zamarła w bezruchu, a potem się odwróciła. Po drugiej stronie ulicy dostrzegła ciemną postać, czy też może nawet jej cień, gdy ów ktoś umknął w wąską alejkę biegnącą wzdłuż piekarni. Ulicą płynął wartki strumień ludzi, a mimo to była pewna, że widziała kogoś, kogo nie powinno tam być. Przeszedł ją dreszcz. Otworzyła drzwi i weszła do środka, zamykając je

z trzaskiem. Pani Garvey wyskoczyła z pokoju niczym spłoszony zając. Była kobietą posagowej postury, która lubiła stroić się w sposób podkreślający sylwetkę. Choć nie miała na sobie krynoliny i tak wypełniała wąski korytarzyk.

– Widzę, że jest pani dziś wcześniej. Źle się pani czuje, doktor Hawksmith? – Jej zainteresowanie dotyczyło nie tyle zdrowia lokatorki, co wyczekiwanych elementów dramatu.

– Nie, wcale nie. Doktor Gimmel nie był dziś w formie. Odesłał mnie do domu.

– Ach! Zawsze twierdziłam, że dobry doktor wyschnie na wiór, jeżeli będzie się wciąż zajmował tymi swoimi pacjentami. Taki dobry człowiek. Proszę przekazać mu moje życzenia szybkiego powrotu do zdrowia, dobrze?

– Oczywiście – Eliza przeszła obok pani Garvey, a zapach fiołków niemal przytłoczył jej zmysły. Pani Garvey nawet nie próbowała się odsunąć. Rozłożyła wachlarz i zaczęła nim energicznie machać w okolicy podbródka.

– Och, ten upał – jęknęła. – Co się dziwić, że ludzie chorują. Mówię pani, nie ma czym oddychać. Zużyto całe powietrze. Znowu przyjdzie cholera, proszę zapamiętać moje słowa, doktor Hawksmith. Proszę je zapamiętać. Okażą się prawdą.

– Niewątpliwie, pani Garvey, a teraz przepraszam bardzo, chciałabym otworzyć klinikę.

– Co? Teraz?! W świetle dnia! Nie, nie, doktor

Hawksmith, to nie jest dobry pomysł. Nie tak się umawialiśmy. Ustalaliśmy, że klinika będzie otwarta wieczorem. Nie było mowy o popołudniach.

– Faktycznie, to niecodzienne... – Jak najbardziej!

– .. Jednakże wygląda to na możliwość zesłaną przez opatrność. Kliniki są tak oblegane w ostatnim czasie. – Spojrzała w przerażone oczy starszej kobiety i obdarzyła ją jednym ze swych najbardziej promiennych uśmiechów.

– Tylko tym razem, jeżeli pani pozwoli?

Pani Garvey zrobiła kwaśną minę, potem westchnęła głęboko, aż koronka na piersi zafalowała podczas wydechu.

– No cóż. Tym razem. Ale niech to nie wejdzie w nawyk. Muszę zważyć na własną reputację. Proszę poprosić panie o dyskrecję, bardzo proszę.

Na tyłach domu znajdował się niewielki kwadratowy pokój ze skromnym okienkiem wychodzącym na wybrukowane podwórze. Rodzaj sionki łączył ten pokój ze światem zewnętrznym za pośrednictwem mocnych drzwi. Właśnie przez te drzwi przybywały pacjentki Elizy. Przez trzy wieczory w tygodniu, od ósmej dokładała wszelkich starań, by zbadać i zdiagnozować tyle kobiet, ile zgłosiło się po radę. Przychodziły z różnymi chorobami, urazami i problemami, tak różnorodnymi, jak ich wiek, stan i wymiary. Łączyła je jedna cecha – zawód, mianowicie wszystkie były prostytutkami. Kiedy Eliza dawno temu przyjechała do Londynu, odrażający tryb życia tych kobiet szokował ją i smucił. Musiały przechadzać się po ulicach,

sprzedając własne ciało i godność, ryzykując bezpieczeństwo i zdrowie, zdane na łaskę każdego pijaka z kilkoma szylingami w kieszeni, lżone, wykluczone, pogardzane przez wszystkich, pozbawione czyjejkolwiek opieki. niesprawiedliwość, z jaką to krytykujące społeczeństwo traktowało owe kobiety, skłoniła Elizę do działania. Nie mogła zmienić sposobu myślenia ludzi o osobach mniej szczęśliwych od nich ani ich osądu o innych. Nie mogła zmniejszyć pogardy, czy nawet okrucieństwa, z jakim mężczyźni korzystający z usług prostytutek je traktowali, ani przywrócić równowagi, która pozwalała mężczyznom szukać przyjemności bez oceny czy krytyki. Mogła jedynie pomóc tym kobietom odzyskać zdrowie. Udało jej się przekonać panią Garvey, po długim molestowaniu i niemałych nakładach pieniężnych, że klinika to zbrożna i dobra rzecz, że jej pozycja w społeczeństwie nie ucierpi w związku z prowadzeniem tej placówki w obrębie jej nieruchomości. Przeciwnie, wzrośnie nawet. Kobiety będą korzystać jedynie z tylnych drzwi, nie będą przychodzić pod nieobecność Elizy i nie zjawia się pod wpływem alkoholu. A gdy rozeszła się wieść, że znalazła się kobieta lekarz gotowa leczyć nieszczęśnice za dowolny datek, na jaki mogły sobie pozwolić, zarówno dwunastoletnie dziewczyny, jak i bezzębne babcie zaczęły napływać na Hebden Lane 62. Jednego razu były kłopoty, gdy jakiś nadmiernie pobudzony klient, zmęczony czekaniem pod wysokim murem podwórza, wdarł się do domu. Dziewczyna, której szukał, była wściekła i rzuciła się do

niego ze stojącą na stole lampą, aż wreszcie inne obecne kobiety wygoniły tę parę z budynku i poza zasięg słuchu pani Garvey. Pomimo to jednak Eliza dostała ostrzeżenie, że kolejne takie zdarzenie doprowadzi do zamknięcia kliniki. Od tamtej pory damy nocy same pilnowały okolicy, nigdy nie dopuszczając żadnego ze swych kawalerów w pobliże domu bądź ich ukochanej pani doktor.

Eliza otworzyła okno, a potem podparła rozwarte szeroko drzwi i odsunęła zasuwkę w niewielkiej furtce prowadzącej na podwórze. Wywiesiła na niej niewielki drewniany szyld z własnym nazwiskiem i wróciła do środka. Na własny koszt wyposażyła pomieszczenie w biurko i krzesło. Pani Garvey nalegała na sprawdzenie obu mebli z obawy, że wraz z nimi wejdą za jej próg komiki lub pleśń. Za prowizorycznym parawanem znajdowała się również wąska leżanka, na której badała pacjentki. Solidny kredens, zamknięty na kłódkę, zawierał bandaże, opatrunki i spreparowane przez samą Elizę leki i maści, a także tradycyjne lekarstwa, które była w stanie kupić od szpitalnego aptekarza.

Pomimo niezwyklej godziny już po upływie paru minut w klinice zjawiała się młoda kobieta. Eliza rozpoznała ją natychmiast i poprosiła, by usiadła.

– Jak się dziś czujesz, Lily? – spytała, ujmując jej przegub zarówno po to, by dodać dziewczynie otuchy, jak i by taktownie zbadać jej puls. Zgodnie z przewidywaniem Elizy, był przyspieszony.

Lily z wdzięcznością usiadła na twardym krześle,

okręcając się szalem, choć w pomieszczeniu było nadmiernie gorąco.

– Nie wiem, pani doktor. Naprawdę nie wiem. W jednej chwili czuje się dobrze, nawet jakby żwawa, a w drugiej bardziej żem padnięta niż osłabiony muł. Ledwie ciongne nogi za sobom.

– Bierzesz lekarstwo, które ci dałam ostatnio?

– Jasne, tak, o proszę. – Ze ściąganej torebki u pasa wyjęła pustą butelkę. – Widzi pani? Ani kropli. I biorę ten krem i inne. Ale bez dużej różnicy.

Eliza delikatnie przekreśliła głowę dziewczyny w jedną stronę i obejrzała jej szyję.

– Wrzody wyglądają lepiej.

– No ta, lepiej. Nie dodają mi jednak energii, co? Jak mam zarobić na życie, jak ledwie zwlekam się z wyra, co?

– Dziewczyna przerwała i jeszcze mocniej zapadła w krzesło.

Eliza zauważyła, że Lily jest znacznie chudsza niż wówczas, gdy widziała ją ostatnio. To prawda, że udało się powstrzymać rozwój wrzodów i zniekształcające uszkodzenia skóry, ale teraz wyglądało na to, że dziewczyna straciła całą siłę. Eliza uśmiechnęła się i poklepała ją po ramieniu.

– Nie martw się – powiedziała – dam ci coś. – Podeszła do kredensu i wyjęła z kieszeni ogromny klucz. Otworzyła kłódkę, a potem drzwiczki i wpatrzyła się w stojący przed nią rząd słoików. W głębi serca wiedziała, że dla Lily niewiele może zrobić. Zbyt dobrze znała bezlitosny postęp

syfilisu i miała bolesną świadomość, że możliwości jego leczenia są niezwykle ograniczone. Mogła jedynie złagodzić objawy. Była pewna, że Lily weszła właśnie w etap choroby wiążący się z depresją. Schemat nie był sztywny, lecz rzadko występowały istotne różnice, Dziewczyna mogła nadal pracować jedynie dzięki temu, że jak dotąd uniknęła najbardziej oczywistych spustoszeń, które często atakowały twarz. Eliza poinformowała ją, że choroba jest zaraźliwa i że musi uważać, by nie rozprzestrzenić jej pośród klientów, a tym samym pomiędzy koleżankami. Wiedziała jednak, że dziewczyna nie ma innej możliwości zarobku. Czekala ją ponura perspektywa obłądu, szaleństwa i bolesnej śmierci. Gdy ten czas nadejdzie, Eliza dołoży wszelkich starań, by znaleźć dla owej nieszczęsnej istoty łóżko w jednym z bardziej tolerancyjnych hospicjów. Wręczyła Lily dwie butelki.

– To kolejna porcja tego, co miałaś wcześniej – powiedziała – a to driakiew, która pomoże ci odzyskać siłę. Zażywaj ją ostrożnie, Lily. Zbyt duża ilość da przeciwny efekt.

– Dzięki, pani doktor. Dobra z pani dusza.

W takich chwilach jak ta, gdy stawała oko w oko z tak żalosnym cierpieniem, Elizę kusiło, by wykorzystać mocniejsze elementy magii. Wiedziała, że powstrzymanie nieubłaganego marszu choroby nie wykracza poza jej zdolności czarownicy. Nie była w stanie wyleczyć dziewczyny całkowicie, jednak mogła usunąć piętno choroby i uratować ją od nędznej i krótkiej przyszłości. Ale

dawno temu Eliza złożyła sobie samej obietnicę. Była pewna, że to właśnie ta obietnica była jedyną rzeczą, która trzymała ją poza zasięgiem Gideona, gdyż połączenie z magią oznaczało połączenie z nim. Obietnica ta oznaczała, była w stanie znieść samotne życie, które otrzymała w spadku. Nie będzie korzystać ze sztuki tajemnej. Nigdy. Wykorzysta jedynie własny talent medyczny oraz umiejętności i leki, które przekazała jej matka. Nic więcej. Nawet teraz. Nawet dla biednej Lily.

Żwawe kroki w korytarzu oznajmiły przybycie kolejnej pacjentki. Do niewielkiego pomieszczenia weszła smukła kobieta ubrana w jaskrawy strój, w kapeluszu na bakier i z uśmiechem rozświetlającym twarz.

– Powiedziano mi, że jest tu lekarz, który mnie przyjmie bez zapłaty. Czy to prawda? – zapytała.

Eliza miała właśnie udzielić odpowiedzi, gdy chwyciło ją przemożne złe przecucie. Zalała ją fala strachu i na chwilę straciła głos. W stojącej przed nią dziewczynie było coś dziwnego, jakiś niejasny związek z niezmiernym okrucieństwem. Przez głowę Elizy przemknął wizerunek tej samej dziewczyny zbryzganej świeżą krwią, z ciałem bestialsko okaleczonym. Wypatroszonym. Zamknęła oczy, wstrząśnięta straszliwą wizją. Wzięła się jednak w garść i powoli podeszła do biurka po księgę.

– Dobrze pani powiedziano – potwierdziła, ujmując pióro. – Przyjmę panią, gdy tylko skończę rozmawiać z Lily. Poda mi pani swoje imię?

– Mary – odparła dziewczyna. – Jestem Mary Jane

Kelly.

2

Było już po dziesiątej wieczorem, gdy Eliza dotarła wreszcie w zacisze własnego pokoju nad kliniką. Przy biurku zjadła lekką kolację i teraz pragnęła jedynie paść na łóżko. Zdjęła odzież wierzchnią i na chwilę usiadła w kaftaniku i halce przy stojącej pod oknem toaletce. Nie zdołała przywyknąć do gorsetu i uważała, że jest to najgorsza moda, jaką przyszło jej znosić. Z lustra patrzyło na nią zmęczone odbicie. Choć pomoc osobom, które nie mogły sobie pozwolić na opiekę medyczną, dawała jej satysfakcję i choć praca w szpitalu Fitzroy sprawiała jej radość, pod koniec dnia zawsze była zmęczona. Nie chodziło jedynie o długie godziny pracy. Był to raczej brak towarzysza życia. Już dawno zaakceptowała fakt, że nigdy nie będzie mieć własnych dzieci. Była pewna, że nieśmiertelność uczyniła ją bezpłodną. Z tym faktem w pełni pogodziła się dopiero po upływie wielu lat, lecz wiedziała też, że tak naprawdę było to błogosławieństwo. Jakże mogłaby wychowywać dzieci, patrząc jak się starzeją i umierają, podczas gdy ona sama kontynuuje swą nieskończoną podróż? Nie, uznała, że nic powinna być matką. Poza tym byli przecież pacjenci, którymi musiała się opiekować i ich doglądać. Wielu z nich faktycznie przypominało pozbawione matki dzieci, samotne i niekochane przez świat. Eliza mogła im pomóc i czyniła to chętnie. Tęskniła jednak za bliskimi. Nawet po upływie tak

wielu lat nie zmałał ból wywołany ich śmiercią ani pustka, którą pozostawili w jej życiu. Jeśli zaś chodzi o mężczyznę, którego mogła kochać, kogoś, kto mógłby ją przytulić, sprawić, by poczuła się żywą, czującą kobietą, a nie jakimś niezwykłym stworzeniem... Miała oczywiście kochanków, ale szybko nauczyła się nie angażować zbyt mocno. Jakże mogła pozostać z jednym mężczyzną, być jego żoną, powiernicą? Po upływie ilu lat zorientowałby się, że nie może dać mu dzieci i że nie jest śmiertelna? I co wtedy? Czy przeprowadziłaby go przez starość, a potem ruszyła dalej? Nigdy nie stanęła w obliczu takiej konieczności. Gideon już tego dopilnował. Za każdym razem, gdy Eliza zbliżała się do szczęścia, on zabierał je sprzed jej nosa. Niezależnie od tego, dokąd poszła, jak wiele razy zmieniała wygląd i nazwisko, i tak w końcu udawało mu się ją znaleźć. Była to jedynie kwestia czasu. Jakże mogła postawić kogoś, kogo kochała, na drodze takiego niebezpieczeństwa, takiego zła?

Rozpuściła włosy i szcotokowała je rytmicznie, przypominając sobie, że tak samo czyniła z włosami Margaret, a one lśniły niczym skrzydło kosa. Wspięła się na wysokie, wąskie łóżko, odrzucając przykrycie, ponieważ noc była niemal równie gorąca i duszna jak dzień. Zapadła w niespokojny sen. Wspomnienia męczyły ją znacznie bardziej niż koszmary senne. Tak wiele wspomnień. Tak wiele już przeżyła. Minęła już tak wiele zakrętów, zawsze z nadzieją, że pozbędzie się tego, który się o nią upomina. Tego, który nie odda jej wolności. W jej snach po-

jawiała się zjawa, która przyglądała się jej, przypominając, że zawsze będzie postrzegała samą siebie jako ofiarę jednego mężczyzny.

Następny dzień nie był wcale bardziej rzeński od poprzedniego. Na szczęście w sali operacyjnej nie było studentów, gdyż nawet te kilka osób przy stole powodowało, że atmosfera była i tak wystarczająco nieprzyjemna. Przed doktorem Gimmelem i Elizą leżał mężczyzna pochodzący z dobrej rodziny, ale słabego zdrowia. Na asystenta wybrano jednego z bardziej doświadczonych studentów, Rolanda Pierce'a, który stał teraz przy głowie pacjenta, gotowy w razie potrzeby podać kolejną dawkę chloroformu. Naprzeciw doktora stała pielęgniarka Morrison. W plecach pacjenta wykonano szerokie nacięcie, by umożliwić dostęp do nerki, w której utknął szczególnie duży kamień. Eliza z podziwem patrzyła, jak doktor pochylił się nisko nad pacjentem, by zręcznie pokonać obszar poniżej żeber i delikatnie dotrzeć do tego istotnego organu.

– Tu go mamy – stwierdził. – Aha, tak... w znośnym stanie z wyjątkiem kamienia. Skalpel poproszę, siostrzo Morrisom Dziękuję. Teraz trzeba tylko trochę naciąć... tak... i tu... Do diabła!

Doktor gwałtownie przerwał cięcie. Gdy się wyprostował, z jamy brzusznej trysnęła fontanna w kolorze najgłębszej purpury. W jednej chwili zmieniła się w pióropusz, opryskując pielęgniarkę lśniąca krwią tętniczą. Eliza spodziewała się reakcji doktora, lecz ten stał

jak sparaliżowany. Roland wziął głęboki oddech i zbladł.

– Doktorze Gimmel! – Eliza dotknęła jego ramienia. – Cięcie naruszyło tętnicę nerkową.

– Co? – Doktor wydawał się niezdolny, by kontynuować. Upuścił skalpel na śliską teraz podłogę i chwycił się za głowę, chwiejnie cofając się w tył.

– Dobry Boże! – Roland zdołał się wziąć w garść. – Elizo, pacjent wykrwawi się na śmierć.

Eliza warknęła do pielęgniarki:

– Zajmij się doktorem Gimmelem. Rolandzie, więcej chloroformu.

– Więcej? Ale ten człowiek jest już na granicy.

– Rób, co każe! – Eliza chwyciła niewielki zacisk z tacy z narzędziami i usilnie starała się zlokalizować źródło tryskającej krwi. – Musimy zwolnić tętno, jeśli się da. – Dalej przeszukiwała jamę brzuszną, jednak było w niej już tak wiele krwi, że niemal niemożliwością było znaleźć to, czego szukała. W końcu krzyknęła:

– Mam! Tutaj, zabezpieczone. Rolandzie, podaj mi igłę. Muszę spróbować zszyć tętnicę. Jest przecięta, lecz nie odcięta. Jeżeli uda mi się załatać otwór, zostawiając wystarczająco dużo miejsca, by krew mogła swobodnie płynąć...

– To już bez znaczenia – Roland się nie poruszył. – Już za późno.

Eliza uniosła wzrok, a jej własna twarz ociekała krwią pacjenta. Roland trzymał dłoń na jego szyi, by sprawdzić, czy na pewno nie ma pulsu. Pokręcił głową. Eliza spojrzała

na własne dłonie wewnątrz ciała martwego mężczyzny, dłonie pokryte krwią, zupełnie jakby próbowała zamordować, a nie uratować tego biedaka. Przez chwilę ponownie ujrzała wizerunek Mary Kelly, dziewczyny z kliniki, równie obficie skapanej we krwi.

– Nie! – krzyknęła.

Roland stanął u jej boku.

– To nie twoja wina – zapewnił. – Naprawdę nie mogłaś zrobić nic więcej.

Gdy Eliza kręciła głową, zauważyła, że krzesła nie są całkiem puste. W górnym rzędzie, nieruchomy jak gład i z równie nieprzeniknionym wyrazem twarzy, siedział nowy student, na którego zwróciła uwagę poprzedniego dnia. Co on tam robił, obserwując prywatną operację? Wszyscy wiedzieli, że sala operacyjna jest zamknięta dla studentów, jeżeli taka jest wola pacjentów płacących za zabieg. Eliza chwyciła Rolanda za ramię.

– Kto to jest? – wyszeptała.

– Co? – Roland był zaskoczony, że w takiej chwili zajmuje się kimś całkiem obcym.

– Tam, siedzi w górnym rzędzie.

Roland uniósł głowę i jeszcze udało mu się zobaczyć, jak mężczyzna wychodzi tylnym wyjściem.

– Och, ten facet. Nowy student, jak sądzę. Wydaje mi się, że Włoch. Nazywa się signor Grsseti.

Godzinę później Eliza siedziała z doktorem Gimmelem w jego gabinecie. Pan Thomas przyniósł im herbatę, lecz była to mama pociecha. Eliza stwierdziła, że nigdy wcze-

śniej nie zauważyła, by doktor wyglądał tak staro.

– Chodzi o to, Elizo, że mam problem ze wzrokiem. I ostatnio cierpię na ostre bóle głowy. Nadchodzą z przerażającą gwałtownością, tak jak dzisiaj. A kiedy nadejdą, mój wzrok znacznie się pogarsza. – Postawił filiżankę na spodku i ponownie odchylił się na oparcie krzesła. – Krótko mówiąc, moja droga, tracę wzrok. Będę z tobą szczery, sędzę, że byłem tego świadomy już od jakiegoś czasu. Przyznaję, że bałem się wymawiać te słowa głośno.

– Tak bardzo mi przykro.

– Elizo, jesteś miłą dziewczyną. I wyjątkowo dobrym lekarzem. W swoim czasie będzie z ciebie świetny chirurg. Ale to mnie jest naprawdę przykro. Moja uporczywa odmowa przyjęcia do wiadomości takiego stanu właśnie kosztowała tego człowieka życie. Nie – uniósł dłoń – nie próbuj mnie przekonywać, że to nieprawda. Oboje znamy prawdę.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Wydawało się okrutnym ciosem, że tak utalentowany człowiek został obrabowany z umiejętności, choć całe życie używał ich do leczenia innych. Teraz jego nie miał kto wyleczyć.

– Co pan zrobi? – spytała Eliza.

Doktor wzruszył ramionami i potrząsnął głową. – Nie mogę pracować jako chirurg, to pewne. Mogę wykorzystywać posiadaną wiedzę jako konsultant do czasu, gdy to także stanie się... niemożliwe.

Eliza otworzyła usta, by wypowiedzieć kilka słów pocie-

szenia, jednak przerwał jej stojący w drzwiach pan Thomas.

– Przepraszam, doktorze Gimmel, ale pański następny umówiony pacjent...?

– – Tak, tak. Oczywiście. Wprowadź ich. – Wstał i odchrząknął, wyciągając na powitanie dłoń, gdy do pokoju weszły dwie osoby.

Thomas ich przedstawił.

– Pan Simon i panna Abigail Astredge, proszę pana.

– Dziękuję, Thomasie. Proszę, proszę. To moja asystentka, doktor Eliza Hawksmith. Proszę usiąść.

Podczas wymiany uprzejmości Eliza przyglądała się nowej pacjentce. Była to smukła, delikatna dziewczyna, niewiele ponad dwudziestoletnia, ze skórą koloru wosku i włosami barwy jesiennego złota. Jej bladość i dwie ciemniejsze plamy na kościach policzkowych świadczyły, że faktycznie nie czuje się dobrze. Jej brat, mężczyzna kościsty, choć szeroki w ramionach, o delikatnych zielonych oczach, okazywał cichą troskę, pomagając siostrze usiąść na krześle, a następnie stając obok niej. Elizę ujęło jego opiekuńcze zachowanie, ale kiedy obdarzyła go uśmiechem, nie odpowiedział tym samym. Zakłopotana, skupiła się na tym, co mówił doktor Gimmel.

– Teraz, droga panno Astredge, może mieć pani pewność, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by panią wyleczyć. Od pani lekarza otrzymałem szczegółowe informacje o pani stanie i z przyjemnością witam panią w opiekuńczych progach szpitala Fitzroy.

– Dziękuję, doktorze Gimmel, jest pan niezwykle miły. Jestem pewna, że jest pan odpowiednim człowiekiem, by mnie wyleczyć – stwierdziła Abigail słabym głosem, w którym brakowało przekonania.

– Moja siostra znosi chorobę z niespotykaną odwagą. – Simon Astredge położył dłoń na ramieniu dziewczyny. – Ale cóż, powiedzmy, że straciła wiarę, by przedstawiciele profesji medycznej mogli jej pomóc.

– Ależ, Simonie...

– Nie, nie, panno Astredge, pozwólmy mu powiedzieć to, co pani sama wyraźnie wzdraga się nam przekazać. To całkowicie zrozumiałe – stwierdził doktor Gimmel – że pani tak właśnie czuje. Nie ma nic bardziej niepokojącego niż świadomość własnego zawodzącego zdrowia przy braku właściwej diagnozy, a tym samym braku terapii. Proszę pozwolić, byśmy ja i mój personel przywrócili pani wiarę w to, co może pani zaoferować wiedza medyczna.

– Jeśli o mnie chodzi, doktorze – Abigail uśmiechnęła się, lecz w jej oczach był jakiś nieprzenikniony smutek – przyznaję, że chętnie położyłabym się do łóżka i pozwoliła, by dobry Bóg zabrał mnie do siebie we śnie. Mój brat jednakże – obrzuciła go czułym spojrzeniem i poklepała jego dłoń – nie chce na to pozwolić. Prawdę mówiąc, jest tak bardzo zdeterminowany, bym w pełni wyzdrowiała, że moim siostrzanym obowiązkiem jest mu się poddać.

W końcu uśmiechnął się również Simon. Eliza dostrzegła, że jego twarz zasnuwała obawa o życie siostry.

Doktor Gimmel natomiast był pełen optymizmu.

– Zatem nie możemy go rozczarować, prawda? Sugeruję, by po dokładnym badaniu, podczas którego, jeśli pani pozwoli, będzie mi towarzyszyć doktor Hawksmith, umieścić panią w jednej z naszych prywatnych sal, byśmy mogli przez parę tygodni obserwować pani zdrowie w warunkach ścisłej diety i stosowania lekarstw i dopiero potem podjąć decyzję o ewentualnych zabiegach.

– Och – Abigail wyglądała na zaniepokojoną – nie chciałabym wyjść na osobę nieskorą do współpracy, doktorze, jednak myśl o pobycie w szpitalu...

– Proszę pana, ona jest temu przeciwna – dokończył myśl jej brat.

Eliza usiadła obok Abigail i starała się dodać jej pewności.

– Panno Astredge, mamy kilka niezwykle uroczych sal. Wszystkie są jasne i dobrze wentylowane i będzie pani mogła spacerować po szpitalnych ogrodach. To może okazać się mniej nieprzyjemne, niż pani sądzi.

Abigail zwróciła się w stronę Elizy.

– Doktor Hawksmith, proszę zrozumieć, że nie wątpię w jakość oferowanych przez szpital Fitzroy udogodnień. Chodzi po prostu o to, że najszcześliwsza jestem w naszym domu z widokiem na park. Wierzę, że właśnie tam najszybciej dojdę do zdrowia i tam pragnę zostać. Z bratem. Niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość.

– Muszę wyjaśnić – wtrącił się Simon – że moi i Abigail rodzice nie żyją. Jesteśmy wszystkim dla siebie

nawzajem. Równie mocno jak ona nie chcę się z nią rozstawać. Co do tego mamy absolutną pewność.

Doktor Gimmeł skinął głową.

– Może się zdarzyć, że w tym przypadku dom okaże się lepszy niż nieznane ściany instytucji, choćby najlepiej wyposażone. Faktem jest jednak, że leczenie będzie skuteczne jedynie wówczas, gdy zapewnimy regularną kontrolę i obserwację. Jedynie w taki sposób możemy ustalić charakter i postępy choroby, a tym samym określić prognozy i zalecić najbardziej skuteczny sposób leczenia.

– Czy takich obserwacji nic można prowadzić w naszym domu? – spytała Abigail.

– Ma pani na myśli stałą pielęgniarkę? – zapytał doktor Gimmeł bez przekonania.

Simon potrząsnął głową.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie uważam, by pielęgniarka była wystarczająca. Może dałoby się znaleźć lekarza?

– Panie Astredge, czas lekarza jest bardzo wypełniony.

– Jeżeli mogę coś zasugerować... – odezwała się Eliza – Regent's Park jest niedaleko. Z największą przyjemnością podejmę się odwiedzać pannę Astredge codziennie i poddawać ją wszelkim niezbędnym badaniom.

Doktor Gimmeł zastanowił się nad tym pomysłem.

– To byłoby jakieś rozwiązanie, oczywiście, lecz, doktor Hawksmith, pani klinika w Whitechapel to jednak spore obciążenie dla pani, podobnie jak obowiązki jako mojej asystentki.

– Nie zaniedbam kliniki. I o ile dobrze pamiętam,

doktorze Gimmel, zastanawiał się pan nad krótkim urlopem od chirurgii, prawda?

Doktor Gimmel próbował przyswoić słowa Elizy, a potem uśmiechnął się i skinął głową.

– Dokładnie tak, pani Elizo. Jak zwykle przemawia przez panią zdrowy rozsądek. Cóż, panno Astredge, panie Astredge, czy doktor Hawksmith będzie odpowiednia?

Uśmiech Abigail rozświetlił pomieszczenie i dziewczyna ścisnęła dłoń brata.

– Sądzę, że doskonale się sprawdzi – uznała.

Simon spojrział teraz wprost na Elizę. Jego zielone oczy napotkały jej wzrok. Poczowała, że odrobinę się czerwieni i ze zdziwieniem stwierdziła, że jest to przyjemne.

– Doktor Hawksmith – powiedział powoli – z największą przyjemnością powitamy panią w naszym domu.

Tego wieczoru, dobrze po dziewiątej, Eliza skończyła pracę w klinice jeszcze bardziej zmęczona niż zwykle. Mimo upału było duszno i parno. W oddali nieustannie słychać było grzmoty ostrzegające przed zbliżającą się burzą. Odprowadziła ostatnie pacjentki, Lily i jej przyjaciółkę Marthę, która przyszła ją wspierać. Kobiety ze śmiechem wyszły z niewielkiego podwórka. Choć Lily była naprawdę bardzo chora, okazana przez Elizę troska, oraz driakiew, którą ta kazała jej pić, poprawiły jej nastrój. To nie było coś, co można by kupić w miejscowej aptece. Było to lekarstwo sporządzone według przepisu Elizy i nie miało ono wyleczyć biednej dziewczyny z choroby, jedynie poprawić jej samopoczucie. Eliza zdjęła szyld

z wąskiej furtki z tyłu podwórza. W tej samej chwili usłyszała dobiegający z ciemnej alejki hałas, który przyprowadził ją o szybsze bicie serca.

– Kto tam jest? – zawołała, próbując sprawiać wrażenie osoby odważnej, choć wcale tak się nie czuła. – Mary Anne? Sally, czy to ty?

Odpowiedź nie nadeszła, choć Eliza była pewna, że w ciemnościach ktoś stoi. Raz jeszcze poczuła, że w jej ciału wsącza się zimny strach. Pragnęła uciec do środka, ale była zbyt przerażona, by odwrócić się plecami do niewidocznej postaci. W pewnej chwili usłyszała dwukrotne pstryknięcie. Cichy dźwięk, który mogło wywołać zamknięcie koperty zegarka lub wkładanie na miejsce rączki pustej w środku laski, wyrwał ją z odrętwienia. Zatrzasnęła furtkę i pobiegła przez podwórze, nie oglądając się za siebie. Kiedy wpadła do domu, zasunęła oba rygle w drzwiach i oparła się o nie. Oddech miała przerywany, umysł zaś bronił się przed myślą, że jej bezpieczną kryjówkę odkryto po raz kolejny.

3

Tej nocy zerwała się gwałtowna, krótkotrwała burza. Po niespełna godzinie kakofonia grzmotów i błyskawice przeszły w ulewny deszcz, który następnie zmienił się w mżawkę, a z nadejściem szarego świtu w mgłę. Wilgotny chłód przyniósł ulgę po parnych dniach, lecz na ulicach zalegało teraz błoto, utworzone przez zmieszany z deszczem kurz. W rynsztokach przelewała się woda, więc pod podkutymi kopytami i butami na skórzanych podszwach płynęły teraz niewielkie strumyki, które niosły różnego rodzaju śmieci, czepiające się długich, szerokich spódnic kobiet. Eliza stwierdziła, że nawet podłoga omnibusu pokryła się mieszaniną mokrej słomy, błota i zdeptanych śmieci. Zaduch w zatłoczonym pojeździe mógłby sprowokować nawet najbardziej odporny żołądek. Z radością dotarła do zadbanego, czystego szpitala Fitzroy. Z przyzwyczajenia, jak codziennie rano, poszła wprost do pomieszczeń zajmowanych przez doktora Gimmela. Weszła bez pukania, zdjęła kapturek i zaczęła zdejmować szal oraz strząsać z niego wodę. Właśnie zamierzała go powiesić, gdy stwierdziła, że nie jest sama w pokoju.

– Och! – cofnęła się o krok. Gdy tylko zorientowała się, kim jest stojący przed nią mężczyzna, z jej umysłu natychmiast zniknęły wszystkie grzeczne słowa. Zerwał z głowy cylinder i pokłonił się nisko.

– Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pani przestraszyć.
– Jego sposób mówienia obfitował w wyraźne spółgłoski, tańczące samogłoski i niewłaściwie położony akcent, lecz mimo to posługiwał się doskonałym angielskim. – Pozwoli pani, że sam się przedstawię, z braku kogoś, kto mógłby to uczynić. Nazywam się Damon Gresseti. – Trwał w niskim ukłonie i wyciągnął dłoń, by ująć jej okrytą rękawiczką rękę i złożyć na niej najchłodniejszy z pocałunków. Eliza wyszarpnęła dłoń znacznie szybciej, niż nakazywały dobre obyczaje.

– Kto pana wpuścił? – zapytała. – To pokoje doktora Gimmela.

Signor Gresseti wyprostował się bez pośpiechu i nieznacznie oparł na swej czarnej lasce. Jego podszyta jedwabiem peleryna była odrzucona na jedno ramię, odsłaniając doskonale skrojony surdut. Był wysoki, a rysy jego twarzy były zadziwiająco pozbawione wyrazu. Nawet teraz blady uśmiech nie obejmował oczu.

– Pan Thomas był tak miły i mnie tu wprowadził. Zbyt wcześnie przyszedłem na umówione spotkanie ze słynnym doktorem. Przecież nie wypadało, abym się spóźnił i kazał mu czekać?

– Nie. Jasne, że nie. – Eliza podeszła do biurka i postawiła torbę przy krześle. – Oczywiście, jeśli jest pan umówiony, pan Thomas pragnął, by mógł pan czekać w wygodnych warunkach. Choć muszę powiedzieć, że stypendyści zwykle oczekują w pokoju pana Thomasa.

– To prawda. Raz jeszcze mogę jedynie prosić o wy-

baczenie. To ja nalegałem, by mnie tu wpuszczono przed przybyciem doktora Gimmela. Nie chciałem, żeby pan Thomas został ukarany za spełnienie mojej prośby.

W tej samej chwili drzwi się otwały i Phileas Gimmel niemal wpadł do pokoju.

– Ach! Już pan tu jest, przyjacielu. Czyż ja muszę się spóźniać na wszystkie spotkania? – Chwycił dłoń gościa i potrząsał nią z entuzjazmem. – Ale nieważne, wiem, że w towarzystwie mojej bezcennej asystentki, doktor Elizy Hawksmith, nie zauważył pan mojego spóźnienia.

– Gdybym wiedziała, panie doktorze, że podczas porannej operacji towarzyszyć nam będzie nowy student, przybyłabym wcześniej.

– Student? – roześmiał się doktor Gimmel. – Moja droga, nie. To jest Damon Gresseti z Instytutu Badań Medycznych w Mediolanie, który przyjechał tu w celu wymiany poglądów i metod na prośbę starszego chirurga z tamtej wspaniałej uczelni.

Eliza się spieszyła. Nic student, lecz naukowiec oddany medycynie, cieszący się niemałym szacunkiem, jeśli sądzić po sposobie, w jaki traktował go doktor Gimmel.

– Instytut w Mediolanie? Jesteśmy zaszczyceni.

– To prawda – przytaknął doktor Gimmel.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zapewnił Gresseti.

– Proszę usiąść, nie stójmy tak. – Doktor Gimmel podprowadził Gressetiego do krzesła. – Przez kilka tygodni będziemy razem pracować. W sali operacyjnej nie będzie

czasu na formalne uprzejmości.

– Ale, panie doktorze – Eliza nie usiadła – sądziłam, że zamierza pan zrobić sobie krótki urlop od chirurgii.

– Tak, tak, dokładnie. Na litość boską, doktor Hawksmith, zawsze wydawało mi się, że to moja żona ma prawo zmywać mi głowę, a nie koleżanka z pracy. – Obdarzył ją pełnym wyrzutem spojrzeniem. Zamierzam nadzorować operacje i prowadzić młodszych lekarzy, którzy udowodnili, że poradzą sobie z tym zadaniem. Panią, Elizo, naturalnie uważam za najlepszą z nich.

– Moim zdaniem z doktor Hawksmith będzie świetny chirurg – przytaknął Gresseti. – Obserwowałem ją przy pracy. Wczoraj rano. Usunięcie kamienia z nerki...?

Doktor Gimmel ucichł i otworzył usta. Eliza była nie tylko zaskoczona, ale również zdenerwowana. Jakże ten człowiek mógł być tak nieuprzejmy, by poruszyć kwestię zabiegu, który zakończył się śmiercią pacjenta? Jakiej odpowiedzi mógł udzielić doktor Gimmel? Gruboskórności Gressetiego nie dało się wybaczyć. Eliza zrobiła krok naprzód i stanęła pomiędzy Gressetim a swym mentorem.

– Signor Gresseti, pamiętam, że był pan obecny podczas tamtej operacji. Niestety jej wyniku nie życzył sobie nikt z nas. Jednakże jako człowiek oddany medycynie z pewnością pan rozumie, że żaden zabieg nie jest wolny od ryzyka. Pomimo to jednak znacznie więcej pacjentów przeżyło prowadzone przez doktora Gimmela zabiegi i odzyskało pełnię zdrowia, niż byłoby to możliwe

w przypadku mniej utalentowanego chirurga.

– Nie wątpię. – Na jego twarzy ponownie pojawił się ten sam powierzchowny uśmiech. – I muszę dodać, że doskonale pani sobie poradziła, doktor Hawksmith, próbując poprawić to... ryzyko, które się pojawiło. Bohaterskie wysiłki, choć niestety bezowocne.

Doktor Gimmel wyglądał jak porażony. Usiadł ciężko. Eliza poczuła wzbierającą wściekłość. Gdy pierwszy raz ujrzała Gressetiego, poczuła zdenerwowanie i podejrzliwość, jak zwykle w stosunku do samotnego nieznanego. Była pewna, że jest sam i że nikt go nie zna, a to połączenie nieodmiennie wprawiało ją w zaniepokojenie. Teraz jednak przedstawiono jego referencje, więc przestała się go obawiać. Przybył z polecenia chirurga, którego doktor Gimmel znał od wielu lat. Jego pochodzenia nie trzeba było kwestionować. Obawa zatem zniknęła, a na jej miejsce pojawiła się wściekła niechęć, połączona ze złością wywołaną sposobem, w jaki potraktował doktora. Jak można było oczekiwać, że któreś z nich będzie pracować z takim człowiekiem?

Doktor Gimmel gorączkowo usiłował wziąć się w garść.

– Miejmy nadzieję, że dziś będzie pan świadkiem szczęśliwszych zakończeń prowadzonych zabiegów. – Przesunął jakieś dokumenty i znalazł książkę pacjentów. – Ach, tak. Jak widzę, dziś rano mamy usuwać złośliwy guz u młodej kobiety. O dziesiątej. Asystować będą doktor Hawksmith i Roland Pierce, jeden z naszych

najlepszych studentów. Wierzę, że tę operację uzna pan za interesującą, signor.

– Jestem tego pewien, panie doktorze. – Tamten wstał i ujął laskę. – Na razie zatem – powiedział z niskim ukłonem.

Gdy wyszedł, Eliza i doktor przez całą minutę siedzieli w ciszy, przerywanej wejściem Thomasa z herbatą.

– Ach, Thomasie – doktor Gimmel zmusił się do słabego śmiechu. – Jak zawsze jesteś prawdziwym mistrzem intuicji. Gdyby ktoś kiedyś potrzebował przekąski...

Eliza naląła herbatę i wręczyła jedną filiżankę doktorowi Gimmelowi. Filiżanka zagrzechotała o spodek, gdyż dłoń doktora odrobinę drżała. Pospiesznie odstawił naczynie na biurko.

– Doktorze Gimmel, nazwał pan signora Gressetiego „dobrym przyjacielem”. Czy spotkał go pan podczas jednej z wizyt w Instytucie?

– Co? Nie. To jedynie figura retoryczna. Profesor Salvatores, starszy konsultant w Instytucie, jest, rzecz jasna, moim drogim przyjacielem. Ale signora Gressetiego spotkałem dopiero dziś rano. Przyznaję, że nie jest on osobą, jakiej się spodziewałem po otrzymaniu od profesora listu polecającego.

Eliza dostrzegła, że rysy doktora zasnuło znużenie. Nastąpiły dla niego trudne czasy. Jakimś dziwnym zrządzeniem losu ten odrażający Gresseti został przysłany właśnie w takiej chwili.

Później tego samego dnia, ku wspólnej uldze wszystkich

obecnych, zaplanowana operacja przebiegła gładko i została zakończona sukcesem. Roland okazał się pilnym studentem i dobrze się sprawdził, przy asyście Elizy i wskazówkach doktora Gimmela. Nieprzenikniony signor Gresseti stał o kilka kroków od stołu. Elizę denerwowała praca pod nieprzyjaznym badawczym spojrzeniem gościa i cieszyła się, że Roland nie był obecny na porannym spotkaniu. Gdy tylko operacja dobiegła końca, Eliza się przebrała i przeprosiwszy zebranych, opuściła szpital. Pieszko ruszyła przez plac Fitzroy w kierunku Regent's Park. Miała to być jej pierwsza wizyta w domu Abigail Astredge i stwierdziła, że ta perspektywa sprawia jej radość. Opuszczenie pełnej napięcia atmosfery otaczającej doktora Gimmela przyniosło jej ulgę. Co więcej, z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że cieszy się na ponowne spotkanie z Simonem Astredge. Dzień był szary i wilgotny, ulice nadal mokre, lecz w powietrzu panowała już rześkość, gdyż poranna mgła się podniosła. Z Cleveland Street skręciła w Euston Road. Ze stojącego na chodniku podestu jakiś chłopiec sprzedawał gazety. Zwykle nie miała ani czasu, ani pieniędzy na prasę, ale tym razem wykrzykiwany przez niego nagłówek zmusił ją do zatrzymania się i wyjęcia monety z portmonetki. Opuściła strumień przechodniów i oparła się o ogrodzenie parku, by obejrzeć pierwszą stronę. Krzykliwy tytuł głosił: **BRUTALNE MORDERSTWO KOBIETY W WHITE-CHAPEL**. Czytała dalej. Ktoś zaatakował i zamordował jakąś dziewczynę. Jej ciało znaleziono na podeście

pierwszego piętra w kamienicy czynszowej w rejonie Whitechapel. Na zwłokach widniało niemal czterdzieści ran kłutych i ciętych. Zabita była skąpana we własnej krwi. Oddech uwiązał Elizie w gardle. Dziewczyna nazywała się Martha Tabram. Ta sama Martha, która towarzyszyła Lily ubiegłego wieczoru podczas ostatniej wizyty w klinice. Eliza widziała ją zaledwie kilka godzin przed śmiercią. Mogła być jedną z ostatnich osób, które widziały Marthę żywą. Przypomniała sobie śmiech dziewczyny, z którym opuszczała klinikę. A teraz była martwa. Pocięta na strzępy i straszliwie okaleczona. Eliza zwinęła gazetę i wepchnęła ją w ręce mijającego przechodnia.

– Proszę to wziąć – poprosiła. – Nie jestem w stanie trzymać tego ani chwili dłużej. – Rzekłszy to, zmusiła się do ruszenia w dalszą drogę. Stawiając jedną stopę przed drugą, dotarła na skraj parku. Nie potrafiła pozbyć się wrażenia, którego doznała ubiegłej nocy, że ktoś obserwuje wejście do jej kliniki, że ktoś czai się w cieniu. Czy ta osoba poszła za Marthą? Eliza dotarła do drzwi domu Astredge'ów. Stała na chwilę, by odzyskać panowanie nad sobą i pozbierać myśli. W tej chwili liczyła się Abigail. Nieszczęsnej Marcie i tak nikt nie mógł już pomóc. Musi się skupić na potrzebach nowego pacjenta.

Numer 4 przy York Terrace okazał się okazałym georgiańskim domem z białym tynkiem, wysokimi oknami, portykiem podpartym smukłymi kolumnami, wysokim parterem i szerokimi schodami prowadzącymi do ciem-

noniebieskich drzwi frontowych. Eliza szarpnęła za sznur od dzwonka i usłyszała kroki wewnątrz. Drzwi otwarł elegancko ubrany kamerdyner, którego głowa była równie bezwłosa i błyszcząca, jak marmurowa podłoga holu wejściowego. Na widok jej karty wizytowej potwierdził, że państwo jej oczekują, i poprosił, by poszła za nim do salonu. Kiedy kroczyli po eleganckich powierzchniach, Eliza stwierdziła, że dom jest bardzo duży jak na dwie osoby. Miał szerokie schody, położone centralnie atrium, marmurowe kolumny i imponujące popiersia wyzierające spoza iście gargantuicznych paproci rosnących w ogromnych mosiężnych urnach. Kamerdyner otwarł drzwi wychodzące z holu i gdy weszła, oznajmił jej przybycie. Abigail bezzwłocznie wstała i podeszła do Elizy.

– Proszę nie zawracać sobie głowy wstawaniem z mojego powodu, panno Astredge – Eliza wyciągnęła dłoń.

– Ja zaś proszę, by nazywała mnie pani Abigail – odwzajemniła się młoda kobieta. – I dlaczegoż nie miała-bym się odpowiednio przywitać, gdy pani w swej dobroci podjęła się zmuszonego zadania codziennych wizyt w moim domu?

– Przede wszystkim dlatego – odparła Eliza, pozwalając się podprowadzić do krzesła stojącego przy otwartym oknie – że jesteś moją pacjentką i w związku z tym znacznie bardziej interesuje mnie twój odpoczynek i powrót do zdrowia niż etykieta. Po drugie, pozbądź się, pro-

sze, myśli, że przychodzenie tutaj to jakiegokolwiek zadanie. Często składałam wizyty domowe pacjentkom z mojej własnej kliniki, a żadna z nich nie zapewnia tak cudownego otoczenia. – Mówiąc te słowa, rozglądała się po najbardziej uroczym pokoju, w jakim kiedykolwiek stanęła jej stopa. Formalny charakter holu wejściowego zastąpiły tu obicia tapicerskie w żywe pasy oraz radosne tapety w orientalne wzory. W pokoju było mnóstwo zieleni: wszystkie kąty rozjaśniały asparagusy z pierzastymi liśćmi, po obu stronach kominka stały aspidistry wyniosłe. Były tu dwie wygodne sofy, elegancki szeszlony, przy oknie głęboka ława z licznymi poduszkami oraz różne stoliczki zastawione ślicznymi bibelotami z porcelany lub srebra. Była tam również zgrabnie wyszywana osłona kominka i delikatnie cięte szklane klosze lamp gazowych. W przeciwległym rogu stał sekretarzyk ze świeżym papierem oraz srebrny kałamarz, a obok niego leżał bogato zdobiony nóż do papieru. Każdy przedmiot został dobrany ze względu na swą urodę lub urok, a efekt był cudowny. Był to pokój kobiety.

– Co więcej – ciągnęła Eliza – miła mi jest możliwość opuszczenia terenu szpitala Fitzroy choćby na krótki czas.

– Och? – Abigail usiadła i poklepała leżącą obok siebie poduszkę, a kiedy Eliza sztywno usiadła obok niej, obdarzyła ją uśmiechem. – Czyż to nie wspaniałe miejsce do pracy?

– Zwykle tak właśnie jest – Eliza wahała się przez chwilę, odwiązując wstążkę kapturka. – Ale powiedzmy,

że doktor Gimmel znajduje się ostatnio pod pewną... presją, która bardzo mu ciąży, a nas wszystkich martwi. Mamy też w szpitalu gościa. Obserwatora. – Przerwała, zastanawiając się, co skłoniło ją do tak otwartej paplaniny z kimś, kogo właściwie nie znała i kto był przecież jej pacjentem.

– I? – zapytała Abigail. – Proszę nie przerywać, błagam. Mam nos do opowieści, jak mówi mój brat. Potrafię je wyczuć jak pies gończy. W tej jest coś więcej, niż byłaby pani skłonna powiedzieć podczas pierwszej wizyty. Nieważne, wyciągnę ją z pani, doktor Hawksmith. Zobaczysz pani, jestem niepoprawną plotkarką. A teraz napijemy się herbaty?

Eliza wreszcie zaczęła się odprężyć. W obecności Abigail wiadomość o śmierci Marthy zeszła odrobinę na dalszy plan. Zsunęła z ramion szal i skinęła głową.

– Herbata to doprawdy doskonały pomysł – stwierdziła. – I proszę mówić mi Eliza.

– Czy to pierwsze zalecenie, pani doktor? – mizerną twarz Abigail rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Tak właśnie jest.

– Zatem muszę się do niego zastosować – roześmiała się – a po herbacie będziesz mogła do woli próbować na mnie straszliwą kurację doktora Gimmela. Zamierzam być najmniej kłopotliwą pacjentką, z jaką kiedykolwiek miałas do czynienia. Choć podejrzewam, że krótka partyjka cribbage [Cribbage – gra karciana, w której do zaznaczania punktów używa się tablicy z kolorowymi kołeczkami – przyp. tłum.] mogłaby poprawić mój

stan. Zgodzisz się ze mną?

Popołudnie minęło Elizie niezwykle szybko. Tak bardzo cieszyło ją niewymagające towarzystwo Abigail, że bez trudu mogłaby zapomnieć o ciężkim stanie dziewczyny. Eliza zbadała ją dokładnie, zanotowała objawy i odpowiednio dostosowała dietę i leki. Zamyśliła się nad okrutnym charakterem chorób wątroby. Pacjentka sprawiała wrażenie wątłej i bladej, pozbawionej energii, lecz poza tym nie wyglądała na chorą. Prawdę mówiąc, zanikała. Umierała. Jeżeli nie uda się powstrzymać procesu niszczenia tego ważnego organu, nie przeżyje lata. Eliza rozumiała plan doktora Gimmela, zakładający próbę leczenia choroby bez ryzykownej operacji. Wszelkie próby usunięcia guza lub części samej wątroby byłyby wysoce niebezpieczne, szczególnie kiedy Abigail była tak słaba. Największą szansę powodzenia dawała poprawa jej sił witalnych i ogólnego zdrowia, przy jednoczesnej próbie zatrzymania postępów choroby lekami. Mimo to Eliza zastanawiała się, czy niechęć doktora Gimmela do operacji nie wynikała częściowo z faktu, że nie byłby w stanie jej przeprowadzić samodzielnie. Czy w szpitalu Fitzroy był ktoś jeszcze posiadający wystarczające umiejętności i doświadczenie, by przeprowadzić taki zabieg? Eliza nigdy nie uczestniczyła w operacji wątroby. Prześladowało ją wspomnienie pacjenta z kamieniem nerkowym, który umarł, gdy miała ręce w jego ciele. Jak by się czuła, gdyby Abigail zmarła z powodu jej braku doświadczenia?

Kiedy zaczęła szykować się do wyjścia, przez otwarte

okno dobiegł niesamowity hałas.

– Dobrze nieba – zawołała – cóż to za dziwaczny dźwięk? Abigail się uśmiechnęła.

– Wybrałam ten pokój, ponieważ wychodzi na park. Za tymi drzewami jest ogród zoologiczny. To, co słyszysz, to śpiew wilków. Czyż to nie najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałaś? Słuchaj. Taki żałosny, a mimo to ekscytujący.

Eliza podeszła do okna. Wilki zadarły łby w nieskładnym chórze wycia, które zdawało się wypełniać pokój. Znajdowała się w środku miasta, w domu wyposażonym we wszelkie nowoczesne udogodnienia, a mimo to spowijała ją pieśń dzikich i niebezpiecznych zwierząt. Eliza zadrżała. W tej samej chwili drzwi się otwały i stanął w nich Simon. Na widok Elizy uśmiechnął się.

– Ach – stwierdził – nasza całkiem własna doktor Hawksmith. Jak dziś znajduje pani naszą pacjentkę?

Eliza zebrała się w sobie i podała mu dłoń.

– Właśnie miałam wychodzić – powiedziała, puszczać jego rękę i podnosząc torbę. – Stan pańskiej siostry pozostaje na razie bez zmian. – Po czym dodała: – Choć jestem zadowolona, że ma dobry humor.

– Jestem pewien, że postara się zostać idealną pacjentką. Docenia, że pani podjęła się opieki nad nią i wyraziła zgodę na wizyty domowe. Oboje jesteśmy pani dłużnikami.

Eliza stwierdziła, że mu się przygląda, że jej oczy napotykają jego badawcze spojrzenie. W jego łagodnych

zielonych oczach ciągle czaił się uśmiech. Zorientowała się, że wilki przestały zawodzić, i poczuła, że jej niepokój znika.

– Jak już mówiłam Abigail, pobytu tutaj nie traktuję jak obowiązku. Pańska siostra była troskliwą gospodynią, choć próbowałam jej przypominać, że jest moją pacjentką i że to ja powinnam się opiekować nią.

Abigail ujęła brata pod ramię i popatrzyła na niego z miłością.

– Przykro mi, mój drogi braciszku, ale wprost nie umiem uznać Elizy za mojego lekarza, gdy wiem, że zostaniemy przede wszystkim prawdziwymi przyjaciółkami.

Miło mi to słyszeć – stwierdził, klepiąc ją po ręce. – Widzi pani, doktor Hawksmith, sama pani obecność tutaj może być najlepszym lekarstwem, jakiego życzyłaby sobie Abigail. A przyznaję, że pani obecność poprawiła i mój nastrój. Czy uda mi się namówić panią, by dziś zjadła z nami kolację?

Eliza poczuła nieznanne przyspieszenie pulsu, rzadki trzepot podniecenia. Przez chwilę rozważała możliwość przyjęcia zaproszenia, lecz potrząsnęła głową.

– Niestety nie mogę – odparła – mam swoją klinikę w Whitechapel. To jeden z naszych bardziej pracowitych wieczorów.

– To może innym razem? – Lekko przechylił głowę na bok. Eliza uśmiechnęła się.

– Innym razem – zgodziła się.

Tej nocy sen Elizy nękały majaki. Śniła, że jest na fan-

tastycznym balu, ubrana w suknię z najcieńszego kremowego jedwabiu. Wokół niej zakochane pary wirowały i obracały się w szybkim rytmie taranteli. Nagle jakiś mężczyzna o dumnej postawie i szlachetnych rysach wziął ją w ramiona i z obrotem pociągnął na parkiet. Tańczyli, tańczyli i tańczyli, jej stopy w srebrnych pantofelkach rozmazywały się, gdy muzyka grała coraz szybciej. Wkrótce pozostali tancerze zmienili się w chaotycznie kolorowe wiry, a Eliza poczuła mdłości. Partner trzymał ją mocno, przyciskając jej ciało do siebie. Przytulał policzek do jej policzka, a potem pochylił się naprzód, by schować twarz w zagłębieniu jej szyi. Ciagle tańczyli. Eliza poczuła jego gorący oddech na skórze, a potem wilgotny język przesuwający się po jej gardle. Próbowwała się wyswobodzić z uścisku. Kiedy udało jej się wreszcie odsunąć odrobinę, ujrzała widok, który zmusił ją do krzyku. Jej partner zachował swe silne, gibkie ciało, lecz głowę zastąpił łeb wilka. Jego cuchnący oddech wdarł się do nozdrzy Elizy, a gdy krzyczała, gorzka ślina kapała z jego pyska do jej ust.

4

W miarę upływu kolejnych tygodni Elizę coraz bardziej cieszyły wizyty w domu rodzeństwa Astredge'ów. W towarzystwie Abigail czuła się bardziej odprężona niż gdziekolwiek indziej i nawet przyznała sama przed sobą, że pogłębia się jej uczucie do Simona. Szybko zdała sobie sprawę, że darzył ją dużym szacunkiem. Zgodnie ze swym zwyczajem walczyła z takim związkiem, bojąc się bólu serca, który mógł przynieść ze sobą. Ale od czasu do czasu pozwalała, by emocje wzięły górę nad ostrożnością. Pragnęła być kochaną. Pozwolić sobie kogoś pokochać. Potrafiła zamknąć takie myśli we własnym sercu na wiele lat tak, by jej nie męczyły. A potem w jej życiu zjawiał się ktoś, kto posiadał klucz, i wieloletnia tęsknota wychodziła na światło dzienne. Pragnęła poddać się swemu pragnieniu związanemu z Simonem. Żądzy, której nie czuła tak mocno od czasów, gdy była nastolatką – od czasu Gideona. Teraz dotyczyła ona dobrego człowieka, miłego człowieka, obdarzonego szacunkiem tych, którzy go znali, kochającego brata o wrażliwym sercu. Człowieka, któremu była skłonna się oddać, gdyby tylko sobie na to pozwoliła.

Przed pierwszym tygodniem września Eliza spędzała więcej czasu pod numerem 4 przy York Terrace niż w szpitalu Fitzroy. Często zostawała, by zjeść kolację z Abigail i Simonem, już nie jako lekarz, ale bliska przyjaciółka. Właśnie miała opuścić gabinet, by udać się

z jedną z owych wizyt w tamtym domu, gdy do jej uszu dobiegły krzyki z ulicy. Wyjrzała przez okno i dostrzegła małego gazeciarza, uprawiającego na chodniku poniżej pełen werwy handel. Wręczając gazety i pobierając monety, nieustannie wykrzykiwał:

– Najświeższe wiadomości! Czytajcie tutaj! Rozpruwacz znów atakuje! Kolejna kobieta pocięta na strzępy!

Eliza zamknęła oczy, a jej palce zacisnęły się na zasłonie. Kolejne morderstwo. Trzecie, najwyraźniej z nieprzerwanej serii zabójstw dokonanych przez człowieka nazwanego Kubą Rozpruwaczem. Nie była w stanie czytać ohydnych szczegółów, choć wiedziała, że powinna to zrobić. Wiedziała, że będą tam makabryczne i dokładne opisy paskudnego sposobu, w jaki zamordowano tę biedną kobietę. Wiedziała także ze straszliwą pewnością, że ofiara będzie kolejną z dziewcząt odwiedzających jej klinikę. Czy to zbieg okoliczności? Czy to możliwe? Jak długo uda jej się przekonywać samą siebie, że te biedne kobiety wybrano na chybił trafił, że na drodze mordercy postawił je czysty przypadek? Ile jeszcze umrze, zanim dopuści do siebie rzecz nie do pomyślenia – że one wszystkie były z nią związane? Że ich okrutne śmierci miały w pewien sposób coś wspólnego z nią samą.

Tego popołudnia Abigail czuła się wystarczająco silna, by wyjść na krótki spacer. Był piękny jesienny dzień, wystarczająco ciepły, by założyć jedynie lekki szal, więc obie kobiety ruszyły w stronę wejścia do parku, a potem wąską ścieżką wijącą się pośród drzew do ozdobnych sa-

dzawek.

– Och, Elizo, jakże takie jasne popołudnie poprawia nastrój. Jak dawno nie byłam na świeżym powietrzu. Tak długo tkwiłam zamknięta w domu. Ćwiczenia z pewnością poprawią moje zdrowie. Nie przepiszesz mi codziennego krótkiego spaceru? Wtedy mogłabym wychodzić, i w słońce, i w deszcz.

– Lekki wysiłek jest rzeczywiście korzystny dla krążenia i ogólnego dobrego samopoczucia – odparła Eliza – lecz korzyści te należy zbilansować z ryzykiem zmęczenia. Twoja siła jest potrzebna do zwalczania choroby, która trzyma cię w swym uścisku, Abigail. Jeśli osłabniesz, twojemu ciału trudniej będzie wygrać tę bitwę.

– Och, fuj. – Abigail wsunęła rękę pod ramię Elizy. – Nie mów mi o chorobie, gdy świeci słońce, a te głupiutkie kaczki idą po trawie tak niezdarnie, czarujące dzieci zaś bawią się pośród tych okazałych drzew. Czuję, że moje nogi mogłyby mnie nosić bez końca i bez odpoczynku. A poza tym – uśmiechnęła się – mam przy sobie własnego lekarza. Cóż może mi grozić?

– Dobrze widzieć cię znów uśmiechniętą. – Eliza przycisnęła dłoń przyjaciółki. Pragnęła cieszyć się tym dniem, rozkoszować spokojem chwili, lecz jej umysł nic potrafił pozbyć się myśli o zamordowanych kobietach. Okropnych myśli i jeszcze straszliwszych wizji.

– Och, popatrz tylko. – Abigail wskazała grupkę dzieci po przeciwnej stronie trawnika, które hałaśliwie krążyły wokół krowy. Zwierzę stało na wpół senne, a rolnik

w białej koszuli siedział obok niej na trójnożnym stołeczku. Skończył dojenie i wstał. Dzieci ustawiły się w niesforną kolejkę, prowadzone przez opiekunki, nianie i matki. Krowa spokojnie przeżuwała, kiedy rolnik nalewał mleko do cynowych kubeczków.

– Napijmy się. – Abigail pociągnęła Elizę przez trawę.
– Chodź. Wyrzuć z głowy strach o zmęczenie. Łyk mleka to z całą pewnością środek dodający sił, tak potrzebny twojej pacjentce. Nic uważasz?

Abigail wyjęła z torebki pensa i wręczyła go rolnikowi. Nappełnił kolejny kubek i podał go jej. Abigail piła łąpczywie, aż spienione mleko zostawiło na jej górnej wardze delikatną białą linię. Rozpromieniła się i podała kubek Elizie. Jest pyszne. Spróbuj – poprosiła.

Eliza przyłożyła kubek do ust i pociągnęła łyk. Twarz jej się wykrzywiła i dzięki temu zdołała powstrzymać mdłości. Mleko nie nadawało się do picia, było kwaśne i niedobre.

– Och, ależ Abigail. To mleko jest niedobre. Sam kwas.

– Co ty pleciesz, Elizo. Właśnie go próbowałam – Abigail wyrwała jej kubek i powąchała to, co w nim pozostało. Zmarszczyła brwi. Na chwilę jej twarz pociemniała w sposób, którego Eliza nie widziała nigdy wcześniej. Nagle wylała płyn na trawę i zwróciła kubek rolnikowi. – Nie wiem, o czym mówisz – stwierdziła. – Moim zdaniem smakowało doskonale. Chodźmy. – Ponownie ujęła Elizę pod ramię i odciągnęła ją z dala od krowy. – Przejdźmy się wzdłuż zoo.

Eliza nie potrafiła zrozumieć, co się stało. Widziała, jak Abigail pije mleko, ale sama nie była w stanie wypić więcej niż jeden łyk, tak było kwaśne. Dlaczego Abigail tego nie zauważyła? I dlaczego próbowała udawać, że było dobre, skoro nic było? To niewielkie, pozornie nieistotne zdarzenie nie dawało Elizie spokoju. Stwierdziła, że dzień stracił swą złocistą poświatę i poczuła ulgę, gdy wreszcie zakończyły spacer po parku i powróciły do domu.

Dwa dni później Eliza weszła do pokoi doktora Gimmela, gdzie zastała Gressetiego.

– Ach, moja droga Elizo – doktor Gimmel zerwał się na równe nogi. – Właśnie mieliśmy wychodzić.

– Tak?

– Zabieram signora Gresseti na spotkanie z sir Edmundem Weekesem. Podczas pobytu tutaj nasz gość zainteresował się zaburzeniami krążenia, a nie ma w tej dziedzinie chirurga lepszego niż sir Edmund. – Wziął ze stojaka nakrycie głowy i znikając w drzwiach, pomachał jej na pożegnanie.

– Wrócimy przed popołudniową operacją, nie obawiaj się – zawołał jeszcze.

Gresseti uklonił się nisko, a następnie założył cylinder i przeszedł obok Elizy. Odsunęła się na bok, nie chcąc mieć nawet najmniejszego niepotrzebnego kontaktu z tym mężczyzną. Gresseti zatrzymał się, najwyraźniej świadom jej niechęci do przebywania w pobliżu niego.

– Widzę, że ciągle jest pani na mnie zła, doktor Hawksmith. Obawiam się, że płacę za swój bezpośredni

charakter. Nie chciałem nikogo obrazić. „To jedynie moje maniery, które mogą wydać się pani dziwne. Błagam panią, proszę nie pozwolić, by kiepski początek zepsuł nasze stosunki zawodowe.

Eliza udała wesołość.

– Signor, zapewniam pana, że nasze stosunki zawodowe nie ucierpią.

– Gresseti? Chodźmy, nie możemy kazać sir Edmudowi czekać – przywołał go z recepcji zajmowanej przez pana Thomasa doktor Gimmel.

Gresseti najwyraźniej pragnął powiedzieć coś jeszcze, ale zmienił zdanie i wyszedł za doktorem.

Eliza stwierdziła, że w jego obecności wstrzymywała oddech. Potrząsnęła głową. Co w tym mężczyźnie denerwowało ją tak bardzo? Czy to jedynie jego obce maniery? Przyszła jej do głowy pewna myśl. Otworzyła drzwi i prześlizgnęła się przez nie.

– Panie Thomas, czy signor Gresseti kiedykolwiek podpisywał księgę? – spytała.

– Cóż, tak, doktor Hawksmith, sądzę, że zrobił to pierwszego dnia pobytu. – Pan Thomas poślinił palec i przewertował strony leżące na jego biurku księgi. – Tak jak sądziłem. Tu mamy. – Odwrócił księgę i wskazał nazwisko Gressetiego napisane z eleganckimi zawijasami.

– Czy mogę ją na chwilę zabrać? – Eliza wyniosła księgę do drugiego pokoju, zanim pan Thomas zdążył zapytać, do czego jest jej potrzebna. Zamknęła za sobą drzwi

i usiadła przy biurku doktora Gimmela. Po chwili wahania, walcząc z zakłopotaniem wynikającym z tego, co planowała, zaczęła przeglądać zawartość szuflad. Kilka chwil później trzymała w dłoni list polecający z Instytutu w Mediolanie. Był napisany jakoby przez profesora Salvatoresa i przez niego podpisany, lecz pismo dokładnie odpowiadało temu w księdze. List musiał zatem napisać sam Gresseti. Jego referencje były fałszywe. Tego Eliza była pewna. Oczywiście, istniała znikoma możliwość, że profesor poprosił kogoś o napisanie listu, by oszczędzić sobie kłopotu, jednak w takim razie z pewnością zleciłby to swemu sekretarzowi. Eliza odchyliła się na szerokim skórzanym krześle. Zawsze żywiła podejrzenia co do Gressetiego, lecz próbowała je tłumaczyć, tłumacząc sobie, że jego referencje są nienaganne i że nie musi obawiać się niczego poza jego grubiaństwem. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Jeżeli jego list polecający został sfałszowany, nie mieli o nim żadnych informacji. Kto chciałby podrabiać list, by zdobyć dostęp do szpitala? Inny chirurg? Ktoś przysłany po to, by sprawdzić umiejętności doktora Gimmela? Kiedy w umyśle Elizy wprost roiło się od możliwości, jej wzrok padł na laskę w stojaku na parasole. Czarną laskę Gressetiego ze srebrną rączką. Przypomniała sobie dźwięk, który słyszała w alejce za własną kliniką. Dźwięk pochodzący od kogoś ukrytego w mroku. Dźwięk, który przestraszył ją w noc, gdy zamordowano Marthę. Eliza szybko podeszła do łaski i ją uniosła.

Była cięższa, niż się spodziewała. Drewno pod palcami

było ciepłe, srebrna rączka zaś chłodna. Potrząsnęła laską delikatnie i usłyszała słaby grzechot, a w dłoni poczuła niewielkie drzenie. Była pusta. Z całą pewnością w środku coś było. A tym samym rączka laski musiała być zdejmowana. Właśnie miała tego spróbować, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Gresseti. Na widok laski w jej dłoni zatrzymał się i zmarszczył brwi. Szybko przywołał na twarz spokój i uśmiechnął się grzecznie, lecz uśmiech ten nie objął jego oczu.

– Ach, doktor Hawksmith, wróciłem po laskę i widzę, że pani już ją znalazła. Widzi pani, jak zapominalski bywa mężczyzna, jeżeli nie ma żony, która mogłaby go dopilnować? – Wyciągnął dłoń i delikatnie wziął laskę od Elizy. – Dziękuję pani bardzo. Na razie... – dotknął runda cylindra i wyszedł.

Przez chwilę Eliza nie ruszyła się z miejsca, a jej serce głośnie łomotało w piersi.

Tej nocy do późna pracowała w szpitalu. Dzień ma określoną liczbę godzin, a coraz dłuższe wizyty u Abigail doprowadziły do nagromadzenia dokumentów na jej biurku i do przekazania pacjentów, którymi się zajmowała, innym lekarzom. Zanim wysiadła z omnibusu i ruszyła Whitechapel High Street, zaczął zapadać zmierzch wraz z duszącą mgłą. Lampy gazowe na szerszych ulicach dawały przynajmniej niewielkie kręgi światła, lecz alejki z tyłu i boczne uliczki były wypełnione szarym powietrzem i coraz ciemniejsze. Z powodu późnej pory zniknął zwykły tłum ludzi. Pogoda trzymała

w domach wszystkich tych, którzy nie musieli wychodzić.

Eliza mocniej ściągnęła szal na ramionach i przyspieszyła kroku. Na brzegu kapturka zbierała się mgła, która następnie spadała kroplami w dół. Gdy szła Marchmont Street, usłyszała za sobą kroki kogoś, kto starał się za nią nadążyć. Skreśliła przy sklepie bławatnym, teraz zamkniętym na głucho, gdyż jego zaprzyjaźniony właściciel zakończył pracę kilka godzin wcześniej. Kiedy odwróciła głowę i zerknęła w tył, dostrzegła postać, która poruszała się szybko, blisko ściany, zdecydowanym krokiem. Eliza oblizwała z ust wilgoć pozostawioną przez mgłę. Całą siłą woli powstrzymała się od biegu. Rozejrzała się w poszukiwaniu innych ludzi, kogokolwiek, ale brukowana uliczka była pusta. Gęstniała mgła, nieprzyjemna mieszanina brudnej wody, mokrego dymu i gryzących zapachów ulicy. Od domu, w którym wynajmowała mieszkanie, dzieliło ją zaledwie kilka minut, lecz wydawało się, jakby grunt wydłużał się pod jej stopami. Jej prześladowca był coraz bliżej. Nie odważyła się obejrzeć. Rzuciła się za róg i wpadła wprost na mocną pierś zwalistego pijaka.

– No! Dlaczego nie patrzysz, jak idziesz? – zapytał bełkotliwie.

– Przepraszam. Proszę pozwolić mi przejść – Eliza usiłowała ominąć mężczyznę, lecz on ją chwycił, zamykając brudne dłonie wokół jej ramion.

– Ha, a dzieci tak spieszo, mała damo? Wygląda, że wpadłaś mi w reńce, co? – Podszedł do niej i zaczął popychać ją w tył, pod przeciwległą ścianę.

– Puść mnie! – Eliza wyrwała ramiona z jego uścisku, jednak on już przyparł ją do surowego kamienia, a jego waga co najmniej dwukrotnie przekraczała ciężar jej ciała.

– A teraz co powiesz na całusa, co? – zbliżył twarz do jej twarzy.

Eliza odwróciła głowę i krzyknęła, lecz niełatwo było go zniechęcić. Poczowała dłoń wdzierającą się pod przednią część sukni. Kopnęła go w goleń, lecz był tak odurzony, że tylko się skrzywił.

– Lubisz ostrą zabawę, co? Dobra, jeśli tego chcesz, ty mała dziwko! – Napastnik szarpnął jej odzież, rozrywając kaftanik i odsłaniając gorset. Zanurzył twarz w jej biuście. Eliza ponownie otworzyła usta do krzyku, i w tej samej chwili coś oderwało od niej mężczyznę z zaskakującą prędkością. Ktoś mający niezwykłą siłę złapał go za kark i zwałił z nóg, rzucając na mokry bruk.

– Co do...? – Mężczyzna usiłował się podnieść, zaskoczony nagłą zamianą roli z atakującego na atakowanego.

Z mgły wynurzyła się wysoka postać w cylindrze i rozwianej pelerynie, Gresseti. Eliza naciągnęła odzież na odsłonięte piersi. Pijak wstał i rzucił się na Gressetiego, który odsunął się na bok, wobec czego rzezimieszek ponownie runął w rynsztok.

– Ty draniu! – krzyknął, rzucając się w odpadach i brudzie. – Zara cie dorwę! Ty do mnie z rencami?! – Już miał wstać ponownie, gdy jednym płynnym ruchem Gresseti obrócił rączkę laski i wysunął połyskującą klin-

gę. Jej sztych oparł mężczyźnie na gardle. Pijak zamarł.

– Wydaje mi się, signor – powiedział Gresseti powoli – że lepiej by było, gdybyś opuścił to miejsce teraz, gdy jeszcze jesteś w stanie to zrobić.

Zanim mężczyzna stanął prosto jak struna, upłynęła chwila absolutnej ciszy. Gresseti patrzył, jak odchodzi. Eliza przyglądała się Gressetiemu. Po krótkiej chwili wsunął ostrze do laski. Bez słowa. Srebrny uchwyt, który tworzył rękojeść broni, wrócił na miejsce po jednym obrocie i w całkowitej ciszy. Eliza odsunęła się od ściany. Gresseti odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej.

– Poszedł. Nie będzie pani więcej niepokoił – oznajmił.

– Pan... pan za mną szedł. – Elizie nie udało się ukryć drżenia głosu.

Gresseti nie odpowiedział, jedynie uniósł nieco brodę i zmrużył oczy.

– Pan za mną szedł – powtórzyła Eliza, tym razem pewniejszym głosem. – Dlaczego? Czego pan chce?

Gresseti zrobił krok w stronę Elizy. Instynktownie cofnęła się, lecz znów znalazła się pod murem.

– Proszę mi wybaczyć – poprosił głosem przypominającym mruczenie tygrysa – ale musi pani wiedzieć, że uważam panią za osobę... fascynującą, doktor Hawksmith. Przez ten krótki czas, jaki spędziłem w pani towarzystwie, obdarzyłem panią uczuciem, którego nie umiem dłużej ukrywać.

Eliza zebrała całą swą odwagę.

– Signor – wypluła to słowo w jego stronę – proszę się

nie łudzić. Nie odwzajemniam tego uczucia. Prawdę mówiąc, interesuje mnie pan jedynie jako asystentkę doktora Gimmela. Pańskie zaloty nie są mile widziane.

– Ach, Bess, i znowu cię obraziłem, choć nie miałem takiego zamiaru. Błagam cię...

– Co? – głos Elizy przeszedł w krzyk. – Jak mnie pan nazwał?

Gresseti się zmieszał. Wzruszył ramionami.

– Sądziłem, że Bess to czułe zdrobnienie imienia Elizabeth, czyż nie? A takie jest pani pełne imię, to wiem. Widziałem je na korespondencji w biurze doktora Gimmela...

Eliza nie czekała na ciąg dalszy. Przepchnęła się obok niego i umknęła w noc, skrywając się we mgle, zanim jeszcze Gresseti zdołał powiedzieć kolejne słowo.

5

W kolejny czwartkowy wieczór Eliza jadła kolację z Abigail i Simonem. W minionych dniach zauważyła wyraźne pogorszenie stanu pacjentki. Po posiłku wszyscy troje usiedli przy ogniu w saloniku. Eliza usadowiła Abigail wygodnie na sofie i dziewczyna szybko usnęła, oddychając płytko. Gdy spała, w jej twarzy było coś, co sprawiało, że wyglądała na znacznie bardziej chorą niż po przebudzeniu, kiedy była zdrowa. Eliza przez chwilę głaskała jej włosy. Musiała zachować optymizm ze względu na nich wszystkich, ale w głębi serca martwiła się, że Abigail nie jest dość silna, by przeżyć tak niebezpieczną i wyczerpującą operację.

– Chodź – poczuła na ramieniu dłoń Simona – usiądź ze mną. Wskazał niewielką sofę po drugiej stronie kominka. Obok niej stał wazon wypełniony pawimi piórami. Eliza dotknęła delikatnych krawędzi, tworząc falę przechodzącą przez opalizujące fiolety i zielenie.

– Takie piękne – wyszeptała.

– Niektórzy uważają, że przynoszą pecha. – Ale nie my.

– My?

– To jest moja... rodzina. – Poprawiła się, zaskoczona, że była już bardzo blisko wyznania, że takie pióra mają w domach niektóre czarownice.

– Niewiele o niej mówiłaś. – Wypowiadając te słowa,

Simon wygładził jej spódnicę na kolanie. Takie swobodne intymne gesty były czymś naturalnym za każdym razem, gdy zostawali sami.

- Nikt już nie żyje – stwierdziła po prostu.
- Jesteś równie samotna na świecie, jak ja.
- Ale ty masz Abigail.

Spojrzał na nią, a potem skinął głową. Eliza zaczęła się zastanawiać, czy pogodził się z faktem, że Abigail może umrzeć. Czy już uznał się za osobę samotną? Jakże pragnęła się do niego przytulić i przyrzec, że nigdy go nie opuści, że nie musi obawiać się samotności. Ale tego zrobić nie mogła. Jakże mogłaby pozwolić, by się nią zaopekował, wiedząc, że w każdej chwili może zostać zmuszona do ucieczki, opuszczenia jego życia na zawsze i bez wyjaśnienia. Jakże mogłaby narażać go na to wszystko teraz, gdy i tak musiał stawić czoła utracie kogoś, kogo kocha.

– Dlaczego taka smutna? – zapytał Simon, obejmując ją ramieniem i całując w policzek.

Eliza zamknęła oczy i rozkoszowała się upojną chwilą bliskości. Musi być silna. Nie może tracić głowy. Od tego zależało wyzdrowienie Abigail. A tym samym przyszłe szczęście Simona. A ona pragnęła, by był szczęśliwy, i to bardzo pragnęła. Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie smutna, tylko odrobinę zmęczona.
- Za dużo pracujesz, najdroższa.
- Bo i pracy jest dużo. W klinice ruch jak zwykle, a doktor Gimmel ostatnio bardziej na mnie polega.

– Ma szczęście, że jesteś pod ręką. Podobnie jak my. – Podniósł jej dłoń z kolan i przycisnął do ust. Eliza roześmiała się cicho i gwałtownie wstała.

– Panie Astredge, wydaje mi się, że mnie pan wykorzystuje – zaczęła się z nim drażnić.

– Nie idź. – Zerwał się z sofy.

– Dobrze – odparła, podchodząc zwawo do stolika karcianego – jeżeli obiecasz, że będziesz się właściwie zachowywać, zgodzę się na krótką partyjkę kanasty. Chyba czas, by ktoś nauczył cię grać.

– Och, doprawdy? Zatem do dzieła! – Simon usiadł przy stole i podniósł karty, próbując sprawnie je potasować. Udało mu się jedynie upuścić większość na podłogę. Eliza roześmiała się, patrząc jak zbiera karty i własną godność, i stwierdziła, że nigdy wcześniej nikogo nie kochała tak mocno.

Następnego ranka Eliza spóźniła się do szpitala. Przebiegając obok Thomasa, rozwiązywała wstążkę kapturka.

– Dzień dobry, panie Thomas. Czy doktor Gimmel już przyszedł?

– Tak, pani doktor, około pół godziny temu. Miałem właśnie zrobić herbatę. Przynieść jeszcze jedną filiżankę?

– Dziękuję, z przyjemnością się napiję.

Pan Thomas zniknął w niewielkiej kuchence za własnym biurem. W tym samym czasie Gresseti wszedł do pokoju z korytarza.

– Doktor Hawksmith, witam panią. Z przyjemnością znajduję panią w tak dobrym zdrowiu po tamtym niepo-

kojącym spotkaniu z pijakiem. – Nie okazywał jakichkolwiek oznak skrepowania, choć spotkali się po raz pierwszy od czasu zdarzenia w pobliżu jej mieszkania. Wydawało się, że chciał pamiętać jedynie, iż był jej wybawcą i nic poza tym.

– Dobrze się czuję, dziękuję – odparła Eliza z wahaniem. Nie mogła powiedzieć nic więcej, nie pytając przy tym o list polecający. Jeżeli istniało jakieś proste wyjaśnienie, pragnęła je usłyszeć. Musiała poznać prawdę o nim. Jakaś jej część była przerażona samą myślą o konfrontacji. W przeszłości jej taktyka w kontakcie z Gideonem polegała zawsze na znikaniu w chwili, gdy była pewna jego tożsamości, lecz jeszcze zanim on się zorientował, że ona wie. Tym razem jednakże sprawa była bardziej skomplikowana. Nie mogła opuścić Abigail, nie teraz. A jeśli miała być ze sobą szczerą, wiedziała także, że nie chce opuścić Simona.

– Signor Gresseti – zaczęła – zastanawiałam się, od jak dawna jest pan związany z Instytutem w Mediolanie?

– Od wielu lat. Dlaczego pani pyta?

Przerwało im wtargnięcie doktora Gimmela, który pośpiesznie wyszedł z własnego biura. – Ach, Elizo, jesteś. Dzięki Bogu.

– O co chodzi?

– Właśnie dostałem wiadomość od Simona Astredge. Abigail miała zapaść.

– Słucham?

– Jest nieprzytomna, a on nie jest w stanie jej obu-

dzić. – Doktor Gimmel już biegł dalej. – Doktor Hawksmith, musimy się pospieszyć – zawołał do niej po drodze.

Eliza pobiegła za nim. Gresseti będzie musiał poczekać. W oczekiwaniu na ich przybycie Simon przemierzał hol.

– Dzięki Bogu, że jesteś. – Chwycił Elizę za rękę i pociągnął ją w stronę schodów.

– Kiedy to się stało? – zapytała.

– Około godzinę temu. Pokojówka pomagała jej się ubrać. Najpierw myśleliśmy, że zemdlą, ale nie mogę jej ocucić. Jest w swoim łóżku. Chodźmy tędy.

Wszyscy troje szybko wspięli się szerokimi schodami i przeszli przed podest. Pokój Abigail znajdował się od frontu domu i wychodził na park. Dwa okna na całą wysokość ściany wpuszczały do środka miękkie poranne światło. Promienie słońca padały na mosiężne łóżko i pościel zdobioną pąkami róż. Abigail leżała oparta o puchowe poduszki. Oczy miała zamknięte, lecz powieki delikatnie się poruszały. Oddech był przerywany i nieregularny. Twarz była blada, z sinawym zabarwieniem wokół ust. Doktor Gimmel dopadł łóżka jako pierwszy. Uniósł powieki chorej i zbadał źrenice. Następnie przyłożył stetoskop do serca i płuc. Eliza stanęła po drugiej stronie łóżka. Położyła palce na pulsie na szyi Abigail i zmierzyła nieregularne uderzenia.

– Co to jest? – spytał Simon. – Co się stało? Wiem, że ostatnio była zmęczona, ale to... to takie nieoczekiwane. Nie rozumiem.

Doktor Gimmel i Eliza wymienili zatroskane spojrze-

nia. Doktor Gimmel wyprostował się i odszedł od łóżka Abigail.

– Stan pańskiej siostry, jak sam pan widzi, stał się bardziej poważny. Miałem nadzieję, że leki mogą powstrzymać postępy choroby, ale...

W tej samej chwili Abigail jęknęła. Poruszyła się i powoli otworzyła oczy. – Eliza? Czy to ty?

– Jestem tu, Abigail. Nie bój się.

– Och, jak się znalazłam na łóżku? Doktor Gimmel? Sprawiałam wszystkim tyle kłopotu. – Próbowwała usiąść.

– Moja droga, proszę leżeć spokojnie – uśmiechnął się do niej doktor. – Musi pani zachować siły. Proszę pozostać w łóżku. Nawet najmniejszego wysiłku, słyszy mnie pani? Panie Astredge, przyślę pielęgniarkę ze szpitala Fitzroy. Pańskiej siostrze nic wolno pozwolić wstawać i nie należy jej nadmiernie męczyć towarzystwem, czy to jasne?

– Doskonale.

– Doktor Hawksmith będzie czuwać, oczywiście. Zwiększymy dawki leków, ale w tej chwili najważniejszy jest wypoczynek. – Skinął na Simona i poprowadził go w róg pokoju. Eliza ujęła dłoń Abigail i ścisnęła ją. Pomimo ściszonych głosów, dokładnie słyszała rozmowę dwóch mężczyzn.

– Co trzeba zrobić? – zapytał Simon. Wyraz jego twarzy rozdarł Elizie serce.

Doktor Gimmel położył mu na ramieniu dłoń uspokajającym gestem.

– Obawiam się, że nie możemy dłużej zwlekać

z operacją – stwierdził.

– Ale jest taka słaba.

– W rzeczy samej, lecz nie mamy innego wyjścia. Pozwolimy jej odpocząć i za dzień lub dwa ocenimy jej kondycję. Miejmy nadzieję, że to zdarzenie przejdzie bez echa i że uda jej się zebrać dość sił, by stawić czoła zabiegowi.

Eliza poczuła, jak Abigail zaciska dłoń na jej rękę.

– Umieram, prawda, Elizo? Proszę, powiedz mi prawdę.

Jej rozpuszczone włosy rozkładały się na poduszce niczym wodorosty niesione delikatnymi pływami. Skóra była niepokojąco napięta, a oczy wydawały się zapadnięte. Eliza poczuła wściekłość na niesprawiedliwy charakter choroby. Stała, patrząc na swą drogą przyjaciółkę równie bezradnie, jak niegdyś stała przy łóżku brata. I ojca. I siostry. Jakże miała nie robić nic, gdy była zdolna ją uratować.

Usiadła na krawędzi łóżka i zmusiła się, by nadać głosowi radosne brzmienie.

– Abigail, jesteś moją pacjentką i nie zamierzam pozwolić ci umrzeć, słyszysz?

Abigail uśmiechnęła się.

– Zabraniasz mi, pani doktor?

– Absolutnie zabraniam.

– Zatem, oczywiście, nie mogę umrzeć. Gdybym pozwoliła sobie odejść, mając tak troskliwą opiekę, byłby to szczyt złych manier, zgodzisz się ze mną?

– Zgodzę. Teraz musisz odpocząć. Odwiedzę szpitalną aptekę i wrócę później. Przyślę ci pielęgniarkę.

– Łagodną poproszę.

– Surową zapowiedziała Eliza – żeby utrzymała cię w łóżku, panno Astredge. – Wstała i podciągnęła dziewczynie kołdrę. – Spij. To moje zalecenia.

– Dobrze, pani doktor. – Abigail zamknęła oczy, zaczynając już odpływać w sen. – Będę grzeczną pacjentką i zrobię, co każesz.

Tej nocy Eliza z ciężkim sercem wracała do mieszkania. Przygotowała dla Abigail miksturę, która winna dodać jej sił, i z radością stwierdziła, że podczas podwieczorku dziewczyna była odrobinę bardziej ożywiona, lecz nie dało się wykluczyć, że w jej obecnym stanie zabieg będzie miał katastrofalne skutki. Mgła, która w ciągu dnia nieco się podniosła, z zapadnięciem mroku zgęstniała ponownie. Właśnie sprzątano plac targowy, więc Eliza lawirowała pośród wyrzuconych gnijących warzyw i śmieci. Muzyka katarzyniarza płynęła w ciemności dziwnie zmieniona i stłumiona pogodą. Latarnik właśnie schodził z drabiny pod domem pani Garvey, gdy Eliza poczuła, że żołądek jej się wywraca. Zatrzymała się, nad słuchując uważniej. Początkowo myślała, że zmęczony umysł płata jej figla, lecz im dłużej słuchała, tym bardziej i straszliwiej rzeczywisty stawał się dźwięk dobiegający jej uszu. Melodię płynącą przez ciężkie powietrze trudno było pomylić. Eliza ruszyła w stronę jej źródła, wpadając nieostrożnie na innych ludzi i ignorując ich krzyki. Do ka-

taryniarza dotarła dokładnie w chwili, gdy melodia dobiegła końca.

– Kto poprosił o tę piosenkę? – zapytała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Słucham? – Na dźwięk tego pytania oczy brodatego mężczyzny rozszerzyły się w okolonej włosami twarzy.

– Graliście „Greensleeves”. Kto zapłacił za tę melodię? Gdzie jest człowiek, który o nią prosił? – Rozejrzała się po anonimowych kształtach, które wynurzały się z mgły i ponownie w niej znikwały.

– Mówi pani „Greensleeves”? – Katarzyniarz potrząsnął głową. – Nie mam nic takiego. Mogę zagrać dla pani pięknego walczyka.

– Ale ja ją słyszałam. Słyszałam melodię „Greensleeves” – upierała się Eliza.

– Ale nie ode mnie, moja droga. – Wzruszył ramionami i ponownie zaczął obracać korbką. Zgrzytliwe dźwięki marsza wojskowego wdarły się w uszy Elizy. – Proszę, to coś, co poprawi krążenie i przegoni tę wilgoć, co?

Eliza popatrzyła na niego, potrząsając głową. Zawróciła i nieustannie oglądała, oglądała, oglądała niezgłębione twarze wokół siebie. W końcu nerwy ją zawiodły i pobiegła do drzwi, zatrzaskując je za sobą. Zignorowała pytania pani Garvey dotyczące jej samopoczucia, pobiegła na górę i rzuciła się na łóżko, przyciskając dłonie do uszu i kuląc się jak dziecko. Zastanawiała się, czy ten koszmar się kiedyś skończy.

6

Eliza siedziała przy biurku w gabinecie doktora Gim-mela, pochylona nad raportami poświęconymi morder-stwom w Whitechapel. Szczegółowa lektura była prze-rażająca. Zabójca nie zadowalał się pozbawianiem swych nieszczęsnych ofiar życia, lecz również straszliwie je okaleczał. Martha miała dziesiątki ran kłutych i ciętych. Mary Ann Nicholls została częściowo wypatroszona. Biednej Annie Chapman niemal odcięto głowę. Z całą pewnością te morderstwa były dziełem okrutnego i obłą-kanego umysłu, choć nie brakowało mu także umiejęt-ności. Nie były to nieskładne pchnięcia oszalałego noża, tylko cięcia wykonane z celową precyzją. Niemal uwagą. Eliza pomyślała o szpadzie Gressetiego. Z całą pewnością taka broń mogłaby zostawić niektóre z szerszych ran, jednak nie pozwoliłaby na staranne usunięcie określonych orga-nów. W tym celu byłoby potrzebne znacznie bardziej do-kładne narzędzie. I pewna znajomość anatomii. Wysnu-wano teorie, że Rozpruwacz może być rzeźnikiem. Lub chirurgiem. Eliza nie miała wątpliwości, że człowiek od-powiedzialny za te straszliwe przestępstwa musi posiadać pewne umiejętności i praktykę medyczną. Na tę myśl zrobiło jej się słabo. Co doprowadziło kogokolwiek do stosowania wiedzy przeznaczonej do leczenia w tak bar-barzyńskim i okrutnym celu? Jakiż obłąkany umysł był zdolny wymyślić tak bezwzględne i brutalne morderstwa

bezbronnych kobiet?

Eliza знаła taki właśnie umysł. Czy też taką osobę. Człowieka, który nie zawaha się przed niczym, byle tylko osiągnąć cel. Czyli ją. Nie po prostu ją zabić, odwet go nie interesował. On pragnął, by należała do niego. Pragnął jej duszy. Czy to możliwe, że Gresseti to Gideon? Czy możliwe, iż kobiety te umierały dlatego, że to ją prześladował? Jeżeli nie ucieknie, ile jeszcze kobiet zostanie zamordowanych? Ale jeśli wyjedzie, kto ocali Abigail? Eliza pozwoliła gazecie upaść na podłogę i potarła skronie. Musiała znaleźć sposób, by pozbyć się Gressetiego, ale kto jej pomoże? Doktor Gimmel ciągle wierzył, przysłał go profesor Salvatores. Być może, gdyby potrafiła wykazać, że jego referencje są fałszywe, zostałyby odesłany. Wyjęła z szuflady arkusz papieru i ujęła w dłoń pióro. Zanurzyła je w kałamarzu. Sama napisze do Instytutu z prośbą o potwierdzenie pewnych informacji dotyczących Gressetiego. Gdy tylko otrzyma odpowiedź potwierdzającą, że nie znają tego człowieka, ostrzeże doktora Gimmela. Choć mogło być i tak, że jej głęboko zakorzeniona obawa i nieufność wobec obcych uniemożliwiała jej sprawiedliwy osąd. Gresseti może nie być Gideonem. Ale nawet jeżeli nie był i tak mu nie ufała. Im szybciej się go odeśle, tym lepiej. Jeżeli morderstwa ustaną, będzie miała odpowiedź. Dopóki pozostanie nieświadomy, jak blisko jest ujawnienia braku jego referencji, z całą pewnością nie doprowadzi do konfrontacji z nią.

Zaczęła pisać, odpychając od siebie poczucie paniki, że

sam Gresseti może się zjawić w dowolnej chwili i odkryć, czym się zajmuje. Zbeształa samą siebie, że nie pomyślała wcześniej o skontaktowaniu się z Instytutem. Pióro skrobało po welinowym papierze. Ze względów formalnych napisała jego nazwisko w całości – signor Damon Gresseti. Wzięła kolejną kartkę i napisała litery jego imienia i nazwiska w nierównym okręgu, pomijając tytuł. Potem jąła przestawiać litery, wykreślając je kolejno do chwili, aż zużyła wszystkie do utworzenia innego nazwiska. Idealnego anagramu. Dokładnie taka gra, jaką byłby zachwycony. Upuściła pióro, jakby sparzyło jej palce, i z przerażeniem patrzyła na wyrazy zapisane na kartce: Gideon Masters.

Pod numer 4 przy York Terrace Eliza dotarła niecałe pół godziny po dokonaniu tego odkrycia. Miała teraz pewność, że Gresseti faktycznie był Gideonem i że to on odpowiadał za morderstwa w Whitechapel. Na myśl, że za te zbrodnie w pewnym sensie odpowiadała ona, poczuła się boleśnie winna i zrozpaczona. Gdyby nie zamieszkała w Whitechapel, gdyby nie otworzyła tam swojej kliniki, wówczas Gresseti... Gideon nigdy by tego miejsca nie poznał. A Martha, Mary Anne i Annie nadal by żyły. Kiedy dotarła do sypialni Abigail, nie była w stanie ukryć swego cierpienia. Simon wstał ze swego miejsca przy łóżku, zaniepokojony strapionym wyglądem Elizy.

– Najdroższa, cóż takiego mogło się stać? Chodź, usiądź przy kominku. Opowiedz, co wprawilo cię w taki stan. – Ujął jej dłonie i poprowadził do niewielkiej sofy

w przeciwnym końcu pokoju.

– Muszę się zająć Abigail – zaprotestowała Eliza.

– Moja siostra śpi sobie spokojnie. Poczekaj jeszcze chwilę. Teraz to ty potrzebujesz opieki. – Zdjął jej z głowy kapturek i czule pogłaskał po policzku. – Nic powiesz mi, co się stało?

Eliza zamknęła oczy, pragnąc powstrzymać napływające łzy. Łzy! Pierwsze od tak wielu lat. Pierwsze od czasu, gdy stała z matką w celi więzienia w Batchcombe. Obiecała jej wówczas, że nie będzie więcej płakać. Ale teraz, w obecności współczującego i troskliwego Simona, gotowego tak chętnie wziąć na siebie jej kłopoty, poczuła się mniej odporna niż przez te wszystkie dziesięciolecia, kiedy mieszkała całkiem sama.

– Nie mogę ci powiedzieć – stwierdziła. – Chciałabym z całego serca, ale... – Potrząsnęła głową.

– Czy mogę ci pomóc w jakikolwiek sposób? – Nie.

– Ale może, kiedy podzielisz się z kimś, to znaczy ze mną, swoimi obawami, będzie to pewna pociecha. Nie pozwolę, żebyś cierpiała samotnie. Ośmieliłem się uwierzyć, że jesteśmy przyjaciółmi. Bliskimi przyjaciółmi. Przyjaciółmi, którzy powinni ufać sobie nawzajem. I się wspierać.

– Mogę ci tylko powiedzieć, że jest ktoś, kogo się boję. Ktoś, kto nie jest tym, za kogo się podaje. I wierzę, że jest zdolny do straszliwych czynów.

– Kto?

Eliza potrząsnęła głową.

– Najdroższa, musisz mi powiedzieć. Nie jestem w stanie znieść myśli, że się boisz. Jakże mogę cię chronić, skoro nie wiem, skąd pochodzi niebezpieczeństwo?

Eliza wzięła głęboki oddech.

– Obiecuj mi, że jeśli powiem ci, kto to jest, nie będziesz działał pochopnie. On się nie może dowiedzieć, że odkryłam podstęp. Dasz słowo, że nie stawisz mu czoła?

– Cóż, choć niechętnie, ale tak. Masz moje słowo.

– To signor Gresseti.

Twarz Simona pociemniała. Niewielki mięsień w kątku jego lewego oka zaczął drgać.

– Ten Włoch ze szpitala Fitzroy? Ale doktor Gimmel tak dobrze o nim mówi. Jesteś pewna?

– Tak. Nie mam żadnych wątpliwości. Ten człowiek jest hochsztaplerem i jest niebezpieczny. Nie prosz, bym wyjaśniła więcej, proszę.

– Czy mówiłaś doktorowi Gimmelowi o swoich obawach?

– Nie mogę, zanim nie zyskam dowodów. Napisałam do Instytutu w Mediolanie. Czekam na odpowiedź. W tym czasie... – przerwała, gdyż głos jej się załamał.

Simon puścił jej dłoń i wstał.

– Tymczasem musisz zamieszkać tu z nami. Nie, nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów. Jakim przyjacielem byłbym, gdybym pozwolił ci codziennie przemierzać Londyn samotnie, choć boisz się tego mężczyzny? Niezależnie od tego, co zrobił, niezależnie od jego zamiarów, tu nie będzie cię nękał. Tego jestem pewien.

– Ale moja klinika...

– Poradzi sobie bez ciebie przez ten krótki czas, zanim ta kreatura zostanie zdemaskowana i odesłana. Gdy tylko zdobędziesz potrzebny dowód i powiadomisz doktora Gimmela, mnie samemu sprawi wielką przyjemność w razie potrzeby kopanie tego łajdaka przez całą drogę powrotną nad Morze Śródziemne. – Wyciągnął dłoń. – Nic już nie mów, Elizo. W tej sprawie pozostanę nieugięty. Jeszcze dziś poślę powóz do twojej kwatery po wszystkie potrzebne ci rzeczy.

Eliza poczuła taką ulgę płynącą z życia pod ochroną mężczyzny, że zaczęło jej się wydawać, iż znów się rozpłacze. Napotkała stanowcze spojrzenie Simona.

– Dobrze więc – odparła cicho. – Przyjmuję twą uprzejmą ofertę. Tylko poślij powóz późno wieczorem. Raz jeszcze muszę otworzyć drzwi kliniki, by powiadomić pacjentki, że przez parę dni mnie nie będzie. Nie byłoby w porządku, gdybym tak po prostu zniknęła.

– Ale przyjedziesz? Zaraz jak tylko zamkniesz klinikę?

– Tak. – Wstała i weszła w otwarte ramiona, składając głowę na jego piersi, podczas gdy on delikatnie gładził jej plecy. – Tak.

Po spotkaniu z Simonem Eliza zamierzała wrócić prosto do domu, lecz uprzytomniła sobie, że potrzebuje pewnych leków z apteki. Jeżeli klinika miała pozostać zamknięta przez jakiś czas, musiała zapewnić swym pacjentkom odpowiednie ilości lekarstw, które wystarczą do jej powrotu. Przeszukiwała półki, wybierając buteleczki

i słoiczki do chwili, gdy jej torba zrobiła się niemal zbyt pełna, by dała się zamknąć. Gdy gromadziła bandaże i opatrunki, stanął za nią Roland.

– Doktor Hawksmith, jaka niespodzianka. – Jego uśmiech był przyjemny, lecz w głosie Eliza usłyszała strofującą nutę.

Rolandzie. Mam świadomość, że w ostatnim czasie nie spędzałam z pacjentami w szpitalu tak wiele czasu, jak powinnam. Mam obowiązki gdzie indziej.

– Rozumiem zatem. – Nie ciągnął tematu i podał jej paczkę gazy. – Zapasy dla pani kliniki? Obecnie to musi być przerażające miejsce do pracy. Rozumiem, że niektóre z ofiar były pani pacjentkami.

Miarą powszechnego przerażenia czynami Rozpruwacza był fakt, że Roland nie musiał wyjaśniać, czyje ofiary miał na myśli. O morderstwach mówił cały Londyn. A prawdę mówiąc, cały świat.

– Tak. – Eliza zamknęła torbę. Z całą pewnością dwie z nich. Nie mam pewności co do trzeciej.

– Trzeciej? Zatem pani nie słyszała?

– Czego?

– Były kolejne zabójstwa. – Jeszcze więcej?

– Cóż, tak, ubiegłej nocy. – Widząc, jak bardzo jest zaskoczona, Roland pospiesznie wyjaśnił: – Przepraszam, doktor Hawksmith, myślałem, że pani wie. Było o tym w porannych gazetach. Tym razem dwie kobiety. Tak, dwie jednej nocy. Obie straszliwie pocięte... najgorzej. – Roland mówił dalej w przestrzeń, gdyż Eliza chwyciła

torbę i wybiegła z pokoju.

Droga do domu dała jej czas na obmyślenie planu, więc gdy przybyła na Hebden Street, dokładnie wiedziała, co robić. Gideona trzeba było powstrzymać. I to ona musiała tego dokonać. Nie było czasu, by czekać na listy z Mediolanu. Nie było czasu na półśrodki. Sama stawia mu czoła. Zrobi wszystko, by pozbawić świat tego złooczyńcy. Nie będą przez niego umierać kolejne kobiety. Przez nią. Nigdy więcej.

W klinice nie było wielkiego ruchu. Mgła przeszła w nieprzerwany deszcz. Brzydka pogoda i strach opróżniły ulice, zatrzymując w domach wszystkich, którzy nie musieli wychodzić. Nawet te kobiety, których źródłem utrzymania były spacerunki po głównych i bocznych ulicach, w większości uznały, że ryzyko jest zbyt duże. Wszystkie dziewczyny znały się nawzajem. Niektóre straciły bliskie przyjaciółki. Charakter morderstw był dobrze znany, przerażenie zaś zbyt wielkie, by można stawiać mu czoła. Eliza poczekała, aż w niewielkim pomieszczeniu zostanie ostatnia pacjentka. Boleśnie młoda dziewczyna z rozdzierającym kaszlem. Gdy zamierzała wyjść, Eliza dotknęła jej rękawa.

– Poczekaj – poprosiła – jeszcze chwilę. Dziewczyna przyjrzała jej się umalowanymi oczami.

– Connie, prawda?

– Tak, pani doktor. – Głos dziewczyny brzmiał chrypliwie.

– Chciałabym cię prosić o przysługę. Wiem, że to

może się wydać dziwne, ale cóż, mam nadzieję, że po prostu przyjmiesz, iż mam powody, by o to prosić. Pomóżesz mi?

– Tak, pewnie, że tak. Nie wydaje mi się, żebym mogła wiele zrobić, ale niech pani mówi, czego chce, pani doktor.

– Popatrz – poleciła Eliza – popatrz na to. – Z narożnego stolika wzięła piękną zieloną suknię z ładnej bawełny, ozdobioną koronką przy kołnierzyku i mankietach. – Wydaje mi się, to twój rozmiar. Kolor będzie do ciebie pasował. Czy wymienisz swoją odzież na tę sukienkę?

– Co, te stare szmaty? Po co one pani?

– Nad tym się nie zastanawiaj. Tylko powiedz, czy tak. Connie wyciągnęła rękę i dotknęła nowej tkaniny, a gdy jej palce przesunęły się po haftowanej wstawce w talii, jej twarz się rozjaśniła.

– A co mi tam – powiedziała. – Niech mnie skręci, jeśli wiem, na co one pani, ale tak, zrobię to.

– I jeszcze jedno – Eliza cofnęła suknię z zasięgu rąk dziewczyny. – Dziś w nocy musisz iść prosto do domu. Rozumiesz? Żadnej pracy. Prosto do domu. Obiecujesz?

– W porządku – Connie wzruszyła ramionami i skinęła głową. – Obiecuję.

W ciągu godziny, ubrana w wytarte, jaskrawe ciuchy Connie, z włosami upiętymi pod ozdobionym kwiatami kapeluszem, Eliza przechadzała się po najciemniejszych ulicach Whitechapel, a deszcz szybko przesiąkał przez jej szal. Szła powoli. Czekala i słuchała, pewna, że ją znajdzie. Nie trwało to długo.

Kiedy skręciła w wąski, ślepy zaułek, wyraźnie usłyszała za sobą kroki. Minęła kota, który skulił się na jej widok. Gdy śledzący ją mężczyzna podszedł bliżej, kot zamiauczał. Eliza dotarła do końca ulicy i zawróciła z pochyloną głową. Twarz miała ukrytą w ciemności pod rondem kapelusza. Wysoka postać zatrzymała się zaledwie kilka kroków od niej. Deszcz był ciepły, ale nieprzerwany, tworząc na bruku kałuże. Wydawał denerwujący, bezustanny dźwięk, niczym syczenie setki głodnych węży. W oddali rozległ się odgłos kopyt, gdy po bruku przejechała dwukółka. W nocnym powietrzu płynęła muzyka fortepianu i pijackie śpiewy. Nie podnosząc głowy, Eliza widziała jedynie stopy swego prześladowcy, jego wyglansowane buty, porządny materiał spodni, brzeg peleryny z jedwabną podszewką. A także czarną laskę, której srebrna rączka odbijała się w kałuży w nikłym świetle pobliskiej latami gazowej.

Głosu Gressetiego nie można było pomylić.

– Dobry wieczór, signorina. Czy ma pani dziś w nocy czas, by sprawić mężczyźnie radość?

Eliza zamknęła oczy. Nadszedł odpowiedni moment. Wydawało się słuszne, by właśnie tej nocy wreszcie stawiła czoła Gideonowi. Noc Walpurgi. Samhain. Halloween. Podczas ciemnych godzin w wigilię Dnia Wszystkich Świętych ziemię przemierzały niespokojne duchy. Świat podziemny znajdował się w zasięgu ręki. Wrota do niego stały otworem, a jego mieszkańcy byli ponownie wciągani do świata rzeczywistego. Była to doskonała

chwila, by połączyć się z tymi, którzy mogli jej pomóc. Z siostrami czarownicami. Teraz uwolni swą długo skrywaną moc. Skierowała się do miejsca w głębi własnego umysłu, którego nie pozwalała sobie odwiedzać od wieków. Miejsca ukrytej siły. Miejsca cudów. Miejsca magii. W jej ustach zaczęły wzbierać dawno zapomniane słowa, wypełniać je, napierać na zęby, pragnąc wydostać się na zewnątrz. Zebrała siłę, której obecności we własnym ciele była pewna, choć nie używała jej od tak wielu lat. Za zamkniętymi powiekami chaotycznie igrały wielobarwne tęcze. W uszach słyszała szmer tysiąca szepczących głosów, popędzających ją, powtarzających jej własne ciche inkantacje. W jej ciele wezbrała moc, przyływ woli, dziki żar, wspaniała, elektryzująca, wrząca energia. Gdy poczuła, że jej ciało się zmienia, powoli otworzyła oczy i podniosła twarz. Twarz, która teraz odzwierciedlała zanikający charakter magii.

Rozpoznawszy Elizę, Gresseti westchnął głęboko i rozdziawił usta, zaskoczony widokiem blasku jej twarzy. Potem się uśmiechnął tym śliskim, jaszczurczym grymasem, który przewinał się po jego twarzy niczym wąż, szykujący się do ataku.

– Cóż, Bess – stwierdził – spójrz tylko. Zawsze mówiłem, że kiedyś będziesz wspaniała.

Gdy wymawiał te słowa, rysy jego twarzy zaczęły się rozmazywać. Na oczach Elizy mężczyzna, który był Gressetim, zaczął się skręcać i pulsować, zmieniając się w półświatło i deszcz, zanim ponownie przybrał cielesną

postać. Teraz stał przed nią Gideon. Był ubrany w tę samą ponurą czarną odzież i kapelusz, które zapamiętała. Twarz miał równie mocną i uwodzicielsko przystojną, jak zawsze, a uśmiech na niej był niebezpiecznie serdeczny. Miał szerokie barki, całe ciało zaś było gibkie i młodzieńcze. Kiedy zrobił krok w jej stronę, wyczuła jego pożądanie.

– Bess, tak długo czekałem, by ponownie stanąć z tobą twarzą w twarz. Dawno temu widziałem bijące od ciebie światło, a wówczas byłaś jeszcze prawie dzieckiem. Byłaś ogniem Bela, czekającym, by ktoś cię zapalił. Ja byłem jedynie iskrą, która w tobie zmieniła się w płomień. Płomień, który zasila teraz twoją moc. Twoją moc i twoje pożądanie. Ciągle je czujesz, prawda, Bess? Mnie nie okłamiesz. Znam twoje serce. Kiedyś bardzo mnie lubiłaś, pamiętasz? Pamiętasz, jak twoje ciało płonęło z pożądania, noc po nocy, hmmmm? Powiedziałem ci wówczas, że czas nadejdzie. I nadszedł teraz. Wiem, że mnie pragniesz. Zawsze mieliśmy być razem, ty i ja.

– Tak – odparła Eliza spokojnie. – Czas nadszedł. Czas, by to wszystko skończyć. Koniec pościgu. Koniec strachu. Koniec zabijania. – Uniosła ramiona, wyciągając je w górę i na boki w błagalnym geście, ściągając na ziemię moc tych, które wezwała na pomoc. Te, które przywołała. – Czas, by położyć kres tobie, Gideonie! – Gdy wypowiedziała jego imię, z rozmachem opuściła ramiona, kierując je w jego stronę z trzaskiem błyskawicy. Zachwiał się, a ona wykrzyknęła słowa zaklęcia, słowa, których nauczyła się na pamięć i które ćwiczyła tysiąc

razy, przygotowując się na tę właśnie chwilę. Chwilę, kiedy uda jej się pokonać Gideona lub umrzeć, próbując tego dokonać. Tak czy inaczej, jej dusza wreszcie uwolni się od niego.

Gideon uderzył w ziemię ze straszliwą siłą, lecz mimo to po chwili zerwał się na nogi. Wydawał się rosnąć na oczach Elizy, aż wreszcie znalazł się nad nią, a jego własna złowroga moc wydostawała się z niego gryzącymi falami. Zaczął się kręcić z taką prędkością, że Eliza poczuła się wciągana w wir jego pulsującej czerni. Krzyczała, resztkami sił wypowiadając ostatnie słowa zaklęcia, zanim dopadły ją zawroty głowy.

Nagle zapadła cisza. Eliza stwierdziła, że leży na mokrym bruku. Łapała oddech, pozbywając się z płuc toksycznych oparów, które je wypełniły. Rozglądała się gorączkowo, ale była sama. Całkiem sama. Po Gideonie nie pozostał nawet ślad. Jeszcze na poły ogłuszona, podniosła się i niepewnie mszyła ulicą, mocno opierając się o kamienne ściany budynków, gdyż nie ufała własnym nogom. Nadśluchiwała ostrzegawczego dźwięku. Wyciągała szyję, pomimo mroku rozglądając się na wszystkie strony. Wąchała powietrze. Nic. Nie pozostał po nim żaden ślad. Czy zaklęcie podziałało? Czy może być prawdą, że pozbyła się złoczyńcy, uwolniła się od niego raz na zawsze? Nie wyobrażała sobie, że to będzie tak proste, że nie będzie z nią walczył, przeciwstawiając jej każdemu ciosowi swój, mocniejszy. Szukała dalej, lecz jego nie było. Zniknął. Czy udało jej się go zniszczyć, czy też jedynie się ukrył? Jesz-

cze przez chwilę stała w alei, rozglądała się i czekała, pragnąc dowodu. Ale nie zdołała go znaleźć. Dopiero czas pokaże, czy naprawdę się od niego uwolniła, czy też jedynie grał na zwłokę. Eliza zdjęła z głowy przemoczony kapelusz i wierzchem dłoni otarła mokrą od potu brew, a potem chwiejnie poszła w stronę swego mieszkania, by oczekiwać powozu Simona.

7

Dni, które nastąpiły bezpośrednio po spotkaniu z Gideonem, Eliza spędziła w stanie oszołomienia. Jakaś jej część nieustannie trwała w oczekiwaniu na jego ewentualne pojawienie się, na ostateczną rozgrywkę. Nie była w stanie uwierzyć, by pokonanie go mogło być tak proste, i bała się odprężyć, mając świadomość, że jej wróg być może zbiera siły i zaatakuje z zaskoczenia. Pomimo tego ciągłego strachu był to jednak cudowny czas. Eliza wykorzystwała i uwolniła całą siłę własnej magicznej mocy, i teraz przebywała na płaszczyźnie zupełnie różnej od tej, którą zamieszkiwała uprzednio. Jej zmysły wyostrzyły się do niezwykłego stopnia. W każdym momencie atakowały ją zapachy, dźwięki, widoki i smaki. Stwierdziła, że nie jest w stanie przebywać w pobliżu świeżo rozpalonego ognia, gdyż opary węgla przyprawiały ją o mdłości. Potrafiła wyczuć dobiegający z kuchni aromat pieczonego ciasta, choć była na górze w pokoju Abigail. Potrafiła wyraźnie rozróżnić słowa rozmów prowadzonych szeptem na ulicy pod oknem salonu. Stojąc u stóp klatki schodowej, obserwowała pająka, który plótł sieć pod dachem, a jednocześnie słyszała dźwięk wydawany przez jego pracowite odnóża. Popisowa zupa kucharki była nieznośnie słona. Słodycz jabłka okazała się niezrównaną rozkoszą. A w dodatku Eliza stała się bardziej świadoma własnego ciała niż kiedykolwiek wcześniej. Co prawda

była czarownicą, teraz już w pełni i niezaprzeczalnie, lecz przede wszystkim była kobietą. Wydawało się, że jej pożądanie stłamszone na tak wiele długich, suchych lat dawno temu, wraz z magią, teraz wprost w niej płonęło. Obecność Simona stała się wyszukaną torturą. Gdy był blisko, oddech jej przyspieszał, dotyk jego dłoni przyprawiał ją o lubieżny dreszcz. Nie odważyła się pozwolić mu, by ją pocałował, ze strachu, że całkowicie straci panowanie nad sobą. Jej przemiana nie przeszła bez echa. Abigail odrobinę odzyskała siły i siedziała na łóżku, a Eliza jej czytała.

– Elizo, najdroższa, zwolnij, proszę.

– Słucham?

– Czytasz tak szybko, że nie rozumiem, co się dzieje – Abigail roześmiała się miękko. – Jestem pewna, że *Dr. Jekyll* nie został przeznaczony do czytania w takim tempie.

– Och, nie zdawałam sobie sprawy... – Zamknęła książkę i położyła ją na kolanach. – Jak się czujesz? Wyglądasz na znacznie silniejszą.

– Bo rzeczywiście tak jest. Już niedługo powinnam być gotowa, byście wraz z doktorem Gimmelem pokazali, co potraficie. – Uniosła się na poduszkach. – Będiesz tak dobra i podasz mi szal? Tak, ten niebieski, dziękuję.

Eliza ułożyła miękki, wełniany szal na ramionach Abigail i spróbowała skupić się na wizji operowania przyjaciółki. Miała rację: operacja odbędzie się niedługo. Eliza nadal czuła, że taki zabieg może okazać się śmiertelny,

jednak starała się nie zarazić własnymi obawami Abigail, która najwyraźniej tak bardzo usiłowała wykazać się odwagą. Drzwi się otwarły i stanął w nich Simon z wazonem kwiatów w takiej ilości, że niemal nie było go zza nich widać.

– To dla was obu, moje panie, żeby wnieść do tego pokoju odrobinę radości.

– Och, Simonie. – Abigail klasnęła w dłonie. – Są cudne.

– I jak ich dużo! – stwierdziła Eliza. – Czy wykupiłeś cały stragan?

– Wydaje mi się, że zostawiłem jakiś kwiat do butonierki na wypadek, gdyby ktoś go potrzebował. Co powiecie na to miejsce na stole? Abigail, widzisz je stąd?

– Jestem przekonana, że widziałabym je ze szczytu Primrose Hill. Rozpieszczasz mnie, braciszku.

Podszedł do łóżka i ujął jej dłoń.

– A dlaczegóżby nie? Jestem taki szczęśliwy, że wracasz do zdrowia. Wydaje mi się, że na policzki wróciła ci nawet odrobina koloru.

– Jeżeli coś widzisz, to róż – wyjaśniła Abigail. – A teraz może byście oboje wyszli z tego więzienia i pospacerowali po wewnętrznym kręgu? Mam tu cały park kwiatów. Nie ma powodu, żeby ktokolwiek miał przy mnie siedzieć. Obiecuję, że do waszego powrotu nie zrobię nic, co wymagałoby opieki medycznej lub braterskiej.

– Jesteś pewna? – Simon bez powodzenia próbował udawać wahanie, lecz gdy wypowiadał te słowa, patrzył na

Elizę.

Eliza wiedziała, że wygląda promiennie. W ciągu ostatnich kilku dni skomentował to już kilka razy. Wiedziała też, że on jest świadom jej pożądanego. Usilnie próbowała je ukryć, lecz był to próżny trud.

– Och, nie mam odpowiedniego kapelusza na spacer – odparła, słabo szukając wymówki. Była rozdarta pomiędzy pragnieniem przebywania z nim a strachem przed siłą własnych uczuć w tym zmienionym stanie. Potrzebowała więcej czasu, by przyzwycząć się do siebie w takiej postaci. – Swój zostawiłam w mieszkaniu.

– Bzdura – powiedziała Abigail – zupełnie jakbym ja nie mogła ci pożyczyć kapelusza. Idź do mojej garderoby, wybierz jakiś i się pospiesz. W grudniu słońce wcześniej zachodzi. Musicie je wykorzystać.

Eliza posłuchała. Do garderoby Abigail wchodziło się przez przyległe drzwi. Pod ścianami stały komody i szafy pełne sukien, krynolin i koszul nocnych, a także płaszczy, peleryn i szali. Jedną z szaf w całości wypełniały pudła na kapelusze. Eliza podnosiła kolejne wieczka, aż wreszcie znalazła dwa znośne nakrycia głowy. Przeniosła je na stojącą przy oknie toaletkę, by je przymierzyć. Pierwszy z nich był zdecydowanie zbyt pretensjonalny, z siatkową woalką. Poczowała się w nim tak głupio, że aż zachichotała na własny widok. Zdjęła go więc, odłożyła i już miała przymierzyć kolejny, gdy na blacie dostrzegła śliczne srebrne pudełko. Było mniejsze niż pudło na kapelusze, lecz kształtem nie przypominało kasetki na bizu-

terię. Zdobiał je skręcony wzór dzikiej róży, której liście i pąki podkreślała zielona i różowa emalia. Eliza nie potrafiła się oprzeć i wzięła je do ręki. Uniosła cacko do światła, by lepiej przyjrzeć się cudownym ozdobom i kunsztownej robocie. W zamku tkwił cienki kluczyk. Przekreśliła go i wieko się otwarło. Kiedy muzyka zaczęła grać, wewnątrz, na szklanej scenie, zawirowała maleńka figurka w szmaragdowej sukni. Eliza nie była w stanie się ruszyć. Pragnęła rzucić pudełkiem przez cały pokój i wybiec z domu, ale jej dłonie jakby przyrosły do srebra. Tancerka wirowała, a na jej lisiej twarzy widniał przebiegły uśmiech. Eliza pragnęła krzyknąć, wołać, wyrzucić kłopotliwy przedmiot przez okno, lecz siedziała, jakby zahipnotyzowana mchem i melodią, a niezapomniane nuty ballady „Greensleeves” rozbrzmiewały bez końca.

Następnego ranka Eliza wcześnie wyszła z domu i w szpitalu znalazła się jeszcze zanim pan Thomas zdążył zająć swe miejsce za biurkiem. Usiadła w gabinecie doktora Gimmela, bezmyślnie wyglądając przez okno. Po znalezieniu pozytywki niczego nie była pewna. Wszystko, w co wierzyła, wydawało się zbudowane na ruchomych piaskach. Zamknęła oczy i usiłowała uspokoić rozbiegany umysł. Dziś miała operować Abigail. Nic nie może jej rozpraszać.

Drzwi się otwarły i wszedł przez nie doktor Gimmel z gazetą w dłoni.

– Słyszałaś? – zapytał, wściekle dźgając gazetę palcem.
– Czytałaś wiadomości? Kolejne morderstwo. Kolejne

brutalne zabójstwo bezbronnej kobiety. I to w jej własnym pokoju.

– Kolejne? – Eliza wstała z drzeniem. – To nie Rozpruwacz. To nie może być prawda.

– Zobacz sama. – Podsunął jej gazetę pod nos. – Elizo, zaledwie parę kroków od twojego domu. Mówię ci, to miejsce to prawdziwa otchłań piekielna. Dlaczego upierasz się, by tam mieszkać...

Eliza nie słuchała. Jej wzrok przykuło nazwisko ofiary. Mary Jane Kelly. Wizja, której doznała kilka tygodni wcześniej, wizja ciała dziewczyny rozplatanego i zmienionego w krwawą miazgę, sprawdziła się co do joty. Przejrzała artykuł, analizując szczegóły, szukając jakiegoś znaku, jakiegoś dowodu, że to nie dzieło tego samego mężczyzny. Jak to możliwe? Szukała godziny, o której znaleziono ciało. Była późniejsza, niż ta, o której spotkała Gressetiego, lecz dotychczas policja nie ustaliła, kiedy dokładnie kobieta zmarła. Czy udało mu się przeżyć i uciec, by znów zabijać? Nie, z pewnością nie miał czasu. Jakże mógłby znaleźć drogę do miejsca, gdzie mieszkała Mary Jane? Czy też ona się myliła? Czy to możliwe, że Gideon nie miał nic wspólnego z morderstwami? Nic się nie zgadzało. Nie była w stanie uwierzyć, by zabójstwa nie były w jakiś sposób związane z nią samą. Niemal wszystkie ofiary były jej pacjentkami. I od wielu tygodni była przekonana, że ktoś ją śledzi, kryjąc się w cieniu. A potem szedł za nią Gresseti, kiedy przebrała się w odzież Connie. A kataryniarz grał melodię „Gre-

ensleeves”. To musiał być Gresseti. Zresztą sam ujawnił, że jest Gideonem. Pozostało jednak wiele pytań, tyle że teraz muszą poczekać. Doktorowi Gimmelowi wreszcie udało się wyrwać ją z zamyślenia.

– Doktor Hawksmith! Chodźmy, potrzebują nas na sali operacyjnej – ponaglił.

W sali operacyjnej siostra Morrison już przygotowała stół. W zbiorniku na krew umieszczono świeże trociny, a w całym pomieszczeniu obficie rozpylono karbol. Eliza odruchowo omiotła wzrokiem rzędy krzeseł. Wszystkie były puste. Wkładając fartuch, stwierdziła, że trzęsą jej się ręce. Potrząsnęła głową, przygnębiona, że tak łatwo ją rozproszyć i wyprowadzić z równowagi. Nie czas na nerwy. Musi w pełni skupić się na Abigail. A mimo to w głowie jej huczało, a krew zdawała się palić żyły. Zajęła się sprawdzaniem narzędzi, próbując odwrócić uwagę od głosów we własnej głowie, które zachęcały ją do użycia magii. Teraz bardziej niż kiedykolwiek musiała być doktor Elizą Hawksmith, asystentką szacownego Phileasa Gimmela, oddanego lekarza i zdolnego chirurga. Od tego zależało życie Abigail.

– Ach, tu jesteśmy – przywitał się doktor Gimmel z pacjentką, którą właśnie wwieziono do sali. – Droga panno Astredge, jestem zachwycony, że wygląda pani na silniejszą. – Ujął jej dłoń i delikatnie poklepał. Za jej plecami stanął Simon.

– Jakże mogłabym nie kwitnąć pod opieką Elizy? – zapytała, uśmiechając się do przyjaciółki.

– Dokładnie tak, dokładnie tak. – Doktor Gimmel ujął Simona pod ramię. – A teraz, panie Astredge, gdyby zechciał zająć pan miejsce tam, wystarczająco blisko swej ukochanej siostry, by zapewnić jej nieocenioną siłę pańskiego wsparcia, a jednak nie tak blisko, by utrudniać nam pracę. Proszę się nie obawiać, jest w najlepszych rękach.

– Och, tego jestem pewien – zapewnił Simon ze wzrokiem wbitym w Elizę. Poczowała, się rumieni, i zwróciła się do Abigail.

– Jak się dziś czujesz? – spytała.

– Bardzo dobrze i cieszę się, że jestem tutaj. Niedługo skończycie swą wspaniałą pracę i będę wolna od tej okropnej choroby.

Doktor Gimmel zaczął jej pomagać podnieść się z wózka.

– Czekamy jeszcze na Rolanda – oznajmił. – Czy to on się spóźnia, czy też my w swej nadgorliwości jesteśmy odrobinę wcześniej?

Nie skierował tego pytania do żadnej konkretnej osoby, ale to Simon wyjął z kieszeni zegarek.

– Za cztery minuty dziesiąta, panie doktorze – oznajmił i ponownie schował zegarek do kamizelki.

– Ach, wiemy więc. Niewątpliwie przyjdzie wprost tutaj. Po kręgosłupie Elizy przebiegł dreszcz strachu. Nie miała pojęcia, co mogło go spowodować. Choć wiedziała, że daleko jej do spokoju, zaskoczyła ją nagłość i siła tego uczucia.

W tej samej chwili do sali wszedł Roland, zdyszany po

biegu.

– Proszę mi wybaczyć – poprosił. – Zatrzymał mnie pacjent i...

– Nieważne – doktor Gimmel uniósł dłoń. – To nie pora na wyjaśnienia. Rolandzie, jest pan już tutaj i w tej chwili obchodzi nas tylko tyle.

Abigail została umieszczona na stole i poddana przygotowaniom. Eliza dotknęła jej czoła i przemówiła miękko:

– Teraz śpij. Tylko tyle masz robić.

Do pacjentki podszedł Roland i podał chloroform. W ciągu kilku sekund oczy Abigail się zamknęły i leżała nieruchomo, z wyjątkiem płytkiego, rytmicznego oddechu.

Eliza wzięła z tacy skalpel i zrobiła szerokie nacięcie. Pielęgniarka otarła krew z rany, dzięki czemu Eliza mogła łatwiej poruszać rozwieraczem, by dostać się do jamy brzusznej.

– Dobrze, dobrze – pochwalił doktor Gimmel. – Doktor Hawksmith, proszę kontynuować tak samo. Delikatnie, lecz zdecydowanie. Delikatnie, lecz zdecydowanie. Doskonale.

Eliza pracowała nieprzerwanie, z największą ostrożnością jednocześnie jednak mając bolesną świadomość, że taki zabieg może potrwać długo i że musi posuwać się naprzód bez zbędnej zwłoki. Abigail nie była silna. Im dłużej pozostanie pod wpływem znieczulenia, tym więcej krwi utraci i tym więcej jej ciało będzie musiało znieść,

a tym samym będzie miała mniejsze szanse na przeżycie operacji. Nie umiała otrząsnąć się ze złych przeczuć i uczucia zagrożenia, które dopadły ją chwilę wcześniej. Skąd się wzięły? Usiłowała przypomnieć sobie, o czym mówił doktor Gimmel. Pytał o Rolanda, to pamiętała, ale Roland był najmniej szkodliwym stworzeniem, jakie знаła. Była też kwestia czasu – było zbyt wcześnie czy zbyt późno? Simon sprawdził godzinę na zegarku.

– Doktor Hawksmith, proszę uważać! – głos doktora Gimmela zabrzmiał niezwykle surowo.

Dopiero teraz zauważyła, że pozwoliła krwi spłynąć z powrotem do rany i zasłonić pole widzenia. Jednocześnie z trudem mogła utrzymać narzędzia, gdyż tak bardzo zaczęły się trząść jej ręce. Zegarek. Zegarek Simona! To właśnie wywołało w niej taki niepokój. Gdy go zamykał, rozległo się wyraźne podwójne kliknięcie. Dokładnie taki sam dźwięk słyszała w ciemnościach pod własną kliniką. Simon? Jak to możliwe?

– Co się dzieje? – Doktor Gimmel podszedł do niej bliżej i zajrzał do jamy brzusznej. – Elizo, czy coś jest nie tak?

Eliza potrząsnęła głową zarówno po to, by pozbyć się przerażających myśli, jak i po to, by uspokoić doktora Gimmela.

– Nie, nic. Tylko... odpoczywam. Tutaj, wątroba jest już odsłonięta – pokazała, odchylając się odrobinę, by mógł obserwować postępy prac. I również po to, by mogła we własnym umyśle poszukać rozwiązania. Nic mogąc się

powstrzymać, podniosła wzrok na Simona z nadzieją, że w jego dobrej, otwartej twarzy znajdzie jakiś dowód, iż jest on tym samym człowiekiem, którego pokochała, niezdolnym do tak okropnych czynów. Przyglądał się jej z uśmiechem, tym najdroższym, najbardziej rozczulającym. W mgnieniu oka Eliza zorientowała się, skąd znała ciepło tego uśmiechu. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Simon Astredge. Bez drugiego imienia. Po prostu Simon Astredge. Próbowała w myślach przestawiać litery. Pragnęła się mylić, lecz mimo to kontynuowała ze straszliwą pewnością.

G-I-D, a gdzie E? I końcowe S? Tak, są wszystkie. Teraz to widzę. Och, nie. Nie! Jakże mogłam być tak ślepa?

Eliza wyraźnie czuła przyspieszone tętnienie krwi w uszach, bo przed tą prawdą nie było ucieczki, nie dało się schować. Simon Astredge to anagram imienia i nazwiska Gideona Mastersa.

Obaj! Gresseti i Simon. Obaj.

Wiedziała, że Simon się jej przygląda. Czy widział, jak bardzo jest zaniepokojona? Czy mógł się zorientować, że odkryła jego prawdziwą tożsamość? Im dłużej nad tym myślała, tym prostsze się to stawało. Gresseti był jedynie sprytnym chwytem, sposobem na odwrócenie uwagi. Gideon musiał wiedzieć, że Eliza nie polubi tego człowieka. Tworząc postać, którą znienawidziła i której ostatecznie zaczęła się obawiać, popchnął ją w ramiona Simona. Jakże mogła się oprzeć ciepłu jego uczucia, kiedy tak bardzo bała się Gressetiego? I, oczywiście, żywiła mniej-

sze podejrzenia względem Simona, ponieważ całą jej uwagę pochłaniał pozbawiony korzeni Włoch. Ale co z Abigail? Nie mogła być jego siostrą. Czarnoksiężskie i hipnotyczne zdolności Gideona oznaczały, że z całą pewnością mógł jej to wmówić. Skąd ją wziął? Jakaś biedną, niczego niepodważającą kobietę, która stanęła na jego drodze w doskonałym momencie dla niego i niewłaściwym dla samej siebie. Abigail najwyraźniej nie pamiętała innego życia. Któż może wiedzieć, ile rozpaczy spowodowało jej zniknięcie. Czy rodzina ciągle jej szuka? I z całą pewnością jest chora, co do tego nie ma wątpliwości. Nawet teraz Eliza widziała chorobę wątroby. Jedyne cudem Abigail udało się przeżyć aż tak długo. Eliza zagryzła usta, pragnąc działać w tej chwili jak lekarz, wyrzucić Simona z myśli. Wyrzucić z myśli Gideona.

– Co mi pani powie? – Doktor Gimmel wciąż stał tuż przy jej łokciu, poprawiając okulary na nosie. – Co pani widzi, doktor Hawksmith?

– Obawiam się, że nie mam dobrych nowin – Eliza odezwała się głośniejszym głosem niż zamierzała, ponieważ nie chciała zdradzić odczuwanego strachu i zakłopotania. Kątem oka dostrzegła, jak Simon podnosi się z krzesła i pochyla do przodu. W tym momencie z kieszeni wypadł mu zegarek, który zawisł na ozdobnym łańcuszku i zaczął się kołysać w tył i w przód, w tył i w przód. Eliza pochyliła się nad pacjentką.

– Nie ma guza. Nie da się nic wyciąć. Jest zaawansowana marskość wątroby. Ponad osiemdziesiąt procent or-

ganu jest zniszczone.

– Ach – doktor Gimmel wyglądał na zdruzgotanego. –
Zatem nic się nie da zrobić – stwierdził, cofając się nieco.

To było więcej, niż Eliza potrafiła znieść. Wierzyła, że pokonała Gideona, stawiając czoła Gressetiemu, lecz Mary Kelly i tak zmarła. Sądziła, że w osobie Simona wreszcie znalazła miłość, lecz była to tylko jej nemesis. Poczowała wzbierające mdłości na wspomnienie jego pocałunków i dotyku, a także na myśl, że tak niewiele brakowało, by mu się całkowicie poddała. Że tak bardzo tego pragnęła. A teraz miała stracić Abigail. Biedną, nieszczęsną Abigail, która nieświadomie odegrała tak istotną rolę w skomplikowanej intrydze Gideona. To wydawało się takie niesprawiedliwe. Takie nieuczciwe. Zupełnie jakby została złożona w ofierze, by spełnić plan Gideona.

– Doktor Hawksmith – pochylił się w jej stronę Roland – pacjentka jest nieprzytomna od jakiegoś czasu. Czy jest pani gotowa, by zakończyć zabieg?

– Tak, tak – odparł za nią doktor Gimmel. – Nie ma sensu jeszcze bardziej pozbawiać panny Astredge i tak już nikłych zasobów. Dalsze znieczulenie nie będzie potrzebne.

Nie. Nie pozwolę jej umrzeć. Nie jak Margaret. Mogę ją uratować i zrobię to niezależnie od konsekwencji.

Nie odpowiadając Rolandowi i nic potwierdzając słuszności uwagi doktora Gimmela, Eliza delikatnie przepchnęła obie dłonie przez nacięcie i położyła je na wątrobie Abigail. Spojrzała w dół, nie ośmielając się za-

mknąć oczu, nie chcąc napotkać coraz bardziej badawczego spojrzenia Simona. Zaczęła mrużyć inkantacje. Doktor Gimmel zaczął się niecierpliwić, ale się nie odezwał, najwyraźniej oczekując, że zacznie zszywać ranę. Roland patrzył na nią w oczekiwaniu na dalsze instrukcje. Siostra Morrison podsunęła jej tacę z narzędziami. Eliza zignorowała ich wszystkich. W sali operacyjnej zerwał się słaby wiatr. Przybierał na sile, aż wreszcie zaczął jęczeć, omiatając nogi obecnych. Ten dziwny, chłodny powiew krążył pomiędzy ludźmi, lecz nie wnosił świeżego powietrza. Zdawało się, że cząsteczki przestrzeni zostały wzburzone i przestawione. Pielęgniarka rozejrzała się niespokojnie i instynktownie przesunęła w stronę Rolanda. Doktor Gimmel zaczął krzyczeć i błagać Elizę, by szybko kończyła pracę. Simon wstał.

Teraz Eliza uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Czowała, że materia organu Abigail zmienia się jej pod palcami. Pokryte bliznami i porowate tkanki zaczęły się odnawiać. Leczyć. Patrzyła na Simona, zachęcając, by rzucił jej teraz wyzwanie, świadoma, że nie przestanie, zanim nie będzie pewna wyzdrowienia Abigail. Używając magii tak otwarcie w jego obecności, całkowicie się przed nim odsłaniała. Ale niech i tak będzie. Nie pozwoli umrzeć kolejnej niewinnej osobie, jeśli jest w stanie temu zapobiec. Powoli, bez gniewu ani widocznej gwałtowności, Simon uniósł lewą dłoń. Gdy znalazła się na poziomie wzroku doktora Gimmela, strzelił palcami. Doktor z krzykiem upadł do tyłu, lądując niezgrabnie w pierw-

szym rzędzie krzeseł i przyciskając dłonie do oczu.

– Doktorze Gimmel! – Siostra Morrison szybko odłożyła narzędzia na stół i podbiegła do niego. Kiedy chwyciła jego dłonie, krzyknęła i chwiejnie odsunęła się w tył, z niedowierzaniem wpatrując się w syczące oparzenia na własnych rękach. Simon strzelił palcami po raz drugi i pielęgniarka padła na podłogę jak rażona gromem. Leżała w bezruchu u stóp Elizy, a jedna z jej oparzonych dłoni spoczęła w stojącym pod stołem zbiorniku wypełnionym mieszaniną trocin i krwi.

Eliza nie poruszyła się. Zawołała:

– Rolandzie, uciekaj. Na miłość boską, uciekaj stąd! Roland otworzył usta, by zaprotestować, lecz nie był dość szybki. Jednym ruchem nadgarstka Simon kazał tacy z narzędziami unieść się w powietrze i zawisnąć nad stołem. Przez chwilę stalowe ostrza skalpeli zaśśniły, a potem trzy uniosły się z tacy i przecięły powietrze z nadnaturalną prędkością. Pierwsze z nich przebiło dłoń Rolanda, który wyrzucił ręce do przodu, na próżno usiłując się osłonić. Drugie podcięło mu gardło, trzecie zaś wbiło się w serce, kiedy bezgłośnie upadał na podłogę.

Simon zwrócił się z powrotem do Elizy. Znów się uśmiechał, a łagodny wyraz twarzy stanowił straszliwy kontrast z jego złowrogimi zamiarami.

– Moja droga Bess, czy martwisz się, że twój ukochany Simon zachowuje się w taki sposób? Wybacz mi. – Ukłonił się nisko, odginając w bok ramię w wyszukanym geście. Kiedy się wyprostował, przed Elizą stał nie Simon,

lecz Gideon. – No, teraz lepiej? Wreszcie doszliśmy do tego. Bess, żadnych gierk. Żadnego uciekania. Tylko ty i ja, twarzą w twarz.

– Odsuń się – poleciła Eliza, zbierając całą swą odwagę, by powstrzymać się od ucieczki. – Abigail nie zrobiła nic złego. Wyleczę ją. Nie pozwolę, byś mnie powstrzymał.

– Och, nie zawracaj sobie głowy Abigail. Jest znacznie zdrowsza, niż mogłabyś podejrzewać.

Eliza spojrzała na Abigail, pragnąc, by się nie wymknęła życiu. Kiedy jednak ujrzała, że tamta jej się przygląda, serce niemal stanęło jej w miejscu. Dziewczyna miała szeroko otwarte oczy i przyglądała się zabiegowi z wyrazem łagodnej ciekawości, – niczego więcej.

Eliza wzięła głęboki oddech.

– Abigail! Ale ty...

Wtrącił się Simon.

– Jest czarownicą, podobnie jak ty, Bess.

– Co? Nie! Nie rozumiem. Abigail uśmiechnęła się słodko.

– Elizo, najdroższa, nie gniewaj się na mnie. Możemy być przyjaciółkami.

Eliza pokręciła głową i usiłowała wyciągnąć dłonie z wnętrza ciała Abigail, lecz utknęły tam na dobre. Abigail się roześmiała, wydając chrypliwy, nieprzyjemny dźwięk. Ten śmiech wstrząsnął jej ciałem, ale dłonie Elizy ciągle tkwiły w pułapce.

Simon zaczął się swobodnie przechadzać po sali.

– Bess, Bess, Bess. Co mamy z tobą zrobić? Nie sądziłaś chyba, że spędzę całe wieki, czekając na ciebie w całkowitej samotności, co? No dalej, przyznaj się, jesteś odrobinę zazdrosna, prawda? – Roześmiał się, a potem ciągnął: – Niepotrzebnie, najdroższa. Przez lata było wiele takich Abigail. Towarzyszek rozpraszać samotność, nic więcej. Chociaż ta, przyznaję, zrobiła na mnie wrażenie doskonałą rolą mojej chorej siostry. Gratulacje, kochanie. – Szarmancko skinął głową w stronę Abigail, która w odpowiedzi posłała mu całusa.

Elizie chciało się krzyczeć, jednak wiedziała, że jeśli podda się hysterii, będzie stracona. Bez wolnych rąk nie była w stanie skutecznie wykorzystać magii przeciwko Gideonowi. Za jej plecami doktor Gimmel jęczał i wił się na podłodze. Eliza zaczęła się w duchu modlić, by zamilkł i się uspokoił. Gideon nie zabił go dotychczas jedynie przez przypadek, a ona nie była w stanie go chronić.

– Gideonie, nigdy mnie nie dostaniesz – stwierdziła.

– Jakaż uparta. Jaka bezczelna. Dlaczego ciągle walczysz z własnym przeznaczeniem, hmm? Wiesz, że jesteśmy dla siebie stworzeni, ty i ja. Pomyśl nad tym. W ciągu tych ostatnich kilku dni zakosztowałaś chwały magicznej mocy. Wiesz, jak mogłoby wyglądać życie, gdybyś tylko tego chciała. Razem ty i ja bylibyśmy niepowstrzymani. Odporni na wszelkie ataki. Bylibyśmy wspaniali.

Ruszył wokół stołu w jej stronę. Eliza wiedziała, że musi zacząć działać lub będzie stracona. Ale nie była

w stanie z nim walczyć teraz, gdy jej szanse były znacznie mniejsze. Jeżeli nie chciała się poddać, miała tylko jedno wyjście. Obróciła się, by wyraźniej widzieć doktora Gimmela. Na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Zmusiła się do mówienia.

– Wybacz mi, doktorze – poprosiła.

A potem, szybciej niż mgnienie oka, zniknęła. Gideon ryknął.

– Bess! Bess! Nie! – Jego gromki głos wstrząsnął ścianami pomieszczenia, on sam zaś zaczął miotać się bezładnie, szukając jakiegokolwiek śladu kobiety.

Wysoko pod samym sufitem w stronę otwartego okna na szczycie audytorium cicho leciał motyl. Na chwilę zatrzymał się, trzepocząc nakrapianymi srebrem skrzydłami w wąskiej smudze światła, a potem wyfrunął przez otwór i zniknął.

LIST FANI CONSTANCE GIMMEL DO PROFESORA SALVATORES

Szanowny Panie Profesorze!

Dziękuję Panu bardzo za miły list. Znajduję pociechę w wiedzy, że Phileas nie został całkowicie zapomniany przez przyjaciół i kolegów po fachu. Wiem, że kiedy przekażę mu Pańskie życzenia, będą one miały dla niego niezwykłą wartość. Jego stan pozostaje bez zmian. Prawdę mówiąc, nie zmienił się w widoczny sposób od dnia, gdy znaleziono go z tak okropnymi obrażeniami. Dziękuję Bogu, że w ogóle został oszczędzony, biorąc pod uwagę smutny los siostry Morrison i młodszego lekarza obecnego na sali. I choć oczywiście ciężko mi patrzeć na jego cierpienie, nieustannie liczę na poprawę. Koszmary, które kiedyś budziły go z wyczerpującą regularnością, najwyraźniej zniknęły, co jest nader ważne. Swą ślepotę znosi mężnie, choć wiem, że oplakuje utracony wzrok, i to wszystko, czego nie może teraz robić.

Oczywiście często wspomina szpital Fitzroy, lecz nigdy nie mówi, co zaszło owego fatalnego dnia. Nie znaleziono żadnego śladu pana Astredge, jego siostry ani doktor Hawksmith, a policja nie jest w stanie zadowalająco wyjaśnić przebiegu wydarzeń. Sidney Phileas też nie jest zdolny tego zrobić. Prawdę mówiąc, wątpię, by sam to wiedział. Z pewnością nie widzę sensu, by go dręczyć o szczegóły. Nic się nie da zrobić, a jemu mówienie

o tamtych zdarzeniach sprawia ogromną trudność. Wiem, że tęskni za doktor Hawksmith, i godnym pożałowania jest fakt, że nie można jej znaleźć. Obawiam się, że tajemnica ta nie doczeka się wyjaśnienia, i całą swą energię muszę poświęcić opiece nad mężem, a nie pogoni za niesprawdzonymi pomysłami i teoriami.

Łączę pozdrowienia dla Louisy.

Pańska oddana przyjaciółka, Constance Gimmel

LITHA

Święto powiązane z przesileniem letnim, obchodzone 21 lub 22 czerwca, odpowiednik słowiańskiej sobótki; jeden z Mniejszych Sabatów w religii Wicca – przyp. red.

12 MAJA – ZAĆMIENIE KSIĘŻYCA

Gdy kończyłam historię Elizy, Tegan była całkowicie nią pochłonięta, słuchając z rozjaśnionym wzrokiem. Widziałam, że ta opowieść raz jeszcze rozbudziła jej ogromną ciekawość i zainteresowanie magią.

– Więc znowu uciekła? – spytała.

– Tak zrobiła. Po prostu. Ale musiała opuścić doktora Gimmela bez pożegnania i wyjaśnień.

– A pozostali? Pielęgniarka i Roland zmarli?

– Tak. Nic można było nic dla nich zrobić.

Tegan wstała z krzesła i zaczęła spacerować po pokoju z rozpalonym umysłem.

Wyobraź sobie – powiedziała wyobraź sobie, że potrafisz tak samo posługiwać się magią. Leczyć ludzi. Zmieniać postać.

Przerwała i spojrzała na mnie. Zabijać. To potężna rzecz. Naprawdę niebezpieczna rzecz.

– Może taka być w niewłaściwych rękach.

Cóż, ten cały Gideon to prawdziwy koszmar. Ale dlaczego Eliza ciągle musiała przed nim uciekać? Dlaczego musiała się ukrywać? Z pewnością mogłaby go pokonać, gdyby się przygotowała, zastawić pułapkę albo coś w tym stylu?

Pamiętaj, Gideon był jej nauczycielem. Uczył ją sztuki. Znal każdą możliwą sztuczkę czy pułapkę. Wiedział, co Eliza planuje, właściwie jeszcze zanim wiedziała to ona

sama. Dlatego często jedynym rozwiązaniem było nagłe zniknięcie, żeby nie miał szansy jej zatrzymać. – Przerwałam, by na nią spojrzeć i by jej umysł mógł się uspokoić. Jeszcze przez jakiś czas zadawała mi pytania, dopóki nie uciszyłam jej wyciągnięciem dłoni. – Tegan, teraz ja mam do ciebie pytanie – oznajmiłam. – Tak?

– Czy jesteś gotowa, czy jesteś naprawdę gotowa, by zostać moją uczennicą i nauczyć się sztuki? Czy jesteś gotowa poświęcić czas, myśli i skupienie poszukiwaniu magii? Czy jesteś gotowa do poświęceń, ciężkiej pracy, uwagi, pilności i powagi? Czy jesteś gotowa, by chronić wiedzę, którą posiadasz, postępować jak uzdrowicielka, używać wiedzy tylko w dobrym celu? Jesteś, Tegan?

Przestała chodzić i stanęła obok mnie. Wstałam. Uporczywie wpatrywała się w moje oczy i choć na chwilę przestała wiercić się, trajkotać czy skakać od jednej myśli do drugiej niczym konik polny. Powoli wciągnęła powietrze.

– Tak, jestem gotowa – odparła. – Jestem.

– Witaj więc, Tegan – stwierdziłam i wyciągnęłam do niej ramiona.

Rozpromieniła się uśmiechem prawdziwego szczęścia i rzuciła się na mnie. Gdy ją trzymałam, zaczęłam się zastanawiać, od jak dawna nie przytulała jej własna matka.

12 LIPCA – NÓW KSIĘŻYCA

Ciężko uwierzyć, że od mojego ostatniego wpisu minęło tyle czasu. Cóż to za wspaniałe lato! Nie pamiętam, bym kiedykolwiek wcześniej czuła się tak spokojna i tak produktywna. Tegan podeszła do nauki z ogromnym entuzjazmem i sądzę, że zawsze wiedziałam, iż tak będzie. Pożera wiedzę łapczywie, jak umierająca z głodu kobieta pożerałaby jedzenie. Jest bystra i nieustraszona. Raz czy dwa musiałam ją zbesztać za brak cierpliwości, ale w końcu, ponieważ to także moja wada, nie mogę być zbyt surowa. Jej romans trwa, lecz jeszcze nie przedstawiła mnie swemu chłopakowi. Być może wzięła sobie do serca moje słowa o kolejności i nie chce, by jej mężczyzna mieszał się w nasze sprawy i ją rozpraszał. A być może nie powiedziała mu i nie wie, jak to wyjaśnić. Tak czy inaczej, kiedy jest ze mną, mogę się cieszyć jej pełną uwagą. Czas, który spędza gdzie indziej, to nie moja sprawa.

Stwierdziłam, że nadszedł czas, by dokonać formalnej inicjacji Tegan w sztukę. Czułam, że akt oddania się wiceańskim zwyczajom oraz podniosłość rytuałów pomoże jej poważnie potraktować naukę i poczuć prawdziwą przynależność. Choć często odbywa się to w czasie nowiu, ja wybrałam księżyc miodowy kilka tygodni temu. Tradycyjnie uważa się go za czas przemian, jakąż jest więc lepsza okazja, by Tegan dostąpiła przemiany, transformacji

z dziewczyny w młodą uzdrowicielkę?

Czekałyśmy do chwili, gdy nad światem rozciągnie się noc, a potem ruszyłyśmy w drogę do kamiennego kręgu w zagajniku. Pożyczyłam Tegan jedną z własnych szat, piękny strój z ciężkiego jedwabiu, подарowany mi przez uczestniczki sabatu w Mumbai ponad sto lat temu. Na jej widok w tej szacie wstrzymałam oddech.

– Dobrze wyglądam? – spytała.

– Wyglądasz wspaniale.

Na jej policzki wypłynął delikatny rumieniec. Wyczułam jej nerwy i wzięłam ją za rękę.

– Chodź – poleciłam i poprowadziłam ją przez ogród do zagajnika.

Podczas minionych tygodni Tegan, zgodnie z moimi instrukcjami, zbierała przedmioty do swego woreczka amuletoowego – muszelkę z plaży w Batchcombe, pióro młodego zimorodka, skorupkę jajka strzyżyka i pusty kokon motyla. Zawinęła to wszystko w mech, przewiązała kilkoma pasmami własnych włosów i włożyła do niewielkiego aksamitnego woreczka, który wybrała do tego celu. Kiedy dotarłyśmy do kręgu, kazałam jej położyć amulety na płaskim kamieniu od strony wschodniej. Zapaliłam świecę, która musiała się całkowicie wypalić, nim można było zabrać woreczek. Po ceremonii te amulety staną się pierwszym elementem jej własnych ochronnych narzędzi wiceańskich.

Tegan zaczęła spacerować wokół kręgu, recytując, przywołując duchy żywiołów, zapalając świece w czte-

rech punktach kompasowych. Jej głos zdradzał niezwykle wahanie.

– *Czarownica, magia, ogień to jedno. Czarownica, magia, ziemia to jedno. Czarownica, magia, powietrze to jedno. Czarownica, magia, ziemia to jedno.*

Poprowadziłam ją do środka kręgu, trzykrotnie uderzyłam laską o ziemię i zawołałam:

– Krąg jest szczelny!

A potem uniosłam ramiona. Obie zwróciłyśmy twarze w stronę nocnego nieba emanującego olśniewającą przejrzystością i spokojem.

– O Bogini! – zawołałam. – Stoi przed tobą poszukiwaczka. Pragnie się do nas przyłączyć, stać się częścią naszej sztuki. Ma silną wolę, jasny umysł i otwarte serce. Jej dusza jest wolna od zła i pragnie używać magii jedynie dla dobra innych. Proszę, wysłuchaj ją. Ulecz ją. Zmień ją. – Ponownie skierowałam spojrzenie na Tegan i złączyłyśmy dłonie.

Dziecko, mów ze mną Poradę Wicca. Mów prosto z serca. Zastanawiaj się nad wypowiedzianymi słowami i upewnij się, że zgadzasz się z każdym z nich.

I tak recytowałyśmy wspólnie:

– *Bide the Wiccan Law you must, in perfect love and perfect trust. Live and let live, fairly take and fairly give. Soft of eye and light of touch, speak little and listen much. Deosil go by the waxing moon...*”

[Fragment Porady Wicca: „Musisz stosować się do prawa Wicca z miłością i zaufaniem. Żyj i pozwól żyć, bierz i dawaj po równo. Patrz łagodnie i dotykaj lekko, mów mało i słuchaj wiele. Idź w stronę słońca przy rosnącym księżycu...” – przyp. Tłum.]

Patrzyłam, jak potęga i mądrość tych słów rozświetlają twarz Tegan, a jej uścisk na mojej ręce stał się silniejszy. Kiedy skończyłyśmy, zapytałam:

– Jakie jest credo czarownic? Odpowiedziała wyraźnie pewniejszym głosem:

– Wiedzieć, próbować, pragnąć, być cicho.

– Będiesz przestrzegać tych praw?

– Będę.

– Czy przyrzekasz szanować Boginię, przestrzegać zasad wiceańskich, używać magii jedynie w dobrym celu, pozbywając się wszelkich myśli o zysku i poprawie własnej pozycji?

– Przyrzekam.

Podaliśmy jej nową, jasnioletową świecę, którą zapaliłam. Trzymała ją w górze.

– Teraz? – zapytała. Skinęłam głową.

Wzięła głęboki oddech i uniosła głos do nieba.

– Wzywam cię na dół, Bogini! Wejdź do mego ciała. Połącz się z moją duszą. Bądź ze mną, gdy robię ten święty krok w twoje ramiona i w stowarzyszenie sióstr magii.

Zapadła całkowita cisza. Nie drgnął nawet jeden liść. Bezruch zapanował w lesie, nie poruszyło się żadne zwierzę ani roślina. Wydawało się, że każdy przedmiot wstrzymał oddech i czekał.

Płomień świecy trzymanej przez Tegan w górze zaczął tańczyć i migotać, choć nie było nawet cienia wiatru. Stał się jaśniejszy, bardziej błękitny, pulsujący. Wspinał się coraz wyżej, a jego fosforyzujący blask rzucał nieziemskie światło, które wypełniło nasz krąg. W jego blasku ujrzałam na twarzy Tegan radość i zdziwienie. Musiała się bać, lecz się nie zawahała. Jej uchwyt na świecy pozostał pewny. Nagle chwila minęła, płomień powrócił do zwykłych rozmiarów i znów rozległy się dźwięki lasu.

Uśmiechnęłam się do Tegan, a ona odpowiedziała tym samym.

– Skończone? – zapytała.

– Tak. – Wzięłam od niej świecę i umieściłam ją w środku kręgu. – Chodź za mną – poleciłam.

Ostrożnie szła po kamieniach i pozwoliła się zaprowadzić do strumienia i niewielkiego poświęconego jeziora.

– Spójrz – poprosiłam. – Spójrz i przyjrzyj się swemu odbiciu. Możesz być pewna, że patrzysz na wspaniałą młodą czarownicę.

Pochyliła się naprzód, bardziej podekscytowana niż zdenerwowana, i wlepiła wzrok w wodne lustro.

– Och! westchnęła. – Wyglądam tak samo... ale jakoś inaczej.

Roześmiałam się bez troski.

– A czego się spodziewałaś?

– Nie wiem. Czegoś. A może niczego. To takie dziwne. To tylko moje odbicie. Nie ma w nim nic

straszego ani dziwnego, ale... jestem inna. Jest coś takiego. – Zwróciła się w moją stronę. – Czuję to – stwierdziła, a w jej oczach wezbrały łzy radości. Skoczyła w moją stronę, owijając mnie ciasno ramionami i mocno przytulając. – Dziękuję! – wyszeptała w moje włosy. – Dziękuję!

24 LIPCA – BRAK KSIĘŻYCA

Coraz trudniej mi panować nad irytacją. Przewlekła opieszałość Tegan i jej brak zaangażowania w drogę, którą wybrałyśmy, zaczynają sprawiać, że poważnie zastanawiam się, czy jest ona stworzona do magii.

19 SIERPANIA – UBYWAJĄCY KSIĘŻYC

Widzę teraz, że nie doceniłam powagi związku Tegan z jej tajemniczym chłopakiem, co było dość głupie z mojej strony. Początkowo spóźniła się na jedną z naszych sesji i przybiegła skruszona i bez tchu. Potem w ogóle przestała przychodzić na spotkania. Teraz czuję, że nie można jej ufać w kwestii dotrzymania umówionych terminów, kiedy zaś już raczy się zjawić, jest całkiem roztargniona.

25 SIERPNIA – BRAK KSIĘŻYCA

Nie może zostać, jak jest. Usiłowałam porozmawiać z Tegan o niesolidności, ale w dziwny sposób rozmowa zawsze schodzi na jej chłopaka i dziewczyna przechodzi do defensywy. Widzę, że jeśli będę naciskać, mogę ją całkowicie stracić. Będę musiała poczekać z nadzieją, że wkrótce początkowy płomień namiętności przygaśnie na tyle, by była w stanie zaplanować, jak zainwestuje własny czas i energię.

2 WRZEŚNIA – KSIĘŻYC W ZNAKU WAGI

Dziś rano niespodzianka, i to nieprzyjemna. Pracowałam w ogródku warzywnym, wyciągając podpory pod fasolę, gdy usłyszałam skrzywienie furtki od frontu. Na ścieżce rozległy się kroki dwóch par młodych, niepewnych stóp. Tegan wyszła z domu zaróżowiona z radości i dumy, trzymając za rękę wysokiego młodego mężczyznę o jasnych włosach.

– Elizabeth, to Ian – powiedziała, podnosząc na niego wzrok.

Jest starszy niż się spodziewałam, już nie nastolatek. Co najmniej 25 lat, jak sędzę. Nie chłopiec, lecz mężczyzna. Z całą pewnością zbyt dojrzały jak dla Tegan. Jego włosy w kolorze dojrzałego zboża i bladoniebieskie oczy są niezaprzeczalnie atrakcyjne. Ma ujmującą twarz i miękki głos. Krótko mówiąc, w jego wyglądzie nie ma nic, czemu można by cokolwiek zarzucić, co byłoby powodem do nerwów. Ale Tegan nie wie o nim praktycznie nic. Nie pochodzi, jak sobie wyobrażałam, z rodziny, która ostatnio sprowadziła się w te strony. To samotnik mieszkający w wąskiej łodzi na kanale i jeździ motocyklem. Na życie zarabia występując dla datków, więc nie ma stałej pracy. Żadnych przyjaciół. Najwyraźniej żadnej przeszłości. Przyznaję, że wygląda na osobę otwartą i grzeczną, i w uroczy sposób okazuje Tegan uwagę, ale czemu w ogóle zwraca sobie nią głowę? To jeszcze dziecko.

Mam świadomość, że niektóre dziewczęta w jej wieku są doświadczone i kobiece, ale Tegan taka nie jest. Już ją całkowicie omotał, tak dalece, że z trudem byłam w stanie normalnie się z nią porozumieć. Paplała o cygańskim stylu życia lana, o tym, jak świetnie gra na gitarze i jak wspaniała jest jego łódź. Ona mówiła, a ja mu się przyglądałam. Uśmiechał się do niej, najwyraźniej rozbawiony jej dziewczęcym szczebiotem.

– Elizabeth?

Tegan wdarła się w moje myśli, a ja zorientowałam się, że się gapię. Zebrałam się w sobie i zaproponowałam im herbatę. Z ulgą przyjął odmowę. Tłumaczyli, że planują wycieczkę do Pasbury na motorze lana. Pomachałam im na pożegnanie, udając radość, ale martwiłam się o Tegan – jest taka młoda, co ona wie o mężczyznach?

8 WRZEŚNIA – KSIĘŻYC W TRZECIEJ KWADRZE

Tegan nie przyszła na dwie z naszych sesji. Tego ranka zmusiłam się do spaceru brzegiem kanału. Byłam pewna, że znajdę małą z Ianem na jego łodzi, i nie zamierzałam dłużej pozwolić, by przeszkadzał jej w nauce. Być może mój widok przypomni jej o zobowiązaniach. Miałam ze sobą laskę i przed wyjściem poprosiłam boga słońca o ochronę. Zanim znalazłam miejsce cumowania łania, była prawie jedenasta. Sama łódź wyglądała całkiem zwyczajnie i spokojnie. Motocykl stał przywiązany łańcuchem na rufie. Podchodziłam powoli i byłam zaskoczona, gdy drzwi się otworzyły i wyszedł z nich Ian.

– Elizabeth – powiedział ze słodyczą w głosie. – Dobrze cię widzieć. Wskakuj na pokład. Nastawiłem wodę.

– Poczulałam potrzebę spaceru – stwierdziłam. – Tegan jest tu z tobą?

– Tak, jeszcze leży w łóżku. – Przyglądał się mojej reakcji, czekając aż przyswoję tę informację, i dopiero wówczas ciągnął. – Wspaniała dziewczyna, prawda? – Uśmiechnął się.

Pragnęłam wykorzystać tę chwilę, powiedzieć mu coś o innych ważnych sprawach czekających na Tegan oprócz niego. Jeżeli naprawdę mu na niej zależało, być może udałoby mi się przekonać go, by zostawił jej więcej czasu na własne zainteresowania. Otwarłam już usta, ale uciszył

mnie dobiegający z łodzi hałas. Zjawiała się Tegan z potarganymi włosami i na wpół ubrana. Najwyraźniej wyszła wprost z łóżka. Stała tam, jeszcze ciepła od jego ramion, dziewczyna oczarowana pierwszą miłością. Nie była gotowa, by słuchać jakiegokolwiek krytyki swego romansu, nie chciała, by w jakikolwiek sposób umniejszać jego wagę. Czułam się pokonana, jeszcze zanim zaczęłam.

– Nie powinnaś być w szkole? – zapytałam. Twarz jej pociemniała.

– Sprawdzasz mnie? Czy dlatego przyszłaś? Żeby mi powiedzieć, że powinnam być w szkole? Ale nie martwiłaś się, jeśli nie poszłam tam, bo wolałam kopać w twoim ogrodzie lub przygotowywać produkty na twój stragan, prawda? – Jej szczeka była już wojowniczo wysunięta. Wiedziałam, że może się dąsać na moją nieogóscinną reakcję na spotkanie z Ianem.

– Martwiłam się o ciebie, to wszystko. Czy twoja mama wie, gdzie jesteś?

Tegan się roześmiała.

– Zupełnie jakby jej na tym zależało!

Wiedziałam, że przychodząc tutaj, przekroczyłam pewną linię. To była jej decyzja, by trzymać mnie z dala od własnego chłopaka, żebyśmy pozostali oddzielnymi fragmentami jej życia. To prawda, że nas sobie przedstawiła. W przeciwnym razie mogłoby się to po pewnym czasie wydać dziwne. Ale widziałam, stojąc na ścieżce holowniczej i patrząc na zakłopotanie i strapienie na twarzy Tegan, że nie planowała, byśmy kiedykolwiek mieli

wspólnie spędzać czas. Nie chciała, by te dwa ważne i trudne aspekty jej życia się łączyły. Dostrzegłam to dzisiaj, lecz za późno. Weszłam tam, gdzie mnie nie chciano, i niezależnie od zasadności moich motywów, Tegan była na mnie wściekła.

– Słuchaj, to nie twoja sprawa, co robię, okay? Nie jesteś moją matką. Nie jesteś dla mnie nikim, prawdę mówiąc, więc trzymaj swój dziwaczny wiedźmowy nochal z daleka! – Zamknęła się ponownie wewnątrz łodzi.

Ian ciągle się uśmiechał. Wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że woli być ze mną – stwierdził. Odwrócił się, jakby zamierzał pójść za nią. Nie mogłam znieść myśli, że Tegan będzie sam na sam z kimś takim.

– Poczekaj! – zawołałam. Zatrzymał się i spojrzał na mnie z pytająco uniesionymi brwiami. Oblizałam wyschnięte usta i uniosłam łaskę. – Jeżeli zrobisz tej dziewczynie krzywdę, będziesz miał ze mną do czynienia.

– Zrobić jej krzywdę? – Ian wyglądał na prawdziwie zaskoczonego. – Szaleję za nią. Dlaczego miałbym jej robić krzywdę?

Prawdę mówiąc nie wiem, dlaczego powiedziałam coś takiego. Nawet mnie wydało się to dziwne bezpodstawne.

Zapadła chwila kompletnej ciszy. Pod jego spojrzeniem oddech uwiązał mi w gardle.

Za łodzią z hałasem wylądowała para kaczek, przerywając chwilę. Popatrzyłam, jak z pluskiem i kwakaniem płyną po wodzie. Gdy się odwróciłam, Ian zamykał za sobą drzwi kabiny.

12 WRZEŚNIA – PEŁNIA KSIĘŻYCA

Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by podejść do mojej reakcji na lana z rozsądkiem. Nie dał mi powodu wątpić w jego uczucie do Tegan, a mimo to nadal mam obawy. Czy to możliwe, że te wszystkie lata prześladowań, oglądania się za siebie, uciekania od strachu własnej przeszłości, sprawiły, że nie jestem w stanie racjonalnie postrzegać niebezpieczeństwa? Czy straciłam intuicję czarownicy, która powinna mi umożliwić wykrycie niebezpieczeństwa, przyjęcie ostrzeżenia, bez mylenia sygnałów? Czy nic jestem już w stanie spotkać się z samotnym obcym człowiekiem i nie czuć podejrzeń oraz zagrożenia? Obawiam się, że już źle rozegrałam tę sytuację. Tegan mnie nie odwiedza, a ja nie mogę iść ponownie do łodzi. Muszę z nią porozmawiać. Gdyby tylko wróciła do nauki, wróciła do mnie, miałabym ją bardziej na oku. Tego wieczoru napiszę list i wsunę go pod drzwi jej domu. Mam tylko nadzieję, że nie jest zbyt oczarowana swym ukochanym, by mnie posłuchać.

14 WRZEŚNIA – ZAĆMIENIE KSIĘŻYCA

Gdy piszę te słowa, dłoń mi drży, ale napisać je muszę. Idąc do domu Tegan, by doręczyć list, zajrzałam do wiejskiego sklepu, gdzie stała przy ladzie pocztowej. Podejmowała pieniądze ze swego rachunku oszczędnościowego.

– Cześć, Tegan – powiedziałam tak beztrąsko, jak tylko bylam w stanie. W odpowiedzi jedynie skinęła głową. – Dziś sama?

– Ian gra, jeśli już musisz wiedzieć. Dziś rano pojechał na motorze do Pasbury. – Schowała banknoty w portfelu.

– Cóż, już całe wieki nie byłaś w mojej chatce. Może ze mną wrócisz? Napijesz się herbaty? Upiekłam chleb z rodzynekami.

– Słuchaj, Elizabeth, nie chcę być niegrzeczna, ale jestem zajęta, jasne? – Zaczęła się przeciskać obok mnie. Zastąpiłam jej drogę.

– Tegan, proszę posłuchaj mnie. Ian...

– Na miłość boską, nie chcę tego słuchać! Dlaczego nie możesz dać mi spokoju? Co z tobą nie tak? Jesteś zazdrosna, czy co?

– To nie tak... – w pół zdania przerwał mi dzwonek telefonu komórkowego Tegan. W ciągu tych kilku sekund runął cały mój świat. Poczułam, jak przez moją głowę pędzi czas, wiek za wiekiem, a moje zdrowie psychiczne zmienia się w wir. Patrzyłam, jak Tegan z uśmiechem wyławia telefon z torebki. Widziałam, jak poruszają się jej usta, wiedziałam, że coś mówi, lecz nie bylam w stanie rozróżnić słów. Słyszałam jedynie melodię wygrywaną przez telefon. Dobrze znaną melodię. Tę, której się bałam. „Greensleeves”.

Uciekłam. Prawdę mówiąc nie pamiętam, w jaki sposób przebyłam drogę ze sklepu do własnej kuchni. Nie! To nie mógł być on! Nic teraz, nie tutaj, nic tak przerażająco

blisko Tegan. I mnie. Być może Ian ma jakiś mroczny sekret, nie jest osobą tak dobrą i delikatną, jak wierzy Tegan, ale to z pewnością nie oznacza, że musi być... Nawet teraz nie mogę się zmusić do zapisania tej myśli w całości. Nic mogę się poddać panice. Ale też nie mogę zaprzeczyć świadectwu własnych zmysłów. Nic jestem w stanie uporządkować myśli. W pierwszej chwili chciałam się spakować i wyjechać. Mogłabym mu uciec, gdybym wyjechała, jeszcze zanim się dowie, że odkryłam jego bliskość.

Nie byłoby trudno zebrać kilka ważnych dla mnie rzeczy i zniknąć. W końcu robiłam to już tyle razy. Ale przecież z zaskoczeniem stwierdzam, że nie mogę uciec. Choć jestem pewna, że Gideon wysłał mi sygnał, iż jest blisko. Choć z całą pewnością muszę stawić czoła świadomości, że jest blisko, że mnie obserwuje i że teraz próbuje dotrzeć do mnie, wykorzystując Tegan. Od jak dawna jest tak blisko? I jakie byłyby skutki mojej ucieczki? Opuszczenie Matravers oznaczałoby opuszczenie Tegan. A gdyby mi się udało wymknąć i raz jeszcze pokrzyżować Gideonowi plany, jak by zareagował? I na kim by wyładował swą wściekłość i frustrację? Nie, nie mogę wyjechać. Nadszedł czas, by stawić mu czoła. Już więcej nie będę uciekać.

30 WRZEŚNIA – KSIĘŻYC W NOWIU

Nie widziałam Tegan od zaćmienia Księżyca. Oczywi-

ście się martwię, choć nie wierzę, by groziło jej realne niebezpieczeństwo, dopóki pozostaję na miejscu. Dziś rano spotkałam jej matkę w wiejskim sklepiku. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Spotkała się Ianem i twierdzi, że to dobrze wychowany młody człowiek. Zastanawiam się, co by było, gdyby знаła choćby połowę prawdy. Wydaje mi się, że usiłuje przekonać samą siebie, że Tegan nic od niej nie potrzebuje. Pasuje jej, że dziewczyna jest tak bardzo zajęta nowym chłopakiem, ponieważ łagodzi to jej poczucie winy, iż może dać jej tak niewiele z siebie. Właściwie trudno się dziwić, że Tegan rzuciła się na pierwszego mężczyznę, który okazał jej zainteresowanie, zważywszy brak uwagi ze strony matki.

Doszłam do wniosku, że jest tylko jeden sposób, w jaki mogę stawić czoła Gideonowi i chronić Tegan. Muszę bardziej ją wtajemniczyć. Muszę powierzyć jej ostateczną prawdę o mnie samej. Dopiero wówczas będę mogła nauczyć ją, w jaki sposób się chronić w razie potrzeby. Dotychczas zamierzałam nauczyć ją jedynie zwyczajów uzdrowicielek, dać jej zdolność leczenia. Ale teraz, kiedy wyczuwam ciężką obecność Gideona, muszę pójść dalej. Musi nauczyć się prawdziwej magii. Ponieważ tylko czarna magia jest wystarczająco potężna, by podziałała na takiego wroga. Będę musiała sprawić, by zrozumiała. Musi uwierzyć, że Eliza to ja. Że Bess to ja. A jedyną rzeczą, która ją o tym przekona, jest magia. Dawno temu, kiedy kryłam się w cieniach tych wszystkich mrocznych i samotnych lat, odrzucałam własną moc. Naprawdę wierzy-

łam, że w używaniu jej było coś złego. Oczywiście wiedziałam także, że używanie magii oznaczałoby ujawnienie Gideonowi miejsca mojego pobytu. Magia podróżuje. Byłby w stanie wykryć moją moc z odległości setek mil, być może tysięcy. W przypadku każdej praktykującej czarownicy do sil magicznych wiedzie portal działający w obie strony. Gdy łączę się z siłami sióstr czarownic, z siłą podziemnego świata, z mocą magii wszech czasów, one łączą się ze mną. Wówczas zyskuję moc, lecz jednocześnie jestem bezbronna. Zdecydowałam się odrzucić tę moc częściowo ze względu na to. Moim głównym powodem, główną przyczyną, która skłoniła mnie do odwrócenia się od tego, kim mogłam być, była jednakże moja własna wina.

Ciągle wierzę, że to ja byłam odpowiedzialna za śmierć matki. Mogła się uratować, ale gdyby to zrobiła, oddałaby mnie tym samym w ręce tym, którzy pragnęli kary. Wyrzekła się własnej mocy, abym ja mogła przeżyć. Jakże w takiej sytuacji mogłam się cieszyć wspaniałością takiej magii? A jest doprawdy wspaniała. Pokazałam Tegan jedynie przebłysk tego cudu, opowiadając o transformacji Elizy z przywiązanego do ziemi śmiertelnika w pełnoprawną czarownicę. Wyostrzone zmysły i pobudzenie seksualne są jedynie częścią tego, czego doświadcza prawdziwie potężna czarownica. A wiem, że należę do najwyższej klasy czarownic, Gideon tego dopilnował. Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiem, jaki pakt zawarł z diabłem, lecz we mnie dostrzegł spełnienie wszystkich

swych marzeń o idealnej towarzyszce. W przeciwnym razie, dlaczegoż miałby mnie ścigać tak nieustępliwie przez cały ten czas? Gideon krążył po tej ziemi od stuleci, zanim napotkał moją rodzinę. We mnie dostrzegł potencjał, o którym marzył. Osobę równą sobie. Wziął ten surowiec, uczył mnie i prowadził do chwili, gdy byłam gotowa. Potem poprosił swego Pana o błogosławieństwo i moją transformację. Tamtej nocy w więzieniu w Batchcombe, kiedy wypowiedziałam słowa, których mnie nauczył, przemiana się dopełniła. Równa jemu, tak powiedziałam? Cóż, teraz się o tym przekonamy.

2 PAŹDZIERNIKA – ROSNĄCY KSIĘŻYC

Odkładanie poszukiwań Tegan aż do tego dnia wyczerpało moje i tak mizerne zapasy cierpliwości. Wierzę jednak, że to się opłaci. Zmusiłam się, by zostawić Tegan czas na uspokojenie nastroju. Wczoraj wsunęłam pod drzwi jej domu list z prośbą, by do mnie zajrzała, żebym mogła przeprosić ją za wtrącanie się czy za próbę pouczenia, jak żyć. Zapewniłam, że pragnę jedynie naprawić nasze stosunki. Obiecałam, że nie wspomnę o lanie i że nie będę się wtrącać w jej sprawy. Nigdy więcej nie będę się narzucać z pomocą ani radą, jeżeli o to nie poprosi. Niech przyjedzie w imię przyjaźni. Uwarzyłam trochę świeżego piwa imbirowego, które mogłybyśmy wypić w ogrodzie, gdzie zobaczy, jak wiele roślin, przy których mi pomogła, wzeszło.

Oczywiście wiedziałam, że taki list może nie być wystarczająco przekonujący, by przyprowadzić do mnie to dziecko. A to ważne, by przyszła. Toteż zdecydowałam się opatrzyć ten list zaklęciem. Łagodnym, mającym jedynie kusić i namawiać, a nie zmuszać bądź przerażać. Tegan nie będzie tego świadoma, lecz bez oporu stawi się na nasze rendez-vous.

5 PAŹDZIERNIKA – DRUGA KWADRA

Jakaż noc cudów! Tegan przybyła do mojej chaty parę

minut po ósmej. Wieczór był niezwykle ciepły jak na tę porę roku, w osłoniętym ogrodzie ciągle czuć było ciepło odchodzącego dnia. Późne kwiaty jaśminu wypełniały nieruchome powietrze swym upojnym zapachem. Początkowo była trochę nieufna i wydawało się, że nie zostanie długo. Poprosiłam, by przyłączyła się do mnie przy stole pod jabłonią, gdzie już wcześniej ustawiłam dzbanek imbirowego piwa i ciastka migdałowe.

– Mniemam, to jest naprawdę pyszne – stwierdziła, wychyliwszy pół szklanki. Otarła usta wierzchem dłoni i przez chwilę wyglądała zatrwazająco młodo i dziecinnie. Rozmawialiśmy o ogrodzie, wspominając, co zaszczepiła ona sama i jak ciężko pracowała, szczególnie na grządkach z ziołami. Zaczęła się rozluźniać, kiedy rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Obiecałam nie wspominać o lanie i bałam się, że opowiadanie mojej historii może ją ponownie skłonić do ucieczki. Ale czas biegł. Musiałam coś zrobić.

– Jeszcze szklaneczkę? – zapytałam.

– Tak, nalej. – Wyciągnęła naczynie.

Wykonałam ruch, jakbym chciała unieść ciężki szklany dzban, lecz się zatrzymałam. Usiadłam ponownie na krześle, skupiając się na piwie. Dzban powoli zaczął się poruszać. Początkowo jedynie odrobinę zadrżał, dzięki czemu napój w jego wnętrzu zachlupotał. Był to niewielki ruch, ale wystarczył, by przyciągnąć uwagę Tegan. Z otwartymi ustami patrzyła, jak dzban po cichu uniósł się w powietrze, pochylił się dokładnie pod żądanym kątem i nalał

piwo do jej czekającego kubka. Wykonawszy zadanie, stanął ponownie na stole. Tegan siedziała jak zaczarowana, z wyciągniętą ręką, wpatrując się w szklanę trzymaną w dłoni. Zerknęła na dzban, potem ponownie na szklanę, a potem znów na mnie.

– Powiedz, że widziałaś, co się właśnie stało! Skinęłam głową.

Jej oczy otwały się szerzej.

– To ty! – stwierdziła. – To ty to zrobiłaś! Ponownie skinęłam głową.

Tegan pociągnęła łyk płynu, a potem odstawiła go na stół.

– Och, mój Boże! Zrób więcej – poprosiła. – Zrób coś jeszcze. No, dalej.

Skupiłam się teraz na napoju w jej szklance. Zaczął mocno bulgotać. Tegan odrobinę cofnęła się na krześle. W ciągu kilku sekund mętne piwo zmieniło się w spienioną błękitną ciecz, która wrzała i bulgotała do chwili, gdy piana wylała się ze szklanki i zaczęła ściekać na stół.

Tegan krzyknęła ze zdumienia.

– Coś takiego! To świetne. Możesz mi pokazać, jak to zrobić? Pokażesz? – Wstała, zanurzając palec w bąbelkach, które spływały teraz ze stołu. Klasnęłam w dłonie i błękitna ciecz zniknęła. Nie pozostał ani jeden bąbelek. Napój ponownie stał się zwyczajnym piwem imbirowym. Tegan uniosła szklanę trochę niespokojnie, wachając jej zawartość. Wstałam i spojrzałam jej w oczy z poważnym wyrazem twarzy.

– Tegan, zostań ze mną dziś wieczorem, a pokażę ci cuda, o których nawet nie śniłaś. Jeżeli zdecydujesz się iść ze mną i obejrzeć te rzeczy, musisz mieć otwarty umysł, dobre i nieugięte serce. Co więcej, nie możesz nikomu powiedzieć słowa o tym, co zobaczysz. Zgadzasz się?

– Tak! Tak! – odparła Tegan z twarzą zdradzającą część jej własnej nerwowości.

Uśmiechnęłam się, pragnąc, by się odprężyła. Obeszłam stół dookoła i stanęłam przed nią. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej włosów.

– Och, spójrz – stwierdziłam – jest ktoś, kto chciałby ci towarzyszyć w tej podróży.

Zza jej lewego ucha wyjęłam wąsatą białą myszkę. Biorąc ją w dłoń, Tegan aż sapnęła.

– Och, spójrz na nią! Jest wspaniała. – Uśmiechnęła się do mnie szeroko, znów odprężona.

Poszłyśmy do niewielkiego zagajnika za domem i zebrałyśmy trochę drewna. Niedługo później w zagłębieniu na ognisko płonął jasny ogień. Poklepałam zwalony pień drzewa przy ognisku. Tegan usiadła obok mnie, teraz ożywiona, nie próbując nawet zastanawiać się nad tym, co się działo.

Biała mysz siedziała na jej kolanach, myjąc pyszczek wilgotnymi łapkami.

– Posłuchaj – poleciłam. – Co słyszysz? Odwracała głowę w prawo i w lewo.

– Cóż, drewno trzaska w ogniu. Gdzieś leci samolot. I gołąb leśny, prawda?

– Dobrze. Co jeszcze? Wsłuchaj się.

Zmarszczyła brwi z pochyloną głową, słuchając głębiej niż poziom tych pierwszych dostępnych dźwięków. Wreszcie odezwała się szeptem.

– Ja... ja słyszę szybki oddech. – Spojrzała na własne kolana. – To ta mysz. Słyszę, jak oddycha!

– Co jeszcze?

– Szelest. Gdzieś tam, w tamtych pokrzywach.

– Zawołaj – nakazałam. – Jak?

– Po prostu zawołaj.

– Chodź – zawołała miękko. – Wyjdź. Wszystko w porządku.

Szelest na chwilę umilkł, a potem pokrzywy rozchyliły się i wyszedł z nich jeź. Uniósł ruchliwy nosek w powietrze i ruszył w naszą stronę, okrążając ognisko. Zatrzymał się u stóp Tegan, obwąchując jej palce, które wystawały z sandałów. Tegan się roześmiała.

– Hej! To łaskocze.

Wyjęłam z kieszeni kawałek migdałowego herbatnika i podałam go głodnemu jeżowi. Schrupał go głośno i pospiesznie odszedł w poszukiwaniu soczystego śli-maka czy dwóch. Dotknęłam ramienia Tegan.

– – Spójrz za siebie.

Odwróciła się powoli i znalazła się twarzą w twarz z okazałym lisem. Machnął ogonem, najwyraźniej sprovokowany bliskością myszy.

– Monsieur Reynard, proszę się stosownie zachowywać – zganiałam go.

Zaskomlał i położył się na grzbiecie, odsłaniając biały brzuch. Tegan pochyliła się i poskrobała jego futro.

– Och! Jesteś wspaniała. Spójrz tylko.

Lis znosił jej karesy jeszcze przez chwilę, a potem zerwał się na równe łapy. Otrząsnął się, by futro wróciło do właściwego stanu, i odbiegł w noc.

Zmierzch stawał się coraz głębszy i wkrótce zapadła noc. Twarz Tegan jaśniała, częściowo odbiciem światła płomieni, lecz przede wszystkim zauroczeniem.

Słuchaj znowu poprosiłam. Siedź spokojnie, zamknij oczy i dopuść do siebie dźwięki.

Zrobiła, jak kazałam. Mysz poruszyła się, wyczuwając w powietrzu coś dziwnego. Wspięła się po szkolnej bluzie Tegan i wskoczyła jej do kieszeni. Tegan czekała z godną podziwu cierpliwością. Wreszcie wzięła szybki oddech, a całe jej ciało napięło się.

– Co to jest? – wyszeptała. – Co to za hałas? Brzmi niemal jak... jak głosy.

Uśmiechnęłam się. Nie byłam pewna, czy będzie w stanie je usłyszeć. Zawsze wierzyłam, że jej wrażliwość pozwoli jej nawiązać połączenie, jednak dopóki taka chwila nie nadejdzie, nie można być pewnym, czy dana osoba jest tak otwarta i gotowa, jak byśmy chcieli.

– To faktycznie głosy – powiedziałam – wiele, wiele głosów. Nie każdy może je słyszeć. Tegan, masz szczęście. Ufają ci. Teraz otwórz oczy.

Zauważyłam, że się zawahała, ale tylko na chwilę. Kiedy uniosła powieki, powitał ją widok, który sprawił, że

dłoń sama uniosła się jej do ust, by powstrzymać krzyk. Bo niewątpliwie był to zdumiewający widok. Przed nami pojawiła się niespokojna grupa złożoną z co najmniej setki elfów, która lekkim krokiem przeszła obok ognia i stanęła przed nami. Małe istotki zdobiła szeroka gama najpiękniejszych kolorów, zaś ich delikatne skrzydełka poruszały się lekko w ciepłe ognia. Były podobnego wzrostu, nie większe niż kosy, a ich delikatne stopy chroniły doskonale uszyte buty. Walczyły o miejsce, pragnąc lepiej widzieć tę nową istotę ludzką, która zjawiała się pośród nich. Jedna z nich, może odważniejsza od pozostałych, podleciała w górę i opadła na kolano Tegan. Ta niezmiernie ostrożnie wyciągnęła rękę i elficzka wskoczyła na jej odwróconą dłoń. Tegan uniosła niemal zupełnie pozbawione ciężaru stworzenie do góry, na wysokość twarzy. Przyglądały się sobie nawzajem, równie oczarowane i zaskoczone tym widokiem. Elficzka zaczęła się wspinać po ramieniu Tegan, aż wreszcie dotarła do jej ucha i wyciągnęła dłoń, by dotknąć srebrnego smoka, który wisiał wzdłuż szyi dziewczyny. Tegan szybko odpięła kolczyk i ofiarowała go przybyłej, która aż klasnęła w dłonie z radości, a potem przyjęła podarunek i odleciała na dół, by pokazać go przyjaciołom. Elfy były tak zachwycone, że zaczęły tańczyć. Przyglądałyśmy się, jak filigranowe skrzydełka poruszają się i rozmazują, kiedy płały wokół ognia. Przez niemal godzinę siedziałyśmy zauroczone i oczarowane. Promienie księżyca pełniły rolę reflektorów, a blask ognia odbijał się w opalizujących strojach.

A potem, zupełnie jakby na jakiś tajemniczy sygnał, zebrały się na zwałonym pniu, pomachały na pożegnanie i zniknęły w lesie. Tegan przez wiele minut patrzyła w stronę, gdzie zniknęły, kiedy ostatni elf wtopił się w cienie pośród drzew. W końcu odwróciła się w moją stronę.

– Magia – stwierdziła posepnie. – To naprawdę magia.

A ty naprawdę jesteś czarownicą, prawda?

Wiedziałam, jakim torem podążają myśli w jej zdezoorientowanym umyśle.

– Prawda – odparłam – ale muszę się z tobą podzielić jeszcze jedną, ostatnią rzeczą. Wiem, że bez tego nie uda mi się ciebie przekonać, a ty z całą pewnością wierzysz, że wszystkie czarownice potrafią latać?

Zerwała się na równe nogi.

– Nie mów, że zamierzasz latać!

– Nie, nie ja. – Wzięłam ją za rękę. – My.

Zanim zdążyła zareagować, odrzuciłam głowę do tyłu, machnęłam ręką i uniosłyśmy się w powietrze. Gdy wzbijałyśmy się w nocne niebo, Tegan krzyknęła z przerażenia i zachwytu. Po osiągnięciu bezpiecznej wysokości, zatrzymałam się.

– Tylko trzymaj moją dłoń – poprosiłam. – Rozłóż ramiona, tak trzeba. A teraz leć za mną.

Już od dawna nie latałam. Zapomniałam, jak wielka to przyjemność. Moje serce śpiewało wolnością, lekkością, wdziękiem płynięcia w powietrzu, przelatywaniem nisko nad wierzchołkami drzew, wirowaniem, pikowaniem

w dół i wznoszeniem się do góry. Słyszałam śmiech Tegan, która nie potrafiła powstrzymać radości. Minęłyśmy śpiącą wioskę i przeleciałyśmy nad pofałdowanymi polami. Rodzina nietoperzy przyfrunęła na zwiady i towarzyszyła nam przez chwilę. Na odległym dębie zakrzeczała przerażona sowa. Leciałyśmy dalej, przecinając nocne niebo, koziółkując i odwracając się, a potem wspinając i wznosząc – równie wolne i wspaniałe jak jastrzębie. Wkrótce dotarłyśmy na wybrzeże. Pociągnęłam Tegan nad ciemną wodę i wskazałam w dół, na gładki ocean. Na powierzchni pojawiły się delfiny. Zeszłam nisko, żebyśmy mogły pędzić wraz z nimi, aż słona mgiełka zwilżała nam twarze. Wreszcie zawróciłyśmy i opuściłam nas obie przy ogniu w zagajniku. Tegan leżała na ziemi, dysząc z rozbawienia i zauroczenia. Powoli się uspokoiła i usiadła.

– Jak? – zapytała. – Jak to może działać? To znaczy, jak działa którakolwiek z tych rzeczy?

Spojrzałam na nią spokojnie.

– Słyszałaś moją historię. Wiesz, w jaki sposób stałam się tym, kim jestem.

Przez chwilę starała się przyswoić informację, którą jej właśnie przekazałam. Widziałam, że instynktownie chciała odrzucić ten pomysł jako coś bezsensownego, niemożliwego, fantastycznego. Ale po tym, co właśnie widziała, czego doświadczyła... Wiedziała teraz, że są rzeczy znacznie wykraczające poza to, co dotychczas uznawała za możliwe na tym świecie.

– Ty jesteś Bess, prawda? I Eliza? – I znacznie więcej innych.

Powoli pokręciła głową, nie zaprzeczając tej prawdzie, ponieważ widziała dowody, ale jakby po to, by wirujące myśli mogły wrócić na właściwe miejsce.

– Tegan, czy mi ufasz? Skinęła głową.

– Musisz zrozumieć pewne rzeczy. Rzeczy dotyczące... mnie samej. I innych, którzy są ze mną związani. Tegan, grozi nam niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo, którego ty nie możesz zobaczyć, lecz które mimo to jest całkowicie realne.

– Dlaczego ja miałabym być w niebezpieczeństwie? Przecież mam ciebie, a ty mnie ochronisz – stwierdziła.

Poczułam, że po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, łzy szczypią mnie w oczy. Och, jakże bardzo pragnęłam zapewnić tej dziewczynie bezpieczeństwo! To przeze mnie była zagrożona. Nie mogłam jej zawieść. Musiałam sprawić, by zrozumiała, jak potężnej mocy miałyśmy stawić czoła. Złu. Jeżeli miała mieć jakąkolwiek szansę przeżycia, musiałam zabrać ją dalej w głąb swego świata.

– Stwierdziłaś już, że nie jestem tym, za kogo mnie początkowo uznałaś. Wygląd zewnętrzny może mylić. Wiele innych osób podaje się za kogoś innego, niż jest. Szczególnie jedna.

– Ian? Masz na myśli Iana? Skinęłam głową.

– Ale ja go kocham. I on kocha mnie.

– Podobnie jak Eliza, jak ja, wierzyłam niegdyś, że Simon mnie kocha.

– Chcesz powiedzieć, że Ian to Gideon? – Energicznie pokręciła głową. – Nie! Nie, nie chcę tego słuchać.

– Musisz. – Nie!

– Tegan! – Ukłękłam obok niej i mocno przytrzymałam jej ramiona. – Wiem, jak bardzo cię to boli.

– Nie wiesz, nic możesz wiedzieć.

– Wiem! Wiem, co znaczy kochać i tracić. Ale musisz przyjąć prawdę, musisz mnie posłuchać.

Rozpłakała się.

– Proszę – powiedziałam miękko, przyciągając ją do siebie. – Posłuchaj. – Dorzuciłam do ognia jeszcze jedno polano i wepchnęłam je w ogień. Posłuchaj, opowiem ci ostatnią historię.

PASSCHENDAELE, FLANDRIA, ROK 1917

1

Wysiadłam z pociągu w miejscowości Saint Justine, dwanaście kilometrów na południowy zachód od Passchendacle, w miejscu, które tak naprawdę było jedynie przystankiem. W czasie pokoju perony przemierzało, w oczekiwaniu na rzadkie i na wpół puste pociągi, niewiele stóp. Teraz nawet w godzinach nocnych, kiedy większość ludzi wybrałaby sen, gdyby tylko go im zaproponowano, miejsce to tętniło nieustannym ruchem, pospiesznym i celowym. Gdy wysiedli już powracający żołnierze i cywile, do pociągu ładowano rannych. Wielu z nich było na noszach, inni o kulach, a po wszystkich widać było zmęczenie wojną i wszyscy zdecydowanie chcieli już być w domu. Wraz z niewielką grupą chirurgów i pielęgniarek torowałam sobie drogę wśród przyprawiającego o zawrót głowy zamieszania, wydostając się wreszcie poza obszar stacji na główną ulicę. Saint Justine było jedynie wsią, niczym więcej, i to dość niepozorną. Gdyby nie jej lokalizacja przy torach kolejowych czy niebezpieczna bliskość frontu, najprawdopodobniej nigdy nie zobaczyłabym tego miejsca ani o nim nie usłyszała. Teraz jednak na stałe wryło się ono w moją pamięć: nazwa, która mną wstrząsa jeszcze teraz, miejsce niewypowiedziane związane z bólem i poczuciem straty. Sa-

ma w sobie nazwa brzmi słodko i skłania usta do uśmiechu – *Saint Justine, Saint Justine*. Ale ja nigdy wcześniej nie poznałam miejsca bardziej uginającego się pod ciężarem ludzkiego cierpienia i łamiącego serce. Główna ulica w ówczesnej postaci oferowała kilka pustych sklepów, kawiarnię, piekarnię pozbawioną ciepła i zapachu, kościół z witrażami zabitymi deskami, opuszczoną szkołę i parę nijakich domów. Zabudowania mieszkalne kończyły się w miejscu, gdzie droga zakreślała wokół niewielkiego wzgórza. Po jego przeciwległej stronie założono tymczasowy szpital. Czy też, dokładniej mówiąc, Punkt Pomocy Medycznej, czyli PPM numer 13, Saint Justine. Numer 13 wydawał się niezwykle odpowiedni. Całość tworzyła miasteczko większych i mniejszych namiotów oraz drewnianych baraków. W promieniach letniego księżyca słabo połyskiwało kościaną bielą niestosownie jasne płótno. Gdyby komuś udało się odciąć od hałasu maszerujących stóp, wyrzaskiwanych rozkazów, jęków dobiegających z pospiesznie przenoszonych noszy oraz od odległego dudnienia ciężkiej artylerii, mógłby wyobrazić sobie, że znalazł się na ogromnym, radosnym pokazie rolniczym w przededniu jego otwarcia. Ale tamtych dźwięków nie sposób było od siebie odepchnąć. Ciągle je słyszę podczas bezsennych nocy.

Znalazłam wejście do namiotu pełniącego rolę izby przyjęć, gdzie wraz z dziewczyną o imieniu Kitty i ponurym wyglądzie, przyslaną z Korpusu Pierwszej Pomocy Pielęgniarskiej, zgłosiłyśmy pierwszej napotkanej

pielęgniarce gotowość pełnienia obowiązków; była to szeroka w ramionach dziewczyna, której płomiennorude kręcone włosy wysuwały się spod białego czepka.

– Ach, świeże twarze. Świetnie! Mam nadzieję, że po drodze udało wam się przespać, tutaj nie można na to liczyć. Chodźcie za mną, zabiorę was do gabinetu siostry przełożonej – powiedziała, ani na chwilę nie ustając w swym pełnym werwy i w pewien sposób niekobiecy chodzie.

– Jestem Arabella Gough-Strappington, ale, na miłość boską mówcie na mnie Strap. Wojna mogłaby się skończyć, zanim wypowiedziałybyście to wszystko.

Szłyśmy w nieprzerwanym strumieniu lekarzy, pielęgniarek, sanitariuszy, noszowych i chodzących rannych. Strap maszerowała zadziwiająco szybko, jak na kogoś tak potężnego, a jej pielęgniarski fartuch powiewał niczym napełniony wiatrem spinaker. Kitty i ja starałyśmy się za nią nadażyć.

– Ale nie dajcie się przestraszyć naszej Drogiej Przełożonej – powiedziała Strap przez ramię. – Ona więcej warczy, niż gryzie, oczywiście dopóki was nie chapnie. – Roześmiała się z własnego żartu, aż zadrżały jej ramiona, i głośny śmiech niemal zagłuszył dochodzące z frontu strzały.

Poprowadziła nas do mniejszego namiotu, w którym mieściło się biuro siostry Radcliffe. Siostra Radcliffe, która unikała swego bardziej formalnego tytułu Komendantki, była onieśmielającą istotą. Ze wszystkich porów jej skóry

emanowała operatywność i zdrowy rozsądek. Otaczała ją aura osoby, która przyzwyczajona jest do niekwestionowanego posłuszeństwa. Gdy weszliśmy, siedziała za biurkiem. Pomimo prezentacji dokonanej przez Strap bez pośpiechu pisała notatki. Wreszcie odłożyła pióro i spojrzała na nas zza okularów w metalowej oprawie. Westchnęła, jakby już rozczarował ją kaliber nowych rekrutów. Sprawdziła w księdze.

– Pielęgniarka asystująca Watkins...

– Tak, siostrze. Kitty Watkins. – Dziewczyna nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat, lecz jej twarz należała do znużonej osoby w średnim wieku.

– W Korpusie od 1916 roku – czytała przełożona. – Dość późno się zgłosiłaś, co? – Spojrzała na Kitty z autentycznym zakłopotaniem.

– Tak, siostrze. Znaczy się, nie, siostrze. – Kitty szybko straciła głowę pod tak badawczym spojrzeniem, a jej gwara z przedmieść stała się bardziej wyraźna. – Byłam potrzebna w domu. Mama się pochorowała. I mój mały brat, znaczy ma dopiero dwanaście...

– Czy twoja mama wyzdrowiała?

– Nie, siostrze. Ona wzięła i się zawinęła, psze pani, Siostra Radcliffe na chwilę zamilkła, a ja zastanawiałam się, czy skomentuje nieskuteczne umiejętności pielęgniarskie Kitty. Powiedziała jednak tylko:

– Przykro mi to słyszeć. Bądź tak miła i nie mów do mnie „pani”. Będiesz pracować w namiocie ewakuacyjnym. – Teraz zwróciła uwagę na mnie. – A ty jesteś...?

– Siostra Elise Hawksmith, siostro.

– Jak widzę, zawodowa pielęgniarka. – Zdjęła okulary i spojrzała mi w twarz, próbując mnie zmusić, bym opuściła wzrok. – Siostro, w czym jesteś najlepsza?

– Od dwóch lat jestem asystentką na oddziale chirurgicznym i na sali operacyjnej w szpitalu Saint Thomas w Manchesterze. Bardzo lubię swą pracę, siostro. Ale oczywiście z radością zrobię wszystko, co mi każą.

– Doprawdy. – Ponownie założyła okulary, postawiła szybko dwa znaczki w księdze, a potem ją odłożyła. – Zacznijmy od namiotu reanimacyjnego. Zobaczymy, jak bardzo będziesz tam „radosna”, co? Siostro Strappington, zaprowadź je na kwaterę.

Ranek nadszedł szybko. Kitty i ja znalazłyśmy kantynę i stanęłyśmy w kolejce po śniadanie. Podano nam słabą herbatę i szarą owsiankę. Rozglądałam się za Strap, ale nie było po niej śladu. Zastanawiałam się, jak długi może być jej dyżur. Pracowała, kiedy przybyłyśmy, zatem teraz z całą pewnością potrzebowała jedzenia i odpoczynku. Patrząc na spięte, blade twarze w pobliżu, dostrzegłam zaciętą determinację wypisaną na smutnej rezygnacji. Kitty również to zauważyła i stała się jeszcze bardziej przygaszona niż do tej pory. Skończyłam posiłek, kilkoma słowami dodałam Kitty otuchy, i skierowałam się do namiotu reanimacyjnego. Już po upływie kilku chwil w tym miejscu zrozumiałam, że siostra Radcliffe chciała mnie przetestować. W namiotach przedoperacyjnych i operacyjnych panował ruch, trwało leczenie i była nadzieja.

Namiot-oddział szpitalny pozwalał wszystkim osobom zbyt słabym, by móc podróżować, wydobrzeć odrobinę przed podróżą lub kontynuować leczenie. Namiot ewakuacyjny przygotowywał pacjentów do tak wytęsknionej podróży do domu lub do powrotu na front. Namiot reanimacyjny był czyścicem. Otchłania.

To właśnie tutaj mężczyźni zbyt słabi, by przeżyć operację, niezależnie od tego, jak bardzo była ona potrzebna, musieli trzymać się życia i czekać na poprawę swego stanu, która często nie nadchodziła. To tu za parawanami wili się ci wszyscy straszliwie poparzeni i zbyt słabi, by znieść zgiełk namiotu-oddziału szpitalnego, to tu poddawano ich bolesnemu i często nieskutecznemu leczeniu. To tu, w desperackiej próbie przywrócenia ciepła osłabionym sercom i gnijącym ciałom, umieszczono w nagranych łóżkach ludzi na wpół martwych po leżeniu w błocie ziemi niczyjej przez wiele wypełnionych strachem dni, cierpiących tam z powodu odniesionych ran, bez jakiegokolwiek pomocy. Szybko dowiedziałam się, że tu umiera znacznie więcej ludzi niż w jakiegokolwiek innej części PPM. A umierali powoli i w bólu.

– Siostrze Hawksmith! – Głos siostry Radcliffe wyrwał mnie z zamyślenia. – Nie wiem, w jaki sposób funkcjonują oddziały w szpitalu Saint Thomas, ale tu nie ma czasu na bezczynność.

– Przepraszam, siostrze.

– Kapralowi Daviesowi trzeba zmienić opatrunek. – Ledwie dostrzegalnym ruchem głowy wskazała łóżko

stojące najbliżej mnie, a potem przeszła dalej. – Kiedy tu skończysz, zajrzyj do szeregowego Spencera i kaprała Bainesa. Na stanowisku pielęgniarek przy wejściu do namiotu przypięty jest wykaz codziennych zmian opatrunków i terapii. Proszę go przeczytać z chwilą, gdy zaczniesz zmianę. Nie mam zamiaru ponownie przypominać ci o obowiązkach.

– Tak, siostró. – Z szatki stojącej na środku pomieszczenia wyjęłam świeże opatrunki i pospiesznie zajęłam się tym, co mi kazano.

Kapral Davies był niskim, młodym mężczyzną o rumianej twarzy, z burzą czarnych włosów i radosnymi błękitnymi oczami, których blask tłumili teraz ból i zmęczenie.

– Siostró, proszę nie pozwolić, by ona wpędziła panią w poczucie winy – powiedział z miękkim walijskim zaśpiewem. – Wie pani, że jest naszą tajną bronią? Kiedy na froncie skończą im się mężczyźni, wyślą ją na sam przód. Biedne Szwaby nie będą miały szans. – Próbował się zaśmiać, ale złapał go straszliwy atak kaszlu, a całe ciało ogarnęły bolesne skurcze. Związany z tym wysiłek jeszcze bardziej go osłabił i uspokoił. Spojrzałam na jego kartę. Powalił go szrapnel podczas bombardowania w trakcie nocnych działań. Niezdolny do ruchu, przez trzy doby leżał w wypełnionym wodą leju po pocisku, aż wreszcie noszowym udało się do niego dotrzeć. Choć większość ran, które odniósł, nie była poważna, ich liczba wydawała się niewiarygodna. Jego twarz była niemal nie-

tknięta, blaszany hełm zaś niewątpliwie ocalił mu życie, lecz całą klatkę piersiową i brzuch pokrywały rany i dziury. W wielu z nich ciągle tkwiły kawałki ostrego metalu, gdyż był zbyt słaby, by zdołał znieść operację. Większość żeber miał połamanych, a jakiś większy odłamek zmiażdżył lewy staw kolanowy oraz goleń wraz z kością strzałkową. Prawa stopa została niemal odcięta w okolicy kostki. Twierdził, że tylko dzięki zimnej błotnistej wodzie nie zwariował z bólu. Jego prawa noga utknęła pod takim kątem, że nie wykrwawił się na śmierć. Prawdę mówiąc, udało mu się nawet obłożyć ranę na kostce błotem, by zahamować upływ krwi. Ale ten sam muł i zimno, które pozwoliły mu zostać przy życiu, teraz odpowiadały za to, co go zabije, bez żadnej nadziei i wątpliwości. Brud pochodzący z błota wraz z gorącym metalem w ranach sprawił, że stały się one septyczne, a ciało wokół każdej z nich było boleśnie zaczerwienione i spuchnięte. Jediną rzeczą, która mogła teraz sprawić, że nie zabije go trucizna we krwi, było zapalenie płuc, którego nabawił się w swej wilgotnej pułapce. Te dwie śmiertelne choroby uczestniczyły teraz w wyścigu o życie tego nieszczęśnika. Zaczęłam zmudne zmienianie opatrunków. Pomimo odczuwanego z pewnością bólu, nie poskarżył się ani jednym słowem, nawet nie jęknął, gdy odrywałam gazę od jego wilgotnej i zaognionej skóry. Nie po raz pierwszy zdumiała mnie ludzka odwaga, siła ducha, którą mają niektórzy. A także ludzka zdolność do zadawania tak bezlitosnego cierpienia swym bliźnim.

Działałam zgodnie z wykazem pacjentów potrzebujących zmiany opatrunków. Każdy z rannych wydawał się prezentować zestaw obrażeń jeszcze gorszych od poprzedniego. Niektórzy z nich byli oślepieni i przerażeni, inni poparzeni tak, że ciężko ich było rozpoznać, jeszcze inni nie mieli kończyn i leżeli całkowicie bezradnie. A każdy z nich znosił swe cierpienie z cichym hartem ducha, który uczył mnie pokory. Początkowo zastanawiałam się, czy leżą tak cicho dlatego, iż nie mają siły się skarżyć, czy też porzucili walkę i czekają na śmierć. Ale szybko zorientowałam się, że to nie o to chodzi, a przynajmniej nie w przypadku większości z nich. Każdy z tych mężczyzn był zamknięty w swych własnych męczarniach i tylko niebiosy znały przerażenie, z jakim zmagali się w środku nocy, jednak gdy kryzys minął, potrafili znaleźć siłę do dalszej walki. Zastanawiałam się, czy to właśnie na tym polegało bycie prawdziwym żołnierzem. Nie tylko na walce, ale także na zdolności pokonywania własnych demonów, ciągle od nowa, zgodnie z rozkazami? W namiocie reanimacyjnym było tylko kilku żołnierzy pragnących śmierci, lecz i ich nie można było za to winić.

Pod koniec pierwszego dyżuru, jakieś dwanaście godzin od chwili, kiedy rozwinęłam pierwszy bandaż, z przerwą jedynie na półgodzinny posiłek w postaci wodnistej zupy, wróciłam do kaprała Daviesa. Spał niespokojnym snem, oddychał płytkim i urywanym oddechem. Nagle zbudził go gwałtowny atak kaszlu. Próbował się podnieść, więc

pospieszyłam mu z pomocą. Pochylił się do przodu, plując krwią, walcząc o ponowne wciągnięcie powietrza w zniszczone płuca. Potem opadł na poduszkę, a każdemu słabemu oddechowi towarzyszył straszliwy bulgot. Podniósł na mnie pełen paniki wzrok i chwycił moją dłoń.

– Nie...! – wycharczał.

– Szs, nie trzeba mówić.

– Nic... Spróbował ponownie, dobywając każde słowo z istic herkulesowym wysiłkiem. – Nic pozwól mi utonąć!

Pozwoliłam, by mnie trzymał za rękę, i zmusiłam się do patrzenia mu w oczy. Wiedział, co go czeka. Wiele godzin, a może dni, walki o każdy oddech, dławienia się, nudności i duszności, a wreszcie tonięcia we własnej krwi. Powoli ułożyłam mu jego dłoń na piersi i szczelnie go okryłam. Szukałam słów pociechy, nadziei, otuchy – bez skutku. Nie było przecież nadziei. I wiedzieliśmy to oboje.

Odeszłam od jego łóżka i wypadłam przez wejście do namiotu. Na zewnątrz była już noc, a powietrze było błogo czyste i chłodne. Szłam ze zwieszoną głową, nie bardzo wiedząc dokąd, pragnąc jedynie oddalić się od cierpienia w namiocie reanimacyjnym. Skreśliłam za róg i weszłam prosto na Strap.

– Hej! – Złapała mnie, ponieważ się zatoczyłam. – Spokojnie, staruszko. Nie możemy dopuścić, byś dołączyła do ofiar, co? – Przyjrzała mi się uważniej. – Wyglądasz na wykończoną. Chodź, czas usiąść i zapalić. – Poprowa-

dziła mnie za kwaterę pielęgniarek, na stopień prowadzący do rzadko używanych tylnych drzwi. Usiadłyśmy, nie dbając o to, że mokre drewno i błoto ubrudzą nasze fartuchy, nie dbając o nic poza potrzebą przerwy. Wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów i podała mi jednego. Widząc moje wahanie, uspokoiła mnie:

– Możesz zapalić. To jedyna rzecz, którą możemy robić wszyscy.

Podała mi ogień, więc pochyliłam się do przodu. Przez chwilę siedziałyśmy bez słowa i paliłyśmy. Potarłam skronie, zastanawiając się, w jaki sposób udało jej się zachować tyle radości w obliczu tych wszystkich wyzwań, którym musiała codziennie stawiać czoła. Zauważyła moje znużenie.

– Nie muszę pytać, co sądzisz o reanimie – stwierdziła. – Fatalne miejsce. Spędziłam tam kilka miesięcy. Cholerna ulga, kiedy przenieśli mnie na oddział przedoperacyjny, nie wstydzę się przyznać – Niektórzy z nich są tacy młodzi.

– Dzieci. Jeszcze dzieci.

– A my tak niewiele możemy zrobić.

– Obawiam się, że są lepsi w rozrywaniu ludzi na kawałki, niż w zszywaniu ich z powrotem do kupy, taka jest prawda. – Oparła się o framugę drzwi. – Wydaje mi się, że zawsze tak było.

– W przed operacyjnym przynajmniej mają jakąś szansę – stwierdziłam, czując mdłości po trzecim zaciągnięciu się dymem papierosowym. – Na reanimie, cóż,

większość z nich nie trafi nawet na salę operacyjną. Dla niektórych z nich byłoby lepiej...

– Nie mów tak! – Strap niespodziewanie wpadła w gniew. – Możesz mówić cokolwiek innego, skoro musisz, ale nigdy, przenigdy, nie mów tego, co właśnie zamierzałaś powiedzieć. Jesteśmy tu, by leczyć, by pomóc tym mężczyznom wyzdrowieć.

– A ty naprawdę wierzysz, że to najlepsze dla wszystkich? Żeby ich pozszywać i odesłać do domu, niezależnie od tego, w jakim są stanie, jakie ich czeka straszliwe życie?

– Pewnie, że tak. W przeciwnym razie, jaki to ma sens? – Ponownie ściszyła głos. – Jaki to, do cholery, ma sens?

Spojrzałam na jej mocne, otwarte rysy z podziwem dla jasności jej myśli. Jej poczucia celowości. Jej zdecydowania. Myślałam o spalonym cieniu chłopca na narożnym łóżku, o bezcelowym cierpieniu kaprała Daviesa i nie umiałam się z nią zgodzić. Życie za każdą cenę? Pragnęłam dzielić jej pasję, ale nie byłam w stanie. Czy to dlatego, że pewne rodzaje cierpienia uznawałam za niedopuszczalne, czy też może dlatego, że ja sama czasami postrzegałam życie jako przekleństwo? Ja, która kręciłam się po tej planecie od wieków, obserwując bezustanną walkę, bitwę i szarpaninę, którą ludzie musieli znosić. Czy śmierć może być czymś tak strasznym? Czyż nie ma przypadków, gdy jest ona najlepszym rozwiązaniem? Czy też zastanawiałam się nad tym, ponieważ mnie jej odmó-

wiono? Nie byłam pewna.

Strap wstała i obcasem zgmiotła niedopałek papierosa.

– Chodź – powiedziała lekko. – Lepiej wrzucić coś na ruszt. Ale uważaj – reanima to pestka w porównaniu z tym, co tu podają w charakterze gulaszu.

Kiedy weszliśmy do jadalni, uderzył nas kuchenny odór. Był tak ohydny, że zastanawiałam się, jak ktokolwiek może wytrzymać w tym pomieszczeniu, nie wspominając już o tym, że ktokolwiek mógłby jeść tę kleistą mieszanę nadpsutego mięsu i słonego sosu, która przelewała się w naszych miskach.

– Chciałabym ci powiedzieć, że człowiek się do tego przyzwyczaja – stwierdziła Strap, podwijając rękawy – lecz okrucieństwem byłoby dawać ci fałszywą nadzieję. Módl się o szybką dostawę paczek z domu lub, na miłość boską, napisz do kogokolwiek znajomego, kogo udałoby się nakłonić do przysłania nam bovrilu [Bovril to nazwa handlowa gęstego, słonego ekstraktu mięsa, z którego po rozpuszczeniu w wodzie powstaje esencjonalny bulion – przyp. tłum.] i herbatników.

Godzinę później, z żołądkiem wciąż walczącym o za-trzymanie odrażającej kolacji, którą w niego wepchnęłam, umyłam się szybko w zimnej wodzie, zdjęłam fartuch i w bieliźnie wpęzłam do łóżka. Nie miałam dość energii, by odszukać nocny strój, a nie chciałam tracić bezcennego czasu, który mogłam przeznaczyć na sen. Okazało się, że była to mądra decyzja. Miałam oczy zamknięte przez niewiele ponad godzinę, gdy obudziło mnie brutalne potrząsanie Kitty.

– Obudź się, Elise! Siostra mówi, że wszystkie mamy się stawić za pięć minut. No rusz się, już!

– Co się dzieje? – spytałam z zapuchniętymi oczami. Strap skończyła sznurować buty i wstała.

– Nieudany atak. W naszą stronę jedzie kolumna wozów z rannymi. Obawiam się, że „wszystkie ręce na pokład”.

Narzuciłam fartuch i popędziłam za nią. Siostra Radcliffe stała przed kwaterą pielęgniarek i wydawała rozkazy.

– Siostra Strappington, siostra Hawksmith, namiot przyjąć. Szybko, proszę.

Strap zerknęła na mnie.

– Och, na Boga – mruknęła – naprawdę rzucają cię na głęboką wodę, co, staruszek? Spokojnie. Trzymaj się i nie oczekuj, że zdasz cuda. Będzie ci to potrzebne. – Wcisnęła mi do ręki paczkę papierosów.

– Ale chyba nic będzie czasu na przerwę...?

– Nic są dla ciebie, gąsko, są dla mężczyzn. Najczęściej to wszystko, czego pragną. I w większości wypadków to i tak wszystko, co możesz dla nich zrobić.

Już miałam ruszyć za nią, gdy wyczułam, że ktoś mi się przygląda. Oczywiście, całe życie spędziłam oglądając się za siebie, słuchając nieznanych kroków i ogólnie rzecz biorąc, zachowując czujność na wypadek, gdybym została odnaleziona. Nic ponad to, co zrobiłoby jakiegokolwiek inne stworzenie, które było kiedyś ofiarą. Ale zanim znalazłam się we Flandrii, nie czułam jego obecności już od wielu lat.

Obecności Gideona. Wiazałam to w znacznej mierze z faktem, że przeprowadzałam się znacznie częściej. I z tym, że nie korzystałam z magii. Niezależnie od powodów, byłam przekonana, że od wielu dziesięcioleci nie znalazłam się nawet w jego pobliżu. Nawet teraz, w chwili gdy się zatrzymałam z powodu przemożnego poczucia, że ktoś wbija we mnie wzrok, byłam pewna, że to nadal nie on. Duch był potężny, lecz całkowicie dobrotliwy. Odwróciłam z lekka głowę i przyjrzałam się napierającej na mnie ciżbie ludzi. Wkrótce go znalazłam. Był to wysoki, młody żołnierz o szerokich ramionach. Oficer, jak wynikało z jego munduru. Wąsy miał bardziej sumiaste niż większość mężczyzn, a jego oczy były łagodne. Opierał się na lasce, jednak poza tym sprawiał wrażenie sprawnego i silnego. Stał całkowicie nieruchomo i patrzył wprost na mnie. Pośród tego chaosu i strachu był maleńką wysepką ciszy. Spokoju. Zapatrzyłam się w niego i doznałam niespodziewanej i niezrozumiałej tęsknoty za domem swego dzieciństwa w Wessex. Zaskoczona, nie odrywałam od niego wzroku, a właściwie przyglądałam się, jak na mnie patrzy. W ciemności i z odległości około dwudziestu jardów ciężko było wyraźnie zobaczyć jego twarz. Prawdę mówiąc, nie czułam, że go w ogóle widziałam – raczej, że się z nim połączyłam. Oboje staliśmy w bezruchu, zamknięci w tym dziwnym spotkaniu, aż usłyszałam, jak siostra przełożona wykrzykuje moje imię, co przywróciło mnie do rzeczywistości. Chwiejnie szłam w stronę punktu przyjęć w tłu-

mie pędzących sanitariuszy i pielęgniarek. Kiedy się odwróciłam, żołnierz zniknął.

2

Spałam tak źle, że o piątej rano przestałam nawet próbować. Wymknęłam się z sypialni i poza obręb punktu medycznego, kierując się w stronę przeciwną do tej, z której dobiegał łoskot artylerii. Ciemność zaczęła już nabierać kolom typowego dla godzin przed świtem, więc dość dobrze widziałam drogę. Niebawem wyszłam poza wioskę i ruszyłam ścieżką wśród pofałdowanych pól, niedotkniętych dotychczas wojną, jeśli nie liczyć porzucenia. Krótkotrwała wolność od szaleństwa namiotów i ich tragicznych mieszkańców. Tutaj byłam w stanie przekonać samą siebie, że normalne życie, czymkolwiek ono było, trwa nadal. I że będzie trwać również po skończeniu chaosu szalejącego zaledwie parę mil dalej. Znalazłam powaloną omszałą bramę i usiadłam na niej, by obejrzeć wschód słońca. Światło zaczęło się zmieniać, nadając bursztynowego blasku płaskiemu krajobrazowi przed moimi oczami. Odezwały się pierwsze ptaki. Były to skowronki, gawrony i zięby. W trawie o uwagę rywalizowały maki i nagietki, tak czyste, jasne i bezwstydnie piękne. Jakże bardzo potrzebowałam przypomnieć swemu znużonemu sercu, że życie będzie trwać. Że na odkrycie ciągle czeka wiele dobrych rzeczy, nawet w tak przerażającym miejscu. Stwierdziłam, że płaczę. Z powodu mężczyzn, których oczy na zawsze pozostaną zamknięte i którzy już nigdy nie ujrzą tych cudownych rzeczy.

Z powodu pozostałych w domach matek, które straciły swych chłopców i które już nigdy nie doświadczą radości. Z powodu bezcelowości tego wszystkiego. Mojej własnej bezradności. W końcu nie mogłam już dłużej ignorować tego cichego głosu we własnej głowie. Pradawnego głosu, głosu, który uciszałam, i którego nie chciałam słuchać po tym, co się stało w szpitalu Fitzroy. Przyrzekłam sobie, że porzucę magię. Już nigdy, używając jej, nie przyciągnę Gideona do siebie i nie oddam innych niewinnych ludzi w jego złowrogą moc. Od tamtej pory wiodłam takie kłamliwe półżycie – pełną napięcia, odrętwiałą egzystencję, odrzucając swe prawdziwe ja. Ale teraz, siedząc na bramie otoczonej przez piękno i dobro, wiedziałam, że nie mogę dłużej udawać. Odwaga rannych mężczyzn była dla mnie lekcją pokory. Jakim tchórzem musiałabym się okazać, by stawić własne bezpieczeństwo ponad ich? Jakąż kobietą bym była, nie niosąc pomocy i opieki tam, gdzie była tak bardzo potrzebna? Jaką czarownicą bym była, gdybym nie użyła całych swych zdolności do leczenia? Przestałam płakać i uniosłam twarz ku słońcu. Pozwoliłam, by ciepłe promienie dotknęły mej twarzy. Wchłonełam ich energię. Wciągnęłam w płuca słodkie wiejskie powietrze.

– Niechże tak będzie – powiedziałam głośno. – Niechże tak będzie.

Kiedy wróciłam do PPM, było już za późno na śniadanie, zatem poszłam prosto do namiotu reanimacyjnego. Gdy się do niego zbliżyłam, do moich uszu dobiegły

dziwne dźwięki: zduszone, nieludzkie krzyki, od których cierpła mi skóra. Kapral Davis utknął w delirycznym koszmarze.

Rozejrzałam się po sali. Żaden z pacjentów nie odpowiedział na moje spojrzenie. Najwyraźniej wszystkich dotknęło cierpienie towarzysza. W łóżku za moimi plecami inny żołnierz wysyczał błagalnie przez zaciśnięte zęby:

– Siostró, ucisz go. Na litość boską, ucisz go!

Cały dyżur spędziłam z uczuciem niepewności i niepokojem. Wiedziałam, co powinnam zrobić, ale byłam świadoma ryzyka i konsekwencji, gdyby mnie przyłapano. Czekałam stosownej chwili. O szóstej wieczorem lekarz skończył obchód, a siostra Radcliffe skierowała się do swego biura. Zostałam z jedną tylko pielęgniarką, nerwową dziewczyną z Wysp Brytyjskich.

– Idź i zjedz kolację – powiedziałam jej. – Ja tu skończę.

– Jesteś pewna?

– Dziś jest spokojnie. Poradzę sobie. No idź. Jeśli się pospieszysz, może nawet uda ci się zdobyć odrobinę świeżego chleba.

Nie potrzebowała dalszej zachęty i odeszła niemal sprężystym krokiem. Sprawdziłam, czy pacjentom jest wygodnie i czy są spokojni, a potem rozstawiłam parawan wokół łóżka kaprala Daviesa. Wzięłam jego kartę i przeczytałam imię. Danny. Nie Daniel, tylko Danny. Był czyimś synem, mężem, być może ojcem. Danny Davies

z odległego, bardzo odległego miejsca z górami i soczyście zieloną trawą, i chmurami pędzącymi po niebie. Spojrzałam na postać o świszczącym oddechu, dygoczącą na łóżku, i pomyślałam, jak bardzo to okrutne, że musi cierpieć tak bardzo, i to tak daleko od domu. Przysunęłam się tak, by klęknąć obok niego. Wyciągnęłam rękę i ujęłam jego dłoń. Poruszył się i popatrzył na mnie. Nie spał, tylko zamknął oczy na okropność bolesnego świata.

Spojrzałam mu w oczy i pochyliłam się niżej.

– Danny, nie umiem cię wyleczyć. Przykro mi, lecz nie jestem w stanie cofnąć tego, co się stało z twoim biednym ciałem. Nie umiem przywrócić tego zdrowego, młodego mężczyzny, którym niegdyś byłeś, a przynajmniej nie tutaj. Ale mogę ci pomóc, mogę zakończyć twoje cierpienia, Danny, mogę cię wysłać w cudowne miejsce, wolne od bólu, pełne szczęścia i miłości, gdzie znów będziesz cały. Rozumiesz?

Spojrzał na mnie spod trzepoczących powiek. Przez chwilę nie odpowiadał, a potem niemal niezauważalnie, jednak jednoznacznie, skinął głową.

– Czy naprawdę tego chcesz, Danny? Powiedz mi. Muszę wiedzieć, że właśnie tego pragniesz.

Oddychał teraz szybciej. Jego usta poruszały się boleśnie. W końcu, wraz z wydechem, najwyraźniej z głębi jego serca, dobiegło jedno, gwałtowne słowo.

– Taaaaak!

Skinęłam głową i wyprostowałam się. Zamknęłam oczy, lecz przez cały czas trzymałam rękę na jego dłoni.

Powoli się skupiłam. Zwróciłam ku swej duszy. Zajrzałam w głąb siebie, we własną istotę, szukając. Szukając od dawna ukrytego skarbu. Stopniowo zaczął się poruszać. Początkowo z przerwami, a potem z coraz większą mocą i prędkością, poczułam, jak wzbiera we mnie magia, wypełniając mnie ponownie. Zaczęła krążyć mi w żyłach, wniknęła w układ nerwowy, popłynęła przez serce. Zalała mnie. Czułam, że promienieję mocą i niesionym przez nią cudem. Tak dobrze było znowu być całością, po tak długim czasie uśpienia i samotności. Otwarłam oczy. Danny przyglądał mi się uważnie, ale w jego twarzy nie widziałam strachu. Pozwoliłam, by moja głowa opadła w tył, i zaczęłam szeptać zakęcie. Początkowo cichutko, a potem tak głośno, na ile się ośmieliłam, nie przeszkadzając tym mężczyznom śpiącym za parawanem. Powtarzałam inkantację raz za razem, wkładając w każde słowo całą tęsknotę tych wszystkich suchych, jałowych lat. Już po chwili otrzymałam odpowiedź na wezwanie. Przyłączyły się do nas. Wirująca zielona mgiełka zgęstniała i rozjaśniła się, dzięki czemu wkrótce byłam w stanie rozróżnić w niej twarze i unoszące się kształty wielu spośród moich sióstr. Danny poruszył głowę, próbując śledzić pochod wirujących pięknych postaci, które tańczyły wokół niego i nad nim.

Ścisnęłam jego dłoń, pewna, że nic poczuje bólu. Powietrze wypełnił niemal przytłaczający zapach róż. Spojrzał na mnie znowu, tym razem oczarowany.

– Nie bój się, Danny. Summerlands to wspaniałe

miejsce. Idź teraz. Bądź wolny. Bądź znów silny i szczęśliwy.

Moje siostry zaczęły krążyć wokół niego coraz szybciej, aż wreszcie w jednym pulsującym wirze uniosły się w górę. Tam, pośród nich, zobaczyłam także duszę Danny'ego. Nie był to ten mizerny, wyniszczony cień człowieka, który leżał przede mną. Był to Danny cały, znów pełen energii i młodzieńczej siły. Spojrzał na mnie z uśmiechem tak radosnym, że się rozplakałam. W tym momencie wiedziałam, iż zrobiłam właściwą rzecz. Cokolwiek miało nadejść, niezależnie od konsekwencji, dokładnie to powinnam zrobić. Innej drogi nie było. Nagle, w mgnieniu oka, zniknęli wszyscy. Niewielka przestrzeń znów stała się cicha i spokojna. Ciało Danny'ego było puste. Puściłam jego martwą dłoń i pospiesznie wyszłam z namiotu.

W kwaterze pielęgniarek wszyscy spali. Usiadłam na łóżku, z sercem ciągle tłukącym się w piersi, z rozszalałymi myślami i mrowiącym ciałem. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczułam, że naprawdę żyję. Siedziałam przez niemal godzinę, niezdolna zabrać się do tak przyziemnej czynności, jak rozebranie się i wejście do łóżka. Wiedząc, że i tak nie dam rady spać. Dopadły mnie na nowo wzniecone wspomnienia, na nowo odkryte więzi i przyjaźnie, radość, że znów wypełnia mnie magia. Byłam tak bardzo pogrążona w myślach, że obecność siostry Radcliffe zauważyłam dopiero wówczas, gdy stanęła przede mną. Zaskoczona, zerwałam się na równe nogi

w przekonaniu, że mój zmieniony stan nie ujdzie jej uwadze. Przez chwilę przyglądała mi się uważnie, z zaciśniętymi ustami.

– Siostrze Hawksmith – powiedziała głosem jeszcze bardziej oschłym niż zwykle – proszę pozwolić do mojego biura. W tej chwili.

3

Nie skłamałabym, twierdząc, że przełożona zaprowadziła mnie do swego biura niemal siłą. Przygotowywałam się na to, co miało nastąpić. Zakładałam, że do tej pory odkryto już śmierć kaprała Daviesa. Pomyślałam sobie, że ktoś musiał wspomnieć, iż niedługo po zakończeniu dyżuru siedziałam przy jego łóżku. Czy inni pacjenci słyszeli dziwne dźwięki dobiegające zza parawanu? Czy to możliwe, że widzieli duchy lub słyszeli inkantacje? Nie podałam mu żadnych leków. Z całą pewnością nie było dowodów, że mogłam mieć cokolwiek wspólnego z jego śmiercią. Jednakże, pomimo niezwykle chwiejnego stanu Danny'ego, nie spodziewano się, że umrze tak szybko. Siostra Radcliffe usiadła za biurkiem i, ku mojemu zaskoczeniu, poprosiła, bym również usiadła.

– Obserwuję cię uważnie od chwili przybycia, sostro – oznajmiła. – Przyznaję, że niektóre z twoich metod uważam za, powiedzmy, nieortodoksyjne. Niemniej udowodniłaś, że jesteś osobą pracowitą, sumienną, kompetentną, a także, co być może najważniejsze, zdolną zachować zimną krew.

Zaskoczyła mnie. Ostatnią rzeczą, jakiej spodziewałabym się po niej, była jakakolwiek pochwała.

– Dziękuję, sostro – odrzekłam.

– W czasie pokoju byłyby to cechy, których wymagałabym od wszystkich pielęgniarek bez wyjątku. Jed-

nakże nie jest to czas pokoju. To niezwykle okoliczności i wiele z dziewcząt nigdy nawet nie pomyślałoby o rozwijaniu bandaża, gdyby nie wojna. Powiem tylko, że większość z nich nie jest urodzonymi pielęgniarzkami. Prawdę mówiąc, niewiele jest tu takich, które uważam za godne tej nazwy. Ale musimy wyciągnąć możliwie najwięcej z tego, co mamy. Dlatego właśnie moja praca polega na tym, by najlepszą opiekę zapewnić tym, którzy jej potrzebują, a to często oznacza, że moje najlepsze pielęgniarki są przeciążone i pracują w znacznym napięciu.

Przerwała, a ja zastanawiałam się, czy czeka, żebym coś powiedziała. Nadal nie miałam pojęcia, dokąd zmierza ta przemowa, więc siedziałam nieruchomo i bez słowa.

– Wynik jest taki – ciągnęła siostra – że mam dylemat. Czy powinnam za wszelką cenę zatrzymać najzdolniejsze z podwładnych tutaj, w PPM, gdzie wiem, iż ich talenty zostaną wykorzystane? Czy też powinnam, zgodnie z poleceniem, zrzec się cennej pary wyszkolonych rąk, by wspomóc szpital polowy, w którym drastycznie brakuje personelu?

– Szpital polowy? Na froncie?

– Właśnie. – Wzięła pismo ze schludnego stosu papierów na biurku i zaczęła go czytać. – Prośba pochodzi od samego głównodowodzącego. Nie prosi bez przyczyny.

– Czy to zwykła praktyka? Wysyłać pielęgniarki, kobiety, tak blisko frontu?

– Nie. Ale wkrótce ma dojść do głównej ofensywy. Mówiąc o tym, nie zdradzam żadnych tajemnic, bo przez

ostatnie kilka dni słyszałaś aliancki ostrzał. Poprzedza on rozkaz natarcia. Uważa się, że to może być ostateczne uderzenie. Nasz długotrwały ogień artyleryjski ma taki charakter, że zgodnie z powszechnym przekonaniem zagrożenie dla naszych własnych ludzi będzie minimalne. Nie spodziewamy się ciężkich przypadków. Jednakże liczba zaangażowanych w to żołnierzy jest ogromna i lekarze wojskowi potrzebują większego wsparcia. Wszystkie PPM poproszono o wysłanie kogoś. – Podniosła wzrok znad listu. – Cóż, siostró Hawksmith, czy uważasz, że podołasz temu zadaniu?

– Cóż, tak, siostró. Chętnie zrobię wszystko, co trzeba. Pochlebia mi ta prośba.

– Niepotrzebnie. Wysłałabym siostrę Strappington, ale bez niej sobie nie poradzimy. Ty jesteś druga na liście. Proszę na rano spakować swoje rzeczy. Pojedziesz jedną z karetek wraz ze środkami medycznymi, o które prosili. A teraz proszę się przespać.

Wstałam.

– Dziękuję, siostró – powiedziałam. – Nie zawiodę pani. – Niemal dotarłam do wyjścia, gdy odezwała się ponownie.

– I jeszcze jedna rzecz, siostró. Kapral Davies zmarł dziś wieczorem.

Cieszyłam się, że stoję do niej tyłem. Przywołałam na twarz możliwie obojętny wyraz i odwróciłam się.

– Przykro mi to słyszeć, siostró – stwierdziłam.

– Naprawdę? Naprawdę, siostró? Nie wierzę. – Spoj-

rzała na mnie zmrużonymi oczami, a potem wróciła do pracy. – Proszę się pospieszyć – rzuciła.

Następnego dnia pożegnałam się szybko z Kitty i Strap i wspiełam na przednie siedzenie karetki. Masko samochodu miała głębokie wgniecenie. Kierowca z ponnurą radością powiedział mi, że to ślad po odłamku, pamiątka po niebezpiecznym bliskim spotkaniu z niemieckim pociskiem. Torbę wcisnęłam pod nogi i przywarłam do pozbawionej drzwi ramy samochodu z otwartym przodem, który wyboistą szosą wyjechał z Saint Justine w kierunku linii frontu. Wkrótce zjechaliśmy z szosy, skręcając na nierówną drogę łączącą stację kolejową z linią frontu. Była to główna trasa wszystkich dostaw, a także, z powodu swej dogodności, droga transportu rannych do szpitala oraz uzupełnień dla batalionów już przebywających w okopach. Kiedy karetka podjechała bliżej do stanowisk naszej artylerii, huk dział stał się naprawdę przerażający. A im bardziej oddalaliśmy się od wioski, tym bardziej złowrogi stawał się krajobraz. Zniknęły porośnięte kostrzewą pola i pełne ptaków żywopłoty. Prawdę mówiąc, zniknęły wszelkie ślady zwykłej działalności rolniczej. Nisko położone pola pod nieustępliwym naporem wozów, bomb, odzianych w ciężkie buty stóp i nietypowych dla tej pory roku deszczy zmieniły się w błotnistą, jałową ziemię. Widać było jedynie szarobrazową wilgoć przetykaną wypełnionymi wodą lejami po pociskach. Błoto pocięte było zygzakowatymi okopami i wejściami do podziemnych schronów. Gdzieniegdzie

widniały fragmenty zasieków z drutu kolczastego. Tylko tyle pozostało po wcześniejszych postępach armii: linia narysowana wcześniej w dowolnym miejscu na mapie, która przekładała się na ranę w krajobrazie, pociętym i pokrytym zasiekami, wypełnionym krwią młodych ludzi. Deszcz, padający nieprzerwanie od wielu dni, najwyraźniej nie zamierzał przestać. Nie było jednak nadziei, że zmyje plamy pozostawione na łagodnym krajobrazie przez tę rzeźnię. Nie był też w stanie oczyścić ziemi z wszechobecnego, przytłaczającego smrodu śmierci. Przycisnęłam dłoń do ust, zaskoczona, że żaden z przechodzących żołnierzy nie wydawał się zważać na nieznośny odór wypełniający moje nozdrza i prowokujący wymioty. Byłam zmuszona dojść do wniosku, że już go nie czuli, tak bardzo się do niego przyzwyczaili. Był to smród stojącej wody, gnijących roślin, kordytu i dymu, a nade wszystko rozkładających się ciał. Napotkałam go już tyle razy i w tak różnych postaciach. Martwa owca za żywopłotem. Zmrożone zarazą ciało, które zbyt długo pozostało w domu. Włóczęga, za którym nikt nic tęsknił, rozkładający się w alejce. Szpitalna kostnica w ciepły dzień. Nie dało się go z niczym pomylić. Wreszcie karetka się zatrzymała.

– Dotąd jadę – oznajmił kierowca. – Tu wyładuję środki medyczne, które zostaną przeniesione dalej, do szpitala polowego. Jeśli poczeka pani chwilę, będzie pani mogła iść z nimi.

Wysiadłam z pojazdu. Przez maskę gazową i ciężki płaszcz poruszałam się niezdarnie i robiłam wszystko, by

usunąć się z drogi mężczyznom wezwanym do przeniesienia skrzynek i noszy. Kierowca nawet nie próbował ukryć swej chęci odjazdu i z chwilą, gdy wyładowano ostatnie przedmioty, uruchomił krztuszący się silnik i zniknął.

– Proszę trzymać się blisko – nakazał przechodzący sierżant. – Siostrzo, proszę teraz patrzeć pod nogi. Nie chcemy przecież pani stracić, co? W porządku, chłopcy. Zanieśmy to wszystko do lekarza, możliwie najszybciej.

Ciągle znajdowaliśmy się dość daleko od pierwszych okopów, ale drogi nie było. Weszliśmy natomiast na skomplikowaną sieć kładek. Drewniane deski pokryte były warstwą śliskiego błota, a miejscami były zanurzone pod niebezpiecznymi kątami. Podczas naszej przerywanej wędrówki niektóre z nich zagłębiały się i chygotały, więc z zaskoczeniem dostrzegłam stada koni i mułów, które po tych prowizorycznych ścieżkach ciągnęły wozy z zapatrzeniem, a nawet działa. Zwierzęta szły naprzód ze stoickim spokojem. Nieustanna konfrontacja z hukami i błyskami przed nimi musiała je na nie uodpornić. To lub straszliwe zmęczenie. Odsunęliśmy się na bok, żeby jedna z takich grup mogła przejść. Pyski idących na przedzie koni pokrywała piana, a ich brązowe boki były mokre z wysiłku. Kopyta ślizgały się na zdradliwej nawierzchni, jednak mimo to napierały na chomąta, poganiane przez woźnicę siedzącego na największym z czwórki koni. Dwóch kolejnych dosiadali kanonierzy. Za lawetą szedł oficer. Krok miał pewny i energiczny, lecz była w nim

jakaś nierówność. Gdy zrównał się ze mną, rozpoznałam w nim żołnierza, którego widziałam przed namiotem przyjąć. On też mnie zobaczył i przystanął. Zaskoczony, uśmiechnął się, a ja odpowiedziałam tym samym. Po chwili zorientowaliśmy się, że reszta nas obserwuje.

– Proszę mi wybaczyć, siostró – powiedział. – Dobre maniere nie mają się tu, na tym wyłomie, zbyt dobrze. – Gdzieś na krawędzi jego głosu słyszeć było śmiech oraz niemal niezauważalny ślad kaledońskiego pochodzenia. – Porucznik Carmichael, dziewiąty batalion. Królewski Pułk Szkocki, zaskoczony, lecz też zachwycony spotkaniem z panią. – Podał mi dłoń, a ja ją uścisnęłam.

– Siostra Hawksmith. Przesłano mnie tu z PPM w Saint Justine do pomocy w szpitalu polowym.

– Ach, więc tak to nazywają?

– Słucham?

– To nie bardzo przypomina szpital. Prawdę mówiąc, to bardziej rozbudowany punkt pierwszej pomocy. Ale pani jest właśnie tą osobą, której potrzebują, tego jestem pewien. Zaprowadzę tam panią osobiście. Polubi pani lekarza. Wygląda, jakby miał go zdmuchnąć lekki wietrzyk, ale ten człowiek ma doświadczenie. Trudno marzyć o lepszym.

Dotrzymywałam mu kroku, choć w tym celu musiałam zwolnić.

– Pan z całą pewnością powinien się leczyć, poruczniku. Pańska noga...

– Jest w absolutnym porządku, dziękuję za troskę.

Nigdy nie będę sprinterem, ale mimo to dalej mogę od świtu do zmroku chodzić po wrzosowisku. Dla mnie to wystarczający test sprawności. – Przerwał raptownie, unosząc oczy ku niebu. Wydawał się usłyszeć coś, czego ja nie słyszałam. W następnej chwili rzucił mnie na ziemię i przykrył własnym ciałem. Dopiero lądując na deskach, usłyszałam nadlatujący pocisk.

Ostrzał był bezładny, gwałtowny i bezlitosny. W próbie nieskutecznej ochrony zacisnęłam oczy i zakryłam dłońmi uszy, a śmiertelny metal rozdarł powietrze i eksplodował ledwie kilka jardów od miejsca, gdzie leżeliśmy. Huk eksplozji zastąpił teraz kwik koni. Podnieśliśmy się na nogi. Trzech żołnierzy leżało martwych, przyjąwszy na siebie główną siłę wybuchu.

O ich śmierci, a naszym życiu, zdecydował jedynie ich pech, a nasze szczęście, nic więcej. Przerazone konie spłoszyły się i zeskoczyły z kładki, wciągając ciągnięty ładunek w błoto. Jeden z nich oberwał odłamkiem w pierś i leżał martwy na boku, pozostałe trzy zaś szarpały się i kwiczały w mulistej wodzie, która sięgała im już do brzuchów. Dwóch kanonierów wspięło się na działo.

Woźnica przywarł do grzbietu własnego konia, gorączkowo próbując uspokoić przerażone zwierzę. Jego słowa ginęły w hałasie i chaosie, a konie zanurzały się i chrapały, podejmując desperackie próby wyrwania się z zasysającego je błota, w które wbiegły.

– Zejdźcie! – krzyknął do mężczyzn porucznik Carmichael. – Zsuńcie się po działo!

– Muszę odwiązać konie, poruczniku! – odparł woźnica, sięgając ku zanurzonym już łańcuchom i szorom.

– Nie ma czasu. – Z pozostałych żołnierzy porucznik utworzył łańcuch, który miał dosięgnąć żołnierzy klęczących teraz na końcu lawety. Jedynie lufa działa wystawała jeszcze nad wciągające ją ciekłe błoto. – Woźnico, zostaw konie, to rozkaz! I to już, człowieku, dopóki jest jeszcze szansa, że uda nam się do ciebie dotrzeć!

Młody żołnierz pokręcił głową.

– Nie, poruczniku! Nie mogę ich zostawić, poruczniku! Waga tonącego działa przyspieszyła zanurzanie się skazanych na śmierć koni w błoto. Walczyły na próżno. W ciągu kilku chwil nad taflą gęstej wody widać było tylko ich łby – niespokojne oczy, różowe i rozdęte chrapy.

Porucznik Carmichael chwycił leżącą w pobliżu drabinę. – Kapralu, przytrzymajcie koniec – polecił, rzucając ją w błoto przed siebie. Położył się na niej, by rozłożyć własny ciężar, i zaczął się czołgać w stronę skamieniałego woźnicy. Dotarł do niego w chwili, gdy koń prowadzący zaprzęg został połknięty przez bagno. Rozdzierająca serce cisza, zakłócana jedynie wszechobecnym hukiem dział, zastąpiła wreszcie pełne wyczerpania chrapanie. Oficer chwycił młodego żołnierza za ramię i wciągnął go na drabinę. Zbyt zaskoczony, by protestować, drżący woźnica leżał obok niego, zaś kanonierzy i dwóch innych żołnierzy z mozołem wciągnęła drabinę z powrotem w bezpieczne miejsce. Porucznik usiadł na deskach i trzymał szlochającego chłopaka w ramionach. Obaj

pokryci byli błotem, w którym łyzy młodego żołnierza żłobiły jasne bruzdy na jego brudnej twarzy.

Ludzie w ciszy wrócili do swych obowiązków. Martwi żołnierze leżeli wystarczająco blisko, by można ich było odnaleźć i przewieźć w celu pogrzebania. Cudownym zrządzeniem losu nie było innych ofiar. Porucznik Carmichael nakazał kanonierom zabrać woźnicę z powrotem do jednostki na tyłach. Stał przede mną i ujął moje dłonie.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Niemi nie jest. Upuściłam torbę. – Zaczęłam się rozglądać. Znalazł ją i podniósł, po czym ujął mnie pod ramię i poprowadził krótką kładką z desek, wiodącą do jednego z okopów.

– Proszę – powiedział – lekarz może jeszcze chwilę poczekać. W swoim schronie mam trochę brandy.

Ostrożnie zeszliśmy do okopu nierównymi i śliskimi schodami. Byłam zaskoczona, że jest tak głęboki i wąski. Jakże mężczyźni mogli spędzać wiele godzin, wiele dni, a często także nocy w tak nieprzyjaznych, wilgotnych, cuchnących miejscach? Choć okop miał długość setek jardów, wił się zygzakiem, by lepiej chronić swych mieszkańców przed wybuchami, więc widziałam tylko krótki jego fragment. Robiło to klaustrofobiczne wrażenie, zapewniając przy tym jedynie mizerną ochronę. Prawdę mówiąc, gdyby okop miał stać się celem bezpośredniego uderzenia pocisku, jak to, które właśnie przeżyłam, z całą pewnością nikt nie miałby szans przeżyć. Jeden młody

żołnierz siedział na piętach nad niewielkim piecykiem, całkowicie pochłonięty mieszaniem gulaszu w prowizorycznym garnku z blaszanej puszkii. Inny opierał się o worki z piaskiem i cicho grał na organkach. Jakiś ruch przy ziemi zwrócił moją uwagę. Pomiedzy śmieciami przemykał szczer, największy, jakiego kiedykolwiek widziałam. Był gruby i lśniący. Najwyraźniej żyło mu się kwitnąco. Początkowo wydawało mi się to dziwne, biorąc pod uwagę szczupłość racji na froncie i zazdrosne ich strzeżenie. A potem dotarła do mnie brutalna prawda. Te stworzenia nie cierpiały z braku pożywienia. Prawdę mówiąc, miały nieograniczone zasoby mięsa, które czekało na ziemi niczyjej, świeżo dostarczonego przez snajpera, ogień zaporowy lub karabin maszynowy. Teraz dostrzegłam, że w wąskim przejściu wprost roi się od tych gryzoni, z których część pokrytych jest błotem, a inne krwią. Zwalczyłam wymioty i poszłam za porucznikiem w dół kolejnym krótkim ciągiem schodów. Schron był wewnątrz zaskakująco suchy. Miał podłogę z desek, cztery łóżka piętrowe, szafkę, w środku zaś stał stół i krzesła. Z zewnątrz dochodziło niewiele światła, więc zawieszono tu dwie lampy ciśnieniowe, które przy każdym wstrząsie atakowanej powyżej ziemi ze zgrzytem kołysały się na wbitych w belki gwoździach. Kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do półmroku, zdołałam dostrzec dwie postacie – jedna stała przy stole, druga leżała na jednej z dolnych prycz.

– Proszę usiąść. – Porucznik Carmichael odsunął dla

mnie krzesło, odkurzając je własną czapką. – Och, to porucznik Maidstone, a tamten leniwy osobnik to kapitan Tremain. To jest siostra Hawksmith. Maidstone, zapoznaj siostrę z realiami życia w RDMP.

– Tu jest właśnie tak – rzekł wąsaty oficer – doborowe towarzystwo i koktajle. Cóż, wyobrażam sobie, że jestem znowu w Berkshire.

Kapitan poruszył się i powoli uniósł z pryczy. Był wysoki i szczupły, ale poruszał się sztywno, zupełnie jakby z powodu życia w okopach zardzewiały mu stawy.

– Oto jest – oznajmił Maidstone. – RDMP, czyli Rzadko Dociera do Miejsca Przeznaczenia, tak mówimy. Proszę szklanki.

Wyciągnęliśmy ku niemu cynowe kubki, on zaś napełnił je brandy. Faktycznie sprawialiśmy wrażenie grupy znajomych delektujących się przedobiednimi drinkami. Gdyby tylko dało się wyciszyć odległy huk artylerii. Gdyby tylko dało się przegonić z nozdrzy smród gnijącego ciała. Piliśmy w ciszy. Porucznik Carmichael uśmiechnął się do mnie. Porucznik Maidstone wpatrywał się we mnie tak zachłannie, że zaczęłam się zastanawiać, od jak dawna nie widział kobiety. Kapitan Tremain stał odrobinę za blisko. A potem, ku mojemu zaskoczeniu, pochylił się jeszcze bliżej, zamknął oczy i głęboko wciągnął powietrze. On naprawdę mnie wachał! To dziwne zachowanie nie przeszło niezauważone. Maidstone wybuchnął głośnym śmiechem.

– Moim zdaniem, Tremain, chcesz oberwać po gębie! –

stwierdził.

– Hmmm – mruknął tamten, powoli otwierając oczy – byłoby warto.

Maidstone śmiał się jeszcze przez chwilę. Rzuciłam okiem na porucznika Carmichaela i z radością dostrzegłam, że to zdarzenie nie wydaje mu się w najmniejszym stopniu zabawne. Podobnie jak mnie. Co więcej, wprawiło mnie ono w niepokój. Na moich ramionach przysiadło zimno, wywołując mimowolny dreszcz. Uderzyła mnie śmieszność tej sytuacji. Po tym wszystkim, co przeżyłam na kładce, po tych wrażeniach, których doświadczyłam w PPM, dlaczego przeszkadzała mi teraz drobna imperytynencja jednego człowieka? Zupełnie jakbym potrzebowała odpowiedzi na swe pytanie, z okopu na zewnątrz schronu dobiegły jękliwe dźwięki organków młodego żołnierza, zniekształcone ścianą ziemi i odległością, lecz z całą pewnością była to melodia zdolna napełnić moje serce przerażeniem.

4

Deszcz się nasilił. Nie było zimno i właściwie nie było wiatru. Po prostu padało nieubłagane i bezlitośnie na rozmokłą ziemię oraz na znużonych wojną żołnierzy, których świat skurczył się do kilku mil krwawiącej ziemi. Porucznik Carmichael poprowadził mnie dalej krętymi kładkami do mojego nowego miejsca pracy. Wyjaśnił mi, że mam tam poczekać na lekarza i że on sam zajrzy wieczorem, by sprawdzić, czy mam wszystko, czego mi potrzeba. Nie musiał mianować się moim obrońcą, ale nie protestowałam. Prawdę mówiąc, byłam zadowolona, że zobaczę go ponownie. Zorientowałam się, iż w jego obecności robię się inna, że zmieniam się w sposób, o którego istnieniu niemal zapomniałam.

Szpital polowy mieścił się w zdobytym bunkrze niemieckim. Nie mogłam uwierzyć, że to ciasne, ciemne, pojedyncze pomieszczenie jest wszystkim, czym dysponujemy. Z całą pewnością miało ono solidną konstrukcję, a sądząc z wyglądu, przetrwało już wiele uderzeń, lecz było zbyt małe. W milczeniu rozglądałam się wokół, kiedy przybył pełniący dyżur lekarz, blokując dostęp cennego światła wpadającego przez otwór wejściowy. Był mężczyzną cienkim jak trzcina, z odstającymi kępkami siwych włosów i rzadkimi wąsami. Jego wymizerowana twarz i chudość budziły wątpliwości, czy jest w stanie zaopiekować się samym sobą, a co dopiero innymi. Jed-

nakże ten mężczyzna miał naprawdę stalowy rdzeń.

– Ach, posiłki! – stwierdził na mój widok, po czym chwycił moją dłoń i potrząsnął nią zadziwiająco energicznie. – Kapitan Young, wyjątkowo zachwycony pani widokiem.

– Siostra Hawksmith – odparłam. – Obawiam się, że nie kawaleria, jednak...

– ...z całą pewnością goręcej witana i niewątpliwie bardziej przydatna – zapewnił mnie. Puścił moją dłoń, aby obejść wnętrze betonowej kostki. – Mieliśmy szczęście, że dostaliśmy to – stwierdził. – Ostatni posterunek zaawansowanej pomocy, który zakładałem, mieścił się w schronie ziemnym. Doskonale schowany wśród okopów, ale wnoszenie i wynoszenie noszy było prawdziwie diabelskim zadaniem. A kilka worków z piaskiem i odrobina drewna nie ochroni człowieka przed pociskiem. – Z dumą poklepał szorstkie ściany. – To się sprawdzi doskonale. Mogą nas obrzucać najgorszymi pociskami, lecz bez skutku. Jak na ironię, skorzystamy z umiejętności konstrukcyjnych wroga.

– Czy nie jest nieco za mały? – zapytałam.

– W porównaniu z czym? Nie, proszę się o to nie martwić. Przestrzeń może mieć zarówno dobre, jak i złe strony. Im więcej ma się miejsca, tym więcej noszy można przyjąć, zatem tym więcej ofiar zbiera się dokoła. A tak musimy ich natychmiast odsyłać. Bez wahania. Siostro, pani się nie waha, prawda? Nic – odpowiedział na własne pytanie. – Widzę, nic. Nie będzie na to czasu. Jesteśmy tu

po to, by oczyszczać drogi oddechowe i powstrzymywać upływ krwi na tyle, by ranni byli w stanie przeżyć drogę do PPM. I tyle. Nie ma czasu na zakładki i kokardki. Proszę zapomnieć o oczyszczaniu ran. Trzeba je zabandażować i odesłać.

– Ale przecież – zaprotestowałam – ryzyko sepsy...

– ...jest znacznie niższe niż ryzyko, że na głowę ranego spadnie bomba, jeżeli zaczniemy ich układać na zewnątrz. I proszę nie rozdawać morfiny jak cukierków, niezależnie od tego, co pani robi. Proszę ją zachować dla tych, którzy nie mogą się bez niej obejść.

Zastanowiłam się, w jaki sposób mam podjąć decyzję, i wyobraziłam sobie, jak umierającemu żołnierzowi odmawiam ulgi w bólu. Na chwilę zamknęłam oczy. Mogłam zrobić parę rzeczy. Miałam do dyspozycji inne środki. I wiedziałam, że będę za ich pomocą zmniejszać cierpienie. Tak jak w przypadku kaprała Daviesa.

– Dobrze się pani czuje, siostrze? – zapytał kapitan Young. – Nie mdleje pani? Nie jest pani niedobrze na widok krwi, mam nadzieję?

– Czuję się doskonale, panie doktorze.

– Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, są mdlejące kobiety... Teraz ja mu przerwałam.

– Zapewniam pana, że nie mam zamiaru mdleć. Nawet gdybym miała, wątpię, czy byłoby na to miejsce.

Spojrzał na mnie z zaskoczeniem, nie dostrzegając w tych słowach żartu, tylko podziwiając moją logikę.

– Dokładnie tak, siostrze, dokładnie tak. Zatem żadnego

mdlenia. Doskonale, doskonale. Teraz, jeżeli mi pani pomoże, musimy poukładać zapasy. Wszystko musi być pod ręką, rozumie pani? Grunt to organizacja.

Mój schron ziemny mieścił się w odległości zaledwie kilku jardów od betonowego bunkra i nadal nosił ślady niemieckich żołnierzy, którzy opuścili go z chwilą, gdy alianci zdobyli te kilka jardów ziemi i przesunęli linię frontu dalej w głąb Flandrii. Była tara puszka po herbatnikach produkcji niemieckiej, a uśmiechnięte dziecko na znajdującym się na niej obrazku radośnie gryzło jednego z dawno nieobecnych *brotchen*. Pod dolną pryczą leżała rozdarta fotografia młodej kobiety. W ciszy schronu, w nieoczekiwanej chwili bezczynności, z błędzącym umysłem, zdałam sobie sprawę z pobudzenia mojego szóstego zmysłu. Pobudzenia w tej części, która działa intuicyjnie, zamiast myśleć. Nie powinnam być zaskoczona. Znajdowałam się w sytuacji, w czasie, w miejscu tak bardzo skąpanym we krwi ofiarnej, tak tętniącym krzykami rannych i umierających, tak przepojonym cierpieniem, że należało się spodziewać, iż również potęga Szatana będzie tu wszechobecna. Pole bitwy przenika mroczna energia, która karmi się okrucieństwem i brutalnością wojny. To przerażająca siła. Potężna. W jej obecności rozkwitają wszyscy parający się czarną magią. Wzdrygnęłam się, próbując usunąć myśl, że takie miejsce przyciągnęło Gideona. W tej chwili bardzo brakowało mi towarzystwa innych pielęgniarek z PPM-u. Na dźwięk lekkich kroków na drewnianych schodach za sobą odwró-

ciłam się i ujrzałam małą kobietę, której zbyt długi płaszcz ciągnął się w błocie, a pielęgniarzki czepek groził opadnięciem na oczy.

– Och, witaj, złotko – przywitała się. – Powiedzieli mi, że na dole jest już jedna pielęgniarzka. Jestem Annie Higgins. – Wyciągnęła filigranową dłoń.

– Elise Hawksmith. Czy przysłano cię z jakiegoś PPM-u?

– Tak, złotko, z Beaumonde. – Rozpięła płaszcz i zaczęła szukać miejsca, gdzie mogłaby go odłożyć. – Na moje oko to z lekka ponure miejsce, co? Nie szkodzi. Nie sądzę, żebyśmy zostały tu długo. – Usiadła na niższej pryczy i rozejrzała się wokół. Roztaczała aurę macierzyństwa i ciepła. Była znacznie starsza od wszystkich pielęgniarzek, które spotkałam na froncie, więc zaczęłam się zastanawiać, dlaczego tu jest.

– Cieszę się, że przyjechałaś – powiedziałam, siadając obok niej. – Mam wrażenie, że będzie tu huk roboty.

– Cóż, zrobimy, co w naszej mocy. Więcej zrobić się nic da. Tak zawsze mówi mój Bert.

– Czy Bert to twój mąż?

– Właśnie tak, złotko. W zeszłym miesiącu minęło dwadzieścia pięć lat od naszego ślubu. Czy też minęłoby, gdyby Bóg uznał za stosowne go oszczędzić. – Zerknęła na mnie, a potem ponownie na własne kolana. – Straciłam go nad Sommą. Nie mogę przywyknąć do mówienia o nim w czasie przeszłym. Ciągle wydaje mi się, że jest ze mną, jeśli wiesz, o czym mówię.

Skinęłam głową.

– To właśnie dlatego tu jesteś? Ze względu na niego?

– On zrobił swoje. Więc wydaje się uczciwe, żebym teraz ja zrobiła swoje. Wiesz, nie przyjechałabym tutaj, gdyby nasz Billie ciągle był z nami. Przecież ktoś musiałby zostać w domu, żeby miał do kogo pisać, prawda? Ale on też zginął. – Umilkła.

– Tak bardzo mi przykro – powiedziałam. – Stracić zarówno męża, jak i syna...

– Nie ja pierwsza, i śmiem twierdzić, że nie ostatnia. Nie ma sensu, żebym siedziała w domu i użalała się nad sobą. – Zdobyła się na dzielny uśmiech. – Lepiej mieć zajęcie. Sprawdzić, czy mogę pomóc.

Spojrzała teraz na mnie i na jej łagodnej twarzy o delikatnych rysach dostrzegłam smutek, którego doświadczyła, smutek i poczucie niemożliwej do zniesienia straty. Wiedziałam, że ona naprawdę przyniesie pociechę młodym rannym żołnierzom. Wiedziałam także, że w pewien sposób oni ulżą jej w żałobie. Położyłam ręce na jej dłoniach.

– Zatem zrobimy wszystko, co w naszej mocy, ja i ty – stwierdziłam. – Dokładnie wszystko.

Zanim odebrałyśmy przydział i doprowadziłyśmy prycze do znośnego stanu, była już prawie północ. Annie ułożyła się na dolnym łóżku i natychmiast zapadła w głęboki sen. Ja też miałam się położyć, gdy usłyszałam znany głos, wymieniający moje imię, po czym w wejściu do schronu stanął porucznik Carmichael.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Chciałem sprawdzić, czy ma pani wszystko, czego trzeba – powiedział i po wejściu do wilgotnego, ciasnego pomieszczenia ściągnął czapkę z głowy.

– Tak miło z pana strony, poruczniku, że zadał pan sobie tyle trudu – odparłam – ale dobrze się nami zajęło. Siostra Higgins już śpi. – Wskazałam nieruchomy kształt pod szarym kocem.

– Ach, dobrze odparł, zniżając głos. – To bardzo dobrze. Widząc jego wahanie, odsunęłam się na bok.

– Nie zostanie pan na chwilę? – zapytałam. – Jestem pewna, że i tak nie usnę w takiej bliskości dnia.

Pozwolił sobie na słaby uśmiech i usiadł na niskiej ławce obok mnie.

– A ja nie jestem pewien, czy dam radę spać bez nich – stwierdził. – Przyzwyczaiałem się do tego hałasu.

– To dość niezwykła kołysanka.

– Prawda?

Zauważyłam, że zdołał zetrzeć z munduru część błota, a część zmył deszcz. Ciągle miałam przed oczami obraz, jak trzyma w ramionach szlochającego młodego kanoiera.

– Dzielnie pan postąpił, kiedy konie się spłoszyły – powiedziałam. – Jestem pewna, że ten biedny żołnierz nigdy by ich nie zostawił, gdyby nie pan.

– Leje po pociskach to śmiertelne pułapki. Widziałem, jak ludzie giną w nich w ciągu kilku chwil. Nawet tanki. Wciągnięte. Nie powinno się tak umierać.

– A jest dobry sposób?

– Wydaje mi się, że muszę tak myśleć. W przeciwnym razie, jak mógłbym, w zgodzie z własnym sumieniem, kazać moim ludziom wejść jutro na górę? Większość z nich nie przeżyje ataku, wie pani o tym.

– Ale ostrzał... przecież musiał osłabić obronę wroga?

– Być może. Ale oni mogą się wycofać i poczekać na zakończenie. Mogą stracić kilka pozycji, ale żadnej ważnej. A my nie wiemy nawet, czy zasieki są tam, gdzie były. Jeżeli je przeniesiono, znajdziemy się w pułapce. I, pamiętajmy, wyczerpaliśmy wszystkie elementy zaskoczenia. Nawet jeśli pójdziemy naprzód pod osłoną ognia artylerii, to gdy tylko ucichnie, zorientują się, że szykujemy natarcie. – Mocniej zacisnął dłonie na wojskowej czapce, aż pobielwały mu kostki dłoni. Przez chwilę oboje milczeliśmy. – Wie pani – odezwał się w końcu – ja naprawdę wierzę, że tu więcej żołnierzy umiera przez utopienie niż z jakichkolwiek innych przyczyn? Proszę to sobie wyobrazić, tak daleko od morza. Och, wiem, że w punktach medycznych to wygląda inaczej i że po powrocie do domu niektórzy z nich cierpią z powodu straszliwych ran, z których nigdy się nie wyleczą. Ale pani nie widzi, co dzieje się tam, na przedzie, gdzie wszędzie wokół jest tylko bagno i cuchnąca woda. To pułapka. Plecaki są takie ciężkie, i karabiny, i maski gazowe, i Bóg wie co jeszcze, bez czego żołnierze nie zrobią nawet kroku. Jeżeli oberwą, to wszystko jedno, kulą czy szrapnelem. Jeśli ich zmiecie z nóg, niemal zawsze

padają płasko. Na twarz czy na plecy, nie ma dużej różnicy, zaczynają tonąć z chwilą, gdy tylko padną w błoto. Niektórzy mdleją. Inni po prostu nie mogą się ruszyć. Więc toną. Tak po prostu. W kilku cholernych calach wody. Wiele dni zajmuje noszowym zebranie wszystkich rannych po ataku. Niektórych nigdy nie udaje się przenieść. Po prostu toną. I za każdym razem, kiedy uda nam się zyskać kolejny fragment tego piekielnego terenu, przechodzimy po nich. Tak jest od tygodni. Jeżeli ktoś stanie na kawałku stałego gruntu, to jest prawie pewne, że pod nogami ma jednego z naszych. Obrzydliwa świadomość. Obrzydliwa.

Głęboko mu współczułam i bardzo chciałam wziąć go za rękę, przytulić, zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Ale nie byłam w stanie. Z jednej strony byłoby to kłamstwo. Groziło mu takie samo niebezpieczeństwo, jak każdemu z jego ludzi, a może nawet większe. Nie było gwarancji, że się jeszcze spotkamy. Nie umiałam się zmusić, by go karmić pustymi słowami niosącymi zachętę i optymizm. Ale powstrzymywało mnie coś jeszcze. Zdałam sobie sprawę, że gdyby obok mnie siedział jakikolwiek inny żołnierz i dzielił się swymi obawami związanymi z nadchodzącą bitwą, bez wahania ujęłabym jego dłoń. Czyż całe życie nie wierzyłam w leczniczą moc dotyku? Ale w tym przypadku było coś jeszcze. Musiałam wziąć pod uwagę moje rozkwitające uczucie do niego. Fakt, że na dźwięk jego głosu wstrzymywałam oddech. Dreszcz, jaki przenikał moje ciało pod jego spojrzeniem. Sposób, w jaki spędziłam tak wiele godzin, myśląc

o nim, wyobrażając go sobie, pragnąc być blisko niego. I sposób, w jaki jego bliskość sprawiała, że czułam się tak, jakbym wróciła do domu. Pamiętałam, że widząc go po raz pierwszy, pomyślałam o rodzinnym domu w Batchcombe. W jego towarzystwie miałam poczucie przebywania tam, gdzie należałam. Uczucie tak silne i tak nieznanne, że się go bałam.

– Nie mówmy o wojnie – zaproponowałam. – Proszę mi opowiedzieć o swoim domu. O swoim życiu sprzed tego szaleństwa. Wspominał pan o wędrowce wśród wrzosów.

– Pamięta pani, że tak powiedziałem? Jakie to dziwne. W samym środku tego zamieszania pani pamięta wrzosy.

– Proszę opowiedzieć. Proszę.

Gdy zaczął opisywać własny dom na Pogórze Szkockim, widziałam, jak z jego ciała zaczyna ulatywać napięcie. Mięśnie wokół ust rozluźniły się, a jego przystojna twarz straciła swój znękany wygląd.

– Mój dom rodzinny nazywa się Glencarrick. To naprawdę niezwykle miejsce. Dom zbudowano z kamienia i jest on wprost niedorzecznie duży, lecz ma w sobie coś magicznego. Powstał w czternastym wieku i nie wydaje mi się, żeby teraz było w nim cieplej niż wtedy, ale naprawdę uwielbiam to miejsce. Z wieżyczek w zachodnim skrzydle jest widok na trzydzieści mil w dowolnym kierunku. Jeśli spojrzeć na południe, widać wioskę zwaną Glencarrick Ross, która niegdyś w całości wchodziła w skład posiadłości. Na północy i wschodzie leżą

wzgórza i otwarte wrzosowiska, najpiękniejszy krajobraz, o jakim człowiek może marzyć. A jeśli zwrócić twarz na zachód, przysięgam, że można poczuć sól pochodzącą z morza leżącego za błękitną linią horyzontu. W lecie, kiedy wrzosy są najpiękniejsze, powietrze wypełnia pieśń słowików i kulików, zaś pszczoły z naszych uli odwiedzają kwiaty i robią świetny miód. Są też, rzecz jasna, jelenie szlachetne i wydry nad pobliską rzeką, i najszybsze zające bielaki na świecie. Kiedyś strzelałem, jak wszyscy. Ale teraz, po tym wszystkim, wątpię, bym kiedykolwiek jeszcze miał wziąć strzelbę do ręki. – Zamknął oczy i oparł się o twardą ścianę schronu. – Kiedy tu dzieje się coś naprawdę złego, kiedykolwiek boję się, że mogę nie być w stanie zrobić tego, czego się ode mnie wymaga, zamykam oczy i wracam do Glencarrick. Jeśli wyteżę słuch, słyszę pisk myszołowa i furkot skrzydeł skowronka. Czuję wilgotny zapach jesiennych paproci lub smak zdziczałych śliwek damaszek rosnących za domem.

Siedział nieruchomo jak kamień i wstrzymywał oddech, Przyglądałam mu się i dzieliłam jego tęsknotę za tym miejscem. Nagle otworzył oczy i spojrzał wprost na mnie.

– Chciałbym panią tam zabrać – stwierdził. – Pewnego dnia.

– Być może zabierze pan. Pewnego dnia.

– Wie pani, chciałbym, żeby mówiła mi pani Archie. Czy tak będzie dobrze, jak pani sądzi?

– Uważam, że to doskonały pomysł – odparłam. – A ty

możesz mówić mi Elise.

– Elise? – Wydawał się zaskoczony. – To dziwne. Nigdy bym nie zgadł, że tak masz na imię.

– Nie? A jakie imię byś mi dał? Pomyślał przez chwilę, a potem odparł:

– Bess. Dobre szkockie imię. Tak, zdecydowanie Bess. O co chodzi? Co się stało? Jeśli zrobiłem ci przykrość, wybacz mi, proszę...

– Nie. – Staralam się odzyskać spokój, wiedząc, że na mojej twarzy musi być widoczne zaskoczenie dokonany przez niego wyborem. Być może powinnam się bać, a mimo to, słysząc własne imię, prawdziwe imię, wypowiedziane łagodnym głosem Archiego... nie zaniepokoiłam się. Byłam od tego daleka. Natychmiast zorientowałam się, że pragnę, by je wymawiał bez przerwy. – Nie zrobiłeś mi przykrości – zapewniłam. – Wręcz przeciwnie. – Uśmiechnęłam się do niego najbardziej serdecznym uśmiechem, jakim obdarzyłam kogokolwiek od bardzo długiego czasu. – Imię Bess będzie doskonałe – stwierdziłam. – Naprawdę świetne.

5

Ciągle jeszcze było ciemno, gdy wraz z Annie wstałyśmy i poszłyśmy zająć stanowiska w szpitalu polowym. Doktor Young już tam był i nerwowo przemierzał niewielką przestrzeń. Nagle, tuż przed świtem, działa umilkły. Cisza, która zastąpiła ich huk, była jeszcze bardziej przerażająca od samych dział. Była w niej intensywność, oczekiwanie i strach. Annie uścisnęła moją dłoń.

– Powodzenia, złotko – rzekła. Doktor Young okazał lekceważenie.

– Ja bym nie wierzył w szczęście, siostró. Wszyscy jesteśmy tutaj z powodu braku personelu. Należy ufać własnym zdolnościom, taka jest moja rada.

Jego ostatnie słowa utonęły w przejmujących dźwiękach gwizdków i ponaglących krzykach. Padł rozkaz wejścia na szczyt okopu. Pamiętam, że doświadczyłam czegoś bliskiego dreszczu, kiedy głosy naszych żołnierzy wzniosły się okrzykiem wojennym, i natychmiast poczułam obrzydzenie własną reakcją. Przez kilka chwil słychać było jedynie te pełne determinacji okrzyki i rzadkie wystrzały z karabinów. Potem włączyły się karabiny maszynowe. Dostrzegłam, że twarz doktora Younga pociemniała.

– Spodziewano się, że zamilkną. – Wyraził głośno myśli nas wszystkich. – Karabiny maszynowe miały zostać

zniszczone podczas ostrzału. Żaden nie powinien zostać.

Ale zostały. Wkrótce powietrze trzęsło się od nieprzerwanego jazgotu śmiertelnej broni, która dziesiątkowała idące naprzód wojska. Ledwie zdążyłyśmy pojąć, jaki praktyczny sens mają jego słowa, gdy przed wejściem do bunkra zaczęli pojawiać się pierwsi ranni.

– Siostró Higgins! – Doktor Young wydawał oschłe polecenia, nie przerywając pracy. – Nie ubiera pani tego żołnierza na paradę. Proszę założyć ten cholerny bandaż i zająć się następnym. Nie mamy czasu na piękne wykończenie. Noszowi! Tego można zabrać i tamtego też. Zabierzcie ich na tyły i wracajcie. Będzie wielu innych – stwierdził, lewą dłonią próbując powstrzymać fontannę krwi tętniczej, która groziła śmiercią żałośnie młodemu kapralowi. W ciągu zaledwie kilku minut bunkier był pełen, a rannych układano na zewnątrz. Wyszłam, żeby zająć się jednym z raną nogi oraz drugim, który miał kulę w ramieniu. Usłyszałam, jak doktor Young woła moje nazwisko.

– Siostró Hawksmith, proszę wracać! Pospieszyłam do środka.

– Siostró, proszę zostać wewnątrz.

– Próbowałam...

– Cóż, proszę tego nie robić. Nie przyda się pani nikomu, jeśli pocisk urwie pani głowę. Proszę dopilnować, by szybko uporać się z rannymi w środku, a wtedy zrobi się miejsce na kolejnych. Nie wolno paniom zajmować się pacjentami na zewnątrz. Żadnej z pań. Czy to jasne?

Zapewniłyśmy go, że tak. Mimo to ciężko mi było skupić się na pracy ze świadomością, że niebezpiecznie ranni mężczyźni leżą bezradnie w błocie zaledwie parę metrów ode mnie. Jakiś żołnierz chwycił mnie za ramię, gdy pochylałam się, by opatrzyć ranę na jego głowie.

– Druć! – wydyszał z szeroko otwartymi oczami. – Dobry Boże, druć.

– Szsz, leż spokojnie. Niedługo cię stąd zabierzemy.

– Zawiśli na nim. Jak króliki w sidłach. Im bardziej się szarpia, tym głębiej się wrzyna. Są łatwym celem. Tommy Barret stracił ramiona. Widziałem, jak je odstrzelono. Jakie miał szanse, tkwiąc w tym drucie? Jakie szanse?

– Doktorze Young, czy mogę dać temu żołnierzowi trochę morfiny? Ma ranę głowy i powinien leżeć spokojnie, ale jest tak bardzo pobudzony...

– Siostro, gdyby mi coś zostało, dałbym pani.

– Wszystko poszło?

– Pół godziny temu. Jest trochę brandy, ale proszę nie przesadzać.

Chwilami niemal błogosławieństwem był brak czasu na rozmowę z rannymi, bo jakież słowa można im było ofiarować? Zacisnęłam zęby i poszłam za przykładem doktora Younga. Przez wiele godzin zakładaliśmy podstawowe opatrunki, łubki i bandaże. Podawaliśmy wodę i brandy. Koszmar trwał. Coraz więcej żołnierzy kładziono poza schronem.

– Dlaczego nie przestaną? – zapytała Annie. – Dlaczego ciągle ich wysyłają, skoro to takie beznadziejne?

Doktor Young zwrócił się do niej:

– Proszę o ciszę, dobrze? Jeżeli ci młodzieńcy nie kwestionują rozkazów, to pani też nie powinna. Tam leży kanonier, który może stracić ramię, jeśli mu pani nie pomoże. Siostró Hawksmith, proszę o pomoc.

Ustawił się przy naszym prowizorycznym stole operacyjnym. Leżał na nim żołnierz o niemożliwej do rozpoznania randze i wieku, tak bardzo pokryty był błotem. Nic krzyczał ani się nie skarżył, jednak oddychał płytko i gwałtownie, a jego ciało było sztywne z bólu. Zobaczyłam, że miał w brzuchu ranę od szrapnela.

Do dzieła. – Doktor Young przysunął twarz do twarzy pacjenta. – Masz w sobie paskudny kawałek metalu. Musi wyjść. Mogę to zrobić tutaj albo możesz poczekać, aż znajdziesz się w PPM. Problem polega na tym, że zanim tam dotrzesz, mogą pojawić się kłopoty. Muszę ci powiedzieć, że nie mamy morfiny. Co mam robić?

Z ogromnym wysiłkiem żołnierz zdołał wydobyć z siebie głos.

– Najlepiej go wyjąć, doktorze. Jeśli to nie problem.

– Dzielny facet. Wy tam – wezwał dwóch noszowych – przytrzymajcie go.

Gdy mężczyźni zbliżyli się, przez twarz żołnierza przebiegł strach.

– To nie będzie potrzebne – stwierdziłam. Doktor Young obrzucił mnie spojrzeniem.

– Siostró, on musi leżeć nieruchomo.

– Będzie leżał. Proszę dać mi chwilę. – Ujęłam dłoń

młodego człowieka. – Spójrz na mnie – poprosiłam. – Musisz tylko na mnie patrzeć. – Wyrzuciłam z myśli wszystko poza jego twarzą. Wpatrzyłam się w jego rozbiegane oczy i przytrzymałam spojrzenie. Przycisnęłam jego dłoń do serca. – Czujesz, jak wolno bije? Twoje serce może bić tak samo. No dalej. Nic myśl o niczym. Odrzuć wszystkie dźwięki poza moim głosem. Odrzuć wszystko, poza pulsem życia pod twoją dłonią. Będziesz bezpieczny. – Kiedy wypowiadałam te słowa, delikatnie kołysałam się na boki, bez jednego mrugnięcia, nie pozwalając, by jego oczy odwróciły się od moich. Niebawem jego oddech zwolnił, a bicie serca stało się bardziej regularne. Wzrok się rozmył, ale oczy miał otwarte. Ciało się rozluźniło. Zwróciłam się do doktora Younga.

– Jest już gotowy – oznajmiłam.

Noszowi czekali na polecenia. Doktor Young wahał się jedynie przez chwilę, po czym ich odesłał. Chwycił skalpel i zaczął nacinać ciało w miejscu, gdzie wszedł odłamek. Żołnierz nawet nie drgnął, leżał całkiem spokojnie. Doktor Young spojrzał na niego, lecz nie przerywał pracy. W ciągu kilku minut nacięcie było wystarczająco głębokie, by ukazał się kawałek szrapnela. Wyjął go szczypcami i szybko zaszył ranę. Puściłam dłoń żołnierza i pogłaskałam go po policzku. Mrugnął kilkakrotnie, a potem uśmiechnął się do mnie.

– Dobrze – stwierdził doktor Young – możemy cię puścić do PPM-u. Dobra robota, siostrze.

Zwrócił się do mnie. – Oczywiście słyszałam o hipno-

zie, ale nigdy wcześniej jej nic widziałem. Przyznaję, że aż do teraz określiłbym siebie mianem sceptyka. Aż do teraz.

– Cieszę się, że mogłam pomóc.

– Proszę być w pobliżu. Jeszcze przed końcem dnia mogę potrzebować pani talentu.

Bitwa wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Niezależnie od tego, jak usilnie próbowaliśmy dotrzymać kroku strumieniowi rannych, zalewał nas. Doktor Young stawał się coraz bardziej bezlitosny, wskazując osoby, które mogły zostać, czyli w praktyce takie, które w ogóle mogły być przyjęte. Do jednego kaprała wprowadzającego przez drzwi kulejącego i mocno krwawiącego mężczyznę krzyknął:

– Tylko przypadki na noszach!

– On był na noszach, ale pocisk go zrzucił i zabił noszowych – wyjaśnił kapral. Doktor Young głośno wyraził zniecierpliwienie, jednak samodzielnie zajął się rannym. Coraz większym problemem stawała się bliskość pocisków. Jeden uderzył tak blisko, że zadrżały ściany i przez chwilę bałam się, iż sklepienie runie na pacjentów. Wytrzymał, lecz z trudem, a wybuchy zdawały się zbliżać w zatrważającym tempie.

– Przecież jesteśmy poza polem bitwy – wyszeptałam do doktora. – Dlaczego wróg miałby tracić amunicję?

– W oczywisty sposób znają położenie wszystkiego, co kiedyś służyło im za schrony – odparł – i w oczywisty sposób wiedzą, że zrobimy z tego dobry użytek.

– Chce pan powiedzieć, że celują w nas specjalnie?

W odpowiedzi na moje pytanie ziemia zadrżała ponownie.

I choć nie miałam czasu na nic innego niż bieżące czynności, w mojej głowie nieustannie pojawiał się wizerunek Archiego. Próbowałam go tam zatrzymać, zupełnie jakby miało go to ochronić przed niebezpieczeństwem. Za każdym razem, gdy wnoszono oficera, wstrzymywałam oddech. Pod koniec tego straszliwego dnia ujrzałam twarz, którą udało mi się rozpoznać. Był to kapitan Tremain, którego spotkałam w schronie Archiego i który tak bardzo wyprowadził mnie z równowagi. Miał ranę postrzałową nad lewym kolaniem i obie dłonie głęboko pokaleczone – sądziłam, że drutem kolczastym – lecz nic mu nie groziło. Opatrzyłam jego rany i zapytałam go o Archiego.

– Nie widziałem go od czasu, jak ruszyliśmy do ataku – powiedział. – Znalezliśmy się dość daleko od siebie. – Przyglądał się mojej twarzy przez cały czas i poczułam na karku znajomy dreszcz. Nawet teraz miał czelność gapić się i oblizywać. Musiałam się zmusić, by dokończyć opatrunek. Wstałam.

– Proszę spróbować jak najmniej się poruszać – przykazałam. – Wyślemy pana na tyły z następnymi noszowymi.

Skierowałam uwagę na żołnierza w rogu sali, który zanosił się straszliwym kaszlem. Widziałam, że dostał w brzuch kulę, która poszła skośnie w górę, i było prawdopodobne, że jego płuca wypełniają się krwią.

Uklękałam przy nim i wzięłam go za rękę. Charczał i się krztusił, walcząc o oddech, a każdy skurcz przynosił jego wyniszczonemu ciału kolejną falę bólu. Ciężko było patrzeć na jego cierpienie. Wiedziałam, że tonie i nie da się zrobić nic, by go uratować. Przyłożyłam usta do jego ucha i wyszeptałam:

– Cii, nie bój się. Posłuchaj. Nie poczujesz bólu. Żadnego bólu. Śpij teraz, głębokim, pokrzepiającym snem. Śpij. Śpij.

Gdy wypowiadałam te słowa, ataki kaszlu ustały, a powieki zadrżały i zamknęły się. Oddech stał się płytki. Słyszałam bulgot dobiegający z głębi jego klatki piersiowej, ale już nie walczył i nie cierpiał. Po prostu zasnął, i będzie spał do czasu, aż ciało odmówi posłuszeństwa i dusza odzyska wolność. Wstałam, a kiedy się odwróciłam, stwierdziłam, że kapitan Tremain mi się przygląda. Próbowałam go ominąć. Chwycił mnie za rękę.

– Siostro, ma pani tutaj jakieś silne lekarstwo – powiedział spokojnie. – Naprawdę silne.

Wyrwałam ramię z jego uścisku. Miałam właśnie odpowiedzieć na jego uwagę, gdy ujrzałam, że Annie wymyka się na zewnątrz. Podobnie jak ja i ona martwiła się o rannych leżących bez opieki, której tak potrzebowali. Zerknęłam na doktora Younga, ale nie zauważył jej wyjścia. Ponownie spojrzałam na kapitana Tremaina.

– Byłabym wdzięczna... – zaczęłam, lecz wyraz jego twarzy kazał mi przerwać. Wiedziałam, że pociski padają blisko nas, dla mnie jednak świst tego jednego nie różnił

się od pozostałych. Dla doświadczonego ucha kapitana Tremaina był on całkowicie inny. Chwycił mnie ponownie i rzucił na podłogę obok siebie. W tejże chwili przy samym wejściu do schronu eksplodował pocisk moździerzowy. Po huk wybuchu natychmiast nadeszła chmura betonowego pyłu. Wszyscy zebrani w środku zaczęli kałać. Kiedy powietrze zaczęło się przejaśniać, usłyszałam, jak doktor Young woła:

– Siostró Hawksmith? Nic pani nie jest?

Podniosłam się na nogi, pomagając przy tym wstać Tremainowi, którego zraniona noga sprawiała mu ogromny ból, w związku z czym kapitanowi ciężko było poruszać się bez pomocy.

– Wszystko w porządku, panie doktorze – zawołałam w odpowiedzi.

– Ściany wytrzymały, sklepienie też, dzięki Bogu. Gdzie siostra Higgins?

Teraz przypomniałam sobie, że widziałam Annie opuszczającą bezpieczne wnętrze szpitala. Wybiegłam na zewnątrz. Wszędzie dookoła porzucane były pokiereszowane ciała i jęczący ranni. Annie leżała w pobliżu młodego szeregowca. Opadłam na ziemię obok niej.

– Annie? Annie?

Poruszyła się powoli i otworzyła oczy.

– Wiem, że doktor Young kazał nam zostać w środku – powiedziała – ale ci biedni chłopcy... – Uśmiechnęła się.

– Całkiem jak mój Billie. Potrzebowali odrobiny opieki. Matczyne dotyku, rozumiesz?

Skinęłam głową.

Oczy jej się zwęziły, a na czole pojawiła się zmarszczka.

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, prawda? – spytała.

– Och, Annie, tak. Zrobiliśmy wszystko – przytaknęłam i patrzyłam, jak z tych dobrych oczu wycieka światło życia.

Trzy wyczerpujące godziny później natarcie dobiegło końca. Karabiny maszynowe ucichły. Ze schronu wyniesiono ostatnie nosze. Doktor Young odezwał się do mnie.

– Siostro, proszę iść z nimi. Tu nie da się zrobić nic więcej.

– Popatrzył na moją twarz i poprawnie odczytał narastającą na niej rozpacz, więc ścisnął moje ramię. – Nie da się zrobić nic więcej. Dziś ocalała pani wiele istnień. Są tacy, którym można pomóc... – przełknął głośno, a głos mu się załamał – i tacy...

– Potrzęsnałam głową i nie dokończyłam zdania. Towarzyszyłam rannym w drodze po kładkach do czekających karetek. Słyszałam o ludziach, którzy pod wpływem szoku, straszliwych doświadczeń zapadli w odrętwienie. Jakże bardzo pragnęłam takiego uwolnienia od bólu serca. Próbowalam sobie wmówić, że zrobiłam tyle, ile byłam w stanie, i wiedziałam, przynajmniej w jednym przypadku, że to była prawda. Użyłam swych umiejętności pielęgniarских, użyłam całego kobiecego hartu ducha i magii w sposób godny czarownicy – żeby zmniejszyć

cierpienie i leczyć. Gdy mijali mnie utrudzeni żołnierze, przyglądałam się ich twarzom, lecz nie znalazłam Archiego? Czy żył? Nie wiedziałam. W jakiś sposób wierzyłam, że tak, choć wiedziałam, jak wiele przemawia przeciwko takiemu przeświadczeniu. Tyłu zginęło. Poprowadził swych ludzi na te straszliwe działa, na ten bezlitosny drut. A mimo to jakaś część mnie wiedziała, że żyje. Zupełnie jakbym była świadoma jego siły życiowej, jakbym była z nią w pewien sposób połączona, i ona ciągle płonęła jasnym płomieniem.

Wspięłam się do karetki. Kierowca uruchomił silnik i zaczęliśmy odjeżdżać. I nagle, przez hałas rozklekotanego silnika, usłyszałam, jak ktoś woła moje imię. Moje prawdziwe imię.

– Bess! Bess! – z boku pojazdu zjawił się Archie. Kierowca niechętnie nacisnął hamulec.

– Poruczniku, tylko szybko, proszę – powiedział do Archiego. – Ci chłopcy nie powinni czekać ani chwili dłużej, niż to konieczne. – Ruchem głowy wskazał rannych z tyłu.

– Kapralu, tylko chwila. Jedna krótka chwila. – Chwycił moje dłonie. – Bess, dzięki Bogu, jesteś bezpieczna.

– Archie! Wiedziałam, że żyjesz. Po prostu wiedziałam.

– Jeszcze cię przegonię po tych porośniętych wrzosem wzgórzach, poczekaj tylko, a zobaczysz. – Uśmiechnął się szeroko.

Karetka znów ruszyła, Archie kuśtykał obok niej, a moje dłonie wyslizgnęły się z jego. – Przyjadę do ciebie do PPM-u – zawołał za mną – jak tylko będę mógł.

Wychyliłam się i machałam do niego tak długo, aż szeregi żołnierzy zasłoniły mi widok i jego postać znikła w powodzi zielonych mundurów. Usiadłam z powrotem na siedzeniu i zaczęłam się zastanawiać nad zdolnością ludzkiego serca do doświadczania zarówno rozpaczy, jak i radości, dokładnie w tej samej chwili.

6

W kwaterze pielęgniarek w PPM-ie panowało wielkie podniecenie wywołane dostarczeniem poczty. Trzy dni po moich doświadczeniach w szpitalu polowym nie zdołałam jeszcze w pełni odzyskać poczucia rzeczywistości i normalności i trudno mi było przyłączyć się do radości innych, wynikającej z dostawy bovrilu, herbatników i ciast z domu. Strap stała przy piecu, grzejąc swój potężny tył i pogryzając herbatniki imbirowe. Kitty siedziała na łóżku i w kółko czytała lisi od młodszego brata. Ja zaś siedziałam na własnej pryczy, zawieszona gdzieś pomiędzy ulgą, że jestem z dala od linii frontu, a niepokojem zrodzonym z tęsknoty za Archiem. Próbowałam skupić się na pracy, lecz wszystko wydawało się kierować moje myśli w jego stronę. Szczególnie silne przypomnienie leżało w namiocie-oddziale szpitalnym, pod postacią kapitana Tremaina. Jego rana goiła się szybko, lecz nie dość szybko jak dla mnie. Ciężko mi było przebywać w obecności tego człowieka, choć nie w pełni rozumiałam, dlaczego. Choć wprawiał mnie w niepokój, byłam pewna, że to nie on jest faktycznym zagrożeniem. Nie wyczuwałam w nim nawet śladu Gideona, a mimo to coś mnie niepokoiło. Ciągle wracałam myślami do chwili spędzonej w ziemnym schronie z Archiem, Tremainem i porucznikiem Maidstonem. Doświadczyłam wtedy silnego poczucia zagrożenia, ale dlaczego? Sam Tremain

ciągle robił niepożądane i niewłaściwe uwagi, a miałam też świadomość, że w szpitalu polowym był świadkiem niektórych z moich nietypowych metod leczenia. Starałam się go unikać z nadzieją, że wkrótce zostanie odesłany do domu na przepustkę, by w pełni odzyskać siły po urazie. Mogłam się przynajmniej trzymać myśli, że wkrótce znów zobaczę Archiego. Otrzymałam od niego wiadomość i planowaliśmy spędzić wspólnie dwa dni przepustki, od przyszłej soboty. Na samą myśl o tym czułam się jak trzpiotowata nastolatka. Takie chwile melancholijnej radości miały swoją cenę – natychmiast dopadało mnie poczucie winy. Jakże mogłam rozważać radość, śmiech, nawet miłość, gdy tak wiele osób zginęło lub cierpiało? Czy to dobrze? Strap dostrzegła wyraz mojej twarzy, gdy na chwilę przestałam się pilnować.

– Dobry Boże, Elise, wyglądasz jakbyś cierpiała na niestrawność. Proszę, poczęstuj się. W tych sprawach nie ma nic lepszego – powiedziała, podając mi swą puszkę drogocennych herbatników.

Wzięłam jednego bez entuzjazmu.

– Dziękuję.

– Miałaś jakieś wieści od swojego żołnierza?

Znała już imię Archiego. Opowiedziałam jej także o naszym spotkaniu na froncie. Dzielenie się takimi informacjami z kimkolwiek było przeciwne mojej naturze, ale tęskniłam tak bardzo, że rozmowa o nim była pewną formą zbliżenia się do niego, nawet jeśli zaledwie na parę chwil. Zerknęłam przez ramię, by sprawdzić, czy nikt nas

nie podsłuchuje.

– Przysłał wiadomość.

– Wiadomość, mówisz? Cóż, to już coś.

– Ma czterdziestoośmiogodzinną przepustkę, od soboty.

– Co oczywiście wcale cię nie interesuje, gdyż doskonale znasz przepisy zabraniające pielęgniarcom spotykania się z oficerami.

– Oczywiście.

– I masz świadomość, że jeśli nasza Droga Przełożona wyniucha jakikolwiek *liaison* pomiędzy jedną z jej pielęgniarek a mężczyzną w mundurze, konsekwencje będą opłakane.

– Nader opłakane, na ile mogę sobie wyobrazić. Odeszła od pieca i usiadła obok mnie.

– Więc gdzie się z nim spotkasz? – Uśmiechnęła się szeroko.

– Mam wsiąść w pociąg do Gironde, trzy przystanki stąd na południowy zachód. Będę czekać na niego na peronie, a on mnie znajdzie.

– Ach, sekretne rendez-vous! Jakież absurdalnie romantyczne.

Uśmiech zniknął z mojej twarzy.

– A może po prostu absurdalne.

– Dlaczego?

– Och, nie wiem, to wydaje się nie w porządku. Wyjechać i dobrze się bawić, przemykać się, zapominając o tym, po co właściwie tu jesteśmy. – Przeciągnęłam ręką

po włosach i pozwoliłam opaść ramionom. Strap nie podzielała żadnej z moich obaw.

– A teraz posłuchaj mnie, siostró pracuj-aż-padniesz Hawksmith – powiedziała. – Jeżeli jest tu ktoś, kto zasługuje na kilka godzin wolnego, to właśnie ty. Nalegam, żebyś się dobrze bawiła i całkowicie zapomniała o tym, dlaczego tu jesteśmy. Dokładnie o to chodzi! Do licha, dziewczyno, nie wiesz, kiedy ci dobrze. Pamiętam, że przemykałam się jeszcze w szkole, gdy musiałam dostać się chyłkiem do internatu. Wykorzystaj to, mówię. A potem wróć do nas i opowiedz o tym nam, pozbawionym miłości stworzeniom. Albo opowiedz przynajmniej mnie. Rozumiem, że możesz nie chcieć rozgłaszać swych grzeszków...

– Grzeszki! – roześmiałam się. – Strap, jesteś jak balsam. Gdybyśmy mogli zamykać w pudełkach to, co daje ci tak niezamordowaną radość, sale by opustoszały.

– Herbatniki imbirowe – stwierdziła, wbijając zęby w kolejne ciastko. – Przysięgam, mogłyby po nich przejść legiony.

Zachichotałyśmy wspólnie i zdałam sobie sprawę, od jak dawna nie słyszałam dźwięku własnego śmiechu.

Dni mijały powoli, aż wreszcie nadszedł sobotni wieczór. Nic miałam innych ubrań oprócz fartucha i po raz pierwszy odczuwałam brak czegoś ładnego do włożenia. Umyłam włosy, płuczac je odrobiną mojego cennego olejku różanego, i pożyczyłam od Kitty szminkę. Choć próbowałam możliwie najbardziej umniejszyć wagę tego

wydarzenia, inne musiały wyczuć moją ekscytację i dokuczały mi bezlitośnie do chwili, gdy udało mi się wyślizgnąć. Do niewielkiej torby pożyczonej od Strap spakowałam kilka rzeczy pozwalających spędzić noc bez zwracania uwagi, że zamierzam wyjechać na dwa dni. i noce. Pociąg jadący o siódmej do Gironde wypełniali żołnierze na przepustkach oraz chwilowo pozostający bez przydziału ochotnicy, którzy pragnęli spędzić choć krótki czas z dala od ponurej wojny. Niektórzy kierowali się na wybrzeże, skąd mieli płynąć do domu. Inni, podobnie jak ja, zamierzali spędzić kilka kradzionych godzin tak daleko od Saint Justine, jak tylko pozwalały im przepustki.

Znalazłam miejsce przy oknie i przyglądałam się opuszczonemu krajobrazowi. Lokomotywa dyszała i wydmuchiwała kłęby dymu, zabierając nas z dala od frontu. Z każdą pokonaną milą krajobraz odzyskiwał zwykły wygląd, znacznie spokojniejszy. W promieniach zachodzącego słońca rosły zboża, pasło się bydło, a gawrony statecznie okrężały drzewa w przygotowaniu do nocnego odpoczynku. Poczulałam narastającą ekscytację. Na myśl nie tylko o ponownym spotkaniu z Archiem, lecz także o tym, że jest nadzieja, iż pewnego dnia wszystko wróci do normy.

Zanim dotarliśmy do Gironde, zrobiło się całkiem ciepło. Ruszyłam wzdłuż peronu, z dala od ludzi zdążających w stronę wyjścia. Ukryłam się w cieniu i czekałam. Gdy strumień pasażerów zaczął rzednąć i wysiedli już ostatni, poczułam napięcie w żołądku. Ciągle nie było nawet

śladu Archiego. Czy w końcu przyjdzie? Czy oszukiwałam samą siebie w sprawie jego uczuć do mnie? Niespodziewanie go ujrzałam. Ostrożnie wysiadał z pociągu, gdyż jego uszkodzona noga zmuszała go do ostrego przechylania się na jedną stronę. Stał samotnie na peronie. Wyszłam z ciemnego rogu, w którym się ukryłam. Dostrzegł mnie i natychmiast się uśmiechnął, spiesząc w moją stronę. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. W końcu Archie się roześmiał i podał mi ramię.

– Cóż, siostrzyczko Hawksmith – stwierdził – diagnozuję u pani ekscytację i zalecam dwa duże kieliszki najlepszego miejscowego wina, jakie uda nam się znaleźć. Co pani na to?

– Doskonałe lekarstwo – ujęłam go pod ramię i pozwoliłam poprowadzić się w stronę miasta.

– A także – ciągnął – zalecam doskonałą *cassoulet*! [Francuska potrawa duszona na wolnym ogniu, złożona z różnych rodzajów mięsa i fasoli przyp. tłum.] madame Henri, a po nim jedną czy dwie filiżanki najlepszej kawy poza Paryżem. Jak, twoim zdaniem, my, wzięci pacjenci, poczujemy się po takiej uczcie?

– Wydaje mi się, że prognozy są dobre, a leczenie trzeba powtarzać w krótkich odstępach czasu.

Cafe Henri znajdowała się w bocznej uliczce odchodzącej od niewielkiego rynku, który stanowił centrum maleńkiego miasteczka. Przeszliśmy pod markizą i pchnęliśmy drzwi prowadzące do wnętrza wypełnionego gościnnym ciepłem, światłem i radością. Było jasne, że Archie bywał tu już wcześniej, gdyż monsieur Henri po-

witał go jak ulubionego syna i zaprowadził nas do przytulnego stolika w rogu. Kawiarnia była już wypełniona niemal po brzegi i musieliśmy przeciskać się między innymi gośćmi, pijącymi lub jedzącymi. Monsieur Henri odsunął moje krzesło i teatralnym gestem wręczył nam karty dań.

– Co dziś dobrego, Albercie? – zapytał Archie.

Monsieur wyciągnął notatnik i polizał ołówek. Gdy się odezwał, okazało się, że jego akcent przypomina mruczenie i że połyka słowa.

– Ach, poruczniku Carmichael, *ce soir* mogę polecić *cassoulet*. Przygotowała go sama madame Henri i jest – na jego twarzy pojawił się wyraz ekstazy – *magnifique* – Zatem niech będzie *cassoulet*.

Monsieur Henri zabrał nam menu i odszedł, wykrzykując ponagląjące instrukcje w stronę podstarzałego kelnera, by przyniósł nam wino *tout de suite*.

Archie pochylił się naprzód.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, iż wybrałem za ciebie – rzekł, zniżając głos. – Chodzi o to, że wszystkie inne pozycje menu są niedostępne od chwili, gdy rozpoczęła się wojna. Obawiam się, że można zjeść *cassoulet* albo nic. Ale nie rozczarujesz się. Zawsze jest świetny.

– Nawet *magnifique*.

– W rzeczy samej.

Kelner przyniósł kieliszki oraz butelkę wina, którą otworzył z pewnym wysiłkiem i postawił obok Archiego.

– Jak ci się udało znaleźć to miejsce? – zapytałam.

– Przeprowadził mnie tu kolega oficer podczas pierwszej przepustki. Jeśli muszę być z dala od domu, nie ma lepszego miejsca. Podoba ci się?

Przyjrzałam się otoczeniu. Ściany pomalowano na głęboką czerwień, ale niemal w całości zasłaniały je wiktoriańskie obrazy, w większości olejne. Niektóre przedstawiały okoliczne krajobrazy, inne wydawały się portretami stałych klientów. Nad drzwiami do kuchni wisiał szczególnie duży obraz przedstawiający monsieur i madame Henri. Bar był wypolerowany i wytarty tysiącami rękawów, których właściciele tłoczyli się tu po wino, absynt czy kawę. Ze środka wysokiego sufitu zwieszały się trzy imponujące żyrandole z czarnego szkła, a rogi pomieszczenia oświetlały pasujące do nich kinkiety. Z lewej strony baru stało niewielkie pianino, a przy oknie dwa stoliki, zajęte teraz przez grupę nietrzeźwych żołnierzy. Po ich mundurach i akcencie poznałam, że to Australijczycy. Większość gości jedzących posiłek stanowili żołnierze, oprócz starszego małżeństwa w odległym rogu i niewielkiej grupki młodych Francuzek o świeżych jeszcze twarzach, które siedziały na środku sali, udając, że nie dostrzegają pełnych nieskrywanego podziwu spojrzeń mężczyzn. Całe pomieszczenie wypełniał gwar rozmów prowadzonych przez ludzi, którzy dobrze się bawili – ekscytacja flirtem, zapach kawy, wina i wody kolońskiej, a także stanowcze poczucie *fole de vivre*. To była Francja w swej zwykłej postaci. W postaci, która się nie zmieni.

To miejsce było oddalone o miliony mil od brutalności rozpanoszonej w odległości zaledwie krótkiej podróży pociągiem stąd. Zrozumiałam, że to właśnie miała na myśli Strap: w takim miejscu grzechem byłoby się nie bawić. Możliwość rozkoszowania się zwykłymi, przyjaznymi kontaktami z ludźmi naprawdę trzeba świętować i wykorzystać do ostatniej kropli.

– Bardzo mi się tu podoba – powiedziałam Archiemu, który właśnie podawał mi kieliszek. Spojrzałam na niego, unosząc szkło do ust. – Nie potrafię sobie wyobrazić innego miejsca, w którym wołałabym teraz być.

– Ani ja.

– Nawet Glencarrick?

– W tej chwili nie. Ta chwila jest idealna. Wypijmy za nią. Zachowajmy nasze wspomnienia na zawsze, niezależnie od tego, jak długo to będzie.

Wypiliśmy toast ze wzrokiem zatraconym w spojrzeniu drugiego. Czułam, że Archie ma zdolność patrzenia na mnie i rozumienia mnie, wglądu w głąb mojej istoty. W tej świadomości było coś cudownie uspokajającego. Wydawało się, dopóki patrzył na mnie w taki sposób, że znika cała samotność tych wszystkich powolnych lat, które przeżyłam. Zupełnie jakby czytał w moich myślach, zmienił wyraz twarzy na poważny. Odstawił kieliszek.

– Wydaje mi się, że powinienem coś wyjaśnić – stwierdził. – Jestem jedynakiem i byłem bardzo blisko z ojcem, ale najbardziej przypominam matkę. Mój ojciec niestety nie żyje. Straszliwie za nim tęsknię, podobnie jak

moja matka. Nigdy nie opuści Glencarrick. Wydaje mi się, że to powód, dla którego to miejsce tak wiele znaczy dla nas obojga – to właśnie tam mieszkał. Tam mieszka. Tak czy inaczej, matka jest wyjątkową osobą. Wychowała się w Edynburgu, lecz przeprowadziła się na podgórze, gdzie przedstawiono ją mojemu ojcu. Pokochali się od pierwszego wejrzenia. – Przerwał i uśmiechnął się do mnie, a potem ciągnął; – Sądzę, że ojciec natychmiast zorientował się, że jest w niej coś odmiennego. Nie przeszkadzało mu tu. Akceptował ją w pełni. Choć niektórzy członkowie rodziny uważali, że jest trochę... dziwna. Ale wkrótce zadomowiła się w Glencarrick i pokochali ją wszyscy miejscowi. Jeszcze bardziej akceptowali jej... niezwykle talenty. – Upił kolejny łyk wina. – Chodzi o to, że moja matka jest medium. Nie ukrywa tego, nie usprawiedliwia się i nie tłumaczy. Po prostu potrafi komunikować się z duszami, które przeszły do tamtego świata, jak mówi. Nigdy się tego nie bałem, nawet jako dziecko. Dorastałem z seansami, w towarzystwie obcych, który zjawiali się pod naszymi drzwiami, prosząc matkę o pomoc w kontakcie z ukochanymi zmarłymi. Nigdy nikomu nie odmówiła. Kiedy byłem jeszcze całkiem mały, miałem pewnie z osiem czy dziewięć lat, moja matka dojrzała coś również we mnie. Miałem dar. Po raz pierwszy dostrzegła to, gdy opowiadałem o małym chłopcu, który odwiedzał mnie co noc. Mój ojciec uznał to za sny lub wymyślonego przyjaciela. Nie wydaje mi się, by chciał przyznać, że kolejny członek jego rodziny jest „dziwny”,

nie od razu. Ale moja mama zaraz poznała, że mój gość był duszą.

Duchem, jeśli wolisz. Pierwszym z wielu. Później bowiem regularnie spotykałem w godzinach nocnych różnorodnych ludzi. Większość z nich mieszkała niegdyś w Glencarrick. Czasem pomagałem matce kontaktować się z krewnymi i przyjaciółmi różnych ludzi. Jak mówiłem, nigdy mnie to nie przerażało. Właśnie tacy byliśmy.

Przerwał, gdy zjawił się monsieur Henri z parującymi talerzami *cassoulet*.

– Madame, to dla pani. Mam nadzieję, że będzie pani smakowało.

– Pachnie wspaniale – odparłam.

– Poruczniku Carmichael, *bon appetit*.

– Dziękuję panu, Albercie.

Gdy odszedł od naszego stolika, oboje zauróczeni zapatrzyliśmy się w posiłek. Po wielu tygodniach racji i koszmarnego jadłospisu, który trzymał nas przy życiu, stojące przed nami danie było doprawdy wspaniałe. Pośród pomidorami, fasolą i sporymi kawałkami królika i kielbasy wyczuwałam majeranek i rozmaryn, czosnek i słodkie cebulki. Nigdy w życiu nie czekałam na zabranie się do jedzenia z taką rozkoszą. Ale bardzo chciałam, by Archie nie przerywał. Nie mogłam pozwolić, by taka chwila zaufania minęła.

– Mów dalej – poprosiłam – opowiadałeś o swojej matce. I o sobie. Mów dalej, proszę.

– Czy wiesz, że nigdy wcześniej nie opowiadałem ni-

komu o tym wszystkim? Żadnemu z mężczyzn. Nikomu. Ale chciałem powiedzieć tobie. Chcę, żebyś zrozumiała. Chcę, żebyś wiedziała, że ja... – zawahał się – że ciebie rozumiem.

W tej chwili wydało się, że reszta pomieszczenia zniknęła. Nie widziałam nic poza tym niezwykłym mężczyzną naprzeciwko. A prawdziwe znaczenie jego słów... Znał mnie. Wiedział, kim jestem! Nic musiałam się ukrywać ani udawać. Nie musiałam próbować wyjaśniać ani przeproszać. Jego zdolność widzenia tego, czego nie widzieli inni, łączenia się z przedstawicielami innego świata, oznaczała, że byłam przed nim całkowicie obnażona. Nie byłam siostrą Elise ani nawet Bess. Cóż, byłam nimi, lecz nie tylko nimi. Byłam wszystkim, czym byłam kiedykolwiek. Elizabeth Anne Hawksmith. Urodzoną, gdy świat był znacznie młodszy. Zmienioną ze zwykłej uzdrowicielki w nieśmiertelną. Raz i na zawsze, na dobre i na złe, czarownicą. Moje serce zaczęło śpiewać z radości. Zanim zdołałam się powstrzymać, łzy spływały mi po brodzie. Łzy czystego szczęścia.

– Ostrożnie. – Archie podał mi chusteczkę. – Albert się obrazi, jeśli do jego doskonałego *cassoulet* dodasz więcej soli.

– Ty mną nie... gardzisz?

– Gardzić tobą! – Pokręcił głową i sięgnął przez stół, by wziąć mnie za rękę. – Moja najdroższa, moja słodka Bess. Ja cię uwielbiam. Masz całe moje serce. Na zawsze.

Pozwoliłam, by ścisnął mi dłoń. Uśmiechnął się do

mnie.

– No dalej – zachęcił – jedzmy.

Właśnie zabraliśmy się za ten niebiański posiłek, gdy zobaczyłam, że uwagę Archiego przykuł ktoś wchodzący do kawiarni. Jego twarz odrobinę pociemniała, a kiedy się odwróciłam, ujrzałam, że do sali wszedł porucznik Maidstone w towarzystwie dwóch innych oficerów. Zauważył nas i z uśmiechem podszedł do naszego stolika.

– Carmichael, jesteś czarnym koniem. – Klepnął Archiego w plecy i uśmiechnął się do mnie. – No, no, siostra Hawksmith, przypominam sobie. Jakże się cieszę, że znów panią widzę.

– Poruczniku Maidstone, mam nadzieję, że wszystko u pana w porządku.

– Doskonale, moja droga. Doskonale. Powiedziałbym, że dobrze to wygląda. Słyszałem o tym miejscu, ale jestem tu po raz pierwszy. Wydaje mi się, że mógłbym zjeść miednicę tego.

– Reg, staruszkule! – okrzyk wydał jeden z jego towarzyszy, którzy teraz stali przy barze. – Nie bądź skąpcem, chodź tu i zapłać.

Porucznik Maidstone uśmiechnął się i lekko skłonił głowę.

– Bawcie się dobrze, dzieciaki – rzucił w naszą stronę, a potem odwrócił się i ruszył w kierunku baru. Archie wydawał się dziwnie zmartwiony zjawieniem się przyjaciela.

– Jak daleko trzeba odjechać, żeby podczas tej cho-

lonej wojny znaleźć odrobinę prywatności? – zastanowił się głośno.

– Wydaje się bardzo radosny – stwierdziłam. – Pewnie jesteście dobrymi przyjaciółmi, spędzając wspólnie czas w schronach. – Podniosłam widelcem fasolkę.

– Porucznik Maidstone nie jest moim przyjacielem – odparł cicho.

To mnie zaskoczyło. Obejrzałam się przez ramię. Porucznik pogrążony był w ożywionej rozmowie z monsieur Henrim, któremu ta rozmowa najwyraźniej sprawiała przyjemność. Było w nim coś władczego, to prawda. I przypomniałam sobie, w jaki sposób przyglądali mi się w schronie wraz z kapitanem Tremainem. Przypomniałam sobie, jak bardzo wyprowadziło mnie to z równowagi. Założyłam, że to kapitan wprawiał mnie w niepokój, lecz Archie najwyraźniej widział coś w poruczniku Maidstone. Przerwałam jedzenie i zaczęłam się na nim skupiać, usiłując włączyć mą intuicję czarownicy, lecz Archie ponownie przyciągnął moją uwagę do siebie.

– Nie chciałbym cię poganiać – stwierdził, a jego nastrój wyraźnie się zmienił – ale czy możemy zjeść i wyjść stąd? Znalazłem miejsce, gdzie będziemy mogli być sami. Tylko nas dwoje.

– Tak, oczywiście – zgodziłam się. – Mam na to ochotę. Naprawdę mam.

Skończyliśmy kolację w ciszy wypełnionej dziwnym napięciem, nie do końca zrodzonym z oczekiwania na będącą przed nami noc.

7

Archie przywołał monsieur Henriego i po dłuższej chwili konspiracyjnych szeptów wyprowadzono nas przez kuchnię i tylne drzwi. Na niewielkim podwórku z tyłu kawiarni korpulentny restaurator odchylił płócienną plan-dekę i pokazał nam błyszczący motocykl, z radością objaśniając zalety pojazdu. Archie przypiął moją torbę z tyłu i pomógł mi wspiąć się na siodełko. Po trzech zdecydowanych kopniakach pojazd ożył z terkotem. Przywarłam do Archiego, przytulając się do jego silnych, ciepłych pleców. Gdy opuściliśmy Gironde i wjechaliśmy na drogę prowadzącą na południe, poczułam się bezgranicznie szczęśliwa. Nie miałam pojęcia, dokąd jedziemy ani jak długo potrwa podróż. Miałam do Archiego pełne zaufanie. Byliśmy razem, z dala od wojny, czekał nas cenny czas i przez tę chwilę moglibyśmy być całkowicie samolubni. Nie liczyło się nic innego. Jechaliśmy przez zaciemnione wsie coraz węższymi traktami. Około pół godziny później Archie skręcił na wyboistą polną drogę. Minęliśmy zabudowania mieszkalne, z grzechotem przejeżdżając przez wybrukowane podwórze. Artretyczny pies podniósł alarm, lecz drzwi frontowe pozostały zamknięte. Omijając koleiny i wyboje na coraz bardziej nierównej ścieżce, dotarliśmy do maleńkiej chatki, przycupniętej pośród niewielkiej kępy brzeziny. Był to parterowy budynek z kamienia, o stromym dachu i potężnym komi-

nie, z którego wydostawał się nieziemski dym i ulatywał w spokojne powietrze nocy. Archie zatrzymał motocykl i wyłączył silnik. To ciche miejsce było wspaniałe. Jego spokój zakłócały jedynie pohukiwania sowy i szczekanie lisa. Archie wziął moją torbę i poprowadził mnie w stronę niskich drewnianych drzwi, które nie były zamknięte. Przeszłam przez próg i wciągnęłam zapach palonego drewna i ściętych kwiatów. Archie wziął lampę naftową znad kominka i przyłożył zapalnik do knotu. Pokój stał się widoczny. Ogień, rozpalony kilka godzin wcześniej na potężnym palenisku, a teraz podsycony, zapłonął jasno. Na stojącym na środku niewielkiej izby sosnowym stole pyszniła się miska róż i pudło z wiktuałami. Przy stole stały dwa drewniane krzesła, a przy ogniu fotel bujany i drugi, kryty splowiałą skórą. W przeciwległym rogu znajdowała się umywalka z dzbanem i miednicą. Na ścianie wisiało lustro. Obok widniało żelazne łóżko z grubym materacem i zszywaną z kawałków kapą.

– Obawiam się, że to nie Ritz – stwierdził Archie, zapalając świecę w mosiężnym świeczniku i stawiając ją na stole – ale przez najbliższe dwa dni należy do nas. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Rolnik jest kuzynem Alberta.

– Jest cudownie – zapewniłam – całkowicie cudownie.
– Przyszła mi do głowy pewna myśl i nie potrafiłam się powstrzymać od pytania. – Czy ty... byłeś tu wcześniej?
Z kimś innym?

– Z nikim innym. – Pokręcił głową, a potem zbliżył się do mnie i ujął obie moje dłonie w swoje. – Przysię-

gam, nie zajmuję się porywaniem w środku nocy ślicznych młodych pielęgniarek do oddalonych chat. Byłem tu wcześniej tylko raz, samotnie. Bardzo potrzebowałem spędzić trochę czasu z dala od frontu, ale miałem tylko kilkudniową przepustkę. Chciałem jechać w jakieś spokojne miejsce. Gdzieś, gdzie mój umysł mógłby odpocząć, choćby przez chwilę. Wspomniałem o tym Albertowi. To dobry człowiek. zaproponował mi to miejsce. Kiedy powiedziałem, że chciałbym ponownie odwiedzić tę chatę, tym razem z przyjaciółką, cóż, dopilnował wszystkiego. To pocieszające, że pośród tego całego cierpienia można liczyć na takie drobne przysługi, prawda?

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową.

– Nie mogę uwierzyć, że to dla nas. – Obeszłam pokój, dotykając szorstkiej belki nad kominkiem, zatrzymując się, by powąchać róże, otulając się ciepłem i spokojem tego miejsca. – Tylko dla nas.

– Tylko dla nas. A teraz – zatarł dłonie i zajrzał do pudła z prowiantem. – Zobaczmy, co przygotował dla nas monsieur Henri.

Pudło zawierało świeży chleb, gomółkę twardego sera, kilka pomidorów o woskowatej skórce, brązowe jajka, jabłka, słoik miodu, a nawet trochę bezcennych ziaren kawy. Oprócz tych wspaniałych smakołyków był tam korkociąg i dwie butelki czerwonego wina. Archie rozpromienił się, unosząc jedną z nich do światła.

– Znajdę kieliszki – oznajmił i zaczął przeglądać zawartość jedyne go kredensu w izbie.

Rozpięłam płaszcz, zsunęłam go z ramion i ułożyłam na jednym z kuchennych krzeseł. Dokładnie wiedziałam, gdzie chcę usiąść, ale coś sprawiło, że się zawahałam. Powoli podeszłam do fotela na biegunach, zupełnie jakby mógł się niespodziewanie poruszyć. Miałam świadomość, że Archie mi się przygląda. Musiał uznać moje zachowanie za dziwaczne. Dla niego był to zwykły sprzęt. Dla mnie zaś było to tak ważne wspomnienie matki, że tu, w tej chacie, która tak bardzo przypominała dom mojego dzieciństwa, od dawna skrywane emocje groziły porwaniem mnie bez reszty. Niepewnie dotknęłam gładkiego drewna. Bieguny odrobinę się poruszyły i skrzypnęły. Małe wychylenie, najłżejszy szept. Siadłam i oparłam się o zaokrąglone drewniane pręty oparcia. Powoli pozwoliłam fotelowi się poruszać. Delikatnie nabierał tempa. Gdy tak kołysałam się w przód i w tył, światło płomieni obok mnie trochę się rozmyło. Spojrzałam na Archiego, który stał z kieliszkami w dłoni, czekając na moją reakcję.

On wie, pomyślałam, on wie o mnie tak dużo.

Uśmiechnęłam się znowu, świadoma, że od bardzo, bardzo dawna nie robiłam tego z taką częstotliwością ani tak prawdziwie szczęśliwa. Natychmiast poczułam się winna, że tak dobrze się bawię, choć tyle osób cierpi w odległości zaledwie kilku pustych mil. Mogłam tylko zgadywać, z jakimi sprzecznymi uczuciami zmagał się Archie.

– To trudne, prawda? – zapytałam. – Zapomnieć o innych. Wyrzucić z myśli całą okropność wojny i po

prostu... być tutaj.

Skinął głową, przyglądając się ciemnemu jak atrament winu w kieliszku i opadając ciężko na stary skórzany fotel.

– Miałem szczęście – powiedział – podczas pierwszych spędzonych tutaj tygodni miałem wspaniałego dowódcę. Nazywał się Brunswick. Zauważył, że nie biorę przepustek, i powiedział mi tak: „Wykorzystaj każdą szansę, żeby stąd wyjechać. Wyjechać i nie myśleć o tym miejscu ani przez chwilę. To jedyny sposób, żeby nie zwariować”. Miał rację. Teraz jest martwy, oczywiście, ale nie zmienia to faktu, że miał rację. Nauczyłem się robić to, co powiedział.

– Uważam, że to świetny plan. Nie myślmymy o wojnie do wyjazdu. Zgoda?

– Żadnej wojny. Wypiję za to.

Tego wieczoru sączyliśmy wino i rozmawialiśmy długo w noc. Opowiadaliśmy sobie o dzieciństwie i życiu sprzed chwili, gdy po raz pierwszy usłyszeliśmy o Passchendaele. Pragnęłam dowiedzieć się więcej o jego rodzinie, jego korzeniach, o nim. Przypomniałam sobie, co mówił w kawiarni, i chciałam, pragnęłam wiedzieć więcej.

– Mówisz, że pomagałeś matce, towarzyszyłeś jej podczas pracy medium. Że miałeś dar. Masz go nadal?

Archie pozwolił, by smutny uśmiech zmienił jego rysy.

– Wydaje mi się, że teraz nie byłby to dar, lecz przekleństwo. Zastanawiam się, jakie zmalretowane dusze by

mnie odwiedzały tam gdzieś, w tym zamieszaniu, gdybym tylko był w stanie je zobaczyć. Co by do mnie mówiły? – Pokręcił głową. – Jestem całkowicie pewien, że nie byłbym w stanie tego znieść. – Przerwał, by dolać wina do mojego kieliszka i napełnić własny. Kiedy wrócił do tematu, głos miał ochryply z emocji. – Miałem piętnaście lat, gdy ustały moje kontakty z duchami zmarłych. Tak po prostu. Jakby ktoś zgasił płonące we mnie światło. Poczulem się opuszczony, jakbym stracił rodzinę. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem. Stracić taki kontakt... jakże mógłbyś nie czuć rozpaczliwej samotności? Ale czemu? Czemu się to zmieniło? I dlaczego właśnie wtedy, wiesz to?

Pokręcił głową.

– Matka powiedziała mi, że ma to coś wspólnego z moim przejściem w wiek męski, tylko tak potrafiła to wyjaśnić.

– Słyszałam, że dzieci są w naturalny sposób bardziej podatne. Bardziej wyczułone na drgania na płaszczyznach innych niż te w naszym zwykłym, świadomym świecie. Wchodząc w dorosłość, znalazłeś się poza ich zasięgiem. A mimo to twoja matka...

– Moja matka jest wyjątkową kobietą. Najwyraźniej jestem gorszą istotą. Moje kontakty były słabe. Mój dar dało się poczuć jedynie wtedy, gdy wzmacniało go moje dzieciństwo. Nie był w stanie przetrwać brutalności stawania się mężczyzną.

– Ale ty zachowałeś wrażliwość. Na pewno. Jakże inaczej wiedziałbyś... wiedziałbyś o mnie?

– Bess, trzeba by być ślepy, żeby nie dostrzec, że jesteś kimś naprawdę wyjątkowym. Twoje światło świeci. To potężna energia.

– Z całą pewnością jest potężna. Choć ta moc nie zawsze jest siłą, za którą jestem wdzięczna. – Odwróciłam się i wbiłam wzrok w niewielkie płomienie. Ciepło przegryzło się przez kawałek leszczyny, odsłaniając stary miedziany gwóźdź, więc teraz pośród pomarańczowych płomieni tańczyły zielone języki. – Czasami czuję się przeklęta. Kiedy pozwolę sobie na rozmyślenia o tym, co mogłoby być, gdyby... Co by było, gdyby w jakiś sposób udało mi się uratować matkę? Co mogłoby się stać, gdybym była wystarczająco silna, by stawić czoła Gideonowi? Czy mogłabym wieść proste życie z mężem, rodziną, domem, w którym mogłabym bezpiecznie mieszkać, otoczona miłością? – Na chwilę zamknęłam oczy, odpychając znajomy ból. Gdy je ponownie otwarłam, zobaczyłam, jak wielki wpływ miały moje słowa na Archiego.

Przepraszam – stwierdziłam. Nie powinnam być tak ponura. Nic tutaj. Nie teraz. Sądzę, pozwoliłam sobie myśleć o tym wszystkim ze względu na ciebie. Ponieważ, w pewien sposób, wiem, że zrozumiesz. Zrozumiesz, co znaczy...

– Być innym?

– Tak, ale nie tylko o to chodzi. O coś więcej. Łączyć się z czymś innym, czymś cudownym, a jednak nie w pełni tam należeć. Zupełnie jakbyś był zawieszony między dwoma światami.

Archie skinął głową.

– Wiem, najdroższa powiedział miękko. – Wiem. Ale to nie jest takie bardzo złe, co? – Pochylił się naprzód ze wzrokiem rozjaśnionym ciekawością i podziwem. – Chciałem powiedzieć, że to, co miałem, co potrafiłem, było wyjątkowe, lecz było to całkiem nieistotne w porównaniu z tym, co potrafisz zrobić ty, z tym, kim jesteś. Rozumiem, co mówisz o samotności, naprawdę rozumiem. Boli mnie myśl, że przez te wszystkie lata nie miałaś obok siebie nikogo, komu mogłabyś zaufać, z kim mogłabyś dzielić się swoim darem i życiem. To trudne. Bess. Ale cóż, magia!

Uśmiechnęłam się, gdyż jego chłopięcy entuzjazm poprawił mi humor.

– Tak – przytaknęłam. – Magia jest wspaniała. Z niczym nie umiem porównać uczucia, gdy krąży w żyłach, obejmuje cię w całości, umysł, ciało i duszę. Zupełnie jakby połączyć się z energią tak nieskończoną i tak prawdziwą... Jestem jedynie przewodnikiem tej energii, nic więcej. Ale w takiej chwili jestem błogosławiona, wiem to. Tak, to prawda, kiedy doświadczam tego cudu i kiedy widzę, ile dobra potrafi sprawić, i kiedy wiem, że jestem częścią tego dobra, nie jestem sama. Nie jestem już samotna, choćby przez mgnienie oka. W takiej chwili nie da się doświadczać oddzielności.

– To brzmi jak rozkosz.

– I tak jest. Tak jest. A mimo to...

– Płacisz za to wysoką cenę.

Ogarnął nas spokój i przez chwilę trwaliśmy w ciszy. Nie trzeba było więcej słów. Po raz pierwszy od śmierci ukochanej matki czułam się tak w pełni akceptowana przez inną istotę ludzką za to, kim jestem.

Rozmawialiśmy i słuchaliśmy siebie nawzajem, aż ostatnie z polan wypaliło się, przemieniając w szkarłatną poświatę. Archie zabrał mi pusty kieliszek i przyciągnął mnie do siebie. Staliśmy przed słabnącym ogniem, przytulając się do siebie tak mocno, jakby nic nie było w stanie nas rozłączyć. Uniósł dłoń do mojej skroni i dotknął białego pasma włosów. Odsunęłam się odrobinę, zażenowana, lecz on pokręcił głową i poprowadził palce po linii prowadzącej do szpilek, które przytrzymywały włosy na karku. Delikatnie rozpuścił mi włosy i patrzył, jak opadają na ramiona. Pochylił się naprzód i lekko pocałował ten śnieżnobiały ślad, ten połyskujący promień, który, jak wiedział, oznaczał promień magii w moim wnętrzu. Jedną dłoń wsunął pod włosy na karku, a drugą mocno trzymał mnie w talii. Dotknął ustami moich ust i zapomnieliśmy się w pocałunku najśłodszym podczas mojego całego długiego życia. W ciepłe żarzące się drewna rozebraлиśmy się nawzajem powoli i nieskończenie ostrożnie. Zagłębienia naszych ciał wypełniły cienie lampy i przyciętej świecy, a nieregularne plamy światła dodawały blasku krzywiźnie ramienia lub biodra. Archie podniósł mnie i zaniósł do łóżka. Czując zimno pościeli, westchnęłam, ale szybko przestałam zwracać na to uwagę. Archie okazał się kochankiem ekscytującym i obdarzo-

nym wyobraźnią. Znalazłam w nim doskonałą równowagę czułości i agresji, gwarantującą wspaniale intensywne i przyjemne seks. Zasnęliśmy spleceni ciałami, połączeni sercami, owinięci delikatną harmonią starej chaty i naszej własnej głębokiej miłości.

Kiedy następnego ranka obudziłam się w naszym ciepłym łóżku, Archie zniknął. Przebiegł mnie dreszcz strachu i dopiero po chwili dotarł do mnie odgłos siekiery rozłupującej przed chatą drewno na opał. Wyszłam z łóżka, owijając się piękną kapą. Otwarłam drzwi, za którymi kryło się radosne światło słońca i poranne niebo pomalowane na bladoniebieski kolor. W powietrzu czuć było jesienną rzeźkość, która obudziła mój senny umysł. Archie stał przy stosie drewna odwrócony do mnie tyłem i miarowo unosił siekiere, rąbiąc kłody dębowego i jesionowego drewna do kominka. Zamierzałam go zawołać, ale się rozmyśliłam. Zamiast tego posłałam mu myśl.

Będę parzyć kawę, chcesz trochę”?

Oderwał się od pracy i odwrócił do mnie z uśmiechem. Odłożył siekiere i podszedł do mnie. Usłyszał mnie? Czy usłyszał w głowie mój głos, czy też jedynie przypadkiem wybrał ten właśnie moment, by przerwać pracę i podejść do mnie? Stał blisko i delikatnie odgarnął mi włosy z twarzy.

– Ale najpierw wezmę cię z powrotem do łóżka i będę się z tobą kochał – odparł w odpowiedzi na moje pytanie. To przekraczało moje oczekiwania dotyczące naszej zdolności do nawiązywania połączenia ze sobą. Och,

jakaż to była radość! Skoczyłam mu w ramiona, a jedwabista kapa ześlizgnęła się z moich barków. Archie ze śmiechem zaniósł mnie do domu.

Dopiero jakiś czas później, gdy siedzieliśmy przed znów rozpalonym ogniem, sącząc gorzką kawę, przyszedł mi do głowy ten wspaniały i świetny pomysł. Pomysł tak nieprawdopodobny w swym znaczeniu, o takim potencjale zmiany życia nas obojga, że aż zapało mi dech. Przez chwilę nie wiedziałam, jak wyrazić tę myśl. Przede mną w zniszczonym skórzanym fotelu siedział Archie, wyciszony miłością, odświeżony myciem w zimnej wodzie i kawą, niepodejrzewający tego, co właśnie chciałam zaproponować. A może tak? Jak bardzo, jak często, jak skutecznie potrafił wnikać w mój umysł i rozpoznawać moje myśli, kiedy tego nie chciałam? Skończyłam kawę i uklękłam obok niego, ujmując jego dłoń. Spojrzał na moją rozjaśnioną twarz.

– Tak? – zapytał, czekając, aż wreszcie powiem, co mnie tak bardzo ożywiło. Jeżeli już wiedział, nie pokazał tego po sobie, tylko pozwolił mi mówić.

– Przyłącz się do mnie – wyszeptałam, a potem, z większym naciskiem: – Przyłącz się do mnie! Bądź taki jak ja. Zrób krok, który ja zrobiłam tyle wieków temu, i stań się nieśmiertelny. Zostań ze mną pomimo upływu czasu. Mogę to zrobić dla ciebie, dla nas. Wiem, że jeśli zdecyduję się użyć tej mocy, będę ją mieć. Jestem pewna, że potrafię to zrobić. Zastanów się nad tym, najdroższy. Nic będzie więcej rozstań ani śmierci. Nas dwoje wiodą-

cych wspólne życie, na zawsze wolne od samotności. – Wstałam i puściłam jego dłonie. Byłam zbyt podekscytowana, by siedzieć nieruchomo. – Wyobraź sobie, co by to znaczyło, co moglibyśmy zrobić. Moglibyśmy zamieszkać w twoim wspaniałym domu, z dala od reszty świata. Nikt by nam nie przeszkadzał, sam mówiłeś, że miejscowi kochają twoją rodzinę. Nie zastanawialiby się nad naszą długowiecznością. Nie baliby się jej, w przeciwieństwie do innych. Nie widzisz tego? To mogłoby być rozwiązanie. – Ożywiłam się na samą myśl o tej możliwości. Zmieniła mnie wizja dzielenia jego miłości po wsze czasy, braku samotności i przerażenia. Archie wstał i objął mnie ramionami.

– Pokażę ci takie cuda – obiecałam. – Nauczę cię wszystkiego, co wiem. Zostałeś już wprowadzony, masz dar magii, wrażliwość na inny świat. Nie umiesz sobie wyobrazić rozkoszy, jaką sprawia nappełniająca cię magiczna moc, dar leczenia i życie wieczne. Razem będziemy szczęśliwi. Będziemy bezpieczni. – Zamknęłam oczy i oparłam głowę na jego piersi, czując bicie serca. – Pozwól, że to zrobię dla ciebie. Dla nas obojga – prosiłam.

Pocałował mnie w głowę i tak pozostał, z wargami na moich włosach. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos był słaby i schrypnięty.

– Och, moja Bess, moja cudowna Bess – zamruczał, przyciągając mnie jeszcze bliżej. Tak mi przykro, jednak nie mogę zrobić tego, o co prosisz. Nie mogę.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Stałam przytu-

lona do niego, pragnąc, by powiedział słowa zdolne całkowicie zmienić moje życie.

– Ale... Archie, pomyśl, jak mogłoby to wyglądać. Jak wspaniale. Jak magicznie. Nas dwoje...

– Wiem, wiem, ale mimo to nie mogę, Bess.

Teraz się odsunęłam. Moją nadzieję i radość szybko zastąpiło poczucie zranienia i gniewu.

– Chcesz powiedzieć, że możesz, ale tego nie zrobisz – stwierdziłam. – Czemu nie? Sądziłam, wierzyłam, że mnie kochasz. Że nie pragniesz niczego więcej, jak tylko być ze mną.

– Bo tak jest. Naprawdę tak jest.

– Co nas zatem może powstrzymać? Jaki powód możesz mieć, nie chcąc, byśmy byli razem?

– Chcę, żebyśmy byli razem, najdroższa. I tak będzie. Ale nie jestem taki jak ty. To niemożliwe. Żadne nauki ani rzucanie zaklęć tego nie zmienią. Tak, mam dar, zdolność sięgania przez zasłonę oddzielającą nasz świat od tamtego. I jestem za ten dar wdzięczny. Cenię go. Ale to nie magia, Bess. Jestem zwyczajnym mężczyzną z niezwykłym darem. Nie jestem czarownikiem. Nie mogę zmienić się nie do poznania, by stać się tym, kim chciałabyś mnie widzieć. Jestem, jaki jestem. I ty jesteś, jaka jesteś. I za to cię kocham.

– Archie, ale to jest możliwe, wiem, że tak. Masz wystarczającą wrażliwość, wystarczające połączenie z innym światem – twoją matkę, własną zdolność do słyszenia moich myśli. Poza tym potrzebna jest moja magia i twoja

chęć. Wspólnie możemy to osiągnąć.

– Najdroższa, nawet przez chwilę nie wątpiłem we wspaniałą siłę twojej magii. Wiem, że to, co sugerujesz, jest możliwe. Nie, proszę, spróbuj zrozumieć. Kocham cię za to, kim i czym jesteś. Akceptuję przepaść leżącą między nami. Wiem, że mnie kochasz. Ale kochasz mnie, Bess. Skromnego, śmiertelnego mnie. I właśnie tak pragnę, byś mnie kochała. Jaki jestem. A nie jako... twoje własne dzieło. Nie kogoś zmienionego tak bardzo, że nawet ja sam nie byłbym w stanie się poznać. Podczas tej ohydnej, paskudnej wojny nauczyłem się, że musimy być wierni samym sobie, nawet jeśli jest to jedyna rzecz, jakiej się nauczyłem. Wierni naszym zwykłym, najprostszym, niedoskonałym „ja”. Bess, nie mogę wejść w magię wraz z tobą. Chciałbym, byśmy dzielili życie w takiej postaci, jaką mamy teraz. Jestem przygotowany, by ponieść skutki. Oddam się tobie całkowicie na cały czas, jaki będzie nam dany. I niezależnie od tego, jak krótki czy długi się okaże, będę szczęśliwy, wolno mi było cię kochać.

– Jakże możesz mówić o miłości, wiedząc, że skończy się śmiercią? – wybuchłam gniewem, niezdolna powstrzymać buzujące we mnie emocje. – Będziesz więc zadowolony, starzejąc się, choć ja pozostanę młoda? Kurcząc się i umierając na moich oczach, gdy ja nie będę w stanie ci pomóc, uratować cię? Skażesz mnie na szarpiącą samotność, z którą będę zmuszona żyć przez całe swoje dorosłe życie, choć jest inne wyjście?

– Bess, nie ma, nie dla mnie.

– A zatem to, co do mnie czujesz, to wcale nie jest miłość! To niemożliwe!

Wybiegłam z chaty i zatrzymałam się dopiero przy jesionie po przeciwnej stronie wybiegu dla koni. Tam skuliłam się na ziemi i pozwoliłam sobie na szloch. Właśnie kiedy uwierzyłam, że znalazłam sposób na swe samotne udręki, na pozbawione uczucia dryfowanie, jakim było moje życie, moje nadzieje zgasły. Byłam zbyt zderwowana, by wyraźnie dostrzec sens myślenia Archiego i mądrość jego słów. Dopiero później doszłam do wniosku, że miał rację.

Usłyszałam za sobą kroki. Archie stał blisko, lecz nie próbował mnie dotknąć.

– Bess.

Nie ruszyłam się z miejsca. Powoli ukląkł obok mnie.

– Bess – powiedział znowu, z taką czułością, taką tęsknotą w głosie, że nie mogłam się dłużej gniewać. Odwróciłam się i wtuliłam w jego ciepłe ramiona.

– Zatem na ten czas, który będzie nam dany – wyszeptałam.

– Tak, najdroższa, na ten czas.

8

Po powrocie do PPM stwierdziłam, że potrafię pracować z większym entuzjazmem, większą energią, niż kiedykolwiek wcześniej. Niechętnie przyjąłam postawione przez Archiego warunki dla naszego związku, naszej przyszłości. Wiedziałam, rzecz jasna, że ma rację: jesteśmy tym, kim jesteśmy. W chwili spokoju stwierdziłam, że kocham go takiego, jaki jest, i nie chciałabym go zmienić tak bardzo. Przeżyjemy wojnę, pojedziemy do Glencarrick i spędzimy tam wiele lat. Tylko to się liczyło. Teraz trzeba było pracować. Po powrocie z ulgą stwierdziłam, że kapitana Tremaina zwolniono do domu. Arenie wysłuchał tego wszystkiego, co opowiadałam o Gideonie, i ostrzegł, że pośród swych ludzi wyczuł obecność. Kogoś innego. Kogoś ciemnego. Zapewniłam go, że nieustannie się pilnuję. A mimo to, choć byłam podejrzliwa wobec Tremaina, nie wierzyłam, że może być Gideonem. Być może był po prostu człowiekiem, którego maniery uznałam za obraźliwe, nic poza tym. Mimo to jednak ciężko było pominąć fakt, że podczas naszego pierwszego spotkania ktoś grał melodię „Greensleeves”.

We wtorek rano Strap, Kitty i mnie kazano zająć się łózkami w namiocie-sali. Wielu rannych pojechało do domu, więc miałyśmy pod opieką mniej niż dziesięciu pacjentów i siostra Radcliffe stwierdziła, że jest to okazja, by podwracać materace, wyczyścić szalki i ogólnie

mówiąc, zająć się tym wszystkim, co zostałyby pominięte w bardziej pracowitym czasie.

– Patrz, to powinno cię rozweselić – powiedziała Strap scenicznym szeptem, wyciągając złożony kawałek papieru. – Dał mi to jeden z kierowców karetek. Poprosił, żebym dopilnowała, by dotarło do ciebie.

Wzięłam liścik i rozwinęłam go, a moje serce przyspieszyło na myśl o Archiem. Gdy czytałam krótką wiadomość, Strap się taktownie odsunęła.

Bess, najdroższa, spotkaj się ze mną dziś wieczór w starej szkole.

O szóstej. Zawsze twój, AC.

Byłam zaskoczona. Informowanie mnie o czymkolwiek z tak krótkim wyprzedzeniem było niepodobne do Archiego. Doskonale wiedział, jak trudno mi było wykraść się z PPM-u na kilka chwil czy godzin, żeby się z nim spotkać i nie podpaść. Ale z drugiej strony czasem dostawał przepustkę w ostatniej chwili. Zerknęłam na zegarek. Było już po piątej. Włożyłam liścik do kieszeni i zerknęłam na Strap.

– Wydaje mi się – stwierdziła, wytrząsając z paczki papierosa – że ktoś, kto tak ciężko pracuje, zasługuje na chwilę wolnego. – Położyła się na łóżku w butach i z nogami w górze i papierosem w zębach zamknęła oczy. – Wydaje mi się, że tak powinno być – dodała.

Stara szkoła przedstawiała się dość ponuro w mżawce

moczającej jej szare ściany. Brama prowadząca na podwórze szkolne nie była zamknięta. Pchnęłam wrota i przeszłam przez pustą przestrzeń, która od tak dawna była opuszczona, że nie pozostały ślady malowanej kredą gry w klasy. Nie było nawet śladów farby, jedynie upiorne echo dziecięcych głosów. Gdy dotarłam do głównego wejścia do budynku, zawahałam się. Z pewnością będzie zamknięte. Obejrzałam się za siebie, lecz nikogo nie było. Przygnębiająca pogoda i nieustanny ostrzał zniechęcały ludzi do opuszczania domów, jeżeli nie było to konieczne. Sprawdziłam dużą mosiężną klamkę i odrobinę podskoczyłam, gdy drzwi otworzyły się bez trudu. Popchnęłam je i weszłam do środka. W westybulu, oświetlonym jedynie szarym światłem wpadającym przez otwór wejściowy za moimi plecami, panował przeciąg. Przeszłam do pierwszych drzwi, które stały otworem. Gdy otwierałam je szerzej, wydały głośne skrzypnięcie. Znalazłam się w pomieszczeniu, które musiało być główną salą szkolną, wystarczająco dużą, by pomieścić kilka tuzinów dzieci. Wypełniało ją zakurzone światło wpadające przez wysokie okna. Przed imponującą tablicą znajdowało się podwyższenie. Wszystkie ławki i krzesła wyniesiono i wykorzystano do celów wojskowych. A być może zostały spalone przez zdesperowanych wieśniaków. W przeciwległym rogu sali stało pianino, a z jego prawej strony znajdowała się potężna komoda, przez której otwarte drzwi widać było puste półki. Obcasy moich butów stuknęły zbyt głośno na drewnianej podłodze. Powoli podeszłam do tablicy i przesun-

nęłam palcami po szorstkiej powierzchni. Zastanawiałam się, co się stało z tymi wszystkimi dziećmi. Gdzie one teraz są?

Moje myśli gwałtownie powstrzymała muzyka dobiegająca od strony pianina. Odwróciłam się. Instrument stał pod takim kątem, że widziałam jedynie jego tył, a grający był całkowicie zasłonięty. Nie znałam tej melodii, były to jedynie nuty, gamy i ozdobniki. Otwarłam usta, by zawołać Archiego, jednak coś mnie powstrzymało. Nie przypominałam sobie, by kiedykolwiek wspominał, że gra na pianinie. Choć nie było powodu, by nie miał tego potrafić, coś mi się tu nie zgadzało. Stwierdziłam, że idę w stronę muzyki, nie chcąc się odzywać, lecz i nie próbując uciec. A potem, gdy znalazłam się w odległości kilku kroków od drewnianego tyłu pianina, pośród pozornie przypadkowych nut zaczęłam rozróżniać melodię. Tę, którą tak dobrze znałam. Bardzo dobrze nawet. Było to „Greensleeves”. Stopy odmówiły mi posłuszeństwa. We krwi rozszalała się adrenalina, pobudzając opuszki moich palców i wywołując kołatanie serca w piersiach. W tej samej chwili wyczułam kwaśny, siarkowy zapach, z którym po raz pierwszy zetknęłam się w lasach Batchcombe tak wiele istnień temu. W pierwszej chwili skarciłam samą siebie za taką naiwność. Czyż tak niewiele się nauczyłam przez te wszystkie lata, gdy unikałam swego prześladowcy? Czy mój instynkt czarownicy został tak bardzo upośledzony żalnością i cierpieniem wojny, że nie byłam w stanie wykryć jego obecności w pobliżu? Tak się

wydawało.

Przecież stałam tutaj, w odległości nic większej niż kilka metrów od kogoś, kto pragnął co najmniej mnie zniszczyć, ale bardziej prawdopodobne było, że pragnął mojej duszy. Nie było dokąd uciekać. Musiałam stawić mu czoła. Zmusiłam się, by iść naprzód, by obejść pianino. Zanim ta odrażająca melodia się skończyła, dostrzegłam pianistę, który z nisko opuszczoną głową w skupieniu pochylał się nad klawiszami. Gdy podeszłam bliżej, niespiesznie się wyprostował i odwrócił z uśmiechem. Był to ten sam uprzejmy uśmiech, którym powitał mnie podczas naszego pierwszego spotkania w schronie.

– Najdroższa, zaczynałem podejrzewać, że możesz już nie przyjść – stwierdził porucznik Maidstone, nie przerywając gry – ale przecież powinienem bardziej wierzyć w siłę prawdziwej miłości. – W jego ustach słowo „miłość” zabrzmiało żałośnie, nędznie, podle. Wreszcie melodia dobiegła końca i obrócił się na krześle przodem do mnie. Zmrużył oczy.

– Stałaś się blada i szczuplejsza, Bess. Wydaje mi się, że ta wojna ci nie służy. Moim zdaniem zebrana tu energia jest... odżywcza. – Wstał, przeciągnął się, rozłożył szeroko ramiona, obejmując ciemną siłę, którą można znaleźć wszędzie tam, gdzie jest przemoc.

W tej samej chwili poczułam bolesną tęsknotę za Archie, za jego pokrzepiającą obecnością, jego miłością.

– *Och, Archie, Archie, Archie.*

Uniosłam podbródek, zdecydowana nie okazywać

strachu.

– Gideonie, czy ty się nigdy nie zmęczysz ściganiem mnie? – zapytałam. – Czy nie możesz znaleźć w głębi siebie dość siły, by pozwolić mi odejść, uwolnić mnie od swojej obsesji?

– Och, obsesja, czyżby? Tak to widzisz? Być może masz rację. Nic mam zamiaru oddawać tego, co mi się należy. Do czego mam prawo. Co mi obiecałaś.

– Nic nie obiecywałam.

– Bess, znałaś warunki naszej umowy, nie udawaj. Zaproponowałam ci potęgę magii, a ty ją przyjęłaś. To była twoja decyzja, pamiętasz?

I za tę decyzję płacę od tamtej pory. Nie ma dnia, żebym nie próbowała rekompensować, używać moich talentów dla dobra innych. Do leczenia. Do zakończenia cierpienia.

– Och, proszę, Bess, przyznaj mi odrobinę więcej zdrowego rozsądku, odrobinę lepszą znajomość twojego charakteru. Możesz próbować przekonać samą siebie, że jesteś inna niż ja, że jesteś świętą służką uciśnionych i potrzebujących. Już to słyszałam. Nie uwierzyłam w to wówczas i nie wierzę teraz. Prawda jest taka, że jesteśmy tacy sami.

– Nie.

– Tak, dokładnie tacy sami. Nie jesteśmy marnymi białymi magami, którzy zawracają sobie głowę ziółkami i miksturami. Jesteśmy nieśmiertelnymi czarodziejami, Bess. Dzięki czarnej magii pokonaliśmy śmierć. Ta sama moc, która trzyma mnie przy życiu, trzyma także ciebie.

– Nie!

– Tak! Wiesz to. Czujesz. A co więcej, moja droga, znękana maleńka Bess, ty tego pragniesz. Całkiem tak, jak niegdyś pożałowałaś mnie.

– To nieprawda! – rzuciłam się do ucieczki, ale porucznik wezwał trąbę powietrzną, która zaczęła mną obracać, aż nie byłam w stanie się ruszyć. Kiedy ostatni wir mnie wypuścił, osunęłam się na podłogę. Podniosłam głowę i ujrzałam jak postać Maidstone'a zaczyna się rozpląwać. Jego rysy najpierw zaczęły się wykrzywiać, a potem rozmywać, aż wreszcie w stojącym przede mną stworzeniu ciężko było rozpoznać człowieka. Była to pulsująca, wirująca masa światła i energii. Kolory tego miazmatu płonęły pomarańczowo i czerwono. Potem udało mi się dostrzec ciało, krew, kości, aż wreszcie stanęła przede mną nowa istota, w pełni uformowana i równie fizyczna i rzeczywista, jak każdy inny człowiek. Gideon. Taki sam od dnia, w którym jako młoda dziewczyna zamieszkałam w jego chacie. Gideon. Wyposażony w tę samą złośliwą siłę, tę samą fascynującą aureę, to samo silne ciało, które niegdyś zarówno mnie odpychało, jak i pociągało. Skoczyłam na równe nogi.

– Nie chcę cię! – krzyknęłam. – Nigdy cię nie chciałam! – Teraz wiesz, że to kłamstwo. A może zapomniałaś. Nie pamiętasz, Bess? Nie pamiętasz, jak całe twoje ciało płonęło pożądaniem do mnie? Jak pragnęłaś, żebym przyszedł do ciebie w nocy? Jak leżałaś bezsennie w tamtym łóżu, tęskniąc za moim dotykiem? Nie pamię-

tasz?

– Zaczarowałaś mnie. Nie byłam sobą.

– Och, przeciwnie, byłaś wtedy bardziej sobą niż kiedykolwiek wcześniej czy później. Dlaczego walczysz ze swą prawdziwą naturą? Ze swym przeznaczeniem? Wiesz, w głębi swego zdumionego serca wiesz, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

– Nigdy nie będę twoja. Nigdy! – zebrałam całą swą siłę i wyrzuciłam w górę ramiona, wzywając magię, błagając siostry o pomoc, skupiając energię w jeden ostry promień światła. Tą błyskawicą mocy rzuciłam w Gideona. Niespodziewana szybkość i siła ciosu spadła na niego w chwili nieuwagi, więc chwiejnie się cofnął, zasłaniając ramieniem twarz. Przez jedną chwilę sądziłam, że upadnie, jednak szybko odzyskał równowagę. Opuścił ramię i zmarszczył brwi.

– Niech skonam, Bess, nie próżnowałaś od naszego ostatniego spotkania. Twoja magiczna moc rośnie. Nie zaprzeczysz, że cudownie jest oddać się w posiadanie tej mocy? Czyż to nie wspaniałe uczucie? Czyż ta czysta siła magii nie jest boska?

– Nie ma w niej nic czystego.

– Dzięki niej żyjesz. Gdybyś tylko mogła zobaczyć, jak bardzo cię ona zmienia. Wyobraź sobie, jak dobrze byłoby nam razem, najdroższa. Tylko sobie wyobraź.

– Wolałabym umrzeć, niż żyć z tobą.

– Niestety, ten wybór nie należy teraz do ciebie, co? Mogłabyś wprawdzie osiągnąć jakiś rodzaj śmierci ciele-

snej, ale i tak czekałbym na twoją duszę. Taka strata, znacznie bardziej wolałbym cię mieć obok siebie, żywą, ciepłą, czującą. – Zaczął się unosić do góry, jego stopy bez wysiłku oderwały się od ziemi. Podpłynął do przodu tak, że znalazł się nade mną. Jego czarna odzież i ciemne rysy tworzyły śmiertelną chmurę, która groziła wchłonięciem mnie. Chciałam uciekać, ale użycie magii pozbawiło mnie sił, tak bardzo byłam do tego nieprzyzwyczajona. Powoli opadł na ziemię, biorąc mnie w objęcia. Jego twarz znalazła się przy mojej. Wargi wywinęły mu się do góry, odsłaniając nienaturalnie spiczaste zęby. Na policzku czułam gorący oddech. Jego język zaczął przesuwając się po obrysie moich ust, badając je i drażniąc. Próbowałam się wyswobodzić, lecz wciąż brakowało mi sił.

– Puść mnie – wyszeptałam, czując osłabienie całej swej istoty. – Proszę, puść mnie.

– Cicho, Bess – powiedział, przyciągając mnie bliżej i podnosząc do góry. Wspólnie unosiliśmy się nad ziemią, zawieszeni w ulotnej chmurze jego czarnej magii. – Nie bój się. Od tak dawna czekałem na ten moment. Czekaliśmy oboje. Nadszedł czas, Bess. Tutaj, pośród tego szaleństwa, do którego doprowadzili ci durni śmiertelnicy. Pój się energią uwolnioną przez nich podczas tej bezsensownej młócki. Karm się nią, tak jak ja. Przyłącz się do mnie w wiecznej rozkoszy.

Poczułam, jak moja wola słabnie. Pomimo przerażenia jego bliskością, mimo obrzydzenia, jakie budził jego dotyk, byłam także świadoma budzącego się we mnie pożą-

dania. Jakby jego uścisk był tak silny, tak przerastający wszystko, co byłam w stanie zrozumieć, że nie miałam z nim żadnych szans. Byłam pewna, że tylko kilka chwil dzieli mnie od ostatecznej zatury, od stania się jego własnością, kiedy przez moją otumanioną świadomość przedał się jasny i silny głos.

– Puść ją! – w słowach Archiego brzmiała ledwie skrywana furia. – Powiedziałem, puść ją!

Gideon zmienił sposób trzymania i spojrział w dół na Archiego, który stał w otwartych drzwiach. Na widok karabinu w jego dłoni warknął. Przez jego pierś przebiegł nieziemski huk, który zatrzęsnał moim ciałem.

– Jak śmiesz! – syknął do Archiego. – Jak śmiesz próbować wejść pomiędzy nas. Ona jest moja. – Chwył mnie za kark i uniósł w górę. – Moja! Zrobię z nią, co zechcę. – Potrząsnał mną jak szmacianą lalką.

Archie krzyknął, żeby przestał, kierując rewolwer Webley prosto w jego głowę.

– Puść ją, bo strzelam.

Gideon ryknął i wolną ręką zebrał kulę siarkowego ognia, którą cisnął w stronę drzwi. Archie uskoczył w lewo, lecz płomienie dosięgły jego ramienia. Zwinął się na ziemi, by ugasić ogień, ale nim zdołał to zrobić, żar przepalił tkaninę munduru. Poczułam smród płonących włókien. Gideon uniósł dłoń, by zaatakować po raz drugi.

– Nie! – krzyknęłam, wreszcie odzyskując przytomność umysłu. Jego zaklęciu przeciwstawiłam własne, przez co nie trafił w cel i kula ognia upadła na ziemię, nie ro-

biąc nikomu krzywdy. Rozwścieczony, cisnął mną o ziemię. Poczułam, jak pęka mi żebro.

– Bess! – Archie podniósł się z podłogi.

– Archie, uważaj! – Widziałam, że Gideon się obraca, zbiera siłę, przygotowuje się do ponownego ataku.

Archie uniósł broń i strzelił, lecz Gideon zniknął, a potem pojawił się ponownie w przeciwległym rogu sali. Archie strzelił raz jeszcze, jednak zanim kula zdążyła dotrzeć do Gideona, stał się on niematerialny jak chmura. Pozwolił, by pocisk przeszedł przez jego ciało, nie robiąc mu żadnej krzywdy, i dopiero wtedy znów przybrał materialną formę. Z bólem zebrałam się do pozycji siedzącej i uniosłam ramiona, wzywając desperacko siłę. Wysłałam Archiemu cichą wiadomość, nie wiedząc, czyją odbierze. Byłam jednak pewna, że naszą jedyną nadzieją jest współpraca.

Czekaj. Czekaj, aż go złapią.

Archie zerknął na mnie, a potem zanurkował pod pianino, by uniknąć kolejnego ognistego ciosu. Popatrzył na mnie pewnie i skinął głową. Zwróciłam całą uwagę z powrotem na Gideona, dziękując naszemu szczęściu i jego arogancji, że nie zauważył, co się działo pomiędzy Archiem a mną. Niech wierzy, że jest niezniszczalny, pomyślałam. Jego duma będzie przyczyną jego upadku. Wzięłam głęboki wdech, głębszy niż poławiacz pereł, wsysając otaczające powietrze tak długo, aż rozboleły mnie płuca. W myślach wezwałam siostry czarownice, błagając, by mnie wsparły, by mnie chroniły, by mi po-

mogły pozbawić świat tak zgniłej duszy. Poczułam, jak moje ciało napęła się antyczną mocą, magiczną potęgą, niebezpieczną siłą nadprzyrodzoną. Zebrałam każdy atom tej potęgi i rzuciłam nią w Gideona. Odleciał w tył, uderzając o ścianę sali. Wydał wściekły ryk, lecz nie był w stanie ruszyć się z miejsca.

– Teraz, Archie! Teraz! – zawołałam.

Archie wyskoczył z ukrycia i wymierzył. Gideon natychmiast zorientował się, że nie jest w stanie uniknąć kul, które miały zostać w niego wystrzelone. Był w pułapce. W tej ulotnej chwili wydało mi się, że dostrzegłam na jego twarzy prawdziwy strach. Szybko zastąpiła go wściekłość.

– Co? – wrzasnął. – Śmiecie stawiać mi czoła z tą swoją żalną bronią i ohydny uczuciem?! – Rysy mu się zmieniły, rozplywając się w potworne stworzenie pokryte łuską, z rogami i przekrwionymi ślepiami, z którego nozdrzy wydobywały się węże. Jego ciało urosło dwukrotnie, aż odzież spadła z niego w strzępach. Wreszcie wzniosł się nad nami jako wyposażona w ogon bestia z rozdwojonymi racicami, olbrzymią klatką piersiową i ramionami. Archie zamarł na widok tej zjawy.

– Strzelaj, Archie! Zastrzel go!

Lecz on nie był w stanie się ruszyć. Obrzydliwe stworzenie, jakim stała się dusza Gideona ubrana w ciało, uśmiechnęło się, a z jego pyska pociekła ślina.

– Jaki dzielny ten twój żołnierz, co? – roześmiał się. – Spójrz, jak drży. Jak trzęsie się jego ręka, kiedy już wie, komu ośmielił się stawić czoła. Sądziłeś, że dla swej

ślicznej Bess zrobisz wszystko, tak? A teraz brakuje ci odwagi, by użyć tej bzdurnej broni. Teraz, gdy zobaczyłeś, z kim masz do czynienia, wszystkie twoje piękne słówka nie zdały się na nic. Rozczarowałaś się, co Bess? Widząc taką słabość kogoś, kogo uznałaś za godnego swej uwagi.

Gideon walczył z pętającymi go magicznymi więzami, ja zaś wiedziałam, że moja siła wkrótce się wyczerpie.

– Archie! Archie, proszę...

– Oszczędzaj oddech, Bess. Muszę powiedzieć, że spodziewałam się po tobie czegoś lepszego. Naprawdę wolisz jego niż mnie? Czy naprawdę chcesz spędzić życie z... tym?

Straciłam ostrość widzenia i zaczęły mnie boleć wszystkie członki. Wysilek związany z utrzymaniem zaklęcia wysysał ze mnie resztki energii.

– Wiesz, Bess – Gideon uśmiechnął się do mnie szyderczo. – Zaczynam mieć tego dość. Dość tych gier. Dość twego świątobliwego oporu. Dość nawet, muszę to przyznać, ciebie samej.

– Westchnął potężnie i cuchnące – Być może nadszedł wreszcie czas, by skończyć to, co zaczęliśmy.

Zmarszczyłam brwi, niepewna jego zamiarów. Usiłowałam przytrzymać jego i zebrać myśli.

– Skończyć?

Tak, czemu nie. W końcu są inne kobiety, inne czarownice. Całe to nieodwzajemnione pożądanie zaczyna być... niegodne.

– Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć, że pozwo-

lisz mi odejść? – Mój głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

Gideon zacisnął zęby i przemówił przez starte żółte kły.

– Puścić cię? Puścić cię! Ha! Nie dam się dłużej poniżać głupiej kobiecie. Nie jesteś mnie warta! Ale zapłacisz za swój upór, za durną odmowę przyjęcia własnego przeznaczenia. Zapłacisz za to życiem!

Wypowiedziawszy te słowa, skoczył naprzód, zrywając pętające go więzy z taką łatwością, jakby ich nigdy nie było. Dwoma nieludzkimi susami znalazł się niemal na mnie. Zasłoniłam głowę ramionami w geście samoobrony, o którym wiedziałam, że jest daremny. Czekałam na śmiertelny cios. Nie nadszedł. Gideon zawahał się. Nie wiedziałam, co go do tego skłoniło. Czy to możliwe, że w tym diabelskim stworzeniu nadal tkwiła jakaś cząstka ludzkiej duszy, jakaś iskra miłości, która powstrzymała jego dłoń? Niezależnie jednak od tego, czym to było, dało nam ułamek sekundy, w której Archie zdecydował się działać. Widząc, co się za chwilę stanie, dokonał szybkiej i ważnej kalkulacji. Gideon chciał wykorzystać całą swoją magiczną moc, by mnie zabić, to było jasne. Żadna kula wykonana ludzką ręką nie była w stanie go zatrzymać. A nie było czasu, żeby Archie wyciągnął mnie z niebezpiecznego miejsca. Zrobił jedyną rzecz, którą mógł zrobić. Jedyną rzecz, którą mężczyzna zakochany do szaleństwa, do nieprzytomności, mógłby zrobić dla swej ukochanej. Archie rzucił się przede mnie dokładnie

w chwili, gdy Gideon uderzył. Demoniczna energia, która go dosięgła, przeznaczona była dla mnie. Została zebrana z siłą wystarczającą, by unicestwić życie czarodziejki, więdźmy, posiadaczki talentu. Archie nie mógł liczyć, że uda mu się przeżyć. Mimo to jednak stanął na drodze gniewowi Gideona, nie stracił głowy i pociągnął za spust. Strzał padł na chwilę przed tym, gdy młot magii uderzył w jego śmiertelne ciało, roztrzaskując mu kręgosłup i kończąc jego krótkie życie, zanim zdążyłam zawołać jego imię. Gideon ryknął, czując krew tryskającą mu z ramienia. Niespodziewany ból sprawił, że zaczął się wic i skowyczeć. Salę wypełniły nieziemskie dźwięki, aż musiałam zakryć uszy rękami. Gdy go widziałam po raz ostatni, jego groteskowa postać zaczęła się zmieniać, aż wreszcie przybrała kształt kruka i wyfrunęła z pokoju.

Łapiąc oddech, podczołgałam się do Archiego. Jego twarz wyglądała tak łagodnie. Tak spokojnie. Pogłaskałam jego bładý policzek. Spadły na niego moje łzy.

– Och, Archie! Archie, mój kochany. Tak mi przykro. Wybacz mi – łkałam. A potem, zadziwiająco wyraźnie, usłyszałam w głowie jego głos.

Na ten czas, który będzie nam dany, najdroższa. Na ten czas.

TELEGRAMY POCZTOWE

Miejsce pochodzenia: Edynburg OHMS odebrany tutaj o godz. 10.30, 24.09.1917

Do: Lady Lydia Carmichael NIESTETY FOR. I 5T.
A.T.W. CARMICHAEL 9. BATALION KRÓLEW-
SKIEGO PUŁKU SZKOCKIEGO RANNY 23.09.17
STOP ZABRANY DO PPM SAINT JUSTINE STOP
ZMARŁ Z RAN TEGO SAMEGO DNIA STOP NA-
DEJDZIE LIST STOP

SAMHAIN

Jedno z najważniejszych świąt celtyckich, obchodzone 1 listopada, oznaczające rozpoczęcie nowego roku, a zarazem zimy. Wierzono, że w noc je poprzedzającą zmarli kontaktują się ze światem żywych – przyp. red.

6 PAŹDZIERNIKA – DRUGA KWADRA

Tegan słuchała mojej opowieści w ciszy. Kiedy skończyłam, odwróciła ode mnie twarz. Siedziałyśmy przy gasnącym świetle ognia przez całą długą noc, a teraz nieśmiały świt jeszcze bardziej przyćmił poświatę żaru. Dołożyłam kolejne polana i strzepnęłam z dłoni mech. Współczułam Tegan. Musiała walczyć z tak wieloma rzeczami. Z tak wieloma rzeczami się pogodzić. A czas nam nie sprzyjał.

– Tegan – powiedziałam łagodnym, lecz stanowczym głosem, o którym wiedziałam, że go nie zignoruje – musisz się z nim spotkać, zobaczyć w nim to, kim naprawdę jest.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Nie chcę. Nie mogę. Pozwoliłam, żeby mnie dotknął, wiesz? My...

– Wiem. Wiem. Ale musisz się z nim teraz spotkać. Chodź. Wzięłam ją za rękę i poprowadziłam ścieżką, która biegła wzdłuż strumienia w stronę stawu. Przyciągnęłam ją do krawędzi wody i wskazałam ciemną powierzchnię.

– Spójrz w wodę i wypowiedz jego imię, a zobaczysz dokładnie, z kim mamy do czynienia.

Tegan niechętnie postąpiła krok naprzód. Uklękła i schyliła się nad wodą. Mysz, teraz jej stała towarzyszką, dotąd siedząca w jej kieszeni, teraz przeszła na ramię. Tegan głośno sapnęła, wycierając nos rękawem. Potem

wzięła głęboki oddech i drżącym głosem poprosiła:

– Ian. Pokaż mi lana.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem woda zaczęła wirować. Trwało to, aż powierzchnia zaczęła migotać i pulsować. Potem, w centrum leja, pojawiła się twarz. Pojawiły się rysy lana. Ledwie się uformowały, a już zaczęły się zmieniać. Najpierw pociemniały, stały się bardziej kanciaste, ciągle przystojne, lecz z całą pewnością zmienione. Natychmiast rozpoznałam w nich Gideona. A potem twarz się rozmyła, zmieniła ponownie. Tegan zaczęła głośno płakać. Na naszych oczach rysy rozmyły się w wodzie, a potem ponownie utworzyły ohydny, przerażający wizerunek. Była to twarz z koszmaru. Demon. Potwór.

Tegan wstała i chwiejnie odsunęła się w tył, zasłaniając oczy rękami. Postąpiłam za nią i chwyciłam ją w ramiona.

– Szs, już dobrze – zapewniłam. – W porządku. To zniknęło. Zniknęło.

– Tb tak – załkała, wskazując drżącym palcem wodę w stawieale on nie. – Teraz spojrzała wprost na mnie z desperackim wyrazem twarzy. – On nie zniknął, prawda? On ciągle tu jest.

Wyraźnie dostrzegła to, co w głębi serca wiedziałam przez cały czas. Staw pokazał nam prawdziwy charakter człowieka, w którym zakochała się Tegan. Może sprawiać wrażenie wrażliwego młodego tułacza, ale za tymi pięknymi oczami kryje się coś niezwykle zgniętego. I to coś

zrobi Tegan krzywdę, jeśli nie uda mi się go powstrzymać.
Powoli skinęłam głową.

– Tak – potwierdziłam – on nadal tam jest. Ale my
wspólnie coś z tym zrobimy, co? Razem.

14 PAŹDZIERNIKA – PRZED NOWIEM

Dokładnie omówiliśmy, co trzeba zrobić. Zorientowałam się, że Tegan potrzebowała trochę czasu, by przetrwać zdarzenia ubiegłej nocy. Kazałam jej więc zostać w domu, udając przeziębienie lub cokolwiek innego, co pozwoliłoby jej uniknąć spotkania z Gideonem, a zarazem pozwoliło oswoić się z tym, że nie ma takiej osoby, jak Ian; po prostu dać jej chwilę na dostosowanie. Niecodziennie przecież cały system wierzeń i rozumienie sposobu funkcjonowania świata staje na głowie. Jest młoda, bywa impulsywna, ale ma dobrą duszę i otwarte serce, w głębi którego wie, co jest dobre, a co złe. Wie także, iż z Gideonem trzeba się rozprawić raz na zawsze. Była przerażona samą myślą o znalezieniu się w jego towarzystwie i nie wiedziała, czy uda jej się pozorować uczucie i normalne zachowanie. Zapewniłam ją, że to konieczne. Niezwykle niebezpiecznie byłoby wzbudzić jego podejrzenia teraz, zanim będziemy gotowe. Na razie może go unikać. Ale potem będzie musiała grać na zwłokę. Mam nadzieję, że uda nam się zachować pozory do Halloween. Jest dużo do zrobienia, a ja muszę się przygotować. Jestem pewna, że ta pomyślna data bardzo nam pomoże. To dzień, kiedy dusze zmarłych znajdują się w zasięgu ręki, a ja będę ich potrzebować. Choć Halloween to noc przeznaczona na wspomnienie i komunikację ze zmarłymi, nie jest to, wbrew powszechnym wierzeniom, czas ciemności lub strachu przed

śmiercią. Muszę także znaleźć sposób, by doprowadzić do konfrontacji na pobłogosławionej ziemi. Nie mam złudzeń – moc Gideona znacznie przerasta moją własną. Jeśli mam go pokonać, muszę wykorzystać wszystkie dostępne mi środki. Tu w pobliżu jest miejsce, które doskonale się nada do naszych celów. Dobrze, że wreszcie tam wrócimy, ja i Gideon. Wiem, że odkładałam ponowną wizytę w miejscu, gdzie się to wszystko zaczęło, gdzie ja, Elizabeth Hawksmith, czarownica, rozpoczęłam długą samotną podróż. Niewątpliwie tamten teren się zmienił, ale sam las został zachowany i nadal rośnie, choć jest mniejszy. A w drzewach tkwi pewna ponadczasowość.

Jesteśmy bardzo zajęte przygotowaniem do czekającej bitwy. Musiałam prowadzić nauki Tegan w niestosownie szybkim tempie, lecz konieczność wymaga pośpiechu. Na początek przeprowadziłyśmy tydzień rytuałów, z których każdy był związany z cechami i mocą danego dnia. Szczególnie mocno przykładałyśmy się w naszych inkantacjach i rzucaniu zaklęć we wtorek, gdyż jest to dzień, w którym należy prosić o odpieranie negatywnych zaklęć. Tegan i tak wystarczająco trudno było zerwać więzy miłości. Muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, by uwolnić ją z mrocznych okowów Gideona. Pod koniec tygodnia poświęciłam dwa amulety – srebrny pięciokąt dla siebie, by wspomógł moją własną magię, oraz ametyst dla Tegan. Ten kamień wiąże się z Sabatem Samhain i może ją chronić.

Wczoraj poprosiłam Tegan, żeby została na noc, dzięki

czemu mogliśmy odprawiać rytuały i wznosić modlitwy o osłabienie Gideona. Bardzo chciała wziąć w tym udział, ale w drodze do zagajnika wyczułam jej nerwość. Noc była ciemna jak węgiel, a ona trzymała świecę tak nisko, że nie byłam w stanie odczytać wyrazu jej twarzy. Zdradził ją jednak płaczliwy ton głosu.

– Czy on może nas usłyszeć? – zapytała.

– Usłyszeć?

– Kiedy będziemy śpiewać. Nie chodzi o słyszenie naszych głosów, lecz, cóż, wiesz, jakiś odbiór tego, co mówimy. Co robimy.

Dotarliśmy do środka zagajnika i postawiła tobołek z rzeczami, które kazałam jej nieść.

– Każda magia wysyła sygnały – powiedziałam. – Więc ta też i Gideon będzie miał świadomość naszych... czynności.

– Ale będzie wiedział, że skierowane są przeciwko niemu? Że chcemy go osłabić?

Widziałam, że szuka otuchy, jednak jeśli miałam zachować jej zaufanie, musiałam być uczciwa.

– Tak – powiedziałam. – Szybko zorientuje się, czym się zajmujemy.

– Czy to będzie niebezpieczne? Nie będzie próbował nas powstrzymać?

– Znając Gideona, podejrzewam, że będzie rozbawiony.

– Co? Będzie się z nas śmiał?

– Tak, z naszych prób, by w jakiś sposób mu zagro-

zić. Tegan obruszyła się.

– Cholernie zabawnie! Ten stwór śmiertelnie mnie przeraził, a teraz uważa, to wszystko jest zabawne. – Była teraz zdenerwowana, co stwierdziłam z przyjemnością. Rozpalając ogień, tupiała ze złości i mruzczała inwektywy.

– Niech się śmieje – powiedziałam. – Lepiej będzie, jeśli nie uzna nas za prawdziwe zagrożenie. Dzięki temu będziemy mogły dalej zbierać całą pomoc, jaką uda nam się znaleźć, bo on nas nie powstrzyma. Tutaj, dodaj te liście laurowe do ognia. A potem chodź do kamiennego ołtarza. To ty powinnaś napisać jego imię na pergaminie.

– Czemu ja? To ciebie ściga od wieków, nie mnie.

– Tegan, w jedności siła. Im większy udział weźmiesz w tym wszystkim, im lepiej będziemy współpracować, tym bardziej skuteczne będziemy.

Pochyliła się nad niewysokim kamieniem i wydrapała słowo Gideon na szorstkiej kremowej powierzchni pergaminu.

– Dobrze. Teraz zwiń go, i chodź stanąć obok mnie przy ogniu. Najpierw wypowiem modlitwę z prośbą o rozmowę ze zmarłymi, o pomoc tym, którzy mogą pokutować między światami. Jeżeli pomogę im znaleźć ich prawdziwy dom, być może oni pomogą nam w odpowiedniej chwili. Potem oddamy nasze pismo płomieniom.

Zamknęłam oczy i skupiłam się na budzeniu magii w głębi siebie. Późnojesienne powietrze było chłodne, ale spokojne. Z dębu za moimi plecami sowa krzyczała na zachętę. Szeptały głosiki miriadów niewidocznych istot.

Wyciągnęłam ramiona w stronę ognia i zaczęłam śpiewać:

*O ogniu, płonącym jasno jak chwała
Bądź latarnią w tę cichą noc
Oświetl drogę dla wszystkich
Zmarłych Żeby mogli dojrzeć, co przed nimi
Poprowadź ich do Summerland
I świeć, aż Pan przyjdzie i weźmie ich za ręce
I twoim światłem daj im pokój
By mogli spokojnie spać.*

Poruszyłam rękami i do szkarłatnych i pomarańczowych promieni dołączyły najpierw niebieskie, a potem żółte i zielone. Tegan westchnęła.

– Podejdz bliżej – poleciłam. Ponownie podniosłam głos.

*Oczyszczające inferno,
Weź to imię z nadejściem Samhainu.
Nakarm się jego siłą, weź je dla siebie.
Zabierz naszemu wrogowi moc i daj ją nam.*

Dałam Tegan znak, że czas nadszedł. Uniosła pergamin i przez chwilę trzymała go wysoko, a potem wrzuciła w ogień. Przez kilka chwil nie działo się nic. A potem, z niepokojącą dzikością, płomienie skoczyły wysoko. Ogień był tak silny, że rozdarł niebo i zmusił nas obie do

odsunięcia się w tył.

– Trzymaj mocno! – chwyciłam Tegan za ramię. – Musimy się trzymać.

Krzyknęła głośno, odwracając twarz od żaru i chroniąc oczy ramieniem.

– Spali nas!

– Nie! Nie wolno nam się poddać! – Wypowiadając te słowa, czułam swąd palonych włosów. Ogień rozświetlił noc tak mocno, że zarówno jego blask, jak i temperatura stały się bolesne. Tegan krzyknęła z przerażenia. Wyjęłam zza pasa athame i uniosłam do góry.

– Zwyciężymy! – krzyknęłam w stronę wiru.

Nagle wszystko ucichło. Płomienie zniknęły, zostawiając jedynie tłące się węgielki. Powróciła kojąca ciemność. Czas minął.

Tegan odważyła się rozejrzeć wokół siebie. Kiedy spojrzała mi w twarz, ujrzałam mieszankę szacunku i strachu. Wiedziałam, o czym myśli. Jeżeli była to tylko niewielka część wściekłości i potęgi Gideona, jaką szansę miałyśmy podczas spotkania z nim?

18 PAŹDZIERNIKA – TRZECIA KWADRA

Byłam mile zaskoczona elastycznością Tegan. Ona sama przyznaje, że łatwość kłamania w razie potrzeby odrobinę zaskakuje ją samą. Tłumaczę jej, że to w dobrym celu. Jest pełna inwencji i pomysłów w wyszukiwaniu sposobów unikania takiego kontaktu z Ianem, którego nie byłaby w stanie znieść. Wczoraj zauważyłam, że przeszła od strachu do złości. To ważny krok. Dał jej ogromną siłę, której będzie potrzebować w najbliższym czasie.

26 PAŹDZIERNIKA – KSIĘŻYC MIĘDZY PIERWSZĄ KWADRĄ A PEŁNIĄ

Nasze przygotowania zbliżają się do końca. Dwie noce temu czuwałam w swym sanktuarium, składając drobne ofiary i modląc się do każdego, kto tylko mógł mnie wysłuchać. Prosiłam Boginię o pomoc. Będę jej potrzebować. Boję się o Tegan. Nie mogę jej zawieść. Cokolwiek się stanie, nie pozwolę, by stała się kolejną ofiarą Gideona w jego pościgu za mną. Dość już było śmierci. Dość cierpienia. Dość zabójstw. To się musi skończyć.

1 LISTOPADA

Pisanie w czyimś dzienniku jest dość dziwnym uczuciem, ale wydaje mi się, że właśnie tego Elizabeth ode mnie oczekiwała. Ktoś musi zapisać, co się stało, a nikt poza mną tego nie robi, prawda? Ciągle nie mogę uwierzyć, że zdarzenia ubiegłej nocy naprawdę miały miejsce. Oczami duszy ciągle dokładnie widzę każdą minutę, ale to zbyt szalone. Ciężko to pojąć.

Nakłoniłam Gideona, by zabrał mnie do lasu, jak kazała Elizabeth. Nie mogę o nim myśleć jako o łanie. Gdyby tak było, musiałabym znienawidzić samą siebie. Pojechaliśmy więc na jego motorze, wzięliśmy plecak zjedzeniem i kilka piw. Powiedziałam mu, że słyszałam, iż jest to naprawdę przerażające miejsce, świetne na Halloween. Moglibyśmy spędzić tam całą noc. Gideonowi bardzo się ten pomysł spodobał. Czy coś podejrzewał? Czy wiedział, że to pułapka? Może właśnie tego pragnął. Zwisa mi to. W końcu zgodził się tam jechać i nie zadawał zbyt wielu niewygodnych pytań. Musieliśmy tam dotrzeć około ósmej. Las był znacznie większy, niż się spodziewałam. Pomyślałam, o mój Boże, jak uda mi się go poprowadzić we właściwe miejsce? Ale wyglądało na to, że wie, dokąd pójść. I zabrał nas dokładnie tam.

Dość daleko zajechaliśmy na motorze, a potem szliśmy kawałek. Było naprawdę przerażająco. Bardzo, bardzo spokojnie. Cicho. Mieliśmy latarkę i lampę parafinową

z łodzi. Dotarliśmy do polany. Wielkości mniej więcej boiska do piłki nożnej. Mnóstwo jeżyn i pokrzyw, lecz żadnych drzew. Tylko kilka pniaków. To było dziwne, te wszystkie wysokie drzewa wokół, dęby i buki – Elizabeth nauczyła mnie je rozróżniać. Czuć było te nieprzyjemne wibracje. Próbowałam się nie przejmować, otworzyłam kilka butelek i przyniosłam jedzenie, ale widziałam wyraźnie, że na nim to miejsce zrobiło wrażenie. Elizabeth mówiła, że tak będzie. Powiedziała, że on zna je od bardzo, bardzo dawna. Wydaje mi się teraz, kiedy to już widziałam, że wiem, o czym mówiła. Nie było domu, lecz niegdyś mógł tam stać. A polana i pniaki? Bardzo przypominały moje wyobrażenie na podstawie opowieści o Bess. W środku lasu. Z Gideonem.

– Chcesz piwo? – zapytałam go. Sposób, w jaki przechadzał się wokół, wprawiał mnie w jeszcze większe zdenerwowanie.

Przez chwilę wydawał się mnie nie słyszeć, ale potem odwrócił się i uśmiechnął.

– Pewnie, czemu nie? – spytał, siadając obok mnie. Podałam mu butelkę, a on biorąc ją ode mnie, przytrzymał moją dłoń. Musiałam mu na to pozwolić, choć tak naprawdę chciałam wyszarpnąć rękę.

– Cudna Tegan – stwierdził. – Taka młodziutka. Taka słodka.

– To świetne miejsce. Świeże powietrze poprawia mi apetyt. – Zabrałam dłoń, żeby zanurzyć ją w plecaku w poszukiwaniu jedzenia. – Zjem kanapkę. Chcesz?

– Może później. – Delikatnie wyjął mi plecak z rąk i położył obok. Przytrzymał moją dłoń, głaszcząc kciukiem jej wnętrze.

Drugą ręką odgarnął mi włosy z twarzy. Najwyraźniej badał jej wyraz, przyglądał mi się. Poczułam, że głaszcze mój policzek, a potem przesuwa palce na gardło. Pochylił się i pocałował mnie, miękko i powoli. Wzdrygnęłam się – nie byłam w stanie tego powstrzymać. Nawet jeśli to zauważył, nie dał po sobie nic poznać. Opuścił rękę niżej i zaczął odpinać zamek mojej kurtki.

– Minęło trochę czasu – wyszeptał, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od mojej twarzy, przyglądając się mojej reakcji.

Och, na Boga, pomyślałam, nie mogę! Po prostu nie mogę.

– Byłam zajęta – odparłam nieprzekonująco.

– Ale teraz jesteśmy tutaj. Tylko nas dwoje. To cudowne miejsce. – Pocałował mnie ponownie, tym razem mocniej.

– Poczekaj – powiedziałam, wywijając się mu.

– Poczekaj?

– Chciałam powiedzieć, że jest wcześnie. Napijmy się. To pozwoli nam się odprężyć.

– Tegan, nie jesteś przy mnie odprężona? Co sprawia, że tak się denerwujesz?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Wydawało mi się, że widzi mnie na wskroś, że czyta wszystkie moje myśli. Zupełnie jakby się mną bawił, jakby moje cierpienie

sprawiało mu uciechę.

A potem nagle zjawiała się Elizabeth. Stała za nim. Nie słyszałam, kiedy przyszła, nie zauważyłam najmniejszego ruchu, ale jednak tam była. Wyglądała wspaniale. Nigdy wcześniej nie widziałam, by tak wyglądała. Nigdy wcześniej nie widziałam, by ktokolwiek tak wyglądał. Miała na sobie zieloną suknię, długą, z postrzępionym brzegiem obszytym złotą wstążką. Rękawy wykończone były w ten sam sposób. Włosy miała rozpuszczone – nie wiedziałam, że są tak długie. Powiewały wokół niej, zupełnie jakby wiał wiatr, choć wcale go nie było. Powietrze stało nieruchomo. Nie poruszał się nawet jeden liść. Promieniała. Ona cała po prostu promieniała. Zupełnie jakby rozświetlało ją wewnętrzne światło. Przypominała boginię lasów. Miała ze sobą laskę. 1 nóż za pasem, ten z czarną rączką.

Gideon wiedział, że stała za nim. Zmienił się wyraz jego twarzy. Nie obejrzał się, lecz wiedział doskonale. Wstał naprawdę powoli. A potem uśmiechnął się i posłał mi całusa. Drań! Zupełnie jakby chciał mi przypomnieć, co robiliśmy. Co pozwoliłam mu robić. A potem zaczął się zmieniać. Skóra mi cierpła, jednak nie mogłam odwrócić wzroku. Wkrótce stał się Gideonem, jakiego widziałam w stawie, z ciemnymi włosami i uwodzicielskim wzrokiem. Po moim lanie nie pozostało nic. Zniknął. Całkiem zniknął. Odwrócił się do mnie plecami. Elizabeth nawet nie drgnęła na widok jego twarzy – musiała się tego spodziewać.

– Bess – powiedział, a końcówka jej imienia za-

brzmiała jak syk węża. – A może wolisz Eliza? Elizę? Elizabeth? – I znów ten niebezpieczny uśmiech.

Elizabeth wydawała się wyższa niż zwykle. Teraz widziałam, że nie dotyka nogami ziemi. Lewitowała, około stopę nad jej powierzchnią, ale dzięki temu była znacznie wyższa od niego. Gdy się odezwała, jej głos był inny. Jakby bardziej donośny, lecz nie ostry. Niby dźwięk ogromnego dzwonu, który nadal wisi w powietrzu.

– Gideonie, nie ma znaczenia, jak zdecydujesz się mnie nazwać. Jestem twoją nemezis. – Otaczał ją spokój. Siła, której nie widziałam wcześniej.

– Moja droga, próbujesz mnie sprowokować, co? Przez te wszystkie lata dołożyłem wszelkich starań, byś zdała sobie sprawę, że jesteś moją prawdziwą narzeczoną, a ty potrafisz tylko myśleć o zniszczeniu mnie.

– Gideonie, zostaniesz zniszczony. Zbyt wiele osób ucierpiało z twojego powodu. Nie pozwolę, by trwało to dłużej, nie w moim imieniu. – Zerknęła na mnie. Gideon to zauważył.

– Jakże bardzo musiałaś się dręczyć, wiedząc, że uwiodłem twoją nową przyjaciółeczkę – stwierdził. – Byłaś zazdrosna, Bess? Zazdrosna o nią czy o mnie? Zastanawiam się.

– Zostaw dziewczynę w spokoju. Już i tak spowodowałaś więcej bólu niż trzeba.

– Była... – potrząsnął w moim kierunku dłonią – przyjemną odmianą, choć jak na mój gust trochę naiwną. Co bym z nią zrobił, twoim zdaniem? Oczywiście oprócz

tego, co oczywiste. A to, muszę przyznać, sprawiało jej sporo przyjemności. – Gdy mówił, czułam, jak ogarnia mnie straszliwe zimno, jakbym była pod lawiną. Zaczęłam drżeć. Zaczęłam szczekać zębami. Po wyrazie twarzy Elizabeth poznałam, że dzieje się coś złego. Spojrzałam na własne dłonie i krzyknęłam. Były pomarszczone i wyschnięte jak u staruszki. Podciągnęłam rękawy, ramiona wyglądały tak samo. Dotknęłam twarzy. Pocięta była głębokimi zmarszczkami. Byłam bliska paniki. I wtedy Elizabeth uniosła laskę. Uderzyła nią o ziemię i wskazała na mnie. I to wszystko ustąpiło. Ustąpiło wszystko, co robił mi Gideon. Dokładnie tak. Moja skóra wróciła do normy. Poczucie zimna minęło. Zupełnie jakby tego wszystkiego nie było. Tak bardzo chciałam biec. Ale jakoś udało mi się zostać.

– Cóż, Bess, jestem pod wrażeniem. Musiałaś ćwiczyć. A ja myślałem, że porzuciłaś magię. Czy to możliwe, że wreszcie przestałaś udawać, że nie jesteś czarownicą, co?

– To nie bycie czarownicą odrzucałam. Odrzucałam podleganie twojej mocy. Czarownica zrodzona z magii demonów jest przeklęta, wiesz to.

– Tak nie lubię nazwy „demon”.

– Ale tym właśnie jesteś. Żadna dobra czarownica ani czarodziej nie zrobiliby tego, co ty. Twoja moc powinna sprawiać dobro, a może o tym zapomniałeś?

– Powinna, nie powinna... jakże można stosować zasady do czegoś takiego jak magia, Bess? – Zaczął się unosić, a potem ułożył się w powietrzu niby na sofie, opie-

rając się na łokciu. – Wiesz, że nie jest za późno. Możesz się do mnie przyłączyć. Wiesz, jak silni bylibyśmy razem. Spróbowałaś odrobiny tej mocy i wydaje mi się, że ci się podoba, co? Oczywiście nie przyznasz się do tego. – Westchnął. – Jest w tobie pewna pruderia, Bess, która naprawdę nie jest pociągająca.

– Mylisz się, Gideonie. Jest za późno. O wiele za późno.

Las za plecami Elizabeth zaczął się poruszać, falować i skręcać, jakby wszystkie drzewa ożyły i poczęły szarpać korzenie, próbując się uwolnić. Pośród gałęzi zaczął gwizdać słaby, zimny wiatr. Wydawał się nadlatywać znikąd, choć oczywiście nie była to prawda. Wezwała go Elizabeth. Teraz drzewa zaczęły chwiać się i przechylać zgodnie, jakby tańczyły. Był to całkowicie niewiarygodny widok, cały las ożył i poruszał się, ponieważ Elizabeth tego sobie życzyła. Stwierdziłam, że stoję całkiem nieruchomo, jakbym zapuściła korzenie, mimo że drzewa pozbyły się własnych. Przez chwilę myślałam, iż Elizabeth zaczarowała także mnie. Może rzuciła na mnie jakiś czar ochronny? Było to dziwne, ale nie miałam już ochoty uciekać. Byłam tam, gdzie miałam być.

Ziemia zadrżała, a potem zaczęła dygotać. Pod nienaturalnym księżycem suche liście poleciały szeleszczącym wirem, który mienił się brązem i złotem. Wreszcie drzewa się uwolniły! Początkowo jedno czy dwa, a potem coraz więcej. Potężne dęby i jesiony, i wszystkie inne gatunki. Ich pnie zapadały się i unosiły oddechem, a potężne ga-

łęzie wyciągały się naprzód w drodze do Gideona. Elizabeth nie odsunęła się im z drogi. Pozwoliła, by przeszły obok niej. Gideon się nie poruszył. Był jedynie zaskoczony. Czekał. Czekał, aż drzewa znalazły się bardzo blisko niego, niemal tak blisko, by go zmiażdżyć swymi potężnymi konarami. Niemal, lecz nie całkiem. Wsparł dłonie na biodrach, odrzucił głowę do tyłu, wypiął pierś i wziął głęboki oddech. Jeden z największych dębów był teraz na równi z nim i przez chwilę pomyślałam, że Gideon źle obliczył i zostanie wgnieciony w ziemię. Powinnam być mądrzejsza. Powinnam lepiej go znać. Wypuścił powietrze, wysyłając swój cuchnący oddech z rykiem, od którego mogły popękać bębunki. Ten oddech nie był ludzki i nie składał się z powietrza. Był żółty, siarkowy i zgniły, a jego siły nie byłabym w stanie sobie wyobrazić. Siły, która zmiotła te wszystkie drzewa, te wszystkie potężne pnie mające setki lat i ważące Bóg wie jak dużo. Zmiotła je wszystkie z powrotem do lasu, jakby były słomkami. A wraz z nimi Elizabeth. Odrzuciło ją do tyłu, poleciała w powietrzu i upadła niezdarnie na jedno ze zwalonych drzew. Właśnie w tym samym momencie poczułam się wolna. Wolna i odsłonięta, zupełnie jakby pękła ochrona, którą otoczyła mnie Elizabeth. Odwróciłam się, by do niej pobiec, by jej pomóc, lecz nagle niebo pociemniało, jakby coś zasłoniło jasny księżyc. Spojrzałam w górę i zaczęłam tego żałować, widząc, co zbiera się nad moją głową. Nietoperze, tysiące nietoperzy. I to nie niegroźne maleńkie karliki. Te były ogromne, większe niż

kruki. Piszcząc, zaczęły opadać w dół. Zaledwie zdążyłam krzyknąć, gdy już były na mnie, przewracając na ziemię i wczepiając się we mnie swymi nienaturalnie ostrymi szponami. Usiłowałam je zrzucić, lecz było ich zbyt wiele. Jeden ugryzł mnie w rękę, a jego kły bez trudu przebiły skórę i wpiły się głęboko w ciało. Chciałam krzyknąć, ale znalazły się na twarzy, na oczach, wszędzie, ł przez to wszystko słyszałam śmiech Gideona. Śmiech! Jeden próbował dobrać mi się do gardła swymi ohydnyymi wampirzymi kłami. Byłam pewna, że mu się uda. Nie widziałam możliwości ucieczki, kiedy usłyszałam kolejny dźwięk. Kolejny pisk. Nie, krzyk. Sowy! Zjawiły się znikąd, wiele setek, błyszczących własnym światłem. Rzuciły się na rój nietoperzy, porywając je z nieba. Nadlatywało ich coraz więcej. Nietoperze wpadły w popłoch i usiłowały uciekać, jednak sów było zbyt wiele i poruszały się za szybko. Teraz zobaczyłam, że Elizabeth znów stoi z podniesioną laską, dowodząc ptakami nocy.

Wreszcie niebo ponownie opustoszało, a światło księżyca było znów widoczne. Starłam krew z policzka i chwyciłam kawałek bluszczu, który owinełam wokół dłoni, by zatamować krew wypływającą z bolesnych ran zadanych przez nietoperze.

– Bess, po co tracisz energię? – Gideon pokręcił głową, zupełnie jakby upominał psotne dziecko. – Musisz wiedzieć, że nie wyposażyłbym cię w wystarczającą moc, byś stała się prawdziwym zagrożeniem. Mój instynkt samozachowawczy rozwinięty jest znacznie lepiej, niż ci się

wydaje. Czy ty naprawdę sądzisz, że stworzyłbym czarownicę zdolną mnie zabić?

Elizabeth nie odpowiedziała. Widziałam, jak poruszają się jej wargi, naprawdę szybko, lecz nie słyszałam, co mówi. Za to dały się teraz słyszeć dziwne dźwięki. Jak głosy. Lub śpiew. Nie, nie śpiew, skandowanie. A ten łajdak przez cały czas miał na twarzy ten swój odstręczający uśmiech.

Jej słowa ginęły w wyciu wiatru i skandowaniu. A potem zauważyłam te kształty pośród drzew. Mężczyźni? Nie, kobiety. Nie, czarownice. Cztery, pięć, sześć, siedem... tuzin czarownic, jak sądzę. Trudno było policzyć, wysunęły się zza drzew i zaczęły wirować na polanie. Gideon zmarszczył brwi. Nie wyglądał na przestraszonego, bardziej na oszołomionego.

– Witajcie, siostry! – Elizabeth powitała czarownice, które krążyły wokół. Kiedy te bajeczne istoty wirowały dookoła, Gideon stal i patrzył na nią gniewnie. Nie były to stare wiedźmy ani czarownice z bajek. Były to piękne kobiety, wszystkie ubrane w opalizujące kolory, z rozpuszczonymi włosami i wydzielające taką samą wspaiałą poświatę, niczym najjaśniejsze fajerwerki. Były cudowne. Elizabeth była naprawdę zadowolona, naprawdę poruszona faktem, że przybyły jej pomóc, widać to było po jej twarzy. Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak szczęśliwej.

– Ty głupie stworzenie – krzyknął na nią Gideon. – Czy sądzisz, że nie poradzę sobie z kilkoma zasuszonymi

wiedźmami? – Jedną z nich rzucił na kolana, a drugą uderzył o drzewo.

Czy naprawdę uważasz, że ten twój żaloszny sabat mógłby mnie zabić? – ryknął.

Był tak potężny i tak wściekły, że naprawdę się bałam. Rzucił tymi cudnymi czarownicami dokoła, jakby były lalkami. Uderzał je, kruszył, jakby nic nie znaczyły. Niezależnie od tego, jak szybko się poruszały, ani jak wiele magii używały, był dla nich zbyt silny. A mimo to ciągle wirowały wokół niego, tańcząc, podlatując, śpiewając. Nie rozumiałam tego. Wyglądało to niemal tak, jakby wiedziały, że nie mają szans, a mimo to nie przerywały, doprowadzając go do coraz większego szaleństwa. Potem Elizabeth rzuciła się na niego. Prosto na niego! Podeszła tak blisko – zbyt blisko. Gideon chwycił ją i uniósł do góry, dusząc.

– Bess, nie sądziłem, że będziesz taka głupia warknęła. – Tak głupia, by wierzyć, że możesz mnie pokonać, ty i te twoje staruchy.

Podbiegłam do niego. Nie potrafiłam się powstrzymać. Dosłownie wyciskał z niej życie. Nie miałam pojęcia, co zamierzam, wiedziałam tylko, że nie mogę tak stać i patrzeć, jak ją dusi. Po drodze chwyciłam kamień i rzuciłam nim w jego głowę. Tak bardzo skupił się na biednej Elizabeth, że przestał się pilnować, dzięki czemu kamień uderzył go mocno w tył czaszki. Zachwiał się, choć tylko na chwilę, i rozluźnił chwyt. Elizabeth wykorzystwała ten moment i uciekła. Potem zwrócił się przeciwko mnie.

Leżałam praktycznie u jego stóp. Przez chwilę byłam pewna, że umrę. Wprost buchała z niego wściekłość. Ryczał na mnie, klął i pluł, a w oczach płonął mu gniew. Zanim zdążyłam się zastanowić, co zrobi dalej, poczułam przeszywający ból w obojczyku, zupełnie jakby obok mnie wybuchła kula ognia. Krzyknęłam – wiem, że musiało tak być, tak bardzo to bolało – lecz nie pamiętam, bym słyszała swój głos. Jedyne ten przerażający skwierczący dźwięk, gdy magiczny ogień objął moje ciało. Elizabeth natychmiast znalazła się obok mnie. Położyła mi dłoń na ramieniu i palenie ustało. Ciągle czułam ból i odrażający smród palonego ciała. Mojego ciała. Elizabeth skoczyła w górę, wysoko, okrążając Gideona z oszalamiającą prędkością.

Wszystkie czarownice utworzyły wokół mnie ochronny krąg. Spojrzałam w górę i zobaczyłam, że Gideon i Elizabeth latają wokół kręgu, rzucając fosforowymi pociskami i biczami ognia. Jedna z pozostałych czarownic, dziewczyna niewiele starsza ode mnie, dotknęła mojej rany. Ból wreszcie zniknął, lecz czułam na skórze nierówności i wiedziałam, zostanie blizna. Czarownice zaczęły się ode mnie odsuwać, by pomóc Elizabeth, ale ona nakazała im zostać przy mnie i zapewnić mi ochronę.

Wkrótce Gideonowi udało się ściągnąć ją na ziemię. Upadła na tłący się grunt i leżała całkiem nieruchomo. Wszystko ucichło. Żadnego wiatru, wycia, ciosów ani krzyków. Tylko ta straszliwa martwa cisza. Czy ją zabił? Czy to już? Czy to naprawdę koniec? Nikt się nie poruszył

– żadna z czarownic ani nawet Gideon, który stał teraz w odległości kilku kroków od miejsca, gdzie leżała.

– Elizabeth? – zawołałam ochryplym i łamiącym się głosem.

– Elizabeth!

Dostrzegłam niewielki ruch. Nie Elizabeth, tylko ziemi obok niej. Wydawała się poruszać. A potem po cichu, powoli, spośród liści i roślin wyłonił się kształt. Kręcił się i wirował, ciągle rosnąc, nadal w ciszy, delikatnie wznosił się i pulsował, aż wreszcie przybrał postać kobiety. Kolejnej czarownicy. Ta była wysoka i szczupła i wydawała się odrobinę starsza od pozostałych. Miała na sobie lejącą się, miękką suknię koloru ciemnego lasu, z jego smugami i cieniami. Pochyliła się nad Elizabeth i dotknęła jej z czułością.

– Bess – powiedziała głosem przypominającym kryształowe dzwonki poruszane wiatrem. – Bess, moje dziecko, obudź się.

Elizabeth się poruszyła. Jęknęła i otworzyła oczy. Przez chwilę próbowała skupić uwagę, lecz potem zobaczyła, kto ją wołał.

Mama! – jej głos był słaby, jednak bez wątplenia slychać było w nim radość. Przyszła do niej matka. Po tak wielu latach.

Elizabeth próbowała wstać.

– Spokojnie, Bess, spokojnie – powiedziała matka, odgarniając córce włosy z twarzy i patrząc na nią z ogromną miłością i dumą.

– Mamo. tak mi przykro. – Pokręciła głową. – Nigdy nie byłam tak silna jak ty. Nigdy nie byłam tak dobra.

– Ciiii. Nie masz za co przeproszać, Bess. To ja powinnam prosić cię o wybaczenie, że oddałam cię w ręce takiemu potworowi.

– Próbowałam mnie ocalić, to wszystko.

– Ale zamiast tego musiałaś przez to wszystko przejść. Tyle wycierpiałaś przez te wszystkie lata. Samotnie.

– Nie, mamo. Wiedziałam, że zawsze jesteś przy mnie.

– Elizabeth wstała i objęła matkę. Jednocześnie wróciło do niej światło, było to widać. Widać było, jak siła i magia przechodzą ze starszej kobiety na młodszą, jak ją wypełniają, czyniąc ją znów całością i przywracając jej zdrowie.

Gideon był wyraźnie wściekły, że znalazła kogoś zdolnego jej pomóc.

– Tracę cierpliwość do tego spotkania matki z córką po latach – stwierdził. – Ty, Arnie Hawksmith, chciałabyś nam wszystkim wmówić, że zrobiłaś to, co zrobiłaś, kierowana najczystszyimi motywami. Z miłości matki do dziecka, nic więcej. Cóż, widziałem, jak bardzo podoba ci się magia, którą to ja pokazałem tobie, czarownico, nie zapominaj o tym. Widziałem, jak się w niej kąpiesz, jak się nią zachwycasz, dokładnie tak samo, jak robi to twoja córka czarownica. I jak zawsze robiła. Niedobrze mi się robi od tej fałszywej świątobliwości. W głębi serca obie to wiecie.

Anne i Elizabeth popatrzyły na siebie nawzajem. Trzymały się za ręce i wymieniły uśmiechy czystego

szczęścia. Potem Elizabeth postąpiła krok naprzód i odwróciła się do Gideona. Była wprost wspaniała. Już wcześniej wyglądała świetnie, lecz nie dało się tego porównać z jej obecnym blaskiem. Musowało i pulsowało w niej światło magii, dobrej magii. Matka cofnęła się odrobinę w cień. Elizabeth bezgłośnie sunęła naprzód, aż wreszcie zatrzymała się kilka cali od Gideona. I wtedy zrobiła najdziwniejszą rzecz. Najdziwniejszą i najodważniejszą. Rozmawialiśmy o tym wcześniej. Wiele godzin spędziłyśmy na planowaniu i rozważaniu, co może się stać, ale ciągle nie mogę tego pojąć. Ciągle pragnę, by udało się znaleźć jakieś inne wyjście. Podała mu dłoń. Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego dłoń. Był zaskoczony. Oniemiał. Wreszcie – coś, czego się nie spodziewał!

– Cóż, Gideonie – powiedziała miękko – oferuję ci mą rękę. Przyjmiesz ją? Czy naprawdę pragniesz być ze mną?

Uśmiechnął się w sposób, który mówił: „wygrałem”

– Tak – odparł. – Tak, najdroższa. Moje serce raduje się, że wreszcie odzyskałaś rozum. Że znasz siebie. Że widzisz, iż zawsze naszym przeznaczeniem było wspólnie kroczyć przez czas. Wyobraź sobie, jak dobrze nam będzie razem, jak wiele uda nam się osiągnąć! – Wydawał się promienieć, pulsować energią. Wreszcie dostał, czego pragnął, co jego zdaniem słusznie mu się należało. – Więc tak, jak zapisano, i po tym, jak zostałam czarownicą w moim imieniu, oczywiście pragnę być z tobą.

– Niechże tak będzie – odparła. W mgnieniu oka pozostałe czarownice zmieniły się w ogień, tworząc wiru-

jący pierścień płomienia wokół Elizabeth i Gideona, którzy unosili się teraz dziesięć stóp nad ziemią. W powietrzu wirowały białe kule fosforu. Na poszycie leśne spadały iskry, płonące liście i kawałki drewna. Cała polana stanęła w ogniu. Anne poszybowała wyżej, wtapiając się w pierścień z płomieni i światła. Pośrodku tego wszystkiego Gideon i Elizabeth ze spokojem wpatrywali się w siebie. Trzymając się za ręce, zaczęli unosić się coraz wyżej.

– Miałeś rację – głos Elizabeth słyszeć było wyraźnie nawet pomimo panującego harmidru. – Nie dałybyśmy rady cię zabić, Gideonie. Nie było takiej możliwości. Ale możemy cię zabrać.

Na jego twarzy pojawił się nikły cień strachu.

– Możemy cię zaprosić do nas – ciągnęła, coraz mocniej ściskając jego dłoń – a jeśli pójdiesz z własnej woli, jeśli się zgodzisz, co właśnie zrobiłeś, będziesz naszym gościem w Summerlands.

Nic! – ryknął, lecz na próżno. Usiłował uwolnić dłoń, jednak nie był w stanie zmusić Elizabeth, by go puściła. Już nie.

– Gideonie, tam nie zrobisz nic złego. Kto wie, może pośród nas nauczysz się nawet odrobiny pokory.

Krzyczał teraz, jego twarz ulegała nieustannym przemianom. Zmieniał się gwałtownie, szaleńczo, czerwone oczy, kły, rogi. Wył, rzucał się i wił, ale trzymała go mocno.

Potem odwróciła głowę i spojrzała na mnie. Wiedzia-

łam, że się ze mną żegna. Chciałam być dzielna, chciałam pokazać jej, że rozumiem i że wszystko jest w porządku. Ale nie byłam w stanie znieść myśli, iż mnie opuszcza.

– Elizabeth! – zawołałam, a po policzkach ciekły mi łzy. Elizabeth!

Pokręciła głową, uśmiechnęła się i choć nie mogłam jej usłyszeć, dostrzegłam, że jej usta wypowiadają słowa „Bądź silna!” A potem, w mgnieniu oka, zniknęli. Nie został nawet ślad. Tytko ja i las. Nie byłam w stanie się ruszyć. Byłam jak ogłuszona. Dopiero gdy uświadomiłam sobie, że las płonie, zdołałam zmusić się do odwrotu. Właśnie miałam uciekać, gdy zauważyłam na ziemi jakiś ruch. Moja myszka! Ruszyłam po nią, ale uciekła.

– Hej! To nie czas na zabawę. – Poszłam za nią. Wskoczyła na patyk. Była to laska Elizabeth. Podniosłam ją, a mysz wślizgnęła mi się do kieszeni. Rozejrzałam się, po raz ostatni sprawdzając, lecz byłam sama. Uciekłam. Wiedziałam, że nie poradzę sobie z motocyklem, dlatego poszłam pieszo. Zatrzymałam się przy drodze i z komórki zadzwoniłam po straż pożarną, po czym wrzuciłam telefon do rowu, szczęśliwa, że pozbyłam się ostatniej rzeczy, którą dostałam od niego. Potem, trzymając się cienia, wróciłam do domu.

Cóż, mówię o domu. Zabawne, że tak właśnie myślę o tamtym domu. Jest mój. Elizabeth pokazała mi swój testament. Wyobraźcie sobie, cały dom. Mój.

Nie wiem, co powie na to mama. Ale poradzę sobie z nią. Będzie tak zadowolona, że będę miała mieszkanie,

za które nie trzeba płacić, że nie sędzę, by miała zbyt długo zadawać trudne pytania. Najważniejsze z nich dotyczy Elizabeth. Trudno na nie odpowiedzieć. Chciałabym móc powiedzieć, że wiem, jakie miejsce wymieniła, ale tak naprawdę tego nie rozumiem. I nie zrozumie tego nikt inny, to pewne. Mówiła o Summerlands. Coś jak niebo dla czarownic, tylko nie na zawsze. One wracają. Kiedy nadchodzi właściwy czas, wracają. I ona też wróci. Pewnego dnia. Obiecała mi to. Tymczasem jestem tutaj, w jej chacie. Mam wszystkie jej książki. Jej *grimoire*, wypełniony zaklęciami i przepisami. I oczywiście tę *Księgę Cieni*. Cóż, będę gotowa. Kiedy wróci, będzie pod wrażeniem. Teraz kończę. To nie jest prawdziwy koniec opowieści Bess ani Elizy, ani Elise, ani Elizabeth. Ale po powrocie będzie chciała rozpocząć nowy dziennik. A kto wie, może pewnego dnia i ja zacznę własną *Księgę Cieni*.

Urywek z gazety „Matravers & Batchcombe Express”,

1 listopada 2007

LASY BATCHCOMBE W OGNIU

Trzy wozy strażackie i dziewiętnastu strażaków walczyło z ogniem w lesie Batchcombe wczoraj około północy. Uważa się, że pożar, który dotarł do Batchcombe Hall od zachodu i do A324 od wschodu, został wywołany przez obozowiczów. Na miejscu znaleziono szczątki spalonego motocykla. Nie było świadków, a zgłoszenie o pożarze złożono anonimowo. Batchcombe Hall nie był bezpośrednio zagrożony dzięki przecince za domem. Ogień zniszczył jednakże wiele akrów starych dębów i buków. Policja bada przyczynę pożaru, choć jej zdaniem był on skutkiem nieuwagi, a nie podpalenia. Rzecznik straży pożarnej przyznał, że nie wiedzą, co mogło być jego przyczyną. Nie udało im się znaleźć śladów ogniska. Jedna z teorii głosi, że ktoś puszczał w lasach petardy, gdyż na miejscu znaleziono resztki substancji przypominających fosfor.

Tu kończy się *Księga Cieni*